



Barbara Delinsky



Smak zemsty

Rozdział pierwszy

Nowy Jork, marzec 1990

Nic nie dorównywało tej zdradzie, żadne łajdactwa, których dopuścił się w przeszłości. Hillary Cox wpatrywała się w ekran telewizora jeszcze długo po tym, jak zniknął z niego obraz mężczyzny. W głowie miała pustkę, czy też raczej chaotyczną plątaninę rozmaitych myśli. Czowała upokorzenie, ból i głęboką konsternację.

Strząsnęła z twarzy pasma długich, kasztanowych włosów, odwróciła głowę i zagapiła się w dywan. Jednakże w głębokich szkarłatnych splotach nie znalazła odpowiedzi.

Zaręczony? John się zaręczył? - nie mogła odegnąć od siebie tych pytań.

Z trudem przełknęła ślinę. Kiedy wstawiała, pilot do telewizora zsunął się jej z ud. Zaczęła chodzić bez celu po pokoju. Podobnie jak i reszta mieszkania, nie był zbyt duży, ale skoro chciała mieszkać na Upper East Side na Manhattanie, musiała się tym zadowolić. Tu właśnie chciała się spotykać z Johnem. Wynajęła ten apartament, żeby zaspokoić własne ambicje, ale przede wszystkim po to, by zadowolić Johna. Żadna pokątna dziura nie przypadłaby mu do gustu.

Gdyby jej dał pieniądze, mogłaby wynająć coś lepszego, ale wtedy czułaby się jeszcze większą dziwką.

Zachwiała się jak pod ciosem. Przecież nigdy się nie sprzedawała. Zawsze żywiła dla niego prawdziwie głębokie uczucia, bez względu na to, czy chodziło o miłość, nienawiść czy pogardę. Cały czas była mu wierna. Nie była kurwą. Idiotką - być może tak, ale nie kurwą.

Chodziła bezmyślnie potykając się o pokryte welurem krzesła, aż dotarła do stolika z drzewa wiśniowego, który służył jej za biurko. Opuszkami palców musnęła stertę kartek, niechlujnie zaścielających blat. John nigdy nie mógł zrozumieć jej skłonności do nieładu w papierach. Sam prowadził tak uporządkowane i poukładane życie, że z trudem tolerował brak porządku u innych.

Zatrzymała się przy biblioteczce. Dotknęła odtwarzacza płyt kompaktowych, który podarował jej na zesłą Gwiazdkę, potem sowy, podarunku sprzed kilku lat, wreszcie ramki z jego zdjęciem, które, jak pamiętała, zrobiła jeszcze wcześniej. Ależ był diabelsko przystojny. Czarnowłosy, z ciemnymi oczami, o rysach twarzy na tyle arystokratycznych, że nie zauważało się innych, bardziej plebejskich cech. Znała go już tak długo. Była świadkiem, jak dorastał, jak je-

go ramiona stawały się coraz szersze, a zarost gęściejszy. Później, w miarę upływu lat, zaczęła dostrzegać w jego włosach pierwsze srebrne pasma.

Poczuła, jak coś ściska ją za gardło.

To nieprawda, że się zaręczył, powiedziała sobie w duchu. John nie należał do typu mężczyzn, którzy się żenią. Dobięł pięćdziesiątki, nie związując się z nikim i odnosząc olbrzymie sukcesy bez udziału żony. Nie istniał najmniejszy powód, dla którego miałby brać ślub właśnie teraz - a John bez powodu niczego nie robił.

Zakochał się? O nie, nie John.

Ale przecież sam powiedział, że się zaręczył. Oświadczył to w głównym programie telewizyjnym.

Czując ściskanie w żołądku, odwróciła wzrok od władczej twarzy z fotografii i bezwiednie podjęła dalszą wędrówkę po domu. Po chwili, ciężko oparta o framugę, spostrzegła, że stoi w drzwiach sypialni i wpatruje się w łóżko. Było starannie zasłane białą satynową narzutą i wyglądało zupełnie inaczej niż tydzień temu. Wtedy nie było sensu go ścielić, gdyż oboje z Johnem prawie z niego nie wychodzili.

Wspomnienia sprawiły, że jej oddech stał się szybszy i bardziej nierówny. John był wspaniałym kochankiem. Miał wysokie wymagania, ale potrafił też wiele dawać, a jeśli czasami postępował z nią brutalnie, ona mu na to pozwalała, co więcej, nawet to lubiła. Taka mała odmiana od cywilizowanej twarzy, którą pokazywał światu. Chlubiła się, że potrafi wzbudzać w nim takie emocje. To oznaczało, że ma nad nim władzę i że łączy ją z nim takie przeżycia, jakich John nie dzieli z żadną inną kobietą.

W niedzielne popołudnie wrócił do Bostonu, do domowych pieleszy, do „Facets”. Od tamtej pory nie kontaktował się z nią, ale to było w jego stylu. W ciągu długich lat spędzonych z Johnem przyzwyczaiła się do tego, próbując jedynie zachować dla siebie jak najwięcej, skoro i tak nie była w stanie niczego zmienić. John zawsze robił to, co chciał, i nikomu się z tego nie tłumaczył.

Zaręczony? Natychmiast odrzuciła od siebie tę myśl. To było po prostu niemożliwe.

Po chwili namysłu nie była już taka pewna.

Przyspieszyła kroku. Nie zastanawiała się ani minuty, gdyby przeczytała o tym w „National Enquirer”. Już nieraz pisano w tym szmatławcu podobne bzdury. Niejednokrotnie łączono nazwisko Johna z kobietami, których prawie nie znał, albo też wręcz nie znosił.

Wywiad w „20/20” to co innego. Ten program był wiarygodny, tak samo jak Janet Curry.

Niedawno owdowiała, niezależna finansowo czterdziestolatka była dojrzałą, elegancką kobietą, znakomitością wśród bostońskiej socjety. Hillary wiedziała, że John się z nią spotyka. Sam jej o tym powiedział. Ale nic nie wspomniał o zaręczynach - ani miesiąc temu, kiedy nakręcano wywiad, ani podczas zeszłego weekendu.

Kiedy poskładała razem ostatnie wydarzenia, na nowo ogarnęło ją uczucie przejmującego bólu. Jeśli zaręczyny były prawdą, to John kochał się z nią długo po tym, jak do nich doszło, a to czyniło wulgarnym i brudnym zarówno ich wspólne chwile, jak i ją samą. Co ważniejsze, jeśli John się ożeni, przy jego boku i w jego łóżku już na stałe pojawi się kobieta. Jedyna i oficjalna. I nie będzie to Hillary.

Walcząc z napływającą falą paniki, podeszła do małego stolika, podniosła słuchawkę telefonu i pospiesznie wystukała numer Pam. Ona zna prawdę. W końcu jest siostrą Johna. Musiał podzielić się z nią takimi rewelacjami.

Z drugiej strony, niby dlaczego miałby to zrobić? Hillary nacisnęła na widelki. Choć Pam głęboko angażowała się w działalność rodzinnego biznesu, nie utrzymywała z Johnem bliskich kontaktów. Nic dziwnego, John to cholerny kawał drania.

A właściwie któż lepiej niż on sam rozwieje jej wątpliwości? Wybrała numer do mieszkania Johna przy Beacon Hill i czekała z bijącym sercem.

- Rezydencja St.George.

W tle rozbrzmiewał zgiełk i hałas.

- Christian, mówi Hillary Cox. - Mówiła pewnym siebie głosem, starając się nadać mu tyle stanowczości, na ile tylko mogła się zdobyć. Zakładała, że służący weźmie ją za bliską przyjaciółkę Johna. - Czy zastałam Johna?

Służący odpowiedział po dłuższej chwili, pozwalając Hillary wsłuchać się w dobiegające ze słuchawki odgłosy. John miał gości. Dźwięki zlewały się w jedną monotonną kakofonię.

- Zastała go pani, panno Cox, ale w tej chwili jest zajęty. - Dochodziły ją salwy śmiechu.

- Przekażę mu, że pani dzwoniła.

Hillary zaczęła podejrzewać, że w domu Johna odbywa się przyjęcie.

- Nie - sprzeciwiła się. - Proszę mu powiedzieć, że dzwonię i chcę z nim rozmawiać.

- Może byłoby lepiej...

- Proszę, Christianie. To pilne.

Musiał wyczuć, że jest zdesperowana. Po krótkiej przerwie i zwięzłym poleceniu Christian przełączył telefon.

Nagła cisza była gorsza od dźwięków, które jeszcze przed sekundą do niej docierały. Czowała się odepchnięta i samotna. Chociaż niejednokrotnie miała wrażenie, że John odtrąca ją i próbuje odseparować od swojego świata, tym razem naprawdę to odczuła. Co innego być odrzuconą, kiedy innych spotyka to samo, a zupełnie co innego w pojedynkę pozostać z boku. Czowała się jak trędowata.

- Hillary? - Jego głos brzmiał tak jak zawsze - był niski i spokojny. Nie słysząc już było szumu gości. Wyobraziła go sobie, jak stoi w bibliotece, otoczony półkami pełnymi nigdy nie czytanych książek, i długimi, zgrabnymi palcami uderza w połyskujący, mahoniowy blat biurka. Z pewnością zamknął za sobą drzwi, by oddzielić się od reszty towarzystwa. Czyżby nagły objaw poczucia winy?

- John, co się dzieje?

Wydawało się, że w ogóle nie zauważył napięcia w jej głosie.

- Jak się masz?

- John...

- Oglądałaś wywiad? - mówił głośno i wyraźnie, z tą swoją nieznośną pewnością siebie.

- Oczywiście. Właśnie o tym...

- I co o nim myślisz?

- Nie wiem. Właśnie dlatego...

- Wyszło niezłe. - Zgrabnie umknął przed jej wymówkami. - Takie programy są cholernie niebezpieczne i mogą złamać niejedną karierę. Gość wydaje się całkiem interesujący, ale w czasie rozmowy wychodzi na głupca i wywiad okazuje się dla niego totalną klęską.

Hillary traciła resztki cierpliwości.

- John, co to...

- Myślę, że wypadłem zupełnie dobrze. Jestem zadowolony...

- Tak samo jak mnóstwo innych osób, sądząc po odgłosach, które mnie doszły, kiedy Christian podniósł słuchawkę. - Wyrzuciła to z siebie możliwie najszybciej, żeby nie zdążył jej przerwać. - Co się dzieje?

Przez chwilę milczał.

- Wpadło kilku przyjaciół, by uczcić tę okazję.

- Zjawili się w samą porę. Od zakończenia programu nie minęło nawet piętnaście minut.

A to znaczy tylko jedno: oglądali go razem z tobą, prawda?

- Kilku.

- Kilku. Trzech? Ośmiu? Dwudziestu? - Nie próbowała nawet ukryć, że czuje się zraniona. - John, ja też bym przyszła, gdybym wiedziała, że wydajesz przyjęcie. Ale nie zostałam zaproszona, nie chciałeś mnie tam widzieć. Ostatnio w ogóle rzadko tego chcesz. - Nabrała powietrza.

- Czy to prawda? Czy ty i Janet zaręczyliście się?

Zawahał się.

- Hillary, zadzwonię do ciebie później.

- Nie. Powiedz teraz, zaręczyłeś się? - Nie odpowiedział. - Zamierzasz się z nią ożenić? - Nadal żadnej odpowiedzi. - Powiedz mi, John.

- Porozmawiamy o tym kiedy indziej.

- Muszę to wiedzieć natychmiast. Wystarczy, że usłyszałam to w telewizji. Jak mogłeś mi coś takiego zrobić? - wyrzuciła z siebie. - Uczucie bólu było wszechogarniające i nie potrafiła już dłużej z nim walczyć. - Dlaczego zachowałeś się w ten sposób? Jak mogłeś dopuścić, po tylu wspólnie spędzonych latach, żebym dowiedziała się o tym jako jedna z miliona obcych ludzi? Nie pomyślałeś, że mnie upokarzasz?

- Nie teraz, Hillary.

Słysząc było, że jest rozzłoszczony, ale już o to nie dbała.

- Nie kochasz jej. Znam cię, John, nie kochasz jej. Kochasz tylko siebie i swoje przekłete sklepy. Więc dlaczego się z nią żenisz? Masz przecież władzę, której zawsze pożądałeś. Mój Boże, po dzisiejszym wieczorze nie będziesz się mógł opędzić od dziennikarzy. Masz pieniądze, jesteś sławny. Więc po co ci ona? Przecież nie jest żadną piękną, wyglądem nie dorasta mi do pięt. I na pewno nie da ci tego, czego potrzebujesz. Tylko ja to potrafię. Przez tyle lat byłam tylko ja.

W głosie mężczyzny zabrzmiało napięcie.

- Hillary, to nie czas ani miejsce...

- À propos czasu i miejsca, powiedz mi, co z naszym ostatnim weekendem? Byłeś ze mną, John. Przez czterdzieści osiem godzin byłeś tylko ze mną i przeżywaliśmy razem te wszystkie intymne sprawy. Jeśli zaręczyłeś się z inną, to co, do diabła, robiłeś w moim mieszkaniu? - Roztrzęsioną ręką podtrzymała się w pasie. - Wytlumacz mi to, John.

- Zeszły weekend należał do nas - odpowiedział, wyraźnie zły, że zmusiła go do tłumaczenia się. - Tak jak wiele razy przedtem.

- Ale ty się zaręczyłeś!

- No i co z tego?

Otworzyła usta ze zdumienia.

- Co z tego? To, że ją oszukujesz!

- Janet tylko zyska na tym małżeństwie. Będzie mieć zapewnioną opiekę, którą straciła po śmierci Turnera. Znowu ktoś pokieruje jej życiem, a tego właśnie jej brakowało. Nigdy nie obiecywałem jej wierności, ona też jej nie oczekiwała.

- A więc sądzisz, że dalej będziesz się ze mną spotykał, mimo że ożenisz się z inną?

- Jej to nie przeszkadza.

- Ale mnie tak!

- Nie rozumiem, dlaczego? - Wyglądało na to, że mówi całkiem poważnie. - Przecież byliśmy ze sobą, choć spotykałem się z innymi kobietami.

- Ale nie ożeniłeś się z żadną z nich!

- Dlaczego nagle stałaś się taka pryncypialna? Daj spokój, Hillary. Co ci to przeszkadza, że będę miał żonę?

- Ogromnie.

- Nieprawda. Pomiędzy nami nic się nie zmieni. Będziemy się spotykać tak samo jak kiedyś. Mój związek z Janet to sprawa czysto racjonalna. Jest wygodny, oszczędza mi kłopotów i ucisza wielu wrogów. Nie oczekuję od niej rozkoszy. To dostaję od ciebie.

- Ale to z nią się żenisz!

- A ty nie masz zamiaru spotykać się z żonatym mężczyzną? No, wyduś to wreszcie z siebie. - Jego głos stał się ostrzejszy. - Czego chcesz? Pieniądzy? Biżuterii? Udziału w akcjach?

Poczuła się tak, jakby ją uderzył. On w ogóle nie pojmował, o co jej chodzi! Po tylu latach znajomości zupełnie jej nie rozumiał. Dopóki była kochanką mężczyzny z zasady unikającego małżeństwa, mogła znieść fakt, że w jego życiu pojawiały się czasem inne kobiety. John i tak zawsze wracał do niej. I to stanowiło dla niej pewną rekompensatę za wszystko, czego nie mogła od niego dostać. Ale teraz dawał swoje nazwisko innej, wznosił ją na piedestał, o którym ona mogła tylko marzyć. Problem tkwił w tym, czy zdoła zachować szacunek dla samej siebie. Była zbyt dumna, by zgodzić się na taki układ.

Poczuła, że nie wytrzyma już dalszej rozmowy. Miała dosyć.

- Idź do diabła - wymamrotała i odłożyła słuchawkę.

Natychmiast jednak pożałowała tego gestu i z powrotem wbiła wzrok w telefon, modląc się w duchu, żeby John oddzwonił.

Wiedziała, że tego nie zrobi. Nie pokaże, że mu na niej zależy, a już z pewnością jej nie przeprosi. Był na to zbyt arogancki. Zapewne spokojnie zgasi światło w bibliotece i wróci do gości, słusznie przekonany, że ona dalej o nim rozmyśla, siedząc samotnie tu, w Nowym Jorku. Pozwoli, by jej sam na sam z własną wyobraźnią stało się karą za przerwanie rozmowy.

I rzeczywiście, czuła się ukarana. Oczami duszy widziała go w salonie pełnym gości, wśród których była z pewnością jego narzeczona. Oczywiście wszyscy podziwiali go za sukces, jaki odniósł na ekranie telewizji. Myśląc o tym, przeżywała tortury. Objęła się ramionami i huśtała na brzegu łóżka w przód i w tył, ale ten ruch wcale jej nie uspokajał. Nie pomagało też chodzenie po całym mieszkaniu. Czuła się bezdennie pusta, a zarazem targana dławiącym uczuciem bólu i osamotnienia. Emocje kipiały w niej i musiała natychmiast coś zrobić, żeby nie zwariować.

Zarzuciła na siebie długi płaszcz i postanowiła uciec w marcową noc. Chłodne powietrze orzeźwiło ją. Owinęła się ciasno połami paltka i szybkim krokiem ruszyła przed siebie. Mijała domy, witryny sklepowe i wielu przechodniów, którzy tak jak ona wybrali się na nocny spacer. W tej chwili uważała za prawdziwe szczęście, że życie w Nowym Jorku nigdy nie zamiera. Wśród tylu obcych ludzi nie była już taka opuszczona.

A przecież zawsze myślała, że uczucie izolacji i osamotnienia w wielkim mieście jej nie dotyczy, że ona, kobieta silna i niezależna, jest ponad to. Obojętne, jak wiele czasu spędzała sama - a ponieważ była pisarką, zdarzało się to całkiem często - miała świadomość, że ma jeszcze Johna. Nawet jeśli ich spotkania dzieliły całe miesiące, wiedziała, że on po prostu jest. Mogli nie rozmawiać przez telefon i do siebie nie pisać, ale miała pewność, że on gdzieś przebywa i kiedy tylko będzie gotów, przyjdzie do niej.

Teraz to się skończyło.

Wydawało się, że spaceruje bez końca. Wreszcie, przemarznięta, postanowiła wrócić do domu. Na automatycznej sekretarce nagrała się jedna wiadomość. Przekonana, że to John, Hillary z nadzieją nacisnęła guzik odtwarzania.

- Cześć. - Hillary natychmiast zmarkotniała. - Tu Pam. Muszę z tobą porozmawiać, ale jestem poza domem, więc nie możesz do mnie oddzwonić. Spróbuję się z tobą skontaktować jutro rano.

Sekretarka wyłączyła się. Gdyby była to wiadomość od Johna, nagrałaby ją, żeby móc ją potem odtwarzać. A tak, czuła tylko rozczarowanie. Kochała Pam, jednak wołała teraz usłyszeć głos Johna.

Potrzebowała z kimś porozmawiać, chciała się wypłakać na czyimś współczującym ramieniu. Jednak Pam nie było w domu, a nie miała odwagi o tak późnej porze niepokoić innych znajomych.

Tak po prawdzie tylko z Pam mogła pogadać o Johnie. Już dawno temu nauczyła się nie rozmawiać o nim z nikim innym. Niewielu jej przyjaciół poznało go osobiście, pozostali nie znali nawet jego nazwiska. Wszyscy jednak byli zdania, że ich związek nie ma perspektyw, i nie mogli zrozumieć, dlaczego Hillary w nim tkwi. Uważali za czyste szaleństwo, że zgadza się na takie traktowanie i zupełny brak zaangażowania ze strony Johna. Nie dość, że nie dawał jej żadnego zabezpieczenia w sensie finansowym, to jeszcze skazywał na trwające miesiącami rozłąki. Choć upierała się, że to wszystko jest bez znaczenia, sama zastanawiała się czasami, czy jej przyjaciele nie mają jednak racji. Gdyby teraz zadzwoniła do któregoś z nich, próbując oskarżać Johna, naraziłaby się na całą litanię wymówek pod tytułem „a nie mówiłem”. Nie chciała tego słuchać.

Wydawało się, że noc się nigdy nie skończy. Była zbyt przygnębiona i rozbita, aby móc zasnąć, czy choćby tylko spokojnie usiedzieć w jednym miejscu. Nic nie pomagało. Włączyła muzykę, napiła się wina i zrobiła sobie długą, ciepłą kąpiel. Jednak nastrój nie poprawiał się, a złe myśli nie ustępowały.

Z nadejściem poranka była już strzępkiem nerwów. Patrzyła, jak pierwsze promienie słońca wbijają się w betonowy kanion ulicy. Widziała samochód dostawczy, rozwożący poranną prasę. Zeszła po swoją gazetę, wróciła z nią na górę i otworzyła na stronie rubryk towarzyskich. John nie stał się jeszcze wybitną osobistością i artykuł poświęcony mu nie był zbyt duży, niemniej jednak pisano o nim na czterech bitych kolumnach. Była to jedna z tych banalnych historyjek o głośnych zaręczynach na East Coast. Roztrzęsionymi dłońmi Hillary włożyła pismo pod stertę gazet z poprzedniego dnia.

Wzięła gorący prysznic, ubrała się i spojrzała na zegarek. Dochodziła dopiero siódma trzydzieści. Pam już z pewnością wstała, ale Hillary nie chciało się do niej dzwonić. Była zbyt przygnębiona, aby rozmawiać. Podeszła do biurka, zdecydowana, że trochę popracuje, jednak nie wiedziała, o czym ma pisać.

Potrzebowała świeżego powietrza, przestrzeni. Tak jak wczoraj, złapała płaszcz i wyszła z domu. Odetchnęła głęboko. Mijając nielicznych przechodniów, wysoko trzymała głowę. Niestety, przy żadnym kiosku z prasą nie potrafiła się powstrzymać, by nie spojrzeć na nagłówki porannych gazet. W końcu poddała się i kupiła jedną z nich. Wepchnęła ją pod ramię i wróciła

do domu.

Tam także znalazła artykuł o Johnie.

Zdegustowana, z niechęcią odsunęła od siebie gazetę, chwyciła za aktówkę i znów wyszła, tym razem do biblioteki. Spędziła tam niemal cały dzień, nie mogąc znieść myśli o powrocie do pustego domu i samotnej walce z gorzkimi wspomnieniami i ciszą.

Kiedy wreszcie znalazła się w mieszkaniu, na sekretarce czekała na nią następna wiadomość od Pam.

- Cześć, Hillary. To znowu ja. Posłuchaj, musimy się spotkać. Przylatuję w środę na spotkanie z klientem. Umówmy się na lunch. O pierwszej w „Four Seasons”. Jeśli nie możesz, daj znać.

Wiadomość była typowa dla Pam, krótka i rzeczowa. Ona wiedziała, co powinna zrobić. Jednak pod przykrywką pozornej oschłości kryła się nieustająca chęć wsparcia innych w potrzebie i przyjscia im z pomocą. Na tym polegała różnica między Pam i jej bratem. Ona miała serce. Przeżywała, przejmowała się, płakała.

Tak jak Hillary. Ale, niestety, nie jak John.

Ta myśl natrętnie powracała do Hillary w trakcie długich i samotnych godzin weekendu. Wciąż dręczyły ją wspomnienia. Kiedy jednak próbowała wyobrazić sobie przyszłość, widziała przed sobą tylko ciemną pustkę. To niesprawiedliwe. Zbyt długo żyła w cieniu Johna. Zaczęła go przeklinać, ale zaraz skłęła samą siebie. To prawda, wykorzystywał ją, jednak ona mu na to pozwalała.

Pod koniec weekendu jej wściekłość dorównała niemal poczuciu krzywdy. Pod wpływem złości wpadła nieoczekiwanie na wspaniały pomysł. Obiecała też sobie solennie, że nigdy więcej nie da się wykorzystywać. Życie toczyło się dalej i otwierały się przed nią nowe szanse. Nie dbała o to, że motorem jej dalszego rozwoju miała być złość na Johna. Nie zastanawiała się, czy będzie wściekły, kiedy pozna jej plan. Nie miała nic do stracenia.

Nadszedł czas, żeby zrobiła coś naprawdę znaczącego w swoim życiu. Użyje do tego Johna, przy okazji wyrównując z nim rachunek.

Rozdział drugi

Pamela St.George należała do typu kobiet z klasą, chociaż sama nie do końca zdawała sobie z tego sprawę. Cechowała ją duża pewność siebie, a wyróżniała prawdziwie niezwykłą urodą. Wystarczyło, że związała długie, ciemne włosy w koński ogon i narzuciła na siebie prostą garsonkę od Armaniego, by w następnym tygodniu wszyscy chcieli naśladować jej styl. Wcale by się tym nie przejęła, prawdopodobnie nawet by tego nie zauważyła. Miała w życiu ustaloną hierarchię wartości i narzucanie innym sposobu ubierania nie mieściło się na tej liście.

Wyjątek stanowiła biżuteria. Ta rzeczywiście liczyła się w życiu Pameli, zwłaszcza egzemplarze składające się na jej autorską kolekcję „Originals”. Ona sama, nosząc je stale, stanowiła ich najdoskonalszą, żywą reklamę. Choć jej wzory były ogólnie znane i poszukiwane, korzystała z każdej okazji, by rozpowszechnić je jeszcze bardziej. Kierowała się przy tym swoją prywatną, życiową filozofią. Jej zdaniem należało dążyć do tego, aby stać się najlepszym w swojej dziedzinie, a potem, umiejętnie to wykorzystując, zdobyć władzę i pieniądze, bo to jedynie liczyło się na tym świecie. Wprawdzie Hillary nie rozumiała, po co Pam potrzebuje tyle władzy, ale nie miała jej tego za złe. Zresztą Pam tyle w życiu przeszła.

Teraz, patrząc, jak podchodzi do stolika w towarzystwie kelnera, Hillary poczuła znajomą mieszaninę podziwu i zazdrości. Ta kobieta była jej bliższa niż siostra. Właściwie powinna jej nienawidzić - za urodę, wdzięk, sukcesy - ale nie potrafiła. Pam była zbyt dobra, ciepła i uczciwa, a w dodatku była lojalną przyjaciółką.

Jak zwykle otaczała ją jakaś szczególna aura. Włosy, spięte nad jednym uchem srebrną spinką, sprawiały, że wyglądała jak artystka. To wrażenie potęgował zamszowy kostiumik z frędzlami przy rękawach i pasujące do niego buty. W miarę jak się zbliżała, uwaga Hillary przeniosła się z ubrania na naszyjnik przyjaciółki. Podobnie jak spinka we włosach, był także zrobiony ze srebra i wyłożony kolorową mozaiką. Tworzyły ją półszlachetne kamienie o przepięknych kolorach - od jasnorożowych do szkarłatnych. Były to turmaliny, znak firmowy Pameli.

Przybyła zarzuciła ręce na ramiona Hillary i mocno ją przytuliła. Uśmiechając się do kelnera, usiadła na swoim krześle, po czym oparła kartę dań na stojącej na stole porcelanowej zastawie. Patrzyła na Hillary.

- Jak się czujesz? - zapytała miękko.

Nie rozmawiały ze sobą od czasu występu Johna w telewizji. Mimo upływu tych czterech

dni Hillary nadal czuła się załamana.

- Przeżyję. Duma zmusza mnie do patrzenia na pewne rzeczy z dystansem.

Pam przyglądała się jej jeszcze przez kilka sekund, po czym odezwała się tym samym, ciepłym głosem, jednak w jej oczach pojawiły się stalowe iskry.

- Jestem wstrząśnięta. Wiesz o tym, prawda?

- To uprzejme z twojej strony.

- Wiesz dobrze, że to nie ma nic wspólnego z uprzejmością! Ogarnia mnie wściekłość.

Przecież to ciebie powinien być wybrać!

- Ale tego nie zrobił.

- I właściwie powinnaś dziękować za to Panu Bogu, chociaż ty zawsze szalałaś na punkcie Johna. Pojęcia nie mam, dlaczego. Jest arogancki, despotyczny, zarozumiały i myśli tylko o sobie, a to wszystko oznacza, że żaden z niego materiał na męża. Przemyśl to sobie, a przyznasz mi rację. - Palcami dotknęła dłoni przyjaciółki. - Nie wiem, czy ktoś taki zasługuje na miłość. Czy ty go w ogóle jeszcze kochasz?

- Nie.

- Tak sądzisz? Jesteś z nim już tak długo.

- To z przyzwyczajenia - stwierdziła Hillary z kpiącym uśmiechem.

Pam ścisnęła jej rękę.

- Zasługujesz na więcej szczęścia w życiu. John jest wprawdzie moim bratem, ale życzę ci kogoś lepszego. Prawdopodobnie to, co zrobił, będzie dla ciebie zbawienne. Może wreszcie spadnie ci bielmo z oczu i poszukasz sobie innego mężczyzny.

- Nikogo nie będę szukać. - Kiedyś już próbowała, ale nikt nie dorównywał Johnowi. Nie chciała mówić o tym Pam. Musiałaby tłumaczyć się z czegoś, co przekraczało granice jej własnego rozumienia. Istniało coś oprócz przyzwyczajenia, coś irracjonalnego, przyciągającego ją do tego człowieka. - Nie potrzebuję mężczyzn.

- Wiem, jednak...

- Dam sobie radę. Fakt, przeżyłam szok, ale to wszystko.

- Taaak, tylko że ja ciebie znam i wiem, że za tydzień staniesz w obronie Johna.

- Przecież go nie bronię. Zgadzam się z tobą, Pam. Tym razem posunął się za daleko.

- Nic ci wcześniej nie mówił? Hillary potrząsnęła głową.

- Cholerny, pieprzony łobuz - syknęła z wściekłością Pam. - Ale to nic nowego. Zaskoczył mnie tylko tymi zaręczynami. Po tylu latach, po wszystkim, co osiągnął, to się zupełnie nie

trzyma kupy. - W jej głosie zabrzmiała nuta wzburzenia. - Co on planuje? Próbowałam go rozgryźć, ale nic z tego nie rozumiem. John nie należy do mężczyzn, którzy się żenią. Jest zbyt dużym samotnikiem. Niby otoczony ludźmi, ale zawsze w skorupie. Nie potrafi dłużej przebywać z jedną osobą. Więc co się zmieniło?

Od czasu obejrzenia sławetnego programu Hillary wielokrotnie zadawała sobie to pytanie.

- Może przeżywa kryzys wieku średniego, na który brakowało mu czasu dziesięć lat temu?

- Być może. A nuż przyszło mu wreszcie do głowy, że jest śmiertelny, i pragnie, by na jego nagrobku widniał napis „ukochany małżonek”? Ale jeśli to prawda, wybrał sobie nieodpowiednią kobietę. Znam Janet Curry. To osoba nieskazitelna. Przypomina te marmurowe budynki, stojące przy Commonwealth Avenue - zgrabne, dumne i zimne. Nie wyobrażam sobie nic „ukochanego” pomiędzy tą parą. - Westchnęła. - John nigdy nas niczym nie zaskakiwał, ale tym razem mu się udało.

- Rozmawiałaś z nim? - zapytała Hillary, starając się ukryć zaciekawienie. Wielokrotnie używała Pam jako źródła informacji o Johnie. Pam nie miała nic przeciwko temu, tym bardziej że przy okazji sama wyciągała od przyjaciółki interesujące wiadomości.

Kiwnęła twierdząco głową.

- W sobotę, i to bardzo zdawkowo. Przyjął moje gratulacje jak gdyby nigdy nic - jakby to był jego zwykły, towarzyski obowiązek. Oczywiście sądził, że gratuluję mu występu w programie. Ten człowiek jest niezrównany. - Nie był to komplement, bo Pam zazwyczaj nie wyrażała się dobrze o bracie. Uwielbiała prawić komplementy innym ludziom, ale trudno jej było doszukać się jednej pozytywnej cechy u Johna. - On nie rozumuje jak reszta świata. Może i mamy jednego ojca, ale mówię ci, on chyba spadł z Księżyca. Mimo że jego zaręczyny wzbudziły epokową sensację, chciał rozmawiać tylko o swoim występie.

- Nawet wiem dlaczego.

Pam wyglądała na zdeglustowaną.

- Ja też. Czy kiedykolwiek w życiu spotkałaś większego megalomana? Swoją drogą w czasie wywiadu był wyjątkowo pewny siebie. Zachowywał się jak przez całe swoje życie, a przecież obie wiemy, że jest mistrzem manipulacji. Nigdy się w nic nie angażuje, jeśli nie jest stuprocentowo przekonany, że całkowicie kontroluje sytuację. To oczywiste, że przed emisją ustalił zasady prowadzenia programu.

- Z tego wniosek, że „20/20” bardzo chciało przeprowadzić z nim ten wywiad.

- Bez wątpienia. Mają swoje powody. Poproszono nas, byśmy przygotowali biżuterię na wyjazd Pierwszej Rodziny do Moskwy.

Tego Hillary nie wiedziała.

- Wspaniale! - wykrzyknęła. Naprawdę się cieszyła, choć zarazem poczuła lekkie ukłucie zazdrości. Gwiazda Pam wznosiła się bezustannie, podczas gdy Hillary wciąż czekała na swoją szansę.

- Transmisja odbędzie się na żywo - tłumaczyła Pam - a to oznacza, że wszystkie dziury telewizja będzie musiała zatkać takimi banałami jak ubrania i biżuteria.

Banałami... Nawet gdyby Hillary zupełnie nie interesowała się biżuterią i gdyby nie wiedzieć jak zazdrościła przyjaciółce, nigdy nie mogłaby nazwać jej pracy banalną. Tą biżuteria była piękna. I droga. Nie stać jej było na kupno. Wprawdzie posiadała wspaniały pierścionek z zielonym turmalinem w ceramicznej oprawie, ale tylko dzięki temu, że dostała go kiedyś w prezencie od Pam. Nie od Johna, od Pam.

- Uwierz mi, jestem szczęśliwa, że moje prace uważa się za banalne - mówiła Pam. - Wyobrażasz sobie, jaką nam zrobią reklamę? I to za darmo. Tak więc „20/20” postanowiło jako pierwsze opowiedzieć historię „Facets”. Najwidoczniej reporterzy przystali na kompromis i...

- ...i zgodzili się na zasady Johna - skończyła za nią Hillary.

- Jak inaczej to tłumaczyć? John ma wrogów, i to wielu, więc dlaczego „20/20” ich nie wytropiło? Byli w stanie naprawdę mu zaszkodzić, a przecież wszystko poszło gładko.

- Musiał dać im listę osób, z którymi mogą rozmawiać.

- Mojego nazwiska z pewnością na niej nie było - roześmiała się Pam.

- A gdyby nawet, czy uchyliłabyś rąbka tajemnicy i powiedziała coś niepochlebnego o swym wielkim bracie?

- A jakże! - wykrzyknęła z charakterystyczną dla niej impulsywnością. Ale zaraz potem opadła na krzesło z ponurą miną.

Hillary nie była zdziwiona, widząc zmieszanie przyjaciółki. Z jednej strony Pam z całego serca nie znosiła brata. Uważała go za przebiegłego szczura i często go tak nazywała, zwłaszcza w czasach, kiedy jeszcze nie dbała o eleganckie wyrażanie się. Hillary broniła Johna, przypominając, że to właśnie on podwoił, a nawet potroił dochody firmy, że uczciwie płaci podatki, a mnóstwo pieniędzy przeznaczają na cele charytatywne. Zawsze była jego orędowniczką, z wyjątkiem sytuacji beznadziejnych, kiedy występki Johna nie można już było niczym usprawied-

liwić.

Z drugiej strony to właśnie John trzymał w garści firmę St.George. Pam mogłaby pracować gdzie indziej, ale Hillary wątpiła, czy przyjaciółka kiedykolwiek się na to zdobędzie. Chodziło głównie o pamięć o ojcu i szacunek dla firmy, którą założył, ale bezpośrednim powodem był strach przed gniewem brata.

- Ty się go boisz - stwierdziła Hillary, bardziej współczując Pam, niż ją ganiąc.

- Nie tak bardzo jak kiedyś.

- Jednak nie udzieliłabyś wywiadu „20/20”. Jesteś na to zbyt prostolinijna. Gdybyś się zgodziła, musiałabyś albo źle mówić o Johnie, albo po prostu kłamać. Nie jesteś w stanie tego zrobić. - Hillary zamilkła. Oparła się o krzesło, złożyła dłonie i głęboko westchnęła. - A ja to potrafię, Pam. I uczynię to. Napiszę o nim książkę.

Pam aż się wzdrygnęła.

- Chyba żartujesz.

- Nie.

Pam zamyśliła się. Wyglądała na zmieszaną.

- Jakiego rodzaju książkę?

- Biograficzną. Znam go lepiej niż większość jego przyjaciół.

- Ale jesteś z nim osobiście związana.

- Już nie.

- Tylko tak mówisz. - Pam zamilkła. - No, nie wiem, Hillary - cedziła słowa wolno i niepewnie. - Nie jestem przekonana, czy to taki dobry pomysł.

Hillary patrzyła na przyjaciółkę i po sceptycznym wyrazie jej twarzy domyślała się, w jakim kierunku biegną jej myśli. Książka o Johnie to także książka o firmie St.George. A więc będzie w niej mowa o samej Pam, jej matce i o Cutterze.

- Wolałabym, żebyś z tego zrezygnowała - cicho oświadczyła Pam.

- Nie mogę. To jedyna rzecz, która się będzie naprawdę liczyć w tej całej obrzydliwej historii. Muszę napisać tę książkę, czuję, że stanie się dla mnie jakimś zadośćuczynieniem.

Pam zamyśliła się nad słowami przyjaciółki. Wyglądała na zaniepokojoną.

- John wpadnie w szal.

- Wiem. Ale nie mam nic do stracenia.

- Za to ja mam! Mam męża, córkę i swoją reputację. Mojej matce także to może zaszkodzić. I Cutterowi.

- Nikomu nie stanie się krzywda, przecież żadne z was nie uczyniło nic złego.

- Mimo to... - zaczęła Pam, ale przerwał jej mężczyzna, który nagle pojawił się przy stole. Pam podniosła do góry zdziwiony wzrok, po czym jej usta rozciągnęły się w uśmiechu. Wyciągnęła rękę, żeby się przywitać, i nadstawiła policzek do pocałunku.

- Widziałem, jak tu wchodziłaś, i nie mogłem się oprzeć, by cię nie przywitać - tłumaczył się przybysz. - Wyglądasz wspaniale, Pamelu. Co u ciebie słyszać?

- Wszystko w porządku, Malcolmie. Cieszę się, że cię widzę. Pozwól, że przedstawię ci moją przyjaciółkę, Hillary Cox. Pozwól, Hillary, to Malcolm McCray. Malcolm kupił dla swojej żony niektóre z najcenniejszych okazów mojej kolekcji - wyjaśniła, po czym odwróciła się do Malcolma. - Jak się miewa Lorraine?

- Dziękuję, świetnie się bawi w Vermont, zwłaszcza że wyjechały już stamtąd tłumy narciarzy. Zamierzam do niej dołączyć w piątek. To jedyne miejsce, w którym potrafię odpocząć.

W tym punkcie Hillary zgadzała się z nim całkowicie. Spojrzała na Malcolma. Wcześniej znała go ze słyszenia i zdaje się, że już go gdzieś widziała. W każdym razie kilka informacji na jego temat obilo się jej o uszy. Przeprowadził się z San Francisco i był właścicielem nowoczesnych i najmodniejszych hoteli w Nowym Jorku. Hillary nie dziwił fakt, że jest on znajomym Pam. W czasie ostatnich kilku lat krąg jej znakomitych przyjaciół znacznie się poszerzył - wszak wschodzące gwiazdy jak magnes przyciągają do siebie znanych i wpływowych ludzi.

- Przekaż jej moje pozdrowienia - poprosiła Pam.

- Oczywiście. - Malcolm zniżył głos. - A co z Brendanem? Czy ma się już lepiej?

Pam uśmiechnęła się smutno.

- Trudno powiedzieć, ma swoje wznioły i upadki.

- Następnym razem, kiedy tylko będzie w lepszej formie, przyjedźcie nas odwiedzić.

Wiejska atmosfera ma wręcz lecznicze właściwości.

Zgaszony uśmiech nie opuścił twarzy Pam.

- Dziękuję. Jesteśmy naprawdę wdzięczni za to zaproszenie.

Malcolm uściśnął jej dłoń, skinął głową w stronę Hillary i odszedł. Pam otworzyła kartę dań, ale Hillary widziała, że myślami jest daleko, w Bostonie, i chciała jej dodać nieco otuchy.

- Jak on się czuje?

- Brendan? - Pam zamknęła jadłospis i apatycznie machnęła ręką. - Wiesz, leczenie jest gorsze od samej choroby. Trudno się nie zniechęcić.

- Czy lekarze też tak myślą?

- Kto to wie. Nie zawsze dają jednoznaczne odpowiedzi.

- A czy ty zadajesz jednoznaczne pytania?

- Oczywiście, że nie. Niektórych rzeczy wcale nie pragniemy usłyszeć.

- Ale jakoś się trzymasz.

- Muszę. Chociażby ze względu na Brendana. Zresztą to nie jest aż takie trudne. Jestem jak zwykle zawałona pracą i mam dzięki temu chwile wytchnienia. Poza tym jest jeszcze Ariana, to prawdziwy anioł. - Na wspomnienie córki twarz Pam pojaśniała. - Słowo daję, że nie wiem, co bym bez niej zrobiła. Daje mi o wiele więcej, niż można sobie wyobrazić - nadzieję, wsparcie, miłość... To jak dar od Boga.

Po krótkiej przerwie Hillary zapytała:

- Masz kontakt z Cutterem?

Pam wpatrywała się w delikatny rysunek na trzonku noża.

- Rozmawiamy ze sobą. Nie widuję go od jakiegoś czasu, od choroby Brendana. Ale... - jej głos przeszedł w szept - przecież wiesz, że nie zniosłabym, gdybym musiała o nim zapomnieć. - Złapała głęboki oddech. - Nasza rozmowa staje się zbyt sentymentalna. Wracajmy do rzeczywistości. - Skinęła na kelnera, który podszedł tak szybko, jakby tylko na to czekał. Obsługa była tu bez zarzutu.

Jednak Hillary nie zamierzała tak łatwo ustąpić i kiedy tylko kelner się oddalił, odstawiła kieliszek z winem i podjęła wążek.

- Zdajesz sobie sprawę, że masz o wiele więcej do wygrania?

- Chodzi ci o Johna?

Hillary skinęła głową.

- Twoje życie wyglądałoby zupełnie inaczej, gdyby nie on.

Po chwili zastanowienia Pamela oparła łokcie na poręczach krzesła i spojrzała przyjaciółce prosto w oczy.

- To prawda. Niestety, jest zwykłym prostakiem, co mnie tym bardziej śmieszy, że przez całe życie starał się udowodnić, jaki z niego arystokrata.

- Więc najwyższy czas, aby mu to wytknąć, otwarcie i bez ogródek - rzuciła Hillary, myśląc o swojej książce.

Pam widać także chodziło to po głowie, ale nie była bynajmniej zachwycona tym pomysłem.

- Wiesz, istnieją jeszcze inne, mniej ostentacyjne sposoby, żeby mu dopiec. Dostaniemy go, Hillary. Uderzymy go w najbardziej czułe miejsce.

Hillary obserwowała rozgorączkowanie przyjaciółki, wypieki na jej twarzy i zaciskające się z gniewu szczęki. Widziała to już nieraz, ale aż do tej pory nigdy nie podzielała jej zacie-
trzewienia. Teraz to się zmieniło. John przeciągnął strunę i musiał być ukarany.

- Naprawdę tak myślisz, czy są to tylko twoje pobożne życzenia?

- Uwierz mi. Jeszcze mu się dostanie.

- Mówisz o interesach?

- O interesach, o życiu, o wszystkim. To się zbliża, Hillary.

- Co się zbliża?

- Sprawiedliwość! Słodka, cudowna sprawiedliwość. Hillary chciała wiedzieć więcej.

- Co się dzieje, Pam? Już wcześniej coś dostrzegłam. Znam ten twój wyraz twarzy. Coś knujesz, prawda? Ty i Cutter?

- Ależ skąd, John sam to załatwi.

- Mówisz bzdury. - Pam nie zaprzeczyła i Hillary zaczęła ją besztać. - Nie chciałaś udzie-
lić wywiadu „20/20”, nie chciałaś mu się publicznie przeciwstawić!

- Telewizja nie jest odpowiednim forum.

- Więc jakie jest odpowiednie? Czy w ogóle istnieje na niego jakiś sposób? - Hillary
znowu pomyślała o swojej książce, ale Pam wyraźnie się z nią nie zgadzała.

- Jest, jest, nie martw się. Uwierz mi, dostanie mu się.

- Kiedy? - Po kilku sekundach Hillary dodała: - Jak? Pam westchnęła.

- Nie mogę ci teraz nic więcej powiedzieć. Ale zastanów się przez chwilę, to logiczne.
John od tylu lat niszczy najbliższych sobie ludzi. Nie możemy bez końca tego znosić, przyjdzie
czas odwetu. Ty sama zaczęłaś wreszcie tak myśleć. Jednak nie trzeba uderzać z wielkim hu-
kiem, żeby dopiąć celu. To może zająć trochę czasu, ale zwyciężymy. Bóg mi świadkiem, za-
płaci nam za wszystko.

Hillary nie przekonały do końca mgliste obietnice przyjaciółki. Chciała napisać książkę i
nie zamierzała czekać, aż Pam, Cutter, czy kto tam jeszcze zrealizuje swój wątpliwy plan. Po-
siadała własną broń, by się zemścić, i pragnęła jej użyć.

- Nie martw się - odezwała się Pam, opacznie odczytując wyraz jej twarzy. - To nie bę-
dzie nic trywialnego. Nie mówię o publicznym mieszaniu z błotem.

- Ależ właśnie coś takiego mu się należy - upierała się Hillary. - Wracając do ostatniego

piątku, to wydaje mi się, że jednak John na swój sposób grał uczciwie. Zgadzając się na wywiad, wiedział, co ryzykuje. Choć zabezpieczył się najlepiej, jak umiał, miał pełną świadomość, że wystarczy parę podchwytliwych pytań i będzie skończony. W końcu wygrał, ale musiał brać pod uwagę możliwość klęski.

- Wątpię, żeby widział to w ten sposób.

- Prawdopodobnie nie. Pompatyczny błazen.

Pam roześmiała się sucho.

- Teraz wiem, że Johna naprawdę czekają kłopoty. No, no, ty, jego wierny rzecznik i obrońca, obrzucająca go wyzwiskami!

Powinien się pilnować.

- Masz świętą rację - zapewniła Hillary. - Przeżywałam piekło przez kilka ostatnich dni, przypuszczalnie tak samo, jak ty męczyłaś się przez lata.

Pam twierdząco pokiwała głową.

- Nie masz pojęcia, ile gniewu i poczucia krzywdy we mnie tkwiło. Zresztą chyba widziałaś, jak płakałam przez Johna ze złości, jak się szamotałam i waliłam głową o ścianę.

Hillary wyobraziła sobie dystygowaną Pam, walącą o ścianę, i miała ochotę wybuchnąć śmiechem.

- Minęło już tyle czasu. Kiedy zobaczyłam cię po raz pierwszy, nie miałaś więcej niż osiem lat. Spędzaliście wtedy lato w Timiny Cove. John cały czas sprzeczał się z twoim ojcem i doszczętnie zepsuł ci wakacje.

Jeszcze teraz Pamela wspominała z rozdrażnieniem tamten okres.

- Byli jak ogień i woda. Wystarczyło, że posiedzieli w jednym pokoju parę minut, a zaczęli skakać sobie do oczu. Jeśli ja wtedy miałam osiem lat, to John musiał mieć dwadzieścia cztery i brał już udział w prowadzeniu firmy. We własnym mniemaniu był jedynym człowiekiem, który wiedział, jak to robić, a przy tym kierował się w życiu zupełnie innymi zasadami niż ojciec. Już wtedy był arogancki i chciał wszystkimi rządzić. Chyba się taki urodził.

- W tamtym czasie sądziłam, że ty też taka jesteś. Zachowywałaś się jak rozkapryszony dzieciak, który złości się z byle powodu.

- To była frustracja. Frustracja i rozczarowanie. Denerwowało mnie, kiedy przez Johna cierpiał ojciec i obracały się wniwecz moje plany na spokojne i szczęśliwe wakacje.

- Musiałaś bardzo kochać swojego ojca.

- To prawda, łączyły nas szczególne więzy - odparła Pam. - Do szkoły chodziłam w Bo-

stonie. Ojciec dzielił swój czas między nas i Maine i rzadko go widywałam. Na każde lato wyjeżdżałam do Timiny Cove. Mama zostawała w Bostonie, więc byliśmy z ojcem zupełnie sami. John na czas wakacji musiał zastępować go w kopalni i okropnie się wściekał z tego powodu.

Hillary wiedziała o tym.

- Nie lubił Timiny Cove jeszcze bardziej niż twoja matka.

- Nawet nie o to chodziło. Chciał być w mieście. Mówił, że tylko tam toczy się prawdziwe życie, nie w tej przeklętej dziurze.

Hillary zachichotała.

- Dziurze?

- Ty także nie lubiłaś Timiny Cove, pamiętasz? Cały czas wypytywałaś mnie o miasto.

- Tak. To musiało się wydawać dziwne. Byłam dziesięć lat starsza od ciebie, a tak niewiele wiedziałam. John czasami mi coś opowiadał, ale urywał w najciekawszych momentach, żeby podniecić moją ciekawość. Ty mówiłaś wszystko, co wiedziałaś.

- Nie było tego dużo.

- Dla mnie co niemiara, uwielbiałam cię za to.

- I dlatego, że byłam siostrą Johna?

- Nie. No, może na początku naszej znajomości, ale potem naprawdę cię polubiłam. Byłaś takim szczęśliwym, pełnym werwy i humoru dzieckiem, miałaś w sobie tyle słodczy.

- Oprócz momentów, kiedy się wściekałam - dodała żartobliwie Pam. Ale za chwilę spoważniała. - Ubóstwiałam wyjeżdżać do Timiny Cove. Nasz dom był duży i przestronny, a ludzie życzliwi i niezwykle zajmujący.

- W jakim sensie?

- No, tacy barwni.

- Naprawdę?

- Tak, tacy już byli, Hillary. Jak inaczej opisałabyś Phoebe Hanks, Rufusa Hacketta czy Dwayne'a Wardwella? Mój Boże... - Westchnęła, uśmiechając się zarazem. - Byli wspaniali. Phoebe ciągle dziergała na szydelku te śmieszne, nie wiadomo dla kogo przeznaczone skarpety. Rufus miał policzki jak wiewiórka, a kiedy się uśmiechał, pokazywał bezzębne dziąsła. Bez przerwy opowiadał dowcipy, ale dziwnym trafem nigdy nie pamiętał puenty. A znowu Dwayne miał sztywne, nastroszone włosy i srogi wygląd, lecz był człowiekiem o złotym sercu, tak samo zresztą jak inni. Ja i tata grywaliśmy z nimi często w pokera. Doskonale pamiętam tamte czasy...

To było takie proste, Hillary nie musiała wcale prosić ani nalegać. Pam z przyjemnością i ochotą sama snuła swoją opowieść. Wystarczyło, że Hillary od czasu do czasu roześmiała się, podniosła brwi w wyrazie zdziwienia czy przytaknęła, by Pam rysowała przed nią fascynujący obraz Timiny Cove. Hillary co jakiś czas pytała o szczegóły, dotyczące Johna czy Eugene'a St.George'a, ojca Pam.

Oczami wyobraźni widziała już gotowe rozdziały swojej książki. Jej własne spotkania z Pam, Patrycją i Cutterem. Historia życia i społecznego awansu rodziny St.George. Nie muszą się niepokoić, nie napisze o nich złego słowa. Będzie bezwzględna tylko dla Johna.

Rozdział trzeci

Timiny Cove, 1964

Pam nauczyła się blefować, kiedy miała osiem lat, przy grze w pokera na tyłach sklepu Leroya Robichauda. Wcześniej nie robiła tego świadomie. Nie przychodziło jej to do głowy, była na to zbyt niewinna i prostolinijna, nie brakowało jej pieniędzy. Po prostu lubiła ryzykować.

Nie można było tego powiedzieć o reszcie graczy. Rufus Hackett i Dwayne Wardwell nadal liczyli się z każdym groszem, choć było im teraz nieporównanie łatwiej niż przed pamiętnym odkryciem w okolicy złóż kamieni szlachetnych i otwarciem kopalni. Zaś Eugene, cóż, Eugene też nie zapominał ciężkich lat dwudziestych i trzydziestych. Nieraz opowiadał Pam, jak ledwo wiązał koniec z końcem, nie mając co do ust włożyć. Przysłuchiwała się tym historiom z szeroko otwartymi oczami i traktowała je jak bajki z zamierzchłej przeszłości. Jej obecne życie w niczym nie przypominało czasów wielkiego kryzysu. Do końca lat czterdziestych Eugene zdołał zamienić kopalnię turmalinów w lukratywny interes, a w momencie jej narodzin posiadał już Cadillaca, okazały dom na Beacon Hill w Bostonie i drugi, ogromny, w Timiny Cove. Pam mogła godzinami słuchać opowieści ojca, robił to po mistrzowsku i zawsze dodawał jakieś nieznanne szczegóły.

- Podbijam, panienko - zdecydował Dwayne, rzucając dwa pensy na stół. Przedtem długo i uważnie studiował własne karty.

Pam popatrzyła na swoje. Nie były specjalnie dobre, nie miała ani jednej karty z obrazkami, a tak je lubiła. Jednak dostała parę czwórek, a wiadomo - byle jaka para to lepsze niż nic.

- Sprawdzam! - zawołała. Popchnęła monetę na środek stołu i uśmiechnęła się do Dwayne'a.

- Musisz najpierw wymienić karty, jak Rufus i twój tata - pouczył ją z pobłażliwą dobrocią.

Eugene zerknął w jej karty i aż stęknął.

- Dam sobie radę, tatku - szepnęła.

- Wiesz jak? - wyszeptał w odpowiedzi.

- Tak. - Odłożyła dwójkę trefl i trójkę kier na stół. Eugene podał jej dwie nowe karty. Dziewiątka kier i trójka pik nie poprawiły jej sytuacji, mimo to z udanym zadowoleniem otworzyła szeroko oczy i rozanielonym wzrokiem popatrzyła na Dwayne'a.

Obserwował ją uważnie, a na tym właśnie jej zależało. Znała Dwayne'a, najłatwiej z całej trójki można go było wyprowadzić w pole. Po prostu dlatego, że nie miał własnych dzieci i nie wyobrażał sobie, jak świetnie potrafią udawać. Cała jego wiedza na ich temat sprowadzała się do tego, że są grzeczne i lubią cukierki. Na odchodnym zawsze dawał Pam lizaka, którego trzymał w kieszeni wypłowiałej, flanelowej koszuli.

Podczas gdy Dwayne z ponurą miną badał swoje karty, do niej nachylił się Rufus.

- Znam doskonały kawał o domokrażcy, Pammy.

- W porządku, możesz mówić - zgodziła się łaskawie Pam. Wprawdzie denerwowało ją, kiedy Rufus co chwila próbował jej przeszkadzać, opowiadając swoje dowcipy, ale teraz Dwayne rozważał kolejny ruch i mogła się chwilę odprężyć.

- Pewien domokrażca miał konia. Znajdowali się obydwaj w Rumford, kiedy stary koń padł.

- Cicho - mruknął Dwayne. - Nie mogę myśleć.

Rufus zniżył głos.

- Stare konisko zdechło na ulicy Piscatawouge, no i oczywiście zebrał się tłum gapiów. Wkrótce zjawił się policjant i chciał spisać raport. Pyta, jak się pisze Piscatawouge, ale nikt nie wie.

- Rufus - przerwał mu z wyrzutem Dwayne. - Ponieważ wciąż nikt nie wiedział, jak się pisze nazwę tej ulicy, policjant zamyka notatnik i mówi do tłumu: Dobra, chłopaki, pomóżcie mi, to przeniesiemy konia na inną ulicę...

Pam milczała. Popatrzyła najpierw na ojca, potem na Dwayne'a. Chowając karty przy piersi Dwayne mruknął:

- Nie, nie. Jak zwykle wszystko poplątałeś. To nie tak było. Powinieneś powiedzieć „W porządku, chłopaki, pomóżcie mi, to przeniesiemy tego konia na ulicę Main”.

Pam wreszcie się zaśmiała, ponieważ nawet ona wiedziała, jak się pisze Main, oraz dlatego, że roześmiał się Eugene, a to zawsze ją rozweselało. W Bostonie rzadko kiedy się śmiała.

Potem Dwayne zrobił ruch. Oddał trzy karty i wziął od Eugene'a trzy nowe. Natychmiast spochmurniał. Rzucił jeszcze Rufusowi pełne niechęci spojrzenie i położył na stole parę siódek, królową kier, króla trefl i dwójkę karo.

Pam rozłożyła swoje karty i kiedy reszta graczy patrzyła z osłupieniem na jej parę czwórek, małymi rączkami zgarniała monety ze stołu.

Eugene wybuchnął potężnym śmiechem.

- Jesteś wspaniała, dziewczyno! - powiedział, po czym zebrał karty do przetasowania.

Pam promieniała. Uwielbiała chwile, kiedy wprawiała ojca w dobry nastrój i słyszała salwy jego śmiechu. Zdarzało się to, niestety, coraz rzadziej. W Bostonie raz po raz wybuchały awantury, ojciec często kłócił się z Johnem, niekiedy z matką. Jego głos grzmiał wówczas głośnym echem w całym domu. Jedynie na Pam nigdy nie krzyczał. Od niepamiętnych czasów nazywał ją swoim najcenniejszym klejnotem. Być może wzięło się to z okresu jej wczesnego dzieciństwa, kiedy zarzucał ją sobie na plecy i zabierał na długie wyprawy po kopalnianych szybach. Tam tłumaczył jej tajemnice piękna wydobywanych kamieni i wskazywał te najokazalsze. Ojciec był dla niej największym autorytetem.

Matka nauczyła ją z kolei patrzeć na niego jak na mężczyznę.

- Twój ojciec to najprzystojniejszy mężczyzna na świecie - mawiała w jego obecności. Pewnego razu wyznała Pam: - Nigdy nie zapomnę dnia, kiedy pojawił się w banku. Te jego szerokie ramiona, hardy wzrok i zabójczy uśmiech... Aż mi dech zaparło!

Pam z zachwytem chłonęła te opowieści, Eugene był bardziej sceptyczny i lubił się w takich chwilach przekomarzać.

- Twoja matka miała wtedy dopiero dziewiętnaście lat, wszystko ją olśniewało i zapierało jej dech w piersi. Swoją drogą wydała mi się wówczas wyjątkowo piękna, pamiętam jej zabarwione nagłym rumieńcem policzki.

- A ty, tatusiu, w jakim byłeś wieku?

- Byłem starym człowiekiem.

- Wcale nie - sprzeciwiła się Patrycja, dotknięta do żywego. - Miał wtedy czterdzieści siedem lat, a sercem i ciałem był młodszy od niejednego chłopca. Kiedy wszedł do banku, po-

wiedziała sobie: „ten, albo żaden”, choć była pewna, że nie mam najmniejszych szans.

- Spodobał się jej mój dom - wtrącił z łobuzerskim uśmiechem Eugene.

Patrycja próbowała protestować, ale żart był celny. Nawet Pam wiedziała, jak bardzo matka kochała Beacon Hill. To było widać za każdym razem, kiedy wchodziła tam dumnie po kamiennych schodach, podczas gdy przechodnie obrzucali ją zazdrosnym spojrzeniem.

Pam uważała ich życie za istną bajkę. Utwierdzała się w tym przekonaniu zwłaszcza w momentach, gdy wybierali się na bal. Matka była prawdziwą pięknoską; szczupła, o delikatnych, szlachetnych rysach, a jej długie, jasne włosy tak jak u Pam spływały na ramiona pysznymi splotami. Różniły się tylko kolorem - włosy Pam były ciemne. Być może przez to nigdy nie porównywała się z matką. Uznała po prostu, że jest inna, choć równie piękna. Tak przecież twierdził ojciec, a Pam wierzyła we wszystko, co mówił.

Bez cienia przesady można było powiedzieć, że ojciec był jej bohaterem. Wyższy i bardziej postawny od większości mężczyzn, których znała, miał gęściejsze, srebrzyste w odcieniu włosy i rumiane policzki. Matka mówiła, że jest okazem zdrowia i męskiej urody. Kiedy Pam widziała go w porządnie zawiązanym krawacie i smokingu, przyznawała jej rację. Był wielką osobowością, zupełnie jak ojciec Wendy Darling z *Piotrusia Pana*.

Pam domyślała się, że ojciec najbardziej podobał się matce, gdy tak wystrojony udawał się z nią na jakieś przyjęcie.

- Spotkać innych i samemu być zauważonym to ogromnie ważne - tłumaczyła córce. - Nazwisko twojego ojca staje się sławne. Pewnego dnia będzie kimś bardzo znaczącym w tym mieście.

- Co to znaczy? - dopytywała się Pam, nieco zaniepokojona, ponieważ błysk w oczach matki sugerował, że coś się może zmienić, a Pam bynajmniej tego nie pragnęła. Nie wyobrażała sobie, że może być jeszcze lepiej.

- Po pierwsze, stanie się bogaty.

- A czy teraz nie jest?

- Teraz dobrze nam się powodzi.

- Przecież mamy dwa domy. Melissa Gentile mówi, że jesteśmy bogaci. Ona nie ma dwóch domów.

- Ale ten, w którym mieszka, jest bez porównania ładniejszy od naszego.

- Ja lubię nasz dom.

- Melissy jest większy. To cała posiadłość, z rozległym obszarem ziemi dokoła.

- My też mamy ziemię w Timiny Cove, a tamten dom jest najpiękniejszy w całej okolicy. Patrycja odchrząknęła z irytacją i zakłopotaniem.

- Timiny Cove to sterta brudu i staroci. Jest tam biednie, brzydko i niechlujnie.

- Lubię Timiny Cove - upierała się Pam, choć już dawno temu przekonała się, że nie zdoła zmienić zdania matki na ten temat. - Co jeszcze tata będzie robił?

- Oprócz zarabiania dużych pieniędzy? Sądzę, że będzie miał biuro o wiele okazalsze od tego, które posiada teraz. Może nawet stanie się właścicielem całego budynku. Lokowanie w nieruchomościach to dobra inwestycja i świetny sposób pomnażania pieniędzy.

- Ale tata już ma ich dużo, więc po co mu jeszcze więcej?

- To się nazywa zabezpieczenie - oświadczyła Patrycja tonem, który nie pozostawiał wątpliwości co do ważności tego stwierdzenia. - Jesteś szczęśliwą małą dziewczynką, Pamela. Nie wiesz, co to znaczy cierpieć biedę. Ja, niestety, jej zaznałam i powiadam ci, to straszne uczucie. Pamiętam, jak musiałam przez trzy lata z rzędu nosić te same buty, choć wyrosłam z nich już po roku. Jak matka posyłała mnie po mięso do rzeźnika wiedząc, że daje mi za mało pieniędzy. Liczyła na to, że sklepikarz się zlituje i dołoży coś za darmo. Pamiętam...

Opowieści, które słyszała od ojca, były pogodne, przepełnione ciepłem i humorem. Wspominał minione lata z tęsknotą i rozrzewnieniem, mimo że były to ciężkie czasy. W głosie Patrycji nie słychać było żadnego ciepła. Mówiła podniesionym, ostrym głosem, cała spięta i zdenerwowana. Matka nie była szczęśliwa, kiedy musiała wracać do przeszłości. Pamela zauważyła zresztą, że ostatnio coraz częściej zachowywała się w ten sposób, mówiąc o czasach obecnych.

- Nie czułam się bezpieczna, dopóki nie spotkałam twojego ojca. Teraz jest znacznie lepiej, ale wciąż mi to nie wystarcza. Handel nieruchomościami to jest nasza przyszłość. Chcę, żeby ojciec porozmawiał o tym z Franklinem Dowdem w czasie uroczystego obiadu w przyszły czwartek. Franklin nieźle rozkręcił swoje interesy w ciągu ostatnich kilku lat.

Pam była za mała, żeby wiedzieć, kim jest Franklin Dowd, dlaczego handel nieruchomościami jest taki przyszłościowy i w jakim celu trzeba wciąż pomnażać majątek. Ale była wrażliwa na emocje, które przekazywała jej matka, reagowała na wyraz jej twarzy i barwę głosu. Obserwowała również często irytację matki w rozmowach z ojcem o interesach. I że ojciec, w przeciwieństwie do niej, pozostawał spokojny. Tak samo jak Pam był zadowolony ze swojego życia. Cieszył się, że ma pieniądze i może je wydawać, co zresztą z chęcią czynił. Jednak najlepiej i najswobodniej czuł się w Maine. Tam mógł nałożyć stare ogrodniczki i robić wszystko,

na co miał ochotę. Chodził sprawdzać, co się dzieje w kopalniach, lub odwiedzał przyjaciół, których znał od dziecka.

Pam znała ich wszystkich doskonale. Kiedy tylko wyjeżdżał do Maine, brał ją ze sobą i uczył kochać zarówno tamtejszych ludzi, jak i okoliczne ziemie. Niektóre szalone uczynki, których się tam dopuszczali, na przykład wykradanie się o północy z domu i kąpiel w lodowatym strumieniu, stanowiły wyłącznie ich tajemnicę. Patrycja nigdy nie wyraziłaby na to zgody. Inne rzeczy, takie jak piknik wraz z gubernierem zamiast nauki, także musiały pozostać w ukryciu, ponieważ nie zrozumiałby ich John.

Zdaniem Pam, John w ogóle niewiele rozumiał. Był od niej szesnaście lat starszy, pochodził z pierwszego małżeństwa Eugene'a i zachowywał się tak, jakby przybył z zupełnie innego świata. Jeśli kiedykolwiek był dzieckiem, Pam tego nie zauważyła. Nie bawił się, nie żartował i nie oglądał telewizji. Co więcej, nie lubił turmalinów ani kopalni, nie znosił Timiny Cove, a Pam podejrzewała, że nie cierpiał też Patrycji, Eugene'a, a przede wszystkim jej samej.

- Jest zazdrosny - tłumaczył nieraz ojciec, kiedy John szczególnie mocno jej dokuczył, a ona na swój dziecinny sposób to rozumiała. Przecież nie była ślepa. Między nimi nigdy nie było tego ciepła, które łączyło ją z ojcem. Kiedy Eugene i John byli obok siebie, rzadko się uśmiechali i najczęściej rozmawiali ze sobą podniesionym głosem, jak zupełnie obcy ludzie. Mieli podobnie wybuchowe temperamenty, co nie ułatwiało codziennych kontaktów. Pam także była porywcza i impulsywna. Z czasem nauczyła się kontrolować swoje emocje, ale na razie nie musiała tego robić. Miała osiem lat, grała w pokera i to było najważniejsze.

Gra trwała już dobrą godzinę, kiedy na zaplecze wpadł John.

- Mamy problem - rzucił bez żadnych wstępów w stronę Eugene'a. - Twój zarządca kradnie kamienie.

Eugene spojrział na syna pochmurnym wzrokiem, a potem przeciągle popatrzył na Rufusa i Dwayne'a.

- To poważne oskarżenie. - Zacisnął usta i wbił oczy w karty.

- Sprawdziłem księgi rachunkowe - ciągnął John. Nie zwracał żadnej uwagi na Rufusa i Dwayne'a i Pam ucieszyła się z tego. Rzadko kiedy obdarzał ich przychylnym wzrokiem. - Panuje w nich straszny bałagan. Kiedy po raz ostatni do nich zaglądałeś?

Eugene dorzucił za Dwayne'em monetę do banku.

- Nie muszę do nich zaglądać. Od tego mam księgowego.

- W takim razie twój księgowy oszukuje cię tak samo, jak Blaise - oświadczył ostro John.

- Wydobywamy więcej, niż trafia do ksiąg.

- Innym razem, John. Zajmiemy się tym kiedy indziej.

- Simon wie, że go przejrzałem.

Eugene podniósł wzrok.

- Powiedziałeś mu?

- Był ze mną. Nie widziałem powodu, żeby go zwodzić.

- Do pioruna, czyżbyś go zwolnił?

- Nie. Pomyślałem, że ty będziesz chciał to zrobić.

- No cóż, wcale tego nie chcę. Simon Blaise pracuje dla mnie od dwudziestu lat, o wiele dłużej niż ty. Kto ci dał prawo tak się szarogęścić i obrażać moich ludzi?

John spojrzął po twarzach pozostałych dwóch mężczyzn, wyraźnie zły, że ojciec strofuje go w ich obecności. Pam wcale go nie żałowała. John sam sobie był winien. Po co to wszystko zaczynał?

Najwidoczniej zdając sobie sprawę, że nie ma innego wyjścia, zwrócił się znów do ojca.

- To ty mnie zmusiłeś, żebym tu przyjechał. Przecież wiesz, że wolałem zostać w Bostonie, mam tam co robić. Ale ściągnąłeś mnie tu, żeby mieć czas na zabawy z ukochaną córeczką.

- Rzucił w stronę Pam nieprzyjazne spojrzenie. - Miałem zajmować się firmą, sam mi o tym ciągle przypominasz. Więc cię uczciwie uprzedzam, że Blaise kradnie.

- To ty tak twierdzisz. Zarabiamy mnóstwo pieniędzy, a ty utrzymujesz, że ktoś kradnie nasze kamienie. Dostajemy od państwa ulgi za rzetelne płacenie podatków, ale według ciebie w księgowości panuje bałagan. No więc zapamiętaj sobie: ja twierdzę, że Blaise to dobry człowiek.

Nawet gdyby Pam była głucha, to po zaciśniętych szczękach i ogniu w oczach Johna poznałaby, że jest wściekły. Teraz i ona wpadła w złość. John zupełnie zepsuł jej czas spędzony z ojcem. Chciała, żeby jak najprędzej zniknął im z oczu.

Jednak John nie ustępował.

- On czeka. Powiedziałem mu, że wrócimy. Jeśli się nie pospieszymy, ucieknie z miasta.

Czwórka graczy przy stole dalej trzymała uniesione karty, ale nikt nie zwracał już uwagi na grę. W chwili gdy Eugene wstał, Pam uklękła na krześle i zaczęła protestować.

- Przecież gramy, tatusiu.

- To jest ważniejsze od pokera - rzucił w jej stronę John.

- Zawdzięczamy to tobie - zauważył Eugene. Wyprostowany, był wyższy od syna, ale

niezaprzeczalnie byli do siebie podobni. To samo ogniste spojrzenie, ostro rzeźbione szczęki i dumna postawa - tych dwóch mężczyzn z pewnością łączyło bliskie pokrewieństwo. - Nie powinieneś mówić niczego Simonowi, John. Nie mam w zwyczaju obrzucać ludzi pochopnymi oskarżeniami, zwłaszcza kiedy chodzi o moich bliskich pracowników. Jeśli nawet dzieje się coś dziwnego, z pewnością istnieje jakieś wytłumaczenie.

- Chciwość. Jak ci się podoba taki prosty komentarz?

- Nie bardzo. Nie pasuje do Simona. Sam powinieneś to wiedzieć, John. Pracujesz już u mnie dwa lata. Powinieneś wiedzieć, komu można ufać, a komu nie. - Odwracając się do reszty, powiedział: - Muszę porozmawiać z Simonem i upewnić się, że nie odejdzie. Pammy, Rufus odprowadzi cię do domu.

- Ale dopiero co zaczęliśmy! Chcę grać dalej!

- Już dawno powinnaś być w łóżku - stwierdził John.

Pam zignorowała go.

- Poczekam tutaj, tatusiu, do twojego powrotu.

- Sam nie wiem, kiedy wrócę, i podziękuj za to swojemu bratu. Skoro i tak mam zmarnowany wieczór, pewnie zajrzę do tych przeklętych ksiąg. - Przytulił córkę. - Zagramy jutro, Pammy, prawda, Rufusie?

- Aha.

Z kolei Dwayne pogłaskał ją pocieszająco po głowie i wyciągnął z kieszeni lizaka, jednak Pam nie miała ochoty na słodycze. Wzięła lizaka, ale nie odwinęła go z papierka, tylko mocno ścisnęła w dłoni przez całą drogę do domu.

Kiedy dotarli tam z Rufusem, natknęli się niespodzianie na Hillary Cox.

- Johna nie ma - krzyknęła Pam i kopnęła nogą w stopień schodów. - Tata ma przez niego kłopoty.

- Gdzie jest Marcy? - Rufus zwrócił się do Hillary.

- Poszła do swojej matki. Nie na długo. Zgodziłam się pod jej nieobecność popilnować domu.

Pam wtuliła się w poręcz schodów. Pełna złości na cały świat, nie chciała się nawet pożegnać z Rufusem. Kiedy zamknęły się za nim drzwi, wykrzyknęła, nie mogąc się już dłużej opanować:

- Nienawidzę go! Nienawidzę!

- Rufusa? - zdziwiła się Hillary.

- Johna. To szczur. Wszystko psuje i ja go nienawidzę. - Na dowód tego znów kopnęła kilka razy w poręcz. - Powinien zostać w Bostonie. Nie cierpię, kiedy tu przyjeżdża. Zawsze wywraca wszystko do góry nogami.

Hillary podeszła do Pam i usiadła na schodku.

- Może mi wreszcie powiesz, co on takiego zrobił?

- Zdenerwował tatę. Ciągłe mu dokucza. - Zwróciła pociemniałe z gniewu oczy na Hillary. - Wiesz, co myślę? Jestem pewna, że John to jakaś wielka pomyłka.

- Co to znaczy?

- Myślę, że go podmieniono. On nie jest dzieckiem taty.

- Takie rzeczy się nie zdarzają.

- Właśnie że tak. Moja koleżanka, Sharon, opowiadała mi taką historię. Zresztą to ma sens. John i tata w ogóle nie są do siebie podobni. Zawsze ze sobą walczą.

- Ale wyglądają dokładnie tak samo.

- Wcale nie. Tata potrafi się śmiać.

- To cecha zewnętrzna, jak ubrania. Twój ojciec ma je już długo, są bardziej znoszone. John jest tu od niedawna, dlatego jego ubranie jest nowsze i bardziej sztywne. Jednak popatrz na ich sylwetki, profil twarzy, budowę ciała. Nie ulega wątpliwości, że to ojciec i syn.

- Biedny tata. - Pam zrobiło się go żal. - A ty lubisz Johna tylko dlatego, że jest przystojny! Przyszłaś tu, żeby się z nim spotkać, prawda?

- Czy wiesz, kiedy wróci?

- Nie i nic mnie to nie obchodzi! To podły szczur!

- No, nie wiem...

- Jesteś jego dziewczyną?

- Nie wiem.

- Kłamiesz! - zawołała Pam. - Ale on nienawidzi tego miejsca. Jeśli nawet jesteś jego dziewczyną, to nie na długo. On niebawem wyjeżdża.

- Ja także - odparowała Hillary.

Jej słowa oderwały na chwilę myśli Pam od brata, choć właściwie nie były dla niej wielkim zaskoczeniem. Wszyscy wiedzieli, że Hillary Cox różni się od reszty mieszkańców Timiny Cove. Po pierwsze, wyglądała trochę egzotycznie. Długie, ciemne i kręcone włosy kontrastowały z bardzo jasną, delikatną cerą. Po drugie, tak jak reszta jej rodziny, z nikim się nie zadawała. Już dawno temu, przy okazji corocznego pikniku organizowanego w Timiny Cove, Pam

doszła do wniosku, że są dziwni. Nie rozumiała, jak mogli bez żalu opuścić taką imprezę. Choć ojciec mówił, że Coxowie to wspaniali ludzie, ona sama nie mogła tego stwierdzić. Teraz znowu ten nagły wyjazd Hillary!

- Dokąd jedziesz? - zapytała.

- Do college'u w Bostonie. Może będziemy się częściej widywać.

Pam potrafiła bystro myśleć.

- Jedziesz tam, żeby być bliżej Johna.

- Jadę tam, żeby się uczyć.

- To straszna głupota z twojej strony! John jest wstrętny, ma zły wpływ na wszystko, czego się dotknie. Tak samo będzie z tobą.

- Właśnie na to liczę - powiedziała z uśmiechem Hillary.

Pam była za mała, żeby zrozumieć znaczenie jej uśmiechu. Poza tym, wspominając imię Johna, powróciła myślami do wypadków dzisiejszego wieczora i zalała ją znowu fala złości.

- Bardzo dobrze. Jeśli jesteś na tyle głupia, że sama szukasz kłopotów, bierz sobie swojego kochanego Johna! Nienawidzę cię! - Rzuciła o przeciwległą ścianę lizaka od Dwayne'a i nie oglądając się na Hillary, uciekła do domu, by wypłakać się w samotności.

Następnego ranka po łzach nie było już śladu, Pam przez noc zapomniała o całej złości. John wyjechał do Bostonu i choć teraz Eugene nie miał dla niej tak dużo czasu, do Timiny Cove powrócił upragniony spokój. Spędziła beztrudnie z ojcem resztę wakacji i musiała przyznać, że wypoczęła wspaniale. Kiedy nadszedł wreszcie koniec lata i przyjechała do Bostonu, ucieszyła się na widok matki i bez większych trudności wróciła do uporządkowanego, ujętego w sztywne ramy trybu życia.

Tak naprawdę lubiła to wszystko - szkołę, koleżanki, zakupy z matką, wyjścia na obiady i na przyjęcia. Życie w Bostonie było przepełnione dokładnie zaplanowanymi zajęciami, w przeciwieństwie do żywiołowej spontaniczności Timiny Cove.

Brakowało jej tylko obecności ojca. Co wieczór, kiedy wschodziła pierwsza gwiazda, prosiła Pana Boga o jego rychły powrót. Niestety, częste wyjazdy ojca do Maine stawały się coraz dłuższe. W końcu zjawiał się w domu tylko na ważniejsze uroczystości - Święto Dziękczynienia, Gwiazdkę czy Wielkanoc. Coraz rzadziej też cała ich trójka - Pam, Eugene i Patrycja - mieli okazję przebywać i robić coś wspólnie, jak prawdziwa rodzina. Między innymi dlatego uwielbiała swoje urodziny. Kiedy kończyła dziewięć lat, Eugene zabrał ją z matką do Ritza. Na dziesiąte urodziny pojechali z kolei do Nowego Jorku. John zazwyczaj zniknął z domu, kiedy

pojawił się ojciec. I bardzo dobrze. Pam postanowiła, że pobije go pogrzebaczem do kominka, jeśli odważy się zepsuć jej urodziny.

Dzięki Bogu, nigdy tego nie uczynił i w ogóle, kiedy tylko mógł, unikał Pam. Miał swoich własnych przyjaciół. Wprawdzie pracował w zarządzie kopalni St.George w Bostonie, ale pod koniec tygodnia wyjeżdżał w towarzystwie synów sędziów i bankierów do takich miejsc, jak Long Island, Newport czy Bar Harbor. Patrycja gorąco go zachęcała do tych wypadów, a i Pam nie miała nic przeciwko temu. Woląca, żeby nie było go w domu, bo nie była wówczas narażona na jego zaczepki i złośliwości.

Pam nigdy nie rozmawiała z matką o Johnie. Po części wynikało to z faktu, że Patrycja naprawdę go lubiła i Pam wiedziała, że nie znajdzie u niej zrozumienia. Poza tym odradzał jej to jakiś wewnętrzny głos. W tamtych czasach powierniczką Pam była Marcy.

Wychudzona postać, blada cera i niepozorny, myszowaty wygląd szesnastolatki to była cała Marcy Willow. Jednak Pam lubiła jej towarzystwo, gdyż Marcy jak rzadko kto zdawała się wiedzieć wszystko na temat życia. To było niepojęte. Kiedy Pam zapytała o to ojca, wyjaśnił jej, że Marcy od dzieciństwa poznawała życie bez żadnych osłonek, bez tych wszystkich świadczeń i wygod, które otaczały Pam. Zaznała nieraz nędzy i niedostatku.

Nawet gdyby jej nie współczuła, Pam i tak lubiłaby Marcy. Przede wszystkim pochodziła ona z Timiny Cove i nie miało znaczenia, że jej dom był tylko lichą, tekturową budą. Marcy nie była zarozumiała, tylko skromna i mało wymagająca. Pam lubiła robić jej małe prezenty i zabierać w różne miejsca. Choć Marcy pracowała w domu St.George jako pokojówka, dla Pam była jak siostra. To do niej Pam wylewała wszystkie żale, u niej szukała pocieszenia, kiedy dokuczył jej John. Tak było i tym razem.

- O co mu chodziło? - zapytała Pam. Siedziały z Marcy na brzegu małego, miejskiego stawu. Robiły wcześniej zakupy przy Charles Street i zjadały się czekoladowymi lodami, które Pam kupiła w pobliskiej cukierni. - „Pięciomiesięczna znajda”. Mówił to już wcześniej. Co on miał na myśli? Czy wyglądam jak pięciomiesięczne dziecko?

Marcy, jak większość ludzi z Maine, miała w zwyczaju przez dobrą chwilę się zastanawiać i rozważyć problem, zanim decydowała się na odpowiedź.

- Nie rozmawiałaś o tym z mamą?

- Nie, na temat dzieci mówiła tylko tyle, że sama nie będzie ich więcej miała. Czy to znaczy, że już nie może?

Marcy powoli polizała lody.

- Może i tak, albo też chodzi jej o to, że nie chce mieć więcej dzieci, bo wie, że nie urodzi już nikogo tak wspaniałego jak ty.

- Nie jestem wspaniała, przynajmniej nie zawsze. Więc co z tą pięciomiesięczną znajdą? Marcy oparła się o cementowy murek otaczający staw i zapatrzyła się na przechodniów.

- Czy mama mówiła ci, jak się rodzą dzieci?

- Nie, ale ja wiem.

- Skąd wiesz?

- Rozmawialiśmy o tym z Melissą. Ma taką książkę, którą razem przeczytałyśmy. - Pam ukucnęła obok Marcy i zniżyła głos. - I drugą o okresie. Wiesz, Janice Brooks właśnie go dostała i pomyślałyśmy, że powinnyśmy wiedzieć, co to jest.

- Janice Brooks ma dwanaście lat. Ty tylko dziesięć.

- To nieważne. W tej książce jest napisane, że można dostać okres, kiedy się ma nawet dziesięć lub jedenaście lat.

- Albo szesnaście. Jeszcze sobie poczekasz.

- A ty masz już okres?

Marcy pomyślała chwilę, po czym pokiwała głową.

- Więc gdybyś chciała, możesz już mieć dziecko? Marcy znowu przytaknęła ruchem głowy.

- I ciąża trwałaby dziewięć miesięcy! Ale w tej książce nic nie piszą o pięciomiesięcznych dzieciach. Kiedy John mnie tak nazywa, ma na twarzy obrzydzenie. Więc co to znaczy?

- Lepiej zapytaj o to mamę.

- Ona mi nie odpowie.

- Dlaczego nie?

- Nie wiem. Po prostu myślę, że nie będzie chciała. Pewnie mnie wyśmieje albo się ze złości. Ona wcale nie uważa, że John jest okropny. Dlatego pytam się ciebie, Marcy. Przecież jesteś moją najlepszą przyjaciółką i wiesz o tylu sprawach. Co to jest pięciomiesięczna znajda?

Marcy polizała lody i dopiero wtedy odwróciła się do Pam.

- Pewnie to dziecko, które urodziło się w pięć miesięcy po ślubie rodziców.

Pam nie musiała się długo zastanawiać nad znaczeniem słów przyjaciółki. Potrafiła dobrze liczyć.

- A więc John chce powiedzieć - zaczęła powoli - że moi rodzice zrobili mnie, zanim się pobrali?

- Możliwe.

- I że się pobrali, bo miałam się urodzić?

- Najważniejsze - oświadczyła Marcy - że byli małżeństwem, kiedy się urodziłaś.

- Czy oni się pobrali tylko ze względu na mnie?

- Nie.

Pewność w głosie Marcy uspokoiła nieco Pam, ale dalej miała wątpliwości.

- Skąd wiesz?

- Ponieważ cię bardzo kochają. I siebie nawzajem też. Ludzie, którzy się tak kochają, biorą ślub bez względu na to, czy ma się urodzić dziecko, czy nie. - Widząc, że Pam nadal ma niewyraźną minę, dodała: - Przecież wiesz, że się kochają.

- Czasami mam wrażenie, że nie. Tata tak dużo czasu spędza w Maine.

- To z powodu kopalni. Musi tam być.

- Nie - zaprzeczyła Pam, ale już bez przekonania.

- Oczywiście, że tak. Gdyby nie pracował, nie miałabyś tych wszystkich ładnych rzeczy, które tak lubisz. Twój tata jest dobrym człowiekiem. Jestem przekonana, że gdyby to zależało tylko od niego, wolałby być w Bostonie z tobą i twoją mamą.

Pam nie sprzeczała się więcej, choć była pewna, że ostatnie zdanie poprzedziła zbyt długa chwila namysłu, nawet jak na zwyczaje Marcy. Rozumiała za to świetnie, dlaczego przyjaciółka tak bardzo zapewnia ją o miłości Eugene'a i Patrycji. Rodzice Marcy nie żyli dobrze ze sobą, przy byle okazji wybuchały sprzeczki i awantury, których Pam nieraz była świadkiem. W porównaniu z tym wszystko inne zdawało się lepsze.

Na temat uczuć łączących jej własnych rodziców Pam miała swój prywatny punkt widzenia. Wspominając lata wczesnego dzieciństwa stwierdzała, że obecnie stosunki między nimi znacznie się ochłodziły, a cudowne, wspólnie spędzane chwile zdarzały się coraz rzadziej. Jeśli nawet Patrycja i Eugene się kochali, nie była to miłość tak głęboka jak na początku ich związku.

Wszystko wskazywało na to, że działo się coś złego. Eugene spędzał w Maine większość czasu, co tak bardzo irytowało Patrycję, że sama wybrała się tam kilkakrotnie w ciągu roku.

- Masz do mnie pretensję, że się niepokoję? - pytała z wyrzutem w głosie pewnego piątkowego wieczoru. Prosto ze szkoły zabrała Pam do samochodu i bez uprzedzenia udała się w trzygodzinną drogę do Timiny Cove.

Pam była zachwycona tą wyprawą. Patrząc oczami dwunastoletniej dziewczynki widziała

tylko, że ojciec przywitał je z prawdziwą radością. Nie zauważyła później ani jego zniecierpliwionych spojrzeń, ani nagłych przerw w rozmowie. Całą trójką wybrali się do najładniejszej restauracji, odległej dwadzieścia mil od Cove, a po powrocie usiedli w pokoju gościnnym i rozmawiali o wszystkim, co się wydarzyło od czasu ich ostatniego spotkania. Kiedy rozmowa zesłała na interesy, Pam po cichu opuściła pokój. Stała oparta o ścianę w holu na pierwszym piętrze; z dołu dobiegały głosy rodziców.

- Tak, mam pretensję - przyznał Eugene. - Kiedy mówię, że jestem tu, bo muszę, powinno ci to wystarczyć. Nie było potrzeby, żebyś tu przyjeżdżała. Chciałaś sprawdzić, czy pracuję?

- Przyjechałam, bo mi ciebie brakuje. Nie było cię już trzy tygodnie.

- Nie po raz pierwszy.

- Ale nie powinno tak być. Jesteś mi tam potrzebny.

- Tam ciągle masz do mnie pretensje. Każdego wieczoru zmuszasz mnie, żebym się stroił i chodził z tobą na jakieś idiotyczne przyjęcia, bale i wystawy.

- To jest ważne.

- To jest nudne.

- Na tych spotkaniach możesz zawrzeć korzystne znajomości. Jest ci to potrzebne.

Pam wyczuła napięcie w głosie ojca, kiedy odpowiedział:

- Moja praca polega na wydobywaniu i sprzedawaniu turmalinów i uważam, że robię to z powodzeniem.

- Ale mogłoby być lepiej. Nie rozumiesz? Nie wykorzystujesz wszystkich swoich atutów. Ty tylko sprzedajesz kamienie, płacisz pracownikom, od czasu do czasu kupujesz nowy sprzęt, a resztę pieniędzy odkładasz do banku. Leżą tam bezużytecznie, zamiast podwajać swoją wartość w jakimś dochodowym przedsięwzięciu.

- Coś mi to przypomina. Czyżbyś rozmawiała z Johnem?

Pam mocniej oparła się o ścianę. Znała odpowiedź na to pytanie. Zauważyła, jak Patrycja czeka na powrót Johna z pracy. Słyszała rozmowy, które prowadzili, popijając drinki przed obiadem.

- A z kim mam rozmawiać? - odcięła się Patrycja. - Ciebie nigdy nie ma.

- A dlaczego w ogóle musisz o tym rozmawiać? Dlaczego nie możesz mi zaufać?

- Ufam ci, ale się denerwuję. Wszystko, co mamy, zainwestowałeś w jedną dziedzinę. Co będzie, jeśli się coś nie powiedzie? Co będzie, jeśli kopalnie się zawalą czy zatopią, albo wyczerpią się złoża turmalinów? Co wtedy zrobisz?

- Jeżeli coś takiego naprawdę się zdarzy, w co osobiście wątpię - cierpliwie tłumaczył Eugene - to mam pewność, że w banku leżą moje pieniądze, których mogę użyć, by nie głodować. Nie musisz się o to martwić.

Pam wyobraziła sobie jego twarz, rozświetloną szerokim, łagodnym uśmiechem. Ona także się uśmiechnęła, ale po chwili miała znów zaszępioną minę, ponieważ Patrycji nie uspokoiły słowa męża.

- Dlaczego nie zainwestujemy tych pieniędzy, żeby zarobić jeszcze więcej? Gdybyś zmienił trochę rodzaj pracy, mógłbyś być w Bostonie. Jesteś mi tam potrzebny, Gene. Kiedy jestem sama, zaczynam wyobrażać sobie różne rzeczy. Denerwuję się. - Mówiła teraz o wiele szybciej. Nawet z takiej odległości Pam słyszała w jej głosie panikę.

Eugene też musiał to usłyszeć i wzruszył się.

- No, no, Patsy... - Mówił coś dalej, ale ciszej, zbyt cicho, by Pam mogła go usłyszeć.

Doszła do wniosku, że skoro ojciec już wie o lękach matki, wszystko będzie w porządku. Postanowiła iść do łóżka. Zasnęła tak szybko, że nie słyszała, kiedy rodzice poszli spać i czy położyli się razem w dużej sypialni ojca.

Zostały w Cove przez cały weekend. Wracając do Bostonu Pam czuła się wreszcie szczęśliwa, przekonana, że sprawy między rodzicami ułożyły się pomyślnie.

- Przyjedziesz do nas niedługo? - zapytała, tuląc się do ojca i całując go na pożegnanie.

- Niedługo, Pammy. Niedługo.

Dotrzymał słowa. Zjawił się w Bostonie w następnym tygodniu, ale tylko na jedną noc. Potem znowu wyjechał. Patrycja była zawiedziona bardziej niż zazwyczaj i przez to jeszcze bardziej przygnębiona i niespokojna. To powiększało tylko udrękę Pam, ponieważ matka w okresach złego nastroju zwracała się o pomoc i pocieszenie do Johna.

Zdaniem Pam był on bez wątpienia najchłodniejszym człowiekiem, jakiego знаła. Miał zawsze starannie ułożone włosy i doskonale zawiązany krawat. Chodził wyprostowany jak struna, zwykle z jedną dłonią w kieszeni, co miało świadczyć o wewnętrznym spokoju i pewności siebie, choćby się nie wiadomo jak denerwował.

To wszystko Pam mogła mu jeszcze wybaczyć. Nie potrafiła tylko ścierpieć, że zawsze wiedział, jak uspokoić Patrycję. Wcale jej się to nie podobało. Uważała, że to rola Eugene'a.

Ale ojca nie było i im częściej John go zastępował, tym chętniej Patrycja szukała u niego porady.

Pam nie wiedziała, co robić. Za każdym razem, kiedy rozmawiała z ojcem, błagała go, by

wrócił do domu, ale on zawsze znajdował jakąś wymówkę. Potem nadchodziły wakacje i Pam wyjeżdżała do Timiny Cove. Patrycja dołączała do nich na kilka dni, zjawiając się wraz z Johnem, bowiem Eugene domagał się jego obecności. Kiedy jednak John wyruszał z powrotem do Bostonu, to samo robiła Patrycja.

Patrząc za odjeżdżającą matką, Pam czuła, że traci coś ważnego. Nie były już z matką tak zżyte jak niegdyś. Rzadko rozmawiały, nie śmiały się razem, nie marzyły, nie spędzały ze sobą tyle czasu. Patrycja wydawała się córce niedostępna i odległa, nawet wtedy, gdy znajdowały się w jednym pokoju. Teraz zrozumiała, że ich związek uległ nieodwracalnej zmianie.

Nie mogąc obwiniać za to Eugene'a, którego uwielbiała, ani zagubionej, nieszczęśliwej Patrycji, Pam całą winą obarczyła Johna.

Rozdział czwarty

John nie był pewien, kiedy strach przed ojcem zamienił się w pogardę. Dochodziło do tego stopniowo i niezauważalnie, poczynając od lat młodzieńczych, kiedy stworzył sobie grono starannie dobranych przyjaciół, poprzez okres dorastania, gdy dorównał wzrostem ojcu i stał się przez to śmielszy, aż do rozvodu rodziców, po którym nastąpiła nagła śmierć matki.

Wyzbycie się strachu powitał z niezmierną ulgą. Doskonale pamiętał to paraliżujące uczucie, które ogarniało go kiedyś na sam dźwięk podniesionego głosu ojca. A Eugene zwykł przy każdej okazji i nie przebierając w słowach wyrzucać mu, że go zawiódł, obojętne, czy chodziło o zachowanie chłopca, czy o sprawy firmy.

- Co to znaczy, że nie chcesz pracować w kopalni? - Nie tylko ton głosu ojca sprawiał, że się cały trząsł, równie mocno przerażało go zagniewane spojrzenie i pochylone nad nim zaczerwienione policzki, z każdą chwilą nabierające intensywniejszej barwy. - Masz przed sobą całe lato i nic do roboty. Do diabła, kiedy byłem w twoim wieku, już od trzech lat pracowałem na farmie u Grady'ego i przerzucałem nawóz!

John, cały skulony, oparł się o wyłożoną boazerią ścianę w swojej sypialni, ale twarda, lakierowana sosna nie dodawała mu żadnej otuchy.

- Dlaczego w ogóle muszę pracować? - zapytał cienkim głosikiem ośmiolatka.

- Żeby się uczyć. Zresztą nie będziesz wykonywał jakiegś katorżniczej pracy. Pomożesz przy donoszeniu wody i poprawianiu rynien. Dobry Boże, przecież nie jestem dozorcą niewolników!

Słowa ojca wcale go nie pocieszyły, bo John nie wiedział, co to takiego niewolnik. Wystarczyło, że usłyszał słowo „praca”. Ale najgorsza była nazwa Timiny Cove. Kojarzyła mu się zawsze z pierwszymi wspomnieniami z tego miejsca, kiedy zgubił się w lesie i przeżył godziny prawdziwej grozy. Każde przybycie w te strony tylko utrwalало w pamięci ten koszmar. Poza tym Timiny Cove było pełne ludzi, którzy go nie rozumieli, ubierali się inaczej niż on i nie lubili tego wszystkiego, co on właśnie uwielbiał i cenił w swoim życiu.

- Chcę zostać tutaj - upierał się, a jego słaby głosik prawie ginął wobec huczącego barytonu ojca.

- I co będziesz robił?

- Będę się bawił z Timmym i Doughiem.

- Możesz się z nimi bawić, bo to twoi kuzyni. Ale oni nie nauczą cię prowadzenia firmy.

Z całym szacunkiem dla rodziny twojej matki, Wrightowie mieli pieniądze już w czasach, gdy pierwsi osadnicy wylądowali na naszej ziemi. Oni nie pracują. Za to my, St.George'owie, tak, i jestem z tego dumny! - Zaraz potem wymruczał pod nosem: - A więc chcesz się bawić z Timmym i Doughiem... - Po chwili ryknął tak, że John aż podskoczył: - Na Boga, już wystarczająco długo próżnujesz! Twoja matka otacza cię bez przerwy całą gromadą kuzynów o tych śmiesznych imionach. No i dobrze! W Timiny Cove chłopcy także mają śmieszne imiona, ale mogą cię nauczyć o wiele więcej pożytecznych rzeczy niż którykolwiek Saltonstall. A więc tego lata będziesz się bawił z Duffymi, Greenleafami i Pelltiersami, to postanowione.

Tak więc John, nie mając innego wyjścia, spędzał wakacje pracując dla ojca. Zżymał się w duchu, ale nie mógł nic na to poradzić. Nie znosił brudu, smrodu i tych wszystkich okropnych ludzi pracujących w kopalni. A przede wszystkim miał dosyć kontaktów z ojcem. Choć bardzo się starał, Eugene stale na niego krzyczał i nic nie było w stanie go zadowolić. Kiedy chłopiec przynosił narzędzia, okazywało się, że chodziło o inne; gdy kazano mu iść po apteczkę, robił to zbyt wolno, a gdy niósł wodę, zbyt dużo wylewał po drodze. John zdawał sobie sprawę, że ojciec krzyczy też na innych, ale wobec nikogo nie był aż tak wymagający i oschły.

Jednakże czegoś się nauczył. Podczas tego lata i kilku następnych dowiedział się, na czym polega praca w kopalni, kiedy używa się młotka, a kiedy dłuta, jak podłożyć ładunek wybuchowy pod skałkę i w jaki sposób obrabiać kamienie. Utwierdził się też w przekonaniu, że nie chce spędzić reszty życia na pracy w rodzinnym interesie, jeśli miałyby to oznaczać obcowanie z robotnikami w kopalni, a co ważniejsze, przebywanie z ojcem.

Eugene właściwie nie różnił się niczym od górników, na dobrą sprawę był jednym z nich.

Nie miało znaczenia, że nazywali go szefem, że posiadał największy dom w miasteczku i jeszcze większy w Bostonie. Lubił napić się z górnikami, słuchać ich dowcipów, a w sobotnie poranki siadywać z nimi na popękanych od starości ławkach na miejskich plantach. Pasował do Timiny Cove.

John wprost przeciwnie. Urodził się w Bostonie i nie wyobrażał sobie innego życia. Wczesne lata dzieciństwa spędził z rodzicami w czystym, małym domku w Brooklinie, potem kupili dom i przenieśli się do Beacon Hill. John uwielbiał miasto. Uważał, że emanuje dostojnością oraz wyrafinowanym smakiem i jest cywilizowane w sposób, w jaki Timiny Cove nigdy nie będzie. Oczywiście patrzył na to oczami jednego z Wrightów, a więc osoby o określonych poglądach i ustalonej pozycji.

Nie można było tego powiedzieć o Eugenie St.George'u. Być może zyskał nieco prestiżu poprzez małżeństwo z matką Johna, ale kiedy pojawiali się w towarzystwie, nawet John widział, że to Sybil darzono wszelkimi względami i szacunkiem. I nie chodziło bynajmniej o to, że Eugene nie był tego godzien. Wyglądał i zachowywał się jak należy, bez zarzutu prowadził rozmowy. John zastanawiał się często, jak on to robi, człowiek znikąd, bez ogłady i rodzinnych tradycji, aż pewnego dnia natknął się w bibliotece ojca na podręcznik etykiety. Tak czy inaczej Eugene nie przyniósł im nigdy wstydu. Jednak z drugiej strony nikogo z bostońskiej elity towarzyskiej nie był w stanie zafascynować ani wprawić w zachwyt.

Już od wczesnych lat John boleśnie odczuwał fakt noszenia nazwiska St.George. Bywając w domach kolegów nieraz słyszał na poły pogardliwe, na poły lekceważące powitanie: „To chłopak od St.George'ów”. Z upokorzenia zasychało mu w gardle, ale nie dawał tego po sobie poznać i tylko dumnie podnosił głowę. Już wtedy wiedział, że czeka go ciężka droga pod górę.

Nie rozumiał, w jaki sposób rodzina matki, tak wysoko postawiona, zgodziła się na to małżeństwo. Eugene i Sybil wywodzili się z dwóch różnych światów. Sybil była prawdziwą damą, a Eugene'owi, choć starał się zachowywać jak dżentelmen, zawsze czegoś brakowało.

- On stoi obydwoma nogami na ziemi - powiedziała kiedyś matka - i to jest w mężczyźnie ekscytujące.

Ale John tego nie pojmował. Nie widział nic atrakcyjnego w kurzu i pocie. Wrightowie nie mieli z tym nigdy do czynienia, a i tak wiedli wystarczająco barwne życie, przemierzając się między Bostonem a Cape Cod. Z czasem matka Johna zaczęła to dostrzegać i coraz częściej kłóciła się z mężem. Powodem awantur było zwłaszcza kupno domu i wstąpienie do klubu. Eugene nie chciał ani jednego, ani drugiego. Twierdził, że wystarczy im Boston i Timiny Cove, a

jeśli Sybil chce wakacji w Cape, może zamieszkać u swoich rodziców.

Uczyliła to, podczas gdy John harował w Maine. Rodzice Johna rozeszli się, zanim urósł i zrozumiał, co matka miała na myśli mówiąc, że Eugene mocno stoi na ziemi.

Prędzej czy później musiało do tego dojść, jednak sposób, w jaki się to odbyło, nie był odpowiedni. John miał dopiero piętnaście lat, ale nawet on dostrzegał tę niestosowność. Zaczęło się od tego, że pewnego dnia Eugene po prostu oświadczył, że przenosi się na stałe do Maine. Sybil, jak na posłuszną żonę przystało, miała mu towarzyszyć, i Eugene zapowiedział, że w przeciwnym razie występuje o rozwód; zgodził się pokryć wszystkie związane z tym koszty. Tak więc decyzję pozornie pozostawił w jej rękach, ale było oczywiste, że Sybil, niezależnie od chęci, nie może przystać na takie warunki.

John widział, że matka była zdruzgotana. Nie chciała rozwodu. Takie rzeczy się nie zdarzały. Oznaczały porażkę i zmarnowanie najpiękniejszych lat życia.

Wrightowie, którzy nigdy nie przepadali za Eugene'em, byli odmiennego zdania. W ich opinii to małżeństwo było jedną wielką pomyłką, a teraz wreszcie mogli się uwolnić od człowieka, który w przyszłości stwarzałby same kłopoty.

Taką właśnie wersję wydarzeń przedstawiali znajomym, a John nieraz był tego świadkiem. Z wyjątkiem wakacji przebywał przez cały czas z matką i jeszcze bardziej zbliżył się do rodziny Wrightów. Nie czuł się dotknięty, kiedy ludzie w jego obecności obrażali Eugene'a. Ojciec należał do niższej klasy. Sam fakt, że John zdecydował się zostać w Bostonie, dowodził, iż on także, pomijając nazwisko, należał do Wrightów.

Nieustannie to sobie powtarzał, ale wszystkie logiczne i rzeczowe argumenty niweczyło jedno spojrzenie w lustro. Nie mógł zaprzeczyć - był podobny do ojca jak dwie krople wody. W wieku lat szesnastu stał się niczego sobie młodzieńcem. Był wysoki, barczysty, miał wyraziste, czarne oczy, w których w zależności od nastroju zapalały się iskry gniewu lub wesołości. Choć niektórym nie podobał się jego pewny siebie głos i hardy wygląd, był przystojny i wiedział o tym. Wyglądał dokładnie tak jak ojciec w jego wieku, przynajmniej tak twierdzili mieszkańcy Timiny Cove. Różnił się jednak od Eugene'a delikatniejszą cerą oraz ciemniejszymi i lepiej układającymi się włosami, za co nieustannie dziękował Bogu.

No i oczywiście posiadał klasę. Zewnętrzny wygląd sam w sobie nic nie znaczył. Tłumażył sobie, że o wiele ważniejsze są zalety ducha, które odziedziczył po Wrightach. Uważał, że jako szesnastolatek ma więcej klasy, niż kiedykolwiek miał jego ojciec. Mógł robić w życiu, co chciał, i wszystko osiągnąć, bowiem reprezentował pewien poziom i znał odpowiednich ludzi.

Nawet jeśli niektórzy z nich jeszcze go nie docenili, z czasem się to zmieni.

Życie w Bostonie wynagradzało mu wszystkie zmartwienia. Uczęszczał do najlepszych szkół, nosił najdroższe ubrania, grywał w tenisa w miejscowym klubie i do woli bawił się na przyjęciach. Eugene kupił mu samochód, żeby mógł dojeżdżać do Maine, ale John z rozkoszą używał go w zupełnie innych celach. Samochód był nowy i błyszczący, zupełnie nietypowy dla Timiny Cove, i bardzo podobał się dziewczętom. Nawet przez chwilę John nie odczuwał wyrzutów sumienia, że się nim tak afiszuje. Bądź co bądź należał do klasy uprzywilejowanej.

Hulaszcze zabawy stały się lekarstwem na uczucie upokorzenia, którego doznał na wieść o ponownym ożenku Eugene'a. Ojciec wziął ślub w tydzień po otrzymaniu rozwodu z Sybil. John, tak jak reszta rodziny, był kompletnie zaskoczony. Nie przyszło mu nawet do głowy, że ojciec interesuje się innymi kobietami.

Zanim zdecydował się na jakąkolwiek reakcję, musiał pomóc matce odzyskać równowagę. Była wstrząśnięta, a jednocześnie zła na siebie, że niczego wcześniej nie dostrzegła. Wspominając teraz minione wydarzenia i składając je w całość, doszła do wniosku, że Eugene już od roku musiał romansować z Patrycją. Zraniło ją to bardziej niż sam rozwód. Utraciła coś ważnego, jakąś część siebie. Stała się odtąd zamknięta i apatyczna, nawet przy Johnie.

Chłopak wpadł we wściekłość. Choć już wcześniej uznał, że ojciec nie jest wiele wart, tego się po nim nie spodziewał. Postępowanie Eugene'a dotknęło go osobiście. Ból, który czuła matka, był niczym w porównaniu z ogarniającym go poczuciem wstydu i poniżenia. Tak, to było bardzo niestosowne, wręcz nieprzyzwoite. Plotki roznosiły się szybko. Już w kilka tygodni cały Boston wiedział, że Eugene się ożenił, a nowa żona jest dużo młodsza od niego i spodziewa się dziecka. Tylko John wiedział, na jakie przykrości i ataki ze strony szkolnych kolegów i ich rodzin naraziła go ta sytuacja. Jednak postanowił być arystokratą w każdym calu i chociaż go to wiele kosztowało, przyjmował wszystko z udanym humorem. Nie wiedział, na ile starczy mu tej cierpliwości i czuł się jak uzbrojona, gotowa do wybuchu bomba.

Eugene musiał się tego domyślać, ponieważ nim przedstawił go Patrycji, wziął go na stronę i ostrzegł:

- Nie mów głośno tego, co myślisz, John. Nie mów tego, jeśli wiesz, co dla ciebie dobre. Nie przeszkadza mi, że chcesz być lojalny w stosunku do swojej matki. Byłoby dziwne, gdybyś nie był. Ale nie pozwolę ci denerwować mojej żony. Masz traktować ją z szacunkiem, nawet gdybyś miał się tym udławić.

- Wolałbym - mruknął pod nosem chłopak.

- Co powiedziałeś, synu?

Ton głosu ojca nie wróżył nic dobrego. Powinien był bardziej nad sobą panować, ale zbyt długo tłumił wściekłość.

- Zmajstrowałeś jej dzieciaka i to jeszcze wtedy, gdy byłeś mężem mojej matki. Czy tylko dlatego się z nią ożeniłeś?

Eugene popatrzył na niego roziskrzonym wzrokiem; jego twarz płonęła.

- Ożeniłem się z nią, ponieważ ją kocham. I liczę się ze słowami. Mówisz o mojej żonie, John.

- A co z moją matką? Co się stało z miłością do niej?

- Tak się czasami zdarza. Miłość ginie.

- W takim razie nie jest nic warta. Czy tę kobietę też będziesz kochał, dopóki miłość nie pryśnie, a potem ją porzucisz? Czy będzie tak cierpiała, jak cierpi teraz moja matka? Ona...

- Ona ma imię - wysyczał przez zaciśnięte zęby Eugene. - Patrycja.

- ...ona musi być naprawdę głupia...

- Uważaj, chłopcze!

- Chcesz, żebym ją szanował, chociaż zabiera męża drugiej kobiecie? Jaka kobieta tak postępuje? Moja matka też była twoją żoną. Czy szanowałeś ją, kiedy potajemnie spotykałeś się z Patrycją?

Eugene był człowiekiem porywczym, ale nigdy nie rozładowywał złości agresją. Gdzieś w głębi ducha John o tym wiedział i tym bardziej się nie hamował. Ojciec przycisnął do ud zwinięte w pięści dłonie i ostrzegł podniesionym głosem:

- Stapasz po śliskim gruncie, chłopcze.

- I co takiego możesz mi zrobić, już się ciebie nie boję! Proszę bardzo, krzycz, ile chcesz, przyzwyczałem się. Posłuchaj - dodał w największym wzburzeniu - to, kim jesteś i co zrobiłeś, już mnie nie dotyczy. Jeszcze dwa lata i będę pełnoletni. Wtedy nie będę się musiał stawiać na każde twoje żądanie. Ale już teraz straciłeś nade mną kontrolę.

Jednak John nie doceniał ojca, który tak samo gniewnie i powoli rzucił przez zaciśnięte zęby:

- Nie bądź tego taki pewien. Jestem twoją przyszłością, tak jak i kopalnie St. George.

- Jeśli będę tego chciał.

- Będziesz - ryknął Eugene - bo inaczej, jeśli odwrócisz się do mnie plecami, wydziedziczę cię. A to oznacza koniec pieniędzy, synu. I nie myśl - uniósł ostrzegawczo palec - że Wri-

ghtowie zapewnią ci takie życie, do jakiego jesteś przyzwyczajony. Nie wiesz jeszcze wielu rzeczy o ludziach tego pokroju. Uważasz, że twoi dziadkowie są niewiarygodnie bogaci. Przyjrzyj się im bliżej. Dom w Cape należy do rodziny od trzech pokoleń i jest zrujnowany. Członkostwo w klubie zostało wykupione przez jednego z pierwszych Wrightów, który należał do jego założycieli. Czy zauważyłeś, żeby twoja ciotka i wuj szastali pieniędzmi, kupowali sobie modne ubrania albo jeździli na weekend do Nowego Jorku? Twoi kuzyni nie dostają samochodów w prezencie na szesnaste urodziny. Prawda jest taka, synu, że tacy ludzie posiadają tytuły, rodzinne tradycje i nieco pieniędzy, ale nie mają zamiaru się nimi dzielić. Więc jeśli liczysz, że ci pomogą, kiedy będziesz bujał z głową w obłokach, to jesteś w dużym błędzie. - Widząc, że zyskał nad synem przewagę, Eugene nabrał powietrza. - Potrzebujesz moich pieniędzy, John. Pomyśl trochę, a przyznasz mi rację.

John pragnął zaprzeczyć, ale nie starczyło mu na to odwagi. Nie był pewien, czy ma wierzyć, że majątek

Wrightów to wyschnięta studnia, ale wiedział, że za firmą ojca stoją olbrzymie pieniądze. Nie chciał ryzykować wydziedziczenia.

Tak więc poznał w końcu Patrycję i postarał się traktować ją w grzeczny sposób. Plotki nie do końca przygotowały go na spotkanie z rzeczywistością. Była żoną ojca - świadczyła o tym złota obrączka na jej palcu. Była też w ciąży - widział zaokrąglony brzuch. Ale wyobrażał sobie, że pochodząca z nizin społecznych złodziejka cudzych mężów musi wyglądać bardziej ordynarnie i pospolicie. Patrycja była piękna i delikatna.

Była również bardzo, bardzo młoda. O tym także wiedział z plotek, ale nie zdawał sobie sprawy, że będzie prawie w jego wieku. Okazało się, że ma dwadzieścia lat. Eugene miał czterdzieści osiem i to było najbardziej nieprzyzwoite w tym wszystkim.

John nie mógł się doczekać powrotu do Bostonu. Bynajmniej nie chodziło mu o to, żeby jak najszybciej podzielić się wrażeniami z matką. Był tak zde gustowany i przybity, że nie miał ochoty niczego wspominać. Pragnął tylko wrócić do swego codziennego życia w mieście i oderwać się od myśli o ojcu i jego młodej, ciężarnej żonie.

Wszystko zdawało się powoli układać, kiedy Sybil niespodziewanie się rozchorowała. Lekarze stwierdzili, że to rak. Prognozy były niejasne. Przeszła jedną operację, potem następną. Choć Wrightowie nieustannie zjawiali się z wizytami, Sybil chciała przebywać tylko w towarzystwie Johna.

- Jesteś tak bardzo podobny do ojca - mówiła ze słabym uśmiechem, na wpół ote piała,

zapadając w narkotyczny sen. John wpadał w szal na takie porównania, ale znosił je, widząc, że matce przynosi to ulgę. Apatia, w jaką popadła po ślubie Eugene'a, spotęgowała się i przerodziła w głęboką depresję i całkowitą niechęć do życia. Zarówno lekarze, jak i Wrightowie błagali, by walczyła, ale ona nie mogła się już na to zdobyć.

Sybil umarła w siedem miesięcy od wykrycia raka. Siedemnastoletni John po raz pierwszy stanął w obliczu śmierci, pogrążony w cierpieniu i bólu. Trawił go żal za matką i żal nad samym sobą. Jednak duma nie pozwoliła mu pokazać swoich uczuć innym, aby nie pomyśleli, że jest słaby. A więc ukrył emocje głęboko na dnie duszy i zajął się organizowaniem życia na nowo. Jego sytuacja nie przedstawiała się dobrze. Wrightowie ani słowem nie wspomnieli, że chcieliby zabrać go do siebie. John zaczął gardzić tymi ludźmi, kiedy stwierdził, że choć nie szanowali Eugene'a St. George'a, bali się go i woleli nie wchodzić mu w drogę. To oznaczało, że pozostawili losy chłopca w jego rękach.

John stracił wszelkie złudzenia. Nie wystarczyło, że był synem Sybil, aby mógł należeć do elitarnego klanu Wrightów. Bez skrupułów go odepchnęli. Okazało się, że wtedy w Maine ojciec miał rację. W trudnych chwilach John nie mógł liczyć na żadną pomoc z ich strony, zwłaszcza po śmierci matki.

W kilka tygodni potem Eugene przeniósł Patrycję i nowo narodzone dziecko do domu w Beacon Hill. Gdyby John potrafił myśleć rozsądnie, powinien być ojcu wdzięczny, że pozwolił mu kontynuować naukę w dobrych szkołach i nie zaciągnął go do pracy w Maine. Ale John nie był w stanie żywić wobec niego żadnych pozytywnych uczuć. Postępowanie ojca odebrał jak osobistą zniewagę i obrazę pamięci matki. Przyjazd całej trójki był dla niego niczym napaść wroga na rodzinne terytorium. Bo Eugene i Patrycja stali się po śmierci Sybil jego największymi wrogami. To oni byli winni tej tragedii. Winne było także dziecko. Mimo zaprzeczeń Eugene'a, John był pewien, że to właśnie z jego powodu ojciec ponownie się ożenił.

Marzył o tym, żeby się spakować i natychmiast odejść, ale nie stać go było na takie gesty. To ojciec miał pieniądze i dyktował warunki. Chociaż John dostawał od niego tygodniową pensję, nie starczyłaby mu na długo. Cóż z tego, że wkrótce stanie się pełnoletni. Eugene wyjawiał mu ostatnio swoją wolę. Zamierzał poczekać, aż syn skończy dwadzieścia pięć lat, aby przekazać mu „okrągłą sumkę”, jeśli John nie zechce dołączyć do rodzinnego biznesu. W razie gdyby jednak planował pracować w firmie ojca, to aż do czasu skończenia college'u miał otrzymywać tygodniówkę, a potem stałą pensję. I to nie było jakąś. Eugene uważał, że John do prawdy nie będzie miał na co narzekać, jeśli zdecyduje się zostać w firmie.

Pomimo to chłopak miał ochotę walić głową o mur w poczuciu własnej bezsilności i niemocy. Ojciec miał go w garści, przynajmniej na razie, za co przeklinał go w myślach nieustannie. Przecież miał bogatych przyjaciół, którym pragnął imponować. Życie u boku Eugene'a na pewno mu w tym nie pomagało; w oczach tych, którzy się liczyli, ojciec był i zawsze pozostanie górnikiem z Maine. John wiedział, że będzie musiał wytężyć wszystkie siły, aby i do niego nie przyłgnęła podobna etykieta. Zbuduje swój przyszły wizerunek człowieka pewnego siebie, bogatego i należącego do światowej elity.

Do tego potrzebował pieniędzy. Na razie był jedynie biedakiem, pozbawionym własnego źródła dochodów. Pozostawał na utrzymaniu ojca i nie mógł sobie pozwolić na żaden sprzeciw czy cież nieposłuszeństwa. Nie znosił tej roli z całego serca i każdy nowy dzień był dla niego koszmarem. Frustrację pogłębiały również spotkania z Patrycją. Choć spędzał poza domem jak najwięcej czasu, nie był w stanie jej unikać. Nienawidził macochy jeszcze bardziej niż Eugene'a i dziecka, które na razie tylko spało i jadło. Brzydził się nią, bo uwiodła Eugene'a i bez skrpułów wtargnęła w ich życie - bez grosza przy duszy i w dodatku w ciąży. Denerwujące było też to, że traktowała go zaskakująco miło. W największą irytację wprawiał go jednak fakt, że była taka młoda i ładna.

Początkowo John zmuszał się do tego, aby ich stosunki układały się poprawnie. Odnosił się do Patrycji z udawanym szacunkiem i uprzejmością. Z czasem przyzwyczał się i uznał, że lepiej będzie ukryć prawdziwe emocje i po cichu walczyć o swoje. Któregoś dnia mu się powiedzie. Nie zamierzał do końca życia stać w cieniu Eugene'a, tak samo jak nie planował rozstania z jego firmą, pocieszając się „okrągłą sumką” na koncie. Uważał, że należy mu się o wiele więcej i nie da za wygraną, dopóki nie dopnie swego.

Najpierw jednak musiał skończyć szkołę, co mu się udało i to z wyróżnieniem. Eugene przyjął ten fakt bez większego entuzjazmu, tak samo jak przyjęcie syna do Wharton School na uniwersytecie Pensylwanii. Dla Eugene'a była dobra każda szkoła, która przygotowywała syna do zawodu, bo przecież i tak czekała go posada w jego firmie.

John miał inną wizję przyszłości, więc aby dostać się do najlepszego college'u, ślecał nad książkami dniem i nocą. Przed kolegami udawał zresztą, że wszystko przychodzi mu z łatwością. Wyróżnienia i medale, jakie otrzymał na zakończenie szkoły, oraz możliwość wstąpienia na uniwersytet dodawały splendoru jego nazwisku. Dopełniały obrazu wykształconego arystokraty, którym chciał być. Szkoła Whartona należała do najbardziej prestiżowych. Można tam było zawrzeć wiele korzystnych znajomości i, co równie ważne, znajdowała się daleko od

Bostonu.

Pomijając wakacje, które spędzał w mieście lub w Timiny Cove, przez cztery lata studiów rzadko bywał w domu. Odpowiadał mu ten układ. Nie zależało mu na kontaktach z Eugene'em i Patrycją, a tym bardziej z ich dzieckiem. Doprowadzało go do szewskiej pasji, kiedy widział, jak wszyscy się nad nim roztkliwiają. Choć bywały też ciekawsze momenty. Eugene lubił podrzucać dziewczynkę wysoko w górę, na co Patrycja nie mogła patrzeć i zaczynała się sprzeczką. Ojciec z kolei nie znosił, kiedy Patrycja godzinami stroiła małą jak lalkę. Awantury wybuchały przy lada okazji, ponieważ każde z nich miało odmienne poglądy na to, co jest dobre dla dziecka. John może i żałowałby dziewczynki, gdyby nie była tak irytująco zaradna. Od najmłodszych lat bezbłędnie wyczuwała, czego potrzebuje każde z rodziców, i starała się zaspokoić ich wszystkie życzenia, zaskarbiając sobie miłość i względy. Umiała wszystkich rozśmieszyć, czego John, przynajmniej jeśli chodziło o Eugene'a, nigdy nie potrafił.

John nie chciał być zazdrosny. Tłumaczył sobie, że przecież nie można być zazdrosnym o dziecko. Miał swoje własne życie i własną przyszłość. Mógł im pozwolić na te drobne radości, bo wiedział, że i tak nadejdzie jego czas.

Kiedy skończył college, rozpoczął pracę w bostońskim oddziale firmy Eugene'a. Ze swoim wykształceniem mógł pracować w każdym innym miejscu, ale nie otrzymał żadnych korzystnych propozycji. Ani koledzy ze studiów, ani znajomi z Bostonu, sami zresztą zajęci wyszukiwaniem lukratywnych posad, nie zaproponowali mu niczego, co byłoby lepsze od oferty ojca. Oczywiście mógł od podstaw zaczynać karierę w jakiejś dużej firmie, mozolnie wspinając się po drabinie sukcesu, ale w Bostonie czekało na niego stanowisko zastępcy dyrektora.

Jak zawsze Johnowi zależało najbardziej na tym, by się pokazać. Zarówno imponujące biuro, jak i sam tytuł stanowiły wartość samą w sobie. Pomagały w tworzeniu jego wizerunku, tak jak obiady w Locke Ober, tenis w Cricket Club i weekendy spędzane w Newport.

Poza tym tak się złożyło, że John znał się lepiej na prowadzeniu St. George Mining niż na czymkolwiek innym. I po raz pierwszy w życiu mógł mieć nad kimś władzę. Może nie była ogromna, ale wykorzystywał ją maksymalnie i robił to dobrze. Pracownicy nadszkwili mu i, jak mogli, starali się przypodobać.

Następne kilka lat John spędził na ustalaniu swojej pozycji. Chociaż z nikim się nie przyjaźnił, miał wielu znajomych. Był przystojny, zamożny, posiadał wysokie stanowisko i wystarczająco dużo wdzięku, by oczarować każdą kobietę. Korzystał z tego i stale powiększał krąg wielbicieli.

Większość kobiet, z którymi się spotykał, dopiero zaczynała pokazywać się w towarzystwie. Były młode i niedoświadczone. W żadnej nie kochał się na zabój, ale przecież miłość nie stanowiła dla niego największej wartości. Nie szukał jej i nie potrzebował. Zależało mu tylko na tym, by widywano go w odpowiednich miejscach, u boku równie odpowiednich osób.

Jednak kiedy zaczął zbliżać się do trzydziestki, zapragnął czegoś więcej. Owszem, jego kobiety były piękne, czasami inteligentne. Ale nie były podniecające, wyuzdane i niezależne. John złapał się na tym, że właśnie o tym marzy.

Taką kobietą była Hillary Cox. John nie znosił tej myśli, bo przecież Hillary pochodziła z Timiny Cove, a on nie chciał mieć z tym miastem nic wspólnego. Jednak Hillary była w łóżku niezrównana.

Po raz pierwszy spotkał ją podczas wakacji, po skończeniu pierwszego roku college'u, kiedy miała zaledwie piętnaście lat, a on dwadzieścia jeden. Zdawała się chodzić za nim wszędzie - siedziała przed pocztą, kiedy on właśnie wychodził, stała przed sklepem, w którym kupował papierosy. Zawsze była sama i podczas gdy inne dziewczęta z miasteczka obserwowały go z ukrycia, ona nigdy nie bała się wyjść mu naprzeciw. Pod innymi względami także różniła się od reszty. Nosila lepsze ubrania, może nie najmodniejsze, ale interesujące. Miała ciemniejsze włosy, jaśniejszą cerę, cygańską urodę i sprawiała wrażenie inteligentnej.

Nie mając lepszych rozrywek w czasie pobytu w Timiny Cove, John postanowił ją poznać. Nie wstydziła się. Zaraz po tym, jak się jej przedstawił - była to czysta formalność, bo przecież wszyscy w mieście wiedzieli, kim jest, ale John zachowywał się jak należy nawet w takich zapadłych dziurach jak Timiny Cove - zasypała go pytaniami. Chciała się dowiedzieć, jak wygląda życie w mieście. Wydawało jej się ciekawe i ogromnie ekscytujące.

Ponieważ była inna niż wszyscy i dobrze mu się z nią rozmawiało, spotykał się z nią coraz częściej. Pozostali ludzie w miasteczku sprawiali, że czuł się obco i niepewnie. Ona na nowo pozwalała mu być światowcem i kimś naprawdę ważnym. Stanowiła podporę dla jego ego. W dodatku nie przejmowała się, że ludzie wciąż widzą ich razem, nie obchodziły jej plotki. Wyglądało na to, że najbardziej interesuje się życiem, które on prowadzi.

Opowiadał jej różne anegdoty i ciekawostki. Niektórych z braku czasu nie kończył i bawiło go, kiedy łapała go później i domagała się reszty, z oczami zaokrąglonymi z ciekawości. Pewnego razu oznajmiła, że przeprowadza się do Bostonu, a może nawet do Nowego Jorku. Chciała wstąpić do college'u, bowiem planowała zostać pisarką. Sławną pisarką.

John podśmiewał się z jej planów. Bardzo wątpił, żeby ta młoda dziewczyna z Timiny

Cove kiedykolwiek spełniła swe wygórowane marzenia, ale ogień w jej oczach intrygował go. Kiedy przyjęto ją do Radcliffe, był pod wrażeniem. Taka determinacja pomaga w osiągnięciu sukcesu.

John postanowił poznać Hillary bliżej. Pewnego wieczoru zabrał ją na przejażdżkę na wzgórze za miastem. Tam się zatrzymał i zaczął ją całować. Była gorąca, odpowiadała mu z niewinną porywcznością, której nie potrafił się oprzeć. Zabrał jej dziewictwo na tylnym siedzeniu swojego Oldsa. Potem kochał się z nią jeszcze dwa razy i wreszcie, z ociąganiem, zawiózł do domu. Był oszołomiony, bo Hillary za każdym razem zachowywała się coraz śmieiej. John odkrył w niej tę dzikość, zanim jeszcze zdążył ją dostrzec u siebie. Miłość z tą dziewczyną dała mu wiele rozkoszy.

Nie widywał jej często, nawet kiedy w następnym roku przeprowadziła się do Bostonu. W jego życiu nie było miejsca na stały związek, a poza tym pozycja nie pozwalała na pokazywanie się z dziewczyną z Timiny Cove. Jednak od czasu do czasu potrzebował tej gwałtownej, szalonej miłości, którą mu dawała. Pozwalała rozładować jego rozbudzone, nieokiełznane seksualne żądze.

Tak się złożyło, że była też jedyną osobą, z którą mógł swobodnie porozmawiać. Nie starał się zresztą być zbyt rozmowny, zazwyczaj pograżał się we własnych myślach. Gdyby Hillary należała do towarzystwa, prawdopodobnie bardziej by się pilnował. Ale ona była z Timiny Cove. Znała całą jego rodzinę i bez względu na to, co by o nich powiedział, Hillary i tak nie zmieniłaby zdania na jego temat.

Tak więc po wielekroć użalał się przed nią na ojca. Eugene pozwolił mu samodzielnie prowadzić biurowe sprawy firmy i rzadko przebywali razem, ale nawet te krótkie chwile wydawały się Johnowi nie do zniesienia.

Szybko się uczył prowadzenia interesu. Było to przedsięwzięcie pewne i stabilne, ale jak na aspiracje Johna stanowczo zbyt skromne. Młody St.George widział w rodzinnym biznesie ogromny, nie wykorzystany potencjał. Jednak Eugene'a nie interesowały jego pomysły. Całkowicie odpowiadał mu stan obecny i nie miał zamiaru niepotrzebnie ryzykować. John bezustannie przekonywał go, że rozwój firmy przyniesie większe zyski, ale Eugene jakby tego nie słyszał. Zresztą nie to mu było w głowie. Był teraz zbyt pochłonięty życiem rodzinnym, a każdą wolną chwilę spędzał na zabawach i rozmowach z Pam. John bez skrupowania wyrażał przy Hillary swoją opinię o przyrodniej siostrze.

- To mała, podstępna dziwka.

- John, przestań. Ona ma dopiero dwanaście lat.

- Akurat, jest zepsuta do szpiku kości, czemu zresztą nie można się dziwić. Sądząc po całym zamieszaniu wokół jej małej osoby, mogłoby się wydawać, że jest kimś wyjątkowym. Ja tego nie widzę. Nie jest ani nadzwyczaj mądra, ani piękna.

- Ale jest milutka.

- Często się śmieje. To wszystko.

- Nie do ciebie. Przy tobie jest bardzo ostrożna.

- Wie, że nie jestem głupcem. Nie owinie mnie dookoła palca jak innych.

- Myślę, że jesteś zazdrosny.

- O co?

- O ich wzajemne stosunki.

Ale John w to nie wierzył. Bliższy kontakt z ojcem nie był mu potrzebny.

- Pudło, Hillary. Spróbuj jeszcze raz.

- Uważam to za miłe, że Pam i Eugene są ze sobą tak blisko. Chciałabym to powiedzieć o swoim ojcu.

- Nie byłabyś wtedy nawet w połowie tak niezależna jak teraz. To właśnie w tobie lubię. Nikt za ciebie nie myśli i nie decyduje. Masz własne życie i innym pozwalasz na to samo.

- Czy twoim zdaniem jest to przyczynkiem do mojego szczęścia?

- Oczywiście. Popatrz na Patrycję. Jest twoim przeciwieństwem, i jak cierpi.

- Myślisz, że jest zazdrosna o miłość Eugene'a do Pam?

- Chyba nie. Raczej sprawia jej to ulgę. Zdejmuje z niej ciężar codziennych obowiązków. Jej umysł zajęty jest teraz wieloma innymi sprawami.

To była zupełnie odrębna historia i John nie chciał jej opowiadać. Na swój sposób Patrycja przeszkadzała mu bardziej niż Eugene i Pam. Od samego początku ich znajomość układała się co najmniej dziwnie. Zbliżony wiek, uprzedzenie Johna do macochy i w rezultacie również jej niechęć do pasierba, wszystko to wprowadzało dodatkowe napięcia. Przez lata krążyli ostrożnie wokół siebie.

Potem John rozpoczął pracę u ojca i nagle Patrycja znalazła przyjaciela. Od początku interesowała się prowadzeniem firmy. Chciała wiedzieć, co się w niej dzieje, czym zajmuje się jej mąż i jak przedstawiają się dochody. Eugene nie znosił tych pytań. Często wyjeżdżał do Timiny Cove, a jeśli nawet był w Bostonie, coraz bardziej irytowały go rozmowy na ten temat.

John rozumiał powód, dla którego zwróciła się do niego. On wiedział doskonale, co się

dzieje w firmie, i mógł jej dostarczyć wszystkich potrzebnych informacji, a poza tym był stale pod ręką. Tak więc dzielił się z Patrycją swoją wiedzą, a im częściej to robił, tym więcej pytań mu zadawała. Z czasem stwierdził, że stał się dla niej niezastąpiony. Macocha każdego dnia czekała z niecierpliwością na jego powrót do domu, coraz częściej przygnębiona czymś, co właśnie zrobił lub powiedział Eugene, spragniona pocieszenia i podniesienia na duchu. Zapewniał jej to, nawet jeśli przy okazji nastawiał ją przeciwko Eugene'owi.

Patrycja zadziwiająco często przyznawała mu rację, zwłaszcza w kwestii ekspansji firmy. Ona także chciała, by Eugene na szeroką skalę rozwinął rodzinny biznes, ale mąż nie słuchał żadnego z nich. Sfrustrowana i wciąż niezadowolona, kłóciła się z mężem, co prowadziło do tego, że Eugene uciekał do Maine, a ona, jeszcze bardziej nieszczęśliwa, zostawała sama.

Na miejscu był za to John.

Doszło do tego zupełnie spontanicznie, w pewien deszczowy piątkowy wieczór, krótko po rodzinnej sprzeczce. Eugene spakował Pam i wyjechał z nią na weekend do Maine, pozostawiając Patrycję samą w domu. Kiedy John wrócił z firmy, zastał ją pogrążoną w rozpacz. Ponieważ był dżentelmenem, pozwolił, by płacząc oparła się na jego ramieniu. Objął ją w pasie i zaczął machinalnie gładzić po plecach. Wtedy poczuł, że coś się stało. Ruchy jego rąk przestały być tak niewinne i przyłapał się na tym, że z rosnącym pożądaniem dotyka jej ciała, które było delikatne i piękne. Musnął usta Patrycji, potem jeszcze raz. Nie potrafił już myśleć racjonalnie, nie kontrolował się. Zareagował jak każdy normalny, dwudziestoosmioletni mężczyzna.

Choć orgazm, który przeżył tej nocy, nie był tak upojny i gwałtowny jak zazwyczaj, jednak posiadał w sobie coś niepowtarzalnego. Zaspokoił czarną stronę jego duszy, wzbudził perwersyjną radość. Właśnie przyprawił rogi własnemu ojcu.

Rozdział piąty

Mamo? - wołała Pam już od progu. - Mamo? - Zanim drzwi zdążyły się za nią zamknąć, upuściła torbę na podłogę i rzuciła się w stronę dużego pokoju, ale nie zastała w nim Patrycji. Nie było jej też w buduarze ani w bibliotece. - Mamo? - Wetknęła głowę do kuchni. - Hettie, mamy nie ma w domu?

Hettie, olbrzymia i bardzo ciemna Jamajka, była wspaniale gotującą kucharką.

- Ależ tak, panienko Pamelo. Jest na górze. Ucięła sobie drzemkę. - Podsunęła talerz w stronę dziewczyny. - Racuszki. Zrobiłam specjalnie dla panienki.

Pam uśmiechnęła się do kucharki, pospiesznie chwyciła placek z talerza i wyszła wychając go do ust. Przebiegła korytarz i była w połowie schodów, kiedy na górze pojawił się John i zagroził jej drogę. Był ostatnią osobą, którą chciała teraz widzieć.

- Co ty tutaj robisz? - zapytała.

- Mieszkam tu.

- Powinieneś być w pracy. - Przesunęła się na bok, by go ominąć, ale on oparł rękę o ścianę.

- Musiałem się przebrać. W Parker House wydają cocktail party.

Pam przesunęła się na drugą stronę, ale on chwycił za mahoniową balustradę.

- Odsuń się, John. Muszę iść na górę.

- Skąd ten pośpiech?

- Muszę zobaczyć się z matką.

- Ona teraz odpoczywa.

Pam spróbowała przemknąć mu pod ramieniem, ale była już na to zbyt duża. W ciągu kilku ostatnich miesięcy znacznie urosła, co może by jej przeszkadzało, gdyby nie Eugene. Był dumny z jej wzrostu i twierdził, że odziedziczyła go po nim. Więc doszła do prostego wniosku, że lepiej być wysoką i szczupłą niż jakąś małą pokraką.

Jednak mimo swego wzrostu nie mogła jeszcze spojrzeć bratu prosto w oczy. Nie dorównywała mu też siłą fizyczną. Czowała się niepewnie. W dodatku John nie wyglądał tak porządnie jak zawsze. Chociaż miał na sobie ubranie, które nosił do pracy, koszula była rozpięta, a spod niej widać było gołe piersi. Zmierzwiłone włosy opadały mu na czoło.

- Muszę z nią porozmawiać. Proszę cię, John, przepuść mnie.

- A o czym chcesz z nią rozmawiać?

- Nie twój interes.

- O co chodzi, Pam?

Nie zamierzała dzielić się z nim tą informacją.

- To nic ważnego.

- Zanadto się spieszysz, żeby to nie było coś ważnego. Nie mogłaś przynajmniej zdjąć płaszcza?

Ostatnią rzeczą, o której teraz myślała, był płaszcz.

- Przepuść mnie, John! - Odwróciła twarz w górę schodów. - Mamo? Mamo!

- Powiedziałem ci, że odpoczywa.

- Tylko ją o coś zapytam. - Wzięła głęboki oddech i jeszcze raz krzyknęła głośno: - Mamo!

- Zamknij się i zostaw ją w spokoju. - John chwycił ją potężną dłonią za ramię i zaczął sprowadzać w dół schodów.

- Puść mnie. - Opierała się i wrywała. Po chwili, kiedy ją wreszcie uwolnił, popatrzyła na niego z wściekłością. - Jakim prawem tak mnie szarpiesz? Co ty sobie wyobrażasz, że kim jesteś? Na pewno nie moim ojcem ani strażnikiem. To moja matka. Mam prawo się z nią zobaczyć, kiedy chcę!

- Nie, jeśli ma coś innego na głowie.

- Zawsze ma coś innego na głowie, bo ty przychodzisz do domu i zajmujesz ją gadaniem o pracy. No więc, moja sprawa jest ważna. Muszę o tym natychmiast porozmawiać. Nie mogę z tym czekać.

- Będziesz musiała, księżniczko, ponieważ nie pójdziesz na górę, zanim...

- John? - zawołała Patrycja ze szczytu schodów. Miała na sobie jedwabny szlafrok i palcami rozczesywała włosy. - W porządku, John. O co chodzi, Pamelu?

Dziewczyna usłyszała w głosie matki zniecierpliwienie i obarczyła za to winą brata.

- Chciałam cię o coś zapytać, ale on mi nie pozwolił. - Znowu spróbowała się przedrzeć na górę, ale John ciałem zagroził jej drogę. Nie musiał tego robić, bo matka nie spała. Pam zdała sobie sprawę, że Johnowi ta zabawa sprawia przyjemność. Cieszył się, że ją zezłościł. Natychmiast przestała się z nim szamotać i zeszła na dół. - Claflinowie zaproponowali mi wyjazd wraz z nimi na weekend do North Conway. Wyjeżdżają zaraz po obiedzie i wracają w niedzielę wieczorem. Mogę jechać?

- Co to jest North Conway? - zapytała Patrycja.

- Oni tam mają dom. Niecałe pięć minut od gór, jak mówi Laurie.

- Narty - podpowiedział Patrycji John. - Nie możesz jechać - rzucił w stronę Pam. - Nie umiesz jeździć na nartach. Połamałabyś nogi.

Ignorując go, Pam zwróciła się do matki.

- Tam jest szkółka narciarska. Wezmę lekcje. To samo robi Laurie. Proszę cię, mamo. Zawsze chciałam się nauczyć jeździć na nartach.

- To nieprawda - sprzeczał się John. - Ale wszystkie nastolatki marzą, że na stoku natkną się na Jeana Claude'a Killy. Nie łudź się, jego tam nie będzie, księżniczko, natomiast chłopcy wyśmieją cię, kiedy się będziesz przewracała. - Odezwał się dzwonek u drzwi wejściowych. - Powinnaś była nauczyć się jeździć na nartach, jak byłaś mała. - Skrzywił usta, widząc, że Pam odwraca się i biegnie do drzwi. - Na Boga, dziewczyno, mamy odzwiernego.

Nie przejmując się etykietą, Pam sama otworzyła drzwi.

- Hillary - odetchnęła z ulgą. Pomimo przykrych początków znajomości, zostały przyjaciółkami. Wprawdzie Hillary, w przeciwieństwie do innych znajomych Pam, nie miała nic wspólnego ze stylem dzieci kwiatów, a odkąd poszła do college'u, wyszlachetniała i nabrała ogłady. Zdaniem Pam wyglądała prześlicznie. Ciemne oczy, włosy z przedziałkiem na środku, spływające swobodnie na ramiona. Spod płaszcza wyłaniała się króciutka sukienka, taka, jakiej Pam nie mogłaby włożyć. - Tak się cieszę, że jesteś. Umiesz jeździć na nartach?

Hillary popatrzyła na nią ze zdumieniem, potem zerknęła na Johna. Zdziwienie w jej oczach jeszcze się spotęgowało, kiedy zobaczyła, jaki jest rozchełstany.

- Na nartach? - Hillary popatrzyła na Patrycję, stojącą na szczycie schodów, i znów spojrzała na Pam. - Oczywiście. To wspaniała zabawa.

- Kiedy jeździłaś po raz pierwszy?

- Trzy lata temu, na pierwszym roku studiów.

- I złamałaś sobie nogę?

- Naturalnie, że nie.

Pam popatrzyła na Johna z triumfującym uśmiechem. Potem uśmiechnęła się też do matki.

- Widzisz? Nie ma żadnego niebezpieczeństwa. Laurie mówi, że mogę na miejscu wypożyczyć narty. Mam kurtkę, więc pozostaje tylko kupić odpowiednie spodnie, ciepłe skarpety i majtki.

- Ale wyjazd jest już dzisiaj!

- Pozostaje całe popołudnie.

- Nie mogę cię teraz zabrać na zakupy. Muszę się ubierać. O której zaczyna się przyjęcie, John?

- O siedemnastej trzydzieści.

- Ty też się tam wybierasz? - spytała Pam, jak zawsze czując niechęć, kiedy okazywało się, że matka zamierza robić coś wspólnie z Johnem.

- Oczywiście. Wchodzę w skład komitetu. Najpierw odbędzie się koktajl, a potem wszyscy idziemy do teatru. Po sztuce spotkamy się w hotelu na lekkiej przekąsce.

- Mamo, dlaczego nie idziesz z tatą?

- Ponieważ jest w Maine - odpowiedział John.

Pam w dalszym ciągu kierowała pytania do matki.

- Czy on wie o tym przyjęciu?

- Oczywiście - potwierdziła matka. - Ale nie może przyjechać, więc John zgodził się go zastąpić. Naprawdę, Pamelu, to nie jest twoja sprawa.

- Właśnie, że moja. Chcę jechać na narty, a nie mogę sama zrobić zakupów. Pojedźmy do „Filene”, to nie zajmie dużo czasu.

- Nie mogę, Pamelu. Nieoczekiwanie odezwała się Hillary:

- Ja ją zabiorę na zakupy.

Odwracając się do przyjaciółki, Pam stwierdziła, że ta w skupieniu patrzy na Johna. To samo w sobie nie było jeszcze niczym zaskakującym, bo Hillary przeważnie patrzyła na Johna, jednak Pam zdumiał ostry wyraz jej oczu.

- Nie mam dzisiaj żadnych zajęć. Z przyjemnością wezmę Pamelę. Wiem, co to jest jazda na nartach, przyda jej się taka rozrywka.

Pam z wahaniem spojrzała na matkę. Choć bardzo lubiła Hillary, wolała iść na zakupy z Patrycją. Już dawno tego nie robiły.

Jednak matka przyjęła skwapliwie propozycję Hillary.

- Jesteś pewna, że to nie będzie dla ciebie zbyt dużym kłopotem?

- Patrycjjo - wtrącił John. - Nie sędzę, żeby ten wyjazd był najlepszym pomysłem.

- Nic się jej nie stanie. Spędzi wesoły weekend. Hillary, zaczekaj tu, przyniosę swoją kartę kredytową. - I już jej nie było.

- Wielkie dzięki, Hillary - odezwał się John. Miał lodowaty wyraz twarzy.

Hillary minęła Pam i podeszła do niego. Położyła rozpostartą dłoń na jego gołej piersi.

Cichym i spokojnym głosem powiedziała:

- Pam nie powinna cierpieć tylko dlatego, że ty zabawiasz się w czyjaś straż przyboczną. Ani ja. Lubię twoją siostrę. Jest najzabawniejsza z całej waszej rodziny. Wesolo spędzimy czas, może nawet zdążymy przed jej wyjazdem zjeść szybki obiad.

- A potem dokąd idziesz?

Zanim zdążyła odpowiedzieć, pojawiła się Patrycja. Hillary podeszła parę stopni w górę i odebrała od niej kartę kredytową.

- Kupię jej coś ładnego.

- Tylko proszę cię, bez przesady, żeby nie było zbyt drogie i ekstrawaganckie. Pamelu, kochanie, nie sprawiaj kłopotów Hillary i Claflinom. To miłe z ich strony, że cię zaprosili. Niech Hettie spakuje ci ciasteczka. A najlepiej zatrzymajcie się u „S.S. Pierce'a” i kupcie jakieś smakołyki. To będzie ładny prezent.

- Postaramy się wrócić przed twoim wyjściem - zapewniła Pam, ale Patrycja już zniknęła w korytarzu, zmierzając do sypialni. John nadal blokował schody, jednak Pam nie chciała już z nim walczyć. Wygrała w sprawie wyjazdu na narty. Po co przeciągać strunę? - Muszę zadzwonić do Laurie, powiedzieć jej, że jadę - poinformowała Hillary. - Zaraz wracam.

Po skończonej rozmowie zajrzała jeszcze na chwilę do kuchni i zjadła placuszek, a kiedy wróciła do holu, nie zastała już Johna.

- Gdzie on poszedł?

Hillary rzuciła niechętnie spojrzenie na piętro.

- Myślałam, że zostanie z tobą i porozmawia.

- Tak, tak. I porozmawiał.

- A to szczur.

Hillary otoczyła Pam ramieniem.

- To już wiemy.

- Powinnaś powiedzieć mu, żeby sobie poszedł do diabła.

- Och, takie brzydkie słowa w ustach tak młodej óóbki!

- Naprawdę czegoś nie rozumiem. Czy nie przeszkadza ci, że on cię tak ignoruje?

Hillary uśmiechnęła się.

- Nie. To właśnie cały John.

Jednak Pam nie wierzyła przyjaciółce. Widziała, jak smutny jest jej uśmiech. Pragnąc ją nieco rozweselić, powiedziała:

- Ale przecież masz plany na wieczór, więc to John jest przegrany. Z kim się spotkasz?

Hillary popchnęła Pam w stronę drzwi.

- Z chłopakiem ze szkoły. Tom Rush gra dzisiaj w kawiarni przy Square.

- Kim jest ten Tom Rush?

- To piosenkarz country.

- A ten chłopak, z którym idziesz?

- To nikt ważny.

- Dlaczego? Powinnaś już mieć poważne znajomości. Jesteś w tym wieku.

Hillary wybuchnęła śmiechem. Szły właśnie ulicą Vernon.

- Kto ci tak powiedział?

- Marcy. Kończysz szkołę. Niedługo powinnaś wyjść za mąż.

- Nie ja. Nie mam zamiaru wychodzić za mąż.

- Nigdy?

- No, tego bym nie powiedziała. Ale jeszcze nie teraz.

- Dlatego, że John nie chce się żenić? Co jest z nim nie tak, Hillary? Wszyscy jego znajomi się pobierają. Cały czas chodzi na jakieś wesela albo na chrzciny. No więc, co złego dzieje się z Johnem?

Hillary wzruszyła ramionami i nic nie odpowiedziała.

- Czy nie może przynajmniej znaleźć sobie własnego mieszkania?

- Nadal ci dokucza?

- Tak. Dlaczego nie zaproponujesz mu małżeństwa? Może potrzebna mu lekka zachęta. Powiedz mu, że kończysz studia i czas, żebyś pomyślała o mężu. Powiedz mu, że jesteś w nim szalenie zakochana...

- Nie zrobię tego. Nie chcę wychodzić za mąż. Mam inne plany.

- Jakie?

- Wyjeżdżam do Nowego Jorku. - Patrzyła Pam prosto w oczy. - Tylko nie zdradź się przed Johnem, bo to jeszcze nic pewnego. Muszę najpierw znaleźć pracę. Ale pojedę do Nowego Jorku, nieważne, czy w tym roku, czy w przyszłym. Nie chcę mówić o tym Johnowi, dopóki nie będę pewna.

- Po co chcesz się przenieść do Nowego Jorku?

- Bo tam właśnie toczy się wielkie życie.

- Ale przecież jesteś pisarką. Możesz pracować wszędzie.

- Chcę to robić w Nowym Jorku.

- W takim razie nie będę cię widywała. Tak samo John. I ty nie będziesz mogła go spotykać. - Kiedy Hillary nie odpowiedziała, Pam oświadczyła: - To kiepski pomysł, Hillary.

- Tak samo powiedziałby John. Twierdzi, że nie dam sobie rady w Nowym Jorku i że postępuję głupio, nawet próbując. Ale nie proponuje nic w zamian, prawda?

Skręciły w Joy Street. Powiał chłodny wiatr, więc przysunęły się do siebie.

- Będę za tobą tęskniła.

- Jeszcze się nie przeprowadzam.

- Ale zrobisz to i co ja wtedy ze sobą pocznę? Kto się za mną wstawi, kiedy John będzie mi dokuczał?

- Sama mu się przeciwstawisz. Już to robisz, Pam. Podziwiam cię za to.

- Nie chciał mnie przepuścić na tych schodach i nie mogłam nic na to poradzić.

- Poczekaj jeszcze trochę. Już wkrótce urośniesz. Wtedy nie będzie ci mógł zagradzać drogi. On po prostu korzysta z tego, że jesteś jeszcze mała. Poczekaj, a sama zobaczysz.

To oczekiwanie miało się okazać długie i bardzo bolesne. Pam przekonała się o tym już w chwili, w której wróciła do domu. Patrycja z Johnem wyszli już na przyjęcie i znalazła tylko liścik od matki.

Kochanie, John ma rację - brzmiała notatka. - Rzeczywiście, nie powinnaś sama próbować jazdy na nartach. Jeśli naprawdę Ci na tym zależy, John przyrzekł, że kiedyś sam z Tobą pojedzie. Zadzwoiłam do Claflinów i wszystko wytłumaczyłam. Zrozumieli. Laurie powiedziała, że zadzwoni do Ciebie po powrocie. Nie martw się o rzeczy, które kupiłaś. Marcy zwróci je w przyszłym tygodniu. Mam nadzieję, że dobrze się bawiłaś w towarzystwie Hillary. Nie czekaj na mnie. Wróć późno. Zobaczymy się jutro.

Pam zgmiotła list w dłoni.

- Nie, nie, nie! - wykrzyknęła kilkakrotnie i rzuciła się przez korytarz. Hettie już dawno wyszła, nigdzie też nie widziała Raymonda, kamerdynera. I dobrze. Nie potrzebowała żadnego z nich. Chciała Marcy.

Kierując się specyficznym zapachem krochmalu, pobieгла do pralni, gdzie Marcy prasowała właśnie koszule.

- Czy wiesz, co on zrobił? - krzyknęła bez żadnych wstępów. - Nie pozwolił mi wyjechać! Przekonał mamę, że nie powinnam! Dlaczego on to robi, Marcy? Co by mu szkodziło, gdybym pojechała? Ja mu nie mówię, co ma robić. Dlaczego on może? Nigdy mnie nie zabie-

rze na narty. Nieważne, co obiecał matce. Nigdy mnie nie weźmie, zresztą i tak bym z nim nie pojechała. - Stała przez chwilę na szeroko rozstawionych nogach, ciężko oddychając, i zastanawiała się, jak zmienić decyzję matki. - Wiesz, dlaczego nie chciał, żebym pojechała? Ponieważ wcześniej się na to nie zgodził. To wszystko. Powiedział nie, a jego słowa muszą być rozkazem. Kiedy przyszłyśmy z Hillary, już ich z matką nie było. Nawet nie miałam okazji ich przekonać. On jest podłym, podstępny wężem, Marcy. To niesprawiedliwe!

Marcy powoli przesuwała żelazko po białym kołnierzyku koszuli.

- Życie czasami takie jest - powiedziała w końcu.

- To źle - upierała się Pam, po czym odwróciła się w stronę schodów. - Zadzwoń do ojca. Jeśli pozwoli mi pojechać, zrobię to.

- Pammy?

Dziewczyna zatrzymała się z ręką na drewnianej poręczy.

- Słucham?

Marcy popatrzyła na nią smutnym wzrokiem. Rozumiały się bez słów.

Odrywając dłoń od poręczy, Pam powoli wróciła do środka.

- Powinnam to zrobić. Johnowi by się dostało za swoje.

- Tylko by się wściekł.

- To jego problem.

- Nie, twój. Jeśli on się zezłości, to samo będzie z twoją mamą. Nawet gdybyś pojechała na narty, wrócisz tu w niedzielę wieczorem i wtedy za to zapłacisz.

Jednak obie wiedziały, że to tylko jeden z powodów, dla których Pam nie zadzwoni do ojca. Chodziło jeszcze o coś, co Pam wyczuwała instynktownie, a mianowicie o obawę, żeby nie szkodzić małżeństwu rodziców. Jak zawsze na myśl o nich Pam poczuła skurcz w żołądku.

- Nic mnie to wszystko nie obchodzi. Chcę jechać na narty.

- Zachowujesz się jak dziecko.

- No i co z tego? jeśli John może być uparty, to ja też!

- Ale ty jesteś lepsza od niego.

- Jeśli to prawda, to dlaczego mama spędza z nim więcej czasu niż ze mną?

- Ponieważ on wie dużo na temat firmy. Jest kimś w rodzaju asystenta twojego taty.

- Ale ja jestem jej córką! Potrzebuję jej czasami. - Powoli złość opuszczała Pam i zaczęła ją ogarniać żal nad sobą i jakiś dziwny strach. Wspinając się na stołek stojący obok deski do prasowania, powiedziała: - To straszne, Marcy. Czasami coś do niej mówię, a ona się uśmiecha,

kiwa głową, ale w ogóle mnie nie słyszy. Opowiadam jej o szkole, a po paru minutach ona pyta mnie o to samo.

- Ona cię kocha.

- Możliwe, ale coś się dzieje. - Popatrzyła nie widzącym wzrokiem na rękaw koszuli, który rozkładała Marcy. - Może oni planują rozwód.

- Nie planują.

- Skąd wiesz?

- Bo twoja mama chce być żoną twojego taty.

- Nie mówiłabyś tak, gdybyś ją słyszała. Jeszcze nie tak dawno, kiedy tata był zły, mama się przejmowała. Teraz tak nie jest.

- Przyzwyczaiła się.

Pam jednak miała inne wytłumaczenie.

- Ona ma teraz Johna. Prawdopodobnie przekonał ją, że lepiej dla wszystkich, gdy tata przebywa w Maine. W ten sam sposób ją przekonał, że nie powinnam jechać na narty. Dlaczego ona go słucha, Marcy?

- Ponieważ John zna odpowiedzi na większość nurtujących ją pytań.

- Ale dlaczego nie pyta o to ojca?

- Ponieważ twój tata jest w Timiny Cove.

- Przecież może do niego zadzwonić. Gdyby naprawdę tego chciała, mogłaby. Myślę, że ona woli być z Johnem.

- Ale kocha twojego ojca. Na tym polega cała różnica.

- Nigdy nie są razem.

- Jednak kiedy się spotkają, nie jest tak źle. - Marcy zamilkła na chwilę, wyprostowała rękaw i mocno przycisnęła do niego żelazko. - Wierz mi, że nieraz widziałam ludzi, pomiędzy którymi źle się działo.

Pam przypomniała sobie krzyki, które słyszała w domu Marcy.

- Mówisz o swoich rodzicach?

Marcy z wolna przesuwiała żelazkiem po rękawie, po czym na chwilę przerwała prasowanie.

- Marcy? - dopytywała się Pam. - Czy w twoim domu naprawdę tak źle się układa?

Żelazko wróciło na rękaw.

- Źle.

- Jak to? Co się dzieje?

Po chwili ciszy Marcy powiedziała:

- Kłóć się. Mama dojeżdża do fabryki...

- Dlaczego nie pracuje w kopalni?

- Ponieważ to jest praca dla mężczyzn.

- Ja tam byłam. Tata mi wszystko pokazał. Mogłabym tam pracować.

- Ale nie będziesz, bo to praca dla mężczyzn.

- Nie wierzę w to. Jeżeli kobiety mogą robić to co mężczyźni, to niemożliwe, żeby nie mogły znaleźć pracy. Pewnego dnia zostanę prezesem St.George Mining.

- Czy twój tata ci tak powiedział?

- On mówi, że mogę zostać, kim tylko będę chciała, a tego właśnie chcę.

- A co z Johnem?

- Jak to?

- Przecież on już pracuje u twojego taty. Czy firma nie przejdzie na niego?

- Wyrzucę go. To będzie pierwsza rzecz, którą zrobię. A zaraz potem przyjmę twoją mamę. Ona może pracować przy sortowaniu i dopasowywaniu kamieni.

Ale Marcy upierała się przy swoim.

- Mama nie będzie robiła czegoś innego niż reszta kobiet, a one nie pracują w kopalni. Poza tym, ona lubi fabrykę. Dostaje niezłą pensję, tak że wystarcza nam na jedzenie, choć na inne rzeczy już nie zostaje.

Zamilkła, a Pam także się nie odzywała. Widziała smutek na twarzy Marcy, na twarzy, która rzadko zdradzała jakiegokolwiek uczucia. Pam zaczęła się zastanawiać, co miał na myśli jej ojciec, kiedy mówił, że Marcy widziała już prawdziwe życie.

- Czy to właśnie przez to jest źle? - zapytała z ciekawością. - Z braku pieniędzy?

Nie przerywając prasowania, Marcy przechyliła głowę na jedną stronę.

- To jeden z powodów.

- A inne?

- On.

- Twój ojciec?

- On nie jest moim ojcem. Mój tata zginął w Korei. Mama wyszła za Jervisa w kilka lat później.

- Czy Tommy i Lizzie są jego dziećmi?

Marcy kiwnęła głową. Z żelazka wydobyła się chmura pary.

- Choć wcale byś tego nie powiedziała. Ich też bije.

- Daje im klapsy? - Pam nigdy w życiu nie dostała lania. Krzyczano na nią, ale nie bito.

- Żadne klapsy - wyjaśniła Marcy. - Biję ich. Czasami jak jest pijany, czasami na trzeźwo. Ale zawsze bije bardzo mocno. - Machnęła w powietrzu ręką, by to pokazać.

Pam skuliła się.

- Czy ciebie też tak bił?

- Wiele razy. Właśnie dlatego twój tata zabrał mnie do siebie, jak tylko skończyłam szkołę.

Pam nic o tym nie wiedziała. Czuła się okropnie.

- Och, Marcy.

- W najgorszej sytuacji jest mama. Ja mogłam jeszcze przed nim uciekać, ale mama miała na to za mało siły, zwłaszcza po urodzeniu Lizzie. Przychodzi zawsze zmęczona po pracy i kiedy on na przykład chce coś do jedzenia, a nie dostanie dostatecznie szybko, to...

- Biję ją?

Marcy kiwnęła głową.

- I krzyczy. I rzuca różnymi rzeczami. - Podniosła koszulę z deski, strzepnęła ją i sięgnęła po wieszak. - Właśnie tak jest, kiedy w rodzinie źle się dzieje.

Więc teraz już Pam wiedziała i zgodnie z zamiarem Marcy nie czuła się już taka rozżalona. Chociaż w jej domu zdarzały się kłótnie, to przecież nikt nikogo nie bił, nie wrzeszczał i niczym nie rzucał. Patrycji zależało na spokoju niemal tak samo jak na dostatnim życiu.

Zwinięta w swoim łóżku, Pam rozmyślała jeszcze o tym do późna w nocy. Uznała, że powinna być wdzięczna losowi za swoją rodzinę. Prawdą było, że nienawidziła Johna. Ale kochała matkę, a przede wszystkim uwielbiała Eugene'a, który był dobry i delikatny, zupełnie inny od Jervisa Willowa. Może Marcy miała rację... może jej rodzice nie rozwiodą się; być może po prostu odpowiada im to, że mieszkają oddzielnie.

Z drugiej strony, pośród rodziców jej przyjaciół nie było ani jednej pary, która żyłaby w ten sposób.

Jednak z tej sytuacji wpływały dla niej pewne korzyści. Jej życie na podobieństwo turmalinów, które tak kochała, mieniło się wieloma pięknymi kolorami. Kiedy mieszkała w Bostonie, była damą, bo taką chciała ją widzieć matka. Uczęszczała do prywatnych szkół, brała lekcje tańca i gry na pianinie, a w każdą sobotę miała zajęcia w muzeum. Nie mogła też narze-

kać na brak rozrywek. Jadała w najlepszych restauracjach w mieście, chodziła na balet i do teatru. Czasami wydawało jej się, że uczestniczy w jakimś gigantycznym maratonie, gdzie wszyscy wszystkich obserwują i wystawiają cenzurki. Ponieważ jednak zawsze wychodziła zwycięsko z towarzyskich potyczek, przestała się przejmować - zwłaszcza że w każdej chwili mogła wyjechać do Timiny Cove. Tam zdejmowała z włosów satynową kokardę, nakładała dzinsy i długą koszulę, po czym zajmowała się tysiącem wspaniałych rzeczy, których Patrycja najprawdopodobniej nigdy by nie pochwaliła.

Sercem i duszą Pam była podzielona między te dwie rodzinne posiadłości. Nie wyobrażała sobie, że mogłaby na stałe zamieszkać w którejkolwiek z nich, bez możliwości odwiedzania drugiej. Mimo wszystko większym sentymentem darzyła Timiny Cove. Było to miejsce, gdzie przebywał Eugene. Wszyscy ją znali i lubili, i czuła się tam jak w jednej wielkiej rodzinie.

Tam także był Cutter.

Rozdział szósty

Cutter Reid znał nazwisko St.George od zawsze. Jakżeby inaczej, skoro urodził się i wychował w Timiny Cove. Wprawdzie ojciec został wyrzucony z kopalni St.George niemal zaraz po jego urodzeniu, ale przedsiębiorstwo stanowiło tak istotny element w życiu miasta, że nie dało się go ignorować. To wcale nie znaczyło, że Cutter żywił do niego szacunek. Oględnie mówiąc, do niewielu rzeczy na tym świecie podchodził z respektem i poważaniem. Życie odpłacało mu tym samym i jego też mało kto szanował. Cutter nie był tym ani zdziwiony, ani rozczarowany, mając na uwadze zarówno swoje pochodzenie, jak i obecny styl życia.

W roku 1965 Cutter kończył szesnaście lat, ale doświadczeniem życiowym dorównywał trzydziestolatkom. Wychował się na ulicy. Jego ojciec marnie skończył, zapijając się na śmierć, kiedy Cutter miał dziewięć lat. Niedługo potem w ślad za nim odeszła matka, która przez całe życie zajmowała się prostytutką. Mając niespełna trzynaście lat, Cutter zaczął się sam troszczyć o siebie. Wynajmował się do najróżniejszych prac, z których albo go rychło wyrzucano, albo sam uciekał. Do szkoły uczęszczał tylko doprowadzany przez policjanta, a że dopuszczał się wielu drobnych przestępstw, bardzo szybko zyskał sobie miano trudnego dziecka. Spędził niejedną noc w miejscowym areszcie i tylko cudem uniknął więzienia.

Kiedy pewnej nocy Eugene St.George pochwycił go w brudnej uliczce na tyłach Paquette

Luncheonette, nie liczył na litość ani pobłażanie. Przedtem okradł kasę na stacji benzynowej w centrum miasta i ze zdumieniem stwierdził, że w pościg za nim rzucił się nie tylko ochroniarz Judd Stuckey, ale właśnie Eugene St. George, który akurat tankował swój samochód.

Cutter przeklinał się po stokroć, że nie zauważył dużego, ciemnoniebieskiego Lincolna, ale była taka ulewa, że widoczność sprowadzała się do zera. Nawiasem mówiąc, z tego właśnie powodu sądził, że łatwo uda mu się uciec z łupem. Nie przejął się też zbyt, kiedy Eugene wyskoczył za nim z samochodu. Cutter był od niego młodszy i szybszy i w normalnych warunkach Eugene nie miałby szans go dogonić. Jednak po krótkim biegu zrozumiał, że niebiosa mu nie sprzyjają, i wpakował się w nie lada kłopoty. Marzec to w Maine pora deszczowa, a to znaczyło, że wszystkie drogi przypominały jedno wielkie bagno. Cutter nie mógł trzymać się chodnika, bo musiałby biec przez środek miasta. Skręcił więc w boczne uliczki, ale zaraz prze-koziółkował i wylądował twarzą w błocie. Co gorsza, w chwilę później poczuł na sobie ciężkie ciało Eugene'a. Zanim zdążył nabrać w płuca powietrza, napastnik pochwycił go za kołnierz.

- Chłopcze, co ty do diabła wyrabiasz? - ryknął Eugene. Bieg zmęczył go, ale nie osłabił wściekłości.

Cutter spróbował uskoczyć w prawo. Myślał, że zaskoczy tym mężczyznę i tym samym odzyska swobodę ruchów, ale ten trzymał go mocno.

- Mamy go. - Zza rogu wyłonił się zasapany Judd, gnający tak szybko, jak tylko pozwalała mu wykrzywiona noga. - Kto to? - zapytał, a przyjrzawszy się chłopcu, sam sobie odpowiedział: - Toż to Cutter Reid, ten nicpoń!

Cutter wywinął się, tym razem w lewo, ale Eugene trzymał jego przemokniętą kurtkę w stalowym uchwycie. Mimo to chłopak dalej walczył. Uderzył w tył głowy. Bezskutecznie. Postanowił więc użyć nóg i zaczął kopać. Eugene był jednak większy, potężniejszy i, jak się zdało, sprytniejszy. Wepchnął chłopaka w błoto, wgniatając kolano w jego podbrzusze. Potem wsunął mu rękę do kieszeni spodni i wyjął skradzione pieniądze.

Jakby tego było mało, boczna uliczka, na co dzień rzadko uczęszczana, niespodziewanie zapełniła się ludźmi. Najbardziej rzucał się w oczy Verne Walker, przedstawiciel miejscowej policji.

Obrzucił krótkim spojrzeniem ubłoconą twarz Cuttera, po czym zmęczonym głosem zapytał:

- Co on nabroił tym razem?

Judd energicznie uniósł do góry pieniądze, dopiero co odzyskane przez Eugene'a.

- Ukradł je, parszywy złodziej! Musisz coś z tym zrobić, Verne. Gnojek staje się coraz bardziej zuchwały. Po prostu wszedł i wyjął pieniądze z kasy. Gdyby nie Eugene, już dawno by dał drapaka.

Cutter zamierzał zaprzeczyć, ale straszliwie bolały go jądra. W tej chwili potrafił tylko bezgłośnie leżeć i łapać powietrze szeroko otwartymi ustami. Za wszelką cenę chciał im pokazać, że nic mu nie jest, że nie jest żadnym gnojkiem.

- Już od jakiegoś czasu szykował się na tę stację - zawołał ktoś, przekrzykując łomot deszczu o zardzewiałą rynnę.

Ktoś inny dodał:

- Ostatnim razem obrobił sklep. Niecałe dwa miesiące temu.

Trzeci głos dorzucił:

- Ten chłopak to same kłopoty. Od pierwszego dnia urodzin. Nic dziwnego, że jego ojciec tyle pił.

Cutter udawał, że nie słyszy tych uwag. Znał je już na pamięć. Spojrzał na Eugene'a, który również mu się przyglądał. Czuł, że zaczyna mu się kręcić w głowie.

Verne pochylił się. Z daszka czapki spłynęła woda.

- Co masz do powiedzenia, synu? Nie potrafisz się trzymać z dala od kłopotów? Znowu będę cię musiał zamknąć w areszcie, a jeśli Judd złoży oskarżenie, pojedziesz do więzienia w Portland. Weź sobie adwokata, tym razem możesz go potrzebować.

- On nie znajdzie żadnego adwokata - mruknął Eugene. Uważnie przyglądał się pobladłej i złanej potem twarzy chłopca. - Nie ma rodziców, nie ma pieniędzy i sądząc po wyglądzie, nie ma nawet na jedzenie.

Zwolnił ucisk na krocze Cuttera. Zbolały chłopak odsunął się na bok i zwinął w kłębek. Eugene położył mu dłoń na ramieniu i poradził szeptem:

- Oddychaj głęboko.

Cutter nabrał spory haust powietrza, zaraz po nim następny. Po trzecim zamroczenie zaczęło ustępować. W tej samej chwili Eugene puścił jego ramię i chciał pomóc chłopcu usiąść. Czując, że wszyscy na niego patrzą, Cutter odtrącił pomocną dłoń.

- No więc co masz do powiedzenia, synu? - powtórzył Verne.

- Tobie na pewno nic - odwarknął Cutter, specjalnie nadając głosowi niskie i opryskliwe brzmienie.

- Wolisz rozmawiać z sędzią?

- Co to ma za znaczenie? Nie dba o mnie, tak samo jak ty.

- Jak sobie chcesz - odfuknął policjant i wyprostował się. - W porządku, ludziska, rozejdźcie się, wracajcie do swoich zajęć. - Patrzył na odchodzących gapiów. - Judd, zamierzasz złożyć oskarżenie?

- Jak nic, do diabła. Nikt nie ma prawa zabierać mi moich pieniędzy. Ciężko na nie pracuję. Ten smarkacz sam mógłby tego spróbować.

Verne odwrócił się do Cuttera, który choć z trudem, podnosił się spiesznie na nogi. Był wyższy od policjanta. Wiedział o tym i chciał to wykorzystać.

- Słyszałeś, synu? Tym razem naprawdę wpadłeś w tarapaty. Judd złoży oskarżenie, do tego dojdą wszystkie inne twoje przewinienia, a to nie wróży nic dobrego.

- Nie wiem, co dla ciebie jest dobre - odpowiedział chłopak tak samo krnąbrnie jak przedtem. - Powiedz mi coś, czego jeszcze nie słyszałem.

- Czy wiesz, jak to jest w więzieniu? - zapytał Eugene.

Cutter odwrócił głowę w drugą stronę, byleby tylko nie patrzeć na mówiącego. Może i miał fizyczną przewagę nad Verne'em, ale dużo mu brakowało do tego potężnego mężczyzny, który w dodatku rządził połową miasta.

- W więzieniu - kontynuował Eugene - jest o wiele straszniej niż w najgorszym śnie. Tam jest ponuro, bez perspektyw i nadziei na lepsze jutro. Od chwili przejścia bram więzienia stajesz się więźniem, a potem już na zawsze byłem więźniem. Uważasz, że trudno ci żyć z nazwiskiem twojego ojca? Dodaj do niego nazwę eks-więzień i wyobraź sobie, jak to jest.

Cutter pomyślał o olbrzymim domu Eugene'a, jego wielkim aucie i jeszcze większym koncie bankowym i odezwał się głosem pełnym zwątpienia:

- Skąd pan może to wiedzieć?

- Miałem kiedyś przyjaciela. Urodził się tutaj, tak jak ty. Alvie Joplin, pamiętasz, Verne? Nie, zdaje się, że to było jeszcze przed twoim nastaniem. - Eugene ponownie zwrócił się do Cuttera. - Specjalizował się w kradzieżach samochodów, ale nie tu, tylko w Bostonie. W końcu go złapano i zamknięto, a kiedy już wyszedł i chciał znaleźć jakąś pracę, ludzie bali się zatrudniać takich jak on, był przecież tylko byłym więźniem. Ponieważ jedno, co potrafił, to kraść samochody, postanowił wrócić do starego fachu i szybko trafił z powrotem do więzienia. Tym razem posiedział dłużej. Gdy znalazł się na wolności, nie był już dzieckiem, stwardniał. Znów ukradł samochód i pomógł dwóm koleśiom, czekając na nich przed bankiem, który okradali.

- Co się z nim stało? - zapytał Verne, pochłonięty opowieścią.

Ale Eugene wpatrywał się w Cuttera.

- Gliny go dopadły. Został postrzelony. Przeczytałem w gazecie, że jest w ciężkim stanie, więc poszedłem odwiedzić go w szpitalu. Nie mogłem go poznać. Minęło dziesięć lat od naszego ostatniego spotkania, a wyglądał o trzydzieści lat starzej. Umarł następnego dnia.

Cutter przywykł już do pouczenia. Ludzie opowiadali mu różne historie z morałem, obliczone na wywarcie na nim odpowiedniego wrażenia. To było zbyt łatwe.

- Ciekawe - rzucił.

- Prawdziwe - padła odpowiedź Eugene'a.

- Wyciągniesz z tego jakąś naukę, synu? - zapytał Verne.

Banalna uwaga policjanta, tak inna w stylu i treści od spokojnego monologu Eugene'a, była dla Cuttera jak policzek.

- Niczego się od was nie będę uczył - warknął.

- No i dobrze - oświadczył Verne - ale idziesz ze mną, czy chcesz, czy nie. - Pochwycił chłopca za rękę, ale ten wyrwał mu się. - Uważaj, synu, chyba że chcesz do swojego oskarżenia dołożyć punkt stawiania oporu władzy. - Wyciągnął dłoń, lecz tym razem powstrzymał go Eugene.

- Daj mi go, Verne.

Cutter strzelił oczyma w stronę mówiącego, podczas gdy Verne powtórzył:

- Chcesz go?

- Właśnie. Pozwól mi go przetrzymać do końca dnia.

- Zwariowałeś?

- Czy wyglądam na wariata? - zapytał Eugene całkowicie poważnie.

- Co chcesz z nim zrobić?

- To sprawa między nami.

- Skoro tak, będziesz go miał. Ale na twoim miejscu byłbym bardzo ostrożny. Nim się spostrzeżesz, zwieje ci.

- Będę uważać. - Złapał ramię Cuttera. - Idziemy. Chłopak nie opierał się. Sam nie wiedział dlaczego.

Może chodziło o wybór między Eugene'em a Verne'em, a może o wspomnienie twardego kolana na kroczu albo o ciekawość, czy jeszcze coś innego. Tak czy inaczej poszedł, choć wcale nie był spokojny. Eugene zachowywał się o wiele bardziej władczo niż Verne. Był także mocniejszy, szybszy i sprytniejszy. Trudno będzie mu się wyrwać. Nie to, żeby Cutter miał już

w tej chwili takie plany. Warto trochę poczekać, może trafi mu się ciepły posiłek.

- Dokąd mnie zabierasz? - zapytał.

- Zobaczysz.

- Chcę to wiedzieć.

- Jeśli tak bardzo chciałeś wiedzieć, dokąd idziesz, trzeba było pójść z Verne'em.

Trzymany mocnym uchwytem za nadgarstek, Cutter nie miał innego wyjścia, jak tylko maszerować obok mężczyzny przez deszcz i błoto, z powrotem na miejsce przestępstwa.

Nie rozmawiali. Cutter nie był dobry w dyskusji. Kiedy dotarli do samochodu, Eugene otworzył drzwi od strony pasażera i popchnął chłopca na siedzenie.

- Cały jestem w błocie - mruknął Cutter.

- Ja także.

- Pana samochód jest nowy i czysty.

- I co z tego? Nie zamierzam sterczeć na tym deszczu w nieskończoność. I z pewnością nie będę maszerował na piechotę. Ty jesteś młody i wytrzymały, ale ja zmarłem. A teraz wsiadaj.

Jeszcze raz pchnął Cuttera, tym razem silniej. Eugene zatrzasnął drzwi i obszedł auto. Usiadł za kierownicą i spojrzał na Cuttera.

- Przegapiłeś okazję. Kluczyki tkwią w stacyjce. Mogłeś odjechać, kiedy obchodziłem samochód.

Ale Cutter był teraz zbyt zziębnięty i zmęczony. Ucieczka nie przyszła mu nawet do głowy. Oczywiście nie zamierzał mówić o tym Eugene'owi.

- Nie umiem prowadzić.

- Nie? Więc jak poruszasz się po mieście?

- Na motorze - sarknął. - A teraz dzięki panu nie mam na benzynę.

- Chcesz paliwa, możesz na nie zarobić.

Cutter znowu prychnął, ale się nie odezwał. Pomyślał tylko, że to śmieszne, iż ktoś taki jak Eugene St. George mówi o zarabianiu pieniędzy. Wiódł słodkie życie, miał wszystko, czego potrzebował, a jeśli czegoś chciał, wystarczyło, że otwierał kasę i załatwione. Nikt nie nazwałby go złodziejem i nie rzuciłby się w pościg, grożąc więzieniem. Niektórym ludziom udało się w życiu i to wszystko. Cutter do nich nie należał. Nie mógł porządnie zarabiać, bo nic nie umiał. Prace, jakie mu proponowano, potrafiłby wykonać największy idiota. Po jakimś czasie tak bardzo go nudziły, że zwalniał się.

Eugene skierował wóz na drogę wylotową z miasta, ale nie w stronę wielkiego domu z cegły ani szybów kopalnianych, tylko w przeciwnym kierunku. Cutter znalazł tę drogę. Mimo to spytał z niedowierzaniem:

- Dokąd pan jedzie?

- Do ciebie. - Eugene pochylił się do okna. - Tu się skręca?

W jednej chwili Cutter poczuł się nieswojo. Ludzie z miasta przychodzili do niego tylko wtedy, gdy zdarzyło się coś złego - kiedy ojciec wpadł zdezelowaną ciężarówką na drzewo albo kiedy umarła matka.

- Po co jedziemy do mnie?

- Żebyś mógł się przebrać. To ten zakręt?

- Tak.

Zaraz po skrócie Lincoln zaczął podskakiwać na nierównej drodze. Im dalej wjeżdżali w las, tym bardziej wyboista stawała się droga. W pewnym momencie samochód wpadł w poślizg, ale dzięki nowym oponom szybko wyrównał tor.

- I ty jeździsz tędy na motorze? - stęknął Eugene.

- Mam twarde siedzenie.

- Musisz też mieć twardą głowę. Dlaczego, na diabła, nie zamieszkas w mieście, jak inni?

- Ponieważ to miejsce należy do mnie. To wszystko, co mam.

- To odludzie.

- Odpowiada mi to.

- Powinieneś być z ludźmi.

- Nie lubię ludzi. Eugene parsknął z irytacją:

- Wybrałeś złą planetę, chłopcze.

- Niczego, do diabła, nie wybierałem - wybuchnął Cutter. - Ktoś to zrobił za mnie; nawet gdybym chciał, nie miałem okazji się sprzeciwić. - Właśnie pojawił się w oddali jego dom, wyglądający w deszczu jeszcze bardziej ponuro i biednie niż zazwyczaj. - Tę ruinę też mi ktoś narzucił, ale tylko to posiadam.

Samochód zatrzymał się. Cutter z pośpiechem nacisnął na kławkę i wyskoczył z wozu. Błotnistą drogą ruszył do drzwi wejściowych. Otworzył je jednym pchnięciem i wszedł do domu bez oglądania się za siebie. Drzwi, jak zawsze, zatrzasnął kopniakiem. W sekundę później tuż za nim pojawił się Eugene.

- Czy ty w ogóle nie znasz zasad dobrego wychowania? - warknął.

Cutter nie przypuszczał, że towarzysz zechce wejść za nim do domu. Nie potrzebował pomocy przy zmienianiu ubrania.

- A czego pan tu chce?

- Rozejrzeć się. - Eugene oglądał pokój z wyraźną dezaprobatą. - Tutaj mieszkasz?

- Coś panu nie pasuje? - Cutter zacietrzewił się. Jemu także nie podobało się to miejsce, ale to był jego dom.

- Jasne, że nie. Straszny tu chlew - oświadczył Eugene. Przeszedł obok rozchwianego stołu, zavalonego stertami papierowych opakowań i plastikowych talerzy, oraz równie zniszczonego i obdartego krzesła zarzuconego ubraniami. - Tu się aż klei od brudu, a śmierdzi jak cholera. Nie wstyd ci?

- Nie spodziewałem się gości.

- To, o czym mówię, nie ma nic wspólnego z gośćmi. - Spojrzał w głąb pograżonego w mroku mieszkania. Aż się wzdrygnął. - Gdzie śpisz?

- A co to pana obchodzi?

- Gdzie śpisz?!

Cutter kiwnął głową w stronę najciemniejszego kąta pokoju. Stała tam wąska drabina prowadząca na strych, a raczej stryszek.

- Mieścisz się tam?

- Jakoś mi się udaje. - Cutter patrzył, jak gość ogląda małe poddasze, a potem zwraca wzrok na odstający od ściany stary, okopcony piec.

- To służy do ogrzewania?

- Jeśli mam drewno.

- A jeśli nie masz?

- Jakoś żyję.

- Marzniesz.

- Hej, człowieku, nie ja jeden. Mnóstwo ludzi w tej okolicy nie ma w domach ogrzewania.

- Ale ja mogę temu zaradzić - mruknął pod nosem Eugene. Sięgnął do włącznika lampy, jednak nic się nie zdarzyło. - I pewnie nie płacisz za elektryczność?

- Nie miałem czym. Zresztą, po co mi światło? Kiedy robi się ciemno, idę spać.

- Więc przy czym czytasz? - Ku niezadowoleniu Cuttera Eugene zauważył parę książek,

wystających spod kupki ubrań. - Ukradłeś je?

- Wypożyczyłem z biblioteki.

- Na pewno?

- Tak.

Eugene podniósł jedną z książek.

- *Buszujący w zbożu*. Dobrze to?

- Ujdzie.

- O czym?

- O dzieciakach. - Cutter modlił się w duchu, żeby Eugene przestał go wypytywać. Trudno byłoby mu na ten temat rozmawiać. Książka mu się podobała. Utożsamiał się z Holdenem Caulfieldem, ale nie opuszczało go wrażenie, że nie zrozumiał wszystkiego, co chciał przekazać autor. To właśnie powtarzali mu nauczyciele, że nie zawsze wszystko chwyta. Osobiście nie zależało mu na tym. Lubił czytać i nie miał zamiaru zastanawiać się nad każdym zdaniem. Nawet jeśli czegoś nie pojmował, to co z tego?

Ulżyło mu, bo Eugene odrzucił książkę. Ale spokój nie trwał długo. Gość założył ręce na piersi; oparł się o drzwi.

- Masz w tym bałaganie coś czystego i suchego? Cutter wiedział, że znaleźć coś suchego to nie problem.

Gorzej było z czystością. Przerzucił stertę ubrań walających się przy drabinie i wybrał te w najlepszym stanie; dzinsy i koszula czasy świetności miały już za sobą. Podniósł głowę i zobaczył, że Eugene mu się przygląda.

- Coś znalazłem.

- Nałóż to.

- Ma pan zamiar tak stać i patrzeć?

- Tak.

- I kto tu mówił o dobrych manierach!

- Posłuchaj - zaczął Eugene - gdybyś był teraz w więzieniu, na oczach wielu facetów musiałbyś się nie tylko przebierać. No, ale nie mówmy teraz o tym. Pospiesz się, nie robi mi się cieplej od sterczenia w tej stajni.

Cutterowi też nie. Szybko ściągnął z siebie przemoczoną kurtkę i koszulę, ścierając przedtem jej wewnętrzną stroną plamy błota z twarzy i szyi. Nie patrząc na gościa, zabrał się do zdejmowania spodni. Kiedy miał już na sobie suche dzinsy, znalazł parę skarpetek. Jednak mo-

kre buty musiały wrócić na stopy. Była to jedyna para, jaką posiadał. Zarzucił jeszcze kurtkę, którą miesiąc temu ukradł w lodziarni w innej miejscowości, i podszedł do Eugene'a.

- To mieszkanie nie jest takie złe. Bywają gorsze.

- Tylko wtedy, gdy ich mieszkańcy mają nie po kolei w głowie albo są niepełnosprawni. Jakie ty masz wytłumaczenie? Że twoi rodzice nie żyją lub że jesteś małym dzieckiem i nie wiesz, co to jest pralnia? Że nie masz czasu się do niej przejść? Wiesz, co ci powiem? To wszystko bzdury. Jesteś leniwym, śmierdzącym lumpem, bez cienia dumy. - Wyszedł na zewnątrz, trzaskając drzwiami.

- Nie jestem leniwy! - zawołał za nim Cutter. - I mam swoją dumę!

- Wracaj do samochodu! - krzyknął Eugene.

Jedna część duszy Cuttera namawiała go, by skorzystać z okazji i pognać co sił w nogach do lasu. Wiedział, że udałoby mu się uciec. Inna część mówiła mu, że Eugene z pewnością jest już głodny i że trzeba to wykorzystać.

Wrócił do samochodu.

Eugene zapalił silnik i po kilku dziwacznych manewrach w błocie, omijając wertepy, ruszyli w stronę głównej drogi. Cutter wpatrywał się w przednią szybę, zastanawiając się, dokąd jadą. Zerkał na kierowcę z nadzieją, że się czegoś dowie, ale twarz mężczyzny niewiele mu mówiła. Nie zamierzał ponownie pytać i narażać się na złośliwe uwagi Eugene'a. Z pewnością nie brakowało mu dumy.

Po wyjechaniu na główną drogę Eugene skierował samochód w stronę centrum. Wkrótce dotarli przed wielki, murowany dom, znajdujący się jeszcze na obrzeżach miasta.

- Wsiadaj.

- Chce pan, żebym tam wszedł?

- Dlaczego nie?

- Jestem złodziejem. Mogę ukraść panu srebra.

Eugene rzucił mu ostre spojrzenie.

- Nie zrobisz tego. - Wsiadł z wozu, nie mówiąc nic więcej.

Cutter podążył za nim po kamiennych schodach i wszedł przez szerokie, dębowe drzwi. W drodze do kuchni przyglądał się uważnie mijanym wnętrzom. Kilka minut później patrzył na bochenek chleba, puszkę szynki i trójkąt sera, które Eugene położył przed nim na stole.

- Zrób sobie kanapkę - rozkazał, kładąc nóż obok jedzenia. - Wyglądasz na zagłodzonego. Niedługo wrócę. - I odszedł.

Przez chwilę Cutter nawet się nie poruszył. Wsłuchiwał się w cichnący odgłos oddalających się kroków, nie odrywając wzroku od stołu. Zastanawiał się, co się może stać, jeśli zje jedzenie, którym poczęstował go Eugene St.George. Nikt nigdy nie ofiarował mu niczego za darmo. Musi być jakaś cena.

Ale był zbyt głodny, by to dalej analizować. Nie marnując więcej czasu, zrobił sobie jak najgrubszą kanapkę i natychmiast ją pochłonął.

- Chcesz jeszcze jedną?

Odwrócił się. Nie słyszał, kiedy Eugene wrócił, ale stał tu z poważną miną przebrany w świeże ubranie.

- Urosłeś, chłopcze, ale jesteś chudy jak tyka. Nie pamiętam, kiedy ostatnio widziałem u kogoś tyle żeber. - Kiwnął głową w stronę stołu. - Zrób sobie jeszcze jedną. Za darmo.

Cuttera nie obchodziło, czy jedzenie jest darmowe, czy nie. Kanapka, którą zjadł, sprawiła, że stał się jeszcze bardziej głodny. Więc odwrócił się i zaczął przygotowywać następną. Tym razem jadł wolniej. W połowie popatrzył na Eugene'a.

- Gdzie są inni?

- Kto?

- Pana rodzina. Wiem, że ma pan rodzinę.

- Są w Bostonie.

- Dlaczego, skoro pan tu przebywa?

Eugene zastanawiał się przez chwilę, po czym odpowiedział po prostu:

- Bo tak już jest.

Cutter nie chciał pytać, co przez to rozumie. Na twarzy mężczyzny ujrzał jakiś smutek, nie pasujący do goszczącej tam zazwyczaj pewności siebie.

- Sam pan tu mieszka?

- Czy to takie dziwne?

- Tak. Myślałem, że Deenie Crocker jest pana kucharką.

- Jest, ale przy jednej osobie nie ma wiele gotowania. To samo ze sprzątaniami. Zresztą dużo rzeczy sam robię. Nie każdy samotny mężczyzna musi być bezradny.

Cutter wrócił do jedzenia. Jego ojciec był bezradny, tak samo jak większość mężczyzn, których znał. Przynajmniej jeśli chodziło o domowe czynności, jak gotowanie czy sprzątanie. Istniały pewne zajęcia, których mężczyzna się nie tykał, które należały do kobiet. Wobec tego nie rozumiał, dlaczego żona Eugene'a St.George'a się tym nie zajmowała, lub też, na czas jej

pobytu w Bostonie, nie wziął się do tego ktoś inny. Zdaniem Cuttera człowiek tak bogaty jak Eugene nie powinien być zmuszony sam dbać o siebie.

Jednak kuchnia była posprzątana i czysta. Sprawiała miłe wrażenie, z dużym okrągłym stołem i wygodnymi krzesłami dokoła oraz wielkimi oknami wychodzącymi na podwórko. Gdyby ta kuchnia należała do którejś z rodzin z Timiny Cove, byłaby pełna dorosłych i dzieci.

- Nie czuje się pan samotny? - usłyszał sam siebie. Nie wiedział, skąd się to u niego wzięło, ponieważ słowo samotność rzadko gościło w jego słowniku. Popatrzył Eugene'owi prosto w oczy.

Ten odwrócił się.

- Oczywiście. Często. - Wychodząc, rzucił przez ramię: - Wstaw resztę do lodówki i chodź za mną.

Cutter wykonał polecenie, przed wyjściem jednak upił jeszcze spory łyk mleka prosto z butelki. Kiedy znalazł się z powrotem w holu, Eugene siedział już w samochodzie. Na jedną krótką chwilę Cutter zawahał się. Przez myśl przemknęło mu pytanie, czy następnym miejscem nie będzie przypadkiem więzienie. Nie chciał tego. Naprawdę tego nie chciał. Pobyt pod nadzorem Eugene'a okazał się zupełnie znośny i wydawało się, że Eugene dobrze wie, co robi. Postępował tak, jakby był co najmniej jakimś protektorem Cuttera i jeśli miało to znaczyć jeżdżenie w czasie deszczu wielkim i ciepłym wozem oraz jedzenie, chroniące go przed skręcaniem się żołądka, zgadzał się całkowicie. Zazwyczaj życie nie było dla niego takie łaskawe.

Następnym przystankiem stał się sklep Leroya Robichauda. Eugene zaparkował przy krawężniku i zgasił silnik. Wyciągnął portfel i podał Cutterowi dwa banknoty.

Chłopak popatrzył najpierw na pieniądze, potem na Eugene'a.

- Na co to?

- Na ubrania. Chcę, żebyś tam poszedł i kupił sobie dwie pary dżinsów, dwie koszule, kurtkę i jakieś buty.

- Nie mogę tego kupić.

- Do diabła, z pewnością nie będę kupował tego za ciebie. Jesteś wystarczająco dużym chłopcem...

- Nie stać mnie na kupienie tylu ubrań za jednym razem. Nie mam na to pieniędzy.

- Przecież ci daję. Więc idź i zrób to.

- Ale nie będę mógł panu zwrócić!

Wydało mu się, że zobaczył cień uśmiechu na twarzy mężczyzny.

- Potraktuj to jako prezent. Tylko się pospiesz, nie mamy do dyspozycji całego dnia.

Cutterowi nie podobał się ten uśmiech. Nie znosił, kiedy ktoś z niego kpił.

- Nie potrzebuję jałmużny.

- Potrzebujesz i to jak cholera, bo jak dotąd nie znalazłeś sobie żadnej porządnej pracy.

Ale to się zmieni. Idź teraz po ubrania. I bieliznę. Potrzebujesz nowej bielizny.

- Wiem - warknął Cutter.

- Nie byłem o tym przekonany.

Uwaga ta jeszcze bardziej rozzłościła Cuttera.

- Może po prostu wezmę pieniądze i ucieknę?

- Nie zrobisz tego.

- Skąd pan wie?

- Ponieważ w ciągu ostatniej godziny miałeś niejedną okazję, żeby mnie okraść i uciec, jednak tego nie zrobiłeś. Nie jesteś głupi. Umiesz rozpoznać, kiedy trafi ci się tłusty kasek. Nie zostawisz go, bez względu na to, co się za nim kryje.

Cutter był wściekły, że go tak łatwo rozszyfrował.

- Do diabła, to prawda - zaperzył się. - Kiedy spotykam frajera, ciągnę z niego, ile się da.

- Zatrzasnął za sobą drzwi, odgradzając się tym samym od chichotu Eugene'a.

Oczywiście Leroy Robichaud patrzył na klienta co najmniej podejrzliwie.

- Słyszałem, co nawyrabiałeś u Judda, Cutterze Reid. Jeśli myślisz, że to samo zrobisz u mnie, przeliczyłeś się. Nie odejdę od kasy, dopóki stąd nie wyjdiesz.

Pieniądze sprawiają, że człowiek, który je posiada, czuje się silny i pewny. Cutter prawie czuł ciepło banknotów w kieszeni spodni, toteż zignorował wyrzekania sprzedawcy. Po prostu wybrał ubrania, których potrzebował, podszedł do kasy i wyciągnął pieniądze, jakby robił to na co dzień.

- Skąd masz te pieniądze, Cutterze Reid? - Kiedy chłopak machnął głową w stronę ulicy, Leroy wykręcił szyję, by wyrzeć przez okno, ale nie oderwał rąk od kasy. - Eugene ci je dał? A jaki on ma w tym interes?

Cutter nie odpowiedział, tylko zdjął z półki dwa batoniki.

- Niech pan jeszcze to doliczy - polecił i otworzył opakowanie, po czym zjadł na miejscu czekoladkę.

Wobec tego, że samochód Eugene'a rzeczywiście stał przed sklepem, a on sam siedział w nim cały i zdrowy, Leroy przyjął pieniądze, odliczył resztę i podał ją Cutterowi.

- Jak słyszałem, szykuje ci się podróż do Portland. Chcesz ładnie wyglądać przed sędzią? Co, Cutterze Reid? Czy Eugene załatwi ci też adwokata?

- To nie pańska sprawa - odciął się chłopak.

Wpychając drobniaki do kieszeni, wyszedł ze sklepu.

Eugene spojrział na paczki.

- Gdzie jest jedzenie?

- Jakie jedzenie?

- Nie kupiłeś nic do jedzenia?

- Nic pan o tym nie mówił.

- Na Boga, chłopcze, co z twoim rozumem? Przecież musisz coś jeść! A może lubisz, gdy ci kiszki marsza grają?

- Skoro mam iść do więzienia, po co mi jedzenie?

- A po co ci własne ubrania? - zrewanżował się Eugene i wyciągnął przed siebie dłoń. - Gdzie reszta?

Cutter niechętnie wygrzebał z kieszeni pieniądze i oddał je właścicielowi. Ten wysiadł z samochodu i tym razem sam podążył do sklepu Leroya. Cutter popatrzył na zwisające ze stacyjki kluczyki. Umiał prowadzić, skłamał wtedy Eugene'owi. Gdyby chciał, mógł uciec.

A jednak coś go powstrzymywało. Eugene miał wobec niego jakiś plan i raczej nie wiązał się on z więzieniem. Cutter był ciekaw. Jeśli zamiary mężczyzny okażą się gorsze od perspektywy więzienia, ukradnie samochód. Eugene już kilka razy zostawiał mu taką możliwość, z pewnością zrobi to jeszcze nieraz.

Wrzucając na tylne siedzenie torbę z żywnością, Eugene wśliznął się za kierownicę i uruchomił samochód. Nie zatrzymywał się, póki nie dotarli do granic miasta. Cutter rozpoznał niskie wzniesienie Lampett Peak. Przed sobą miał opuszczoną hałdę błota. Mimo zamkniętych szyb czuć było zapach wilgotnej ziemi.

- Miałem dziesięć lat, kiedy mój ojciec znalazł pierwszy kryształ - zaczął Eugene, opierając się o siedzenie i rozprostowując wygodnie nogi. - To nie było tutaj, tylko w Mount Blue. Uznał, że ten kamień jest najpiękniejszą rzeczą, jaką widział w życiu, ale nie wiedział, co z nim zrobić. Więc pojechał do Bostonu i sprzedał go za jakieś śmieszne pieniądze. Nawet mu nie przyszło do głowy, żeby szukać dalej. Ja jednak poszedłem tym tropem. Spędzałem całe godziny, chodząc i dłubiąc w błocie, wypatrując oczy. Cały czas myślałem, że te kamienie mogą mi przynieść pieniądze, a nie ulegało wątpliwości, że ich potrzebowaliśmy. Byliśmy biedni jak

myszy kościelne.

Cutter nie potrafił sobie tego wyobrazić. Jak sięgał pamięcią, Eugene zawsze był bogaty. Wprawdzie często się tak nie zachowywał - nadal zadawał się ze starymi kumplami - ale posiadał ten rodzaj pewności siebie, która się bierze z poczucia stabilizacji i dostatku w życiu. Cutter nie umiał sobie wyobrazić Eugene'a bez tych atrybutów.

- Całymi latami marzyłem - ciągnął mężczyzna - że znajduję mnóstwo tych kamieni i z dnia na dzień staję się bogaty. W rzeczywistości od dzieciństwa aż do skończenia dwudziestego roku życia pracowałem u Grady'ego, wykonując każdą zleconą mi pracę. Jednak był on prawie tak samo biedny jak my, więc nie mógł nam dobrze płacić, a ojciec tracił w tym czasie wzrok. Mama zajmowała się moim starszym bratem, który także był chory. Życie nie układało się nam różowo, ale ponieważ nikomu ze znajomych nie wiodło się lepiej, nie przejmowaliśmy się. Często nawet śmieliśmy się z tego, czego nie mamy. Siadywaliśmy całą grupą w centrum miasta i marzyliśmy na głos o wielkich pieniądzach. Ja kryłem się z większością moich marzeń, bo były bardziej szalone niż innych.

Potem nadszedł rok tysiąc dziewięćset trzydziesty drugi i wielkie opady deszczu. Mówiono, że znaleźliśmy się na obrzeżach huraganu i choć nie dotarły do nas silne wiatry, to przez trzy dni mieliśmy tu prawdziwe urwanie chmury. Słońce pojawiło się nad Blue niecały tydzień przedtem, zanim zdołałem tam dotrzeć. Deszcz wyrzeźbił we wzgórzu wielką dziurę. I one tam były.

- Ot, tak po prostu leżały na ziemi? - zaciekał się Cutter. Widział zdjęcia Peary Necklace - wszyscy interesowali się turmalinami, odkąd zaczęły przynosić miastu zyski - i starał się wyobrazić sobie szmaragdowozielone kamienie wystające z ziemi.

- Nie. To nie tak, jak myślisz. Turmaliny otoczone są pegmatytem. Czasami dzięki erozji kryształ wychodzi na wierzch, ale zazwyczaj musisz wiedzieć, czego szukasz. Dlatego właśnie miałem niebywałą przewagę nad innymi poszukiwaczami. Ja dokładnie wiedziałem, o co mi chodzi. Po pierwsze zająłem swoją działkę. Potem chciałem dowiedzieć się czegoś więcej na temat tych kamieni. Ile może ich tu być i jakie jest zapotrzebowanie na rynku. Nie zamierzałem oddawać ich za bezcen, jak to uczynił mój ojciec.

Cutter z lekką ironią pomyślał o wielkim domu w mieście i zapewne tak samo dużym w Bostonie. Wspomniał też samochód i piękny skórzany portfel, wypchany grubymi plikami pieniędzy.

- To oczywiście, że nie zrobił pan nic podobnego.

Eugene rzucił mu ostre spojrzenie.

- Ciężko zapracowałem na to, co posiadam. Wykopywałem te kamienie, ile się tylko dało, oczyszczałem je, a potem szukałem najlepszych kupców. A kiedy już wszystko zorganizowałem, wróciłem tutaj i kopałem dalej.

- Dlaczego nie towarzyszyło panu pół stanu? - zainteresował się Cutter. On sam z pewnością by się dołączył. Gdyby żył w czasach, kiedy wybuchła gorączka złota, jako pierwszy wybrałby się na jego poszukiwanie.

- Bo ja byłem inny. Byłem zorganizowany. Miałem pewną wiedzę o turmalinach, wiedziałem, jak powstają i gdzie ich szukać. Poznałem też rynek i najkorzystniejsze warunki zbytu. Turmaliny nie są tak wartościowe jak diamenty. Jeden kamień nie robi z człowieka bogacza. Dopiero kiedy zapewni się ich stały dopływ na rynek, można zarobić prawdziwe pieniądze. Tak więc wynająłem większość moich przyjaciół, by dla mnie pracowali, gwarantując im poziom życia, jakiego nie osiągnęliby u nikogo innego.

- Był pan tak przekonany, że źródło kamieni się nie wyczerpie?

- Nie, ale pomyślałem sobie, że tygodniowe zarobki to więcej niż nic, więc pracowałem z tygodnia na tydzień. I nadal się trzymam. - Wyprostował się i założył ręce na kierownicę. - Właśnie zamierzamy otworzyć Lampett Peak. Ta hałda pochodzi z pierwszych wierceń. Musimy wykopać o wiele głębszą dziurę, jeśli chcemy do czegoś dotrzeć. Szukam pracowników. - Opuścił ręce. Jedna zamknęła się na kluczykach do stacyjki i silnik ożył. Eugene zawrócił samochód.

Cutter przyglądał mu się uważnie. Zastanawiał się, czy właśnie nie zaoferowano mu pracy. Nie był pewien, czy chciałby ją przyjąć.

Jak gdyby przeczuwając z góry sprzeciw, Eugene powiedział:

- Twój tata pracował dla mnie przez jakiś czas, ale nie wtedy, gdy zginął. Umarł przez alkohol. Miał zdegenerowany umysł, więc nie potrafił ani jasno działać, ani myśleć. Zaczął pić, zanim rozpoczął pracę u mnie, zanim ożenił się z twoją matką i zanim ty pojawiłeś się na świecie. - Zamilkł, a po chwili, prawie od niechcienia, dodał: - Nie zauważyłem, żeby u ciebie w domu walały się jakieś butelki. Może leżały gdzieś pod tymi rupieciami?

- Myśli pan, że piję, bo robił to mój ojciec?

- Nie wiem. A pijesz?

- Nie mam pieniędzy na jedzenie. Skąd bym je wziął na alkohol?

- Ludzie, którzy go potrzebują, zawsze znajdą sposób na kupno. - Eugene zerknął na pa-

sażera. - Nie opowiesz mi, jaki to z ciebie dorosły mężczyzna i ile potrafisz wypić?

Cutter odwrócił twarz do bocznej szyby.

- Po co? - mruknął. - Widział mnie pan bez spodni.

- Z tym też masz problemy?

- Nie mam żadnych problemów!

- Mnóstwo kobiet?

Cutter prychnął.

- Jasne.

- Postaraj się wyglądać trochę porządniej, a będziesz je miał. Niezgorszy z ciebie chłopak. Trochę pojesz, to nabierzesz masy.

Cutter znowu prychnął. Czuł się skrępowany, rozmawiając o swoim ciele. Eugene miał rację.

- Niech pan posłucha! Czy chce mnie pan w końcu zawieźć do więzienia, czy nie?

- Jeszcze sam tego nie rozszyfrowałeś, chłopcze?

- Nie zawiezie mnie pan?

Eugene nie odpowiedział. Nie odzywając się więcej, odwiózł Cuttera do jego domu. Dopiero gdy zatrzymał samochód, powiedział:

- Chciałbyś dla mnie pracować?

- Nie wiem.

- „Nie wiem” nie zaprowadzi cię daleko. Masz ochotę poznać inne miejsca oprócz sądów i więzień?

- Tak myślę.

- W takim razie chcesz pracować. Staw się w Lampett Peak jutro rano o siódmej. Wczesnie zaczynamy. Najedz się, inaczej będziesz głodny na długo przed lunchem. I posprzątaj ten chlew. To wstyd.

Cutter z początku chciał się sprzeczać. Na końcu języka miał wiele ostrych słów, jak choćby „odpieprz się pan”, ale nie mruknął ani słowa. W zamian zapytał:

- Jak poradzi pan sobie z Verne'em?

- To już mój problem. Jest szczęśliwy, że się ciebie pozbył. Cały kłopot to Judd. Będę musiał z nim pogadać. Ale pamiętaj, chłopcze, na tę stację możesz wrócić tylko po to, żeby kupić paliwo i to za własne pieniądze. Inaczej nigdy nie będziesz już dla mnie pracował. Moi robotnicy nie kradną. Jeśli mają problem i potrzebują pożyczki, przychodzą z tym do mnie. - Eu-

gene nabrał powietrza. - Umiesz gotować?

- Trochę.

- W bagażniku jest trochę drewna. Rozpal nim w piecu. Masz tam też kanister benzyny do twojego motoru. Będziesz go potrzebował, żeby dotrzeć do Peak.

Cutter był zmieszany.

- Dlaczego pan to robi?

Eugene popatrzył na niego łobuzersko.

- Bo jestem frajerem. Czy nie tak mnie nazwałś?

- Gdyby pan był frajerem, nie doszedłby pan do tego wszystkiego, co pan obecnie posiada - stwierdził Cutter. Czuł, że powinien był to powiedzieć Eugene'owi po tym, co ten dla niego zrobił. - Dlaczego pan ryzykuje?

- Może dlatego, że tak mi się podoba. A może dlatego, że myślę, iż miałbyś lepszy start, gdybym pomógł twojemu ojcu. Być może lubiłem faceta, a już go tu nie ma, żeby cię przypilnował jak trzeba.

Jak na gust Cuttera, robiło się stanowczo zbyt sentymentalnie.

- Wie pan, co w tym mieście o mnie myślą. Cokolwiek złego wydarzy się w kopalni, będą za to winili mnie, a pana za to, że mnie przyjął.

- Tym się nie przejmuj. Ty tylko dopilnuj, żebyś rzeczywiście nie był odpowiedzialny za żadną szkodę, a reszta jakoś się ułoży.

- Jest pan pewien?

- Tak. Nikt nie oskarży cię o coś, czego nie zrobiłeś, przynajmniej nie w mojej kopalni. Zwracam wielką uwagę na uczciwość. I lojalność. Jestem lojalny w stosunku do moich ludzi, a oni odpłacają mi tym samym.

- Nic nie wiem na temat lojalności.

- A więc najwyższy czas, żebyś się czegoś dowiedział. Chyba że uważasz, iż cię na to nie stać. To jak, chłopcze? Boisz się, że nie podołasz?

- Dam sobie radę.

- W takim razie wyskakuj z wozu i zacznij od porządków we własnym domu. Od rana czeka cię mnóstwo roboty.

Rozdział siódmy

Początkowo Cutter pracował w kopalniach St.George z czystej przekory. Nikt, nawet Eugene St.George nie będzie mu mówił, że czemuś nie podoła. Zresztą wszyscy dokoła uważali, że nie nadaje się do niczego. Stało się jego ambicją, by udowodnić im, że jest inaczej. Im bardziej podejrzliwe spojrzenia rzucali mu ludzie, im więcej słyszał przykrych uwag, tym ciężiej i z większym poświęceniem pracował. Po tygodniu, potem po miesiącu coraz rzadziej spotykał złośliwe reakcje z ich strony, z czasem przestali szeptać na jego widok. Mimo to w kopalni nigdy nie czuł się swobodnie i swojsko. Ale nie mógł za to winić jedynie górników. On sam się izolował. Lata spędzone w samotności odbiły się niezatartym piętnem na jego psychice, nie przygotowały go do koleżeństwa, jakie łączyło innych robotników. Cutter pozostawał w kopalni tyle, na ile pozwalał mu zarządca. Pod koniec dnia wracał do swojej chaty i książek.

Choć element przekory nigdy tak naprawdę nie wygasł, z upływem czasu Cutter zaczął się interesować tym, co robi. Nie chodziło tu o codzienną pracę, gdyż nie było nic ciekawego w mozolnym grzebaniu się w ziemi i wybieraniu kamieni. Jednak zawsze, kiedy natknął się na nowe złożę albo znalazł jakiś specjalny okaz, zapominał o ciężkiej robocie.

Cutter zawdzięczał to Eugene'owi. Od samego początku - na tyle subtelnie, by nie dać odczuć reszcie pracowników, że kogoś faworyzuje - Eugene dawał mu podstawy wiedzy o wydobywaniu kamieni szlachetnych. Pod koniec szychty, kiedy większość górników rozchodziła się już do domów, brał chłopca ze sobą i pokazywał mu zebrane tego dnia kamienie. Tłumaczył mu, w jaki sposób tworzyły się te kryształy, uwięzione przed milionami lat w stanie płynnym w bogatym w lit pegmatycie. Pokazywał mu kamienie o różnych kolorach i wyjaśniał, dlaczego niektóre z nich, nazywane „kocimi oczkami”, mają mleczną skazę albo skąd wzięły się równie ciekawe, dwukolorowe kryształy nazywane arbusami. Podarował chłopcu książki dotyczące historii geologii, z zakreślonymi rozdziałami mówiącymi o turmalinach.

W dużej części zainteresowanie Cuttera brało się ze sposobu traktowania go przez Eugene'a. Ten obcy mężczyzna rozmawiał z nim jak z osobą dorosłą i inteligentną. Uwierzył w Cuttera, zanim on sam zdążył to zrobić. Wydawało się, że wspólnie spędzany czas sprawia Eugene'owi przyjemność, a i Cutter powoli stał się bardziej pogodny, przestał być spięty i zaczął się cieszyć na te spotkania. Eugene był pierwszą osobą, której mógł zaufać. Bywało, że mijały całe dnie, kiedy się nie widzieli, ale Cutter zawsze miał uczucie, że Eugene o nim pamięta. W zamian za to chłopak dawał z siebie wszystko. Pracował ciężko i z takim zacięciem, jak żaden

inny pracownik St. George Mining.

Jednak jego metamorfoza poza kopalnią przebiegała znacznie wolniej. Opinia, że jest chuliganem, zakorzeniła się mocno w pamięci mieszkańców, a on nie robił nic, żeby to zmienić. Pamiętając jednakowoż ostrzeżenie Eugene'a, zaprzestał wszelkich działań niezgodnych z prawem. Ale na ulicy dalej zachowywał się jak zabijaka. Przeklinał i wymachiwał rękami w obraźliwych gestach, jak szalony przemierzał na swoim motorze ulice miasta. Skoro przez całe lata ludzie mieli o nim jak najgorsze zdanie, to nie widział powodu, by je zmieniali. Nie chciał ich traktować jak przyjaciół. Nic im nie był winien.

Jeśli już poczuwał się do wdzięczności, to tylko w stosunku do Eugene'a. Pomijając pracę w kopalni, ten mężczyzna dał mu o wiele więcej, niż kiedykolwiek dostał od swoich rodziców. Jeszcze na początku ich znajomości Eugene sprawił, że włączono mu w domu prąd. Kazał naprawić przeciekający dach i wymienić kanalizację. Przesyłał chłopcu żywność. Zadbał nawet o to, by kupić mu siekiere, żeby mógł rąbać drewno na opał. Na długo przed tym, zanim odebrał pierwszą wypłatę, Cutter zaczął żyć w warunkach stokroć przewyższających jego najśmielsze oczekiwania. Eugene otworzył chłopcu konto w banku i tam znalazły się pieniądze z jego pierwszej pensji. Mógł je podjąć dopiero po upływie trzech miesięcy, ale i tak nie były mu potrzebne.

Po raz pierwszy w życiu Cutter czuł się zabezpieczony. Miał ubranie, jedzenie i pieniądze w banku. Utył nieco, zmęźniał i rzadziej już mówił z wieśniaczym akcentem, którego używał dotychczas z czystej przekory. Był ogromnie dumny z faktu, że potrafi się sam utrzymać.

Eugene stał się jego bohaterem, wzorem do naśladowania. Cutter podziwiał go za to, że osiągnął w życiu sukces dzięki rozsądkowi i determinacji. Daleki od jakiegokolwiek zawiści, był wobec niego bezgranicznie lojalny. Przekonał się też, że odwiedziny w miejskiej pralni nie są takie straszne, a żywność dłużej się przechowuje, jeśli się ją owinie i schowa do lodówki. Skończyły się również problemy ze światłem, odkąd pamiętał, by w terminie płacić za nie rachunki.

Eugene miał też rację co do kobiet. W miarę jak stawał się wyższy i szerszy w barach, częściej się golił i dbał o siebie, coraz bardziej zwracały na niego uwagę. Jednak nie spieszyło mu się, aby się wiązać z którąś z nich na stałe. Zbyt sobie cenił swoją samotność i niezależność. Potem nadszedł dzień, kiedy na prośbę bibliotekarki pomógł jej odnieść książki do maleńkiego domu na tyłach Main Street. Tam niespodziewanie znalazł się w jej sypialni, niepewnie oparty o ścianę, czując, jak jej ręce błędzą po jego ciele. Była piękną kobietą dobiegającą trzydziestki i

doskonale wiedziała, co robi. Wilgotnymi i gorącymi ustami głośno łąpała oddech, pożądlawie dysząc mu w ucho, dłońmi gładziła jego pierś. Bez kłopotu poradziła sobie z suwakiem spodni, a potem, niczym się nie krępując, dotknęła jego wyprężonego członka.

Przez następną godzinę robiła z nim rzeczy, o których dotychczas mógł tylko marzyć, a w ciągu nadchodzących tygodni wprowadziła go we wszystkie arkana sztuki miłosnej. Był to idealny układ. Bibliotekarka, podobnie jak on, wiodła samotne życie i nie chciała się bliżej wiązać. Całkowicie jej wystarczały te chwile żarliwej i namiętnej miłości. Wiedział, że sypiała także z innymi, ale ten fakt sprawiał tylko, że jeszcze bardziej czuł się mężczyzną, a nie chłopcem, którym był w rzeczywistości.

Nikom nie rozpowiadał o Lenore. Domyślał się, że ludzie z miasteczka i tak wszystko wiedzą, ale się tym nie przejmował. To, co się między nimi działo, było wyłącznie jego sprawą. Przypominało mu to schowane w kieszeni pieniądze, których obecność stale czuł i czerpał z tego przyjemność.

Związek z Lenore stanowił jedną z wielu jego tajemnic. Inną było marzenie, żeby Eugene stał się jego ojcem. Tę skrytą myśl psuła świadomość, że zostałby przybranym bratem Johna St.George'a. Ostatecznie więc dziękował Bogu, że nim nie jest, ponieważ, jak do tej pory, właśnie John stanowił jedyną drzazgę, jeśli chodziło o pracę w kopalni.

Mówiło się, że młody St.George ma okazałe biuro w Bostonie i nienawidzi przyjeżdżać do Timiny Cove. Cutter w to wierzył, gdyż John był zawsze sztywny i zarozumiały, a turmaliny interesowały go o tyle, o ile były potencjalnym źródłem zysków. Ich urok zupełnie na niego nie działał. Na ludzi patrzył podobnie, w przeciwieństwie do swojego ojca. Eugene był wymagający i jeśli mu coś nie odpowiadało, mówił o tym prosto z mostu, ale potrafił docenić i pochwalić dobrą robotę. Natomiast John był zawsze skrzywiony. Nigdy nie powiedział górnikom dobrego słowa i wyszukiwał błędy tam, gdzie nie doszukał się ich ani zarządca, ani nawet sam Eugene. Kiedy odwiedzał kopalnię, atmosfera stawała się napięta i nerwowa.

Na czas przyjazdów Johna o wiele rzadziej widywało się w firmie Eugene'a. Wzywał on syna do Timiny Cove, gdy musiał pilnie sam gdzieś wyjechać albo odwiedzała go jego mała córeczka. Dla Cuttera były to ciężkie chwile. John go nie lubił. Cutter nie wiedział, czy miał mu za złe jego wiek, zapal do pracy czy względy, którymi darzył go Eugene. W każdym razie John robił wszystko, by upokorzyć go na oczach innych pracowników. W takich momentach Cutter musiał uzbroić się w największą cierpliwość, gdyż marzył tylko o tym, by rzucić się na syna właściciela i dołożyć mu z całej siły. Jednak Eugene nigdy by tego nie pochwalił, wprost

przeciwnie, więc chłopak nie miał zamiaru ryzykować i narażać się z tak głupiego powodu na ostre reprimendy szefa. Samokontrola stała się jego następnym powodem do dumy.

Cutter nie mógł się nadziwić, że ktoś taki jak John może być synem Eugene'a, tym bardziej że poznał jego siostrę, małą Pamelę St.George. Była to osóbką niezwykłą, bystra, pełna radości życia i tak samo przyjacielska wobec ludzi jak jej ojciec. Cutter dał się oczarować jej wdziękiem już podczas ich pierwszego spotkania w kopalni. Nie potrafił się powstrzymać, by się nie przyglądać, jak serdecznie wita się z górnikami, obejmując niektórych w uścisku. Kiedy zbliżyła się wreszcie do niego, Eugene przedstawił ich sobie i Cutter zauważył, że dziwnie zamilkła, a na jej twarzy pojawił się zabarwiony zawstydzeniem uśmiech. Tym całkowicie zdobyła sobie serce Cuttera.

Pamela miała wtedy dziewięć lat i przepełniał ją niepokromiony entuzjazm. Jednocześnie była tak krucha i delikatna, że wyzwaliała we wszystkich chęć otaczania jej troskliwą opieką. Z czasem Cutter uświadomił sobie, że traktuje ją w ten sam ojcowski sposób jak reszta robotników. Często zdarzało się, że Eugene musiał gdzieś wyjechać, a ona akurat znajdowała się w kopalni. Wówczas wybierała sobie opiekuna i zazwyczaj zwracała się do Cuttera. Choć śmiała się i żartowała z innymi, w końcu podchodziła do niego, zakładała ręce na plecy i miękkim, choć rezolutnym głosem pytała, jak się czuje i czy może pokazać jej znalezione tego dnia kryształy. Później pograżali się w długich, pasjonujących rozmowach. Oboje czuli, że odkryli w sobie pokrewne dusze. Czas mijał im błyskawicznie. Kiedy się żegnali, Pamela niezmiennie obdarzała go tym samym nieśmiałym uśmiechem, który ogrzewał mu serce aż do następnego spotkania.

Po raz pierwszy pojawiła się u niego w domu, gdy miała jedenaście lat. Pewnego sobotniego poranka obudził go jej głos, wołający go po imieniu.

- Cutter? - Brzmiało to cicho, prawie strachliwie. - Cutter, jesteś tam?

Chociaż pracował w kopalni już od dwóch lat, nie zadawał się z okolicznymi mieszkańcami. Bardzo rzadko ktoś go odwiedzał. Dlatego też minęła spora chwila, zanim zdał sobie sprawę, że nie śni. Kiedy ponownie usłyszał wypełniony strachem i ciekawością głos, wyskoczył z łóżka, włożył spodnie i wyjrzał przez okno. W mgnieniu oka otworzył drzwi.

Pam siedziała na oklep na koniu, którego Cutter nieraz widywał w pobliżu murowanego domu Eugene'a. Dziewczynka w porównaniu ze zwierzęciem wydawała się taka mała, że Cutter nie mógł powstrzymać się od śmiechu.

- Co ty tu robisz, Pamelu St.George?

- Odwiedzam cię.

- Nie wiedziałem, że jesteś w Timiny Cove.

- Przyjechaliśmy wczoraj wieczorem z Johnem i Marcy. Mam wolne, bo w poniedziałek wypada Dzień Pamięci Narodowej.

- I przebyłaś całą tę drogę na koniu?

- To sama przyjemność. Poza tym, to koń wykonał całą robotę.

- Czy twój tata wie, gdzie jesteś?

- Wyjechał z Johnem. W domu została Marcy i wie, że wybrałam się na przejażdżkę. Chciałam zobaczyć, gdzie mieszkasz.

- Nie ma porównania z twoim domem.

- Myślę, że tu jest ciekawiej. Mieszkać w lesie to dopiero coś! Czy mogę wejść?

- Jeśli na koniu, to nie.

- Pomóż mi zsiąść.

Opuszczając lejce, wyciągnęła do niego ramiona. Jednym ruchem zdjął ją z konia, którego potem przywiązał do rosnącej koło domu brzozy. Kiedy się odwrócił, wbiegała już po schodach do środka.

- Ojej - westchnęła, zaglądając przez drzwi. - Tu jest fantastycznie! - Uśmiechając się do Cuttera, weszła do środka.

Ten jeden uśmiech jedenastoletniej dziewczynki sprawił, że poczuł się dumny z tego, co do tej pory tu zrobił. Stół był czysty i wypolerowany, z krzesłami po obu stronach. Piec oczyszczony z sadzy, a biegnące wokół niego półeczki lśniły ustawionymi porządnie talerzami. Ściany, kiedyś oblażące z farby, teraz były czyste i odmalowane. Cutter zrobił małą szafkę, na której ustawił książki, radio i inne drobiazgi. Pod stryszkiem, w miejscu, gdzie kiedyś znajdował się tapczan rodziców, ustawił łóżko z baldachimem, aby mógł wygodnie wyciągnąć swoje osiemnastoletnie ciało.

- Widziałam je już kiedyś - powiedziała Pam, wskazując na łóżko. - Stało na naszym poddaszu. Należało do dziadków.

- Twoich dziadków? - Eugene nie powiedział mu tego. Kiwnęła głową.

- Umarli dawno temu, nie znałam ich. A wiesz, zastanawiałam się czasem, co się stało z tym łóżkiem. Cieszę się, że tata podarował je tobie. - Uśmiechnęła się do Cuttera tym swoim zawstydzonym uśmiechem. - Tu jest naprawdę miło, Cutter. Dom sprawia wrażenie jakiejś tajemnej pustelni w lesie. Gdyby do mnie należał, nie chciałabym go wcale opuszczać. Jak mo-

żesz wychodzić do pracy?

- Jeśli nie będę pracować, twój tata mnie zwolni. Co wtedy zrobię?

- Zacznesz pracować dla kogoś innego. Ale wtedy nie będę cię widywała, więc lepiej pozostań tam, gdzie jesteś. - Wyszła na zewnątrz. - Co jest w tym lesie?

- Drzewa.

- Wiem, ale czy są tam jakieś polany, wzgórza?

- Jest strumień.

Oczy dziewczynki rozświetliły się.

- Pokażesz mi go?

- Jeśli tu poczekaasz, aż się ubiorę. Obudziłaś mnie.

- Cieszę się - stwierdziła bez żalu. - Nikt nie powinien przesypiać dnia.

- Czy to twoje słowa, czy taty?

- On to powiedział, ale przyznaję mu rację. Pospiesz się, Cutter, ja już biegnę. W którą stronę?

Cutter natychmiast wyobraził sobie, że dziewczynka gubi się w gąszczu i błądzi godzinami po leśnych ostępach.

- Masz tu zaczekać, aż się ubiorę, bo inaczej nigdzie cię nie zaprowadzę. - Popatrzył na nią przez chwilę, upewniając się, że nigdzie nie odchodzi, i wszedł do domu po koszulę i trampki. Potem ruszyli na spacer do strumienia.

Był ciepły wiosenny dzień. Słońce znaczyło im drogę, igrając między konarami klonów i dębów. Cutter szedł pierwszy, zaraz za nim Pam. Nie rozmawiali, wsłuchani w stukot dzięcioła, kukanie kukułki i szelest liści. Kiedy dotarli na miejsce, Cutter ukucnął i nachylając się jeszcze bardziej, opryskał głowę zimną, kryształowo czystą wodą. Obok domowego prysznica był to gwarantowany, a jednocześnie najprzyjemniejszy sposób spędzenia z powiek resztek nocnego snu.

Strzepując włosy, spojrział na Pam. Kucnęła w pobliżu, bawiąc się błyszczącymi kamyczkami, leżącymi przy brzegu.

- Podoba mi się tutaj - powiedziała.

Zgadzał się z nią całkowicie. Panował tu kojący spokój i cisza. Ten las i strumień stanowiły najlepsze miejsce pod słońcem, aby odpocząć, a w złych chwilach zapomnieć o wszystkich troskach. Tak rozmyślając, Cutter wyprostował się, wziął głęboki oddech i oparł się o pobliskie drzewo. Pam dalej bawiła się kamieniami. Po chwili wybrała najmniejszy, wstała i rzu-

ciła nim w środek strumienia. Upadł z melodyjnym pluśnięciem, tworząc na wodzie niezliczone kółka. Kiedy zniknęły, rzuciła następny. Była zafascynowana tworzącymi się na wodzie okręgami.

- Każdy z nich jest inny - wyszeptała.

- To przez prąd wody.

- Są jak płatki śniegu.

- Podobne.

- I tak szybko nikną.

- Tak.

- Ale są piękne.

Cutter, patrząc na Pam i słuchając jej radosnego szczebiotu, podziwiał delikatność dziewczynki i wrażliwość jej duszy. Trudno było uwierzyć, że należała do rodziny finansowych potentatów. Prawdopodobnie posiadała i tu, i w Bostonie mnóstwo pięknych rzeczy. Mimo to potrafiła zachwycać się kołami na wodzie, ptakami czy nie wyszlifowanymi turmalinami. To było niezwykle i wspaniałe.

Prostując się, wytarła ręce w spodnie.

- Muszę już iść, Cutter.

Odprowadził ją z powrotem do miejsca, gdzie przywiązał konia. Kiedy znalazła się już na jego grzbiecie, powiedziała nieśmiało:

- Bardzo mi się tam podobało. Zabierzesz mnie jeszcze kiedyś?

Kiwnął głową. Trzymając wodze, prowadził ją wyboistym gościńcem.

- Nie musisz mnie dalej odprowadzać.

- Tylko do głównej drogi.

- Nie trzeba, Cutter.

Jednak uparł się. Pam była córką Eugene'a i kimś zupełnie wyjątkowym. Nigdy by sobie nie wybaczył, gdyby cokolwiek jej się stało. Czuł się za nią odpowiedzialny i choć to nowe uczucie było dla niego zaskoczeniem, wcale mu nie przeszkadzało.

Pam musiała to wyczuć, bo odwiedzała go potem jeszcze wiele razy. Zawsze zjawiała się sama, nie zostawała długo i nigdy się nie naprzykrzała. W rzeczywistości wydawało się, że krępuje ją, iż zabiera mu zbyt wiele czasu. Śmieszyło to Cuttera, bo przecież nie miał innych znajomych ani rodziny. Zawsze pragnął zachęcać ją, by zjawiała się jak najczęściej i zostawała tak długo, jak jej się tylko podoba. Ale nie robił tego. Nie wydawało mu się to odpowiednie.

Pam była jeszcze małą dziewczynką. Siedem lat młodszą od niego. Nie chciał, by ludzie nabrali błędnych wyobrażeń.

Ich przyjaźń cechowała młodzieńcza niewinność. Na początku nawet nie rozmawiali dużo ze sobą. Przechadzali się po lesie, słuchali radia albo po prostu siadywali na ganku. Przy wszystkich innych Pam była gadułą, zaś w obecności Cuttera zachowywała się cicho i spokojnie. Chłopiec czuł, że dziewczynka go lubi, z upodobaniem odwiedza jego dom i przedkłada jego towarzystwo nad wszystkie inne zajęcia. Wiedział też, że Pam mu ufa. Miał nadzieję, że podobnie jak on odczuwa w czasie tych spotkań ten sam rodzaj zadowolenia.

Stopniowo zaczęli ze sobą rozmawiać. Pam miała wtedy około dwunastu lat. Przez kilka kolejnych wizyt zachowywała się ciszej i spokojniej niż zazwyczaj, aż Cutter zmartwił się, czy aby nie zrobił czegoś nie tak. Najbardziej obawiał się, że znudziły ją te odwiedziny i chce je zakończyć, ale nie bardzo wie, jak to zrobić. W końcu, pełen strachu, zapytał ją o to.

- Nic się nie dzieje - stwierdziła smutno.

- Nie wyglądasz na szczęśliwą.

- Ależ skąd. - Uśmiechnęła się bez przekonania.

- Jeśli wolisz być w domu z ojcem...

- On jest teraz z Johnem - przerwała mu i zamiast uśmiechu na twarzy pojawił się grymas bezsilnego gniewu. - Kiedy wyjeżdżałam, właśnie się kłócili. Kłócą się bez przerwy. - W pośpiechu opowiedziała mu o tym, aż jej zabrakło tchu.

Cutter rozumiał, że Pam czuje się nieswojo, mówiąc o bracie, więc na nią nie naciskał. Ale następnego dnia znowu mu się zwierzyła. Wyglądało na to, że potrzebuje się wygadać i choć nie potrafił jej nic poradzić, wydawało się, że jest mu wdzięczna za samo słuchanie.

Kilka następnych miesięcy potwierdziły jego przypuszczenie, ponieważ wspólne rozmowy stały się ich głównym zajęciem. Początkowo to Pam opowiadała o sytuacji w domu. Cutter nie chciał się otwierać; od kiedy pamiętał, trzymał dla siebie swoje problemy i przemyślenia. Ale dziewczynka delikatnie, acz wytrwale wciąż wypytywała o jego życie, zadawała pytania, które krok po kroku zmuszały go do wyjawiania prawdy o sobie. Gdyby pochodziły od kogoś innego, uznałby je za Wścibskie, podejrzane i ośmieszające. Jednak Pam nie obrażała go. Tak jak ona zaufała jemu, on stopniowo zaczął ufać jej.

- Słyszałam, jak Leroy opowiadał Rufusowi, że wczoraj coś się wydarzyło w kopalni. Byłeś tam, Cutter. Mówili, że z kimś się sprzeczałeś. O co chodziło?

- To nic takiego. - Cutter wzruszył ramionami.

- Opowiedz mi.

- Jethro upadł, ale już wszystko z nim w porządku.

- Jednak na początku tak nie było. Rufus mówił, że nie mógł się podnieść. Biedny Jethro. Ciężko mu chodzić. Znowu bolały go nogi?

- Cierpi na dość poważny artretyzm. Kiedy stoi, wszystko jest O.K., ale ma problem z wstawaniem.

- Więc co się wczoraj wydarzyło?

Cutter doskonale pamiętał całe zajście. Z zaciśniętą szczęką zaczął opowiadać:

- Simon i John przechodzili obok odpoczywającego Jethro. Zazwyczaj Simon nie zwraca na to uwagi, bo Jethro wykonuje porządnie swoją robotę, ale tym razem z powodu obecności Johna popędził Jethro. Ten chciał się szybko podnieść, stracił równowagę i upadł.

- Pomogłeś mu wstać.

- Rufus tak powiedział?

- I że nagadałeś Simonowi.

- Wiesz, to nie było w porządku - tłumaczył Cutter. - Stary Jethro stara się, jak może. Przychodzi do pracy z samego rana i zostaje do samego końca. I jest dobry w tym, co robi; nigdy nie widziałem, żeby wyszczerbił jakiś kamień. Eugene wie, że Jethro nie czuje się najlepiej, podobnie Simon. Zwykle są dla niego wyrozumiali. A tu nagle, ni z tego, ni z owego, Simon na niego wrzeszczy.

John mu wtórował twierdząc, że Jethro nie powinien już pracować, i to prosto w twarz starego. Więc zdenerwowałem się i przypomniałem Simonowi, że poza Eugene'em tylko Jethro wie tak dużo na temat turmalinów i że to właśnie on mówi nam, co robić, kiedy mamy kłopoty. W takich sytuacjach Simon siedzi cicho lub wychodzi na kawę. - Cutter prychnął. - Nie podobała mu się moja mowa.

- Ale cię nie wyrzucił.

- Mógłby, choć nie za to. Bo miałem rację. I wiedział, że Eugene by się ze mną zgodził. Jethro pracuje dla niego o wiele dłużej od Simona. Ma kłopoty z nogami, ale co ma zrobić? Nie umie nic innego, a zresztą nikt by go już nie zatrudnił. Jest za stary. A przecież musi z czegoś żyć.

Pam wpatrywała się w niego wielkimi ze zdziwienia oczami.

- Powiedziałeś to wszystko Simonowi?

- Skąd. Wściekł się już po mojej wzmiance na temat kawy. Poza tym obok stał John i

wrzasnął na mnie, żebym się zajął swoimi sprawami. Nie chciałem przeginać.

- Nie lubisz Johna?

Ze wszystkich pytań, które zadawała, na to najtrudniej mu było odpowiedzieć. Miał ogromną ochotę wyrzucić z siebie całą niechęć do Johna, ale pamiętał o tym, że mimo wszystko jest on bratem Pam. Chociaż go nie lubiła i nie kryła się z tym, jemu nie wypadało mówić źle na jego temat. Może gdyby była w jego wieku lub starsza, czułby się inaczej. Ale przecież była jeszcze dzieckiem.

Wzruszył więc ramionami i powiedział tylko:

- John jest w porządku.

- Lubisz go? - zapytała z niedowierzaniem i nagle zrozumiał, że cała sprawa stała się testem na jego szczerość.

- Tego nie powiedziałem. Prawie go nie znam. Rzadko bywa w kopalni. Poza tym nie mam żadnego interesu, żeby go lubić czy nie. Jest twoim bratem. Synem mojego pracodawcy. W pewnym sensie moim pracodawcą.

- Ale jak możesz go lubić?

- Nie lubię go - wyrzucił wreszcie z siebie, co, jak się później zastanowił, jasno dowodziło, że w rękach Pam miękł jak glina.

Odetchnęła z ulgą i tonem osoby dużo starszej, niż była w rzeczywistości, stwierdziła:

- Cieszę się. Już zaczynałam myśleć, że tylko ja jedna go nienawidzę.

Nie, pomyślał Cutter, nie ty jedna. Większość robotników z kopalni nie znosiła Johna, ale chyba najbardziej dał się we znaki Cutterowi. John uparł się, żeby mu dokuczyć. Cutterowi ciężko to było wytrzymać, choć tłumaczył sobie, że John jest po prostu zazdrosny. Nawet w najmniejszym stopniu nie był tak blisko z ojcem jak Cutter. Chłopiec uznał, że każdy syn w takiej sytuacji stałby się zazdrosny. Ale to nie dawało Johnowi prawa, by mu dogryzać, zwłaszcza na oczach innych górników. Cutter posiadał swoją dumę.

Zdał sobie z tego sprawę właśnie podczas starć z Johnem. Początkowo sam się sobie dziwił, po co pcha się w kłopoty. Sprawa z Jethro Lamallem była pierwszą, w której sprzeciwił się niesprawiedliwemu traktowaniu. Później były następne. Nigdy nie miał pretensji do Eugene'a. Czasami do Simona, ale tego zazwyczaj podjudzał John.

To on stanowił problem. Cutter był pewien, że gdyby syn Eugene'a spędzał więcej czasu w kopalni, to większość górników zwolniłaby się z pracy. Na szczęście dla wszystkich pojawiał się najwyżej na tydzień w ciągu miesiąca i tylko tym rekompensował zamieszanie, jakie w tym

czasie powstawało. Posiadał specyficzne zdanie na temat kierowania kopalnią. Choć Eugene robił to od dobrych trzydziestu lat, jego syn uważał, że zna się na tym lepiej. Twierdził, że pracownicy powinni więcej z siebie dawać, a zarazem dużo mniej zarabiać. Nawet młodszy mężczyźni, którzy posiadali siłę i energię, by pracować ciężiej, nie podołaliby jego wymaganiom. Co dopiero mówić o starszych, którzy byli ich ojcami, braćmi i przyjaciółmi.

Cutter nie był niczym synem ani bratem. Nie miał na utrzymaniu żadnej rodziny i nie musiał się martwić, że jeśli zdenerwuje Johna, kara spadnie na kogoś z bliskich. Nie miał tak wiele do stracenia jak reszta.

Z tego też powodu bronił ich. Poza tym nie bał się i nie lubił Johna. Nie znosił, kiedy tamten poniżał jego lub któregoś z pozostałych robotników. Przeciwdstawianie się mu w obecności otoczenia sprawiało mu satysfakcję, zwłaszcza że wiedział, iż walczy w słusznej sprawie i że Eugene poparłby go. Choć oficjalnym szefem był Simon, czuł, że on sam w pewnym sensie bardziej reprezentuje na terenie kopalni Eugene'a.

Inni górnicy też tak to odbierali, coraz częściej zwracali się do Cuttera, kiedy działo się coś złego. Prywatnie, w domowym zaciszu, wcale nie marzyło mu się miano bohatera i obrońcy, dalej pozostawał samotnikiem, ale w kopalni stawał się z wolna rzecznikiem praw swoich kolegów. Czuł się z tym dobrze. Dawało mu to poczucie siły.

Coraz częściej sprzeczał się z Johnem, który denerwował się tym bardziej, iż rozumiał, że Cutter ma za sobą szacunek i poparcie współpracowników. Simon także go szanował - albo szanował fakt, że inni zgadzali się na jego przewodnictwo - i nieraz pozostawiał mu kontrolę nad kopalnią. Ponieważ rzadko kiedy zdarzało się to w obecności Johna, Cuttera to nie cieszyło. Nie zależało mu na tym, by zostać zarządcą. Nie pociągało go rozkazywanie innym. Swoją prestiż wykorzystywał w cichej batalii przeciwko Johnowi. Władza w żadnym innym kontekście nie ekscytowała go.

- Tata i John znowu się dzisiaj kłócili - wyjawiała Pam pewnego letniego wieczora. Cutter wybrał się do miasta po piwo i natknął się na nią, gdy siedziała na schodkach przed sklepem Leroya. Nie potrafiąc się oprzeć, usiadł obok niej. - Tym razem chodziło o ciebie.

- O mnie? - zapytał z półuśmiechem. Wyglądała tak poważnie, tak dorośle w podkoszulku i wciętych džinsach, z końskim ogonem na głowie i gołymi stopami.

- Tata powiedział, że kiedyś będziesz kierował kopalnią. John się z nim nie zgodził.

- Domyślam się. Ale nie musi się o to martwić. Nie chcę kierować kopalnią.

Pam wyglądała na zdumioną.

- Dlaczego nie? Rządziłbyś wszystkimi. Więcej byś zarabiał.

- To by oznaczało więcej kłopotów.

- A teraz je masz?

- Nie, ale nie mogę tego powiedzieć o Simonie.

- To dlatego, że John go denerwuje.

- Mnie także.

- Ale ty umiesz z nim walczyć - stwierdziła z podnieceniem. - Simon nie potrafi. Jest za stary i za bardzo uważa, kto się liczy.

Cutter jak zawsze zdziwił się widząc, jak duże wyczucie przejawiała Pam, kiedy chodziło o ocenę ludzkich zachowań. Trącając ją łokciem w bok, zapytał:

- Skąd to wiesz?

- Mam oczy.

- Małe dziewczynki nie zwracają uwagi na takie rzeczy. Mają być słodkie i niewinne.

- Na rany boskie, Cutter, mam prawie trzynaście lat. Uśmiechnął się.

- Trudno w to uwierzyć. Albo wcale nie. Zależy jak na to spojrzeć. - Uniósł głowę i zerknął na towarzyszkę. - Urosłaś.

- Nie patrz na mnie z góry - rozkazała z przekąsem.

- Ale naprawdę urosłaś.

- I mam więcej lat. Widzę też lepiej różne rzeczy, naprawdę, Cutter. A ty próbujesz zmienić temat.

- A o czym rozmawialiśmy?

- O Johnie. Mógłbyś go pokonać, a tata stanąłby po twojej stronie.

- Ale John jest jego synem - oświadczył Cutter, zupełnie zapominając o dowcipkowaniu.

- Nie mam prawa wdzierać się między nich obu.

- Nawet gdyby oznaczało to kierowanie kopalnią?

- Wcale tego nie pragnę. Jest wielu innych, którzy chcieliby zająć miejsce Simona, a pracują dla Eugene'a o wiele dłużej ode mnie.

- Ale tata cię lubi.

Cutter wiedział o tym. Jednak nie miało to żadnego wpływu na pewne rzeczy.

- Skoro nie chcesz zostać zarządcą, to kim?

Cutter oparł głowę na rękach i patrzył przed siebie.

- Nie mam pojęcia.

- Zamierzasz przez całe życie pracować w kopalni?

- Nie wiem.

- Nie masz żadnych marzeń?

- Nie bardzo - oświadczył. Nie śnił o tym, by stać się bogatym czy sławnym. Nie pragnął zostać niczym szefem. Jego obecne życie było o tyle lepsze od poprzedniego, że czuł się całkowicie usatysfakcjonowany. Czasami marzył o małych rzeczach - więcej pieniędzy, trochę większy dom, może nawet samochód, wyposażony w magnetofon i wygodne fotele. I wierzył, że pewnego dnia zdobędzie te rzeczy.

- Myślę, że powinieneś pracować w Bostonie. To właśnie zamierza Hillary. Dostała pracę w jakiejś gazecie. Mówi, że to interesujące.

Cutter znał Hillary Cox, tak jak znał prawie wszystkich w Timiny Cove.

- Hillary jest pisarką, ja nie.

- Ty też mógłbyś pisać. Tyle czytasz.

- Czytanie nie ma nic wspólnego z pisaniem.

- Właśnie kazali nam w szkole przeczytać *Władcę much*. Nie podobało mi się. Taka przygnębiająca książka.

- Taka miała być. Pokazuje, co się może wydarzyć, jeśli nie obowiązują żadne prawa. - Z zamierzoną nonszalancją zapytał: - Co mówiła wam nauczycielka o tej powieści? - Lubił, kiedy Pam rozmawiała z nim na takie tematy. Zmuszało go to do myślenia. Czasami musiał przeczytać powtórnie książkę, o której dyskutowali.

- Coś podobnego do tego, co powiedziałaś - wyjaśniła Pam - o prawach, przepisach i porządku. Mówiła, że autor przekazuje nam, że w każdym z nas gdzieś w głębi drzemie zło, ale ja nigdy nie zrobiłabym tego, co uczynili Jack i Roger.

Niemalże roześmiał się, widząc poważny wyraz jej twarzy. Jednak nie można się śmiać ze zła. Nieraz zastanawiał się, co sam by uczynił na tej opuszczonej wyspie.

- Jesteś pewna? Nawet gdybyś znalazła się w ich sytuacji? Gdybyś była samotna i przestraszona i wyobrażała sobie mnóstwo dziwnych rzeczy?

Potrząsnęła przecząco głową.

- Nie. Nie mogłabym.

Cutter nie wiedział, czy może o sobie powiedzieć to samo. Kiedy był młodszy, w obronie swego bezpieczeństwa czy z głodu potrafiłby uczynić prawie wszystko.

- Może tak myślisz, bo jesteś dziewczyną - stwierdził nieswoim głosem.

- Nie. - Zamierzała wyłuszczyć mu swój pogląd, ale właśnie podjechał do nich Thunderbird Johna. Twarz Pam natychmiast spochmurniała. - Czego on chce?

Cutter wyprostował się. Z podziwem patrzył na błyszczący, niebieski kabriolet, z zasuniętym w tej chwili dachem. W momencie, kiedy John wysiadł z auta, w doskonale dopasowanych spodniach w kolorze khaki i koszuli z wyszytym na przodzie małym aligatorem, podziw gdzieś się ulotnił.

- Wchodzę do środka - mruknęła Pam. Bardzo powoli uniosła się ze schodka. Przez sekundę patrzyła impertynencko na brata, po czym z ogromną, zdaniem Cuttera, dystynkcją, odwróciła się i weszła do sklepu Leroya.

- Czy w czymś przeszkodziłem? - zapytał John głosem prawie tak zimnym jak wyraz jego oczu.

Cutter postanowił zachowywać się tak samo chłodno.

- Skąd to przypuszczenie?

- Ponieważ wy dwoje siedzieliście dość blisko siebie. Co ty robisz z moją siostrą, Cutter?

- Rozmawiam. Na głównej ulicy, gdzie wszyscy mogą nas widzieć.

- Widujesz się z nią nie tylko tutaj. Wiem, że odwiedza cię w twoim domu. Czyżbyś ją zapraszał?

Cutter nie trudził się odpowiedzią.

- Jeśli zamierzasz wykorzystać ją, by uzyskać coś od mojego ojca, szkoda twojego zachodu.

- Nie potrzebuję niczego od twojego ojca.

- Potrzebujesz pracy.

- Już jedną mam.

- Dzięki naszej dobrej woli.

- Pracuję jak należy - odparował Cutter, czując, że zaczyna płonąć w środku. - Jeśli wyrzucisz mnie bez powodu, stanie za mną połowa kopalni.

- Znajdę powód, jeśli dalej będziesz smalił cholewki do mojej siostry.

Płomień się wzmagał.

- Po co mam to robić, skoro mam kobietę, która zapewnia mi wszystko, czego potrzebuję.

- Nie jest zła, ta Lenore - zakpił John. Cutter nie potrafił się opanować.

- Ona nie myśli tak samo dobrze o tobie.

Pewność siebie Johna gdzieś zniknęła; rzucił nerwowo:

- Trzymaj się z daleka od mojej siostry, Cutter. Zdajesz sobie sprawę, że jest niepełnoletnia, prawda?

- Niepełnoletnia? To mała dziewczynka.

- Żadna dziewczynka nie jest zbyt mała, żeby chcieć się z nią zabawić, ale radzę ci, uważaj. Tknij jeden włos z jej głowy, a będziesz odpowiadać przede mną i połową stanowych prawników.

Resztką woli tłumiąc wściekłość, Cutter wstał. Wzrostem niemal dorównywał Johnowi, a siłą mięśni na pewno. Choć nie miał pieniędzy ani zbyt wiele ogłady, nie zamierzał pozwalać, aby John go bezkarnie obrażał. Oskarżenia St.George'a bardzo go ubodły i nie mógł ich zignorować.

- Pam jest moją przyjaciółką, podobnie jak wszystkich innych w mieście. I jest córką Eugene'a. Oddałbym życie za jej bezpieczeństwo. - Nie potrafił powstrzymać się przed następnymi słowami. Diabeł drzemiący w jego sercu podkusił go. - Moim zdaniem, Pam bardziej powinna się bać ciebie.

- A co to ma znaczyć?

- To ty jesteś ten mądrzejszy. Sam się domyśl. - Cutter zaczął się oddalać, ale John złapał go za ramię.

- Prosisz się o kłopoty.

Cutter obrzucił dłoń Johna długim spojrzeniem, potem spojrzał przeciwnikowi w twarz.

- O nic nie proszę, oprócz tego, żebyś zostawił mnie w spokoju.

Mocno potrząsnął ramieniem. Ręka Johna opadła, ale wciąż nie dawał za wygraną.

- Trzymaj się z daleka od Pam - warknął.

Nie ufając samemu sobie i obawiając się, że za chwilę dojdzie do rękoczynów, Cutter ruszył w stronę miejsca, w którym zostawił swój motor. Włączył silnik - w tej chwili bardziej niż kiedykolwiek zadowolony z faktu, że przed rokiem kupił tę mocną maszynę - i bez oglądania się za siebie odjechał z piskiem opon, zostawiając za sobą snop kurzu.

Jechał szybko i wkrótce minął swój dom. Żyłował motor do granic możliwości, zostawiając w tyle samochody, jakby to były pełzające robaki. Brał ostro zakręty i zwolnił dopiero wtedy, gdy niemal uderzył w skaczącego przez jezdnię zająca.

Zaparkował na poboczu autostrady, nabrał głęboki haust powietrza i zamknął oczy, uspokajając nerwy. John był sukinsynem. Cutter zdawał sobie z tego sprawę, ale nie czuł się

przez to lepiej.

Do pasji doprowadzały go plugawe insynuacje, że flirtuje z Pam i że mógłby ją skrzywdzić. Najbardziej jednak zdenerwowało go żądanie Johna, by trzymał się od niej z daleka, bo to oznaczało, że miałby utracić jedną z drogich mu osób, a poza tym, że był gorszy od reszty mieszkańców Timiny. Ale przecież Pam wołała jego towarzystwo. Innym nie mówiła tego, co opowiadała jemu. Gdyby John słyszał z tego choćby połowę, udusiłby się z wściekłości.

Myśl, że John jest wytracony z równowagi jeszcze bardziej od niego, a w swojej bezsilności ucieka się do gróźb, które i tak niczego nie zmienia, sprawiła, iż Cutter wreszcie się uśmiechnął. Pam będzie go odwiedzała tyle razy, ile tylko zechce. Będą się też widywać w kopalni. A kiedy następnym razem zobaczy ją siedzącą na stopniach przed sklepem Leroya, bez wahania usiądzie obok niej, tak jak dzisiaj.

Niech szczęście, zanim pozwoli, żeby John mówił mu, co ma robić, zwłaszcza gdy dotyczy to Pam. Jeśli Johnowi się to nie podoba, to jego zmartwienie. Nie przestraszy Cuttera. Dzieciństwo spędzone w ciągłym niebezpieczeństwie nauczyło go nie odwracać się od wyzwań.

Tak więc w gruncie rzeczy musiał przyznać, że całe zajście na stopniach przed sklepem Leroya nie było złe. Zmarkotniał tylko, zawracając motor w stronę domu, kiedy przypomniał sobie, że nie kupił piwa, po które udał się do miasta.

Rozdział ósmy

Podczas gdy Cutter wracał do siebie, John odwoził Pam do ich wielkiej, murowanej posiadłości.

- Spakuj rzeczy - rozkazał beznamiętnie, przekraczając próg holu. - Za godzinę chcę być w drodze do Bostonu.

Pam poszła za nim do pokoju dziennego.

- Do Bostonu? Myślałam, że zostaniemy tu cały tydzień.

John usłyszał w jej głosie zawód, ale wcale go to nie poruszyło. Postanowił wymierzyć jej karę za to, w jaki sposób odeszła od niego w obecności Cuttera.

- Nastąpiła zmiana planów - poinformował oziębłe. Sięgnął po najwyższą ze złotych kafelek stojących na barku. - Chcę być jutro rano w biurze.

Pam stanęła za nim. Urosła, ale nadal wyglądała na słodkie dziecko, co chyba najbardziej go irytowało. Może i wyglądała Słodko, ale z pewnością taka nie była - przemądrzała, obrzydliwa smarkula.

- Myślałam, że tata chciał, żebyś był tutaj.

- Simon zastąpi go w czasie jego nieobecności.

- Ale w Bostonie nie ma co robić. John łyknął duży haust szkockiej.

- Może ty, ja mam mnóstwo spraw na głowie.

- O.K., więc ty jedź. Ja i Marcy zostaniemy.

- Nic z tego. Musisz być z powrotem pod koniec tygodnia. Nie zamierzam znowu tu przyjeżdżać.

- W takim razie odwiezie mnie Marcy.

- Marcy nie ma samochodu.

- Pożyczymy jakiś.

- Nie ma mowy, księżniczko. - Z wysoką szklanką w ręce ruszył w stronę schodów. - Bądź gotowa za godzinę. I to samo powiedz Marcy.

- John... - Proszący głos Pam podążył za nim aż do schodów.

Nie patrząc za siebie, poszedł do swojego pokoju, żeby się spakować. Złożył porządnie ubrania, które przywiózł z Bostonu, i właśnie brał się do pakowania kosmetyków, kiedy w drzwiach stanął Eugene.

- Pam powiedziała mi, że wyjeżdżasz. John rzucił mu ostre spojrzenie.

- Powinienem być się domyślić, że poleci prosto do ciebie.

- Nic takiego nie zrobiła. Spotkałem na dole Marcy. John, jutro wyjeżdżam do Nowego Jorku. Liczyłem na to, że przypilnujesz tu wszystkich naszych spraw.

Eugene mówił zrównoważonym tonem, którego ostatnio używał bardzo często, a który dla Johna brzmiał niemalże obraźliwie. Wolał już krzyki, tak dobrze zapamiętane z dzieciństwa. Wydoroślał i nie bał się już podniesionego głosu ojca. Co więcej, mógł się łatwo zrewanżować. Cieszył się, kiedy miał okazję wykrzyczeć swoje pretensje do Eugene'a.

- Simon może się tym zająć. Nauczyłeś go tego. Wie, czego od niego oczekujesz, i poradzi sobie.

- Chcę, żebyś to był ty.

- Mam pilne sprawy w biurze.

- Chcę, żebyś był tutaj. Jesteś moim synem. Chcę, żebyś był na miejscu, kiedy ja wyjeżdżam.

John tracił cierpliwość. Nie obchodziło go, że Eugene starzał się i siwiał, że czasami wydawał się samotny. Reprezentował to wszystko, czego John nienawidził, i ostatnio nie wahał się otwarcie okazywać mu swojej pogardy.

- Nikogo tu nie potrzebujesz. Sam też nie musisz tu przebywać, ale to prawdopodobnie jedyne środowisko, do którego pasujesz. W mieście nie umiesz już sobie znaleźć miejsca, więc tkwisz w Timiny Cove, przekonując sam siebie, że jesteś tu komuś potrzebny. Ale to nieprawda. Kopalnia funkcjonuje niemal sama. Jeśli chcesz marnować czas w tej dziurze, to rób to, ale mnie do tego nie mieszaj. - Wypił ze szklanki resztkę alkoholu, czując wielką przyjemność na widok poczerwieniałej z gniewu twarzy ojca, który zachnął się:

- Ty głupcze, żyjesz z tych kopalni i zdaje się, że o tym zapominasz. Bez nich już dawno znalazłbyś się w jakimś obskurnym biurze, zdany na łaskę jakiegoś zarozumiałego, bogatego pajaca. Byłbyś nikiem, czy tego pragniesz?

- To bez znaczenia, ponieważ istnieją kopalnie.

- Na razie to ja je posiadam. Nie są jeszcze twoje.

- Ale będą, bo oprócz ciebie tylko ja wiem, jak je prowadzić. Postarałeś się o to. Nawet kiedy się opierałem, przywoziłeś mnie tu i kazałeś się uczyć. To muszę ci przyznać.

Ale Eugene potrząsnął tylko głową.

- Nie obwiniam się za tę porażkę. John aż podskoczył.

- Nazywasz mnie porażką?

- W pewnym sensie również, ale głównie mam na myśli swoją osobistą klęskę, którą poniosłem, jeśli chodzi o ciebie. Może i nauczyłem cię rządzić, być może stałeś się tu nawet potrzebny, ale nigdy nie udało mi się wydobyć z ciebie odrobiny uczucia. Jesteś zimny jak ryba, John. Od śmierci twojej matki...

- Nie mieszaj jej do tego! - Była to jedyna rzecz, której nie mógł znieść. Eugene obrażał jego matkę. Nawet po trzynastu latach bolało go, kiedy ojciec wypowiadał jej imię.

Eugene zignorował protest syna.

- Od śmierci matki jesteś twardy jak skała. Chociaż jesteś dobry w tym biznesie, jednak nie żywisz do niego miłości, a miałem nadzieję, że tak będzie.

John nie mógł ukryć bezgranicznego zdumienia.

- Miłości? Jakiej miłości? Biznes to biznes. Mamy szyby wiertnicze i zakurzone kopalnie. Mamy kamienie. Sprzedajemy je i dostajemy za nie pieniądze. Co tu jest do kochania? Gdybyś przynajmniej zgodził się rozwijać dalej firmę. Ale ty masz tak cholernie zawężony horyzont...

- Uważaj - ostrzegł Eugene. Twarz mu płonęła.

- Co, nie powinienem tego mówić? Ale to prawda, przecież ty dalej żyjesz jak prostak i nawet tego nie widzisz.

- Ostrzegam cię, chłopcze.

John nie przejmował się przeszywającym spojrzeniem ojca.

- Już dawno nie jestem chłopcem. I gdybym teraz dostał kopalnie na własność, to zaręczam ci, że w ciągu roku zrobiłbym z nich wielkie przedsiębiorstwo.

- Tylko byś je zrujnował.

- Mylisz się, rozbudowałbym je i unowocześnił. Teraz to jeden wielki zabytek, pełen przestarzałych maszyn i prowadzony anachronicznymi metodami, jak zresztą wszystko w tym zapomnianym przez Boga mieście. - Nie mógł się oprzeć, by tego nie wygarnąć, ponieważ wiedział, że tym najbardziej uderzy w Eugene'a. - Nikt tu nic nie robi. Małe mózgi, małe myśli. Ci wszyscy ludzie nadal żyją jak trzydzieści lat temu. Nie mają żadnych ambicji. Ale ja mam. Zrobię z tego przedsiębiorstwa firmę, o której nikomu się tu nie śniło.

Eugene wziął głęboki oddech. Wstał.

- Możesz jeszcze dożyć chwili, że będzie ci się chciało połknąć te słowa. Mnie być może już tu nie będzie, żeby triumfować, ale będę patrzył z góry, komu z was się powiodło.

John poczuł nagły ucisk w żołądku.

- Jak to, komu z nas? - Zakładał, że Eugene będzie chciał podzielić majątek, ale sądził, że albo odpowiednio podzieli pieniądze, albo założy fundusz powierniczy. - Chcesz upoważnić Pam do kierowania kopalnią? A może Patrycję? Żadna z nich nie ma pojęcia o prowadzeniu firmy!

- Myślę o Cutterze.

John na chwilę przestał oddychać. Był pewien, że się przesłyszał.

- Cutter? - Kiedy Eugene kiwnął głową, powtórzył: - Cutter Reid?

- W okolicy nie mieszka nikt inny o tym imieniu. John stał oniemiały.

- Cutter Reid nie ma z nami nic wspólnego.

- Pewnego dnia będzie miał. Zamierzam zostawić mu Little Lincoln.

- Chcesz mu... zostawić... Little Lincoln? - To było wprost nie do uwierzenia.

- Właśnie.

- Cutterowi Reidowi?

- Zgadza się.

Rozmowy o wzgórzu Little Lincoln zawsze sprawiały Johnowi przykrość. Rozmowa o Cutterze była w tym kontekście wprost nie do zniesienia. Jednak zadowolenie w głosie Eugene'a nie pozwalało mieć nadziei, że to jakaś pomyłka.

- Postradałeś zmysły? - ryknął, mimowolnie naśladując ojca. - Nie możesz tego zrobić! W Little Lincoln mogą znajdować się największe pokłady turmalinów. Nie wolno ci oddać tego wzgórza Cutterowi Reidowi! Nie należy do rodziny. Nie jest twoim synem, a poza tym nic nie wie o zarządzaniu. Cutter Reid? Zwariowałeś!

- Nie wydaje mi się. Podobnie sądzi Joe Grogan.

- W takim razie ten stary prawnik jest tak samo zwariowany jak ty! - John odwrócił się, łudząc się jeszcze, że to, co usłyszał, było tylko ponurym żartem, próbą ukarania go, ale zaraz spojrzał ponownie na ojca. - Ty wcale nie żartujesz, prawda?

Eugene potrząsnął przecząco głową.

- Cutter Reid to chuligan i zabijaka, źródło samych kłopotów!

- To dobry pracownik.

- Jest leniwy! Gdyby to od niego zależało, pozwoliłby górnikom na cegodzinne przerwy!

- Ludzie z kopalni go szanują. Jest ich przywódcą.

- Nie widzisz, że to podżegacz i buntownik?

- On po prostu wierzy w ludzką godność.

- Czy właśnie z tego powodu mieszka w tym obskurnym domu w lesie? Czy dlatego rozbija się motorem po mieście, robiąc taki hałas, że obudziłby umarłego? Czy dlatego kradł przez tyle lat? - Ponieważ Eugene nie wydawał się poruszony, John rzucił najmocniejszą kartę. - Czy z tego powodu obskakuje Pamelę? Właśnie wróciłem z miasta, gdzie ich spotkałem, obściskujących się przed sklepem Leroya. Mówię ci, to zboczeniec. Pamela jest małą dziewczynką, to plugawe!

Eugene pozostał jednak spokojny.

- Ufam mu.

- I pozwalasz mu dobierać się do własnej córki?

Eugene prychnął.

- Nic takiego nie robi. Po prostu lubi Pam. Wszyscy ją lubią. Jest miła i pogodna. Jest też jedną z niewielu osób, która ceni Cuttera za to, kim jest, i nie patrzy na jego przeszłość. Mówię ci, John, ten chłopak zajdzie wysoko i ja chcę mu w tym pomóc.

- Ale dlaczego? - wybuchnął John. - Dlaczego akurat Cutter Reid? Zawsze miałeś do niego słabość, już od pierwszego dnia, kiedy go przygarnąłeś. Czy to twoja mała inwestycja? O to chodzi? Obroniłeś dzieciaka przed więzieniem, a teraz chcesz wyzyskiwać go do tylko sobie wiadomych celów? Czy to nie egoistyczne podejście? Ciebie już nie będzie, kiedy on odziedziczy Little Lincoln. Dlaczego, do diabła, chcesz zmarnować najcenniejszą działkę?

- On jej nie zmarnuje.

- Nie będzie wiedział, co z nią zrobić.

- Będzie - oświadczył z przekonaniem Eugene i z ciekawością popatrzył na syna. - Jednego nie rozumiem. Dlaczego tak ci przeszkadza, że chcę mu dać kawałek ziemi? Ty dostaniesz całą firmę i Bóg wie, ile jeszcze. Posiadamy przecież góry w całej okolicy. Little Lincoln to tylko mały wzgórek.

- Ale kryje wielkie bogactwa.

- Na Boga, sam najlepiej wiesz, że miną lata, zanim Cutter się do nich dobierze. Podpisałem kontrakt z mieszkającymi tam rodzinami i nie mogę uruchomić wydobycia, dopóki oni się stamtąd nie wyprowadzą. To może potrwać następne dwadzieścia lub trzydzieści lat.

John spędził kiedyś sporo czasu, zastanawiając się, jak obalić ten kontrakt.

- Ja zaproponowałbym im zapłatę, żeby tylko wynieśli się wcześniej. Cutter tego nie zrobi. Nie ma takich pieniędzy.

- I po części dlatego chcę jemu zapisać tę ziemię - wyjaśnił Eugene. - Proponowałem już

mieszkańcom pieniądze, ale oni ich nie chcą. Pragną tam mieszkać. Ty byś na nich naciskał, wymyślał różne sztuczki, lecz ja się na to nie zgadzam. - Potrząsnął głową z przekonaniem.

- Nie, Cutter urodził się tu i wychował. Rozumie tych ludzi, do czego ty nie jesteś zdolny.

- Nie trzeba nikogo rozumieć, żeby prowadzić firmę.

- Nie masz racji. Właśnie dzięki temu firma utrzymała się tak długo.

- Ale bez wielkich zysków, jeśli chcesz znać moje zdanie.

Eugene wyprostował się. Nadal, mimo podeszłego wieku, był wysoki i potężny jak niegdyś, co wciąż denerwowało Johna. Ruszając w stronę drzwi, rzucił:

- Wcale mnie ono nie interesuje.

Jednak John jeszcze nie skończył. Musiał nakłonić ojca do zmiany zdania - i testamentu.

- W porządku. - Poszedł do holu za Eugene'em. - Zależy ci na Cutterze. Jeśli chcesz mu pomóc, zostaw mu jakieś pieniądze. Ten chłopak żyje jak biedak.

Eugene zatrzymał się na szczycie schodów.

- Żyje w ten sposób, bo większość zarobków lokuje w banku, dokładnie tak, jak mu poradziłem. Ma pieniądze. Może je wydać, jeśli zechce.

- Zgoda, jest oszczędny, tak jak go nauczyłeś. Daj mu trochę więcej pieniędzy, a nie będzie musiał tyle oszczędzać.

Eugene zatrzymał się w połowie schodów.

- On jest zadowolony ze swojego życia. Widać nie lubi się obnosić ze swoją zamożnością.

John obydwoma rękami chwycił za barierkę.

- Ale kiedyś będzie potrzebował więcej pieniędzy. Już wkrótce spotka kogoś i będzie chciał się żenić, potem przyjdzie kolej na dzieci. Będzie potrzebował zabezpieczenia, a z Little Lincoln wyrwie pierwszy grosz dopiero po wielu latach.

Uśmiech Eugene'a, stojącego u dołu schodów, był dla Johna niczym nóż wbijający się w trzewia.

- Już mu zaplanowałeś życie, co John? Zawsze lubiłeś porządek, nawet jako dziecko, kiedy ustawiałeś w pokoju swoje zabawki. Ale życie Cuttera to nie żadna zabawka. Nie masz w tym względzie nic do powiedzenia.

Nabrał powietrza i mówił dalej:

- Szczerze mówiąc, nie znam planów Cuttera. Myślę, że w tej chwili nie ma żadnych. Co

więcej, sędzę, że wcale nie chce teraz planować swojej przyszłości. I właśnie dlatego Little Lincoln pasuje dla niego jak ulał. Do czasu, kiedy wzgórze będzie dostępne, Cutter ustali już, czego pragnie. - Uniósł brew i ze śmiechem w głosie powiedział:

- Powiem ci coś. Trzymaj swoje pieniądze w banku, to może kiedyś zarobisz na odkupienie ziemi od Cuttera. Oczywiście Little Lincoln nie będzie tanie. A sam Cutter znienawidzi cię do tego stopnia, że dodatkowo podniesie cenę. Żegnaj, synu. - Podeszedł do drzwi i opuścił dom.

Resztki poczucia dumy i wszechogarniająca wściekłość nie pozwoliły Johnowi pójść za ojcem. Stał jak sparaliżowany, wczepiony dłonią w barierkę. Dopiero kiedy zaczęły go boleć palce, zdał sobie sprawę z tego, co robi. Wrócił do pokoju i zakończył pakowanie, przez cały czas myśląc o zemście.

- Pam! - krzyknął, zbiegając po schodach z bagażem.

- Schodź na dół! - Gdyby nie to, że tylko on mógł zawieźć siostrę do Bostonu, wyjechałby natychmiast sam. Nawet w normalnych warunkach nie cierpiał jej towarzystwa, zaś w obecnym nastroju tym bardziej nie miał pojęcia, jak to zniesie. - Wyjeżdżamy! - wrzasnął. - Dawaj ją tu, Marcy. Wsiadam do samochodu i nie będę długo na was czekał.

- Wypadł z domu jak bomba.

Minęło piętnaście minut, zanim dotarli do głównej szosy. Nagły wyjazd przerwał Marcy pieczenie czekoladowego ciasta. Przed spakowaniem się musiała najpierw uprzątnąć kuchnię, a potem pognać z jedzeniem do matki, która, jak się tłumaczyła przed Johnem, miała złamane żebro.

- Znowu ją pobił? - z niesmakiem zapytał John, gdy bez tchu wskoczyła do auta.

- Czuje się już dobrze - powiedziała Marcy i wcisnęła się w róg samochodu.

Pam, siedząca na przednim siedzeniu, odwróciła się do niej.

- Czy ktoś z nią jest?

- Lizzie.

- A gdzie jest Jervis?

- Uciekł. Wróci za tydzień albo dwa. Zawsze tak jest.

- Sama sobie winna - rzucił oschle John. - Bił ją, zanim się pobrali, a mimo to za niego wyszła. Postąpiła beznadziejnie głupio.

Pam odwróciła się do brata.

- Miała powody, żeby za niego wyjść.

- Pewnie. Potrzebowała kogoś, kto by ogrzał jej łóżko, więc sięgnęła po pierwszego face-

ta, który się napatoczył.

- Może była samotna. Może się bała. Marcy była malutka. John, czy ty naprawdę nie potrafisz sobie wyobrazić, co czuła?

- Szczerze mówiąc, nie. Powtarzam ci, postąpiła głupio i teraz płaci za własne błędy.

- Nie zasługuje na to, jak on ją traktuje.

- Więc niech go wypędzi.

- Wypędza, ale on wraca.

- Dlaczego się nie rozwiedzie?

- Nie ma na to pieniędzy.

- Więc niech siedzi tam i znosi te swoje cierpienia. Nic nie zmańdrzała. Niektórzy nigdy się niczego nie nauczą.

Pam skrzywiła się.

- Jesteś obrzydliwy, John.

- Odwzajemniam to uczucie - odpowiedział i nacisnął na pedał gazu.

Do Bostonu dotarli w rekordowym tempie. Szybka jazda uspokoiła nieco Johna, mimo to nadal czuł rozdrażnienie. Najpierw wracał myślami do tego, co Eugene mówił mu o Cutterze, potem zaczął myśleć o Patrycji i kiedy zaparkował samochód przed domem na Beacon Hill, był już seksualnie podniecony.

Pam i Marcy pospiesznie usunęły się do swoich pokoi, co było Johnowi jak najbardziej na rękę. Porzucił bagaż przy drzwiach i pokonując naraz po dwa schody, wbiegł na górę. Patrycja znajdowała się w swoim buduarze. Siedziała przy małym biurczku i wypisywała zaproszenia na przyjęcie, które właśnie zamierzała wydać. Przywitała się już z Pam, a teraz uniosła głowę, lekko zdziwiona nagłym wtargnięciem Johna.

Bez słowa wskazał jej ruchem głowy piętro wyżej, po czym wybiegł na schody i pokonał je kilkoma szybkimi susami. Dotarł do sypialni Patrycji - Patrycji i Eugene'a - i zaczął się rozbierać. W chwili, gdy Patrycja wśliznęła się do pokoju, był już całkowicie nagi i gotowy do miłości. Nie zdążyła nawet uśmiechnąć się ani wyrazić zdziwienia, gdy przyciągnął ją do siebie i zaczął zdzierać odzież.

- John? - zapytała.

Wiedział, że jest zaskoczona; zazwyczaj postępował z nią bardziej powściągliwie. Zrywając z niej gwałtownie ubranie, wiedział także, że jest trochę przestraszona, i spodobało mu się to. Upajał się swoją władzą. Eugene może sobie robić z testamentem, co mu się żywnie po-

dość, może być przebiegły i zarozumiały, kpić sobie z Johna, a nawet pozbawić go części majątku. Ale to John będzie się śmiał ostatni, ponieważ w tej sypialni, w pościeli Eugene'a, jego żona właśnie mu się oddaje.

Przez kilka następnych miesięcy John coraz częściej szukał kontaktu z Patrycją. Stała się jego prywatną zemstą, jedyną satysfakcją w wojnie z ojcem. Eugene nie chciał zmienić testamentu. John kłócił się z nim bezustannie, próbował przemówić ojcu do rozsądku, ale im więcej o tym mówił, tym bardziej Eugene obstawał przy swoim. Podobnie sprawy się miały z rozwojem przedsiębiorstwa. Eugene nie chciał słyszeć o powiększeniu go o nowe branże, a kiedy tylko John wspominał o rozpisaniu akcji, Eugene wychodził z pokoju.

W takich sytuacjach John na jakiś czas dawał za wygraną i rozładowywał swą frustrację w sypialni ojca, kochając się do utraty tchu z jego żoną.

Patrycja czasami próbowała się mu przeciwstawiać, wyczuwając podświadomie, jak instrumentalnie i bezdusznie jest w gruncie rzeczy traktowana. Tego dnia, gdy kochał się z nią po powrocie z Maine, nie myśląc nawet o grze wstępnej, otwarcie poskarżyła się, że jest niedelikatny i nie liczy się z jej uczuciami.

- Dobrze, przestanę - powiedział przez zaciśnięte zęby, opierając się na dłoniach i tkwiąc w niej jeszcze głęboko. - Przestanę, jeśli tego rzeczywiście pragniesz. Wyjdę z tego pokoju i pamiętaj, że już nigdy nie wrócę. Wyprowadzę się z domu i znajdę sobie własne mieszkanie. Już dawno powinienem był to uczynić.

Przerażona taką groźbą, stała się natychmiast potulna i uległa, na co zresztą liczył. Tak jak ona była jego obsesją, on także stanowił dla niej swoisty narkotyk. Eugene rzadko teraz bywał w domu i tylko dzięki Johnowi odzyskiwała wewnętrzny spokój. Była od niego zależna, ponieważ stał się jej sprzymierzeńcem; miał przekonać Eugene'a do podjęcia odpowiednich kroków, które zabezpieczą jej przyszłość.

John nie do końca zgadzał się z nią, jakie konkretnie mają to być kroki. Patrycja upierała się przy handlu nieruchomościami. Znała przedsiębiorców, którzy, jak słyszała, zarabiali miliony na odsprzedaży zakupionych uprzednio posiadłości. Były one niewielkim kosztem remontowane bądź burzone i stawiane od podstaw. Patrycja głęboko wierzyła, że fundusze St. George Mining pozwoliłyby dokonać im tego samego.

John miał inne plany. Jego zdaniem ci, którzy zajmowali się nieruchomościami, należeli do podrzędnych przedsiębiorców. Niektórzy z nich stawiali w poważniejszym biznesie dopiero pierwsze kroki. Inni, pochodzący spoza miasta, byli lokalnymi prawnikami czy politykami, któ-

rzy dostrzegli w tej działalności możliwość zarobienia większej sumy pieniędzy. Żaden z nich nie posiadał prawdziwej klasy, a co za tym idzie, nie liczył się w wielkim świecie, więc John nie zamierzał się z nimi spoufalać.

Po głowie chodziło mu coś o wiele bardziej wyrafinowanego. Jego marzeniem było dotarcie na sam szczyt śmietanki towarzyskiej i prowadzenie interesów właśnie w tym gronie. Spędził wystarczająco dużo czasu w kręgach bostońskiej elity, by wiedzieć, czym zaimponować tego typu ludziom. Na pewno wielką rolę odgrywał odpowiednio duży majątek, przechodzący z pokolenia na pokolenie, ale niestety tego nie posiadał. Za to miał dostęp do złóż najpiękniejszych na świecie turmalinów i choć nie były one tak cenione jak diamenty, rubiny czy szafiry, zaczynały się poważnie liczyć na rynku. John miał tego świadomość i doskonale wiedział, jak może to wykorzystać.

Pragnął stworzyć przedsiębiorstwo ekskluzywne i eleganckie, firmę na taką miarę jak Dior w branży odzieżowej, Gucci w skórkach czy Chanel w perfumach. Patrycji jego marzenia wydawały się wydumane i zbyt nierealne, ale John był pewien, że gdyby miała wybierać między jego koncepcją a niczym, stanęłaby po jego stronie, protestując tym samym przeciw stagnacji i niechęci do zmian, wyrażanej przez Eugene'a.

W tym czasie Patrycja stawała się coraz bardziej zależna od Johna, ponadto umiejętnie, acz niezauważalnie, skłaniana do tego i ustawicznie zachęcana. W łóżku była jak pijawka, zaborcza i nie odstępująca go nawet na chwilę. John nie zniósłby tego z żadną inną kobietą. Hillary nigdy taka nie była.

W końcu ich wspólna zażyłość wzrosła do tego stopnia, że John nie wyobrażał już sobie życia bez niej. Pragnęli się bezustannie i byli w swych pragnieniach coraz bardziej nienasyćeni. Stali się więc nieostrożni. Nie zważali na to, że Eugene był w mieście. John wracał z pracy i natychmiast szli z Patrycją do sypialni, gdzie kochali się długo i gwałtownie.

Kiedy Eugene ich nakrył, John nie wiedział, czy była to sprawa przypadku, czy raczej Eugene zaczął już wcześniej coś podejrzewać. Tak czy inaczej tego dnia wrócił do domu zaraz po Johnie i stanął niespodziewanie w drzwiach sypialni.

Wyraz jego twarzy nie był dokładnie tym, czego spodziewał się John. Ani cienia upokorzenia czy przegranej. Wpatrywał się w nich z miążdżącą pogardą. John z udaną nonszalancją nie ruszył się z łóżka, za to Patrycja wyskoczyła z niego i z pośpiechem zaczęła naciągać na siebie ubranie. Oczy Eugene'a zdradzały całkowitą odrazę.

- Od jak dawna to trwa?

- To nie to, co myślisz - prawie krzyknęła Patrycja, wciągając spódnicę i poprawiając biustonosz. - Zupełnie nie to.

Ale Eugene patrzył na Johna.

- Jak długo?

John wzruszył ramionami. Serce biło mu sto razy szybciej niż w chwili orgazmu.

- Jakiś czas.

- Jesteś szmatą.

Walcząc z guzikami bluzki, Patrycja znowu próbowała się bronić.

- Gene, mogę to wytłumaczyć. Wiem, jak to okropnie wygląda, ale...

- Nie chcę tego słuchać - uciął Eugene.

Nawet na moment nie zatrzymał wzroku na żonie, wciąż nieruchomo wpatrzony w syna. John poczuł, jak powoli zaczyna ogarniać go strach. Tyle czasu upajał się w duchu samą myślą o wyjawieniu ojcu, że pieprzy jego żonę. Jednak do głowy mu nie przyszło, że może wylądować na ulicy, a tak właśnie brzmiało polecenie Eugene'a.

- Wynoś się stąd. Wynoś się z tego domu, z mojego życia. Natychmiast.

- Gene, nie...

- Nie wydaje mi się. - John, ignorując Patrycję, odezwał się do ojca. Powoli podniósł się na łóżku. - To ja zajmuję się wszystkim, zarówno w biurze, jak i w domu, podczas gdy ty siedzisz w Timiny Cove i grasz z koleśkami w pokera. Coś mi się od ciebie należy.

- Moim zdaniem - zaczął Eugene, rzucając szybkie, wzgardliwe spojrzenie w stronę Patrycji - spłaciłem cię.

- To mi nie wystarcza.

- John, wyjaśnij mi wszystko - załkała Patrycja.

Ale John jej nie słuchał. To, co się działo, co się wydarzyło, to były sprawy między nim a ojcem. Owinął się kołdrą i wstał. - Chcę więcej. Jeśli każesz mi opuścić ten dom, pójdę sobie. Zrezygnuję też z pracy w firmie. Ale będzie cię to dużo kosztowało.

- Nic ode mnie nie dostaniesz - warknął Eugene.

- Mylisz się. Chcę pieniędzy.

- Gównu dostaniesz.

- Jeśli odejdę, zabiorę ze sobą większość kadry kierowniczej. Przez te wszystkie lata nie zbijałem bąków. Ty możesz kochać swoich górników, ale ja postarałem się, żeby ci, którzy naprawdę mają coś do powiedzenia, stali po mojej stronie. Pójdą za mną. Jedno słowo, a stracisz

ich. I twój łańcuszek - pstryknął palcami - pęknie w sekundę. Naprawienie go zajmie trochę czasu.

- Mój Boże, jesteś tak samo arogancki jak zawsze. No cóż, tym razem nic ci to nie da - zapewnił Eugene, purpurowy z wściekłości. - Jeśli ktokolwiek będzie chciał odejść, jeszcze go popchnę. Ponad wszystko cenię u ludzi lojalność. Skoro oni są lojalni wobec ciebie, bierz ich. - Szczęka zacisnęła mu się jeszcze mocniej. - Teraz wychodzę. Kiedy wrócę, ma cię tu już nie być.

- Gene, nie wolno ci - zaczęła Patrycja, biegnąc za mężem.

- Moja droga, to postanowione, nie wysilaj się.

John nie poruszył się, nie mógł. Słyszał, jak Patrycja stara się powstrzymać Eugene'a. Pognała za nim po schodach, jej głos brzmiał coraz bardziej histerycznie. Usłyszał kolejne trzasknięcia drzwiami - raz, drugi i znowu - przerywane błaganiami Patrycji i ostrymi odpowiedziami ojca. John nadal stał nieruchomo, nawet wtedy, gdy dotarło do niego ostatnie huknięcie, a potem zaległa przytłaczająca cisza. Wydawało mu się, że przez całą wieczność stoi w sypialni ojca, owinięty tylko w kołdrę, walcząc z paniką, która wywołała krople potu na jego czole.

Miał świadomość *déjà vu* - czuł panikę, strach, i nieodparte wrażenie, że ziemia usuwa mu się spod stóp. Tak samo jak wtedy, gdy umarła matka. Nigdy więcej nie chciał tego doświadczyć, ale stało się. Jego cała przyszłość waliła się w gruzy, a przecież miał takie wspaniałe plany.

Oślupiały, zrzucił z siebie kołdrę i sięgnął po ubranie. Naciągał spodnie, kiedy usłyszał wycie pierwszych syren. Miasto nieustannie rozbrzmiewało takimi odgłosami, a ponieważ pochłaniały go jego własne problemy, nie zwrócił na to żadnej uwagi.

Zapiął koszulę, ale nie wsadził jej w spodnie. Podniósł z podłogi krawat i marynarkę, poprawił ręką włosy i poszedł do swojego pokoju. Potrzebował alkoholu, bez tego nie potrafił teraz jasno myśleć. Musiał zdecydować, czy ma zostać, czy odejść. Co powiedzieć i zrobić, jak postępować z Eugene'em. Niemożliwe, żeby ojciec rzeczywiście myślał tak, jak mówił. Kierowała nim wściekłość. Nikt ot tak, po prostu, nie wyrzuca własnego dziecka - swojego jedynego dziedzica.

Pograżony w mieszanych uczuciach, schodził po schodach, kiedy poczuł zimny powiew powietrza ciągnący od drzwi. Wyglądała przez nie Marcy. Sygnał syren zbliżał się.

John nie wiedział, co przyciągnęło go do wyjścia - przecucie, chęć oderwania się od własnych myśli czy zwykła ciekawość. Ale raptem znalazł się obok Marcy, spoglądając znad

jej ramienia na kłębowisko dymu i czerwonych płomieni.

- Pali się? - zapytał.

Marcy pokręciła głową. Minęła minuta, zanim powiedziała:

- Płomienie dochodzą ze środka ulicy. Wygląda to na wypadek.

John poczuł się dziwnie.

- Gdzie jest Patrycja?

Przez długą chwilę ciszy, która nastąpiła po tym pytaniu, John uzmysłowił sobie, że Marcy doskonale wiedziała, co dzieje się w sypialni pani. Jednak nie wzruszyło go to odkrycie.

- Czy jest w dużym pokoju?

Wpatrzona w płomienie, Marcy pokręciła przecząco głową.

- W kuchni?

- A nie jest z pana ojcem?

- Nie wiem. Myślisz, że są razem?

- Słyszałam, jak rozmawiali, a potem wyszli. Może utknęli tam przy wypadku.

Serce Johna ponownie zaczęło mocniej bić.

- Gdzie jest Pam?

- U swojej koleżanki, Cindy. Niedługo powinna wrócić. John odwrócił się w stronę domu i zawołał:

- Patrycja? - Kiedy nie usłyszał odpowiedzi, podszedł do schodów. Był przekonany, że zauważyłby, gdyby wracała na górę po wyjściu Eugene'a, ale chciał się upewnić. - Patrycja? - W odpowiedzi dobiegł go tylko głos syreny.

Cicho klnąc pod nosem, złapał za płaszcz i zszedł po zewnętrznych schodach przed dom.

Im bardziej zbliżał się do miejsca pożaru, tym szybciej szedł. Było coś znajomego w niebieskim samochodzie, uwięzionym między wielką ciężarówką i ceglana ścianą apteki na rogu.

- Jezu - wymamrotał John, mijając karetki pogotowia. - Dobry Jezu.

- Hej, tam - zawołał do niego jeden z policjantów - lepiej się trzymać z daleka.

- Znam ich - zdołał wyjąkać John. Ciężko oddychając, przyglądał się, jak odciągają ciężarówkę od ściany.

- Wie pan, kto jechał tym samochodem? - zapytał policjant, ale John nie był w stanie oderwać oczu od pogruchotanego wraka, który jeszcze przed chwilą był wozem jego ojca.

- Co się stało? - wyszeptał.

- Wygląda na to, że zjeżdżali z Mt. Vernon i albo nie zdążyli wyhamować na żółtym

świetle, albo wjechali wprost na skrzyżowanie na czerwonym. Kto to jest?

- John! - doszedł ich zduszony okrzyk z niewielkiej odległości. John obejrzał się i zobaczył Pam biegnącą ulicą, z oczami rozszerzonymi ciekawością. - Rodzice Cindy wysadzili mnie ulicę dalej, żeby nie utknąć w tym korku. Co się stało? - Rozejrzała się dokoła, potem wspięła na palce, chcąc zobaczyć coś więcej poprzez plecy policjantów, sylwetki samochodów i karetek.

Z trudem przełykając ślinę, John podszedł i objął ją za ramiona. Chyba po raz pierwszy w życiu dotknął jej z takim uczuciem. Zawrócił ją od miejsca wypadku i zaczął szybko prowadzić w górę, do domu.

- Hej, proszę pana - wołał za nim policjant - musimy znać ich tożsamość.

John zignorował go. Nadal trzymał ramię Pam, ściskając je lekko za każdym razem, kiedy chciała się odwrócić. Nie bardzo rozumiał, dlaczego jej na to nie pozwala; wcześniej czy później i tak się dowie. Ale wydawało mu się, że tak będzie lepiej - pozostałości po wypadku zostaną uprzątnięte i wtedy dowiedzą się, kto i jak bardzo został poszkodowany.

Pam znowu próbowała się obejrzeć, ale nie pozwolił jej na to. Jemu samemu scena wypadku głęboko wryła się w pamięć. Może będzie miał kiedyś mniejsze poczucie winy, jeśli oszczędzi Pam takich wspomnień.

- Właściwie co się tam stało? - zapytała, nagle bardziej zaniepokojona niż ciekawa.

- Wypadek. Nie powinnaś tego oglądać. Zaprowadzę cię do domu, a potem tam wrócę. Wszystko ci później opowiem.

Pam nie upierała się, ale zauważyła, że John zachowuje się dziwnie, inaczej niż zwykle. Chciała się odwrócić i kiedy znów jej w tym przeszkodził, zapytała:

- Czy mama jest w domu?

- Chyba nie.

- A tata?

- Nie.

Niepewnym głosem, którego nigdy u niej nie słyszał, zadała następne pytanie:

- Czy wiesz, gdzie oni są?

- Nie jestem pewien. Poszukam ich. - Przyspieszył kroku. Marcy nadal tkwiła przy drzwiach, ale znajdowała się zbyt daleko od miejsca wypadku, żeby dostrzec kolor samochodu, a tym bardziej zidentyfikować pasażerów.

- Wprowadź ją do środka - rozkazał John, po czym pomknął z powrotem.

Dotarł na miejsce w chwili, gdy poranione ciało Patrycji wnoszono do karetki. Wyciągnięcie Eugene'a z wozu zajęło dłuższą chwilę. Jego także przetransportowano do karetki, ale już bez takiego pośpiechu. Zginął na miejscu w momencie zderzenia samochodu ze ścianą.

Rozdział dziewiąty

Nowy Jork, maj 1990

Hillary spojrzała na Pam, kroczącą obok niej po Piątej Alei. Włosy miała utknięte pod beretem, była ubrana w dżersejową sukienkę, naciągniętą na nią olbrzymią bluzę od dresu, na nogach rajstopy i getry. Pod pachą dźwigała karton na obrazy ze stemplem „Kocham Nowy Jork”. Przypuszczalnie chciała sprawiać wrażenie kobiety nowoczesnej i na luzie, i choć każda inna na jej miejscu wyglądałaby co najmniej dziwacznie, Hillary uważała, że jest urocza. Duże, ciemne okulary osłaniały jej twarz nie tyle przed słońcem, co przed niechybnym rozpoznaniem. Musiała zachować anonimowość, bowiem wybierały się razem z Hillary na kolejną misję szpiegowską, jedną z ich sekretnych podróży do nowojorskiego świata biżuterii. Ta była pierwszą, odkąd Brendan zachorował, i chociaż Pam wahała się, czy powinna go zostawić, wyszła w końcu, gdyż potrzebowała dnia odpoczynku.

Hillary często towarzyszyła Pam w tych wycieczkach, po prostu dlatego, że Pam była jej przyjaciółką i lubiła jej towarzystwo. Tym razem powód wyjścia był bardziej sprecyzowany.

Przed chwilą opuściły salon wystawowy Davida Webba i skierowały się do Tiffany'ego. Pam zazwyczaj starała się nie pokazywać po sobie, jakie wrażenie sprawia na niej produkcja konkurencji i unikała rozmów w tej materii. Teraz też zagadywała Hillary na rozmaite tematy i widać było, że pewien problem szczególnie ją nurtował. Jadąc tego dnia z lotniska natknęła się na wypadek drogowy i choć różnił się on w wielu szczegółach od tamtego sprzed dwudziestu jeden lat, migające światła i dźwięk syren obudziły jej pamięć. Rozmawiały o tym w czasie obiadu w Polo Lounge przy Westbury i później, w trakcie spaceru.

- Wiedziałam, że w Johnie tkwią resztki sumienia - skomentowała Hillary, wysłuchawszy opowiadania przyjaciółki.

Pam obrzuciła ją ponurym spojrzeniem zza ciemnych okularów.

- Nie ulega wątpliwości, że obecnie wyzbył się ich do reszty. Ale muszę przyznać, że wtedy zachował się jak trzeba. Przez cały ten czas - mniej więcej przez trzy dni od wypadku do

pogrzebu - postępował bez zarzutu. Odgrywał rolę cierpiącego syna i współczującego brata. Oczywiście wszystko na pokaz.

- No, teraz jesteś niesprawiedliwa.

- O.K., przyjmuję, że na trzy dni zrzucił swoją zwykłą maskę i stał się normalnym człowiekiem.

- To bardzo wspaniałomyślne z twojej strony - mruknęła Hillary, ale myślami krążyła przy innej opowieści Pam, sprzed jakichś dwóch tygodni, kiedy Hillary odlatywała do Bostonu.

- A propos wspaniałomyślności, co właściwie stało się ze spadkiem Cuttera? On sam nigdy o tym nie wspominał i im dłużej o tym myślę, tym bardziej wydaje mi się to podejrzane. Kiedy po raz pierwszy zjawił się w Nowym Jorku, oszczędności jego całego życia mieściły się w jednym banknocie w kieszeni spodni. Nie zamierzał już nigdy więcej powracać do Timiny Cove.

Pam nie odpowiedziała. Hillary sądziła, że przyjaciółka wraca myślami do okoliczności poprzedzających przyjazd Cuttera do Nowego Jorku. Z pewnością wspomnienia te nie należały do przyjemnych i niosły ze sobą ból. Ale Hillary chciała się dowiedzieć, co stało się ze spadkiem. Od niechcienia dorzuciła:

- Gdyby Little Lincoln należało do niego, nie byłby taki przybity. Ta ziemia dałaby mu pewność siebie - nie wspominając o pieniądzach. Wydobycie w Little Lincoln zostało przecież rozpoczęte w rok po śmierci Eugene'a. - Dowiedziała się o tym z plotek w Timiny Cove tydzień temu.

- Wiesz, że nie dostał Little Lincoln.

- Dlaczego?

Zatrzymały się na światłach, w grupie osób czekających na skraju chodnika. Hillary zauważyła, że Pam się wzdrygnęła.

- Dlaczego nie? - powtórzyła.

- Wiesz tyle samo co ja.

- A co ty wiesz?

Wreszcie zapaliło się zielone i mogły ruszyć dalej.

- John zmienił testament - beznamiętnie stwierdziła Pam.

- Nie mógł tego zrobić. Testament to dokument prawny.

- Niejeden taki został już sfalszowany.

- Nie zrobiliby tego!

Spojrzenie rzucone spod beretu i ciemnych okularów zdradzało ironię i rozbawienie.

- Nie zrobiłby, Pam, to nielegalne. John nie narażałby na szwank swojej całej kariery, a tym bardziej reputacji. Zmiana testamentu to poważne naruszenie prawa. Jesteś tego pewna?

- Byłam obecna przy jego odczytywaniu - upierała się Pam.

- I nie było w nim wzmianki o Cutterze?

- Nie.

- Albo o Little Lincoln?

- Nie.

Mimo wszystko Hillary nie mogła w to uwierzyć. Nie chciała myśleć o Johnie jako o przestępcy.

- Może ta część testamentu została odczytana tylko w obecności Cuttera? Może tak właśnie zarządził Eugene i Cutter dostał Little Lincoln, tylko natychmiast je sprzedał, a kupującym był John?

- Przykro mi, Hillary, ale to nieprawda.

- Jesteś pewna?

- Oczywiście. Cutter nic nie dostał.

- A czy bierzesz pod uwagę wariant, że być może w ogóle nie było żadnego zapisu w testamencie?

- Słyszałam rozmowę ojca i Johna. Wtedy w Maine. Tata wiedział, co mówi. A nie była to żadna dyskusja, tylko przekazanie powziętych wcześniej decyzji. Potem nie zdarzyło się nic takiego, co mogłoby spowodować zmianę jego planów. Do końca utrzymywał z Cutterem doskonałe stosunki.

Przez jakiś czas szły w milczeniu, po czym Hillary mruknęła:

- Rzeczywiście, prawdziwa z niego kanalia.

- Mhm.

W kilka dni później Hillary poszła spotkać się z Arlanem McGregorem. Od lat był jej wydawcą i przyjacielem i ogromnie chwaliła sobie współpracę z nim w czasie publikacji poprzednich dwóch książek. Kiedy ujrzał ją w drzwiach swojego biura, zsunął na nos okulary, rozparł się głęboko na krześle, założywszy ręce na brzuchu, którego przybyło ostatnimi czasy, po czym szeroko się uśmiechnął.

- Widzę, że cieszy cię mój widok - powiedziała, sama również się uśmiechając. Już zapomniała, jak bardzo Arlan ją lubi, i poczuła miłe ciepło na duszy, obserwując radość w jego oczach.

- I to niezmiernie. Zaczynałem już myśleć, że opuściłaś ten ziemski padół. Albo że wy-
prowadziłaś się z Nowego Jorku. Tęskniłem za tobą.

- Akurat.

- To prawda. Ale tylko mężczyzna potrafi tak długo znosić nieodwzajemnioną miłość. -
Obrzucił ją pełnym podziwu spojrzeniem. - Wspaniale wyglądasz, Hillie.

Przez te wszystkie lata John z pewnością nauczył ją prezentowania się od najlepszej stro-
ny. Ubrana była w elegancki, nieco męski w stylu kostium, doskonały do załatwiania interesów.
Chciała wyglądać na osobę kompetentną, pewną siebie i potrafiącą kontrolować własne sprawy,
i trzeba przyznać, że robiła to z powodzeniem.

- Dziękuję ci, przyjacielu - powiedziała, po czym zastanowiła się chwilę.

Coś jej tu nie pasowało. Coś pachniało inaczej. Potem zrozumiała: nie czuła papierosów.

- Nie ma dymu?

- Rzuciłem palenie.

- Wspaniale, Arlan! Jestem z ciebie dumna!

- Nie masz pojęcia, jak mi tego brakuje.

- Przejdzie ci. Wyglądasz świetnie. - Następnie bardziej oficjalnym tonem zapytała: - Jak
idą interesy?

Wzruszył ramionami.

- Całkiem dobrze. - Spojrzał na manuskrypt, który przed chwilą przeglądał. - Mam sporo
roboty. - Rozhuśtał się na krześle, po czym opadł łokciami na blat biurka. - Nuda. Ostatnio
zajmowałem się różnymi fascynującymi sprawami - biografią faceta, który wynalazł dezodo-
rant do trampek, zbiorem opowiadań, napisanych przez synów o matkach, podręcznikiem na
temat szopów i jeszcze poradnikiem na każdy temat - od osiągnięcia spokoju umysłu do radzenia
sobie z zaparciami. Nuda, moja droga, kompletna nuda. - Szeroko otworzył oczy. - Czekam na
coś dobrego, Hillie. Mój mózg ulega degeneracji. Potrzebuję czegoś z biglem, mięcha, w które
mógłbym wbić zęby. Może ty mi to dasz?

Dumnym gestem poklepała aktówkę, zwisającą z jej ramienia. Oczy wydawcy stały się
jeszcze większe.

- Mówisz poważnie?

- Jak najbardziej.

- Czyżbyś zrobiła coś więcej niż te kiepskie kawałki do gazet?

Hillary nie obraziła się. Arlan był jej przyjacielem, a zresztą przyszła tu właśnie po to, by

usłyszeć tę nutę ekscytacji w jego głosie.

- Te kiepskie kawałki dawały mi chleb przez ostatnie pięć lat, ponieważ jak dotąd nic, co napisałam dla ciebie, jakoś nikogo zbytnio nie poruszyło. Teraz jednak wszystko może się zmienić. - Nabrała powietrza. - To tylko kilka wstępnych rozdziałów, na razie w strasznym bałaganie, ale powinienes je przejrzeć.

Arlan wziął do ręki ołówek i wskazał nim najbliższe krzesło.

- I zamknij drzwi. Nie chcę, żeby słyszał to jeszcze ktoś trzeci.

Hillary zrobiła, co kazał, i dumna jak paw zasiadła naprzeciw niego.

- W marcu „20/20” nadało program z udziałem Johna St. George'a. Widziałeś to?

Arlan potrząsnął przecząco głową.

- Program był interesujący - poinformowała Hillary. - Bardzo mu pochlebiał, wręcz wyśławiał pod niebiosa. Przedstawiono tam Johna jako niezastąpiony filar naszej społeczności, filantropa, niemal geniusza.

Arlan bawił się ołówkiem.

- Z tego, co słyszałem, ten opis do niego pasuje. Jego sklepy to prawdziwa bomba. Ile ich teraz ma?

- Pięć, w tym dwa nowo otwarte - w Los Angeles i Londynie.

- Ludzie o znanych nazwiskach uwielbiają kupować jego błyskotki.

- Znani ludzie mają duże pieniądze, a jak je lepiej wydać niż na biżuterię? To szczyt luksusu. Co nie oznacza, że sam John obkupuje się w biżuterię za pieniądze, które zarabia. Oblepia za nie plakaty ściany budynków, żeby jego nazwisko było rozpoznawane, a szczodrość doceniona. Kupuje sobie ludzką życzliwość i przychylność.

- Pachnie mi to polityką. Zanim się spostrzeżemy, będzie się ubiegał o jakiś urząd.

Hillary spokojnie kontynuowała:

- Nie, jeśli ja będę miała okazję coś na ten temat powiedzieć. Znam tego faceta, Arlan. Znam jego rodzinę. Wiem, czego się boi, jakie są jego obsesje i poznałam jego przeszłość. Uwierz mi, ogłoszenie ich zmusiłoby „20/20” do rumieńca wstydu. Istnieje druga, ciemna strona życia Johna. Chcesz gorącej książki, to ją masz. I tylko ja mogę ją napisać.

Arlan przez chwilę siedział spokojnie, tak jak ona parę minut wcześniej. Potem zaś, w przypływie podniecenia, wysunął szufladę, coś z niej wyciągnął i całą garścią wepchnął sobie w usta.

- Pestki słonecznika - wybełkotał, strzepując z koszuli kilka ziaren. - Pomagają mi w koncentracji. - Po chwili namysłu uniósł wysoko brwi i wyjmując torbę z szuflady, podsunął ją w stronę gościa.

Hillary potrząsnęła głową.

Wydawca sięgnął jeszcze po parę ziaren, po czym zamknął szufladę.

- Byłaś osobiście związana z tym mężczyzną.

- Najlepsze książki wychodzą spod piór autorów, którzy byli blisko swoich bohaterów. Lista bestsellerów aż pęka od pozycji napisanych przez matki, córki, kochanki, żony lub eks-żony.

- To może wyglądać podejrzanie.

- Ale jakież to interesująca lektura. Od lat powtarzasz mi, że w moich pracach brak ognia.

Z tą jest inaczej, możesz mi wierzyć.

Arlan wahał się. Znow zaczął się bawić ołówkiem.

- Wierzę, ale to na kilometr śmierdzi komercją. Twoje dotychczasowe prace należały do typowo intelektualnych.

Hillary uniosła wzrok do sufitu.

- To twoje zdanie.

- Także krytyków.

- I co dobrego mi z tego przyszło? Ile egzemplarzy sprzedaliśmy?

- Na zdobycie reputacji potrzeba czasu. Te książki to twoje początki. Od strony intelektualnej były fascynujące.

- Ta także taka będzie. - Pochyliła się do przodu, mocniej zaciskając dłonie na poręczach krzesła. - Nie rozumiesz? Mój talent tkwi w tym, że potrafię z czegoś pozornie płytkiego wydobyć głębię. Tak się sprawa miała z moją biografią Dorothei DeBlois. Jej nazwisko nic nikomu nie mówiło. Pisała dla gazet i była niepozorną myszką. Ale okazało się, że tematy, które poruszała przed tysiąc dziewięćset dziesiątym rokiem, nadal są ważne. I miała powody, by patrzeć na zjawiska w ten swój niepowtarzalny sposób. Miało to związek z czasami, w jakich żyła, jej rodziną, jej miejscem zamieszkania. I to właśnie potrafiłam w tej książce pokazać. Stąd brała się jej atrakcyjność.

Przybrała poprzednią pozę i spojrzała Arlanowi prosto w oczy.

- Umiem uczynić tę powieść podobnie fascynującą. Książka będzie się sprzedawała przede wszystkim ze względu na nazwisko bohatera. John to obecnie łakomy kąsek, a ja tylko

pokażę go w innym świetle. Proponuję wgląd w jego umysł. Mogę prześledzić jego postępowanie i sposób myślenia jak najlepszy psychoanalityk, a ponieważ John nie otworzyłby się nigdy przed żadnym terapeutą, jedynie ja mogę to zrobić, Arlan.

Wydawca wyglądał na zaniepokojonego. Hillary poznawała to po blasku jego oczu. Mimo to nadal się wahał.

- Jak długo znasz Johna St. George'a?

- Kiedy ujrzałam go po raz pierwszy, miałam dwanaście lat. Będąc piętnastolatką, zaczęłam z nim rozmawiać, a mając siedemnaście, przyjaźnić się. Teraz mam czterdzieści cztery lata. Sam policz.

Arlan uniósł brew.

- Przez cały ten czas się przyjaźniliście?

- Czasami zdarzały się kłótnie i sprzeczki, jak to bywa między przyjaciółmi.

- I między kochankami.

- Nie powiedziałam, że byliśmy kochankami.

- Nie udawaj, wiem, że byliście. Sparzyłaś się na nim?

- Dlaczego o to pytasz?

- Ponieważ książka, o jakiej mówisz, nie przypadnie mu do gustu. Może cię znienawidzić.

- Wystarczającą rekompensatą będzie dla mnie dostanie się na listę bestsellerów „New York Timesa”.

- Nie masz na to żadnej gwarancji. Napiszesz książkę, która nie będzie hitem, a zyskasz wroga. Co wtedy?

- Życie będzie się toczyć dalej - powiedziała niemal automatycznie. Ostatnio powtarzała to banalne zdanie tysiące razy.

- Bez Johna?

- Mój Boże, Arlan, ależ jesteś męczący. Tak, życie będzie się dalej toczyło bez Johna! Mój świat nie kręci się tylko wokół jego osoby. Dlaczego robisz z tego taki wielki problem?

- Ponieważ nie rozumiem waszego związku. Jesteś częścią większej układanki, samą w sobie bardzo zagadkową. Twoje życie przed pobytem w Nowym Jorku to dla mnie jedna wielka tajemnica. Za każdym razem, gdy cię o to pytam, unikasz odpowiedzi.

- Moje życie to Nowy Jork.

- Bzdury. Przecież nie urodziłaś się w Central Parku. Zanim tu przyjechałaś, przez sześć

lat mieszkałaś w Bostonie, a przedtem osiemnaście w Tammany Hall...

- Timiny Cove - poprawiła, uśmiechając się wbrew sobie. - Dlaczego zawsze przekręcasz tę nazwę?

- Ponieważ nie ma dla mnie najmniejszego znaczenia i nie będę nią sobie zaśmiewał pamięci. A w ogóle to nigdy mi o niej nie opowiadasz. To musi być jakaś egzotyczna miejscowość. Czasami zastanawiam się, czy jej sobie nie wymyśliłaś.

- Na pewno nie.

- W takim razie musi to być złowieszcze miasteczko, z którego uciekłaś ze strachu o swoje życie.

- Niezupełnie. - Uśmiech nieco przybladł na jej twarzy. - Przecież wszyscy zmieniamy miejsca zamieszkania. To samo zrobiłeś, kiedy opuściłeś Poughkeepsie. Czy ja wypytuję cię, jak to jest dorastać w takim miejscu?

- Sama wiesz, że było tam przeraźliwie nudno. - Postukał ołówkiem w podbródek. - Poza tym, może nie jesteś tak bardzo zainteresowana moją osobą, jak ja tobą. Uwielbiam cię.

Hillary westchnęła i kolejny raz popatrzyła na sufit.

- Naprawdę - upierał się wydawca. - Gdyby nie to, że mam wspaniałą żonę...

- Jak ona się miewa, tak przy okazji?

Arlan znowu rozparł się w krześle.

- Jest wściekła, bo nie chcę jej zabrać w przyszłym miesiącu do Puerto Vallarta, ale poza tym w porządku.

- Dlaczego nie chcesz jej tam zabrać?

- Ponieważ za każdym razem, kiedy moja stopa dotyka meksykańskiej ziemi, zaczynam chorować. Powiedziałem jej, żeby wybrała sobie jakieś miejsce na Florydzie, może któreś z Keys. Ale ona uparła się na Puerto Vallarta. Co takiego interesującego jest w Puerto Vallarta?

- Osoba, z którą się tam znajdziesz - odparła Hillary, potem zamilkła, zaskoczona pewną myślą. W Puerto Vallarta spędziła wraz z Johnem swoje czterdzieste urodziny. Była to jedna z nielicznych okazji, kiedy udało im się wspólnie gdzieś wyjechać. John rzadko robił sobie wakacje, należał do najbardziej zawziętych pracoholików. Początkowo, kiedy rozbudowywał przedsiębiorstwo, faktycznie musiał poświęcać mu wiele czasu, ale już od dawna nie było to potrzebne. Dla niego praca stanowiła zarówno świetne usprawiedliwienie pewnych swoich zachowań, jak i sposób na trzymanie ludzi na dystans. Bowiem mimo sukcesu, jaki osiągnął, nadal nie czuł się do końca akceptowany i pewny siebie w elitarnym towarzystwie. Oczywiście

nic z tego nie ujawniło się w trakcie programu „20/20”.

Poruszona tą myślą, Hillary głęboko nabrała powietrza.

- Muszę napisać tę książkę, Arlan. Coś w środku aż mnie boli, żeby to zrobić.

- Tak nagle?

- Nie, już wcześniej się nad tym zastanawiałam. - Nieraz w ciągu tych lat, kiedy przyglądała się, jak John przekształca St.George Mining z małego przedsiębiorstwa w olbrzymią, pełną rozmachu firmę, przychodziło jej do głowy, by stworzyć coś w rodzaju dokumentu tych zmian. Oficjalne raporty przedsiębiorstwa podawały tylko połowę prawdy. - Aż do tej pory nie byłam przekonana, czy John jest kimś na tyle znaczącym, żeby książka o nim mogła odnieść sukces. A ja chcę odnieść sukces, potrzebuję tego. Mam czterdzieści cztery lata i z każdym dniem czuję się coraz starsza. Udało mi się wydać dwie książki, aczkolwiek bez większego rozgłosu. Napisałam mnóstwo artykułów do prasy, ale nie jestem przekonana, czy ktoś je w ogóle czytał. Dostałam do miejsca, w którym cała moja kariera stała pod znakiem zapytania. Jeśli w najbliższym czasie nie dokonam czegoś naprawdę znaczącego, już wkrótce nie starczy mi na to ani sił, ani ochoty. - Jęknęła. - Do diabła, teraz nadeszła moja kolej. Chcę, żeby pisano o mnie w „People”, chcę być znana i podziwiana. Będę chodzić na przyjęcia, a ludzie, wiedząc, jak zarabiam na życie, będą mi cholernie zazdrościć. Po prostu chcę wreszcie być kimś.

- Jak John St.George?

Słowa Arlana zmroziły ją.

- Tak, dokładnie jak on. - Nie kryła żalu. - Nie mogę udawać, że Johnowi się nie powiodło. Nikt przy zdrowych zmysłach tego nie powie. Po śmierci ojca John przejął St.George Mining i stworzył przedsiębiorstwo, o jakim Eugene'owi nawet się nie śniło. Za przebojowość, profesjonalizm i wcielenie w życie swoich niezwykłych wizji należą mu się same laury, jednak jako człowiek to śmieć.

Odwróciła głowę w stronę okna, z którego roztaczał się ponury, wypełniony betonem i stalą widok.

- John St.George jest osobą całkowicie skoncentrowaną na sobie. Już od najmłodszych lat wiedział, co chce w życiu osiągnąć, i dążył do tego, manipulując po drodze ludźmi i wykorzystując ich bez skrępowań. Gdy stwierdzał, że nie są już mu potrzebni, porzucał ich jak stare rękawiczki, nie troszcząc się bynajmniej o ich dalsze losy. I tak nikt, kto u niego pracował, nie zagrażał długo miejsca. Po dziś dzień St.George stosuje te same podstępne metody - kłamie, straszy, przekupuje - robiąc to tak zręcznie, że ludzie często nawet nie zdają sobie z tego spra-

wy. Może po części też osobiście zapracował sobie na obecną pozycję, ale obok niego powinno stanąć mnóstwo osób, dzieląc zaszczyty, sławę, no i pieniądze.

- Kogo konkretnie masz na myśli?
- Na przykład Pam, jego przyrodną siostrę.
- Tę projektantkę biżuterii?

Hillary posłała gorzki uśmiech w stronę odbicia Arlana w brudnej szybie. Fakt, że wiedział, kim jest Pam, zmusił ją do pójścia krok dalej i wyjaśnienia panujących w rodzinie St.George miar ważności.

- Właśnie. To głównie dzięki jej pracy „Facets” jest takie oryginalne i odnosi olbrzymie sukcesy. Ale John udaje, że wcale tak nie jest. Koncentruje się tylko na finansach i nie chce uznać, że to za sprawą Pam finanse wyglądają tak, a nie inaczej. - Odwróciła oczy od okna. - Jest jeszcze Patrycja, jego macocha. Nie będę ci wyliczała wszystkiego, co jej zrobił. Wystarczy, że powiem, iż wegetuje od dawna w prywatnym zakładzie na peryferiach Bostonu. Kolejną osobą, skrzywdzoną przez Johna w sposób wprost trudny do pojęcia, jest Cutter, który miał zostać mężem Pam.

- W takim razie kompletnie nie rozumiem, co ty w nim widzisz?

Powinna była wiedzieć, że Arlan zada jej to pytanie. Ale jak miała na nie odpowiedzieć? Jak można wytłumaczyć młodzieńcze zauroczenie, które z upływem czasu przeszło w namiętne uczucie, by stać się w końcu prawdziwą obsesją? Od lat zdawała sobie sprawę z wad Johna, a mimo to nadal ją pociągał. Nawet teraz, po tym, gdy została tak okrutnie porzucona, nie była pewna własnych reakcji.

- Od dawna łączy was przyjaźń - ciągnął Arlan. - Jakie były jej podstawy?

- Czy ja wiem, Arlan? Czas i miejsce określonych wydarzeń, wiek, wspólne upodobanie do wolnych tańców - nie mam pojęcia. W każdym razie coś podziałało. - Wolałaby, żeby na nią nie naciskał. To było jeszcze zbyt bolesne. - W pewnym momencie dochodzi się do punktu, w którym związek sam w sobie jest podstawą. Może to przyzwyczajenie.

- To mi wręcz wygląda na nałóg, jakieś olbrzymie uzależnienie.

- Być może. - Spojrzała mu prosto w oczy. - Jeśli nawet, to spowoduje to tylko powstanie cholernie dobrej książki. Więc jak, jesteś w końcu zainteresowany, czy nie? W razie odmowy zaręczam ci, że pójde z tym gdzie indziej. - Poczowała, że odzyskuje na nowo zdecydowanie i kontrolę nad sobą. Właściwie cieszyło ją, że zdrada Johna przyczyni się do powstania czegoś pozytywnego w jej życiu. Uniosła zalotnie brew. - Nie chciałbyś zobaczyć jego klęski?

Wreszcie nacisnęła na odpowiedni guzik. Arlan McGregor był mężczyzną o przyjemnej aparycji, choć może nieco zbyt otyłym, ze wspaniałą czupryną długich, ciemnych włosów, które z wiekiem wcale nie rzedniały. Miał w sobie coś misiowatego i wzbudzającego zaufanie i właśnie między innymi z tego powodu Hillary go tak lubiła. Szanowała go jako wydawcę i zgadzała się na szczegółowe przesłuchanie, bo oprócz innych zalet Arlan zachowywał delikatność, a to znaczyło dla niej o wiele więcej niż zapierający dech w piersiach wygląd. Nie był jednak mięczakiem i nie bał się podejmować ryzykownych decyzji, co liczyło się tym bardziej, że nie był też bogaty. Miał robotnicze pochodzenie, skończył studia, miał się w życiu wielu prac związanych z pisaniem, aż ostatecznie wylądował na obecnej posadzie. Miał czterdzieści sześć lat, był szanowanym wydawcą i choć czasami się uskarżał, lubił swoją pracę. Ale wiedział też, że nigdy nie zrobi w tym interesie wielkich pieniędzy.

Być może to wszystko sprawiało, że często pozwalał sobie na żarty z bogatych i wpływowych ludzi i nie mógłby zaprzeczyć, iż obserwował ich potknięcia czy niepowodzenia z pewną małostkową satysfakcją. John St.George należał do samej śmietanki. Wyraz twarzy wydawcy wyraźnie świadczył o tym, że z chęcią przyczyni się do publikacji książki, która przyspieszy upadek Johna.

Wyciągnął dłoń po aktówkę Hillary.

Tydzień później Hillary ponownie zjawiła się w jego biurze z tym samym wyrazem opanowania na twarzy, ale, prawdę mówiąc, daleko jej było do spokoju. Pierwsza część książki leżała na środku biurka. Arlan milczał, z ponurą miną oparty na krześle, założywszy zaciśniętą rękę na brzuchu. Hillary nie miała pojęcia, co to oznacza; równie dobrze mógł być niezadowolony z przeczytanego rękopisu, jak też cierpieć z braku papierosów.

- Więc? - zapytała, kiedy już dłużej nie potrafiła znieść napięcia.

- Nie powiedziałaś mi, że St.George się zaręczył.

Nie to spodziewała się usłyszeć. Musiała się mocno starać, żeby nie stracić pozorów opanowania.

- Czy to takie istotne?

- Możliwe - oświadczył Arlan i nagle uśmiechnął się przekornie. - Czy mam przedstawiać autorkę jako kobietę wzgardzoną?

Powiedział „przedstawiać autorkę"! Oczy Hillary pojaśniały.

- Podobało ci się?

- Jasne. Podobno wiedziałaś, że tak będzie - kpił. - Ale nie odpowiedziałaś na moje pyta-

nie. Czy jesteś kobietą wzgardzoną?

- Oczywiście, że nie. Nie łączył nas z Johnem żaden formalny związek, jesteśmy po prostu starymi przyjaciółmi. - Zadowolona ze swojej odpowiedzi, a także z tego, że do końca nie straciła zimnej krwi, zapytała: - Czemu pytasz? Czy miałyby jakieś znaczenie, gdyby było inaczej?

Arlan podniósł ze stołu spinacz i zaczął nim stukać w blat.

- Książka jest dobra. Chcę, żebyś ją skończyła. Ale jeśli kierują tobą osobiste pobudki...

- Od lat myślałam o napisaniu tej książki, już ci o tym mówiłam. Do działania zmusił mnie program „20/20”. I dobrze się stało, Arlan. - Aż płonęła z emocji. - Większość mojego dorosłego życia spędziłam na pisaniu, szlifowaniu języka i stylu. Mam to już za sobą, skończyłam z akademickimi potyczkami z językiem, z doborem właściwych słów i zwrotów. Teraz całkowicie pochłania mnie treść. Ta książka będzie inna. Urodziłam się po to, by ją napisać. - Przerwała na chwilę. - Nie widzisz tego?

Arlan odrzucił spinacz i poruszył się na krześle.

- Widzę. Hillary prychnęła.

- To dlaczego szukasz dziury w całym?

- Bo umieram.

- Nadal ciągnie cię do papierosów? - zapytała z udanym współczuciem.

Wyraz oczu wydawcy mówił, że zabiłby za jedno zaciągnięcie.

- Twój manuskrypt pozwolił mi na chwilę zapomnieć o papierosach.

Hillary uśmiechnęła się.

- Wiedziałam, że ci się spodoba. Przeczynałam. Nigdy jeszcze nie pisało mi się z taką łatwością, słowa same układały się w zdania.

Arlan pokiwał głową. Znowu zaciskał palce u rąk, wyglądające jak nogi kraba.

- To dlatego, że jesteś uczuciowo powiązana z bohaterami. Jakby byli twoją najbliższą rodziną. - Zamilkł. - Ale nie są, przecież masz swoich bliskich, swoją własną rodzinę. Więc dlaczego - uderzył dłonią w maszynopis - nic tu o nich nie piszesz?

- Ponieważ nie jestem głównym bohaterem.

- Ale ja chcę wiedzieć, gdzie jest w tym wszystkim twoje miejsce. Chcę znać twoją historię.

- Opowiedziałam ci ją, przekazałam najważniejsze dane - gdzie się urodziłam, do jakiej chodziłam szkoły, jakimi publikacjami mogę się pochwalić. To jest wszystko, co uważam za

istotne.

Arlan potrząsnął głową. Sięgnął po pestki słonecznika.

- Chcę wiedzieć więcej. To część tej historii. Wyrosłaś w Tammany Hall...

- Timiny Cove.

- Żyłaś tam, znałaś tamtejszych mieszkańców, ale nie jesteś taka jak oni, nigdy nie byłaś.

- To nie moja wina.

- Ale tam żyłaś.

- Moja rodzina stamtąd pochodzi. Arlan wsadził do ust garść ziaren.

- Mów dalej.

- Uwierz mi, Arlan, to nic ciekawego.

- Chcesz ten kontrakt?

Wiedziała, że się z nią przekomarza, ale celował poniżej pasa. To nie było w porządku.

Podnosząc się wolno z krzesła, powiedziała:

- Sama kieruję swoim życiem, dotyczy to również pisania. Nie jestem sławna, lecz zawsze to ja decydowałam o wszystkim, co pisałam. Wybacz, ale nie będziesz mi dyktował, co ma być ważne i ciekawe w mojej książce.

- A szkoda, bo wydaje mi się, że na przykład twój ojciec jest osobą bardzo ciekawą.

Wpatrywała się w niego przez kilka sekund.

- Wiedziałeś?

- Usiądź.

Uczyliła to, ale w każdej chwili gotowa była się wycofać, gdyby rozmowa przyjęła niekorzystny dla niej obrót.

Wyglądało na to, że Arlan zdawał sobie sprawę, iż dotknął jej pięty Achillesa, bo nagle zmienił ton na ciepły i delikatny.

- Gdzieś kiedyś wyczytałem, że Oliver Cox mieszkał w Maine, w małym miasteczku o nazwie Timiny Cove. Coś mnie w tym uderzyło, bo przypomniałem sobie...

- Tammany Hall.

- Potem ty się pojawiłaś i wspomniałaś o swoim pochodzeniu. Zacząłem się zastanawiać.

To samo nazwisko, to samo miasto. Wystarczyła jedna rozmowa telefoniczna.

- Z moim ojcem?

- Skąd, z kierownikiem poczty, a raczej z kierowniczką. Pogawędziliśmy chwilę. Co za wspaniała kobieta! Bez specjalnych oporów potwierdziła, że jesteś córką Oliviera Coxa.

Hillary nawet nie wpadła w złość, była zbyt zaskoczona i za bardzo zajęta kojarzeniem faktów.

- W takim razie już wiesz. Pokiwał głową.

- Domyślałem się, że musisz mieć jakiś powód, by chcieć zachować anonimowość.

- To przecież oczywiste! - krzyknęła, siadając głębiej w krześle. - Mój ojciec był wybitnym poetą, zdobył wszelkie możliwe nagrody. Moja starsza siostra w wieku lat czternastu skończyła z wyróżnieniem szkołę średnią, potem poszła do M.I.T. i do dnia dzisiejszego pracuje na rządowej posadzie jako fizyk nuklearny. Obydwoje byli genialnie nieprzeciętni, a najdziwniejsza była moja matka; zresztą nie pozostało jej nic innego, skoro musiała żyć z tamtą dwójką. Potem urodziłam się ja. - Wciągnęła głęboko powietrze. - Nie zdziw się, kiedy ci powiem, że sprawiłam im zawód. Nie byłam poetką i nie potrafiłam w wieku pięciu lat mnożyć czterocyfrowych liczb; robiłam dokładnie to wszystko, co inne pięciolatki. Również później zachowywałam się nadal jak typowe dziecko w moim wieku. Byłam po prostu nieprzyzwoicie przeciętna. Oczywiście mieszkańcy miasta wcale w to nie wierzyli. Uznali z góry, że muszę być dziwadłem, więc nigdy nie próbowali mnie zaakceptować, tak jak nie akceptowali moich rodziców i siostry.

- Twój ojciec uważany był za odludka.

- Bo taki był. Zupełnie nie interesowało go towarzystwo. Choć na ogół pochłaniały go pogmatwane i skomplikowane zagadnienia, sam był zadziwiająco prosty. Kiedy się starał, potrafił zachowywać się poprawnie, a nawet z czułością, ale z upływem lat coraz mniej się starał.

- Dlaczego akurat Timiny Cove?

Nie znała odpowiedzi na to pytanie.

- Podejrzewam, że ze względu na ustronność. Każde wiejskie miasteczko by się nadawało. Potrzebował spokoju do pracy.

- Więc sąsiedzi wam go dali.

- Jak najbardziej, nigdy nie uznali nas za swoich. Trzymali się na dystans i tylko obserwowali, a ja, no cóż, nie lubiłam, kiedy się tak na mnie gapili. Zawsze byłam w ich oczach jego córką albo jej siostrą i nie podobało mi się, że nie pasuję do swojej rodziny. Więc zdecydowałam, że jak tylko osiągnę odpowiedni wiek, wyjadę i sama zapracuję na swoje imię.

- Oliver Cox nic szczególnego ostatnio nie spłodził.

- Nie, jest już stary. - Ale Hillary nigdy nie zapomniała lat dzieciństwa. - Czy wiesz, jak to jest wyrastać w otoczeniu samych geniuszy?

Arlan podrapał się w głowę.

- Nie powiem, że wiem.

Zignorowała komiczny wyraz jego twarzy.

- To naprawdę okropne. Przede wszystkim nie można się z nimi normalnie porozumieć. Mój ojciec miał zwyczaj siadać i wpatrywać się w przestrzeń przed sobą. Kiedy do niego mówiłam, nie słyszał mnie. Nagle podnosił ołówek i skrobał coś na kopercie, boku książki albo pudełku zapalek. I to było piękne, ale kiedy chciałam mu to powiedzieć, on już był pochłonięty następną myślą.

- Jego prace są wysoko cenione.

- I słusznie.

- A więc nie wstydzisz się go.

- Nigdy się go nie wstydziłam. Po prostu zmęczyło mnie, że musiałam rywalizować tam, gdzie nie miałam szans. Nie byłam tak błyskotliwa jak oni i nawet nie chciałam, żeby za taką mnie uważano. Nie byłam też nigdy taką ekscentryczką.

- Najwyraźniej John St. George nie myślał tak o tobie.

Na dźwięk jego imienia Hillary westchnęła. Wyraźnie pamiętała tamte młodsze lata i spotkania z Johnem. Powróciło uczucie dawnej ekscytacji i podniecenia.

- Nie, on tak nie myślał. Spotkałam go w okresie, kiedy czułam się bardzo wyobcowana. Nie dogadywałam się ani ze swoją rodziną, ani z mieszkańcami miasteczka. Starłam się jakoś przetrwać do czasu, aż wyjadę do college'u. John stanowił pomost ze światem, pochodził z zewnątrz. Tak jak ja nie pasował do Timiny Cove. - Uśmiechnęła się. - I wiesz co? Nie przejmował się tym. Nie obchodziło go, co myśleli o nim górnicy czy rodzina, ponieważ miał to swoje inne życie. I to jakie! - Znow westchnęła. - Rozpytywałam go o nie, chciałam dowiedzieć się jak najwięcej. Mogłam go słuchać godzinami. - Ściszyła głos i dodała: - Stał się moim idolem. Kiedy zostaliśmy kochankami, myślałam, że złapałam Pana Boga za nogi. W moich oczach górował ponad całą resztą świata.

- Ale on bawił się tobą.

- Być może.

- Wiedziałaś, że ma inne kobiety. Nie przeszkadzało ci to?

- Wtedy nawet o tym nie pomyślałam. Miałam siedemnaście lat i byłam naiwna.

- Nie spotykaliście się często. Zgodnie z tym, co napisałaś, przyjeżdżał i wyjeżdżał z Timiny Cove, kiedy miał na to ochotę. Czy chociaż dzwonił do ciebie po wyjeździe?

- Nie.

- Pisał?

- Nie. - Pospieszyła z tłumaczeniem. - Ale ja to rozumiałam. Naprawdę. Uwielbiałam go, ale moje marzenia nie ograniczały się do niego. - Obruszyła się, widząc sceptyczne spojrzenie wydawcy. - Słowo. Już wtedy wiedziałam, że chcę zostać pisarką. To było moim głównym celem.

- W przerwach, kiedy przestawałaś marzyć o Johnie. Co ty w nim zobaczyłaś, Hillie? Wyszukane obejście, blask wielkiego świata? Biorąc pod uwagę wszystko, co wiesz o nim w tej chwili, ten facet jest szubrawcem. Co cię w nim urzekło?

Zamyśliła się na moment nad tym pytaniem. Co ją w nim urzekło? Zobaczyła prawdziwy ogień. Miał go w sobie. W tym względzie był nieodrodnym synem swojego ojca. Piękne, doskonale skrojone ubrania stanowiły mało ważną otoczkę. Kiedy je ściągał, był tak cudownie nieokiełznany i rozpalony. Próbował poskromić swój temperament, ale im bardziej się starał, tym gwałtowniej i z większą dzikością wybuchał. Te chwile lubiła najbardziej, stawał się wtedy wspaniały w łóżku.

Ale o tym nie chciała opowiadać Arlanowi, zamiast tego odparła:

- Był samotny i inny, tak jak ja. I prawdopodobnie to nas połączyło. Potem, kiedy już go poznałam, poddałam się jego czarowi. Tak, czarowi - potwierdziła, widząc z wątpliwą na twarzy swojego rozmówcy. - John, kiedy chciał, potrafił być czarujący. Poza tym miał dużo do powiedzenia, był inteligentny. Lubiłam z nim przebywać.

Upraszczała wszystko i zdawała sobie z tego sprawę. Zaczęło do niej docierać, że używa czasu przeszłego. Zerkając na zegarek, powiedziała:

- Muszę już lecieć. - Wstała.

- Hillie, co do tej książki...

- Zamierzam ją dalej pisać.

- Rozmawiałaś z Johnem ostatnio?

- Nie. Zostawił mi kilka informacji na automatycznej sekretarce, ale nie widziałam powodu, żeby do niego oddzwonić. - W gruncie rzeczy nie prosił wcale o to, co zresztą było dla niego typowe. Uważał, że skoro dzwonił do niej i jej nie zastał, była to tylko jej strata.

- A co z zaręczynami? - zainteresował się Arlan. - Ustalili już datę ślubu?

Kierując się w stronę drzwi, rzuciła niedbale:

- Żadnego konkretnego terminu, ale zaręczyny nadal są aktualne, o ile się nie mylę.

- Myślisz, że zostaniesz zaproszona na ślub?

- Boże, mam nadzieję, że nie. - Sama myśl o tym była koszmarem. Będzie musiała szybko wymyślić jakąś wymówkę. Może wyjedzie z miasta i zacznie dochodzenie w sprawie testamentu ojca Johna? Spodobał jej się ten pomysł.

- Wypnij się na niego, Hillie! - zawołał Arlan, kiedy wychodziła na korytarz.

Nie odpowiedziała, ale uśmiech, który pojawił się na jej ustach, nie zniknął przez całą drogę w windzie. Po wyjściu na zewnątrz Hillary spoważniała. Nagle zdała sobie sprawę, że naprawdę może to zrobić. Jeśli znajdzie zapis dotyczący Cuttera, może zniszczyć Johnowi karierę. Po tym, co jej zrobił, wreszcie znalazłaby jakąś satysfakcję.

Rozdział dziesiąty

Boston, 1969

Kiedy John oznajmił Pam, że ojciec nie żyje, nie chciała w to uwierzyć. Już od kilku godzin czekała, pełna najgorszych obaw, na powrót brata, a teraz stała w holu i patrzyła na niego z przerażeniem.

- Kłamiesz, on żyje!

- Mam akt zgonu.

- On nie mógł umrzeć.

- Nie miał w tej sprawie wiele do powiedzenia. Nikt z nas nie ma, kiedy nadchodzi czas.

- Ale tata nie przejeżdżałby na czerwonym świetle, był takim dobrym kierowcą!

- Właściwie nie wiadomo, czy przejechał na czerwonym, czy też stracił panowanie nad samochodem. Tak czy inaczej, znalazł się na tym skrzyżowaniu w najgorszym momencie.

Pam z całych sił starała się uspokoić i zrozumieć, co John usiłuje jej wytłumaczyć.

- Mówisz tak, bo go nienawidzisz.

- Powtarzam tylko słowa świadków. Ciężarówka miała zielone światło.

- To niemożliwe! - zawołała, ale widziała przed sobą nieodparty argument. John zachowywał się zupełnie inaczej niż zazwyczaj, był potulny i współczujący. Dziwnie też wyglądał; twarz miał bladą i wyczerpaną. I nie krzyczał na nią, nie obrzucał wyzwiskami. To było najdziwniejsze. Po raz pierwszy w życiu pragnęła, żeby postępował z nią tak samo brutalnie jak zawsze.

Przezcesał dłonią potargane włosy.

- Pam, on nie żyje. Odszedł. Nikt nie mógł mu pomóc.

Potrząsnęła głową, jakby nie chciała przyjąć tego do wiadomości, i zaczęła się cofać.

- Gdzie jest moja matka? Była z nim, wiem to.

- Jest w szpitalu. Doznała w wypadku poważnych obrażeń, ale najgorsze minęło, przeżyje.

- Chcę ją zobaczyć.

- Jutro. Dopiero co przeszła operację.

Pam nie pytała, co jej się stało. Nie chciała tego wiedzieć.

- Będę mogła ją jutro zobaczyć? John kiwnął twierdząco głową.

Następnego dnia Patrycja, odurzona środkami znieczulającymi i nieobecna duchem, nie nadawała się do rozmowy. Chociaż podświadomie Pam na to czekała, matka nie mogła jej uspokoić ani pocieszyć, że wszystko będzie jak dawniej, że za kilka dni ojciec przyjedzie z Maine. Tak więc Pam wróciła ze szpitala bez słowa otuchy.

Potem rozzwoniły się telefony, zaczęli pojawiać się goście z kondolencjami, co niestety potwierdzało słowa Johna. Pam czuła za to do niego irracjonalną, bezsilną nienawiść. Przychodzili pracownicy z biura, przyjaciele i znajomi Patrycji. Dzwoniło mnóstwo osób z Timiny Cove, nawet matki koleżanek Pam. John przyjmował wszystkich z przygnębieniem na twarzy, co budziło u Pam jeszcze większą złość. Nie tylko on się załamał. Kiedy późnym popołudniem Pam weszła do kuchni, natknęła się na tonącą we łzach Marcy. Pam musiała wreszcie uwierzyć - Eugene naprawdę ich opuścił.

Pogrzeb odbył się w Timiny Cove w poniedziałek, miał być cichy i bardzo skromny. Zdaniem Johna inaczej nie wypadało ze względu na Patrycję, która nadal w ciężkim stanie przebywała w szpitalu. Pam jednak podejrzewała, że był to małostkowy wykręt Johna, aby uniknąć tłumów, ponieważ nie chciał godnie uczcić odejścia człowieka, którego całe życie nienawidził.

Mimo wszystko John nie mógł nic poradzić na zbierające się tłumy żałobników. Zjawili się prawie wszyscy mieszkańcy miasta i okolic, wciąż zajeżdżały autokary, wypełnione ludźmi z całego stanu. Pam była uszczęśliwiona ich widokiem, ale John natychmiast po głównej uroczystości pogrzebowej wepchnął ją do czarnej limuzyny i tego samego wieczoru odwiózł do Bostonu.

Pam była bierna i bezwolna jak marionetka, nie miała siły się opierać. Wynikało to bez-

pośrednio ze stanu jej uczuć. Rozum mówił jej, że Eugene nie żyje, ale w duchu ciągle miała nadzieję, że za chwilę zadzwoni albo pojawi się roześmiany w drzwiach jej pokoju. Poza tym z ufnością wierzyła, że rychło nadejdzie wiadomość ze szpitala, iż Patrycja czuje się już dobrze i wkrótce wróci do domu.

Niestety, nie doczekała ani śmiechu Eugene'a, ani powrotu matki. Patrycja wciąż znajdowała się w stanie odrętwienia. Diagnoza lekarzy brzmiała: głęboka, niezwykle trudna do wyleczenia depresja pourazowa. Pam odwiedzała ją codziennie, lecz ani razu nie została przez matkę rozpoznana.

Zwracała się więc z nie kończącą się listą pytań do Johna, ale ten zaraz po formalnościach pogrzebowych wpadł w wir interesów. „Zbieram wszystko do kupy”, zwykł mawiać, a Pam odbierała to jako obelgę. Z tego, co wiedziała, firma ojca miała solidne podstawy, a obecnie John tylko rozwijał ją w kierunku, któremu zawsze przeciwstawiał się Eugene. Tak czy inaczej, John nie miał dla niej wiele czasu.

Na szczęście pozostali jeszcze lekarze i to oni odpowiadali na jej liczne pytania i wątpliwości. Dowiedziała się, że Patrycja ma uszkodzony kręgosłup i straciła czucie od pasa w dół.

- Jest sparaliżowana?

- Tak. - Lekarka opiekująca się matką powiedziała jej to, kiedy siedziały w wygodnych fotelach na szpitalnym korytarzu.

- Na jak długo?

- Tego nie wiemy.

- Ale wkrótce się to wyjaśni? - zapytała Pam, nie dbając o to, że jej głos drży z przestraszenia.

Ze wszystkich lekarzy właśnie tę kobietę lubiła najbardziej - była młoda, mówiła łagodnym, kojącym głosem i zachowywała się delikatniej niż pozostali.

- Kiedy tylko zejdzie opuchlizna i zagoją się rany, będziemy mogli bardziej precyzyjnie określić stan twojej mamy.

- Czy w ogóle będzie chodzić?

- Nie wiemy.

- Ależ tak, po prostu musi! Kiedy się lepiej poczuje, zacznie też mówić?

- To bardzo prawdopodobne. - Lekarka zamilkła, potrząsnęła głową, po czym spytała: - Nie odezwała się jeszcze do ciebie?

- Nie. Ale ona nie śpi, wpatruje się ciągle w ścianę.

- Jest załamana.
- Przeze mnie?
- Nie, nie możesz tak myśleć.
- Więc dlaczego? Przecież nie ona spowodowała wypadek.
- Bardzo często osoby w takim stanie nie są zdolne jasno myśleć.
- Czy to także minie?
- Miejmy nadzieję.
- Kiedy?

Lekarka wzruszyła ramionami, uśmiechnęła się smutno i potrząsnęła głową.

- Po prostu nie wiemy.

Pam nienawidziła takich odpowiedzi.

- Musi istnieć jakiś sposób, żeby jej pomóc.

- Istnieje. Odwiedzaj ją jak najczęściej i długo z nią rozmawiaj. Opowiadaj jej o tym, co robisz w szkole. Mów jej, że tęsknisz za nią i chcesz, żeby wróciła do domu. Pytaj, czy czegoś nie potrzebuje. Ona cię usłyszy, nawet jeżeli z początku tego nie okaże.

Pam robiła dokładnie tak, jak radziła lekarka. Referowała matce, jak spędza całe dni, i opowiadała o planach na najbliższą przyszłość. Mówiła o swojej tęsknocie i o tym, co będą razem robiły, kiedy Patrycja wyzdrowieje. Niestety nie odważyła się jej powiedzieć o wielu sprawach, które mogłyby ją naprawdę zainteresować. Pam bała się, że jeszcze bardziej przynębi tym chorą. Nie śmiała opisać jej pogrzebu w Timiny Cove i ludzi, którzy tak tłumnie się stawili. Nie umiała też wyznać, że straszliwie tęskni za Eugene'em, że zmieniło się jej całe życie i przepelnia ją lęk o przyszłość. Obawiała się, że może już nigdy nie pojedzie do Maine i nie potrafi już być tak szczęśliwa jak niegdyś. Nie mogła opowiedzieć o pustce i ciszy, panującej w domu, i o Johnie, który przechodził samego siebie, żeby jej dokuczyć. Brat ostatnio nie rozmawiał z nią, wydawał tylko polecenia. Nie interesowało go, co Pam myśli i robi. Nie miał dla niej czasu ani cierpliwości.

Mimo to dzień po dniu Pam chodziła do szpitala i przemawiała do matki, a kiedy brakowało jej tematów, siadała obok łóżka, odrabiając lekcje czy oglądając telewizję. Najbardziej jednak pragnęła położyć się obok Patrycji i wypłakać na jej ramieniu z całego serca. Przyglądała się uważnie matce, czekając na najmniejszy znak porozumienia z jej strony.

Nastąpiło to po miesiącu. Patrycja popatrzyła na nią i uśmiechnęła się smutno. Pam ogarnęło niewysłowione szczęście, natychmiast pobiegła podzielić się tą nowiną z lekarzami.

Jednak rozmowa z nimi była jak wiadro zimnej wody. Najnowsze wiadomości o stanie matki nie były zbyt pomyślne. Uraz kręgosłupa okazał się nieuleczalny i było już pewne, że Patrycja nigdy nie będzie mogła chodzić.

Czy to z powodu przygnębiającej diagnozy, czy na skutek depresji, w której matka znajdowała się od chwili wypadku, jej stan nie ulegał żadnej poprawie. Pam była przekonana, że się poddała i dlatego nie działały na nią żadne słowa zachęty. Od czasu do czasu spoglądała na córkę i posyłała jej słaby uśmiech, lecz poza tym pozostawała w swojej zamkniętej skorupie.

Po dwóch miesiącach lekarze uznali, że Patrycję należy przenieść.

- Dlaczego nie może być w domu? - pytała Pam Johna, kiedy ją o tym powiadomił.

Jedli obiad tylko we dwoje, w wielkiej, pustej jadalni. Było to zgodne z zarządzeniem Johna, który uważał, że spożywanie posiłków w tym pokoju jest eleganckie. Teraz, nie przestając ani na chwilę jeść, odparł:

- Ponieważ nie czuje się dobrze.

- Nie musi być podłączona do żadnych urządzeń - spierała się Pam. Uważała, że po przeżyciach ostatnich kilku miesięcy należy jej się bardziej szczegółowe wytłumaczenie. - Widziałam w szpitalu, że niektórych pacjentów wprost nie widać zza kabli i rurek. Mama do niczego nie jest podłączona. Nie dostaje nawet dużo lekarstw.

- Tak czy inaczej, jest w złym stanie.

- To sprowadźmy ją do domu i wynajmijmy dla niej pielęgniarkę.

- Pielęgniarka jej nie wystarczy.

- To wynajmijmy więcej opiekunów.

- Pam... - John odłożył widelec i wpatrywał się w nią, jakby postradała zmysły. - Ten dom nie nadaje się dla osoby sparaliżowanej.

Pam nie podobał się ani ton głosu brata, ani to, że traktuje ją tak protekcyjnie. Nie rozumiała, jak może tak po prostu jeść, jakby wszystko w ich życiu toczyło się normalnie; przecież rzeczy miały się coraz gorzej i nie było widać końca tej tragedii.

- Nie nazywaj jej tak.

- Jest sparaliżowana. Najwyższy czas, żebyś się z tym pogodziła.

- Wiem - potwierdziła Pam, starając się, by jej głos brzmiał spokojnie i bez emocji. Jeśli ma zamiar walczyć z Johnem, musi być opanowana. - Nigdy nie będzie mogła chodzić. Ale to nie znaczy, że nie nauczy się używać inwalidzkiego wózka. To są słowa lekarzy i fizykoterapeutów. To, że nie może chodzić, nie znaczy jeszcze, że nie może wrócić do domu. Nie jeste-

śmy biedni. Stać nas na to, żeby w pełni przystosować dom do korzystania z wózka. Byłam z Patrycją, kiedy terapeuta jej o tym mówił.

- I jak brzmiała jej odpowiedź?

Pam doskonale pamiętała ten moment. Była taka pewna, że matka okaże chociaż cień zadowolenia.

- Była zmęczona po ćwiczeniach nóg.

- Czy coś powiedziała?

Po dłuższej chwili Pam cicho przyznała:

- Nie.

John wrócił do jedzenia.

- Ale w domu byłoby jej lepiej. Jestem tego pewna, John. Powinna tu być razem z nami, otoczona przedmiotami, które zna i lubi. Moglibyśmy zamienić bibliotekę w jej sypialnię, żeby nie musiała używać schodów. Drzwi są wystarczająco szerokie, żeby zmieścić w nich wózek. Więc gdybyśmy tylko zainstalowali poręcze w łazience...

- To nie jest takie proste. W grę wchodzi jeszcze inne sprawy.

- To znaczy?

- Natury emocjonalnej.

- Masz na myśli jej depresję? Przecież istnieje mnóstwo sposobów, by ją zwalczyć. W szpitalu pracuje z nią psychiatra. Mógłby przychodzić do domu. Gdyby popracował z nią dostatecznie długo...

- Pam, ona nie chce wrócić do domu. Nie mogła w to uwierzyć.

- Oczywiście, że chce.

- Powiedziała ci to?

- Nie, ale to nic nie znaczy. Wiesz, że prawie w ogóle nie rozmawia.

- A czy ten fakt nie daje ci nic do myślenia? - zapytał podchwytliwie.

Pam poczuła ucisk w żołądku. Musiała bardziej się starać, jeśli chciała utrzymać myśli na wodzy.

- Po prostu nadal jest przygnębiona z powodu wypadku, ale to już wiemy. Załamała ją śmierć taty i stan, w którym się znalazła, i dopóki się z tym nie upora, nie chce z nikim rozmawiać. - Tak właśnie zasugerowała Pam jedna z pielęgniarek i dziewczyna uznała, że jest w tym dużo sensu. - Dlatego leczy ją psychiatra.

- I jak myślisz, co ona mu mówi?

- Nie wiem. Nie jestem obecna przy tych spotkaniach.

- Powiedziała mu - John mówił wolno i wyraźnie - że nie chce wracać do domu. Dlaczego nie potrafisz się z tym pogodzić? - Włożył do ust spory kawałek mięsa.

- A jak ty się z tym pogodziłeś? - krzyknęła dziewczyna. - I jak możesz jeść, kiedy mówimy o nieszczęściu, które dotknęło naszą rodzinę. To obrzydliwe! Jak w ogóle możesz jeść, czy zupełnie cię to nie wzrusza? - Odrzucając serwetę na stół, wstała. - Nic cię to wszystko nie obchodzi. Pogodziłeś się ze śmiercią taty w sekundę po tym, jak znalazł się w grobie, i teraz tak samo szybko chcesz pozbyć się mojej matki.

- Usiądź, Pam.

- Nie jestem głodna.

- Musisz jeść. Jeśli się rozchorujesz, nie będziesz w stanie odwiedzać matki.

Ta przestroga nie zrobiła na niej wrażenia.

- I tak nie będę mogła jej odwiedzać. Wysyłasz ją do jakiegoś zakazanego miejsca w Wellesley. Nie dotrę tam pieszo.

- Marcy może cię Wozić.

- Ale nie codziennie.

- Oczywiście, że nie. Zresztą nie powinnaś widywać jej codziennie. To dla was obu niewskazane.

- Ona jest moją matką!

W tej chwili John stracił do reszty cierpliwość. Odsunął talerz, oparł ręce na stole i podniesionym głosem powiedział:

- W obecnym stanie ona nie chce być twoją matką, nie widzisz tego? Ma poważne problemy fizyczne i psychiczne i żeby je przełamać, potrzebuje dla siebie więcej czasu i spokoju. Odwiedzałaś ją każdego dnia i wcale jej nie pomogłaś. Więc, na Boga, odpuść sobie, zostaw ją samą.

Żołądek Pam jeszcze bardziej się zacisnął. John zawsze potrafił sprawić, że robiło jej się niedobrze. Opuściła głowę i ruszyła w stronę drzwi.

- Dokąd idziesz? - warknął.

- Na górę. Nie czuję się dobrze.

- Nie czujesz się dobrze, bo masz pusty żołądek!

Ale Pam nie posłuchała. Poszła do swojego pokoju i zwinęła się na łóżku. Nie zwymiotowała, ale kiedy przyszła do niej Marcy z tacą pełną jedzenia, nie była głodna.

- No, słodziutka, musisz jeść.

Pam tępo wpatrywała się przed siebie.

- Nie będzie lepiej. Nic się nie zmieni.

- Nie martw się, musisz tylko trochę poczekać.

- Nie. Teraz odeszli oboje.

- No, no, uspokój się. Twoja mama znajduje się dwa domy dalej, a kiedy ją przeniosą, dzielić was będzie tylko krótka przejażdżka samochodem.

- Ja jej nie obchodzę, Marcy. Nie chce już być moją matką.

- Z pewnością...

- Nie. I tu nie chodzi tylko o wypadek. Od dawna już jej na mnie nie zależało. Nie miało to znaczenia, kiedy był przy mnie tatko, ale teraz, kiedy odszedł, to tak strasznie boli! Jak matka może tak postępować?

- Ona jest chora, kochanie. Nie czuje...

- Nawet nie obchodzi jej ten dom. A przecież zawsze go kochała. Kochała go wcześniej, niż pokochała ojca.

Marcy odgarnęła kosmyk włosów z czoła Pam.

- Kochanie, ona jest pogrążona w żalobie. Tęskni za twoim ojcem, a to z pewnością jest ciężkie do zniesienia.

Pam oderwała głowę od poduszki i popatrzyła na Marcy.

- A co ze mną? Ja nie umarłam i ciągle jej potrzebuję. Powtarzam jej to, ale ona mnie nie słucha. Czy nie rozumie, że ja także tęsknię za tatą i jest mi smutno bez nich obojga? Mam teraz tylko Johna, a on zachowuje się gorzej niż zazwyczaj. Cieszy się, kiedy ja jestem nieszczęśliwa. Nie mogę uwierzyć, że zostawili mnie tu samą, bez żadnej przyjaznej duszy dokoła!

- Nie jesteś sama. Masz mnie i wiesz, że nigdy cię nie opuszczę.

Pam wzięła Marcy za rękę i mocno ją uściśnęła. Tak bardzo pragnęła jej wierzyć, ale obecnie cały jej świat runął w gruzy i nie była już pewna niczego. Wiedziała, że Marcy nigdy by jej nie zostawiła, gdyby to zależało od niej. Wiedziała jednak również, że nie wszystko dzieje się tak, jak by się chciało. Przecież Eugene także nie zamierzał jej opuścić.

Mimo to rozmowa z Marcy pomogła jej. Nie miała nikogo innego, kto by się nad nią uzał. W następnym tygodniu przeniesiono Patrycję do niewielkiego, prywatnego szpitala w Wellesley. Pam raz ją tam odwiedziła, ale została przyjęta z takim chłodem, że postanowiła na razie nie jeździć do matki. Za bardzo ją to bolało.

Z czasem ból przerodził się w bezsilny gniew. Pam była zła na Patrycję, że ją odrzuciła i nie chce wracać do zdrowia; że leży nieruchomo w szpitalu, choć przecież w domu czeka na nią kochająca córka. Czowała też złość do Eugene'a. Zdradził ją, umierając i zostawiając na pastwę Johna i obcych ludzi. Na brata była wściekła za to, że przeżył i że tak wiele znaczył w jej życiu.

Los sprawił, że John w jednej chwili stał się dla niej najważniejszą osobą - opiekunem, strażnikiem jej finansów i najbliższym towarzyszem życia. Znalazła się nieodwołalnie na jego łasce, ponieważ zarządzał nie tylko firmą, ale i całym domem. Z pozoru traktował ją z poprawną uprzejmością, lecz Pam wyczuwała jego zimną wrogość i lekceważenie. A przecież tak bardzo potrzebowała odrobiny ciepła i uśmiechu. Pragnęła z kimś bliskim porozmawiać, do kogoś się przytulić. Obecność Marcy na krótki czas pomagała, ale dziewczyna nie należała do rodziny.

John był w końcu jej bratem, a ona czuła się taka zdesperowana. Była samotna i przestraszona, toteż przez jakiś czas próbowała się do niego zbliżyć. Pomyślała, że jeśli okaże mu trochę serca, on być może odplaci jej tym samym. Zmuszała się do miłego zachowania, kiedy wracał do domu po pracy. Tak jak Patrycja wypytywała go o firmę i interesy, używając w rozmowie miękkiego tonu i unikając sprzeczek.

Wszystko na nic. Wydawało się, że John świadomie ją zwodził i pozwalał jej mieć z początku nadzieję na lepsze stosunki między nimi, że nawet go to bawiło. Jednak tak naprawdę nigdy nie zmienił wrogiego nastawienia i już wkrótce nie krył zwykłego chłodu i pogardy. Ani razu nie zdarzyło mu się spytać o jej samopoczucie czy zaproponować, żeby spędzili jakiś czas razem.

Kolejny raz odtrącona, Pam wycofała się, ale ból i złość nie opuściły już jej duszy. Uciekając przed nimi, wpadła w wir szkolnych zajęć i wydarzeń towarzyskich. Zapisła się na siatkówkę, spotykała ze znajomymi i przyjaciółmi. Zawsze chętnie przyjmowała ich zaproszenia na wyjście do miasta czy wyjazdy na weekend. Miała trzynaście lat i była z natury towarzyska. Siłą woli odpychając od siebie ponure myśli, przynajmniej na krótko poddawała się humorowi roześmianych koleżanek. Plotły razem trzy po trzy, żartowały z nauczycieli, marzyły o szalonych eskapadach i przystojnych chłopcach.

Jednak śmiech i dobry humor opuszczały ją natychmiast, gdy przekraczała próg domu. Wydawał jej się zbyt duży, ponury i pusty. Widok Johna stał się dla niej torturą. Brat promieniał - całą duszą pogrążył się w prowadzeniu firmy, upajając się władzą i swobodą w podejmowaniu decyzji. W przeciwieństwie do niego Pam nie potrafiła się otrząsnąć i przystosować

do nowej sytuacji.

Nadszedł marzec i zaczęła ją męczyć tęsknota za Maine. To miejsce jawiło się w jej oczach jako uosobienie wszystkiego, co dobre, i choć wiedziała, że bez Eugene'a nie będzie się tam już czuła jak niegdyś, to jednak bardzo pragnęła zobaczyć tamtejszych ludzi i bliskie jej sercu okolice. Ostatni raz była w Maine podczas pogrzebu. John jeździł tam w środku tygodnia, kiedy ona miała zajęcia szkolne. Choć wiele razy prosiła, żeby ją zabrał, zbywał ją zawsze pod byle pretekstem.

- W piątek zaczynają się wakacje - poinformowała brata pewnego ranka przy śniadaniu. John w odpowiedzi odwrócił kolejną stronę „Wall Street Journal”. - Pomyślałam sobie, że mogłabym z Marcy pojechać do Maine. - Zdawało się jej, że całą wieczność czeka na odpowiedź. - John?

- Marcy była w Maine w zeszłym miesiącu i jeszcze wcześniej w czasie świąt. - Nadal czytał gazetę, wyraźnie nie zainteresowany kwestią wakacji.

- Jej matka miała kłopoty, więc musiała ją odwiedzić, ale ja nie mogłam, bo mi nie pozwoliłeś. Tym razem naprawdę chciałabym tam pojechać, John.

- Tam nie ma nic do roboty.

- To tutaj nie ma nic do roboty! Czekają mnie dwa tygodnie wakacji, a większość koleżanek wyjeżdża z miasta z rodzicami.

Ostatnia wzmianka na tyle poruszyła Johna, że opuścił gazetę.

- Nie mogę wyjechać z tobą na dwa tygodnie.

- Wcale cię o to nie proszę. - To by było straszne. - Wiem, że jesteś zajęty, dlatego zaproponowałam wyjazd z Marcy.

John popatrzył przez chwilę na siostrę, po czym znowu zajął się czytaniem.

- Pomyślę o tym.

- Bardzo chcę jechać.

- Powiedziałem, że o tym pomyślę.

- Dla ciebie to także będzie wygodne. Nie będziesz się musiał martwić, że siedzę tu i się nudzę. - Tak jakby kiedykolwiek się tym przejmował. - Bardzo chcę jechać.

- Powtórz to jeszcze raz - niemal warknął - a odpowiedź na pewno będzie brzmiała „nie”.

W obliczu tej groźby Pam już dłużej go nie prosiła, tylko modliła się w duszy, żeby wyraził zgodę. Przetrzymał ją w niepewności aż do środy. W końcu Pam nie wytrzymała:

- Zdecydowałeś już?

- O czym?

- Nie pamiętasz? Timiny Cove, moje wakacje.

- Och. - Szykował się właśnie do wyjścia, poprawiając krawat przed oprawionym w rzeźbioną ramę lustrem wiszącym w holu. Był w dobrym humorze i Pam miała nadzieję, że trafiła z pytaniem w odpowiedni moment. - Zdecydowałem. Uważam, że powinnaś zostać w domu. Hettie chce wziąć wolne, więc będę potrzebował Marcy jako kucharki.

Serce dziewczyny zamarło.

- Czy Hettie powiedziała, że chce urlop w przyszłym tygodniu?

- Ja jej powiedziałem, że to może być przyszły tydzień.

- W takim razie pozwól mi pojechać do Maine w następnym.

- To niemożliwe, Hettie bierze dwa tygodnie wolnego.

- Nigdy tak nie robi!

- Cóż, tym razem jest, jak mówię, i nie patrz na mnie w ten sposób. Nie żyjesz tu sama i twoje zachcianki nie są najważniejsze. Hettie ciężko pracuje - o wiele ciężiej od ciebie. Należy jej się odpoczynek. Czy naprawdę sądzisz, że plany wszystkich domowników mają być uzależnione od twoich?

- Nie, ale Hettie może wybrać inny termin. Nie ma rodziny. Kiedy bierze urlop, zazwyczaj wsiada do autokaru i jedzie zwiedzić miejsca, których jeszcze nie widziała. Nic nie stoi na przeszkodzie, by zmieniła termin.

- Ale mnie to nie odpowiada. - Sięgnął po płaszcz. - Tak więc Hettie ma urlop od przyszłego tygodnia. - Otworzył drzwi i wyszedł.

Pam zdążyła je przytrzymać, zanim się zamknęły.

- Czy mogę pojechać autobusem?

- Nie. - John zbiegał po schodach.

- Kiedy w takim razie pojedę do Maine?

- Kiedy sam o tym postanowię - odrzyknął i wsiadł do oczekującej na niego taksówki.

Marcowe wakacje były, jak dotychczas, najgorszymi w życiu Pam. Brat dopiął swego. Czowała się upokorzona i bezsilna. Wpadła w przygnębienie, przypominając sobie zwłaszcza poprzednie ferie. Próbowwała zająć się czymś konkretnym. Dużo czytała, rysowała i wyciągała Marcy do kina. Pewnego razu poszła na zakupy z Hillary, która była na tyle miła, iż pomogła przekonać Johna, że ubrania kupione w zeszłym roku na wiosnę już na nią nie pasują.

Przez większość czasu padało, więc Pam nie mogła zbyt często wychodzić z domu, cho-

cięż zdarzyło się jej kiedyś przez pół dnia spacerować w deszczu po Newbury Street, oglądając sklepowe wystawy. Ale najprzyjemniejsze chwile spędzała w muzeum. Panował tam kojący spokój i specyficzna atmosfera prawdziwego przybytku sztuki. Dzięki wysiłkom matki Pam wystarczająco dobrze orientowała się w dziedzinie malarstwa, aby umieć docenić oglądane obrazy. Ważne też było, że na jakiś czas przestawała myśleć o zmarnowanych wakacjach.

John często wychodził. W ciągu dwóch tygodni nieobecności Hettie stołował się w domu tylko pięć razy. Pam była wściekła, gdy uświadomiła sobie, że z powodzeniem mógłby cały czas jeść na mieście. Zdawała sobie sprawę, że pozostawienie jej na ferie w Bostonie było przez Johna z premedytacją zaplanowane - lubił jej dokuczać i demonstrować swą władzę. Tym razem jednak dopiekl jej do żywego i Pam unikała brata, bojąc się, że wybuchnie i obrzuci go obelgami. To groziłoby jeszcze gorszą zemstą z jego strony - wołała nie ryzykować. Jej rozgoryczenie rosło z dnia na dzień, tak więc z ulgą przywitała koniec wakacji, mogąc ponownie wrócić do szkolnych zajęć. Nie przestała ją tylko trawić tęsknota za Timiny Cove.

Potem John postanowił wyprawić przyjęcie. Było pierwszym, które wydawał jako wyłączny pan domu, więc musiało mieć klasę. Tak przynajmniej twierdziła Hillary.

- Zaprosił wszystkich, którzy się liczą. To jego sposób na pokazanie, że jest już niezależny i nie bez powodu stoi na czele St. George Mining. Chce wszystkim zaimponować. Wynajął nawet ekipę, która ma przygotować przyjęcie. Zaproponowałam, że mogę się tym zająć, ale John stwierdził, że nie będę wiedziała, jak. Czy to w porządku, Pam? Mam dobry gust i znam się na takich rzeczach.

Pam kochała Hillary. Nie rozumiała, dlaczego przyjaciółka pragnie zadawać się z Johnem, ale skoro już tak się stało, ogromnie jej współczuła widząc, jak ją traktuje.

- Urządziłabyś wspaniałe przyjęcie. Bardzo mi się podobało to wszystko, co zrobiłaś na Walentynki. - Hillary zaprosiła wtedy Johna i kilkoro znajomych z „Globe” do swojego małego mieszkania przy Back Bay. Ponieważ jeden z nich zapowiedział się z córką, Hillary uparła się, że Pam także musi przyjść. Mieszkanie wyglądało prześlicznie, poczęstunek był wyśmienity, a kwiaty, które wypełniały pokoje, zostały ułożone z prawdziwym smakiem. John nie zwrócił na to wszystko uwagi, ale Pam i reszta gości zauważyła i nie szczędzili gospodyni pochwał.

Pam nigdy nie dowiedziała się, co John sądził na temat tamtego wieczoru, bo nigdy z nią nie rozmawiał o Hillary, ale jedno było pewne: lubiła towarzystwo przyjaciółki i nie miałaby nic przeciwko temu, żeby John się z nią ożenił. O czymś takim jednak w ogóle nie było mowy, zaś w tej chwili najważniejsze stało się planowane przyjęcie. Hillary miała na nim pomagać

pełnić honory domu i pilnować, żeby gościom niczego nie brakowało.

Pam zastanawiała się, jaka rola przypadnie jej w udziale; prawdę mówiąc nawet nie wiedziała, czy jest zaproszona. John nic nie wspominał o kupnie nowej sukienki, chociaż mówiła mu o tym już wcześniej, przy innych okazjach.

Na tydzień przed przyjęciem rozwiązał tę kwestię w sposób, który ostatecznie przekreślił zarówno jej udział w przyjęciu, jak i zakup sukienki.

- Chciałbym, żebyś na weekend wyjechała z Marcy do Timiny Cove. W domu będzie teraz wielki bałagan i nie chcę, żebyś jeszcze ty tu zawadzała.

Fakt, że nie życzył sobie jej obecności na przyjęciu, mógłby ją zabołec, gdyby nie tak wspaniała perspektywa. Pam była uszczęśliwiona i nie mogła się już doczekać wyjazdu, rozważając w wolnych chwilach, co będzie robić w Maine. Nie dzieliła się swoimi marzeniami z bratem, obawiając się, że ze zwykłej przekory złośliwie zmieni zdanie. Przez cały tydzień, jak tylko mogła, schodziła mu z drogi i starała się unikać wszelkich konfliktów.

Do końca niepewna swego, bojąc się okazać zbyt dużą radość, Pam z ciężkim sercem przebrnęła przez dni dzielące ją od wyjazdu. Źle sypiała, nie potrafiła skoncentrować się na lekcjach. W piątek po powrocie ze szkoły nie zastała Johna w domu, więc w niecałe pół godziny spakowały się z Marcy i wyjechały z Bostonu.

Dopiero gdy jadąc na północ znalazły się na autostradzie, Pam poczuła się bezpiecznie. Wreszcie mogła się zrelaksować i rozłożywszy się wygodnie na fotelu auta, oddała się rozmyśleniom. Wspomniała swoją ostatnią podróż w te strony, podczas pogrzebu Eugene'a. Tak wiele zdarzyło się od tamtej pory. Dawne emocje przyływały do niej falami i z prawdziwym wzruszeniem wjeżdżała do Timiny Cove. Teraz było to jedyne miejsce, gdzie czuła się dobrze i u siebie.

Dom, utrzymywany przez Deenie, wyglądał jak zawsze czysto i przytulnie. Pobieгла do swojego pokoju i przebrała się w stare dżinsy i koszulę, które przed wielu laty podarował jej ojciec. Wyblakłe ubranie, pokryte nie dającymi się już wyprać plamami, bardziej niż wszystko inne przypomniało jej szczęśliwe chwile, które utraciła. Potem zeszła na dół i ze ściśniętym gardłem wyjęła z szafy kurtkę Eugene'a. Była przesiąknięta starym, znajomym zapachem.

- Pammy? - Marcy podeszła do niej.

- Muszę wyjść.

- Deenie zostawiła obiad. Mogłabym go podgrzać.

- Może trochę później? - zapytała dziewczyna. Czuła ciężar na sercu. - Może poszłabyś

odwiedzić swoją mamę?

- Zaczekam tu na ciebie.

- Nie czekaj, Marcy. Potrzebuję teraz trochę czasu. Idź do matki, tak będzie dla mnie lepiej.

Marcy wahala się.

- Jesteś tego pewna?

Pam była w stanie tylko skinąć głową. Później nie pamiętała, jak znalazła się za drzwiami i jak długo biegła ulicą. W Timiny Cove był czas kolacji. Nieliczni mijani przez nią przechodnie podnosili ręce w gestach pozdrowienia i coś mówili, ale Pam ich nie słyszała i nie zatrzymywała się. Biegła, by zabić tkwiący w niej smutek, nie zauważając, że potargała włosy, a kokarda rozwiązała się i opadła na ziemię. Nie czuła chłodu i nie widziała zapadających ciemności; biegła, by zapomnieć.

W chwili, gdy dotarła do domu Cuttera, była już zupełnie wyczerpana, lecz ani trochę bardziej spokojna. Waląc w drzwi, zawołała:

- Cutter? - Czekala, dysząc ciężko, przestępując z nogi na nogę, po czym znowu zapukała. - Cutter!

Nie słysząc żadnej odpowiedzi, usiadła na schodach, przytuliła się do barierki, podciągnęła kolana do brody i zamarła w bezruchu. Nie zdawała sobie sprawy, że jest piątek i Cutter mógł się gdzieś wybrać, że może wrócić późno, nawet nad ranem. Po prostu przywarła do barierki i czekała.

Niedługo potem doszedł ją ryk motoru. Wstała. Cutter zwolnił w tej samej chwili, w której ją zobaczył. Nie odrywając od niej wzroku, zaparkował motor pod daszkiem koło domu. Z dużą papierową torbą w ręku podszedł do Pam. Nie odzywał się, tylko uważnie jej się przyglądał.

Pam na nowo przytłoczyły powracające uczucia. Od dawna wstrzymywane emocje teraz wezbrały i czuła, że jeśli czegoś nie zrobi, zaraz wybuchnie płaczem. Z całych sił starała się przybrać wesoły ton głosu, ale zabrzmiała w nim tylko desperacja i przygnębienie.

- Przejdiesz się ze mną, Cutter? Musnął ją palcami po policzku.

- No jasne. - Odstawił torbę na podest, wziął Pam za rękę i poprowadził koło do domu w stronę lasu.

Dobrze znała tę drogę; w przeszłości przemierzali ją tysiące razy. Ale tym razem kurczowo trzymała się Cuttera i pozwoliła mu się prowadzić. Puściła go dopiero wtedy, gdy dotarli

do strumienia. Podeszła do brzegu i ukucnęła. Wiedziała, że Cutter stoi tuż za nią. Biła od niego taka siła, pewność siebie i ciepło, coś, co miał też Eugene, że wszystkie uczucia, które tak bardzo starała się ukryć, wreszcie znalazły ujście. Wciskając twarz w kolana, zaczęła płakać.

Cutter coś cicho mówił, ale słowa zagłuszył jej szloch. Zrzucił więc na Pam swój płaszcz, objął ją i mocno przytulił, tak jak od dawna tego pragnęła. Milczał już, nie upominał, że nie powinna płakać. Obejmował ją tylko pocieszająco i pozwolił, by wyszłochała się do woli. Potem pogłaskał ją po włosach, a kiedy się nieco uspokoiła, przytulił jej twarz do swojej piersi. Stali tak oboje w bezruchu, bez jednego słowa czy gestu.

Po jakimś czasie Pam rozkurczyła zdrtwiałe palce, zaciśnięte na koszuli Cuttera. Pociągnęła nosem, podniosła głowę, ale się nie odsunęła. Szepnęła:

- Brakuje mi go, Cutter. Tak bardzo mi go brakuje. Odsunął z jej czoła kosmyk włosów i wsunął za ucho.

- Wiem, że mną jest tak samo.

Domyślała się tego i pewnie dlatego tak straszliwie pragnęła tego spotkania.

- W Bostonie, kiedy o nim myślę, otacza mnie przeraźliwa pustka. - Odetchnęła ciężko. - Myślałam, że tutaj będzie mi łatwiej. Jednak już gdy tu jechałam, widziałam w duszy, jak zawsze na mnie czekał. Potem przejeżdżałyśmy z Marcy przez miasto i każde miejsce mi go przypominało. Dom wygląda teraz niby tak samo, ale inaczej, i pomyślałam, że umrę, jeśli cię nie zobaczę. Biegłam przez miasto jak szalona. Pewnie tak sobie pomyśleli ludzie.

- Nie. Oni nigdy by tak nie pomyśleli. Kochają cię.

- Kochali tatę.

- Im także go brakuje.

Pam wróciła pamięcią do dnia pogrzebu i tłumów ludzi, którzy przyszli po raz ostatni pożegnać się ze zmarłym. Na wspomnienie ich twarzy, widoku trumny, wolno spuszczonej do grobu, Pam na nowo się rozplakała.

- Przepraszam - wyszeptała między łkaniem.

- Nie musisz przepraszać. - Głos Cuttera brzmiał tak samo przygnębiająco jak jej własny.

- Potrzebujesz tego, tak samo jak i ja. To pomaga uporać się z uczuciami.

- Ty także cierpisz?

- Kochałem twojego ojca - wyznał, a w jego głosie pojawiła się gwałtowność. - Zrobił dla mnie o wiele więcej niż reszta znanych mi ludzi. Kochałem go tak, jakby był moim rodzonym ojcem... - Głos mu się załamał.

Pam mocniej przytuliła się do niego. Słyszała bicie jego serca i poczuła się bezpieczna.

Po chwili ciszy zapytał o Patrycję, więc opowiedziała mu po kolei o stanie zdrowia matki oraz o najważniejszych wydarzeniach z ostatnich miesięcy. Mówiła o Johnie i o tym, jak wszystkim rządzi, o Hillary i jej uprzejmości, o szkole, koleżankach i Marcy. W zamian za to Cutter zrewanżował się jej opowieściami o kopalni i ich wspólnych starych znajomych.

Siedzieli obok siebie w ciemności, już się nie dotykając, ale czując swoją bliskość bardziej niż kiedykolwiek.

- Co my zrobimy, Cutter? - cicho zapytała Pam.

- Będziemy dalej żyć i to najlepiej, jak potrafimy.

- Ale to takie trudne. Czasami chce mi się wyć. Wpadam we wściekłość, bo wszystko, co się dzieje, jest takie niesprawiedliwe. To okropne, że tata umarł, a mama jest w szpitalu, albo że zostałam sama z Johnem. Życie nie powinno się tak układać.

- A jednak taka jest rzeczywistość i musisz się z nią pogodzić. Jesteś wystarczająco silna, Pam, poradzisz sobie.

- Ale to tak boli.

- Wiem. - Przyciągnął ją do siebie na krótką chwilę, po czym wstał i pomógł jej się podnieść. - Lepiej odwiozę cię już do domu.

- Przyjechałyśmy z Marcy na weekend. Zobaczymy się jeszcze?

- Oczywiście.

Przeszli prawie połowę drogi do domu Cuttera, kiedy Pam powiedziała:

- Tata też cię kochał. Naprawdę.

- Nie wiedziałem.

- To prawda. Chciał ci coś zapisać w spadku, wiesz? Po chwili milczenia Cutter odezwał się:

- Coś mi kiedyś wspominał. Little Lincoln.

- Nie wiem, co mogło się wydarzyć. - Pam przypomniała sobie kłótnię między ojcem i Johnem na ten temat. - Słyszałam, jak mówił o tym Johnowi i był zdecydowany. Nie zmieniłby zdania, nie w tej sprawie. Myślę, że Eugene pragnął, żebyś to ty, a nie John, był jego synem. I John to wyczuwał. - Podniosła oczy na Cuttera. W świetle księżyca jego twarz miała ostre rysy, powinna wydawać się jej nieprzyjemna, ale tak nie było, nie mogło być. Cutter był dla niej kimś wyjątkowym. - Pewnie strasznie by się zezłościł, gdyby wiedział, że pierwszą rzeczą, którą zrobiłam po przyjeździe, było spotkanie z tobą.

- No, ale nie powiesz mu o tym. - Cutter popatrzył na nią niepewnie. - Ja także nie, więc jeśli nikt nas nie szpieguje, nie będzie się miał skąd dowiedzieć. Zgadza się?

Po raz pierwszy od czasu, który wydawał się wiecznością, Pam uśmiechnęła się.

Podczas tych dwóch dni Pam miała jeszcze wiele okazji, by się pośmiać. Spotkała się ze wszystkimi znajomymi i choć ani na chwilę nie opuściło ją wrażenie, że brakuje najważniejszego człowieka, to przebywanie w towarzystwie tylu życzliwych osób bardzo jej pomogło.

Najlepiej czuła się w obecności Cuttera. Jego życie wyglądało zupełnie inaczej niż Pam, ale, o dziwo, potrafił doskonale zrozumieć, co czuła i myślała. Kiedy rozmawiała z innymi mieszkańcami Timiny Cove, wiedziała, że ze względu na pamięć o Eugenie może liczyć na ich pomoc i opiekę, lecz czuła dzielący ich dystans. W kontaktach z Cutterem nie odnosiła takiego wrażenia. Z tego też powodu wykorzystywała każdą okazję, by wyrwać się z Bostonu i znaleźć blisko niego.

Okazało się to łatwiejsze, niż przypuszczała, choć John, pozwalając jej na to, nie kierował się ani życzliwością, ani współczuciem. Przy okazji marcowego przyjęcia przekonał się, że odpowiada mu, kiedy cały dom jest wyłącznie do jego dyspozycji. Bez skrupowania poinformował o tym Pam. Nie przejęła się, ponieważ wyjazdy do Maine stały się ważniejsze niż wszystko inne. Była tam bardziej szczęśliwa niż kiedykolwiek z Johnem na Beacon Hill.

Cutter został jej najdroższym i najbardziej wiernym przyjacielem. Często przesiadywali u niego w domu lub przechadzali się po lesie. Zabierał ją do nowych kopalni, otwartych w czasie jej nieobecności. Pam często rysowała, a Cutter wieszał wszystkie jej szkice na ścianie, obok półki na książki. Najbardziej podobały mu się rysunki turmalinów.

- Ten pasowałby do pierścionka - powiedziała pewnego razu, a kiedy Cutter zapytał, jak wyglądałby taki pierścionek, narysowała go. Cutter był zachwycony.

Pam słyszała wielokrotnie od różnych osób, że Cutter jest szorstki i opryskliwy, ale sama tego nie zauważała. Widziała, że wyraz jego oczu twardniał, kiedy wpadał w gniew, że cały się spinał, kiedy wjeżdżali do miasta, jednak za każdym razem, kiedy patrzył na nią, jego spojrzenie łagodniało i napełniało się delikatnością. Przez to czuła się kimś wyjątkowym. Lubiała uczucie ekscytacji, ogarniające ją w jego obecności. Podobnie do Eugene'a, w każdej sytuacji zachowywał się spontanicznie. Lubił mówić o książkach, które przeczytał, albo o trapiących go akurat sprawach. Cutter nigdy nie był w teatrze, na balecie czy w operze, nie miał nawet garnituru i nie zamierzał opuścić Timiny Cove, by przenieść się do wielkiego świata. A mimo to był najbardziej interesującą osobą, jaką znała.

John dowiedział się oczywiście o ich spotkaniach, choć Pam nie miała pojęcia, skąd. Kiedy ją o to zapytał, skłamała. Powiedziała, że przypadkowo wpadła na Cuttera, idąc ulicą.

John przykazał jej surowo, by w przyszłości to się więcej nie powtórzyło i Pam skwapliwie się zgodziła. Tym szerzej uśmiechała się podczas następnej wizyty w Timiny Cove, kiedy szła prosto do domu Cuttera.

Rozdział jedenasty

Szpiegiem Johna okazał się Sylvester Crosey, znany w miasteczku z niechlujstwa i skłonności do matactw. Pracował dla Eugene'a do chwili, gdy przyłapano go na fałszowaniu karty pracy. John niespodziewanie przyjął go na nowo, przydzielił mu kierownicze stanowisko w jednej z mniej znaczących kopalń i opłacał, jak na tę posadę, stanowczo za wysoko. Kiedy Crosey przyzwyczaił się już do nowego, wyższego standardu życia, John przydzielił mu nowe obowiązki, przewidziane dla niego od początku. Szpiegowanie stało się nagminne. John nie tylko chciał wiedzieć, co się dzieje w kopalniach, ale pragnął trzymać rękę na pulsie spraw całego miasteczka, samemu spędzając w nim jak najmniej czasu.

To właśnie Sylvester powiedział Johnowi, że Pam spotyka się z Cutterem. John do końca nie wiedział, co o tym myśleć. Z jednej strony doprowadzało go do furii, że zarówno Pam, jak i Cutter jawnie lekceważą jego polecenia. Z drugiej strony, ich przyjaźń mogła się okazać w dłuższej perspektywie korzystna. Im dłużej trwała, im stawała się mocniejsza, tym silniejszą kartą przetargową mogła się z czasem okazać. John zdawał sobie sprawę, że dzięki temu ma siostrę w rękę - mógł w każdej chwili zagrozić, że nie pozwoli jej pojechać do Maine. Poza tym cieszył się na samą myśl, iż może w razie potrzeby oskarżyć Cuttera o molestowanie nieletniej.

Jednak nie poświęcał tym sprawom dużo czasu, ponieważ w pół roku po śmierci Eugene'a całą energię musiał skierować na problemy związane z firmą. Zgodnie z testamentem Eugene'a - w którym nie było już mowy o Cutterze Reidzie - John dostał w zarząd część firmy, taką samą, jak udziały należące do Patrycji i Pam. Jakieś resztki dostały się adwokatowi Eugene'a, księgowemu i kilku znajomym z Timiny Cove, jednak bazę testamentu stanowiły owe trzy części. Pam miała uzyskać prawo do bezpośredniego kierowania swoimi udziałami dopiero po skończeniu dwudziestu pięciu lat lub wcześniej, gdyby wyszła za mąż. Do tego czasu patronat nad jej majątkiem mieli sprawować, jako pełnomocnicy, John i Patrycja. Jednakże Patrycja nie była w stanie kontrolować nawet własnej części spadku, nie mówiąc już o udziałach Pam.

John z łatwością przekonał o tym sąd, który przekazał mu całkowity zarząd nad firmą. Od tej chwili mógł nią rozporządzać, jak mu się żywnie podobało. Nikt mu już nie zagrażał.

Poczucie władzy uderzyło mu do głowy. Upajał się jej smakiem, obojętne, czy pojawiał się w biurze w Bostonie, czy w kopalniach w Maine. Ludzie zaczęli go inaczej traktować, wychodzili z siebie, by go zadowolić. Nie miał wątpliwości, dlaczego tak nagle zdobył szacunek i sympatię otoczenia - spodziewano się, że wprowadzi zmiany, i próbowano sobie w ten sposób zabezpieczyć przyszłość. Niemniej jednak bycie szefem było dla niego ogromnie przyjemnym doświadczeniem.

Czymś o wiele cenniejszym stało się kierowanie własną przyszłością. Dawne, nie spełnione marzenia znowu zawładnęły jego umysłem i wyglądało na to, że mają olbrzymią szansę na realizację. Przyjęcie, które urządził, okazało się sukcesem. Następne również. John został zauważony; był teraz częściej zapraszany do towarzystwa i zwracano na niego większą uwagę.

Nie oznaczało to oczywiście, że uzyskał to, czego pragnął. Był świadom, że uczynił zaledwie mały krok na drodze do celu. Jego osoba stała się znana jedynie w Bostonie, poza tym nie był jeszcze tak bogaty, jak chciał. Marzył o kalendarzu wypełnionym zaproszeniami od osobistości nie tylko z Bostonu, ale i z Nowego Jorku, Waszyngtonu czy Palm Beach.

Uważał, że jest to możliwe. Jeśli tylko dobrze rozegra swoje karty, będzie miał to wszystko. Musiał jednak trzymać się precyzyjnego planu. Natychmiast wprowadził kilka podstawowych zmian w St.George Mining. Po pierwsze, przeniósł biuro do eleganckiej dzielnicy Bostonu, tradycyjnie zajmowanej przez finansjerę. Po drugie, promował najzdolniejszych i najinteligentniejszych spośród pracowników, obniżył pensję pośledniejszym, acz niezbędnym, i zwolnił wszystkich, którzy byli za starzy, mało wydajni i niezaradni. Po trzecie wreszcie, zatrudnił ludzi pełnych zapału, odważnych i posiadających układy, zwłaszcza w dziedzinie marketingu i szeroko pojętego oddziaływania na rynek.

Gdy doprowadził już do tego, że załoga zaczęła sprawnie i efektywnie działać, zmienił nazwę firmy na St.George Company i podjął się jej szerokiej promocji. Zaangażował olbrzymie środki w kampanię reklamową. Kiedy wzrosło zainteresowanie inwestorów, uznał, że nadszedł czas na publiczną emisję akcji i dopuszczenie ich do obrotu giełdowego. Był to żmudny proces, wymagający udziału niezliczonej liczby prawników, bankierów i maklerów giełdowych, a także mnóstwa pracy papierkowej i manewrów na pograniczu prawa. Jednak John dobrze znał rynek. Szlachetne i półszlachetne kamienie, do których należały turmaliny, uznawane były za solidną inwestycję. Akcje St.George Company trafiły na giełdę i był to spektakularny sukces fir-

my. Pod koniec pierwszego dnia sprzedaży John, Patrycja i Pam stali się wielokrotnymi milionerami.

Dochody z obecnej sprzedaży i dotychczasowy majątek firmy pozwoliły Johnowi rozpocząć prace w dziedzinie, która jego zdaniem stanowiła przyszłość przedsiębiorstwa. Wynajął olbrzymią powierzchnię na sklep na Newbury Street w pobliżu Ritza, po czym urządził ją, wykorzystując jednego z najbardziej znanych w mieście dekoratorów wnętrz. Zapoznał się z wyrobami jubilerów z Bostonu, Nowego Jorku, Los Angeles. Wynajął najlepszych z nich i nad sklepem stworzył dla nich studio. Dostarczył turmaliny oraz szereg innych kamieni i metali, potrzebnych do wyrobu biżuterii. Na długo przed wyprodukowaniem pierwszej sztuki wynajął renomowaną agencję, która miała zorganizować kampanię reklamową, ukierunkowaną na bogatych klientów.

„Facets” zostało otwarte w maju 1971 roku, prawie w osiemnaście miesięcy po śmierci Eugene'a. Odbyło się to z wielką pompą, przy strugach wypitego szampana i tłumie gości. Skala przedsięwzięcia doprowadziłaby z pewnością do zawału serca poprzedniego właściciela, John jednak pozostał spokojny i w pełni opanowany. Na liście gości znalazły się nazwiska całej śmietanki towarzyskiej Bostonu, świata biznesu i dyplomacji, elitarnych przedstawicieli branży biżuteryjnej oraz mecenasów sztuki. Wszyscy byli zachwyceni sklepem. John przez cały wieczór odbierał słowa podziwu i gratulacji. Jego jubilerzy byli zasypywani pytaniami z dziedziny obróbki biżuterii i doboru kamieni. Starannie dobrani, kompetentni sprzedawcy, o wyglądzie pociągającym i wzbudzającym zaufanie, przechadzali się wśród tłumu, z uśmiechem odpowiadając na wszelkie pytania i zapraszając na następną wizytę, kiedy będzie nieco spokojniej.

Wszystko toczyło się gładko. Sklep wyglądał elegancko, biżuteria była wspaniała, a nastroje szampańskie. Ogromnie przypadło to gościom do gustu, bo choć znali tej klasy sklepy, dotychczas musieli szukać podobnej atmosfery poza Bostonem. Zwłaszcza za to chwalono Johna. Pod koniec przyjęcia był pewien, że jego przedsięwzięcie uwieńczy sukces.

W następnych tygodniach sprzedaż pozostawała na wysokim poziomie. John pilnował, by plastycy projektowali przede wszystkim tradycyjną biżuterię, odpowiadającą gustom większości klienteli. Dla koneserów zlecał też wyrób bardziej ekscentrycznych egzemplarzy. Klienci nie mogli narzekać - mieli możliwość wyboru spośród niezliczonej liczby pięknych, niepowtarzalnych wzorów. Różnice między poszczególnymi okazami były subtelne, lecz istotne i nie było tanie. „Facets” szczyliło się jakością swoich wyrobów. Umiejscowienie sklepu było wyśmienite, tak samo zresztą jak personel czy poziom usług.

Klienci czuli się uprzywilejowani, przynosząc do domów welurowe pudełeczka, wyściełane fioletowym atlasem, na których w prawym górnym rogu widniał emblemat „Facets” - rysunek małego, złotego pierścionka.

Sam projekt tego emblematu, przekonsultowany z najbardziej liczącymi się artystami i specjami od reklamy, kosztował fortunę. Podobnie wystrój sklepu. Poza tym, mimo że John nie miał trudności z pozyskaniem turmalinów, koszt zakupu innych kamieni był horrendalny. Porażały go sumy, jakie musiał wydawać. Zebrany wcześniej majątek topniał w zastraszającym tempie. John postanowił jednak, że „Facets” odniesie sukces, a to musiało kosztować. Wydawał na siebie mnóstwo pieniędzy. Był zdania, że skoro już stał się kimś, skoro został zaakceptowany w towarzystwie, musi konsekwentnie podtrzymywać odpowiedni wizerunek siebie i swojej firmy. A to zakładało kupno najdroższych ubrań, najlepszych samochodów, bywanie w pięciogwiazdkowych hotelach i restauracjach i pokazywanie się na najbardziej prestiżowych przyjęciach.

Rachunki napływały, a napięcie w Johnie wzrastało, choć nikt by tego nie poznał po jego zachowaniu, pozornie spokojnym i pewnym siebie. Obnoszenie się z kłopotami nie leżało w jego naturze. Ani razu w trakcie żadnej publicznej dyskusji nie zdradził się, że przyszłość „Facets” jest niepewna. Uważał, że to była tylko jego sprawa. Mimo to ciśnienie w nim rosło, powodując, że cały czas żył w stresie.

Było więc rzeczą zupełnie naturalną, że w takich chwilach sięgał po seks. Początkowo po wypadku zupełnie ograniczył kontakty z kobietami, jednak nie wytrzymał długo tej wstrzeźliwości. Jego apetyt seksualny stale rósł, aż powrócił do poprzedniego, niezwykle aktywnego w tej dziedzinie trybu życia.

Patrycja nie wchodziła już w grę. Nie chciała się z nim widywać, zresztą on także by tego nie zniósł. Jawiła mu się jako wstydlivy wyrzut sumienia, jęcząca rana na duszy. Za każdym razem, gdy widział ją w stanie psychicznego załamania, stawały mu przed oczyma okoliczności poprzedzające wypadek. Oczywiście, nie winił się za to, co się stało, nie on prowadził samochód. Tak jak w przypadku romansu winnym był Eugene. Jednak Johnowi pozostało głębokie uczucie niesmaku i moralnego kaca.

Zaczął sypiać z kobietami. Każdej nocy z inną, co szybko dało mu reputację tajemniczego i niezłomnego pogromcy serc niewieścich. Był to też jego sposób na niezależność. Nie chciał, by jakakolwiek kobieta zbliżyła się do niego na tyle, żeby wpływać na jego plany. Nie miał też zamiaru dopuścić, żeby któraś z nich przejrzała jego słabości i ciemne strony duszy.

Hillary już to wiedziała i między innymi z tego właśnie powodu do niej wracał. Poza tym zachowywała dyskrecję i nie należała do elity towarzyskiej. W ogóle nigdzie nie należała. Miała mnóstwo znajomych, ale wywodzili się oni z przypadkowych, rozproszonych środowisk. W tym względzie była indywidualistką, co Johnowi niezmiernie odpowiadało.

- Lubię cię, Hillary - stwierdził pewnej nocy. Leżeli na jej łóżku w porzucanej pościeli, a ich ciała jeszcze lśniły od potu po miłosnych zmaganiach.

Hillary odpoczywała na brzuchu, z głową odwróconą w drugą stronę, ale na tę uwagę uniosła się lekko na łokciach i powiedziała przez ramię:

- Dziękuję, John. Miło, że to powiedziałeś.

- Starasz się być sarkastyczna? - Zazwyczaj rozpoznawał kpinę w jej głosie, ale mówiła z ustami przy poduszce, nieco zduszonym głosem.

- Skąd, mówię poważnie. To naprawdę było miłe. Rzadko kiedy zdarza ci się powiedzieć coś podobnego.

John głęboko zaciągnął się papierosem i pozwolił, by dym nieco dłużej niż zazwyczaj wypełniał mu płuca.

- Czy to ci przeszkadza?

- Kiedy tak mówisz? Nie.

- To, że tak nie mówię. Przeszkadza ci, że nie jestem zwolennikiem słodkich słówek?

- Nie. Przeszkadza mi tylko, kiedy mnie bierzesz za idiotkę. Gdy nie dzwonisz tygodniami, po czym oczekujesz, że uwierzę, iż nie spotykasz się z innymi kobietami. Nie jestem głupia, John. Uważam, że masz prawo robić to, co chcesz. Ja też mam własne życie i nie wyobrażaj sobie, że rozpaczam w oczekiwaniu na ciebie.

Nie podobały mu się te słowa.

- Spotykasz się z innymi?

- To chyba oczywiste.

- Martina myśli seks. Sypiasz z innymi mężczyznami?

W odruchu niechęci uniosła gołe ramię.

- Sypiałam.

John znowu zaciągnął się papierosem.

- A obecnie?

- Teraz jestem z tobą.

- Ilu? Kiedy nie jesteś ze mną, ilu ich jest?

- Za jednym razem? Tylko jeden.

- Wiesz, o co mi chodzi, Hillary. Ilu jest tych innych mężczyzn?

Znowu wzruszyła ramionami.

- Dwóch, może trzech w ciągu tego roku.

John był na siebie wściekły, że tak bardzo go to ubodło.

- Czy są tak dobrzy jak ja?

Wciąż leżała na brzuchu. Odwróciła głowę, ale zdążył jeszcze zobaczyć na jej ustach kpiący uśmiezek. Zgniół papierosa w popielniczce, stojącej na nocnym stoliku, uniósł się na ramionach i opadł na nią całym ciężarem. Złapał ją za nadgarstki i szeroko rozłożył ręce.

- Więc jak?

- Przygniatasz mnie, John.

- Nieprawda, jesteś przyzwyczajona do mojej wagi. Czy zdążyłaś się też przyzwyczać do tamtych facetów? Czy robią ci to, co lubisz?

- Nie wiem, co masz na myśli - odparła hardo.

- Nie? - Uwolnił jeden z nadgarstków, po czym wsunął rękę pod jej ciało. Chwytał za piersi, dotykał sutków, przesunął po brzuchu, aż trafił do miejsca między nogami. - Czy potrafisz rozpalić tu ogień? - wymruczał jej w ucho niskim z podniecenia głosem. Czuł opartą na jej pośladkach swą nabrzmiewającą męskość.

- Ogień? Jasne, muszą mnie rozpalić, jeśli chcą się kochać.

Palcami wyczuwał, że teraz również jest podniecona, ale tak było zawsze.

- Masz orgazm?

Odpowiedziała po chwili, nieco zmienionym głosem.

- Staram się.

Pieścił ją coraz intensywniej.

- Ilu potrafi ci dogodzić - jeden, dwóch, więcej? - Przygryzł koniuszek jej ucha, po czym zaczął go ssać.

- John - wyszeptała - co robisz?

- Chcę wiedzieć, jak ci z nimi jest? Czy krzyczysz tak jak przy mnie? Czy prosisz, żeby robili to mocniej? - Przesunął rękę pod jej brzuch i podciągnął ją na kolana.

- John, nie - sprzeciwiła się, ale jego palce nie przestawały jej rozbudzać, tak że następne słowa zmieniły się w zduszony jęk.

- Pozwalasz im na to? - Dotknął miejsca, na które szczególnie silnie reagowała.

- John, nie...

Ale on już w nią wchodził, twardy jak skała.

- Nie, nie pozwalasz im na to - wychrypiał, wbijając się w nią głębiej. - Nie, bo tak robimy tylko my.

- To boli! - krzyknęła.

- Bo się opierasz. Przestań. Rozluźnij się. - Wycofał się, po czym pchnął jeszcze mocniej. Ogarnęła go tak olbrzymia rozkosz, że aż jęknął. - O tak. O tak. - Hillary wsunęła rękę pomiędzy uda, kierując dłonią Johna. Jeszcze bardziej się podniecił. A kiedy zaczęła poruszać biodrami, przyjmując go w siebie coraz głębiej, zapomniał o wszystkim. Z okrzykiem uniesienia wbijał się brutalnie w partnerkę, mocniej i mocniej, czując, że jeszcze moment i ją rozerwie. Orgazm trwał długo i był niezwykle silny. Hillary cała drżała, kiedy w końcu z niej wychodził.

- Pomóż mi, teraz moja kolej - wyszeptęła, okręcając się i przyciągając go za ramiona. Pochylił się.

Objął jej usta w namiętym pocałunku. Następnie tak samo szaleńczo całował całe jej ciało, językiem doprowadzając do orgazmu, a po chwili do kolejnego. W tym czasie sam znowu się podniecił, więc wszedł w nią ponownie i Hillary z krzykiem, szczytowała po raz trzeci. Kiedy padli wreszcie zmęczeni na pościel, ich ciała błyszczały od gorąca i potu.

John zamknął oczy, starając się uspokoić i wsłuchiwał się w zdyszany oddech kochanki. Jeszcze jęczała i wzdychała z rozkoszy. Uwielbiał to. Choćby pod tym względem była inna niż reszta kobiet. Nie wstydziła się okazywać, kiedy coś sprawiało jej przyjemność. Nie starała się tego ukryć. Pozwalała mu na wszystko, na co miał ochotę, i czerpała z tego rozkosz. Nie każda kobieta była do tego zdolna.

- No więc, Hillary - odezwał się. - Pytam jeszcze raz. Czy są tak dobrzy jak ja?

Minęła dłuższa chwila, zanim jej oddech na tyle się uspokoił, że mogła odpowiedzieć. Spojrzała na niego, odrzucając burzę zmierzwionych włosów, i odparła:

- Nikt nie jest tak dobry jak ty, John. Możesz być pewny, że jeśli kiedykolwiek znajdę kogoś takiego, nie będę więcej czekać na ciebie.

Zauważył ten sam kpiący uśmiezek w kącikach jej ust.

- Dziwka.

- Sypiesz dzisiaj samymi komplementami, więc może zdradź powód tego pierwszego. Dlaczego powiedziałaś, że mnie lubisz?

W tej chwili, rozluźniony po szaleńczym stosunku, zrelaksowany, nie potrafił się kryć z

uczuciami. Podciągnął się w górę i oparł o wezglowie łóżka, po czym sięgnął po papierosa.

- Po prostu zdałem sobie z tego sprawę i postanowiłem ci to powiedzieć. - Strzelił srebrną zapalniczką, zapalił papierosa i trzymając go w ustach, mówił dalej. - Jesteś nieskomplikowana w kontaktach, niczego się nie domagasz. Podoba mi się to. - Zaciągnął się mocno.

- Mów dalej.

Czuł się na tyle dobrze, że postanowił choć raz sprawić Hillary przyjemność.

- Nie kleisz się do mnie, nie obłapiasz, kiedy kończymy się kochać, z obawy, że gdzieś ucieknę.

Roześmiała się gardłowo.

- Nawet gdybyś chciał uciec, nie miałabym cię jak zatrzymać. Poza tym jest mi gorąco i jestem spocona. Ostatnią rzeczą, której teraz pragnę, jest wtulanie się w ciebie. - Wsunęła rękę pod biust, by zetrzeć zebrany tam pot. - No, dalej, powiedz mi, co jeszcze lubisz.

- Jesteś niezależna. Masz własne życie, pracujesz.

- Choć to niewiele warte i nie zaprowadziło mnie na wyżyny sławy.

Wcale nie zakładał, że tak będzie. Świat był pełen sfrustrowanych, rywalizujących ze sobą dziennikarzy. Ci, którym się powiodło, musieli być agresywni i bezwzględni. Musieli mieć jaja. Hillary zdobyła niezależność, ale daleko jej było do kierowania się bezdusznymi prawami. To mu odpowiadało. Nie pragnął również, by jej nazwisko stało się znane. Chciał, żeby pozostała nikim, bo tylko w ten sposób nie mogła mu zaszkodzić.

Wiedząc, że go nie zrozumie, starał się ją pocieszyć innymi argumentami.

- Jesteś nowa, pracujesz w tym fachu od niedawna.

- Trzy lata. Myślę, że mają mnie za przeciętniaka. Zadania, które mi dają, są głupie i nudne. Potrzebna mi jest jakaś zmiana.

- Chcesz przejść do innego działu?

- Do innej gazety.

- Przecież pracujesz w najlepszej redakcji w Bostonie.

- W Nowym Jorku są bardziej znane.

- W Nowym Jorku? - Chrząknął. - Nie zaczynaj z tym od nowa. - Poirytowany, zaciągnął się papierosem.

- To tylko jeden z pomysłów.

Jednak John obawiał się, że to coś więcej.

- Ale niezbyt dobry. Życie w Nowym Jorku ogromnie różni się od życia tutaj, Hillary. Na

każdego dolara, którego zarobisz, będziesz potrzebowała dwóch dodatkowych, żeby utrzymać standard, do jakiego przywykłaś.

- Nie zależy mi na tym. Chodzi mi o zawodowe perspektywy, chciałabym zostać zauważona.

- Myślisz, że to się stanie w Nowym Jorku? Przemyśl to sobie. Nowy Jork to moloch, tyśiące ludzi pragnie tego samego co ty. Będziesz się tam czuła jak najmniejsza z rybek w największym ze stawów.

- Ale jestem dobrą pisarką. Potrzebna mi tylko okazja, by udowodnić to światu.

- Wszyscy tak mówią.

Oparła się na łokciu i popatrzyła na niego.

- Czy przeszkadza ci, że chciałabym stać się kimś znanym?

- Oczywiście, że nie. Ale wyjazd do Nowego Jorku oznacza dla ciebie klęskę. Znam to miasto, Hillary, nie będzie przyjazne dla dziewczyny z Timiny Cove.

Usta Hillary zacisnęły się.

- Mieszkam teraz w Bostonie i jeśli tego nie zauważyłeś, to wspomnę, że jestem kobietą.

- To ja zrobiłem z ciebie kobietę i raczej nie mógłbym tego przeoczyć. I powiedziałem, że cię lubię. Więc dlaczego chcesz coś zmieniać?

- Ponieważ chcę stać się kimś. Akurat ty powinieneś to rozumieć - całe lata pracowałeś na swoje nazwisko i wizerunek. Czy to tak źle, że pragnę tego samego?

Gasząc papierosa w popielniczce, przyciągnął ją do siebie.

- Chcę, żebyś została taka jak jesteś, właśnie taka mi się podobasz. Jak sądzisz, dlaczego do ciebie wracam?

- Dlatego, że inne nie potrafią znieść cię tak długo jak ja.

- Inne marzą o tym, żeby być ze mną, ale im na to nie pozwalam. Z żadną kobietą nie byłem tak związany jak z tobą.

- A Patrycja?

Zamarł. Jasne, że wiedziała. Często bywała w ich domu w tamtym czasie, a przecież nie jest ślepa ani naiwna. Jednak nigdy wcześniej o tym nie wspominała. Ale jeśli wydaje się jej, że ma go w garści, to się grubo myli. Nie zamierzał zaprzeczać, że łączyło go coś z Patrycją, a tym bardziej nie zamierzał się z tego tłumaczyć.

- Nawet z nią. - Odsuwając od siebie Hillary, wstał z łóżka i podszedł do okna. Uchylił kotarę na tyle, by móc wyjrzeć na ulicę. Była ciemna i zamglona, dziwnie podobna do stanu

jego duszy, kiedy wspominał przeszłość... - Patrycja była słaba, bała się wszystkiego, a najbardziej biedy. Wciąż dopytywała się o sprawy firmy, ale nie rozumiała połowy z tego, co do niej mówiłem.

- Często rozmawiasz o interesach z innymi kobietami?

Puścił zasłonę. Gdy opadła na swoje miejsce, odwrócił się.

- Nie. Nie mają z nimi nic wspólnego.

- Ja także nie.

Opierała się o wezłowie, jak on chwilę przedtem. Przeciągnęła się leniwie i uśmiechnęła. Fakt, że nie zrywała się z łóżka, stanowił następną rzecz, którą w niej lubił. Nie biegła do łazienki, by poprawić włosy czy makijaż, albo wziąć prysznic. Była zadowolona, leżąc tak i wdychając zapachy ich miłości.

Kiedy patrzył na Hillary, czuł, jak opuszcza go ból, którego doświadczał na wspomnienie o Patrycji.

- Opowiadam ci o firmie, ponieważ ci ufam. Wierzę, że nie wykorzystasz przeciwko mnie tych wiadomości.

- Nie zrobiłabym tego!

- To właśnie powiedziałem. - Wrócił do łóżka i sięgnął po następnego papierosa, ale Hillary wcześniej pochwyciła paczkę.

- Za dużo palisz.

- To mnie relaksuje.

- Dlaczego jesteś taki spięty?

Patrząc jej w oczy, wyciągnął rękę. Kiedy podała mu paczkę, wysunął z niej papierosa, podпалиł i usiadł na brzegu łóżka, plecami do niej.

- Jestem tylko człowiekiem. Jak wszyscy, mam problemy. W tej chwili większe niż zazwyczaj.

- Masz kłopoty z „Facets”?

- Nie takie, które nie dadzą się wyprostować.

- Co masz na myśli?

Odpowiedział dopiero po chwili, bez entuzjazmu rozważając wyjawienie swoich zmartwień i pragnąc, by go do tego zachęciła. Nie doczekawszy się, zaczął:

- Na otwarcie wpakowałem w firmę sporą sumę pieniędzy. Minie mnóstwo czasu, zanim dochody dojdą do poziomu, na jakim mi zależy.

- Wiedziałeś, że tak będzie.

- Przewidywanie to jedno, a twarda rzeczywistość to coś zupełnie innego. Od czasu przejęcia firmy wiele dokonałem, ale to nie było proste i dużo mnie kosztowało. Zawsze istnieje możliwość, że zdarzy się coś nieoczekiwanego. To ja wszystkim zarządzam i stawką jest moja przyszłość, gdyby coś poszło źle.

Hillary odezwała się, a jej głos działał na Johna niezwykle kojąco, co nigdy nie udało się ani jego mądrym prawnikom, ani bankierom czy księgowym.

- „Facets” to najwspanialszy z twoich pomysłów. Z pewnością odniesie olbrzymi sukces. Zrobiłeś dobrą rzecz, John, i nie musisz się martwić.

- Może i nie - przyznał. Poczul na plecach jej rękę, masującą jego spięte mięśnie. Nie pozwalał na to innym kobietom, ale Hillary była wyjątkiem i potrafiła to robić.

- Zobaczysz - ciągnęła tym swoim cichym, przepełnionym entuzjazmem głosem. - Wkrótce dochody się zwiększą i zaczniesz myśleć o otwarciu następnego sklepu. Czy Nowy Jork jest następny na liście?

John był ostatnio tak pochłonięty sklepem w Bostonie, że dawno nie rozważał planów na dalszą przyszłość. Ale to prawda, następny miał być Nowy Jork.

- Jeśli wszystko pójdzie dobrze.

- A widzisz. Otworzysz sklep w Nowym Jorku, ja dostanę pracę w którejś z tamtejszych gazet i nadal będziemy się mogli spotykać.

John złapał ją za rękę i przyciągnął do siebie.

- Do diabła, zaplanowałaś całą rozmowę.

- Wcale nie!

- To dlaczego wszystko tak pięknie układa się w całość?

- Ponieważ jest logiczne, nie sądzisz?

Nie odpowiedział. Nagie biodra na jego łonie, ciepło jej ciała znowu go pobudziły. Widział przed sobą tylko te miękkie kształty, czuł ciężki zapach perfum. Więc pocałował ją brutalnie, karząc za rozsądne rozumowanie, a potem całował, by rozbudzić w niej to samo pożądanie, które zaczęło go ogarniać. Ostatnią myślą, zanim rzucił ją na podłogę, było postanowienie, że przytrzyma ją w Bostonie, dopóki sam nie zdecyduje się przenieść do Nowego Jorku.

Cztery miesiące później, kiedy plany dotyczące sklepu w Nowym Jorku znajdowały się nadal w sferze marzeń, Hillary zdecydowała się na przeprowadzkę. John zakładał, że uda mu się poświęcić Hillary więcej czasu, jednak za bardzo pochłaniały go obowiązki towarzyskie.

Nie był w stanie wykroić jednej wolnej chwili. Mijały tygodnie, a on, zajęty „Facets”, nie miał czasu o niej pomyśleć. Potem, jak to zazwyczaj bywało, zadzwonił. Stało się tak, kiedy napięcie wzrosło w nim nie do wytrzymania, kiedy potrzebował z kimś bliskim porozmawiać i ugasić trawiący go ogień.

Nie skarżyła się, nie karciała go ani nie pytała, dlaczego się z nią nie kontaktował. Oddała mu się na cały weekend, który spędzili w jej mieszkaniu. W trzy tygodnie później przeniosła się do Nowego Jorku.

John domyślał się, że był to z jej strony rodzaj zemsty i to go rozwścieczyło. Nawet nie podała mu osobiście nowego adresu, tylko kazała to zrobić Pam.

Tak więc, walcząc ze sobą, nie dzwonił i nie próbował się z nią spotkać, choć często był w Nowym Jorku w interesach. Minęły dwa miesiące, potem trzeci i czwarty. Starał się zapęlić tę lukę randkami z innymi kobietami, ale żadna nie zainteresowała go na dłużej niż na jedną noc. Nie było mowy o długich, rozkosznych nocach, szaleńczych i dzikich grach miłosnych, w których mógł rozładować seksualne potrzeby. Nie mógł sobie na to pozwolić. Nie miał też z kim rozmawiać o swoich problemach i obawach. Z tego powodu także tęsknił za Hillary. Kiedy mieszkała w Bostonie, w razie potrzeby w ciągu godziny lądował u niej w mieszkaniu. Teraz nie było to już możliwe. Spotkanie się z nią wymagało planowania, a to go irytowało.

Po długim okresie wahań i rozterek John skapitulował i zadzwonił do niej. Poczł się upokorzony i kiedy spotkali się w Nowym Jorku, wylał na nią cały kubel gniewu i frustracji. Potem przyszedł czas na ostry i gwałtowny seks.

Hillary nie narzekała. Była tak samo wygłodniała jak John, z czego wynioskował, że nie poznała nikogo, mogącego go zastąpić. Podniesiony na duchu tą myślą oraz faktem, że przyjęła go z otwartymi ramionami, wrócił do Bostonu w o wiele lepszym nastroju, niż z niego wyjeżdżał. Zrozumiał, że w gruncie rzeczy miała rację. Obojętne gdzie mieszkała, zawsze mogli się widywać.

Były i dobre strony jej przenosin. Teraz mógł się bez obaw poruszać po towarzyskiej scenie Bostonu i wiedział, że nikt go nie połączy z Hillary. Był przekonany, że naraziłoby go to na śmieszność, ponieważ mimo jej wszystkich zalet i całego wyrafinowania, nadal pozostawała prostą dziewczyną z Timiny Cove. Nie pasowała do świata „Facets”. Nie bił od niej blask, którym miała promienieć cała jego przyszłość.

Tak czy inaczej sesja miłosna sprawiła, że poczuł się odprężony i pełen energii. Na pe-

wien czas Hillary zaspokoila jego szalone seksualne potrzeby i był już w stanie kontrolować się w kontaktach z innymi kobietami. Znowu mógł odgrywać rolę czulego i cierpliwego kochanka i budować wizerunek dżentelmena, nie martwiąc się przy tym, że nie zdoła ukryć swych prawdziwych pragnień.

Niestety taki opanowany, grzeczny seks zupełnie go nie pociągał. Spotykał się z kilkoma kobietami, nie chcąc, żeby posądzono go o dziwactwo, ale partnerki wybierał jedynie ze względu na ich stosunki w świecie elity.

Na dłuższą metę ta taktyka przyniosła mu wymierne korzyści. Zaczęto go postrzegać jako zachowującego dystans, tajemniczego, lecz wielce obiecującego młodego człowieka. Podało mu się to, gdyż korespondowało z wyższymi sferami - tak jak wszystko inne związane z tamtym światem, on też był czysty, opanowany, dystyngowany i uprzejmy. Pomału zamazywał wizerunek górnika z Timiny Cove.

Obraz ten nosił, paradoksalnie, dużo znamion prawdy. Pomijając dzikie weekendy z Hillary, John rzeczywiście taki był. Był również indywidualistą i miał charakter. Nie przepadał za licznym towarzystwem, wystarczało mu, że się obracał wśród samej śmietanki. Nie bał się postępować według własnych zasad ani mówić o tym innym.

Mimo wszystko nadal nie był do końca akceptowany. Nie rozumiał tego, bowiem był u najbardziej liczących się ludzi w Bostonie i przyjmował ich u siebie. Okazało się to iluzją. Nieważne, jak elegancko się prezentował, inteligentnie przemawiał czy Uprzejmie zachowywał - wciąż pozostawał na uboczu.

Powtarzał sobie, że jest inny, wyjątkowy, najlepszy. Jednak wieczorami, kiedy zostawał sam w domu, nic nie było w stanie uchronić go przed ponurymi myślami. Wtedy szybko umawiał się na mecz squasha lub dzwonił do jednej z kochanek, a jeśli nic z tego nie wychodziło, przesiadywał w bibliotece, dumając o przyszłości „Facets” i planując następne posunięcia.

Przez cały czas drażył go niewytłumaczalny niepokój. Nie miał pojęcia, skąd się bierze, bo patrząc obiektywnie, jego dotychczasowe życie było pasmem sukcesów. W wieku trzydziestu dwóch lat miał świat u swoich stóp, stał się znaną i szanowaną osobą. Był patronem Instytutu Sztuki Współczesnej, ofiarodawcą na rzecz Towarzystwa Walki z Rakiem, Towarzystwa Opery czy kliniki Lahley. Interesy w St. George Company i „Facets” szły dobrze, a jego twarz i nazwisko rozpoznawano w mediach. Czego więcej można pragnąć?

John nie rozumiał tego. Niepokój nie przestawał go trawić i w takich chwilach szukał Pam. Przekonał się, że nawet krótka sprzeczka z nią była lekarstwem na chandrę. Wiedział,

dlaczego tak było - zawsze wygrywał.

Rozdział dwunasty

Parkując na podjeździe Pam najpierw wyłączyła światła, potem silnik. Wyjęła kluczyki ze stacyjki, złapała za książki i wysiadła z samochodu. Przez ostatnie trzy noce prawie nie spała, była zmęczona, ale wspięła się po schodach lekkim krokiem. Dzięki czterem filiżankom kawy adrenalina powinna utrzymać się na tym samym poziomie jeszcze przez kilka godzin, a tyle, zdaniem Pam, wystarczy. Pozostał jej do przeczytania ostatni rozdział książki i notatki. Potem już tylko będzie musiała się spakować. Odpocznie przez weekend.

Przebiegając przez hol, zerknęła na stolik pod lustrem w poszukiwaniu jakiejś wiadomości. Nic nie widząc, obróciła się na pięcie, chcąc wbiec na schody i w tej samej chwili wpadła na Johna.

Sapnęła.

- Przepraszam. Nie zauważyłam cię.

- Spóźniłaś się.

Nie musiała patrzeć na zegarek. Całą drogę widziała go na desce rozdzielczej auta.

- Jest jedenasta. Powiedziałam Marcy, że wrócę o tej porze. Nie powtórzyła ci?

- Nie pytałem. Jedenasta to zbyt późna godzina jak na powrót ze szkoły. Gdzie byłaś?

Nie wydawał się zły, ale Pam miała się na baczności. Sprawdziła już, że to najlepszy sposób postępowania z bratem. Wyklócanie się zwiększało tylko napięcie między nimi, co sprawiało, że mieszkanie pod jednym dachem stawało się piekłem.

- Byłam u Ginny Taylor. Uczyłyśmy się. Jutro mam egzamin z historii Ameryki.

Wstrzymała oddech, dając Johnowi czas na zastanowienie się.

- Uczyłyście się przez cały wieczór? - zapytał z niedowierzaniem.

- Mhm. Poszłam do Ginny zaraz po szkole. Pan Harris dał nam dodatkową lekturę, więc musiałyśmy nauczyć się na pamięć mnóstwa nowych nazwisk i dat. - Prześliznęła się koło Johna, kierując się w stronę schodów. - Muszę jeszcze popracować.

Poszła prosto do swojego pokoju. Cicho zamknawszy drzwi, na sekundę się o nie oparła, potem szybko podeszła do łóżka i upuściła na nie książki i kurtkę. Wreszcie mogła złapać słuchawkę telefonu.

- To ja - szepnęła, gdy usłyszała głos Ginny. - Dzwonił?

- Jeszcze nie. Co się dzieje, Pam? Powiedział, że zadzwoni o dziesiątej trzydzieści.

Pam osunęła się na podłogę, opierając plecy o łóżko. Dalej mówiła ściszym głosem.

- Pewnie jeszcze nie wrócił do domu.

- Kolację miał o siódmej trzydzieści. Był pewien, że zdąży do dziesiątej.

- Ma dużą rodzinę. Kolacja mogła się przedłużyć, może kelnerzy się ociągali.

- Sama nie wiem. Och, Pam, to nie dla mnie. Przynajmniej nie dzisiaj. Jutro mamy ten okropny test.

- Nie martw się, zdasz celująco. A później wyjedziemy, tak jak planowałyśmy. I oni obaj tam będą, Robbie i Bill.

- Robbie na pewno, szaleje za tobą. Jeśli zaś chodzi o Billa, nie jestem przekonana.

- Oczywiście, że będzie - pocieszająco przekonywała Pam, jednocześnie podnosząc wzrok, bo coś poruszyło się w pokoju. John otworzył drzwi na całą szerokość; lustrował wnętrze, aż w końcu dostrzegł Pam.

- Może coś się stało z jego samochodem - ciągnęła Ginny. - Przez cały tydzień tak dziwnie terkotał. A jeśli go nie mógł zapalić?

John stał bez słowa, nie dając po sobie poznać, co usłyszał z całej rozmowy. Pam mówiła na tyle cicho, że nie powinien był podsłuchać kwestii o Robbiem i Billu, chyba że przytknął ucho do drzwi. To było, niestety, zupełnie do niego podobne.

Mówiąc dalej tym samym ściszym głosem, co miało potwierdzić, iż nie ma nic do ukrycia, zapytała Ginny:

- Skończyłaś już czytać ten rozdział?

- Jaki rozdział?

- Ja jeszcze nie zaczęłam. Więc jesteśmy umówione na siódmą?

- Och, ktoś u ciebie jest. John?

- Bądź gotowa, dobrze? Muszę przed testem wpaść jeszcze do biblioteki.

- Co będzie, jeśli Bill nie zadzwoni?

- Uspokój się. Wszystko będzie dobrze.

- Pam, a co, jeśli...

- Muszę kończyć - rzuciła miękko i odłożyła słuchawkę. W jednej sekundzie znalazła się na łóżku. Sięgnęła po książki. - Chciałeś czegoś? - zapytała.

John złożył ręce na piersiach i oparł się o framugę.

- O co chodziło?

- Przypominałam Ginny, żeby się rano nie spóźniła. Ma zwyczaj zapominać, że to ja ją podwożę do szkoły, a nie szkolny autobus. Nie mogę pozwolić sobie jutro na spóźnienie.

John zdawał się rozważać jej słowa, a przy okazji rozglądał się po pokoju.

- Musi jej się podobać, że jest podwożona.

- Mhm.

- Dziwię się, że rodzice nie dają jej samochodu.

- Ja też. Zazdrości mi.

- Lubisz ten samochód.

Pam bez zastanowienia przyznała:

- Uwielbiam go. - Miała go dopiero od czterech miesięcy, ale zdążył już całkowicie zmienić jej życie. Dał jej wolność, o której marzyła od lat. Była wreszcie niezależna; mogła sama jeździć na zakupy, do fryzjera, dentysty, lekarza. Wszystko stało się takie proste dzięki tym czterem kółkom.

Kiedy John zapytał, dokąd się wybiera tym razem, jej serce zabiło jak oszalałe. Poszła za jego wzrokiem, który zatrzymał się na torbach leżących na podłodze. Dzięki Bogu, Marcy porządnie je spakowała.

- Jedziemy na weekend do Ginny, do Vineyard. Wrócimy w niedzielę wieczorem.

- Czy będą tam rodzice Ginny?

- Mhm.

- Przez cały czas?

- Mhm.

- Tak jak rodzice Allison w Vail?

Pam domyślała się, że padnie to pytanie. John nie zamierzał pozwolić jej zapomnieć. Ale nie dała się sprowokować. Nie mogła dopuścić, aby zepsuł jej weekend, który zaplanowały razem z Ginny. Odpowiedziała ze spokojem:

- Rodzice Allison mieli z nami być. Poleciliśmy razem, ale nagle rozchorowali się ich teściowie, więc musieli wrócić wcześniej. Przecież nie zostałyśmy same, był tam brat Allison. Jest na pierwszym roku w Duke.

- Dlaczego te wyjaśnienia wcale mnie nie przekonują?

- Ponieważ z natury jesteś podejrzliwy. Nic się tam nie działo, John. Naprawdę. Jeździliśmy na nartach, chodziliśmy na kolacje, a potem zaraz spać do łóżka. Nic się nie stało. Rodzice Ginny dzwonili do nas każdego dnia. Byli zadowoleni i my także.

- Jestem tego pewien - przyznał. - Ostatnio często jesteś zadowolona. Prowadzisz przyjemne życie - wyjazdy na narty do Colorado, weekendy w Nowym Jorku i Vineyard, samochód na urodziny...

- Czy miałeś mniej, kiedy byłeś w moim wieku?

- Nie opuszczałem się w nauce. A więc o to chodziło.

- Wcale się nie opuszczam.

- Nie powiedziałbym, że trójki i dwójki to dobre oceny.

- Dostałam tylko jedną dwóję i to z matematyki, bo miałam najgorszego nauczyciela w szkole. W tym semestrze dostanę czwórkę mniej. A trójki miałam tylko dwie. Poza tym nie wspomniałeś nic o piątkach.

- Z literatury i plastyki. Obydwa przedmioty nadprogramowe.

- Za to interesujące, a nie nudne, jak cała reszta.

- Nudne czy nie, jeśli chcesz się dostać do porządnego college'u, musisz się podciągnąć.

- Zrobię to.

W rzeczywistości Pam nie zależało na jakiejś konkretnej, znanej szkole, ważne było jedynie, aby mieściła się z dala od Bostonu. Wówczas zostałyby jej tylko dwa lata wspólnego mieszkania z Johnem. Marzyła o tym. Miała już dosyć unikania go, męczyło ją ciągle wypytywanie, gdzie i z kim była. Wszystko układało się dobrze, póki był zajęty lub przebywał poza domem. Ale w wolnym czasie uwielbiał się jej naprzykrzać, co właśnie w tej chwili czynił.

- Przydałoby się, żebyś tu posprzątała. - Wykrzywił usta, spoglądając na biurko. - Co to za bałagan?

- To tylko notatki i podręczniki potrzebne do egzaminu. - Kiedy wskazał wzrokiem na następną stertę, wyjaśniła: - Rysunki. Muszę wykonać mnóstwo szkiców, zanim uda mi się narysować to, co chcę.

- Czy Marcy tu nie sprząta?

- Sprząta wszystko oprócz biurka. Nie pozwoliłam jej go dotykać. Dzięki temu wiem, gdzie co jest.

- Ale przecież nie możesz przy nim pracować. Poklepała łóżko.

- Tutaj pracuję. Tu jest wygodniej.

- W łóżku rozmawiasz przez telefon. - Jego twarz przybierała coraz bardziej surowy wyraz. Pam widziała, że John się zaplątał. - Już teraz nie nadajesz się do Penn. Nie wiem, jak cię przeciągnę do jakiegokolwiek college'u z tyloma trójkami i dwójkami.

- Z czwórkami i trójkami - poprawiła go cichym głosem, wiedząc, że i tak nie poszłaby do Penn, nawet gdyby John jej za to zapłacił. To była jego szkoła. Poza tym znajdowała się na południu, a ona nie chciała tam wyjeżdżać. Myślała raczej o północy, o Bates albo Bowdoin.

- Teraz może ci się wydawać obojętne, do jakiego college'u będziesz uczęszczała, ale tak nie jest. W szkole nawiązuje się istotne znajomości.

- Wiem.

- Naprawdę? Jeśli pójdziesz do kiepskiej szkoły, to poznasz kiepskich chłopców. Przeprowadzisz takiego do domu, a ja nigdy nie zgodzę się na małżeństwo.

- Małżeństwo? - Podniosła dłoń. - Hola! Mam dopiero szesnaście lat. Nie w głowie mi małżeństwo.

- Czy nie o tym właśnie rozmawiacie godzinami z koleżankami?

- Nie!

- Dziewczyny bez przerwy rozmawiają o chłopcach. - Wzrokiem powędrował do jej piersi, które delikatnie odznaczały się pod swetrem. - A ponieważ wyglądasz już bardziej na dziewczynę niż chłopca...

- John!

- To fakt.

- Zdaję sobie z tego sprawę. - Jeszcze teraz nie mogła zapomnieć, ile kompleksów w ciągu ostatnich lat przysporzył jej biust, niewątpliwie najmniejszy wśród koleżanek. Wiele nocy nie przespała, martwiąc się, że piersi nigdy jej nie urosną, albo że nie dostanie okresu. Po miesiącach samotnego milczenia, bojąc się poradzić Marcy lub Hillary, które mogłyby potwierdzić jej obawy, wybrała się do ginekologa. Badanie było nieprzyjemne i krępujące, ale rozwiało jej obawy. Lekarz stwierdził, że nie dzieje się z nią nic złego. Pam miała wtedy piętnaście lat i rzeczywiście po jakichś trzech miesiącach zaczęła nabierać kobiecości.

- Jesteś ładna, Pam - ciągnął John. - Nie mów mi, że twoi koledzy tego nie zauważają.

Wzruszyła ramionami.

- I nie próbuj mi wmówić, że ty na nich nie zwracasz uwagi. Spotykasz się z nimi tak samo często jak z koleżankami.

- Wszyscy się przyjaźnimy i to od lat. - Czekwała, zastanawiając się, czy została przyłapana. Jeśli podsłuchał, że mówiła o Robbiem i Billu, i domyślił się, że Ginny zaprosiła ich na weekend, będzie miała poważne kłopoty. Robbie i Bill nie byli ich szkolnymi kolegami. Studiowali na pierwszym roku na Uniwersytecie Bostońskim. Pam nie kochała się w Robbiem, ale

jej się podobał.

Jednak John nie wspomniał nic na ten temat.

- Wiem, co się dzieje w takim mieszanym towarzystwie. Zaczynacie ze sobą chodzić, potem zrywacie i zakochujecie w kimś innym, a dziewczęta wypisują na zeszytach imię ukochanego. Szkoła średnia to tylko przygotowanie. Prawdziwe łowy zaczynają się na wyższej uczelni.

- Czasy się zmieniły - poinformowała go Pam, prostując plecy. - Dziewczęta nie idą już do college'u tylko po to, żeby znaleźć męża. Przygotowują się tam do kariery. Popatrz na Hillary, jest najlepszym przykładem.

- Jeśli chciałaś mi dogryźć tą uwagę, to źle trafiłaś.

- Czy mówię nieprawdę?

- Hillary jest wyjątkiem.

- Może wśród kobiet, które ty znasz.

- A czy ty znasz inne? - Wyprostował się, gotowy do sprzeczki. - Daj spokój, Pam. Twoje koleżanki pochodzą z bogatych rodzin. Naprawdę sądzisz, że będą pracować przez całe życie? Założę się, że ich ojcowie do znudzenia powtarzają im to samo, co usłyszałaś ode mnie.

Jednak Pam wątpiła, czy Eugene rozmawiałby z nią w ten sposób. Nie był taki. Boże, jak za nim tęskniła, jak jej brakowało jego rubasznego śmiechu, szczerych rozmów i szerokiego ramienia, na którym mogła się do woli wyplakać. Tęskniła za chwilami, kiedy przytulał ją do siebie bez żadnego szczególnego powodu i powtarzał, że ją kocha; była wtedy naprawdę szczęśliwa.

Tęskniła również za Patrycją, ale w tym wypadku jej uczucia nie były takie jednoznaczne. Na myśl o matce mieszały się w niej wyrzuty sumienia, przejmujący ból i poczucie niezasłużonej krzywdy. Patrycja nadal przebywała w szpitalu i opiekujący się nią psychiatra, Robert Grossman, zasugerował, żeby Pam odwiedzała ją nie częściej niż raz w miesiącu. Okazało się jednak, że kiedy nawet opuściła jedną czy dwie wizyty, niczego to nie zmieniało. Patrycja zachowywała się z zimną, bezosobową uprzejmością, krótko odpowiadała na pytania, sama nie angażując się w rozmowę. Nigdy też nie dzwoniła do Pam, nie pamiętała o jej urodzinach i niczego jej nie proponowała. W towarzystwie przyjaciół Pam nauczyła się zapominać o bólu, jaki sprawiała jej matka.

W tej chwili, słysząc chrząknięcie i poirytowany głos brata, wróciła myślami do rzeczywistości.

- Jeśli planujesz zrobić karierę w jakimś zawodzie - kontynuował John - wybór dobrego college'u jest tym bardziej istotny.

- Nie w przypadku wchodzenia do rodzinnego biznesu.

- Jeśli wejdiesz, moja droga. Nie powierzę ci odpowiedzialnego stanowiska, jeśli będziesz miała za sobą jakąś poślednią szkołę. - Puszyl się, wiedząc, że ma nad nią przewagę. - Chcesz, żeby pracownicy cię szanowali? Chcesz, żeby myśleli, iż masz tam coś? - Postukał się w głowę. - Będziesz musiała im to udowodnić.

- Już teraz wiem więcej na temat górnictwa niż wielu twoich najlepszych pracowników.

- Górnictwo to tylko mały wycinek działalności naszej firmy. Jej przyszłość należy do „Facets”.

- Znajdę sobie miejsce. - Bacznie obserwowała rozwój wypadków i dobrze wiedziała, że przejęcie prezesury jest nierealne. John zbyt mocno zakorzenił się na tej posiadzie i był silny. Ale ona wynajdzie jakąś dziedzinę, w której stanie się najlepsza. Zamierzała pokazać bratu, co potrafi. Kiedyś go zadziwi.

- Wątpię, jeśli nie przyłożysz się do nauki.

- Jak mogę to zrobić, skoro nie chcesz zostawić mnie w spokoju? - Osiągnąwszy punkt, w którym nie mogła dłużej znosić pouczeń Johna, straciła zimną krew. - Powiedziałam ci, że jutro mam poważny półsemestralny egzamin. Mówisz, że powinnam dostawać lepsze stopnie. Nie stanie się tak, jeśli nie pozwolisz mi się uczyć.

- Skąd mam wiedzieć, że w chwilę potem, jak wyjdę z tego pokoju, nie podniesiesz słuchawki telefonu?

- Bo muszę się uczyć! Idź już, John.

Wpatrywał się w nią przez dłuższą chwilę, a Pam umierała w duszy ze strachu. Była pewna, że teraz zabroni jej wyjazdu na weekend - co zresztą by jej nie powstrzymało, znalazłaby jakiś sposób, żeby dostać się do Vineyard.

- Pójdę więc - zgodził się w końcu, ale w głosie brzmiała groźba. - Uważaj jednak, Pam. Do tej pory byłem dla ciebie szczodry. Otworzyłem ci spore konto...

- Nie przekroczyłam go...

- ...i dzięki temu masz pieniądze na drogie ubrania, wyjazdy na narty i chodzenie do eleganckich restauracji z przyjaciółmi. Co kilka miesięcy wyjeżdżasz też do Nowego Jorku, pozwalam ci spędzać wakacje w ekskluzywnych kurortach. Masz nawet własny numer telefonu, a teraz dostałaś samochód. I patrzę przez palce na twoje wyjazdy do Maine.

Serce Pam podskoczyło do gardła.

- Muszę jeździć do Maine - zauważyła cicho Pam. - Górnicy powinni widywać przy-
najmniej jedno z nas. Ty nie znosisz tam jeździć.

- Ale nadal spotykasz się z Cutterem Reidem.

Znowu poczuła szarpnięcie serca.

- Pracuje w kopalni, więc go widuję.

- Widujesz go przy innych okazjach, a zakazałem ci tego.

- Timiny Cove to mała miejscina. Nic na to nie poradzę.

- Sama go szukasz. Dlaczego ci tak na nim zależy?

Ktoś musiał ją śledzić. Bardzo chciała się dowiedzieć kto, ale wolała nie pytać, żeby nie potwierdzić przypuszczeń Johna.

- Należy się liczyć z górnikiemami. To oddani pracownicy, spędzają w kopalni całe dni, za-
rabiając na nas. Są kręgosłupem naszej firmy.

- Już nie. Turmaliny nie stanowią już podstawy naszej produkcji. Nawet gdybyśmy za-
mknęli kopalnię, moglibyśmy kupować je na rynku, tak jak inne kamienie.

Mimo że Pam bardzo chciała pozbyć się Johna z pokoju, nie mogła puścić mimo uszu
ostatniego zdania.

- Twierdzisz, że firma przetrwa, opierając się jedynie na „Facets”? Przecież nawet ja
wiem, że rocznie wyciągamy z kopalni ponad osiem milionów. To niezły dochód. Pozbędziesz
się kopalni, to nasi akcjonariusze wpadną w panikę.

John milczał przez chwilę. Chociaż słowem się nie zdradził, po twarzy widać było, iż jest
zaskoczony jej rozsądnymi uwagami. Niemniej Pam postanowiła nie wykorzystywać chwilo-
wej przewagi i także milczała. Nauczyła się już, że w kontaktach z Johnem wyklócanie się nie
przynosi żadnych korzyści, ponieważ to zawsze kończyło się zemstą. Nie zamierzała dać się
skrzywdzić, a tym bardziej pozwolić skrzywdzić Cuttera.

Pozostały jej jeszcze dwa lata do osiągnięcia pełnoletności.

Jedynie dwa lata.

Dziesięć godzin do egzaminu z historii.

Czternaście godzin do wyjazdu do Vineyard.

I, z pomocą boską, pięć minut, aż John wyjdzie z jej pokoju.

- Myślę - odezwał się w końcu - że kopalnie to najmniejsze z twoich zmartwień. Popraw
stopnie, bo nie będziesz jeździła do Maine ani nigdzie indziej. Wyrażam się jasno?

Był zirytowany. Zazwyczaj tak opanowany, teraz nie potrafił ukryć wrogości, bijącej mu z oczu. Przechytrzyła go i zdawał sobie z tego sprawę. Z całych sił starała się nie uśmiechnąć.

- Tak, John - powiedziała potulnie.

Stopnie Pam pozostały na średnim poziomie. Nauczyciel matematyki przysłał notatkę ze skargą i wtedy John zabrał Pam kluczyki od samochodu i na weekend kazał jej zostać w domu. Pam poczekała, aż wyszedł do pracy, po czym po prostu przeszła na Charles Street, skąd zabrali ją znajomi. Dwa tygodnie później John uznał, że stopień, który otrzymała z pracy pisemnej z angielskiego, jest nie do przyjęcia i znowu zabrał jej kluczyki wraz z biletem na sobotni koncert w Cambridge. Pam nie przejęła się. Wsiadła do autobusu i pojechała z Robbiem na przyjęcie na uniwersytecie.

W czerwcu otrzymała cenzurkę i John nie był nią zachwycony.

- To jest poniżej krytyki - powiedział, odrzucając kartkę papieru na stół w bibliotece.

Pam zdążyła przygotować się na jego gniew, ponieważ otrzymała świadectwo już przed kilkoma dniami.

- Ten rok był wyjątkowo ciężki. Nie powinnam była wybierać biologii. Zajęła mi tyle czasu, że nie starczało mi go już na inne przedmioty.

- To nie przez biologię nie miałaś czasu. To przez tę zgraję, z którą się spotykasz. Ciągle gdzieś wychodzisz. Czy inni też mają takie złe stopnie jak ty?

- Moje stopnie nie są aż takie złe. Wiesz, że miałam kłopoty z matematyką, ale w przyszłym roku poradzę sobie. Wybiorę geometrię, a ona jest o wiele łatwiejsza od algebry.

- Dostałaś trójkę mniej z historii.

- To dlatego, że stopień wystawiany jest z wszystkich trzech testów, a ja nie radzę sobie dobrze z testami pana Harrisa. Za każdym razem słuchałam go uważnie, a potem starałam się zgadnąć odpowiedź, ale przeważnie nie mogłam trafić.

John nie dawał się nabrać na jej tłumaczenia.

- Gdybyś odrabiała wszystkie lekcje, które wam zadawał, znałabyś odpowiedź na każde pytanie.

- Przecież to robiłam.

- Czy nie zależy ci na dobrych stopniach?

- Oczywiście, że tak.

- Więc dlaczego ich nie dostajesz? Kiedy człowiek nad czymś rzetelnie i ciężko pracuje, osiąga to. Nie skończyłem szkoły aż tak dawno, żeby nie pamiętać, jak to jest.

Podczas całej rozmowy nawet nie mrugnął. Wydawało się, że niemal nie oddycha. Pam zawsze niezmiernie dziwiło, w jaki sposób tak doskonale potrafi kontrolować funkcje swojego ciała. Był jak zimna, precyzyjna maszyna.

- Problem polega na tym - ciągnął - że przykładasz się jedynie do życia towarzyskiego. Uważam, że powinnaś wziąć kurs biologii w letniej szkole.

Pam poczuła, jak żołądek zawiązuje się jej w węzeł.

- Nie mogę pójść do letniej szkoły, John. Umówiłam się, że wyjadę na zachód. Wycieczka zaczyna się za dwa tygodnie.

- Zastąpią cię kimś innym.

- Ale ja tak na to czekałam, liczyłam dni do wyjazdu!

- Gdybyś się więcej uczyła, nie miałabyś teraz kłopotów.

- Proszę cię, John. - Do reszty zwariuje, jeśli przez całe lato będzie się musiała objąć po Bostonie. Niestety, zapowiadało się na to, bo John już wcześniej stwierdził, że może zapomnieć o spędzeniu dwunastu tygodni w Maine. - Zrobię wszystko. Będę się uczyła z korepetytorem, kiedy wrócę z wycieczki. Postaram się też o dodatkową pomoc na jesieni. Będę wracała zaraz po szkole, żeby się uczyć, przysięgam. Poza tym zdaję sobie sprawę, że ostatni rok jest ważny.

- Poprawisz wszystkie stopnie?

- No, prawie.

- Muszę to przemyśleć.

- Proszę - błagała, nie przejmując się, że to robi. Była zmęczona ciągłymi wojnami, karami oraz wymyślaniem sposobów na ich ominięcie. Marzyła o kilku tygodniach poza domem.

- Powiedziałem, że pomyślę o tym. - Podał jej cenzurkę. - Weź ją. Przyniosłaś mi wstyd.

Wzięła świadectwo i wyszła wiedząc, że dalsze proszenie jest bezcelowe. John nie zmienił tak szybko zdania. Będzie ją trzymał w niepewności, dopóki nie uzna, że ma dosyć.

Rzeczywiście cierpiała. Była wściekła na niego i na siebie. Szkoła się skończyła, znajomi powyjeżdżali i nie miała się nawet komu wyzalić. Starła się przebywać w domu, kiedy przychodził John, ale brat nie zdradzał, co postanowił. Cieszyło go, że jest zdenerwowana i nieszczęśliwa.

Potrzebując choć na chwilę odetchnąć, pewnego popołudnia wybrała się po prostu do Timiny Cove. Na miejscu poszła do kopalni, żeby przywitać się z Simonem i resztą górników. Kiedy upewniła się, że Cutter ją widział, udała się nad strumień do lasu.

Dołączył do niej zaraz po skończeniu pracy. Na widok jego postawnej figury, wyłaniają-

cej się z za drzew, poczuła znajome ukłucie w sercu. Z uśmiechem zerwała się z kamienia i pobiegła się przywitać.

Złapał ją w ramiona i okręcił wokół siebie.

- Jezu, ależ ty wyrosłaś! Nie byłem pewny, czy to naprawdę ty, kiedy cię zobaczyłem w kopalni. Nie nosisz już dżinsów.

Miała na sobie krótką białą spódniczkę, lawendową bluzkę i tenisówki. Ubrała się tak rano, nie przeczuwając, że pojedzie dalej niż poza Beacon Hill. Pomysł o wyjechaniu z Bostonu przyszedł jej do głowy nagle, więc nawet nie pomyślała o przebraniu się. Widząc podziw w oczach Cuttera, ucieszyła się, że tego nie zrobiła.

Owinał sobie wokół palca długi kosmyk jej włosów i lekko pociągnął.

- Pięknie wyglądasz, Pam.

Niedawno mniej więcej to samo powiedział jej John. Patrzył wtedy na jej biust. Pam zaczęła się zastanawiać, czy i Cutter zauważył, że urosły jej piersi. Może nawet poczuł to, kiedy ją przyciskał.

Jej policzki zaalały się rumieńcem.

- Dziękuję. - Nie bardzo mogła patrzeć Cutterowi prosto w oczy. - Ty również nieźle wyglądasz. - Zdała sobie sprawę, że Cutter ze swoją strzelistą sylwetką, gęstymi, jasnobrązowymi włosami, które nigdy nie wyglądały na brudne, za to zawsze zmierzwiłone, jest najprzystojniejszym mężczyzną, jakiego знаła.

- Jak ci się wiodło?

- Ogólnie biorąc, nie najgorzej. Ostatnio sprzeczałem się z Simonem, chodziło o trzydziestominutową przerwę na lunch. A co u ciebie?

- Podobnie. W porządku.

Cutter jednak uważnie przyglądał się Pam.

- Wyglądasz na zmęczoną - osądził i Pam zrozumiała w tej chwili, dlaczego tak bardzo pragnęła się z nim zobaczyć. Przejmował się nią jak nikt inny na świecie. Był dla niej niby ciepłe, bezpieczne schronienie, w którym mogła się skryć, kiedy poczuła się samotna czy przygnębiona. Cutter ją znał i rozumiał. Poświęcał jej całą uwagę.

Po chwili siedzieli na kamieniach tuż obok siebie, a Pam opowiadała mu całą historię o stopniach, Johnie i wycieczce. Powiedziała też, że John wie o ich spotkaniach.

- Musi kogoś tu mieć, Cutter. Żartowałeś sobie kiedyś na ten temat, ale ja myślę, że tak jest w rzeczywistości. John wie, że spędzałam z tobą dużo czasu.

Cutter wydawał się przejęty.

- Czy mści się za to na tobie?
- Jeszcze nie, ale taka groźba wisi w powietrzu.
- To typowe dla niego.
- Jak sądzisz, kto nas szpieguje?

Cutter przez dłuższy czas wpatrywał się w przeciwny brzeg strumienia, aż Pam pomyślała, że może kogoś tam dostrzegł. Drzewa, jak to w czerwcu, bogato okryte liśćmi, rzucały dookoła głębokie cienie. Pam niczego nie zauważyła.

- Nie mam pojęcia - odpowiedział w końcu Cutter, po czym spojrzał na dziewczynę. - Tak czy inaczej, przyjechałaś.

- Oczywiście.

Posłał jej delikatny uśmiech, drobne drgnięcie warg, świadczące, że jest zadowolony.

- Czy on wie, gdzie jesteś?

- Dowie się, kiedy wróci do domu i znajdzie mój liścik. Zamierzałam napisać, że wybieram się do jakiejś przyjaciółki, ale potem pomyślałam sobie, że ktoś mnie tu może zobaczyć. Gdyby John złapał mnie na kłamstwie, mogę zapomnieć o wycieczce.

- Kiedy się zaczyna?

- W następny czwartek.

- I tak bardzo chcesz jechać?

- Tak naprawdę pragnęłam tam spędzić całe lato, ale John nawet nie chce o tym słyszeć. - Opierając głowę o kolana, zacisnęła zęby, a potem odchyliła się do tyłu. - Jestem już tym taka zmęczona, Cutter. On jest niemożliwy. Sam decyduje, co jest ważne, nie liczy się zupełnie z moim zdaniem, a wszystko traktuje tak poważnie, jakby to był koniec świata. Jest taki okropnie sztywny!

Cutter oparł dłoń na kamieniu.

- Nie powiem, żebym miał o nim lepsze zdanie. - Spojrzał na Pam cieplejszym wzrokiem. - Jak długo możesz tu zostać?

- Niedługo. Napisałam, że wrócę dzisiaj wieczorem.

- Nie możesz o tej porze sama wracać.

- Masz ochotę się ze mną przejechać? - zażartowała, ale po chwili uśmiech zniknął z jej ust. Nagle ożywiona, szeroko otworzyła oczy i złapała Cuttera za rękę. - Tak, Cutter, wracaj ze mną. Możesz się zatrzymać w Parker House w Cammon. Tak bym chciała oprowadzić cię po

mieście! Nigdy nie byłeś w Bostonie, a ja znam wspaniałe miejsca. Do mojego wyjazdu zostało jeszcze pięć dni - o ile John się w ogóle zgodzi. Jeśli nie, to będę miała jeszcze więcej czasu. Zobacysz, będzie świetna zabawa, niczego bardziej nie pragnę! Mogłabym nawet nie wyjeżdżać, gdybyś przyjechał do Bostonu.

Pam spostrzegła, że Cutter cały się spina. Odezwał się spiszowym głosem:

- John byłby w siódmym niebie.

- John się o niczym nie dowie! - pospieszyła z zapewnieniem. - Czy nie rozumiesz, Boston jest o wiele większy od Timiny Cove. Nawet się nie domyśli, że tam byłeś. Znikniemy w tłumie. John rzadko kiedy wie, co robię, nie będzie się spodziewał...

- To nie jest dobry pomysł, Pam.

- Dlaczego nie?

- Po pierwsze dlatego, że muszę pracować.

- Weź sobie wolne.

- Po drugie, że znajdziesz się w niezłych opalach, jeśli John odkryje prawdę.

- Ale nie odkryje - zaprzeczyła głosem pełnym emocji.

- Po trzecie, mam go wystarczająco dosyć tu na miejscu i nie pojedę do Bostonu, żeby patrzeć przez ramię, czy mnie gdzieś nie śledzi. - Po chwili ciszy wymamrotał: - Zresztą byłem już tam.

Pam wiedziała, że Cutter nie lubi Johna, ale nie zdawała sobie sprawy, do jakiego stopnia. Nie miała też pojęcia, że był w Bostonie. Jednak zanim zdążyła go o to spytać, jej uwagę przyciągnęły odgłosy, dochodzące z lasu. W tym samym momencie Cutter położył jej ostrzegawczo rękę na kolanie. Znieruchomieli oboje i nasłuchując patrzyli w kierunku, z którego dobiegały szmery.

- Co to było? - wyszeptała Pam.

Cutter przysunął się do niej. Poczowała jego opiekuńcze ramię na plecach.

- Nie jestem pewien.

- Jakież kroki.

- Tak mi się wydaje.

- Człowiek?

- Mhm.

Cały czas porozumiewali się szeptem.

- Myślisz, że to szpieg Johna? - z przerażeniem spytała Pam.

- Raczej nie.
- To zbyt oczywiste?
- Jak na mężczyznę jest za niski.
- Więc kto to jest?

Ponieważ Cutter nie odpowiadał, popatrzyła na niego. Pełen niepokoju, wyęczał wzrok. Szczęki miał zaciśnięte. Pam nie mogła sobie przypomnieć, czy tak jest zawsze, czy tylko w chwili zdenerwowania. Śmieszne, ale nie zwróciła do tej pory na to uwagi. Zazwyczaj patrzyła na całą twarz Cuttera.

Nagle poruszył ustami.

- Bumble - wyszeptał i widać było, że cały się rozluźnił.
- Co?
- To Bumble.

Dopiero po jakimś czasie Pam zrozumiała, o kim mówił. Odrywając wzrok od twarzy Cuttera, popatrzyła w kierunku lasu i rozpoznała drobną postać wyłaniającą się spomiędzy drzew.

Pam lubiła raczej wszystkich mieszkańców Timiny Cove, jednak zawsze się bała tej starej, dziwacznej kobiety. Bo Bumble była dziwaczką. Nawet w najcieplejsze dni ubierała się w całe sterty pomiętych, czarnych ubrań. Mówiono w miasteczku, że mieszka w przykrytej gałęziami dziurze w ziemi, ale tak naprawdę nikt nie był pewien, gdzie żyje. Nikt też nie wiedział, ile ma lat, podobno już dawno stuknęła jej setka. Wydawało się, że jest całkowicie samowystarczalna. Całymi dniami włóczyła się po lesie, zbierając zioła i rozmaite leśne owoce, i choć nigdy nikogo nie skrzywdziła, wszyscy się jej wystrzegali. Nie znano nawet jej imienia i nazywano Bumble, bo gdy mówiła, wydawała podobne odgłosy.

Pam przytuliła się do Cuttera i wyszeptała:

- Co ona tu robi?
- Prawdopodobnie szuka grzybów - odparł.
- Dlaczego akurat tutaj?
- Ponieważ tu są dobre grzyby.
- Ale te lasy nie należą do niej, są twoje.

Cutter cicho się roześmiał.

- Niezupełnie.
- Wiesz, o co mi chodzi, Cutter. Spójrz, ona idzie teraz prosto na nas.

- Nie denerwuj się. Nic ci nie zrobi.

- Jesteś pewien?

- Zaufaj mi.

I Pam mu uwierzyła, zawsze tak było. Gdyby tu była sama, bałaby się straszliwie, ale wtulona w Cuttera, czuła się bezpieczna.

Stara kobieta nie zatrzymując się, podeszła do nich. Jej oczy spoczęły na Cutterze, który kiwnął głową na powitanie. Potem Bumble spojrzała na nią. Pam z wysiłkiem przywołała na usta słaby uśmiech.

- Dzień dobry - powiedziała.

Wodniste oczy wpatrywały się w nią przez całą wieczność. Pam widziała z bliska niewiarogodnie pomarszczoną twarz i kilka warstw ubrań, wystających jedno spod drugich; na samym wierzchu powiewał czarny, wypłowiały fartuch, narzucony na pomiętą sukienkę. Nagle Pam dostrzegła małą, zwiędłą dłoń, wysuwającą się z jutowej torby, zawieszanej z boku. Po chwili ręka zanurzyła się w drugiej torbie, trochę mniej wyświechtanej, i kobieta wyjęła stamtąd bukiet kwiatów, który wysunęła w stronę Pam.

- Wizalie - zaszemrał słaby głos.

- Dzikie azalie - miękko powtórzył Cutter.

Pchnął lekko Pam do przodu, ale tak, żeby Bumble tego nie spostrzegła.

Pam wzięła kwiaty. Natknęła się już w lesie na dzikie azalie, ale nigdy o tak pięknym, pastelowym odcieniu. Kiedy staruszka wskazała palcem jej nos, powąchała je. Pachniały delikatnie i świeżo.

- Dziękuję - powiedziała. - Są przeurocze.

Zanim jeszcze skończyła mówić, kobieta odwróciła się na pięcie i pokuśtykała w głąb lasu. Z kwiatami przy twarzy, Pam obserwowała zgrzybiałą postać, póki nie zniknęła wśród drzew.

- Dziwne - szepnęła wtedy. Oparta wygodnie o Cuttera, wciąż wąchała kwiaty, po czym opuściła je i popatrzyła na towarzysza. Miał rozmarzoną twarz, ale nie to ją zaintrygowało, a jego zapach, taki znany, a przecież zupełnie niepodobny do zapachów otaczających Johna czy jej szkolnych kolegów. Cutter nie pachniał ani wodą kolońską, jak brat, ani skórzaną kurtką, jak Robbi. Pachniał ziemią i potem ludzkiej pracy.

Czując ucisk w żołądku, odsunęła się od Cuttera i wstała.

- Powinnam już iść - powiedziała.

Cutter też się podniósł.

- Mogę zaprosić cię na kolację?

Pam nie wyobrażała sobie nic bardziej miłego, ale czuła się jakoś dziwnie.

- Dobrze, zjemy coś u ciebie. - Wiele razy tak bywało. Przyrządzali razem posiłek, który zjadali potem na ganku.

Ale Cutter potrząsnął głową.

- Chciałbym cię gdzieś zaprosić. Nigdy tego nie robiłem, ale wyglądasz dziś tak ładnie i dorośle. Zgódź się, proszę.

Serce Pam topniało niczym wosk.

- Jest taka restauracja w Norway - ciągnął. - Uczciłibyśmy twoje zakończenie szkoły.

- Nie musisz...

- Możemy się długo nie widzieć.

Pam poczuła, że zbiera się jej na płacz. W tej chwili zrezygnowałaby z wycieczki, żeby tylko móc pozostać w Timiny Cove. Wprawdzie wcześniej rozstawali się już z Cutterem na dłużej, ale nigdy jeszcze nie wyjeżdżała tak daleko. Dopiero teraz zdała sobie sprawę, jak uspokajająco działa na nią świadomość, że dzielą ich tylko trzy godziny drogi.

- Dobrze - powiedziała miękko.

Wrócili do domu, gdzie Cutter wziął kąpiel i przebrał się, po czym wyszli do restauracji. Pam nieraz bywała w droższych i bardziej eleganckich, lecz dawno nie spędziła tak przyjemnego wieczoru. Czuła się wspaniale i po powrocie do Bostonu długo jeszcze wspominała minione chwile.

Rozdział trzynasty

John pozwolił w końcu Pam pojechać na wycieczkę. Zastanawiała się, czy przypadkiem nie zorientował się, że prawie straciła ochotę na wyjazd. Jednak kiedy nadszedł wyznaczony termin, była zadowolona. Od miesięcy nie siedziała tyle w domu. W tym czasie wiele myślała o przeszłości i przyszłości, roztrząsała bolesne sprawy, których i tak nie mogła zmienić. Nawet kiedy Johna nie było w domu, czuła się okropnie. Wiedziała, że jeśli spędzi lato w domu, to choćby miała możliwość wyjazdów do Timiny Cove, na jesieni będzie kłębkim nerwów.

Wycieczka udała się. Pam zawarła mnóstwo nowych znajomości, zwiedziła park Yellowstone, Wielki Kanion oraz wiele ciekawych miejsc w San Francisco, Beverly Hills i Las Vegas. Mogłaby nie wracać, gdyby nie Cutter i oczywiście szkoła.

Pomimo dobrych chęci jesienny semestr nie przeszedł tak pomyślnie, jak planowała. John się nie mylił. Gdyby uważała na zajęciach, siedziała w domu i więcej się uczyła, wiodłoby się jej lepiej. Jednak w szkole miała kłopoty z koncentracją, ciągle gdzieś błądziła myślami. Podobnie było z nauką w domu. Popołudniami zawsze znalazło się coś ciekawszego niż nudne odrabianie lekcji. Była szczęśliwa, kiedy nie musiała wcześniej wracać do domu i mogła posiedzieć u którejś z przyjaciółek.

Dla Johna stała się przysłowiowym chłopcem do bicia. Obrywało jej się za każdym razem, gdy w jego własnym życiu coś kulało. Johnowi nie podobało się nic, co robiła; krytykował jej tryb życia, wyniki w szkole, przyjaciół.

Nigdy nie krzyczał - nie pozwalał sobie na to - ale wypowiadał przykre, raniące ją słowa, mające jej uświadomić, że w jego oczach jest zerem. W chwilach załamania zastanawiała się, czym zasłużyła sobie na takie traktowanie, ale kiedy wracało jej trzeźwe myślenie, wiedziała. Po prostu była córką Eugene'a. Wystarczało, żeby John na nią spojrział, a dostawał białej gorączki. I vice versa: John zaczął uosabiać wszystko co złe w jej życiu.

Pod koniec października, po otrzymaniu ocen semestralnych, John zakazał jej wychodzenia z domu. Kiedy mimo wszystko wmykała się wieczorami, odebrał jej samochód. To też jej nie powstrzymało - korzystała z pojazdów znajomych - i John co jakiś czas groził, że wstrzyma jej tygodniówkę, wyłączy telefon czy sprzeda samochód, ale żadna z gróźb nie miała na nią wpływu. To John był materialistą, dla Pam istniały rzeczy o wiele ważniejsze niż pieniądze czy samochód.

Zajął mu sporo czasu, zanim zdał sobie z tego sprawę. Kiedy z końcem grudnia przy-

niosła następną, podobną do poprzedniej cenzurkę semestralną, kiedy wróciła o drugiej nad ranem z przyjęcia, na które zakazał jej iść, a następnego dnia wyjechała na narty do Vermont bez uprzedniego pytania o zgodę, zmienił taktykę.

- Dostyc tego - oświadczył wieczorem po jej powrocie z nart. - Od tej pory masz codziennie być na obiedzie w domu, a w tygodniu żadnego wychodzenia wieczorami. Tutaj możesz robić, co sobie chcesz. Nie chcesz jeść, to nie jedz. Nie chcesz się uczyć, trudno. W weekendy też masz wolną rękę, możesz jeździć do Maine czy robić cokolwiek innego.

Pam mocniej zacisnęła palce na książce, którą czytała. To było *Love Story*. Do chwili pojawienia się Johna była całkowicie pochłonięta lekturą. Teraz, słuchając go, odnosiła nieprzyjemne wrażenie, że za jego słowami kryje się jakieś niebezpieczeństwo.

- Nie podoba mi się, że wychodzę na głupca, kiedy ignorujesz moje polecenia - kontynuował tak stanowczym i zadowolonym z siebie głosem, że jej niepokój wzrósł. - Mam tego dostyc. Nie jestem w stanie kontrolować każdego twojego kroku. Nadszedł czas, żebyś wykazała swoją odpowiedzialność. Najwyższy czas, jako że wkrótce skończysz siedemnaście lat.

Pam czekała. Specjalnie ją przetrzymywał, żeby ją jeszcze bardziej zdenerwować.

- Wszystko, czego wymagam - odezwał się w końcu - to żebyś poprawiła stopnie.

- Wszystko - powtórzyła jak echo.

- To nie tak wiele. Nie jesteś głupia. Brak ci tylko motywacji.

Pam przemyślała jego słowa, po czym wolno zapytała:

- Jeśli to sprawa motywacji, to co masz na myśli?

- Odpowiedzialność. Umywam od wszystkiego ręce. Teraz ty decydujesz. Od ciebie zależy, czy poprawisz się w nauce.

- A jeśli się nie poprawię? - zapytała, wstrzymując oddech.

- Jeśli nie, uczynię dwie rzeczy. Zwolnię Marcy, a następnie sprzedam dom w Timiny Cove.

Pam wyprostowała się gwałtownie, aż książka, którą trzymała, upadła na dywan, ale dziewczyna nawet tego nie zauważyła.

- Nie zrobiłbyś tego.

- Ależ tak, zrobiłbym. - Ciemne oczy mężczyzny błyszczały z triumfem. - Popraw się albo Marcy stąd odejdzie. Oczywiście znajdzie sobie inną posadę, ale na pewno nie tak dobrze płatną jak u mnie. Poza tym nie będzie jej łatwo bez referencji.

- Nie zrobisz tego.

- Zrobię.

- Ale ja kocham Marcy!

- Wiem. A czy zdajesz sobie sprawę, że z pensji, którą jej daję, Marcy utrzymuje matkę? Kiedy ją zwolnię, to także się skończy. Czy pragniesz wziąć na siebie taką odpowiedzialność?

Nie, tego Pam nie chciała, za żadne skarby świata. Wyraz przerażenia na jej twarzy musiał zadowolić Johna, bo następne słowa zabrzmiały jeszcze bardziej stanowczo i pogardliwie.

- Jeśli chodzi o dom w Timiny Cove, i tak nie jest nam potrzebny. Zazwyczaj wyjeżdżam tam tylko na jeden dzień w miesiącu.

- Ale ja go używam! - krzyknęła Pam. W środku trzęsła się cała i miała powody; fundamenty jej życia kruszyły się. - Kocham ten dom. Tata go kochał.

- Tata nie żyje - zimno przypomniał John.

- Ale to wszystko, co mam po nim!

- Dobrze. Popraw się w szkole, to go zatrzymam.

- John - odezwała się błagalnym głosem.

- Popraw się, Pam. Wszystko leży w twoich rękach. - Zanim zdołała wykrzyknąć coś w odpowiedzi, wyszedł z pokoju.

W pierwszym odruchu chciała biec za nim, by mu powiedzieć, co o nim myśli, ale zaraz przypomniała sobie Marcy i zrezygnowała. Potem zapragnęła chwycić płaszcz i kluczyki do samochodu i wybiec z domu, ale był czwartkowy wieczór, więc nie mogła. Pomyślała o telefonie do Hillary, jednak przyjaciółka przebywała w Nowym Jorku, a zresztą John i tak by jej nie posłuchał. Pam była załamana; tym razem przegrała, John znalazł wreszcie na nią sposób.

Bardzo chciała porozmawiać o tym z kimś bliskim. Przypomniała sobie Cuttera, tylko że on nie miał telefonu. Odczekała więc do sobotniego ranka i postanowiła pojechać do Maine. Dotarła tam w południe. Cutter zjawił się w domu dopiero o trzeciej i do tego czasu Pam krążyła po jego pokoju jak dzikie zwierzę. Przyjechał swoją małą ciężarówką, którą kupił przed rokiem.

- Musisz założyć sobie telefon, Cutter! - wrzasnęła na niego, gdy stanął w drzwiach. Była wściekła i musiała wyrzucić to z siebie. - Od czwartku potrzebuję z tobą porozmawiać i nie mogę! Dlaczego go nie założysz? Zrobiłeś tu tyle rzeczy, a przecież telefon wiele nie kosztuje. Jeśli chcesz, ja za niego zapłacę. Przecież czasami muszę z tobą porozmawiać!

Zaskoczony jej wybuchem, Cutter stał nieruchomo w drzwiach. W końcu zamknął je za sobą i podszedł do Pam, ale kiedy chciał jej dotknąć, odtrąciła z gniewem jego dłoń.

- Mówię poważnie, Cutter. Byłam przygwożdżona w domu i przez groźby Johna nie miałam szansy nigdzie wyjść. Jedyne, co mogło mi pomóc, to rozmowa z tobą, tylko że to było niemożliwe.

Ponownie wyciągnął dłoń w jej kierunku, ale Pam pomachała rękami i zrobiła krok do tyłu.

- Wymyśliłam sobie, że poproszę Simona, żeby cię zawiadomił, ale przecież on natychmiast poleciałby z tym do Johna. Tak samo Leroy i cała reszta. Wszyscy się go boją.

Cutter znów się zbliżył, ale się wywinęła i podeszła do okna. Było krystalicznie czyste. Pam patrzyła na zimowy krajobraz - przysypane śniegiem drzewa i sine, zachmurzone niebo. Nawet kolory były zimne i przygnębiające, tak samo jak jej nastrój.

- Telefon to nie taki wielki problem! - wykrzyknęła, obejmując się ramionami, bo poczuła ogarniający ją chłód. - Chodzi mi tylko o to, że nie mogłam do ciebie zadzwonić. Nie mogłam też zadzwonić do Hillary. Mam wielu przyjaciół, ale oni nie zrozumieliby, co przeżywam. Nie mieli nigdy do czynienia z takim potworem, nie musieli balansować na cienkiej linie. Może i kłócą się z rodzicami, ale przynajmniej ich mają! - Odwróciła się. - Ty bardziej niż inni możesz mnie zrozumieć, ale nie miałam jak się z tobą skontaktować!

Kiedy Cutter ruszył w jej kierunku, zaczęła wycofywać się do kuchni, ale on miał już dosyć jej uciezek. Długim ramieniem schwycił Pam mocno za rękę i mimo oporu nie puszczał, aż przyciągnął do siebie.

- Cutter!

- Spokojnie, maleńka.

- Puść mnie, chciałam z tobą porozmawiać! - wyrzucała mu, ale słowa ginęły w futrze jego kurtki. Wreszcie jej wola walki osłabła.

- Jestem z tobą, nie denerwuj się - powiedział cichym, uspokajającym głosem. - Cała jesteś spięta i roztrzęsiona. Rozluźnij się, Pam.

Poczuła na plecach jego delikatnie gładzące ręce i opartą na czubku głowy brodę. Wsuwając mu dłonie pod kurtkę, Pam ciężko westchnęła, po czym dała się zawładnąć sile i zapachowi tego mężczyzny.

- Och, Cutter - wymamrotała.

Ustami przesunął po jej czole.

- Już lepiej?

- Mmmm. - Wsłuchiwała się w równomierne bicie jego serca. - To głupie, że cię tak za-

atakowałam, prawda?

- Może mi powiesz, o co chodzi?

- Myślałam, że sobota nigdy nie nadejdzie. Nigdy w życiu nie zależało mi tak bardzo na przyjeździe tutaj.

- John się temu nie sprzeciwiał?

- O, nie. Teraz mam wolną rękę co do tych spraw.

Popatrzył na nią zdumiony.

- Pozwolił ci przyjeżdżać tu, kiedy tylko zechcesz?

- W weekendy. - Z niechęcią opuściła ręce. Usiadła ciężko w bujanym fotelu, stojącym naprzeciw łóżka. W tej pozycji, złożony ręce jak poważna młoda dama, zaczęła przedstawiać Cutterowi układ z Johnem. Krótkotrwały spokój, który ogarnął ją, gdy Cutter trzymał ją w ramionach, zaczął się ulatniać. Pod koniec opowiadania znów krzyczała, wymachując w powietrzu roztrzęsionymi dłońmi.

- Czy kiedykolwiek słyszałeś o czymś tak okrutnym? Praca Marcy uzależniona jest od moich stopni! To nie do pomyślenia! A dom? Naprawdę może go sprzedać!

Cutter zdjął kurtkę, po czym usiadł w nogach łóżka, opierając łokcie na kolanach.

- Wygląda na to, że gdyby nie ty, już wcześniej by go sprzedał.

- Nie, nieprawda. Gdyby chciał go sprzedać, zrobiłby to.

- Ale wtedy nie miałby karty przetargowej, Pam. Nie rozumiesz tego? To jego sposób. Najpierw bada, co dla ludzi jest najdroższe, a potem im to odbiera, jeśli nie spełniają jego poleceń.

- Ale co jest tak ważnego w tym, żebym dostawała dobre stopnie?

Cutter zwarł dłonie między kolanami.

- Jesteś bystra. Stać cię na więcej.

- No i co z tego? Przecież nie jestem taka zła. Dostanę się do jakiejś porządnej szkoły. Dlaczego mu tak zależy, żebym była najlepsza? - Oczy Pam nie odrywały się od twarzy Cuttera. Nie potrafiła odgadnąć, co oznacza jej wyraz. - Dlaczego, Cutter?

- Ponieważ cię na to stać.

- Ale ja tego nie chcę. Nie zależy mi na stopniach. Nie lubię szkoły i nie widzę powodu, żeby harować dla paru dobrych ocen.

- Nie musisz harować i wiesz o tym. Wszystko, czego ci brakuje, to uważne śledzenie lekcji i odrabianie prac domowych. Pam, jesteś szybka. Poza tym lubisz szkołę, przynajmniej

niektóre zajęcia. Przecież lubisz francuski, a jeszcze bardziej angielski. Nie chcesz się do tego przyznać, bo ci się wydaje, że tym samym poddajesz się Johnowi. Ale nie widzę powodu, żebyś robiła sobie krzywdę ze względu na niego. Gdybyś tylko chciała, mogłabyś być najlepsza w klasie.

Aż pochyliła się do przodu, a jej oczy wypełniało niedowierzanie.

- Co ty mówisz?

Odpowiedź brzmiała stanowczo.

- Wydaje mi się, że wyraziłem się zupełnie jasno.

- Nie mogę w to uwierzyć! Chcesz, żebym się uczyła, żeby dobrze mi szło w szkole? Chcesz, żebym się przyłączyła do tej... tej pogoni za stopniami? Cutter - jej głos płonął z emocji - co się z tobą dzieje? - Ponieważ nie odpowiadał, odezwała się pierwsza. - Sam nigdy nie przepadałeś za szkołą. Uciekałeś, kiedy tylko mogłeś, a porzuciłeś ją w dniu, gdy skończyłeś szesnaście lat. Nie przejmowałeś się stopniami, rywalizacją ani wyborem college'u - zadowalało cię to, co chciałeś robić. Dlaczego mnie potępiasz za to samo?

Cutter wyprostował się i wyglądał na poruszonego.

- Czy właśnie o to tu chodzi, że idziesz za moim przykładem?

- Niezupełnie, ale to, co było dobre dla ciebie, może być dobre także dla mnie.

- Ale tak nie jest! - zaprzeczył stanowczo. Podniósł się z łóżka i przeszedł przez pół pokoju, po czym odwrócił się do Pam. - Uciekałem ze szkoły, bo myślałem, że jestem głupi, a nie lubiłem się tak czuć. Zdecydowałem, że tego nie potrzebuję, tak jak wcześniej uznałem, że nie potrzebuję rodziców. Uważałem, że sam dam sobie radę. - Odetchnął ciężko. - Prawda była taka, że panicznie się bałem i wściekałem się o to na świat i ludzi. Czy wiesz, że w rzeczywistości się cieszyłem, kiedy Verne zamknął mnie na jedną noc w areszcie? Znalazłem się w ciepłym, bezpiecznym miejscu i byłem otoczony innymi ludźmi. Wcześniej czy później wylądowałbym w więzieniu, gdyby nie twój tata. Dał mi pracę i sprawił, że przestałem się bać i uwierzyłem we własne siły. Ale wtedy byłem już za stary na szkołę, pracowałem. Moje całe życie to kopalnia.

- Czy to takie okropne? - zapytała Pam.

Nie wydawało się jej, żeby Cutter był nieszczęśliwy.

- Wcale nie jest okropne i dlatego cały czas to robię. Ale niektórych rzeczy mi brakuje, Pam. Nie jestem taki głupi, jak myślałem. Lubię czytać. Czytam prawie nieustannie. - Jedyne miejsce w domu, w którym panował nieporządek, to półka z książkami, które piętrzyły się aż

po sufit. - Kilka lat temu wstydziłbym się to powiedzieć, ale teraz już nie. Często wiem więcej na temat firmy, ekonomii czy działalności rządu niż niejeden wykształcony facet. Gdybym w swoim czasie chodził do szkoły, uważał na lekcjach i starał się, zrobiłbym coś lepszego ze swoim życiem.

Pam gwałtownie wstała z krzesła.

- Zrobiłeś. Jesteś...

- Górnikiem - przerwał jej z grymasem niechęci na twarzy. - Przez ostatnie osiem lat pracowałem jako górnik i tak pozostanie przez następnych osiem i jeszcze dłużej. Nigdzie się nie wybieram, Pam. Gdybym kiedyś postępował rozsądniej, mógłbym skończyć college. Ale na to także jest już za późno. Utknąłem tu na dobre.

Pam próbowała wziąć go za rękę, ale się odwrócił. Sięgnął po pogrzebacz, żeby popchnąć drwa w głąb kominka.

- Ja już niczego nie zrobię, Pam, ale ty tak. Masz przed sobą przyszłość. Możesz dostawać dobre stopnie, zdać do college'u, rozpocząć pracę w firmie i wspiąć się na sam szczyt. Ja nigdy nie będę miał takiej okazji, rozumiesz to? Jestem tu, na samym dole. I zostanę tu na zawsze. Nie mam nic, co pomogłoby mi się wspiąć.

Pam ogarnęło współczucie. Kiedy tak klęczał przed kominkiem z pochyloną głową, wyglądał na przegranego.

- To wszystko nie jest prawdą. Masz za sobą osiem lat ciężkiej i dobrze wykonywanej pracy. Możesz zostać nadzorcą...

- Nie u Johna. Może gdyby żył Eugene, ale John nigdy nie zgodzi się na mój awans.

- Mogę go o to poprosić - zaproponowała, lecz umilkła po chwili, widząc pełne sprzeciwu spojrzenie Cuttera. Taka prośba przyniosłaby kłopoty im obojgu, poza tym duma Cuttera nigdy by mu na to nie pozwoliła. - Myślałam, że nie chcesz być nadzorcą. Tak mi kiedyś mówiłeś.

- To było dawno. Dużo się zmieniło.

- Co takiego? - zapytała spokojniejszym głosem. Nie usłyszała odpowiedzi. Złapała Cuttera z tyłu za włosy. Opadały mu na szyję i aż się prosiły o pociągnięcie. - Powiedz mi Cutter, co się zmieniło?

Okręcił się na pięcie i spojrzał na nią tak przenikliwie, że poczuła jakieś trzepotanie w sercu.

- Gdybym był kimś...

- Gdybyś był kimś... - powtórzyła.
- Gdybym był kimś... - Znowu urwał.
- Mów - ponagliła go.

Patrzył na nią przez następną pełną napięcia minutę, po czym gwałtownie potrząsnął głową. Oparł ręce na udach i podniósł się.

- To nic ważnego.
- Co chciałeś powiedzieć? Podeszedł do lodówki.

- Nawet nie chodzi mi o zostanie nadzorcą w kopalni. - Otworzył puszkę z piwem i upił łyk. Zanim drzwi lodówki zatrzęsnęły się, zdążył jeszcze sięgnąć i wyjąć puszkę coli. Rzucił ją Pam. - Mówię o pójściu w świat i zrobieniu kariery, a co za tym idzie, kupieniu ładnego mieszkania albo domu, noszeniu krawata i białej koszuli i jeżdżeniu sportowymi samochodami.

- To wszystko jest w zasięgu twojej ręki.

- W jaki sposób? Nie potrafię robić nic innego oprócz pracy w kopalni, zresztą nawet gdybym się na czymś znał, nie skończyłem żadnej szkoły. Poczytaj gazety, a zobaczysz, kim są ci wszyscy wielcy naszego świata. Pochodzą z bogatych rodzin i pokończyli najlepsze szkoły. Ja nie mam nawet ukończonej średniej.

- Więc wróć i ją skończ. Możesz to zrobić. Możesz dostać się na studia...
- Już nie.
- Dlaczego?
- Jestem za stary.

- Nie masz jeszcze dwudziestu czterech lat! Mnóstwo osób w tym wieku jeszcze się uczy.

- Ale nie w szkole średniej.

- Gdybyś naprawdę chciał, zrobiłbyś to. - Z puszką coli w dłoni podeszła do niego i pchnęła go lekko. - Nikt cię nie powstrzymuje.

- Ale ja mam tu pracę. Co robisz, Pam?

- Biorę sobie piwo.

- Masz colę.

- Więc pozostaw ją na inną okazję. Chcę się napić piwa. - W pełni świadoma, że Cutter ją obserwuje, otworzyła puszkę i napiła się.

Cutter oparł się o zlewozmywak.

- Dobrze ci to idzie. Musisz często chodzić na przyjęcia, gdzie się pije.

- Czasami.

- Podoba ci się to, prawda? Myślisz wtedy, że jesteś taka dorosła?

- Sam wiesz. Pijesz piwo od lat.

- I będę to robił nadal, podczas gdy ty przerzucisz się na wino. To właśnie staram się ci wytłumaczyć, Pam. To, co robię teraz, będę robić do końca życia, ale ty - ty masz cały świat, stojący przed tobą otworem. Dorastasz. Przyjdzie czas i to już niedługo, że wcale nie będziesz chciała tu przyjeżdżać. Wszystko, czego potrzebujesz, znajduje się w mieście...

- Nie do końca. Część mnie pozostanie na zawsze tutaj.

- Ale twoja przyszłość związana jest z miastem. Kiedyś zaczniesz pracować i nie będziesz miała czasu na spacer po lesie...

- Z tobą zawsze.

Potrząsnął głową.

- Dorastasz. Twoje życie dopiero się zaczyna. Wrócisz do Bostonu i postarasz się o te dobre stopnie - nie ze względu na groźby Johna, ale dlatego, że sama tego zechcesz. Pójdiesz do college'u, potem do jakiejś pracy i gdzieś po drodze spotkasz kogoś tak samo mądrego jak ty. Pobierzecie się i będziecie mieli dzieci, a ty co jakiś czas będziesz tu przyjeżdżać, żeby mi je pokazać. Wszystko potoczy się wspaniale, tylko ja pozostanę dokładnie tym, kim jestem teraz.

Wyobrażenia Pam wyglądały zupełnie inaczej.

- Mylisz się. Może i pójdę do college'u i z pewnością zacznę gdzieś pracować, ale nie zamierzam szybko wychodzić za mąż. - Podparła brodę dłonią. - Czekam na ciebie.

- Co takiego?

- Aż ty się ożenisz.

- To się nigdy nie stanie.

- W takim razie ja też zostanę starą panną.

- Nie słyszałem jeszcze czegoś równie głupiego!

- Nie bardziej niż twoje gadanie, że się nie ożenisz, albo że nie wrócisz do szkoły czy nie dostaniesz lepszej pracy. To wcale nie znaczy, że lepsza praca jest ci potrzebna. Ta, którą wykonujesz, jest tak samo uczciwa i ważna.

- Mówisz tak, ponieważ jesteś młoda i nie znasz życia.

- Na Boga, Cutter, jesteś tylko siedem lat starszy.

- Siedem lat i całe moje życie.

Przewróciła oczami.

- Przestań.

Przyglądał się jej przez dłuższą chwilę.

- Nic nie rozumiesz, prawda?

- Nie rozumiem czego?

- Co staram się ci powiedzieć.

- Mówisz, że ja dotrę do jakiegoś celu, a ty nie, ale jesteś w błędzie.

Oderwawszy się od zlewozmywaka, podszedł do niej i złapał ją za podbródek. Głos drżał mu pod wpływem wzruszenia.

- Chcę ci powiedzieć, że gdyby sprawy ułożyły się inaczej, gdybym nie odrzucił wszystkiego, bo byłem młody, głupi i przestraszony, miałbym teraz u ciebie jakieś szanse. Jesteś jedyną dziewczyną, którą chciałbym poślubić, ale tak się nie stanie.

Serce Pam zaczęło walić z całej siły.

- Nie...

- Jesteś wykształcona, masz klasę, pochodzisz z dobrej, bogatej rodziny. - Przesunął palcem po jej ustach. Poczula ten dotyk głęboko w sobie. - Ja nie posiadam nic, prócz tego domu, ciężarówki i swojej pracy. Mam, oczywiście, trochę pieniędzy w banku, ale to żadna suma. Znajdujemy się po przeciwnych stronach muru.

- Nie istnieje żaden mur. To właśnie udowodnił tata - sprzeciwiła się. Miała trudności z oddychaniem, głównie dlatego, że stał tak blisko niej. - Był bogaty, ale pozostał jednym z was; był górnikiem i to mu dawało prawdziwe szczęście. Ja jestem taka sama. Jestem najszczęśliwsza tutaj.

Cutter zdawał się nie słuchać jej uważnie, koncentrował się raczej na gładzeniu jej po ustach.

- Ale to się zmieni. - Westchnął. - Czasami chciałbym...

Pam niemal przestała w tej chwili oddychać.

- Czego byś chciał?

Na jej policzkach pojawił się rumieniec.

- Czego, Cutter?

- Czasami... - zawahał się, przesunął palcem dokoła jej podbródka - mam ochotę zabrać cię do takiego miejsca, gdzie nie jest istotne, kim jesteśmy... - Urwał, ale nie przestał wpatrywać się w jej usta.

Pam już poznała smak pocałunków. Nigdy jednak nie pragnęła tego tak gwałtownie jak

teraz.

Cutter odsunął się.

Pam szybko pochwyciła jego dłoń i zanim zdążył ją opuścić, położyła z powrotem na swoich ustach. Patrzyła na niego z błagalnym wyrazem w szeroko otwartych oczach.

Ale Cutter potrząsnął przecząco głową.

- Dlaczego nie? - zapytała szeptem.

- Nie chcę rozpoczynać czegoś, czego nie będę mógł skończyć.

- Ależ możesz.

Mocno zacisnął powieki.

- Nie.

- Możesz, Cutter. Ja tego pragnę.

- Sama nie wiesz, czego chcesz.

- Pragnę, żebyś mnie pocałował. Otworzył oczy; były ciemne i pełne ognia.

- Ja pragnę o wiele więcej.

- Możesz to mieć.

Nagłym ruchem porwał w ręce jej głowę. Pam znieruchomiała od bijącego od niego gorąca.

- Posłuchaj mnie, to nie jest gra. Miłość to poważna sprawa.

- Wiem. Wielu moich znajomych...

- Oddałaś się już komuś?

- Nie, nigdy!

- Więc jesteś dziewicą.

- Chciałabym to zrobić z tobą.

- To niemożliwe, Pam!

- Dlaczego nie, nic złego się przez to nie stanie, uwierz mi.

- Nie!!! - Nabrał powietrza. - I jeśli tego nie zaakceptujesz, nie będziemy się mogli widywać. Czy chcesz tego?

Pam poczuła łzy w oczach.

- Wiesz, że nie.

- W takim razie nie chcę już o tym słyszeć. Przedyskutowaliśmy to i podjęliśmy decyzję.

Koniec. - Patrzył na nią dłuższą chwilę, potem przeklął pod nosem i mocno ją przytulił. - Każdego mężczyznę doprowadziłabyś do szału, Pam.

Nie odpowiedziała. Zbyt zaprzętało ją chłonicie jego zapachu, dotyku, jego bliskości. Pragnęła dokładnie zapamiętać te chwile.

Nadchodzące tygodnie były długie i monotonne. Nie widząc innego wyjścia z sytuacji, Pam spędzała teraz masę czasu w domu. Jej pokój stał się dla niej wszystkim - schronieniem, miejscem zabaw i wypoczynku, ale poniekąd i więzieniem. Dużo się uczyła i, o dziwo, znalazła w tym wiele przyjemności. Często rozmawiała z koleżankami przez telefon, lecz nie były to już te same co kiedyś, bez troskie pogaduszki. John nałożył na jej barki ogromną odpowiedzialność i czuła to aż za bardzo.

Początkowo rzadko go widywała. Zgodnie z zapowiedzią przestał ją pilnować. Zajmował się swoimi sprawami, nie zwracając na nią uwagi, dopóki nie przekraczała wytyczonych granic. Jej strażnikiem stała się teraz szkoła.

Pam poprawiła stopnie. Ulżyło jej, kiedy się przekonała, że bez trudu jest w stanie tego dokonać, i jej napięcie prawie ustąpiło. Jednak nie do końca. John nie był zadowolony z jej osiągnięć, chciał, żeby stała się najlepsza. Wyraźnie zapowiedział, co się zdarzy, jeśli się o to nie postara.

Przyznał też, że cieszy go jej poprawa. Pam podejrzewała, że najbardziej cieszy go własna przebiegłość - spokojnie, bez podnoszenia głosu sprawił jej dotkliwy ból i skutecznie zmusił do posłuchu. Pewne pocieszenie stanowił fakt, że teraz zachowywał się w stosunku do niej mniej wrogo niż zazwyczaj. Kiedy przyszła z cenzurką, na której widniały lepsze stopnie, zabrał ją w nagrodę na obiad do Ritza. Przychodził do jej pokoju po powrocie z pracy oraz wieczorem, przed położeniem się spać. Choć Pam przekonywała samą siebie, że po prostu ją szpieguje, wyglądało to inaczej. Był uprzejmy.

- Jak ci idzie z panią Ditmar? - zapytał pewnego popołudnia. Pani Ditmar uczyła ją literatury amerykańskiej, a Pam miała z nią kłopoty od samego początku roku szkolnego.

W chwili, gdy John pojawił się w pokoju, siedziała na łóżku, oparta o wezglowie, z ołówkiem i książką w ręku. Jak zawsze poruszona wizytą brata, mocniej ścisnęła ołówek.

- Nieźle. Uspokoila się, albo ja przywykłam do jej stylu.

- Wypracowanie, które napisałaś dla niej w zeszłym tygodniu, było zupełnie dobre.

- Czytałaś je?

Kiwnął głową.

- Zostawiłaś w kuchni otwarty zeszyt. Lubię Steinbecka. *Grona gniewu* to gruba książka, moi koledzy uskarżali się, czytając ją, ale ja ją lubiłem najbardziej.

- Mnie się też podobała.

- To widać w twojej pracy. Umiesz pisać, Pam. Jasno i zwięźle. Potrafisz składnie przekazać myśli.

Kiwnęła głową w podziękowaniu, zastanawiając się, czy John nie stara się być protekcyjny.

- Dzwoniła do mnie matka Jennifer. - Kiedy Pam podniosła wzrok, ciągnął dalej: - Pytała, czy podjęliśmy już decyzję w sprawie przerwy wiosennej. Nie mówiłaś mi, że zaprosili cię do swojej willi w Nevis.

- Nie mówiłam, bo nie chcę tam jechać. Jennifer wymyśliła to już na jesieni i do tej pory nie daje mi spokoju. Wykręcałam się, jak mogłam.

- Tak też się domyśliłem. Jej matka oznajmiła, że nie muszę się martwić o twoją naukę, ponieważ codziennie postara się was w tym przypilnować. - Uniósł brew. - Chyba nieco przesadziłaś w argumentach, nie uważasz?

- Tak, ale nic lepszego nie przyszło mi do głowy.

- Dlaczego nie chcesz jechać?

Pam zaczęła skrobać coś po zeszytach.

- Ostatnio Jennifer trochę mnie irytuje. Czasami wydaje mi się taka głupia i nie jesteśmy już ze sobą tak blisko jak kiedyś. Postąpiłabym nieuczciwie, wykorzystując ją, żeby wyjechać na Karaiby, skoro nie chciałam nawet pojechać z nią na weekend do Nowego Jorku.

- A co powiesz o wyjeździe do Nowego Jorku ze mną? Mam zamiar odwiedzić Hillary. Poszlibyśmy na zakupy, może na jakieś przedstawienie. Co o tym sądzisz?

Pam nie wiedziała, co myśleć. Nigdy przedtem nie proponował jej wspólnych wyjazdów. Przyglądała się twarzy brata, szukając skrywanej kpiny czy sarkazmu, ale wydawał się mówić całkiem szczerze.

- A czy nie będę zawadzać? Chodzi mi o to, że pewnie chciałbyś spędzić jakiś czas z Hillary.

- Wynajmę sobie pokój w Pierre. Jeśli będziesz chciała, pojedziemy do Palm Beach. Ty się będziesz opalać, a ja w tym czasie zajmę się interesami.

Pam zastanawiała się. John był ostatnią osobą, którą widziałaby u swojego boku w czasie ferii. Ale uwielbiała Nowy Jork i kusila ją wizja słonecznych kąpielii w Palm Beach. Dotychczas zakładała, że pojedzie do Maine, lecz chciała spędzić tam jedynie część wiosennych wakacji. Przebywanie z Cutterem, choć bardzo tego potrzebowała, ostatnio stało się dla niej dziwnie

bolesne. Może pewna odmiana dobrze jej zrobi.

- Masz dwa tygodnie - przypomniał John.

- Naprawdę muszę się uczyć.

- Uczysz się wystarczająco dużo w domu.

- Ale jeśli nie będę najlepsza...

- Wyjazd na wakacje nie powinien w tym przeszkodzić. Przecież nie będziesz szalała każdej nocy, żeby się budzić z rana z wielkim kacem. - Wyglądało na to, że się zagalopował i jego twarz pociemniała. - Chyba że myślisz, że się będziesz nudziła.

- Oczywiście, że nie, John. Nie szukam okazji, by chodzić na przyjęcia, i nigdy jeszcze nie miałam kaca.

Oblicze mężczyzny rozpogodziło się. Pam nagle pomyślała, że być może poczuje się zraniony, jeśli nie zechce z nim pojechać. Jednak w świetle ich dotychczasowych stosunków ta myśl wydała się jej co najmniej śmieszna.

- Z chęcią pojechałabym do Nowego Jorku - oświadczyła, sama zaskoczona tą odpowiedzią. - I do Palm Beach. Nigdy tam nie byłam. Może być zabawnie.

Dużo przyjemności sprawiło Pam już samo oczekiwanie na wyjazd. W prywatnej, elitarniej szkole, do której chodziła, wszyscy uczniowie wyjeżdżali gdzieś na okres przerwy wiosennej. Większość towarzyszyła rodzicom i Pam zawsze im tego zazdrościła. Tym razem ją również czekała rodzinna wycieczka.

- Mój brat i ja jedziemy do Nowego Jorku, a potem do Palm Beach - opowiadała wszystkim naokoło. To, że brat był od wielu lat jej wrogiem, nie miało przy tym znaczenia. Było coś dobrego i ciepłego w rodzinnych, wspólnie planowanych feriach.

Wszystko wskazywało na to, że John ma podobne zdanie. W czasie poprzedzającym wyjazd wykazywał niespotykane u niego zainteresowanie jej sprawami. Pytał o szkołę, ale nie w zwykły dla niego, dokuczliwy sposób, którego nie znosiła, lecz tak, jakby rzeczywiście zależało mu na jej powodzeniu. Wciągał ją do rozmów o interesach firmy, chwalił jej wygląd, a nawet dał w prezencie dwie złote bransolety, wykonane dla niej specjalnie przez jego projektantów.

- To dziwne. - Pam zwierzyła się Marcy na dzień przed wyjazdem. - Cała ta przemiana tylko dlatego, że zaczęłam się uczyć?

Marcy starannie czyściła róg okna, które właśnie umyła. Po dłuższej chwili zastanowienia powiedziała:

- On jest z ciebie dumny.

- Nigdy nie był ze mnie dumny.

- Ale docenia twoje stopnie, przykłada do nich wielką wagę. Tak jak nie zwraca żadnej uwagi na twoje rysunki.

Pam zdawała sobie z tego sprawę i właśnie dlatego nie pokazywała swoich prac Johnowi, tylko Cutterowi.

- Tak czy inaczej stał się nadzwyczaj uprzejmy. Przytrzymał mi nawet płaszcz, kiedy wychodziliśmy z domu w zeszłym tygodniu. Musi istnieć jakieś wytłumaczenie takiego zachowania.

Marcy zastanawiała się nad tym, zabierając się przy okazji do mycia następnego okna.

- Starzeje się. Może znużyła go ciągła walka.

- Może.

- Ty także doroślejesz. Może John to zauważył i dlatego traktuje cię inaczej.

Nie ulegało wątpliwości, że zwracał uwagę na jej fizyczną dojrzałość. Mimo to nie ustąpił w sprawie ograniczeń, które na nią wcześniej nałożył. Oczywiście Marcy nie miała pojęcia o jego warunkach, a Pam nie zamierzała jej o tym mówić.

- Być może. - Nabrała głęboko powietrza. - Prawdopodobnie uświadomił sobie, że kiedy skończę osiemnaście lat, będę mogła kontrolować swoje udziały w firmie i uczestniczyć w zebraniach udziałowców. Mogłabym mu zaszkodzić, może obawia się tego. - Bardzo podobała jej się myśl, że w przyszłości zdobędzie choć minimalną przewagę nad bratem.

Marcy przeniosła się do następnego okna, przecierając je gąbką.

- Nie popsuj tego, Pammy. Spokój to dobra rzecz.

Pam zgadzała się z tym całkowicie, toteż nie zadawała więcej pytań i następnego ranka wyjechała z Johnem do Nowego Jorku. Nieustannie ją zaskakiwał. Apartament, który wynajęli w Pierre, był duży i elegancki, podobnie jak restauracje, w których jadali. Wykupywał pierwsze miejsca w teatrze i był uprzedzająco miły, zaradny i opiekuńczy. Choć Hillary spędziła z nimi cały weekend, John nie odstępował Pam nawet na chwilę. Dziewczyna czuła z tego powodu wyrzuty sumienia, lecz z drugiej strony cieszyło ją braterskie zainteresowanie.

W poniedziałek rano udali się na południe i zatrzymali w okazałym, pełnym wygód hotelu. John musiał się zająć interesami, a uszczęśliwiona Pam korzystała ze słońca i wody. Nie zawiodła się, ferie zapowiadały się wspaniale - było ciepło i słonecznie, ratownicy niezwykle mili, a ona sama czuła się dorosła i atrakcyjna. To wrażenie nie opuszczało jej wieczorem, kiedy John zabrał ją na kolację i po wielokroć napełniał jej kieliszek winem. Uśmiechał się do niej

z prawdziwym zadowoleniem, strzepnął z nagich pleców niesforny kosmyk włosów, a nawet otoczył ramieniem, kiedy wychodzili z restauracji. Pam czuła, że ktoś wreszcie się nią opiekuje, że znowu jest bezpieczna. Po powrocie zasnęła, rozgrzana winem, na narzucie łóżka.

Nie wiedziała, która jest godzina, gdy otworzyła oczy.

W pokoju panował mrok, leżała na brzuchu. W tej samej chwili usłyszała głos Johna. Był cichy i przepełniony delikatnością.

- Zasnąłaś w ubraniu, kochanie. Tak nie wolno. - Poczowała, że rozpina jej suwak, plecy owiał jego oddech.

- Sama to zrobię - wymamrotała, ale była zbyt słaba, żeby się poruszyć.

- Już sobie poradziłem.

Odwróciwszy Pam, ściągnął z niej sukienkę. Kiedy zabrał się do rajstop, Pam zaczęła protestować.

- Naprawdę, John...

- Pozwól, że to zrobię. To moja wina. Powinienem był wiedzieć, że nie jesteś przyzwyczajona do alkoholu.

Wyczerpana, leżała nieruchomo, pozwalając, by się nią zajął. Już dawno nikt nie opiekował się nią w ten sposób. Zadowolona, zapadła w płytką drzemkę. Wyobrażała sobie, że jest z nią Cutter, że to on ściąga jej rajstopy, rozpina haftki biustonosza, zdejmuje majtki. Śniła, że to jego ręce dotykają jej tak miękko i słodko, doprowadzając do jęku rozkoszy.

Kiedy jednak otworzyła oczy, to nie Cutter się w nią wpatrywał.

- John? - Starła się zrozumieć, co się dzieje. W pomieszczeniu było ciemno, nic nie widziała. - John? Och, mój Boże! - Próbowała się wyrwać, ale mężczyzna tulił ją do siebie.

- Nie, nie - wyszeptał. - Nie bój się. Podobało ci się to, co robiłem.

Wywinęła mu się.

- Nie powinieneś, my... nie powinniśmy... - John wyciągnął dłoń i położył na jej piersi.

Krzyknęła słabo: - Nie rób tego, przestań!

- To ci się spodoba. - Opuścił usta do jej szyi. - Postaram się o to.

- Nie! - Bezskutecznie próbowała uwolnić się od ręki, która ją przytrzymała, odpychała drugą, przeslizgującą się po jej ciele. - Wielki Boże, John, nie rób tego!

- Jeśli będziesz się opierała, zrobię ci krzywdę.

Całkowicie już przytomna i świadoma, że nie jest żadnym przeciwnikiem dla napastującego ją mężczyzny, z całych sił zaciskała dłoń na ręce, która wsuwała się pomiędzy jej uda.

- Boże, nie, Boże, nie, Boże, nie - szeptała. Okręcała się i wrywała, próbowała kolanami odepchnąć od siebie Johna, ale ten silnie przyciskał ją do łóżka. - Jesteś moim bratem. Nie wolno ci tego robić, John! Nie, och błagam, nie!

- Zamknij się wreszcie i leż spokojnie, Pam - ostrzegł.

Ale ona nie słuchała. Żadna groźba nie była gorsza od gwałtu. Uświadomiwszy to sobie, poczuła przyływ sił.

- Zabierz łapska! - krzyknęła. Kiedy zakrył jej usta dłonią, ugryzła go i korzystając z chwili zaskoczenia, zaatakowała kolanem. Nie trafiła, zresztą nie miała wystarczająco dużo miejsca, jednak ponownie zaskoczyła napastnika. To jej wystarczyło. Wyrwała się spod ciężkiego ciała, zsunęła na brzeg łóżka i opadła kolanami na podłogę. Potem bez tchu skoczyła na równe nogi, w ułamku sekundy znalazła się w łazience i zamknęła drzwi na klucz.

Wydawało jej się, że minęła cała wieczność, nim zdołała odzyskać oddech. Zasłaniając rękami głowę, osunęła się wzdłuż drzwi na podłogę i, zwinięta w kłębek, zaczęła płakać. Było jej niedobrze, łkała, a całym ciałem wstrząsały dreszcze. Po jakimś czasie zaczęła marznąć, więc owinęła się w ręcznik, lecz nie na wiele się to zdało. Nie miała pojęcia, co ma robić.

- Pam? - Głos Johna dotarł do niej dopiero po chwili.

Nie odpowiedziała.

- Nie możesz siedzieć tam całą noc.

Nie widząc innego wyjścia, to właśnie planowała.

- Kiedyś będziesz musiała stamtąd wyjść.

Na myśl, że miałyby mu spojrzeć w oczy po tym wszystkim, ponownie ogarnęły ją mdłości.

- Zawołam właściciela hotelu, jeśli będzie trzeba. - Mocno kopnął w drzwi. - Dobrze się czujesz?

- Niedobrze mi.

- To od wina. Otwórz drzwi, dam ci do possania lodu.

- To nie od wina - mruknęła, ale sama już nie była pewna. To, co się stało, było jak senny koszmar. Oddałaby wszystko, żeby okazało się nieprawdą.

Jednak fałszem było wszystko to, co się działo wcześniej - zainteresowanie, komplementy, opiekuńczość. Obłuda i okrucieństwo Johna pozwoliły jej żywić nadzieję, że mają szansę być prawdziwą rodziną. Aon przez cały czas roił w ukryciu swoje chore plany.

Był obłąkany. Musi się od niego uwolnić, ale nie da się tego zrobić, siedząc w łazience.

Pam oparła się ciężko o umywalkę, po czym przemyła twarz zimną wodą. Potem szczerzej owinęła się hotelowym ręcznikiem i otworzyła drzwi łazienki.

John, wciśnięty w fotel, miał ponury i smutny wyraz twarzy. Obrzucił Pam spojrzeniem spode łba. Dzierżąc w ręku jakiś ciężki przedmiot, Pam przemknęła przy ścianie do najbliższego kontaktu i włączyła światło.

- Chcę wracać do domu.

- Mamy rezerwację jeszcze na parę dni.

Stanowczo potrząsnęła głową.

- Jutro. Chcę wylecieć pierwszym samolotem.

- To nie jest konieczne.

- Jestem innego zdania.

- Nie dotknę cię więcej.

- Nie wierzę. Przeszył ją wzrokiem.

- To z powodu wina, Pam. Obydwoje za dużo wypiliśmy.

- Nie, to ja wypiałam za dużo, zaplanowałeś to starannie.

- Nieprawda. Dobrze się bawiłem. Nawet nie zauważyłem, kiedy alkohol zaszumił mi w głowie, a gdy zobaczyłem cię leżącą na tym łóżku...

- Przestań! - krzyknęła, wykrzywiając twarz. - Nic mi nie opowiadaj. Jesteś chory.

John mocno zacisnął szczęki i wycedził:

- To ty, od kiedy wspomniałem o wycieczce, zalecałaś się do mnie...

- To kompletna bzdura!

- ...i starałaś się wyglądać kusząco i seksownie. Masz siedemnaście lat, ale dzisiaj zachowywałaś się, jakbyś miała co najmniej dwadzieścia pięć. Jak się wierciłaś i jęczałaś, kiedy cię rozbierałem. Masz jakiś problem, o którym nie wiem, Pam?

Dziewczyna stała jak ogłuszona, nie wierząc własnym uszom.

- Nie mam żadnych problemów. To ty...

- Twoja matka też się tak zachowywała. Sama do mnie przysła.

- Kłamiesz! - zawołała Pam.

- Nie. To była wygłodniała dziwka.

- Jak możesz ją tak nazywać?!

- Sama ją o to zapytaj, jeśli mi nie wierzysz.

Pam czuła ostre klucie w żołądku, wściekłość podeszła jej do gardła.

- Nie mogę jej o to zapytać, dobrze wiesz, jaka jest słaba. Zresztą to nieprawda, nie wierzę ci. To następny wymysł twojego chorego umysłu. - Głos jej drżał. - To ty, John, masz poważny problem. Zawsze tak było, ale tym razem posunąłeś się za daleko. Nie zapomnę, co tu się dzisiaj wydarzyło. To było obrzydliwe, brudne, a poza tym zabronione przez prawo. To przestępstwo, John. Kiedy tylko wrócę do Bostonu, złożę na ciebie skargę...

- Do kogo? - zapytał, lecz nie wyglądał na przestraszonego, co wzbudziło jeszcze większą złość w Pam.

- Zgłoszę się na policję i do Boba Grossmana, mojego opiekuna prawnego.

- Nie wydaje mi się.

- Dlaczego nie? - zapytała wściekłym głosem.

- Ponieważ, biorąc pod uwagę twój wiek, a także umysłowe załamanie twojej matki, nigdy ci nie uwierzą. Pomyślą, że mają do czynienia z młodą, rozhisteryzowaną panną, mszczącą się na bracie, który próbuje ją wychowywać. Dojdą do wniosku, że ty także potrzebujesz pomocy psychiatrycznej. Wezmą cię za wariatkę.

Pam ciężko przełknęła ślinę i potrząsnęła głową.

- Wysłuchają mnie.

- Ale nie masz żadnego dowodu, Pam, żadnych ran na ciele. I nadal jesteś dziewicą.

- Skąd możesz to wiedzieć?

- No właśnie. - Posłał jej jedwabisty uśmiech. - Nie wiem na pewno, ale lekarz jest w stanie to sprawdzić. Jeśli straciłaś już cnotę, będziemy wiedzieli, że nie ze mną. Ale wtedy nie spocznię, aż dowiem się, z kim. Pójdę do waszej szkoły i przepytam wszystkich twoich przyjaciół i ich rodziców. Narobię mnóstwo hałasu wokół mojej biednej, wykorzystanej siostry. Taak, z prawdziwą przyjemnością odegram rolę zranionego brata. A jak poprawię swój wizerunek!

- Jesteś nienormalny - wyszeptała Pam i w głębi duszy poczuła, że przegrała. Owszem, była dziewicą, więc groźby Johna się nie liczyły. Ale jednocześnie wiedziała też co innego - nikt nie uwierzy, że John próbował ją zgwałcić. Tak jak powiedział, nie miała na to żadnego dowodu. Poza tym on był bardziej wiarygodny, to jemu uwierzą, nie jej.

Znalazła się w sytuacji bez wyjścia. Nagle chwyciły ją torsje. Pobieгла do łazienki i pozostała tam do chwili, kiedy w drzwiach stanął John.

- Połóż się do łóżka, Pam - poradził znajomym, chłodnym głosem. - I nie martw się, już cię nie dotknę. W tej chwili jesteś mało atrakcyjna.

Zanim zdołała odwrócić głowę, zniknął w swoim pokoju i zatrzasnął za sobą drzwi.

Rozdział czternasty

Tej nocy Pam prawie nie zmrużyła oka. Zabarykadowała drzwi, ale i tak bała się, że John w jakiś sposób dostanie się do środka. Dręczyły ją wspomnienia. Kiedy tylko zapadała w płytki, niespokojny sen, powracał obraz pochylonej nad nią, nabrzmiałej twarzy Johna i rąk błędzących po jej ciele. Budziła się z krzykiem, zrana zimnym potem. Znowu czuła mdłości i chciało jej się płakać. Kiedy wspinała się na schodki samolotu odlatującego do Bostonu, wyglądała jak przeciągnięta przez wyżymaczkę. Po powrocie do domu nic nie mówiła, była blada i osowiała.

Marcy przyglądała się, jak się męczy z obiadem. Na koniec zapytała:

- Co się tam wydarzyło?

Pam spojrzała na nią niespokojnie.

- Gdzie tam?

- W Palm Beach.

Dziewczyna wzruszyła ramionami i odwróciła wzrok.

- Nic, po prostu nudziłam się, to wszystko.

- Coś jednak się wydarzyło - stwierdziła Marcy z przekonaniem. Po chwili ciszy zapytała: - Dotykał cię?

Pam nie zastanawiała się, skąd Marcy mogła to wiedzieć. Szybko uniosła głowę i energicznie nią potrząsnęła.

- Nic mi nie zrobił.

- Ale próbował. - Marcy, nie poruszając się, czekała na odpowiedź, po czym zboląłym głosem dodała: - Powinnaś była wiedzieć, powinnaś cię ostrzec.

- Naprawdę nic mi nie zrobił.

- Bo mu nie pozwoliłaś.

Pam skuliła ramiona.

Jak na kogoś, kto rzadko kiedy się spieszy, Marcy zaskakująco szybko znalazła się obok krzesła Pam.

- Mów, Pammy. Nie możesz tego trzymać w sobie.

- To obrzydliwe.

- Tylko Pan Bóg wie, ile obrzydliwych rzeczy widziałam już w życiu. Jervis dał mi dobrą szkołę.

Pam szeroko otworzyła oczy.

- Bił cię, ale przecież nie...

- Próbował. Wiele razy. To był następny powód, dla którego twój tata przywiózł mnie tutaj.

- Och, Marcy - wyszeptała Pam czując, że zbiera się jej na wymioty. - Nic nie wiedziałam.

- Nie było po co ci tego mówić. Ale teraz wiesz, że rozumiem, jak się czujesz. - Wzięła dziewczynę za rękę.

- Mów.

Pam potrzebowała się komuś zwierzyć i wyrzucić z siebie dławiące wspomnienia. Na koniec zapytała udręczonym głosem:

- Czy ja się o to prosiłam? Staralam się być miła, bo tak bardzo pragnęłam, żebyśmy się stali rodziną. Wydawało mi się to możliwe. John się cieszył, więc ja też. Czy posunęłam się za daleko? Myślisz, że go zachęcałam?

- Nie.

- Nie miałam takiego zamiaru.

- Przestań, dziewczyno, do niczego go nie zachęcałaś!

- Jest moim bratem. Nigdy nie zrobiłabym tego z własnym bratem, zresztą w ogóle jeszcze tego nie robiłam. - Chciała, żeby to się zdarzyło z Cutterem. Za każdym razem, gdy go widziała, pragnęła tego bardziej. Teraz nie mogła mu nawet powiedzieć o Johnie, wpadłby w szal.

- Co mam zrobić, Marcy? Nie mogę spać ani jeść, jest mi niedobrze.

Marcy pogłaskała ją po rękę.

- Kiedy on wraca?

- Nie wiem, nie rozmawialiśmy ze sobą przed wyjazdem. Wręczył mi tylko bilet, patrząc na mnie, jakbym była śmieciem.

- Próbuje zrzucić na ciebie winę za to, co się zdarzyło. Ale ty nie jesteś niczemu winna, Pam, to jego trzeba oskarżać. Z tym człowiekiem jest coś nie w porządku.

Pam rozpamiętywała słowa Johna.

- Powiedział, że jestem jak matka. Powiedział, że ona sama do niego przyszła. Czy to prawda?

- Ja nic nie widziałam - padła natychmiastowa odpowiedź.

- Kiedy zagroziłam, że po powrocie opowiem, co uczynił, stwierdził, że nikt mi nie uwierzy. Obawiam się, że miał rację: nie mam żadnego dowodu. Ale nie mogę tu zostać, Marcy. Nie mogę z nim mieszkać pod jednym dachem. - Rozmyślała nad tym już wiele godzin. - Przeprowadziłabym się do Timiny Cove, ale on nigdy się na to nie zgodzi.

- Powinnaś zostać tutaj, masz tu znajomych i szkołę.

Pam chciała tego. Pozostały tylko dwa miesiące do wakacji, a potem czekał ją ostatni rok w szkole. Nie był to najlepszy okres do przenosin.

- Zamieszkać w akademiku, jeśli będą wolne miejsca. - Widząc przerażenie w oczach Marcy, szybko wyjaśniła: - Wiesz, że nie chcę tego, będzie mi cię brakowało. Gdyby istniało jakieś inne wyjście, skorzystałabym z niego, ale nie mam wyboru. John nigdy nie zgodzi się, żebyśmy wynajęła własne mieszkanie, nie mogę też zamieszkać u żadnej z przyjaciółek. Musiałabym się tłumaczyć, a tego nie chcę.

- W szkole też będą ci zadawać pytania.

- Powiem, że przed pójściem do college'u chcę wypróbować, jak się mieszka w akademiku.

- Czy John nie będzie się sprzeciwiał?

Pam zadawała sobie to pytanie więcej niż tysiąc razy i nie znalazła odpowiedzi.

- Nie mogę mu nic udowodnić, w końcu do niczego nie doszło...

- Dzięki Bogu.

- ...i zdarzyło się jeden jedyny raz. Jeśli zacznę robić szum wokół tego, John będzie mówił, że jestem niezrównoważona psychicznie. - Uniosła dumnie podbródek. - Mimo to, jeśli stanie mi na drodze, uczynię to. Musi sobie zdawać sprawę, że niektórzy ludzie zaczną się zastanawiać. To będzie krępujące dla nas wszystkich, ale najbardziej uderzy w Johna. Wiesz, jak mu zależy na własnym wspaniałym wizerunku. Chcąc go ochronić, pozwoli mi przenieść się do akademika.

John wrócił do domu dwa dni później. Do tego czasu Pam odbyła już rozmowę w szkole, znalazła miejsce w akademiku i uzgodniła, że się tam przeniesie pod koniec przerwy wiosennej. Założyła, iż John wyrazi na to zgodę, co nastąpiło, acz nie bez zastrzeżeń.

- Obowiązują cię te same zasady - sarknęła. - Masz zdać z wyróżnieniem.

Przez chwilę Pam zastanawiała się, czy nie zrewanżować mu się groźbą ujawnienia prawdy. Nie mogła jednak tego zrobić. W grę wchodziła praca Marcy i dom w Timiny Cove.

Nie warto było ryzykować, nawet za cenę zszargania bratu opinii.

Następne dni przebiegały w napięciu. John zdawał się czerpać przyjemność z dręczenia jej swoją ciągłą obecnością. Patrzył przy tym pogardliwie, wiedząc, że się go boi. Pam musiała zostać w domu aż do niedzieli.

Większość czasu spędziła przekonując Marcy, by znalazła sobie nową pracę.

- Przecież tata zatrudnił cię ze względu na mnie. Ja się wyprowadzam, więc jaki jest sens, żebyś tu zostawała. Mogłabyś robić to samo u jakichś przyzwoitych ludzi. Po co masz pracować dla tego łajdaka?

- On mi dobrze płaci, Pam. Nie dostanę tyle u kogoś innego.

- Nie utrzymasz się z niższej pensji?

- Potrzebuję pieniędzy.

- Dla matki?

Marcy kiwnęła twierdząco głową.

- Bardzo źle układa jej się z Jervisem. Posyłam jej tyle, ile tylko mogę.

Sądząc po jej skromnym życiu, mówiła prawdę. Rzadko kupowała sobie nowe ubrania, sama obcinała włosy, a wolne dni i wieczory spędzała jako opiekunka do dzieci u sąsiadów.

- Mogę ci pomóc. Marcy potrząsnęła głową.

- Tobie samej nie wystarcza pieniędzy.

- Nieprawda, mogłabym coś odłożyć.

- Nie wezmę od ciebie ani centa!

- W takim razie zgódź się, żebym wykonała kilka telefonów. Być może rodzice moich znajomych potrzebują akurat pomocy domowej. Możliwe, że zechcą zapłacić ci tyle samo co John.

- Ale nigdzie nie będę miała tak dużo czasu dla siebie. Tutaj, oprócz wolnego w weekendy, mogę dwa razy w miesiącu wyjeżdżać do Timiny Cove, żeby pomóc w domu. Poza tym John pożycza mi samochód. Czasami płaci też za recepty mamy. Nie mogę pozwolić sobie na zmianę pracy, Pammy.

A więc John mówił prawdę. Pam była wściekła. Cutter miał rację mówiąc, że jej brat kupował ludzi. Dawał im wszystko, czego potrzebowali, i w razie nieposłuszeństwa groził, że to odbierze. Pam chciała dla Marcy jak najlepiej, ale dni, kiedy miała na to jakiś wpływ, dawno minęły.

Całe życie jawiło się jej w czarnych barwach. Pam zastanawiała się nad tym nocami, gdy

nie mogąc zasnąć wpatrywała się ponuro w drzwi sypialni. Męczyło ją poczucie, że jest we wszystkim uzależniona od Johna i zupełnie bezbronna. Gdyby była starsza, sprawy wyglądałyby inaczej. Miałaby pieniądze i sama by o sobie decydowała. Uwolniłaby się od Johna.

Gdyby była starsza, miałaby Cuttera. Mogłaby zaoferować mu stanowisko w firmie, a on doskonale by sobie radził. Był za mądry, żeby było inaczej. W naturalny sposób przeistoczyłby się w biznesmena. Nosiłby klasyczne garnitury i drogie krawaty, tak jak inni mężczyźni z jej otoczenia.

Dużo rozmyślała na ten temat. Wyobrażała sobie Cuttera w eleganckim ubraniu, siedzącego w sportowym samochodzie, lub w luksusowym apartamencie nalewającego whisky do kryształowej szklanki. Wszystko to mógłby mieć, gdyby pracował w Bostonie. Marzyła, że mieszka teraz w mieście i przychodzi do niej, przystojny i seksowny. Ale natychmiast przypominała sobie Cuttera w dżinsach, z potarganymi włosami i cieniem zarostu na policzkach. Zawsze wyglądał seksownie. Tęskniła za nim aż do bólu.

Mimo to nie chciała jechać do Maine. Przebywanie z Cutterem zbyt dużo ją kosztowało; wzbudzał w niej pożądanie, lecz nie pozwalał na jakiegokolwiek zbliżenie, nawet na pocałunki. Tak więc pierwszy tydzień po powrocie z Palm Beach przesiedziała w domu, przygotowując się do przeprowadzki. Już wkrótce była spakowana i z braku innych zajęć nie potrafiła znaleźć sobie miejsca. Stawała się kłębkim nerwów, szczególnie kiedy John przebywał w domu. Nie przespala też spokojnie ani jednej nocy.

W sobotę wczesnym rankiem wyruszyła do Timiny Cove, jednak nie zastała Cuttera w domu. Pomyślała, że pewnie wybrał się do miasteczka na zakupy, do biblioteki lub do fryzjera, żeby podciąć włosy. W pewnym sensie ucieszyło ją, że jest sama. Była straszliwie zmęczona.

Położyła się do łóżka, naciągnęła koc po szyję i wdychając zapach Cuttera, natychmiast zasnęła.

Zapadła w głęboki, pozbawiony marzeń sen, ale nie było jej dane odpocząć. Tak jak każdej nocy po powrocie z Palm Beach, zaczął ją męczyć ten sam senny koszmar. Obudziła się z krzykiem. Dopiero po dłuższej chwili zdała sobie sprawę, że nie jest w Bostonie, a ramiona, które obejmowały jej roztrzęsione ciało, nie należą do Johna.

- Cutter - wyszeptała z ulgą. Usiadła, zarzuciła mu ręce na szyję i mocno się przytuliła. - Boże, miałam straszny sen.

Cutter długo trzymał ją w ramionach i gładził dłonią rozedrgane plecy. Pam powoli uspokajała się, ale nie odsuwała od niego. Po raz pierwszy od wielu dni czuła się bezpieczna.

- Tak dawno cię nie widziałem - niskim, zdławionym głosem powiedział Cutter, powtarzając jej własne myśli. Przytulił ją jeszcze mocniej.

- Trzy tygodnie.

- Tęskniłem za tobą.

- Ja też.

Musnął ustami jej czoło.

- Spałaś tak mocno. Wyglądasz na zmęczoną.

Kiwnęła głową, zamknęła oczy i oparła czoło na jego policzku. Gdyby mogła, weszłaby do środka Cuttera i zwinięta w kłębek, została tam na zawsze.

- Pam? Czy coś się stało?

- Po prostu mnie przytul, Cutter. Tak mi dobrze, kiedy to robisz.

Nie była pewna, czy usłyszał w jej głosie przerażenie. Po wspomnieniu lepkich objęć Johna, serdeczny uścisk Cuttera był dla niej zbawieniem. Bardzo tego potrzebowała.

Przez długi czas siedzieli w bezruchu, przytuleni. Pam tylko tego pragnęła. Z wolna zaczęły do niej docierać inne wrażenia: ciepło jego ciała, dotyk szerokiej i mocnej klatki piersiowej i nagle poczuła, że pragnie czegoś więcej. Kiedy ponownie musnął ją ustami po czole, podniosła twarz.

Całował delikatnie jej oczy, policzki, włosy. Pam chciała, żeby dotknął ust. Popatrzyła mu w oczy, przepelnione ciepłem, ale i zakłopotaniem.

- Nie powinienem tego robić - stwierdził.

- Kocham cię.

- Jesteś za młoda.

- Zawsze cię kochałam.

- Nie... nie w ten sposób. - Opuścił głowę i pocałował ją.

Pam miała wrażenie, że się rozplywa. Zamknęła oczy, a jej usta stały się miękkie niczym wosk. Mógł z nimi robić, co chciał. W końcu dotknął ich palcem i powiedział:

- No to narobiłem sobie kłopotów.

- Nie przestawaj - wyszeptała, targając jego włosy.

- Pam...

- Proszę. - Przyciągnęła jego głowę. Całe jej ciało płonęło z pożądania. Wiedziała, że on też jej pragnie.

Pocałunki stały się bardziej namiętne. Podobało jej się to. Cutter delikatnie skłonił ją, by

szerzej otworzyła usta i pozwoliła mu dotknąć swojego języka. Kiedy w końcu uniósł głowę, cała drżała.

- Nigdy wcześniej tego nie robiłam - szepnęła zmienionym głosem.

- Nigdy?

- Tak, nikt mnie jeszcze nie całował w ten sposób. Czy robiłam to dobrze?

Cutter przewrócił oczami i roześmiał się.

- Czy dobrze? - Śmiech urwał się krótkim jęknięciem i usta Cuttera znowu przywarły do jej warg.

W następnej chwili leżeli na łóżku, a ręce mężczyzny, błędząc we włosach, przytrzymywały jej głowę.

Pam nigdy nie zaznała czegoś podobnego. Przerażała ją trochę gwałtowność pocałunków, ale strach przyćmiewało wszechogarniające uczucie podniecenia. Wypełniało ją aż do bólu. Nieświadomie wygięła ciało i przylgnęła do Cuttera.

W tej samej chwili chłopak przeklął cicho i pospiesznie ześliznął się na bok.

- Co się stało, Cutter? Co złego zrobiłam?

- Nic. Och, kochanie... - Twarz wcisnął w poduszkę, plecy miał sztywne, a ramiona uniesione. Poruszył biodrami i westchnął. - Jesteś tak wspaniała, że jeśli za chwilę nie znajdę się w tobie, mogę zawstydzić nas oboje.

Pam poczuła, że serce jej bije jak szalone. Wielkimi oczami patrzyła na niego, kiedy uniósł głowę.

- Czy zdajesz sobie sprawę, jak bardzo cię pragnę? - zapytał szeptem, przepelnionym udręką. Twarz mu płonęła tak samo jak oczy.

Pam nie wierzyła własnym uszom. Czowała, że w tej chwili jest najszczęśliwszą kobietą na świecie. Dotknęła policzka Cuttera, przesunęła palcem po nasadzie nosa, po linii brwi. Złapał ją za rękę i przywarł ustami do palców. Potem położył sobie jej dłoń na piersi - po chwili zsunęła się na brzuch i dalej, w głąb dzinsów.

Pam pamiętała, co czuła, kiedy John się na niej położył. Był w tamtym miejscu twardy, ale ta twardość zwiastowała coś obrzydliwego. Z Cutterem było inaczej, nie bała się go i nie brzydziła. Pragnęła go dotykać.

Pozwolił jej na to, ale tylko na krótką chwilę. Kiedy zaprotestowała, uciszył ją pocałunkiem, obejmując przez bluzkę jej pełne piersi. Nagle stały się gorące i nabrzmiałe z pożądania. Pam cicho jęknęła, pragnąc, by pieścił ją dalej, lecz wstydziła się o to poprosić.

Musiał to wyczuć, bo po chwili zaczął rozpinąć guziki bluzki. Poczula na piersi powiew powietrza, potem jego mocną rękę. Przez moment znów pomyślała o Johnie.

Kiedy zacisnęła dłoń na nadgarstku Cuttera, zapytał:

- Za dużo na raz, maleńka?

Pam pomyślała, że utopi się w tym spojrzeniu. To nie John, to Cutter, ten, którego kocha.

- Nie - szepnęła.

Cutter usiadł i zdjął z niej najpierw bluzkę, potem biustonosz. Pam ogarnęły wątpliwości.

- Nigdy tego nie robiłam.

Cutter nie odrywał od niej zachwyconego wzroku, jakby jej piersi były najpiękniejszym widokiem na świecie.

To spojrzenie zmyło w jednej chwili wszystkie złe wspomnienia. Kiedy jej dotknął, głęboko westchnęła, uśmiechając się nieświadomie i zagryzając usta, by nie krzyknąć.

- Powiedz, co czujesz - poprosił Cutter, muskając ją ustami.

- Płonę.

- Tutaj? - Czubkami palców potarł jej brodawki.

Nie potrafiła dłużej powstrzymać krzyku. Ale Cutter czekał na odpowiedź, więc kiedy wreszcie odzyskała oddech, rozedrganym głosem odrzekła:

- W środku. - Nie zastanawiała się nad tym, że jej głos drży. Nie umiała zapanować nad emocjami, które nią rządziły. - Płonę od środka, Cutter. Pragnę cię.

Kiedy jego ręka ześliznęła się pomiędzy uda, zacisnęła je i jęknęła. To, co czuła, wprawiało ją w takie uniesienie, że miała ochotę śmiać się i płakać jednocześnie; rozpierała ją jakaś dzika, kipiąca energia. W marzeniach wyobrażała sobie tę chwilę, lecz rzeczywistość przerosła wszelkie fantazje.

Nagle, uświadamiając sobie sytuację i wcześniejsze obiekcje Cuttera, wpadła w panikę.

- Chyba nie zamierzasz się teraz wycofać? - zapytała wysokim głosem. - Umrę, jeśli tak się stanie. - Roztrzęsionymi rękami sięgnęła do spodni i zaczęła się szamotać z suwakiem.

Cutter przytrzymał jej dłoń.

- Co robisz?

- Nie widzisz? To, co powinnam była zrobić od początku.

Wyrwała się. Cutter próbował ją pochwycić, ale Pam zeskoczyła z łóżka, po czym zdjęła z siebie najpierw spodnie, a potem majtki.

- Pam... - Złapał ją w pasie i pchnął na łóżko. Patrzyła na niego naburmuszona.

- Jeśli nie podoba ci się to, co zobaczyłeś, możesz odesłać mnie do domu. Wiem, że mam tylko siedemnaście lat, ale jestem kobietą. Będę nią dla ciebie, jeśli tylko zechcesz. Naucz mnie, a sprawię, że ty też będziesz płonął.

- Już tego dokonałeś - powiedział cicho. Przytrzymał Pam, by się nie ruszała, po czym do końca ściągnął zwisające z jednej nogi spodnie. Dłuższą chwilę patrzył na dziewczynę.

Kłębiły się w niej rozmaite uczucia - duma, wstyd, podniecenie. Musiała zaraz coś zrobić, by dać upust zmysłom. Czuła, że inaczej zwariuje.

- Pomóż mi - szepnęła, a w głosie nie słychać już było poprzedniej buńczuczności. - Nie wiem co... To boli...

Całkowicie ubrany, pochylił się nad nią.

- Uprzedzam cię, najśłodsza - ostrzegł zachrypniętym głosem. - Jeszcze krok, a nie będę się umiał powstrzymać. Zbyt często o tym marzyłem.

- Zrób to.

- Skrzywdzę cię.

- Ależ nie.

- Fizycznie. Boję się, że zrobię ci coś złego.

W cienkim głosiku dziewczyny brzmiała niecierpliwość.

- Nic mnie to nie obchodzi. Pospiesz się, Cutter. - Pociągnęła za pasek jego spodni.

Cutter zdarł z siebie koszulę, potem dżinsy. Widziała go wyraźnie w świetle dnia. Był jeszcze piękniejszy, niż myślała. Długie nogi, mocne, sprężyste mięśnie, piaskowe owłosienie.

Dotyk jego ciała był jak ogień. Ciężko westchnęła, potem jeszcze raz, gdy poczuła go na sobie. Zatopiła się w rozkoszy, wszystkimi zmysłami poznając smak miłości. Odrzuciła do tyłu głowę, zamknęła oczy i oddychała gwałtownie i nierówno. Nagle poczuła piekący ból. Spojrzała na Cuttera i choć ból nie ustępował, to towarzyszące mu wrażenie pełni powiedziało jej, co się stało.

- Jestem tam, Pam, dotarłem do samego środka. Teraz należysz do mnie. Tylko do mnie.

- Zawsze należałam do ciebie - szepnęła i uśmiechnęła się. - Kocham cię.

- Wiem. Ja też. Czy to boli?

- Czuję się taka pełna. Roześmiał się krótko.

- Bo jesteś. Jezu...

- Co?

- Zaraz wybuchnę. - Wykrzywił twarz, spiął wszystkie mięśnie i wyrwał się z Pam, na

sekundę przed tym, nim jego ciało zaczęło pulsować.

- Cutter?

Minęło trochę czasu, zanim wydał z siebie niewyraźny dźwięk.

- Dlaczego mnie zostawiłeś?

Znów milczał długo, po czym uniósł głowę. Włosy miał w nieładzie, sklezione na czole.

- Nie mogłem użyć prezerwatywy, nie za pierwszym razem.

- Czuję się taka pusta, chodź do mnie. Twarz wykrzywił mu łobuzerski uśmiezek.

- A nie piecze?

- Nie myślę o tym. Chcę, byś do mnie wrócił. - To, co przeżyła, było zbyt piękne, żeby miało trwać tak krótko. Minione chwile pobudziły tylko jej podniecenie, a instynkt podpowiadał, że wydarzy się coś więcej.

- Poczekaj, jeszcze moment - obiecał i zaczął ją lekko całować. W trakcie pieszczot na nowo poczuł głód miłości. Pam wyprężyła się i kiedy dotykał jej piersi, brzucha, wnętrza ud, z każdą chwilą rosło jej pożądanie.

Ponownie w nią wszedł. I tym razem ich ciała poruszały się w miłosnym rytmie aż do spełnienia. Rozkosz eksplodowała, porywając ich ciała i umysły i pozwalając do reszty zatracić się w tym szaleństwie.

Pam spędziła weekend w łóżku Cuttera. Kochali się wiele razy, na przemian to gwałtownie, to czule i delikatnie. Pozbywszy się wyrzutów sumienia, Cutter zachowywał się tak, jakby za wszelką cenę chciał udowodnić jej swoją miłość. Pam była szczęśliwa. Spełniły się jej najskrytsze pragnienia, czuła się kochana i podziwiana. Dziwiła się ich wspólnemu niezaspokojeniu. Pomimo długich godzin miłości ich pożądanie wcale nie zmalało, kiedy nadeszło niedzielne popołudnie. Wtedy właśnie Pam oznajmiła Cutterowi, że przenosi się do akademika, choć nie wyjaśniła powodów. Nie chciała, by ogarnęła go wściekłość na Johna, bo to mogło tylko pogorszyć sprawę. Poza tym starała się w obecności Cuttera jak najrzadziej wspominać brata. Ich wspólnie spędzony czas był dla niej zbyt cenny.

W tygodniach, które potem nadeszły, spotykali się kilkakrotnie, albo w domu Cuttera, albo w jakimś zapomnianym motelu na peryferiach miasta. Wiedząc, że Cutter na nią czeka, Pam nie przejmowała się rygorami życia w akademiku. Nie widywała się ze szkolnymi kolegami i z zadowoleniem oddawała nauce. Wyjeżdżając na weekendy mówiła, że udaje się do którejś z koleżanek, a John się nie sprzeciwiał.

Problemy pojawiły się latem, bo brat chciał, żeby pracowała u niego w biurze. Oszuki-

wanie go stało się jej drugą naturą i nawet nie czuła wyrzutów sumienia, traktując te wybiegi jako zadośćuczynienie za wszystko, co jej zrobił.

Już jako dziecko prowadziła rozdwojone życie, dzieląc czas i uczucia między ojca i matkę. Teraz musiała jedynie uważać, żeby John niczego nie odkrył. W tygodniu sumiennie wykonywała pracę biurowego posłańca. Kiedy brat był w domu, kryła się w swoim pokoju, a noce przesyiała z kluczem francuskim, ukrytym pod poduszką. W czasie weekendu, spędzanego z Cutterem, wstępowała do innego świata. Robili wszystko, na co im przyszła ochota, i strzegli przed światem swej tajemnicy. Tak więc, kiedy Pam była w Maine, przebywała w domu Cuttera, a gdy Cutter pojawiał się w Bostonie, omijał Beacon Hill. Pam to nie przeszkadzało. Była szczęśliwa, bo miała Cuttera. Kochała go coraz bardziej i była pewna, że on czuje to samo.

Bez skrepowania kłamała, rozmawiając z Johnem.

- Spotkałaś się z Cutterem Reidem?

- Nie.

- W zeszłym tygodniu Simon widział, jak jechałaś samochodem w stronę jego domu.

- Simon kłamie.

- Nie chcę, żebyś się z nim widywała.

Pam przybrała obojętny wyraz twarzy.

- Niby dlaczego miałyby mi na tym zależeć?

- Zabraniam ci go widywać. Trzymaj się od niego z daleka. Ostrzegam cię.

Ale rzucał grochem o ścianę. Choć Pam bardzo kochała Marcy i dom w Timiny Cove, nic nie równało się jej miłości do Cuttera. Przebywanie z nim było jej potrzebne jak powietrze.

Lato się skończyło i Pam wróciła do szkoły. Poza tym, że mogła znowu spokojnie spać w nocy, niewiele się zmieniło. Uczyła się pilnie, z niecierpliwością oczekując na weekendy z Cutterem.

Potem wydarzyło się nieszczęście. W dniu Święta Dziękczynienia Tommy Willow, siedemnastoletni przyrodni brat Marcy, zabił swojego ojca zardzewiałym uchwytem do pompy. Była to zbrodnia popełniona w afekcie, sprowokowana nieustanną agresją Jervisa wobec rodziny. Pam pojechała na dwa dni do Timiny Cove, służąc swoją pomocą i pocieszając zdruzgotaną wypadkiem Marcy.

W tydzień później Marcy zjawiała się u niej w akademiku. Wyglądała, jakby właśnie wyrwała się z piekła.

- On wie - wyszeptała, kiedy tylko drzwi się za nią zamknęły.

Pam myślała, że dziewczyna mówi o swoim bracie, Tomie. Spytała z niepokojem:

- Kto?

- John. Wie, że widzisz się z Cutterem. - Zakryła rękami twarz i rozpląkała się. - Nigdy mi tego nie wybaczysz. Zapytał mnie wprost i powiedziałam mu, Pammy. Nie wiedziałam, co mam zrobić. Zagroził, że jeśli nie wyjawię mu prawdy, nie pomoże Tomowi. John opłaca adwokata. Nas nie byłoby na to stać, a bez dobrego prawnika Tom wylądował na wiele lat w więzieniu. To dobry chłopak, tylko nie miał w życiu szczęścia. Jeśli go zamkną, mama umrze z rozpaczy. Więc kiedy John mnie zapytał, powiedziałam, że widzisz się z Cutterem. - Łkała cicho. - Przepraszam, Pam, przepraszam.

Przez krótką chwilę Pam czuła się podstępnie zdradzona. Potem zastanowiła się, co sama by zrobiła na miejscu Marcy i natychmiast przeszła jej całą złość. Owszem, była przygnębiona i bardzo przerażona. Objęła Marcy ramieniem, by choć tym gestem i ją, i siebie podtrzymać na duchu.

- Ile wie?

Marcy prychnęła głośno.

- Tylko tyle, że spotykasz się z Cutterem pod koniec tygodnia w Maine. Powiedziałam mu, że nie wiem, co robisz, kiedy jesteś w szkole. - Podniosła przestraszone oczy. - On zrobi coś złego. To okrutny człowiek.

Pam aż za dobrze zdawała sobie z tego sprawę. Opadła na łóżko i popatrzyła na Marcy z rozpaczą.

- Nie mogę przestać widywać się z Cutterem. Jest całym moim życiem. - I nagle uderzyła ją cała niesprawiedliwość jej dotychczasowych losów - bezsensowna śmierć ojca, choroba matki i tyrania Johna. Ciężko przełknęła ślinę i zacisnęła zęby. - Mam prawie osiemnaście lat. Mogę robić, co mi się podoba, a chcę być z Cutterem. Jeśli John zamierza mi w tym przeszkodzić, to jego problem.

John przetrzymał ją w niepewności przez dwa dni, zanim pojawił się w akademiku. Znajdowali się w kącie pokoju przyjęć, kiedy powiedział:

- Kazałem ci się z nim nie spotykać, lecz ty mnie nie posłuchałaś. - Mówił cicho, ale w jego głosie brzmiała ta sama zimna groźba, która wycierała z twarzy. Miał na sobie doskonale skrojony garnitur, co tylko podkreślało jego srogi wygląd. - Ostrzegałem cię, Pam. Pytałem nawet, czy się z nim spotykasz, ale ty skłamałaś. To było krótkowzroczne i głupie.

Pam najchętniej kłamałaby dalej, ale było na to za późno.

- Kocham go.

Usta Johna zacisnęły się.

- Sama nie rozumiesz, co mówisz.

- Kocham Cuttera.

- Więc musisz się odkochać, bo to koniec. Potrząsnęła głową.

- Będę się z nim spotykać.

- Po moim trupie.

- Dlaczego tak strasznie go nienawidzisz? Jest dobrym i miłym człowiekiem. Ciężko pracuje. Jest oparciem dla reszty pracowników. To cię tak irytuje? A może nadal nie możesz ścierpieć faktu, że tata go lubił?

- Ten facet jest śmieciem.

- Tata tak nie uważał. Przeznaczył dla niego Little Lincoln.

Trafiła w sedno, jeśli sędzić po zaskoczeniu na twarzy Johna.

- O czym ty mówisz?

- Słyszałam waszą rozmowę. Kłóciliście się. Tata mówił ci, że Cutter dostanie Little Lincoln. Dlaczego tak się nie stało?

- Staruszek musiał zmienić zdanie - stwierdził John. - Zrozumiał, że popełniłby ogromny błąd. Cutter Reid jest nikim, niczego w życiu nie osiągnie i nie pozwolę, żeby kiedykolwiek dostał ciebie.

Pam słysząc te obraźliwe słowa, wpadła we wściekłość.

- To się już stało - oznajmiła z satysfakcją, nie przejmując się, że oczy Johna ciemnieją, a na twarzy pojawia się furia.

Milczał przez chwilę.

- Czy to prawda?

- Tak.

- Oskarżę go o gwałt.

- On mnie nie zgwałcił.

- Jesteś niepełnoletnia.

- Błagałam go o to.

- Dla sądu to nie ma żadnego znaczenia. Jesteś niepełnoletnia. Wykorzystał cię.

- To, co zrobił, było piękne, to ty chciałaś mnie wykorzystać.

John zeszywniał. Pam nigdy nie widziała go w takim stanie.

- Nigdy więcej - wycedził powoli zachrypniętym głosem - tego nie mów.

Ale Pam walczyła o swoje życie.

- Powiem, i to ze szczegółami, jeśli zaskarżysz Cuttera. Narobię ci wstydu, John.

Wszystko się wyda, ludzie zobaczą, jaki naprawdę jesteś.

Biła od niego czysta nienawiść i przez moment Pam myślała, że straci nad sobą kontrolę i coś jej zrobi. Jednak chwilę potem wyprostował się, odwrócił i ruszył do drzwi.

Pam czuła się, jakby stała na rozżarzonych węglach. Zaczęła się zastanawiać, czy dobrze rozegrała karty. Nic nie zostało ustalone. Poszła za Johnem.

- Dokąd idziesz?

- Gdziekolwiek, gdzie nie będę musiał na ciebie patrzeć. Budzisz we mnie wstręt.

- To nic nowego...

Odwrócił się do niej tak gwałtownie, że aż potknęła się o stopień.

- Nie znasz wszystkich nowin. Sprzedałem dom. Pam wstrzymała oddech.

- Nie zrobiłeś tego!

- Owszem, jak tylko dowiedziałem się, że się z nim spotykasz.

- Komu? Komu go sprzedałeś? - Postanowiła go odkupić.

- Nie twoja sprawa. Od dzisiaj nic, co dotyczy Timiny Cove, nie jest już twoją sprawą.

- Mylisz się! - wykrzyknęła, czując oszalałe bicie serca. - Kochałam ten dom, należał do mnie!

- Bo ja się na to zgodziłem. Ale wszystko popsulaś. Ostrzegałem cię.

Oczy Pam wypełniły się łzami.

- Nienawidziłeś go. Tak czy inaczej chciałeś go sprzedać. Czekaleś tylko na chwilę, żeby zabolalo mnie to najbardziej i użyłeś Cuttera jako wymówki. Jesteś sadystą, John.

- Jestem twoim prawnym opiekunem, nie masz nic do gadania.

- Już niedługo - odgryzła się i w tej chwili pojęła rzeczywiste znaczenie tych słów. - Mam prawie osiemnaście lat. Właśnie dlatego to zrobiłeś, prawda? Póki nie osiągnę odpowiedniego wieku, nie mogę ci się przeciwstawić.

- Możesz próbować, ale daleko nie zajdziesz. Zapamiętaj sobie: tutaj ja rządę. Każde moje słowo jest prawem. - Pomachał jej palcem przed nosem. - Dlatego radzę, żebyś dla własnego dobra trzymała swoją niewyparzoną buźkę zamkniętą. Nie spotkasz się więcej z Cutte-rem Reidem. Sprzedaż domu to dopiero początek. Jeśli dowiem się, że widziano cię w pobliżu

Cuttera, wyrzucę go z pracy.

Pam poczuła w gardle dławiącą grudę.

- Nie ośmielisz się. Jest przywódcą w kopalni, górnicy go szanują. Zwolnij go, a ściągniesz sobie na głowę strajki.

- Nie - oświadczył, uderzając ją palcem w piersi. - Zwolnię go z przyjemnością, a wraz z nim każdego buntownika. Czasy są ciężkie, Pam. Starsi górnicy są mi tylko ciężarem. Na miejsce każdego z nich czeka tuzin młodych, silnych mężczyzn. Nie myśl sobie, że nie kontroluję, kogo się przyjmuje i zwalnia w mojej kopalni. I jeszcze jedno: nie wyobrażaj sobie, że uda ci się wymknąć i spotkać z Cutterem bez mojej wiedzy, ponieważ od tej pory będę cię pilnował. Założyłem podsłuch na jego telefonie...

- To nielegalne.

- Zamknij się! - ryknął, ale natychmiast zniżył głos. - Sędzia Nowell z Bangor jest moim przyjacielem. W parę minut przekonam go, by uznał to za zgodne z prawem. A już na pewno wolno mi wynająć prywatnego detektywa. Będzie śledził każdy twój krok po wyjściu z akademika.

- Kłamiesz.

- Możesz się przekonać.

Pam nie wiedziała, czy starczy jej na to odwagi. Coraz bardziej cierpiała.

- Nie rób tego - załkała błagalnie.

- Więc nie spotykaj się z Cutterem. Zdesperowana, przywarła do ramienia brata.

- Ale ja go kocham.

Odrącił ją z pogardą.

- W takim razie jesteś idiotką. Nie rozumiesz, że zależy mu tylko na twoim nazwisku? Starł się wydrzeć ze starego wszystko, co się dało, a kiedy mu nie wyszło, zabrał się za ciebie.

- To nieprawda - z przekonaniem sprzeciwiła się Pam. - On mnie kocha.

- Wiesz, kim dla niego jesteś?

- Po prostu darzy mnie uczuciem.

- Jesteś jego biletem do lepszego świata, Pam, tylko jesteś zbyt głupia, żeby to zobaczyć.

- Ponownie przemawiał do niej opanowanym tonem. - Znam takich facetów. Polują na błyskotki, a kiedy uzyskają, co chcą, przenoszą się na lepsze pastwisko.

- Ale on ode mnie nic nie dostał.

Z wyrazem kpiny w oczach John zmierzył ją od stóp do głów.

- Minutę temu mówiłaś coś zupełnie innego.

W tej chwili Pam nie musiała myśleć o Palm Beach, by poczuć się zbrukana. Wystarczyło jej pochwycić obleśne spojrzenie Johna. W obronnym geście zasłoniła się ramieniem.

- Nigdy nie dałam mu żadnych pieniędzy ani nie przyrzekałam awansu. Nic mu nie dałam. Więc jak myślisz, po co ze mną przestaje?

- Ponieważ to należy do jego planu. Najpierw cię uwiedzie, następnie sprawi, że fizycznie i psychicznie staniesz się od niego zależna, a dopiero potem zaczniesz prosić o przysługi.

- Czy ty tak właśnie postępujesz? - wyrzuciła z siebie. Mocno uderzył ją w twarz.

Policzek jej płonął. Uniosła rękę, a w oczach pojawiły się łzy. Były oznaką słabości i Pam, nie chcąc jej okazywać, opanowała się i powiedziała:

- Celnie trafiłam, prawda? Jeszcze nigdy mnie nie uderzyłeś.

- Już dawno powinienem był to zrobić.

- Oskarżono by cię wtedy o znęcanie się nad dzieckiem.

- Za głupi policzek? Nie wydaje mi się.

- Ale w tobie tkwi ochota na gorsze postępy - odparowała. - Obydwoje o tym wiemy. Masz w sobie coś prymitywnego i obmierzłego. Pod tym eleganckim garniturkiem kryje się facet o osobowości ulicznego rzezimieszka.

Zanim zdążyła się odsunąć, złapał ją za bluzkę i przyciągnął do siebie.

- A ty - cedził z furią przez zaciśnięte zęby - jesteś dziwką. Nie mam ochoty wysłuchiwać, co masz do powiedzenia. Nie chcę cię widzieć. Masz tu zostać i uczyć się. Trzymaj się z daleka od Maine i od Cuttera Reida. Jeśli postąpisz inaczej, sama będziesz winna temu, co się stanie. Wyrażam się jasno?

- Puść mnie.

Mocniej zacisnął pięść.

- Zrozumiałaś?

- Nienawidzę cię.

- I wzajemnie. A teraz, czy doszliśmy do podobnej zgody co do reszty? Rozumiesz, czego od ciebie oczekuję?

- Rozumiem, że kiedy tylko uzyskam pełnoletność, będę mogła ci powiedzieć, żebyś się ode mnie odpieprzył.

John zachnął się w najwyższej irytacji i gwałtownie odetchnął.

- Mylisz się, kochanie. - Przysunął się bliżej i wściekłym szeptem oświadczył tuż przy jej

twarzy: - To, o czym mówię, nie ma nic wspólnego z wiekiem. Chodzi o władzę. Ja ją posiadam, a ty nie. Ja kontroluję fundusz i ja kontroluję akcje. Do ukończenia dwudziestego piątego roku życia nie masz prawa głosu w zarządzie, a do tego czasu przekabacę ich wszystkich na swoją stronę. Więc kiedy już skończysz osiemnaście lat, najlepiej zrobisz, uciekając na tyle daleko, żebym cię tu nie mógł sprowadzić z powrotem. - Nabrał powietrza i wyrzucił z siebie ostatnie, przepełnione jadem słowa: - Chcesz uciekać, proszę bardzo. Ja cię nie potrzebuję. - Puścił bluzkę Pam, odwrócił się i odszedł.

Następnego dnia Pam pojechała odwiedzić matkę. Usiadła koło niej i w milczeniu obserwowała zimowy krajobraz za oknem. Po jakimś czasie wzięła matkę za rękę. Była blada i delikatna, tak jak cała Patrycja. Pam wpatrywała się w bladą siatkę żył, prześwitujących przez cienką jak papier skórę, i poczuła, że się zapada. Znowu miała trzynaście lat, znowu była zagubiona, samotna i przestraszona, bo wszystko, co dobre w jej życiu, zostało jej odebrane. Nagle przestało się liczyć, że tak naprawdę jest już prawie pełnoletnia i że to Patrycja potrzebuje opieki. Pochyliła się nad wychudłą dłonią i wybuchnęła płaczem.

- Nie wiem... co robić... Wszystko jest takie... okropne... Potrzebuję pomocy... mamo.

Łkała cicho, zapominając o czasie, pogrążona w rozpacz. Poczwała, że palce Patrycji zaciskają się na jej rękę, więc przywarła do dłoni matki, jakby od tego zależało jej życie.

Rozdział piętnasty

Cutter oparł się o drzwi budki telefonicznej i pochylił głowę do słuchawki.

- Proszę z Pamelą St.George.

- Chwileczkę. - Głos należał do jednej z koleżanek Pam, mieszkanek akademika. Czy uda jej się zawołać Pam do telefonu, to inna sprawa. Cutter bezskutecznie próbował już dwukrotnie dodzwonić się do ukochanej. Nie rozmawiali ze sobą od pięciu dni, ale nie było w tym nic dziwnego. Jednak Cutter odczuwał niepokój, bo spodziewał się, że Pam zjawi się tego ranka w Timiny Cove. Nie przyjechała. Trasę do miasteczka pokonał swą ciężarówką w rekordowym czasie. Pospieszył do jej domu, ale był zamknięty na cztery spusty. Gdy zdenerwowany znalazł się znów na drodze, próbował przed powrotem do siebie złapać ją przez telefon.

- Przykro mi - ponownie odezwał się ten sam dziewczęcy głos - ale jej nie ma.

- Nie wiesz, gdzie może być?

- Nie.

- A kiedy ma wrócić?

- Nie.

- Czy zostawiła jakąś wiadomość?

- Nie wiem.

- Nie możesz sprawdzić? - poprosił niecierpliwie, po czym westchnął. - Miała się dzisiaj ze mną spotkać. Martwię się.

- Była tu jeszcze niedawno. Widziałam ją i wyglądała normalnie. Mam jej coś przekazać?

Słowa odbijały się echem w jego głowie. Nie była chora, nie miała żadnego wypadku. Zostawił jej już dwie zaszyfrowane wiadomości, które tylko ona mogła zrozumieć.

- Nie, dziękuję - mruknął i odwiesił słuchawkę.

Wyszedł z budki i wsiadł za kierownicę swojej ciężarówki. Przez jakiś czas tkwił tam bez ruchu, wpatrując się przed siebie. Ogarnęło go przerażenie. Kochał Pam bezgranicznie. Wypełniała mu cały świat - była pierwszą rzeczą, o której myślał, gdy się budził i ostatnią, kiedy szedł spać. Jej obraz towarzyszył mu wszędzie, gdziekolwiek się udawał. Stanowiła objawienie i całą poezję jego przyziemnego, szarego życia.

Był przekonany, że coś się stało, bo przecież Pam zadzwoniłaby, gdyby wiedziała, że nie będzie mogła przyjechać. Odbierałaby też telefony od niego.

Cutter włączył silnik, po czym zawrócił spod budki i skierował się w stronę autostrady. Nie patrząc na ograniczenia prędkości, pomknął do Bostonu.

Znajdzie ją, nawet gdyby musiał przeczekać całą noc i następny dzień przed akademią. Musiał się dowiedzieć, co się wydarzyło. Za wiele dla niego znaczyła, by mógł się o nią nie martwić. Była dla niego wszystkim, zwłaszcza po tym, co ich teraz łączyło. Pasowali do siebie, jakby byli dla siebie stworzeni. Uwielbiał się z nią kochać, miała wspaniałe ciało - młode, delikatne i doskonale piękne. Kiedy tkwił w niej, czuł, że nic nie zagraża ich miłości.

Wiedział oczywiście, że to iluzja. Pam go kochała, ale w ich związku nie było nic pewnego. Pam upierała się, że mają przed sobą wspólną przyszłość, ale Cutter w to nie wierzył. On urodził się na wsi i jego przeznaczeniem była ciężka praca do końca życia. Pam pochodziła z zamożnej, mieszczańskiej rodziny i żyła w luksusie, otoczona pięknymi przedmiotami i podobnymi do niej, bogatymi ludźmi. To był inny świat. Wiedział, że pewnego dnia będzie musiał się z nią rozstać, ale jeszcze nie był na to przygotowany. Nie miał jej wystarczająco długo, jeszcze się nią nie nacieszył. Potrzebował więcej czasu.

Na jesieni Pam pójdzie do college'u i otworzą się przed nią nowe horyzonty, pozna ciekawych ludzi i miejsca.

Mógłby za nią pojechać, opuścić kopalnię i najać się do pracy tam, gdzie będzie studiować, ale to by tylko wszystko popsuło. Widziałaby go poza Timiny Cove. W porównaniu z jej kolegami ze studiów wydałby jej się durniem.

Ostro błyskające światła wypełniły nagle wsteczne lusterko. Nie musiał patrzeć na licznik, aby się przekonać, że znacznie przekroczył dozwoloną prędkość. Klnąc pod nosem, zwolnił, zjeżdżając z pasa szybkiego ruchu. Jednak policyjne auto minęło go i pomknęło za następnym piratem drogowym. Tym razem Cutter miał szczęście.

Błagał o nie w duchu po przyjeździe do Bostonu, ale wszystko na nic. Pam nie było w akademiku. Zgłosiła, że wyjeżdża do koleżanki, co oznaczało, iż mogła być wszędzie. Cutter zostawił następną zaszyfrowaną wiadomość, po czym udał się do najbliższego motelu. Jednak dziewczyna nie pojawiła się. Siedział w pokoju, wpatrzony w telefon, aż do popołudnia następnego dnia, a potem zdecydował, że poczeka przy wjeździe do akademika. Było zimno i ciemno, zbliżała się osiemnasta, kiedy na podjeździe pojawił się Coguar. Cutter pojechał za nim i zaparkował tuż obok. Pochwycił Pam, kiedy wysiadała z wozu.

Krzyknęła z przerażenia, potem na jej twarzy pojawiło się zaskoczenie.

- Cutter! Och, Boże! - Zakryła twarz roztrzęsionymi rękami i zamiast, jak się spodziewał, paść mu w ramiona, skurczyła ramiona i oparła się o drzwi samochodu. - Odejdź szybko, Cutter! Odejdź, proszę cię!

Nie podobało mu się to, co usłyszał. Zupełnie mu się nie podobało.

- Co się stało?

- Błagam, odejdź! - powtórzyła. Złożyła ręce w błagalnym geście i z przestachem na twarzy rozejrzała się dokoła. - Jeśli zobaczą nas razem, będziemy zgubieni. - Złapała go za kurtkę. Nawet w ciemności widać było przerażenie w jej oczach. - Idź, zanim stanie się coś złego!

Nigdy jej takiej nie widział i z minuty na minutę coraz bardziej się denerwował.

- Nie odejdę, dopóki się nie dowiem, o co chodzi. Miałaś przyjechać wczoraj.

- Nie mogłam. Powiedział, że każe mnie śledzić. Cutter poczuł dreszcz strachu.

- John?

- Wie o nas. Wszystko. I zrobi coś strasznego, jeśli dowie się, że się dalej spotykamy. - Obejrzała się z lękiem przez ramię.

Cutter przyciągnął ją do ciężarówki.

- O czym ty mówisz, Pam?

- Wyrzuci cię z pracy.

- Sam się zwolnię.

- Nie. - Mocno trzymała go za kurtkę. - Wtedy zwolni całą resztę - Jethro, MacMorganów, Hugo Walla i wszystkich, o których walczyłeś. Powiedział też, że już sprzedał dom.

- Nic o tym nie słyszałem, a doszłyby do mnie takie wieści. Plotka szybko się rozchodzi.

- Może jest jeszcze za wcześnie.

- A może on kłamie.

- Nie widziałeś jego twarzy, Cutter! To było straszne. Ten człowiek jest szalony, zrobi wszystko, co powiedział!

Cutter nie wierzył w to, ale Pam była najwyraźniej zastraszona. Przyciągnął ją do siebie i tulił przez krótką chwilę. Potem pocałował gwałtownie, przekazując w tym pocałunku całą swoją udękę z ostatnich dwóch dni. Kiedy podniósł głowę, na jego twarzy widniał gniew.

- John to wielki oszust.

- Nie. On to robi. Wszystko, co zapowiedział.

- Nie jest przecież Bogiem.

- Ostatnio mam takie wrażenie.

- Nie może nas kontrolować.

- Przecież to robi!

- Uciekniemy mu.

- On to wszystko już przemyślał. Ja też i nie widzę wyjścia.

- Uciekniemy.

- Będzie nas ścigał.

- Pobierzemy się.

- Jestem za młoda, oskarży cię o porwanie i gwałt.

- Nic mu to nie da, jeśli zeznasz, że mnie kochasz.

- On ma znajomego sędziego.

- Więc poczekamy te trzy miesiące. Wtedy uzyskasz pełnoletność.

- To nie pomoże! - krzyknęła. - Nie rozumiesz? On ciebie zrujnuje!

- Nie bardzo jest co, nie jestem żadnym bogaczem.

Z twarzą wykrzywioną rozpaczą, Pam oparła głowę na piersi Cuttera, a potem wspięła

się, by go pocałować. Czuł bijącą od niej desperację. On sam też nie był spokojny, ale najważniejsze, że byli razem.

Uniósł dziewczynę bez wysiłku i otworzywszy drzwi ciężarówki, posadził ją w sfoferce. Po chwili znalazł się obok niej. Zaczęli się całować. Nie czuli już zimna, nagle zrobiło się gorąco. Cutter sięgnął do spodni Pam.

- Boże, nie! - krzyknęła.

- Pragnę cię. - Zamknął jej usta pocałunkiem i całował żarliwie, aż pożądanie do reszty zawładnęło jego umysłem. Ukląkł i obydwoma rękami zaczął ściągać z niej spodnie.

- Nie tutaj! - szepnęła z przerażeniem w głosie. - Nie możemy!

Zsunął spodnie z jej bioder.

- Właśnie że możemy, do diabła. Możemy robić wszystko, na co mamy ochotę.

- Jeśli ktoś nadejdzie...

- Nie bój się. - Rozpiął zamek swoich dżinsów. - Jest ciemno. Nikt niczego nie zauważy. - Wszedł w nią głęboko jednym ostrym ruchem i nie przestawał, aż poddała się rozkoszy, dostosowując swój rytm do rytmu jego bioder.

Doprowadził ją do orgazmu z dziką namiętnością, prawie nie słysząc jej westchnień i nie zauważając dłoni, zaciskających się mocno na jego ramionach.

- Kocham cię, kocham. - Cutter szczytował zaraz za nią, ale jeszcze z niej nie wyszedł. Jeden raz nie wystarczył; nadal był twardy i w przypiływie nagłej żądzy znowu zaczął się w niej poruszać, coraz głębiej i mocniej. Kiedy dochodził, z jego gardła wydarł się głuchy jęk i przez długą chwilę odbijał się echem od ścian ciężarówki.

Zimne powietrze szybko dało im znać o sobie. Oderwali się od siebie na moment i pośpiesznie naciągali ubrania.

- Co my teraz zrobimy? - zapytała Pam.

Oparła się na piersiach Cuttera, który tulił ją do siebie z całych sił.

- Nie mogę cię jeszcze stracić.

- On zrobi coś strasznego.

- Będziemy walczyć.

- Jak?

- Nie wiem, ale musi istnieć jakiś sposób.

- Może kiedy skończę osiemnaście lat.

- Do tego czasu mam się trzymać z daleka od ciebie? Wiesz, że to niemożliwe.

- Jeśli nas złapie, możemy tego gorzko żałować.

- Nic mnie to nie obchodzi. Postawię mu się. Może już na to czas.

- Ale tu chodzi nie tylko o nas - przypomniała Pam. - W grę wchodzi inni niewinni ludzie. Ich także skrzywdzi.

- Może tylko blefuje.

- A jeśli nie?

- Odplacą mu się.

Cutter pomyślał o przyszłości. Nie wyglądała różowo. Mógłby opuścić kopalnię i Timiny Cove, ale to był jego dom, jedyne miejsce na ziemi, z którym się identyfikował. Tu pracował i zdobył u ludzi szacunek, sam też szanował kolegów. Rozumiał ich walkę i był wobec nich lojalny. Dużo od niego zależało. Choć nie mógł ich nazwać swoimi przyjaciółmi, nie potrafił ich opuścić.

Ale nie mógł też opuścić Pam. Ona także na nim polegała. Nawet gdyby jej nie kochał, starałby się ją ochraniać, bo prosił go o to Eugene.

Nagle z ich lewej strony rozbłysło jakieś światło. Pam krzyknęła przestraszona.

- O Boże, to patrol. - Odsunęła się od Cuttera. - Muszę już iść. Jeśli strażnik zastanie mnie tu z tobą...

- Za późno. - Cutter złapał ją za rękę. Opuścił szybę przed nadchodzącym i powiedział spokojnie: - Dobry wieczór, sir. - Zerknął na nadgarstek, gdzie powinien znajdować się zegarek. - Mamy jeszcze trochę czasu, prawda?

Strażnik poświecił latarką w głąb samochodu. Pam zasłoniła się ręką przed rażącym błyskiem, ale zaraz pochyliła się do przodu i idąc za przykładem towarzysza, dodała uprzejmie;

- Jeszcze tylko pięć minutek. I tak jest tu strasznie zimno.

Stróż, wyglądający na zbyt starego, by ryzykować w obronie czci młodych panien, odchrząknął tylko.

- Sam tak myślałem. Ale nigdy dotąd nie widziałem tu tej ciężarówki, więc musiałem sprawdzić.

- I dobrze - rzucił Cutter. - Cieszę się, że ktoś jej tutaj pilnuje, kiedy mnie nie ma.

Podnosząc latarkę do czoła, strażnik odwrócił się, odszedł do samochodu i powoli odjechał.

- Widział ciężarówkę - sapnęła Pam, kiedy tylko Cutter zakręcił szybę. - Będzie ją pamiętał. Och, Boże, wiedziałam, że tak będzie.

Cutter ścisnął jej dłoń.

- Przecież nic się nie stało - powiedział uspokajająco, choć wciąż jeszcze waliło mu serce. - Dla niego najważniejsze było, że jesteśmy zdrowi i zadowoleni. Staruszek już pewnie zapomniał, że nas widział.

- Gdyby pojawił się pięć minut wcześniej, wiesz, co by zobaczył?

Cutter uśmiechnął się.

- Ty się cieszysz! - krzyknęła Pam. - Gdyby nas przyłapał, a John się o tym dowiedział, to powiesiłby cię na pierwszej lepszej gałęzi.

- Już dobrze, kochanie. Nie złapano nas. - Ale uśmiech zniknął z jego ust. Ponura rzeczywistość wróciła ze zdwojoną siłą. Włączył silnik.

- Co zrobimy? - znowu zapytała Pam, kiedy Cutter podwoził ją pod drzwi akademika.

Sam sobie zadawał to pytanie. Nie znał na nie odpowiedzi, ale jednego był pewien.

- Nie pozwolę, by mi cię odebrano, Pam. Nie na rozkaz Johna. Chyba że spotkasz kogoś innego i powiesz, że mnie już nie kochasz.

- Zawsze będę cię kochała.

- Kiedyś to się może zmienić.

- Nie. Nigdy.

Bardzo chciał to usłyszeć. Przestał się sprzeczać.

- W takim razie znajdziemy jakiś sposób, żeby móc się spotykać. - Przyciągnął ją do siebie i pocałował. - Jesteś moim życiem - szepnął. Poglądziła go po czole, policzku, ustach, patrząc przy tym tak rozpaczliwie, że poczuł się nieswojo. - Nie staraj się mnie zapamiętać, Pam. Zobaczymy się w przyszłym tygodniu. - Mimo to nadal spoglądała tak, jakby za chwilę miało jej pęknąć serce. - Pam?

- Muszę lecieć. - Wypowiedziała to cicho, ale słowa ciążyły im i oboje znieruchomieli w ponurej ciszy. Potem Pam przysunęła się do niego. Desperacko przywarła miękkimi i spragnionymi ustami do jego warg. Cutter na moment dał się porwać pocałunkowi, ale zanim jego język zdołał się poruszyć, Pam wyrwała mu się z objęć. Wskoczyła z ciężarówki i biegiem ruszyła w stronę akademika.

Z początku Cutter chciał za nią biec, ale potem zatrzymał się i wyprostował. Pam była przygnębiona, było już późno i ktoś mógł ich obserwować. Gdyby za nią pobiegł, zwróciłby tylko na siebie uwagę. Zadzwoni do niej później, żeby sprawdzić, czy dobrze się czuje. Może do tego czasu wpadnie na jakiś pomysł.

W czasie drogi do domu nic mu nie przychodziło do głowy. Rozpadał się śnieg. Był delikatny, odbijał się w światłach reflektorów i sprawiał, że noc wydawała się nienaturalnie jasna. Ale ta jasność nie przenikała do serca Cuttera. Czuł się zziębnięty i znużony, kiedy parkował wóz przed swoim domem. Z opuszczoną głową ruszył w stronę drzwi, kiedy nagle coś go zastanowiło.

Na śniegu widniały czyjeś ślady.

Cutter uniósł głowę i wbił wzrok w niewyraźny zarys stojącego przy drzwiach człowieka. Zanim zdążył dokładniej się przyjrzeć, z boku doskoczyła do niego inna postać i poczuł silne uderzenie w brzuch. Zachwiał się i upadł na śnieg. W tej samej chwili dopadł go trzeci napastnik i kopnął w zębra. Cutter zwinął się z bólu, próbując ochronić się przed następnym ciosem, lecz znowu dostał w żołądek, a potem w szczękę.

Ból był przeraźliwy. Za każdym razem Cutter próbował stanąć na nogi, ale natychmiast zwałało go następne uderzenie. Próbował walczyć, jednak wtedy ciosy były jeszcze mocniejsze. Nie mógł złapać tchu i nie mógł się wyprostować. Zwinął się w kłębek i zasłonił głowę ramionami. Ciosy spadały na całe ciało.

Na odgłos niskiego, znajomego głosu, którego nie potrafił jednak rozpoznać, bicie ustało. Cutter leżał na brzuchu i ciężko łapał ustami powietrze. Nie mógł otworzyć jednego oka, nie zdołał się też obrócić na plecy. Pomogło mu w tym mocne kopnięcie. Krzyknął z bólu. Ostatkiem przytomności pomyślał o tym, by przyjrzeć się swoim oprawcom, ale był zbyt zamroczony, by wiele zobaczyć. Wpadł w panikę, kiedy poczuł, że obcy zdzierają z niego kurtkę i koszulę. Potem półnagiego przeciągnęli po grudniowym śniegu pod stopnie schodów.

- Daj pasek - usłyszał głos. - Przytrzymajcie go.

Zbierając w sobie resztki sił, Cutter wywinął się oprawcom i pokuśtykał do schodów, ale został pochwycony i ponownie rzucony na ziemię. Tym razem dwie stopy wbiły jego barki w śnieg. Cutter próbował uchwycić się schodów, ale nie miał sił. Słyszał, jak po jego prawej stronie porusza się jeden z mężczyzn, osiłek, którego ciosy były najbardziej dotkliwe. Wyteżył wzrok, jednak widział tylko niewyraźny cień.

Na długą, straszliwą chwilę czas stanął w miejscu. Cutter chciał się obudzić z tego koszmaru, ale był w potrzasku. Dławił go ból, a w środku obezwładniający, kłujący strach. Cały oblepiony śniegiem, czekał na karę, na którą sobie nie zasłużył.

Zaraz potem spadło na niego uderzenie paska i poczuł eksplozję bólu. Zaczął charczeć, zalał się potem i zanim zdążył się jakoś osłonić, nadeszło następne. Cierpienie rozdzierało mu

trzewia. Poprzez własne krzyki, roznoszące czaszkę, doszedł do niego czyjś głos.

- W razie gdybyś się zastanawiał - cedził obcy przez zęby - ten pas nabijany jest ostrymi jak noże ćwiekami. Zostawi na twoich plecach interesujący wzór. Chciałem powiedzieć ci to teraz, w razie gdybyś zemdlął, a po naszej wizycie nie pozostał żaden inny ślad.

- Jesteś obłąkany - zdołał wydusić Cutter, cierpiąc przy tym straszliwie.

- A ty skończony - odparł ten drugi, już mniej spokojnie. - To twój koniec, przybłądo. Z początkiem tygodnia zrezygnujesz z pracy w kopalni. Nikomu nie będziesz tłumaczył, dlaczego. Twój telefon został już odłączony. Zabierzesz swoje marne grosze, jeśli jakieś posiadasz, spakujesz się i wyjedziesz z Timiny Cove. I jeśli masz głowę na karku, nigdy tu nie wrócisz.

- Idź do diabła - stęknął Cutter.

W tej samej chwili znowu poczuł na plecach metalowe ostrza, rozdzierające mu skórę. Jęknął, skurczył się, ale to nie był jeszcze koniec cierpień. Co chwila pas opadał na jego skatowane ciało, rzucając nim o skutą lodem ziemię. Cutter nie miał już sił, by krzyczeć, rzeźił tylko, bliski omdlenia.

Plecy płonęły ogniem. Cały się trząsał, lecz walczył o utrzymanie przytomności, która to opuszczała go, to wracała wraz z przeszywającym bólem, przerażeniem i nudnościami. W końcu pozwolił, by ogarnęły go ciemności.

Ale ta ucieczka nie trwała długo. Garść śniegu wtarta w twarz szybko go ocuciła i koszmarny powrócił. Wraz z nim głos Johna, przepelniony wściekłością.

- To za pieprzenie mojej siostry, skurwielu. - Złapał Cuttera za włosy i pociągnął jego głowę do góry. Spod zmiażdżonej powieki Cutter dostrzegł błysk noża. - A tego użyję, jeśli jeszcze raz ją tkniesz.

- Nie powinniśmy zrobić tego teraz, szefie? - zapytał jeden z mężczyzn.

- Nie - warknął John przez zaciśnięte zęby i z całej siły rzucił głową Cuttera o ziemię. - Gdybym zrobił to teraz, już by jej nie chciał. A on musi jej pożądać. Będzie się męczył każdej nocy, ale nie ośmieli się jej mieć, bo będzie wiedział, że spełnię moje wszystkie groźby. - Zaciśnął palce na włosach ofiary. - Zadrzyj jeszcze raz z rodziną St. George, a zamknę kopalnię, wydziedziczę Pam, a tobie odetnę jaja. Rozumiesz, skurwielu?

Odepchnął głowę Cuttera. Ostatnie słowa, które doszły do niego przed omdleniem, były tak obrzydliwe, że trudno je było pojąć. Cutter pomyślał, że zastanowi się nad nimi w przyszłości.

Ocknął się i znowu zawładnął nim ból. Leżał nieruchomo marząc o tym, by stracić przy-

tomność. Powtarzało się to wielokrotnie. W chwilach świadomości wsłuchiwał się w odgłosy dokoła, ale dochodził go tylko szum padającego śniegu.

Znowu odpłynął w nicość. Skatowane ciało, spływające krwią i potem, jakby przestawało istnieć. Rzeczywistość gdzieś umykała.

Z czasem zaczął marznąć, trzęsły nim dreszcze. Gdy tak leżał, ogarnęło go poczucie przejmującej samotności, a potem furii. Gniew dodał mu sił do walki o przetrwanie.

Zebrawszy się w sobie, podciągnął się na kolana i cierpiąc strasznie, zaczął wspinać się po schodach. Opadł na ich szczycie, ale wspomnienie niedawnych wydarzeń nie pozwalało mu się poddać. Zaciskając zęby, walcząc z wymiotami, podczołgał się do drzwi. Upadł na nie ciężarem ciała i kiedy się otworzyły, wturlał się do środka.

Wciąż tracił i odzyskiwał przytomność. Zanim ponownie odszedł w ciemność, zdołał zamknąć drzwi za sobą i podczołgał się do łóżka. Nawet nie pomyślał o napaleniu w piecu czy starciu krwi oblepiającej mu plecy. Marzył tylko o zakopaniu się pod kołdrę i odpoczynku.

Kiedy leżał na ziemi, starając się zebrać resztkę sił, by dosięgnąć materaca, ktoś nagle dotknął jego ramienia.

Myśląc, że to John, zamachnął się ramieniem i próbował zarazem odczołgać się pod ścianę. Drogo go to kosztowało. Zawył z bólu, potem zachłysnął się spazmatycznym kaszlem. Przechodził przez piekło. Zaczął właśnie myśleć, że śmierć nie musi być najgorszym rozwiązaniem, kiedy zdał sobie sprawę, że dochodzi go mamrotanie Bumble.

Cutter uspokoił się i odetchnął. Bumble była przy nim. Kiedy w dzieciństwie nie miał co jeść, przychodziła czasami do niego i przynosiła mu jakąś żywność. Teraz też będzie wiedziała, co robić.

Przez następne godziny Cutter przechodził prawdziwe tortury. Ból nie ustępował, a niekiedy zwiększał się, w trakcie gdy Bumble go myła, opatrywała i naciągała świeżą koszulę na poszarpane ciało. Cały czas tracił przytomność, oddychał płytko i jęczał, ale pozwalał kobiecie na wszystko. Chciał przeżyć.

I przetrwał. Przez nie kończącą się noc i następne dwa dni, trawiony gorączką i bardzo słaby. Trzeciego dnia gorączka ustąpiła i wreszcie mógł zasnąć. Następnego ranka zmuszał się, by podnieść się z łóżka. Dopiero po upływie tygodnia zaczęło do niego docierać, co się wydarzyło i co to oznacza w jego życiu.

Jedno było pewne - wyjedzie z Timiny Cove. Pam miała rację, John był na tyle złym człowiekiem, że bez wahania spełni każdą ze swoich szalonych gróźb. Leżąc w łóżku, bez-

bronny i otepiały z bólu, zdał sobie sprawę, że w życiu zależy mu jedynie na dwóch rzeczach.

Pierwszą z nich była Pam.

Drugą - John.

Zamierzał dostać ich oboje.

Rozdział szesnasty

Nowy Jork, początek marca 1990

Hillary wpatrywała się przerażonym wzrokiem w twarz Cuttera.

- Nie wierzę ci.

Cutter wzruszył ramionami, podniósł kieliszek z szampanem i upił łyk, wodząc wzrokiem po sali.

Hillary nie spuszczała z niego oczu. Chciała odnaleźć na jego twarzy jakiś znak, który by świadczył, że ją nabiera.

- John by tego nie zrobił.

Cutter milczał. Po chwili znowu wzruszył ramionami.

- Powiedz coś, Cutter. Jeśli to prawda, to powiedz mi, że John jest bezdusznym, pozbawionym uczuć potworem. Chcę to usłyszeć z twoich ust.

Popatrzył na nią z błyskiem w oku, który przypominał współczucie. Później jego wzrok stwardniał, jakby na potwierdzenie wcześniejszych słów.

- Nie do mnie należy mówienie ci, co powinnaś o nim myśleć, Hillary. Pytałaś, dlaczego opuściłem Pam, mimo że tak bardzo ją kocham, więc ci odpowiedziałem.

- Nigdy wcześniej tego nie mówiłeś.

- Bo nigdy wcześniej nie pytałaś.

- Ale to takie istotne. Jeśli powiedziałaś prawdę, zostawił cię tam, żebyś umarł.

- Przecież nie umarłem.

- Ale mogłeś. Mogłeś się wykrwawić albo zamarznąć na śmierć.

- Na szczęście tak się nie stało.

- Ponieważ pomogła ci Bumble.

Lekko kiwnął głową.

- I dlatego, że na przekór wszystkiemu postanowiłem żyć. - Wyciągnął dłoń w stronę

nadchodzącego mężczyzny. - Witaj, Steve. - Przedstawił nieznanego Hillary, po czym dodał:
- Pamiętasz, opowiadałem ci kiedyś - to razem ze Steve'em ponieśliśmy fiasko w Kansas City w zeszłym roku.

Znając ostatnie sukcesy Cuttera Hillary pomyślała, że to musiał być zupełnie odosobniony wypadek. Przez te kilka miesięcy pobytu w Nowym Jorku zarobił mnóstwo pieniędzy. Patrząc teraz na niego, na niewymuszony sposób, w jaki siedział, na okrywające go eleganckie ubranie czy wdzięczy ruch, z jakim podnosił kieliszek z szampanem, trudno było uwierzyć, że porzucił szkołę jako szesnastolatek i spędził osiem lat w kopalni w Maine.

- Przeczytałem wszystko, co napisał.

Odrywając się od własnych myśli, usłyszała ostatnie słowa Cuttera. W to mogła uwierzyć. Cutter nie zarzucił nałogowego czytania. Znowu pogрузzyła się w rozważaniach. Ona była pisarką, ale to Cutter otrzymał zaproszenie na eleganckie przyjęcie, na którym się właśnie znajdowali. Zostało wydane z okazji ukazania się najnowszej książki Flatchera Grady'ego, która, jak niosła plotka, miała się znaleźć na szczycie listy bestsellerów „Publishers Weekly”. Cutter nie został tu zaproszony tylko dlatego, że przeczytał thriller Flatchera. Obydwu mężczyzn łączyła od dawna głęboka przyjaźń.

Hillary nie mogła się nadziwić niezwyklej metamorfozie Cuttera. Przy tym nie należał do ludzi puszczących się i robiących wszystko na pokaz. Jego szczery i spokojny sposób bycia wzbudzał u ludzi szacunek i zaufanie. Podziwiano też jego pewność siebie i całkowitą niezależność - w swoich sądach nie kierował się zdaniem innych. W młodości cechowała go szorstkość, która teraz, nieco złagodzona, dodawała mu chłopięcego uroku. Posiadał prawie tyle charyzmy co John.

- Te liczby robią wrażenie - komentował znajomy Cuttera.

- To solidne towarzystwo, dobrze zorganizowane i prowadzone. Dobra inwestycja, Steve.

- Warta dziesięciu kawałków?

- Nawet więcej.

Oczy Steve'a zrobiły się duże jak spodki, a Hillary zamierzała właśnie zapytać, o jakie przedsiębiorstwo chodzi, chcąc ewentualnie coś zainwestować, kiedy Cutter napotkał jej wzrok.

- Przepraszam, Hillary, nie chciałem rozmawiać o interesach. Czasem samo tak wychodzi. - Zwrócił się do Steve'a: - Porozmawiamy w przyszłym tygodniu?

Mężczyzna kiwnął głową, uśmiechnął się do Hillary i odszedł.

- On zajmuje się...?

- Zaopatrzeniem. Zaopatruje kilka największych sieci hotelarskich.

- Jak go spotkałeś?

- Przy grze w golfa, siedem czy osiem lat temu w Palm Springs. Nadal często ze sobą gramy.

Uśmiechnęła się z lekką kpina.

- W golfa. No, no, kto by pomyślał. Znowu wzruszył lekko ramionami.

Tym razem ten gest przyciągnął uwagę Hillary do jego pleców i przypomniał o krzywdzie, jaka go spotkała. Uśmiech szybko zniknął z jej ust.

- Naprawdę John cię pobił?

Cutter milczał tak długo, że Hillary przemknęło przez myśl, czy przypadkiem na nowo nie przeżywa całej historii. W końcu jednak odezwał się.

- Pobił mnie, a potem skatował pasem nabijanym ćwiekami, który pożyczył od jednego ze swoich koleżków-oprawców.

- John nie ma takich znajomych.

- To ich wynajął. Jestem pewien, że nieźle im zapłacił, żeby szybko zapomnieli wszystko, co widzieli. I żeby pozbyli się pasa.

Hillary nadal nie potrafiła przyjąć faktów.

- Timiny Cove to mała miejscina. Ktoś musiałby coś zauważyć.

- W środku zimy? Padało od trzech dni. Wszyscy siedzieli zakopani w domach, Kopalnie były zamknięte. Pozostało nam tylko sortowanie i pakowanie, nie było dużo pracy.

- Nikt nie zadzwonił? - dziwiła się. - Nikt nie przyjechał, żeby sprawdzić, co się z tobą dzieje?

- Odcięli mi telefon. Kiedy wreszcie ktoś się u mnie zjawił, w co wątpię, bo nie nawiązałem w kopalni bliższych przyjaźni, już mnie tam nie było.

- Dwa tygodnie po pobiciu - stwierdziła sceptycznie.

- Zgadza się.

- I przyszedłeś do mnie. Jak na chłopca ze wsi, wyglądałeś całkiem chwacko.

- Naprawdę tak wyglądałem?

Wracając pamięcią do tamtych dni, przypomniała sobie, że rzeczywiście zachowywał się jakoś dziwnie. Ale wtedy przypisała to wrażeniu, jakie wywarł na nim Nowy Jork.

- Przynajmniej trzymałeś się na nogach.

- Byłem zeszytniały. Nadal bolały mnie żebra, a plecy miałem całe w strupach.

Im dłużej rozmawiali, tym mniej pewnie czuła się Hillary. Miała wrażenie, że stąpa po bardzo kruchym lodzie, nie przyjmując do wiadomości podawanych faktów. Jednak nie mogła się powstrzymać, by nie szukać dziury w całym, jakiegoś punktu zaczepienia, który podałby w wątpliwość wersję Cuttera.

- Mieszkałeś u mnie przez tydzień - zauważyła. - Gdyby cię coś bolało, zwróciłabym uwagę.

- Na co?

- Na przykład, że poruszasz się nienaturalnie.

- W ogóle mało się ruszałem. Przez większość czasu spałem.

Mówił prawdę, ale nadal upierała się przy swoim.

- Domyśliłabym się czegoś.

- Pokazałem ci plecy?

- Nie.

- Czy chociaż raz widziałaś mnie bez koszuli?

- Nie, nigdy. - Zamilkła. - Myślałam, że to ze skrepowania. - Nagle coś jej przyszło do głowy. - Skoro miałeś tak poranione plecy, jak mogłeś pracować?

- Nie miałem wyboru. - Przysunął się do niej z krzesłem. - Dotknij moich pleców.

Hillary popatrzyła na niego zaskoczona.

- No, nie krępuj się - nalegał. - Przesuń po nich dłonią. - Czekał, aż w końcu podniosła rękę. - Nie, nie przez marynarkę. Wsuń rękę pod spód. O tak. A teraz przesuń palcami po całych plecach. Co czujesz?

Hillary głośno przełknęła ślinę.

- Jakieś nierówności. - Wiedziała, że nie jest to faktura koszuli, uszytej z najdelikatniejszego jedwabiu. Skóra pod nią wydawała się cała w chropowatych bruzdach, jak ziemia w Timiny Cove pod koniec deszczowego sezonu.

Hillary ze zgrozą wyszeptała:

- Dlaczego mi wcześniej nie powiedziałaś?

- Po co? Byłaś związana z Johnem. Uważałem też, że to, co między nami zaszło, było tylko naszą sprawą.

- Ale przyszedłeś do mnie. Wiedząc, że czuję coś do Johna, przyszedłeś do mnie. Jeśli nie chciałeś się zemścić, to co innego miałeś na myśli?

- Musiałem się gdzieś zatrzymać - padła prosta odpowiedź. - Chciałem zarobić pieniądze

i zrobić karierę. Nowy Jork bardziej niż jakiegokolwiek inne miasto mógł mi to zapewnić, a ty byłaś tu jedyną znaną mi osobą. Więc przyszedłem do ciebie. Zналиśmy się z Timiny Cove. Nigdy nie przyszło mi do głowy, żeby mścić się na Johnie, wykorzystując do tego ciebie.

A jednak w pewien sposób dokonał tego teraz, opowiadając jej o wydarzeniach sprzed lat. Hillary była wstrząśnięta.

W tydzień później spotkała się z Arlanem w United Nations Plaza. Wciąż jeszcze była przygnębiona i miała nadzieję, że marcowe słońce podniesie ją nieco na duchu.

Arlan popijał colę z dużego kartonowego kubka.

- Dobra robota, Hilli. Miałaś rację, twoja historia jest strzałem w dziesiątkę.

Hillary nie odezwała się. Arlan trącił ją łokciem.

- Nie cieszysz się?

- Bardzo. Wydawca przystanął.

- Nie słyszę entuzjazmu w twoim głosie.

Przeszła jeszcze kilka kroków, po czym stanęła przy abstrakcyjnej, geometrycznej rzeźbie, wtłoczonej w betonową podstawę. Przysiadła na niej.

- Myślałam, że i bez takich sensacji ta książka będzie dobra.

- Dzięki nim staje się tylko pikantniejsza. - Arlan oparł stopę na cokole. - Jak dobrze znasz Cuttera Reida?

- Nie za bardzo. Znam go ze szkoły, ale chodził trzy klasy wyżej ode mnie.

- Czy był łobuziakiem?

- Tak się mówiło o nim w mieście. Ja postrzegałam go inaczej. Różnił się od innych, tak jak ja.

- I John.

- Mhm.

- Więc pewnego dnia, ni stąd, ni zowąd, Cutter stanął przed drzwiami twojego mieszkania. Jak tłumaczył swój wyjazd z Timiny Cove?

- Powiedział, że znudziło mu się bycie nikim, że pragnie coś w życiu osiągnąć, ale nie jest to możliwe w Timiny Cove. To akurat rozumiałam.

- Czy domyślałaś się, że chciał się odegrać na Johnie?

- Na początku nie. Mówił, że musi zrobić karierę, żeby zdobyć Pam. Chciał w jakiś sposób dostać się do zarządu St. George Mining, ale nie zdawałam sobie sprawy, że w grę wchodzi zemsta, dopóki sam mi o tym nie powiedział. Nie potrafił długo skrywać wściekłości. Nic

dziwnego, był nią cały przepelniony.

Arlan złapał zębami słomkę. Nie wyjmując jej z ust, powiedział:

- Dziwię się, że nie zgłosił pobicia na policji.

- Gdzie? - Hillary popatrzyła z kpina na wydawcę. - W Timiny Cove? Sądzisz, że Verne cokolwiek by zrobił?

- Cutter mógł pojechać do Portland. To, co zrobił John, jest przestępstwem.

- Ale Cutter nie miał na to żadnego dowodu.

- A plecy?

- Żadnego dowodu, że było to dzieło Johna. Poza tym Cutter uwierzył w jego pogróżki i chciał jak najszybciej wynieść się z miasteczka. Bał się, że jeśli tego nie zrobi, ucierpią na tym inni pracownicy kopalni.

- A więc kierował się altruizmem?

- Raczej szeroko pojętym egoizmem. Nie chciał brać na siebie odpowiedzialności.

- Myślisz, że John rzeczywiście spełniłby swoje groźby?

Hillary popatrzyła na rzekę East i kolejkę linową, przewożącą pasażerów z Roosevelt Island na Manhattan. Czowała się tak, jakby sama była zawieszona w powietrzu.

- Może.

- Nie wierzysz w to?

- Wolałabym nie wierzyć. Ale z drugiej strony nie chciałam dopuścić myśli, że John skatował Cuttera, a okazało się to prawdą. Potwierdziła to zresztą Pam, która widziała plecy Cuttera. A także Bumble.

Arlan wyglądał na zaskoczonego.

- Rozmawiałaś z nią?

- Pojechałam do Maine w zeszłym tygodniu, dzień po przyjęciu.

- Musi to być wiekowa osoba - zauważył Arlan z zadumą w głosie.

Hillary uśmiechnęła się lekko na wspomnienie przygarbionej i pokurzonej postaci.

- Nie jest aż tak stara, jak sądzą ludzie. Ma jakieś siedemdziesiąt pięć lat.

- To i tak dużo - skomentował wydawca.

- Dwadzieścia lat temu myśleliśmy, że ma dwa razy tyle! Arlan patrzył na towarzyszkę z niekłamanym podziwem w oczach.

- A więc odważyłaś się odwiedzić ją w jej szczurzej norze?

Hillary ponownie się uśmiechnęła. Arlan posiadał te same wyobrażenia o życiu staruszki

co mieszkańcy Timiny Cove.

- Ta szczurza dziura - oświeciła go - to w rzeczywistości niewielki domek, leżący w głębi lasu, kawałek za domem Cuttera. Trudno nazwać ten dom dziurą. Jest zupełnie nieźle wyposażony.

- Chcesz powiedzieć, że ma teflonowe garnki?

- Chcę powiedzieć, że Bumble ma nowoczesny piekarnik, lodówkę, kuchenkę mikrofalową, a nawet telewizję satelitarną. Widziałam też odtwarzacz wideo i sporą kolekcję kaset. Zdaje się, że przepada za komediami.

- Skąd, u diabła, wzięła te kasety?

- Od Cuttera. Przesyła je już od lat.

- Kuchenkę mikrofalową i całą resztę również?

Hillary kiwnęła głową na potwierdzenie.

- W podzięce za opiekę?

Ponownie poruszyła głową, po czym odwróciła twarz, czując na policzku podmuch słabej bryzy. Chłodny powiew studził gorączkę myśli, nekających jej umysł.

- A ty? Przyjęłaś Cuttera do siebie ze względu na dawne czasy?

- I ze względu na Pam. Wiedziałam, że go lubiła, a poza tym czułam się... winna.

- Co takiego? Westchnęła.

- Żywiłam do Johna tak mieszane uczucia, że przygarnęłam Cuttera z czystej przekory. Wiedziałam, że John zawsze stawał mu na drodze. Wydawało mi się, że jest moim obowiązkiem pomóc temu chłopcu wystartować w wielkim mieście. Oczywiście nie spodziewałam się, że mu się powiedzie. Ciężko pracował w kopalni, ale w Nowym Jorku to się nie liczyło. Nie przyszło mi też do głowy, że kiedykolwiek może stanowić zagrożenie dla Johna.

- A tak się stało? Czy o czymś nie wiem?

Hillary sama nie była pewna. Od czasu spotkania z Cutterem przed tygodniem zastanawiała się często, ile naprawdę wie o tym człowieku.

- Stał się osobą szanowaną, wśród jego znajomych znajdują się ludzie ze szczytów.

- Czy z tego powodu można sądzić, iż zagraża Johnowi?

- Niezupełnie. - Hillary próbowała zrozumieć, skąd bierze się w niej ten niepokój. - Tylko pamiętam, że kiedy się do mnie wprowadził, przepełniał go nieokiełznany i wręcz szalony gniew. Mówił, że wyjeżdżając z Timiny Cove myślał wyłącznie o tym, żeby dostać kiedyś Pam i Johna. Jeszcze mu się to nie udało, ale wątpię, żeby zrezygnował. Zwłaszcza w świetle wyda-

rzeń, o których mi opowiedział...

Poczuła, że Arlan uważnie się jej przygląda. Pragnąc uniknąć badawczego wzroku, gwałtownie wstała i odeszła.

Wydawca natychmiast do niej dołączył.

- Ciężko ci z tą wiedzą, prawda?

- Nawet nie wiesz, jak bardzo. Nienawidzę przemocy.

- To wspaniały materiał na książkę. Miał rację, ale nie uspokajało jej to.

- Hillary?

Nie zatrzymywała się.

- Rozmawiaj ze mną, Hillary.

- O czym?

- O tym, czy przypadkiem nie zaczynasz się wahać. Może się boisz?

- Nie. - Ale wiedziała, że jej odpowiedź nie zabrzmiała całkiem szczerze. Wiedziała także, że jeśli się nie wytłumaczy, Arlan nigdy nie da jej spokoju. - Po prostu nie spodziewałam się aż takich sensacji. Poraziła mnie ta cała historia z pobiciem.

- I z testamentem. Nie zapominaj o sfalszowanym testamencie.

Nie potrafiłaby.

- Ogromnie pouczająca historia - dodał Arlan, żując słomkę. - Ten facet naprawdę jest diabłem.

- Ma też dobre cechy.

- Ale nie o nich będziesz pisała w tej książce.

- Wiem - przyznała miękko.

Arlan zatrzymał się tuż przed nią, zmuszając, by także stanęła.

- Hilli, kontrakt jest w przygotowaniu, doszliśmy do porozumienia co do zasad. Masz termin do przyszłego lipca. Nie zawieź mnie teraz!

- Nie zrobię tego. Napiszę tę książkę.

- Ze wszystkimi detalami.

- Oczywiście.

- Mimo że kochasz tego faceta?

- Nie kocham go - mruknęła i odwróciła wzrok. - W przyszłym miesiącu bierze ślub.

Arlan pochylił się do Hillary.

- Ale nie kocha przyszłej żony. Spojrzała mu prosto w oczy.

- Czy to ma jakieś znaczenie? Odkąd to ludzie pobierają się z miłości? Odkąd sama miłość wystarcza, żeby związek przetrwał? Życie jest inne, Arlan. Miłość jest ulotna. Cieszymy się nią, kiedy jesteśmy młodzi i niewiele wiemy o świecie. Ale w dorosłym życiu miłość traci swoją wartość.

- Czy Cutter zgodziłby się z tobą?

- Prawdopodobnie tak.

- Myślisz, że przestał kochać Pam?

- Nie, ale ona wyszła za mąż za innego mężczyznę i znowu jest sam.

- Czy zrezygnował z Pam? Przecież przysięgał sobie, że ją dostanie. Od chwili, kiedy opuścił Timiny Cove, minęło siedemnaście lat. Czy uznał już swoją porażkę?

Hillary była przekonana, że nie, ale nie wypowiedziała tego na głos. Nie potrafiła sobie wyobrazić, żeby Cutter kiedykolwiek zapomniał o Pam, tak samo jak z pewnością nie zapomniał o Johnie. Może w głębi duszy nie chciała, żeby do tego doszło. Może romantyczna strona jej serca pragnęła zwycięstwa miłości i sprawiedliwości.

Mimo wszystko Cutter wyglądał na osobę zadowoloną z życia. Przecież, obiektywnie biorąc, powiodło mu się. Być może cieszyło go przeczucie, że w przyszłości uzyska jeszcze większą satysfakcję?

Sprawiał wrażenie człowieka, który wie, że wkrótce otrzyma zapłatę za doznane krzywdy.

A może tylko ona to sobie wymyśliła?

Musi zapytać Pam.

Rozdział siedemnasty

Boston, 1974

Pam pospiesznie zamknęła na zatrask drzwi łazienki i pochyliła się nad muszlą klozetową. Musiała zwymiotować, czuła, że żołądek podchodzi jej do gardła. Za pół godziny zaczęły się zajęcia, a czuła, że umrze ze wstydu, jeśli się na nich wygłupi.

Jednak nie zwymiotowała.

Tak samo jak przez ostatnie dziesięć dni, choć każdego ranka budziły ją nudności. Domyślała się przyczyn swych dolegliwości - bez wątpienia była w ciąży. Cieszyła się z niej, ale zarazem była przerażona.

Nagle zakręciło jej się w głowie, więc oparła się o drzwi kabiny, po czym uśmiechnęła w zadumie. W następnej chwili jej oczy wypełniły się łzami. Opuściła głowę i zasłoniła twarz dłońmi.

To się zdarzyło w ciężarówce Cuttera w tamtą zimną, grudniową noc. Żadne z nich nie było przygotowane. Nie spodziewali się, że będą uprawiać miłość, a już zwłaszcza w takim miejscu. Działali spontanicznie, bez kontroli, w desperacji.

Pam nie widziała Cuttera od tamtej pory.

Następny atak mdłości zmusił ją do pochylenia się nad muszlą. Ramionami wstrząsały dreszcze. Skóra pokryła się potem. Zamknawszy oczy, wzięła głęboki oddech. Musiała zapanować nad sobą. Nie chodziło tylko o zajęcia, które rozpoczynały się za dwadzieścia minut. Musiała zapanować nad całym swoim życiem.

Wyprostowała się, ocierając z twarzy łzy. Już spokojna, opuściła kabinę i podeszła do umywalki. Zimna woda przyniosła jej ulgę. Spryskała nią twarz i stałaby tam dłużej, gdyby nie to, że do łazienki weszła nieznajoma studentka. Pam wymamrotała przywitanie, po czym wysuszyła twarz ręcznikiem i wyszła.

Na całe szczęście miała jednoosobowy pokój i przed nikim nie musiała się tłumaczyć ze swojego stanu. Wzięła ciasteczko i położyła się na łóżku. Wiedziała, że jeśli będzie jadła, poczuje się lepiej.

Niestety nie pomagało jej w tym myślenie o Cutterze. Cierpiała. Nie widziała go już od dwóch miesięcy i ciążyło jej to tak samo jak utrata rodziców. Może nawet bardziej, bo nie знаła jego losów i dręczyła się, co się z nim dzieje.

Nie odzywał się do niej, ale przecież sama go o to prosiła, bojąc się zemsty brata. Po tygodniu rozłąki jej niepokój zaczął wzrastać. Miała nadzieję, że Cutter jednak znajdzie jakiś sposób, żeby do niej zadzwonić. W końcu sama to zrobiła, ale telefon pozostawał głuchy. Dzwoniła do niego jeszcze kilkakrotnie. Po trzech tygodniach ogarnął ją lęk.

Marcy, która utrzymywała stały kontakt ze swoją rodziną w Maine, powiedziała jej, że Cutter zniknął.

- Nie mógł tak po prostu przepaść bez śladu - upierała się Pam.

Ale Marcy obstawała przy swoim.

- Zrezygnował z pracy, wybrał pieniądze z banku.

- Ale dlaczego?

Marcy patrzyła na nią bezradnie.

- Ktoś musi wiedzieć, dokąd wyjechał. Wszyscy ci ludzie, w obronie których stawał tyle razy...

- Kazałam Lizzie dobrze się wypytać. Nikt nic nie wie.

- Nie martwią się o niego? - Pam była wściekła. - Nie zastanawiają się, że może ma jakieś kłopoty i tym razem to on potrzebuje pomocy? Nie pytają się o niego?

Marcy tłumaczyła jej spokojnie:

- Oni są inni, o nic nie pytają. Akceptują rzeczy takimi, jakie są. Przystosowują się. Cutter odszedł, a życie toczy się dalej.

Dla Pam nie było to takie proste. W ciągu następnych kilku tygodni nachodziły ją dręczące myśli. Czasami przypuszczała, że Cutter ją rzucił, bo zdecydował, że ich miłość jest dla niego za trudna. Jednak już po chwili nie mogła uwierzyć, że tak łatwo zrezygnował z walki o nią. Nabierała pewności, że w zniknięciu Cuttera maczał palce John. Nie mogła go o to zapytać. Nie mogła też porozmawiać z Simonem Blaise'em albo z Verne'em Walkerem. Była tak samo bezradna jak górnicy. Tylko że ona czuła się z tym o wiele gorzej.

Kiedy nie dostała o czasie okresu, tłumaczyła to sobie ciągłym stresem, w którym się znajdowała. Po miesiącu wiedziała już, jaka jest prawda. Nie musiała iść do lekarza, żeby ją potwierdzić. W jej wnętrzu rosło słońce, cząstka Cuttera, która sprawiała, że czuła się szczęśliwa, godna, spełniona.

I przerażona.

Zamierzała urodzić to dziecko. Co do tego nie miała żadnych wątpliwości. Nie miało znaczenia, że Sąd Najwyższy zalegalizował aborcję. Pragnęła tego dziecka. Obliczyła, że po-

winno przyjść na świat w październiku, co znaczyło, że do czerwca będzie miała czas spokojnie skończyć szkołę i może nawet nikt się nie zorientuje, że jest w ciąży.

Ale John z pewnością się domyśli. Nic się nie ukryje przed jego wścibskim wzrokiem. Wpadnie w szal, zwłaszcza kiedy się dowie, że dziecko jest Cuttera. Być może nie powinna mu tego mówić. Może mogłaby uciec, wynająć gdzieś mieszkanie i tam urodzić dziecko. Będzie już wtedy pełnoletnia. Będzie dorosła. Szkoła i college mogą poczekać.

Potem zdała sobie sprawę, że John wścieknie się niezależnie od tego, co ona zrobi. Na tę myśl poczuła ucisk w żołądku. Mimo wszystko urodzi to dziecko i będzie zachwycona, jeśli odnajdzie w nim najmniejsze podobieństwo do Cuttera. John może rzucać groźbami, może uciekać się do szantażu. Może też próbować manipulować nią jak w przeszłości, tylko że tym razem mu się nie uda. W jej wnętrzu rozwijało się nowe życie i było dla niej tak samo cenne jak własne. To wydarzenie przysłoniło jej cały świat i skłoniło do poważnych rozważań.

Zastanawiała się, czy jest to chłopiec, czy dziewczynka.

Czy opieka nad dzieckiem jest rzeczywiście tak uciążliwa.

Czy ludzie będą ją traktowali jak kobietę rozwiązłą.

Czy John ją wydziedziczy i czy w takim wypadku będzie miała dostęp do funduszy pozostawionych jej przez ojca.

Co powie na to Patrycja. I Marcy. I Hillary.

Gdzie jest Cutter.

Przez następne dwa tygodnie nieustannie zastanawiała się też, czy przetrwa semestr. Bez przerwy nękały ją mdłości i choćby nie wiadomo jak długo spała, ciągle czuła się zmęczona. Nie mogła pozwolić sobie na opuszczenie się w nauce, bo bała się o stopnie. Nie chciała również, by nawet najbliższe koleżanki ze szkoły dowiedziały się, że jest w ciąży, więc musiała kłamać, tłumacząc swój stan. I choć martwiło ją, że skoro czuje się tak źle, coś z nią może być nie tak, nie potrafiła zdecydować się na wizytę u lekarza. Nadal była niepełnoletnia. Lekarz natychmiast zgłosiłby jej stan Johnowi.

W pierwszych dniach marca sprawa sama się rozwiązała, kiedy na zajęciach z historii sztuki podniosła się z krzesła, po czym zemdlona upadła na podłogę. Gdy się ocknęła, zobaczyła nad sobą zatroskane twarze. Z trudem się podniosła, uspokajając wszystkich, że nic jej nie jest i pewnie by ich przekonała, gdyby nie dyrektorka szkoły, która akurat przechodziła korytarzem. Uparła się, żeby Pam poszła do gabinetu lekarskiego. Co gorsza, wezwała Johna, który uznał, że należy zaprowadzić Pam do ich prywatnego lekarza.

- Strasznie wyglądasz - stwierdził po drodze, a Pam zdawała sobie sprawę, że tak jest naprawdę.

Czuła się fatalnie. Ciężarne kobiety powinny promienieć, a z niej biło tylko ogromne wyczerpanie. Działo się z nią coś złego. Była niemal tak samo przestraszona o zdrowie dziecka jak i o to, że John dowie się o ciąży. Przez jej skołatany umysł przebiegały coraz bardziej przerażające scenariusze. W chwili, gdy dotarli do gabinetu lekarza, była strzępką nerwów.

Lekarz natychmiast podał jej środek uspokajający. Kiedy zaczął na nią działać i osłabił jej protesty, doktor zbadał ją w sposób, który lekarzowi szkolnemu nawet nie przyszedł do głowy. Po zakończeniu oględzin okrył drżące ciało Pam kocem i wyszedł z gabinetu.

Leżała z ramieniem przykrywającym oczy, kiedy drzwi ponownie się otworzyły i zamknęły, a Pam wiedziała, że nadszedł moment sądu. Choć starała się zebrać w sobie, świat dookoła wydawał się jej odległy i zamglony. Mimo to nadal nastawiała się na walkę.

- Naprawdę to zrobiłaś - stwierdził John cichym i spokojnym głosem. - Jesteś w trzecim miesiącu.

Instykt nakazywał jej zaprzeczyć, choć nie wypadło to przekonywająco.

- Nie zrobił mi żadnych testów, nie ma jeszcze pewności.

- Nie musi robić żadnych testów, nie przy tak zaawansowanej ciąży.

Pam z trudem przełknęła ślinę. Znowu czuła mdłości, ale dziwnie odległe.

- Czy dziecko jest jego? - zapytał John.

Pomyślała, że skłamię, ale zabrakło jej sił. Poza tym była wściekła na Cuttera, że nie ma go przy niej w takiej chwili.

- Tak.

- Niczego nie używaliście?

- Jeden raz nie.

- Wystarczyło.

Pam miała wrażenie lekkości i spokoju - może przez środek uspokajający, a może dzięki uldze, którą poczuła, bo wreszcie prawda wyszła na jaw, a ona to przeżyła. John nie wydawał się tak zły, jak przypuszczała.

- Kiedy to się stało? - zapytał.

- W grudniu. Na początku.

- Widziałaś go od tamtej pory?

Przełknęła ślinę.

- Nie.

- Jesteś pewna?

Poirytowana, że wypytuje o rzecz, która ją najbardziej bolała, odjęła rękę z oczu.

- Nie mogę go odnaleźć. On odszedł. Nawet nie wie o tym, że jestem w ciąży.

- To dobrze.

- Wcale nie. To również jego dziecko. Dlaczego go tu nie ma razem ze mną? - Odwróciwszy głowę, podciągnęła koc pod sam podbródek. Było jej zimno, a przede wszystkim czuła się samotna. Powinna już była do tego przywyknąć, wiedziała o tym, lecz nic nie mogła na to poradzić. Drżała, ale nie z powodu chłodu, panującego w pomieszczeniu. Zimno emanowało z jej środka i koc na nic się nie zdawał.

- Pomogę ci.

Łzy napłynęły jej do oczu.

- Chcę Cuttera.

- On uciekł. Zwolnił się u Simona i uciekł. Nikt nie wie, gdzie jest. Może się domyślał, co się z tobą dzieje.

- Nie mógł.

- Nie ma w nim cienia odpowiedzialności.

- Po prostu nie wie, że jestem w ciąży, a ja nie mogę go odnaleźć.

- Co by zrobił, gdyby wiedział? Wróciłby tu?

- Tak.

- Nie sądzę. Nie ma pieniędzy ani pracy.

- Skąd możesz wiedzieć? Może pracuje gdzie indziej.

- I co robi? Przewraca hamburgery? Pracuje przy taśmie w jakiejś fabryce? Spójrz prawdzie w oczy, Pam, to straceniec. Ty masz przed sobą przyszłość. Będzie ci lepiej bez niego. Pociągnąłby cię na dół za sobą.

- Ale ja go pragnę.

John milczał przez chwilę.

- Jesteś zmęczona i nie myślisz jasno. Wiele przeszłaś. - Westchnął. - Dlaczego mi o tym nie powiedziałaś? Zamierzałaś przejść przez tę ciążę sama?

Zerknęła na niego przez ramię. Na jego twarzy malowało się współczucie. Znów nie miała pojęcia, czy może wierzyć w to, co widzi. To zapewne działanie podanych lekarstw. Widziała to, co chciałyby zobaczyć.

- Nie mogłam ci powiedzieć. Wpadłbyś w szal.

- Czy tak się stało?

Zawahała się.

- Nie.

- Potrafię zachować rozsądek.

- Rzadko kiedy, gdy w grę wchodzi moja osoba.

- Mówisz tak, bo nalegałem, żebyś poprawiła stopnie? Ale przecież udało ci się. Czy nie czujesz się z tym lepiej?

Wpatrywała się w mówiącego szeroko otwartymi oczami. Jego głos brzmiał łagodnie. Przypomniała sobie, że już kiedyś zwracał się do niej w ten sam sposób. Wtedy o mało co jej nie zgwałcił. Ale teraz nie mógł o tym myśleć. Nie w gabinecie lekarskim. Nie z kobietą ciężarną i na dodatek chorą.

Odsunął wilgotne pasma włosów z jej czoła i powiedział:

- No chodź. Wstań i ubierz się. Potrzebujesz odpoczynku.

- Czy dziecko jest zdrowe?

- Jesteś osłabiona. Widocznie mało jadłaś.

- Cały czas mam nudności.

John podszedł do drzwi.

- Poradzimy coś na to. Poczekam na ciebie na zewnątrz.

Pam odczekała, aż drzwi zamkną się za wychodzącym, potem wstała. Środek uspokajający spowolnił jej ruchy, sprawił, że miała ciężkie nogi i ręce. A może to wynik wyczerpania. Albo zaskoczenia. John nie zareagował tak, jak się tego spodziewała. Nie wiedziała, co powinna o tym sądzić. Nie codziennie był miły. Pamiętając o Palm Beach, nie chciała mu zaufać. Ale potrzebowała kogoś, na kim mogłaby się oprzeć. John poruszył w rozmowie bolesny temat. Myśl, że miałyby samotnie przejść przez ciążę i poród, przygnębiała ją. Chciała, żeby to był Cutter, ale, do diabła, nie było go z nią. Jeśli John zaakceptuje dziecko, nie będzie mogła odrzucić oferty pomocy z jego strony. Po trzymiesięcznym trzymaniu wszystkiego w tajemnicy czuła ulgę, że wreszcie może o tym otwarcie mówić.

Kiedy znaleźli się w samochodzie, John w dalszym ciągu zwracał się do niej z troską. Upewniał się, czy nie jest jej zimno lub duszno, pytał, czy nie powinien opuścić jej oparcia. Wyczerpana, z wdzięcznością przystała na to, przytuliła się do siedzenia i zasnęła. Kiedy się obudziła, była zaskoczona i dezorientowana.

- Gdzie jesteście?

- Na Route Six.

Wyjrzała przez okno, jednak dalej nie rozumiała, dokąd jadą.

- To jest szosa do Cape.

- Zgadza się.

- Dlaczego tam jedziemy?

- W Chatham znajduje się prywatny szpital. Odpoczniesz tam.

Pam jeszcze bardziej się wyprostowała.

- Myślałam, że odwieziesz mnie do szkoły.

- Pam, zrozum, zemdliałaś. Jesteś wyczerpana. Szkoła to ostatnie miejsce, do którego bym cię zawiózł.

- Ale zbliżają się egzaminy. Muszę się uczyć.

- Najpierw musisz odzyskać siły.

- W takim razie zabierz mnie do domu.

- W szpitalu będziesz miała odpowiednią opiekę.

- Nie potrzebuję żadnej opieki. Chcę wrócić do domu.

- Uspokój się, wszystko będzie dobrze. Spędzisz tu tylko kilka dni. W przyszły poniedziałek znajdziesz się z powrotem w szkole. Wystarczy ci czasu na naukę.

- Nie podoba mi się to.

- To rozsądne postępowanie. Jesteś w kiepskim stanie. Pozwól, że teraz dla odmiany to ja zaopiekuję się tobą.

Znów było jej niedobrze i nie miała sił dalej się sprzeczać. Ale niepokój pozostał. Działo się coś dziwnego, lecz nie miało to nic wspólnego z jej samopoczuciem.

John zatrzymał się przy dużym wiktoriańskim budynku, otoczonym przez niskie drzewa i krzewy. Wprowadził Pam do środka. Czekało już na nich. Pam natychmiast zaprowadzono do ładnego pokoiku, gdzie pielęgniarka o łagodnym głosie pomogła jej się rozebrać i położyć do łóżka. Wróciła po chwili i zrobiła Pam zastrzyk.

- To tylko po to, żebyś spokojnie zasnęła - wytłumaczyła. Mówiła tak szczerze i miło, że Pam jej zaufała. Prawie natychmiast zasnęła.

Kiedy się ocknęła, w pokoju panował półmrok. Świeciła się tylko mała lampka. Pam rozejrzała się dokoła, ale była oszołomiona, powieki miała ciężkie jak kamienie. Znów zapadła w drzemkę, potem obudził ją jakiś ruch koło łóżka. Była to ta sama, uśmiechnięta pielęgniarka.

- Jak się czujesz?

- Jestem śpiąca.

- To normalne.

- Byłam taka zmęczona. - Ledwo poruszała ustami, ale nawet to sprawiało jej trudność.

- To przez ciążę. Teraz wszystko minie.

- Po trzech miesiącach?

Pielęgniarka rzuciła jej zdziwione spojrzenie, potem zaczęła poprawiać coś przy łóżku.

Pam zwróciła uwagę na stojący tam stojak i rurkę, prowadzącą do jej ręki.

- Co to jest? - zapytała niewyraźnym głosem.

- Glukoza.

- Czy ze mną jest tak źle?

- W ogóle nie jest z tobą źle, jesteś tylko trochę osłabiona. Po takim zabiegu zawsze podaje się płyny ustrojowe.

Pam starała się utrzymać wzrok w jednym miejscu.

- Po jakim zabiegu?

Pielęgniarka ponownie dziwnie się jej przyjrzała. Pam poczuła ukłucie w okolicy serca.

- Zabieg - powtórzyła niemal niedosłyszalnym szeptem.

Pielęgniarka uściśniła jej dłoń i powiedziała łagodnie:

- To ładniejsze słowo niż inne, nie sądzisz?

- Jakie inne? - szeptem zapytała Pam, ale już знаła odpowiedź. Wszystko do siebie pasowało - spokój Johna, jego pobłażliwość. - Jakie inne? - zapytała głośnie.

Minęła minuta, zanim doszła ją odpowiedź.

- Aborcja.

- Och, Boże! - wykrzyknęła Pam. Położyła rękę na brzuchu. - Miałam aborcję?

- Miałś zabieg.

- Boże! - Serce zaczęło jej walić, a oczy wypełniły się łzami. Rozglądała się dokoła oszałamionym wzrokiem, jakby szukała w pokoju kogoś, kto powiedziałby jej, że to nieprawda. Spojrzała na pielęgniarkę. - Już nie jestem w ciąży?

- Nie.

- Nie ma mojego dziecka?

- I tak nie było zdolne do życia. To stanowiło zresztą całą podstawę zabiegu.

Po policzkach Pam łzy płynęły strumieniami.

- Nie. Zrobiliście to tak szybko, że bym nie zdążyła się zorientować, co się dzieje. - Podniosła ręce do ust, by powstrzymać wyrywający się z nich krzyk obłędu. Przerażona pielęgniarka wybiegła po lekarza. Zjawił się w pokoju Pam niemal natychmiast. Tuż za nim pokazał się John.

Jak przez mgłę docierały do Pam fragmenty wyjaśnień zdenerwowanej kobiety.

- ...obudziła się... nie wiedziała... zabieg...

Lekarz odesłał siostrę, a następnie podszedł do pacjentki. Pam patrzyła na niego szeroko otwartymi, mokrymi od łez oczami. Uniosła głowę.

- Czy to prawda? - zapytała drżącym głosem.

- Że nie masz już dziecka? Tak.

Głowa opadła jej na poduszkę.

- Chciałam tego dziecka.

- Przyjechałaś tu na zabieg.

- Nie wiedziałam o tym. - Unikała wzroku Johna. Budził w niej obrzydzenie. - Chcę z powrotem moje dziecko. Chcę je mieć.

Lekarz pogładził ją uspokajająco po ramieniu.

- To, co przeżywasz, jest zupełnie naturalne. Takie doświadczenie jest ciężkie do zniesienia nawet dla dojrzałych kobiet.

- Chcę moje dziecko.

- To oczywiste, że masz poczucie straty. Ale podjęłaś słuszną decyzję. Jesteś za młoda na urodzenie dziecka.

- To bzdura. Pragnęłam go. Kochałam.

- A teraz męczą cię wyrzuty sumienia. To także jest naturalne. Jesteś zmęczona, bez sił i prawdopodobnie obolała.

Ból w podbrzuszu był niczym w porównaniu z bólem szarpiącym jej serce.

- Chcę moje dziecko!

- Wystarczy, Pam - rozkazał John, wysuwając się przed lekarza. - Stało się. Koniec. Nie możesz tego odwrócić.

- Potrzebuje czasu... - zaczął tłumaczyć lekarz przyciszonym głosem, ale John mu przerwał.

- Potrzebuje uznania faktów. - Spojrzał na Pam z gniewem, który prawdopodobnie tkwił w nim od samego początku. - Dziecka nie ma i nie jest to żadna strata. Ta ciąża była pomyłką.

Sama tak powiedziałaś. Nie planowałaś jej.

- Nieprawda! To było moje dziecko, moje i Cuttera. Nie miałaś prawa...

- To ty nie miałaś prawa... - wybuchnął John, ale zaraz się opanował. Odwrócił się do lekarza. - Chciałbym pozostać z nią chwilę sam na sam.

- Nie powinno się jej denerwować.

- Proszę jej podać coś na uspokojenie.

- Pielęgniarka jest już w drodze. Mimo to...

- Nie chcę więcej żadnych zastrzyków. - Pam łkała. - Oddajcie mi moje dziecko!

Lekarz spojrzał przez ramię na wchodzącą pielęgniarkę.

- O, już jest.

Pam odsunęła się na kraniec łóżka, ale John ją przytrzymał.

- Weź ode mnie te łapska! - krzyknęła.

- Zrobisz sobie krzywdę. Nie czujesz się dobrze.

- Czuję się wspaniale. Jestem w ciąży. - Zachłysnęła się łzami. - A przynajmniej byłam, dopóki ty się do tego nie przyłożyłeś. Nie chcę tego! - zawołała do lekarza, który stanął nad nią ze strzykawką w rękę. Wyrwała się Johnowi, ale w końcu zrobiono jej zastrzyk. - Ty szubrawcze! - krzyknęła między łkaniami.

- W porządku - wysyczał John. - Możesz mnie wyzywać, ile ci się tylko podoba, skoro przynosi ci to ulgę.

- Szubrawiec! Wredny, podstępny szubrawiec! Nie pozwolisz, żeby ktoś inny miał to, czego sam nie możesz dostać. Nie możesz mieć dzieci, bo żadna kobieta nie chciałaby się do ciebie na tyle zbliżyć...

John zasłonił dłonią jej usta i mocno ścisnął, przerywając w pół słowa. Popatrzył na lekarza.

- Proszę nas zostawić.

- Ona zaraz zaśnie - przypomniał doktor.

- Postaram się szybko wytłumaczyć jej kilka spraw, żeby obudziła się w lepszym nastroju.

- Nie sądzę...

- Wystarczy - uciał John.

Lekarz natychmiast opuścił pokój. John wymownie i nagłaco spojrzał jeszcze na pielęgniarkę, która również odeszła. Kiedy odwrócił się do Pam, z trudem powstrzymywała opada-

jące powieki.

- Chcę, żebyś mnie teraz uważnie wysłuchała - powiedział.

Nacisk ręki na usta sprawiał jej ból. Przymknęła oczy, ale z kącików płynęły łzy; tylko w ten sposób mogła wyrazić swój sprzeciw i pogardę.

John nie dał się zbić z tropu.

- Patrz na mnie, do cholery - warknął i mocno potrząsnął jej podbródkiem. Zaczął mówić dopiero, gdy podniosła powieki. - Po pierwsze, nie musiałaś się spotykać z Cutterem Reidem. Zakazałem ci tego. Mówiłem, że nie jest nic wart, ale ty myślałaś, że jesteś mądrzejsza, więc mnie nie posłuchałaś. Dopuściłaś do zbliżenia. Rozłożyłaś te swoje atlasowe uda i pozwoliłaś, żeby cię pieprzył. - Mówiąc, zgrzytał zębami. - I co osiągnęłaś? Znalazłaś się w kupie gówna! Jak zamierzałaś opiekować się dzieckiem? Hmmm?

Pam nie mogła odpowiedzieć, bo John wciąż zaciskał jej usta. Z jej gardła wydobywały się niezrozumiałe dźwięki, gdyż wbrew własnej woli nie była w stanie opanować płaczu.

- Masz tylko siedemnaście lat. Nawet nie skończyłaś liceum. Chciałaś zostać takim samym wyrzutkiem jak on?

Pam pochwyciła Johna za nadgarstek i resztką sił starała oderwać jego rękę od ust.

- To boli - udało jej się wydusić.

John zmniejszył nieco nacisk.

- To, co robie, jest dla ciebie najlepsze - brzmiała jego odpowiedź. - Ktoś musi się tobą zająć, skoro sama tego nie potrafisz. Narobiłaś sobie kłopotów, a ja pomogłem ci się z nimi uporać. To wszystko.

Łzy zaczęły szybciej płynąć z oczu Pam.

- To nie był żaden kłopot.

- Niezameżna, ciężarna nieletnia to nie jest kłopot?

- Chciałam urodzić to dziecko! - łkała.

- Nie masz pojęcia, co to znaczy wychowywać dziecko. Nie wiesz nic o poświęceniu, pracy i kosztach. - Wycelował palcem w jej twarz. - I nie mów mi, że ja też o tym nic nie wiem, ponieważ większość moich znajomych jest rodzicami. Nie waż się mówić - palec ugodził ją w klatkę piersiową - że żadna kobieta mnie nie chce. Gdybym tylko podjął taką decyzję, nie jedna, ale pięć kobiet pragnęłoby zająć ze mną w ciążę. Sam postanowiłem, że nie będę miał dzieci. Nie mam na to czasu ani chęci.

- Ale ja mam. Pragnęłam tego dziecka.

- Tak, ponieważ wiedziałas, że doprowadzisz mnie tym do szału. - Opuścił niżej twarz. - No, ale nie będziesz go miała. Spłynęło z wodą w toalecie.

Słyszając te okrutne słowa, Pam krzyknęła. Wybuchnęła płaczem.

- Pewnego dnia mi podziękujesz. Kiedy dorośniesz i zrozumiesz, jaką przysługę ci wyświadczyłem, padniesz przede mną na kolana.

- Nigdy, nienawidzę cię.

- Podziękujesz, gdy będziesz miała szanowanego i bogatego męża, dom większy od tego w Timiny Cove, luksusowy samochód i trójkę uroczych dzieciaków.

Pomimo środka uspokajającego łzy nadal zalewały twarz Pam, choć jej głos słabł.

- Chciałam mieć dziecko z Cutterem.

Oczy Johna zabłysły. Złapał Pam za ramiona i mocno nimi potrząsnął.

- Ani słowa więcej. Ani słowa.

- Nie zmusisz mnie do milczenia.

- Nigdy nie wiadomo. Jeszcze się o tym nie przekonałaś? Ciągłe nie rozumiesz, że to ja trzymam w ręku wszystkie sznurki? To ja decyduję, co się ma wydarzyć. Nie ty.

- Ale dlaczego? - krzyknęła. Walczyła z ciężkimi powiekami i nadchodzącym snem. - Co cię obchodzi, co ja robię, jeśli cię przy tym nie krzywdzę?

- Ależ krzywdzisz - oświadczył i wyprostował się. - Twoje poczynania mają bezpośredni wpływ na mnie. Jak sądzisz, dlaczego tak krótko cię trzymałem? Gdybyś nic dla mnie nie znaczyła, już dawno bym cię wyrzucił. - Zatrzymał się. - To by było nawet ciekawe. Mała dziewczynka zdana na własne siły. Po tym, jak wszyscy się nad tobą tak rozplęwali.

Pochylił się nad Pam, zaciśnięte w pięści ręce oparł na pościeli.

- Ciężko pracowałem na swoje nazwisko. Nie masz o tym pojęcia. Często się uśmiechałem, choć chciało mi się krzyżeć. Nadskakiwałem i całowałem czyjeś tyłki, choć pragnąłem tylko w nie napluć. Po tym wszystkim moje nazwisko staje się wreszcie sławne i szanowane - i nie zawdzięczam tego Eugene'owi. Ty także jesteś St. George. Zaszłaś w ciążę z prostym górnikiem, a to psuje mój wizerunek. To ze mnie będą się naigrawać. Za bardzo napracowałem się na swą obecną pozycję i nie pozwolę, żebyś mnie skompromitowała.

- Mam prawie osiemnaście lat - słabo wyszeptała Pam.

- Tak, jesteś prawie pełnoletnia - zgodził się. - Ale jeśli postanowisz zrobić z siebie idiotkę, nie dostaniesz ode mnie nawet centa. Twój wiek nie ma nic do rzeczy. Nie będę się tobą przejmował nawet wtedy, gdy skończysz dwadzieścia pięć lat albo wyjdiesz za mąż - zniszczę

cię. Tym razem miałaś szczęście, bo nikomu nic nie powiedziałaś. Ale jeśli jeszcze raz zrobisz przedstawienie, nie będę taki pobłażliwy. Będę musiał się ciebie wyrzec. Żeby zachować twarz. I uczynię to, uwierz mi. Uczynię na pewno.

Twarz Johna rozplątywała się przed jej załzawionymi oczami. Otepiała od lekarstw, nie mogła się zdobyć na inny sposób okazania pogardy, jak tylko odwrócenie od brata głowy.

Rozdział osiemnasty

Pam delikatnymi ruchami rozczesywała włosy Patrycji. Wcześniej podcięła jej same końce, tak jak przyrzekła podczas ostatniej wizyty, i teraz miała wrażenie, że pasma się mniej plączą. Zajęcie to sprawiało Pam przyjemność. W ostatnich miesiącach z większą niż poprzednio ochotą przychodziła do matki. Przebywanie z nią działało na nią uspokajająco. Zbawienna była już sama atmosfera szpitala. Zaczynała rozumieć, że można się tu zadomowić i nie chceć opuszczać tego miejsca. Był to swoisty, rządzący się własnymi prawami świat, do którego ten prawdziwy i okrutny nie miał dostępu.

Pochwyciwszy oparcie wózka inwalidzkiego, Pam pochyliła się na bok, by ocenić wygląd matki.

- Przydałyby się loczki.

Patrycja zarumieniła się i cicho wyszeptała:

- W moim wieku?

- Masz dopiero trzydzieści siedem lat! Będzie ci w nich wspaniale - zapewniła Pam i wskazała na swoją grzywkę. - Będziemy jak bliźniaczki.

Mogły nimi być. Miały podobne rysy, a skóra Patrycji pozostała gładka i sprężysta. Jedyną oznakę wieku i ciężkich przeżyć po wypadku sprzed pięciu lat stanowiły włosy, a właściwie ich kolor. Kiedyś były złote, a teraz zmieniły się w czyste srebro. Pam uważała, że są prześliczne, ale dla niej matka była zawsze piękną kobietą, nawet wtedy, gdy pogrążyła się we własnym, niedostępnym dla innych świecie.

- Bez loczków? - Uśmiechnęła się lekko. - W takim razie francuski warkocz.

Patrycja przytaknęła głową.

Pam stanęła za matką i wróciła do rozczesywania jej włosów. Nie spieszyła się, nie było takiej potrzeby. Nie było tu zegarów i czas ich nie naglił. Zamiast tego mogły się do woli cieszyć zielenią - patrzyły na drzewa, wysokie sosny i klony, niższe derenie i jałowce, okalające

szpitalne budynki. Było ich osiem, każdy innej wielkości, rozdzielone między pacjentów w zależności od ich potrzeb. Na początku umieszczono Patrycję w jednym z większych, na intensywnej terapii. Teraz mieszkała w małym segmencie, przeznaczonym dla pacjentów, którzy mieli pozostać w szpitalu przez dłuższy czas i byli w miarę samodzielni.

- Czy szkoła się już skończyła? - zainteresowała się Patrycja.

- Prawie. - Pam plotła srebrne pasma. - W przyszłym tygodniu będę miała egzaminy.

Po chwili ciszy Patrycja znowu zapytała:

- Będą ciężkie?

- Niektóre tak. Ale powinnam dać sobie radę. - Pam nie zależało już na wynikach. Chciała tylko zdać te egzaminy. - Czy słońce nie jest dla ciebie za ostre? Może przeniesiemy się w cień?

- Nie, tak jest dobrze - spokojnie odpowiedziała Patrycja.

Pam skończyła splatać włosy i chciała je czymś związać. Zdjęła z głowy cienką zieloną wstążkę i zawiązała ją na warkocz. Odsunęła się o krok i doszła do wniosku, że wstążka bardziej pasuje do Patrycji. Podobał jej się kontrast między zielenią a srebrną poświatą włosów. Na jej własnych, kasztanowych, zieleń kokardy niknęła. Ale czyż nie tak właśnie wyglądało życie Pam? Było szare i monotonne. Tego teraz pragnęła. Nie miała siły na więcej.

- Hej, tam - doszedł ich gromki głos. Pam uniosła głowę i zobaczyła uśmiechniętą twarz Boba Grossmana, zbliżającego się do nich po trawniku. Sprawiał miłe wrażenie, był przystojny, szczupły, choć zaczynał już lekko łysieć. Zadziwił swoim zachowaniem, ponieważ jak na psychiatrę był zaskakująco prostolinijny, a przy tym uprzejmy i delikatny. - Trudno powiedzieć, która z was to córka, a która matka. Pam, z każdym dniem wyglądasz doroślej, podczas gdy ty - oparł dłoń na ramieniu Patrycji - wprost przeciwnie. Wspaniały warkocz. Policzki Patrycji pokryły się rumieńcem.

- Dziękuję.

- Nie musisz. To ja powinienem dziękować za twoją obecność. - Zwrócił się do Pam. - Jak leci?

Wzruszyła ramionami.

- W porządku.

Złapał ją za rękę i pociągnął na trawnik. Usiedli tuż przed wózkiem Patrycji.

- Tak po prostu w porządku?

Pam podciągnęła nogi pod siebie.

- Właśnie.

- Czy nie zbliża się koniec twojego ostatniego roku w szkole? Czy nie powinnaś teraz szaleć i bawić się na całego?

Pam zmusiła się do nikłego uśmiechu i przewróciła oczami.

- Nie.

- Dlaczego nie?

Wzruszyła ramionami.

- Znudziłam się.

- Aaaa. - Bob mrugnął do Patrycji. - Kobieta zmęczona życiem. Szkoda, że nie mogę znaleźć się na twoim miejscu.

- Nie życzyłabym tego żadnemu z was! - stwierdziła Pam bardziej gwałtownie, niż zamierzała. Westchnęła. Oparła łokcie na kolanach i zaczęła się bawić żdźbłami trawy. Kiedy uniosła głowę, w oczach miała wyraz skruchy. - Przykro mi, że tak wybuchłam.

- Nic nie szkodzi - spokojnie rzucił Bob. - Cieszę się, że nie ukrywasz swych uczuć. Wszyscy czasami przechodzimy w życiu złe okresy. Wygadanie się przynosi ulgę.

Pam zerknęła szybko na matkę. Bob pochylił się w jej stronę, aż ramieniem dotknął jej kolan.

- Obawiasz się, że zmartwisz matkę. Ona dużo przeszła. Może nadszedł czas, żeby sprawdzić, ile potrafi znieść. - Pytającym wzrokiem patrzył na Patrycję, ale ta spoglądała na Pam.

Po długiej chwili, bardzo cichym i łagodnym tonem powiedziała:

- Tak.

Nie był to wyraz jakiegoś szczególnego zaciekawienia przeżyciami Pam, ale z pewnością świadczyło o większym niż kiedyś zainteresowaniu. Pam czuła wielką grudę w gardle. Ciężko przełknęła ślinę i zmusiła się do uśmiechu.

- To nic poważnego, naprawdę. Po prostu jestem w dołku. Szkoła jest tak mało inspirująca.

- Wielkie słowa - stwierdził z zadumą Bob. - Wygląda na to, że już z niej wyrosłaś.

- O tak - zgodziła się szybko Pam. Czuła się o wiele starsza od swoich kolegów. Nie bały jej już ich rozrywki.

- Kiedy jest ten wielki dzień? - zainteresował się Bob.

- Czwartego czerwca.

- Zaplanowałaś coś specjalnego?

Pam wzruszyła ramionami, po czym urwała kępkę trawy.

- Zostałam zaproszona na uroczysty obiad zaraz po ceremonii, ale... - Zmarszczyła nos.

- Nie masz na to ochoty?

- Nieee.

- John powinien coś zorganizować - odezwała się Patrycja niskim głosem.

- Już lepiej nie. - Pam niby to zażartowała, ale w tej samej chwili w jej oczach pojawiły się łzy. Mrugnawszy kilka razy powiekami, popatrzyła na matkę. - Chciałabym, żebyś przyszła.

Patrycja zacisnęła usta i krótko potrząsnęła głową.

- W takim razie ja przyjadę zaraz po uroczystości i zrobimy sobie piknik. - Zwróciła oczy na Boba, jego także zapraszając. Wołała być z nim niż z Johnem. - W trójkę uczymy moje zakończenie szkoły.

Patrycja ponownie szybko pokręciła głową.

Pam nie naciskała na nią. Wiedziała, że matka nie pozbyła się jeszcze swoich zahamowań. Bob tłumaczył, że chodzi tu o poczucie bezpieczeństwa i strach przed światem zewnętrznym. I choć Pam nie potrafiła dostrzec żadnego zagrożenia w pikniku urządzanym na szpitalnym trawniku, Patrycji najwyraźniej wydawało się inaczej. A tylko to się liczyło.

- Czy miałaś wiadomości ze Swarthmore? - zapytał Bob.

Pam kiwnęła głową.

- Przesłali mi kartę zdrowia i kwestionariusz w sprawie moich preferencji co do osoby, z którą chciałabym dzielić pokój. Wołałabym mieć pokój tylko do swojej dyspozycji, ale na pierwszym roku rzadko się to zdarza.

- Przyda ci się koleżanka.

- Wiedziałam, że to powiesz.

Bob uśmiechnął się.

- Typowa gadka psychiatry.

- No.

- Jednak to prawda. Pierwszy rok może być trudny. Bliski kontakt z inną osobą pomaga przetrwać stresy.

Pam wzruszyła ramionami.

- Ile entuzjazmu - zakpił lekarz. Kiedy nie skomentowała jego uszczypliwości, zapytał: - Cieszysz się, że tam idziesz?

- I tak, i nie.

- Denerwujesz się, bo będziesz musiała opuścić dom?

Pytanie trafiło w bolące miejsce. Z niechęcią popatrzyła w oczy mężczyzny.

- Już dawno go opuściłam. Nic mnie tam nie trzyma.

- A ty i John?

- Nic. Gorzej niż nic. Gdybym należała do osób gwałtownych, już dawno wbiłabym mu nóż w plecy.

- Naprawdę tak nie myślisz.

- Właśnie że tak. Czy wiesz, ile jest dla mnie wart college? Będę mogła wyjechać z Bostonu i John przestanie śledzić mój każdy krok.

Bob zerknął na Patrycję, ale ta beznamiętnie wpatrywała się w trawnik. Odwrócił się do Pam.

- Jesteś bardzo zła.

Pam była wdzięczna, że przypomniał jej o stanie matki. Bob był tak naturalny, że mimowolnie pobudzał ją do zwierzeń i szczerości. W ciągu ostatnich kilku miesięcy więcej niż raz otworzyła przed nim serce, jednak nigdy nie zdarzyło się to w obecności Patrycji. Nie było niczego złego w kontrolowanym mówieniu o kłopotach, ale co innego, gdy zaczynała pokazywać nagromadzony w niej gniew. Patrycja nie była na to jeszcze gotowa.

Jakby zrządzeniem losu, podszedł do nich fizykoterapeuta, więc Pam uściśniła matkę na pożegnanie.

- Naprawdę jesteś zła - odezwał się Bob, kiedy Patrycja zniknęła im już z pola widzenia.

- Tak.

- Niewiele trzeba, żebyś wybuchła.

- Nie.

- Nadal chodzi o aborcję? - Był jedną z niewielu osób, którym o tym powiedziała.

- Jak najbardziej.

- Dobrze się czujesz?

- Fizycznie tak. Ale jestem pusta w środku.

- Wciąż męczą cię wyrzuty sumienia.

- Ciągle myślę o tym, że powinnam była wiedzieć, co John planuje. Byłam za mało przewidująca. Zawiodłam własne dziecko. I Cuttera.

- Wygląda na to, że to Cutter cię zawiódł. Odzywał się do ciebie?

Potrząsnęła przecząco głową.

- Nadal za nim tęsknisz?

- O tak - szepnęła. - A teraz kończę szkołę. Wyjeżdżam z miasta. Nie będzie miał jak się ze mną skontaktować.

- Jeśli komuś naprawdę na czymś zależy, zawsze znajdzie sposób.

To spokojne stwierdzenie zmusiło Pam do zadumy. Wpatrywała się w swój kciuk.

- Może lepiej by było, gdybym nie znała tego porzekadła. Mogłabym sobie wyobrazić, że nie dzwoni do mnie, bo nie wie dokąd.

- Jesteś na tyle silna psychicznie, że nie musisz się w ten sposób oszukiwać.

- Nie czuję się silna.

- Ale jesteś. Użyj tej siły na własną korzyść.

- Jak?

- Nie umiem ci tego powiedzieć. Sama wiesz, czego chcesz od życia. Albo i nie. Może jest jeszcze za wcześnie. Może po to właśnie jedziesz do college'u. - Zamyślił się. - Twoje plany na lato nie uległy zmianie?

- Nie. Chcemy w czwórkę objechać w dziewięć tygodni dziesięć państw. Nie wiem, czy mam na to ochotę.

- Może być zabawnie.

Pam westchnęła.

- Właściwie cóż lepszego można zrobić po zakończeniu szkoły? Zresztą już w zeszłym roku umówiłam się ze znajomymi i nie wypada mi się teraz wycofać. Myślę, że to miła forma spędzenia wakacji, zresztą nie widzę nic ciekawszego.

- Czy zdajesz sobie sprawę, ilu ludzi, nawet dorosłych, dałoby sobie odciąć rękę, żeby znaleźć się na twoim miejscu?

Zauważyła jego uśmiech, ale nie potrafiła mu się zrewanżować. Cichym głosem powiedziała:

- Wiem.

- Będziesz się dobrze bawiła.

- Może.

- Dużo się nauczysz.

- Aha.

- Sztuka. Pomyśl o sztuce.

- Możesz mi wierzyć - zakpiła - to jedyna rzecz trzymająca mnie przy życiu.

Dzieła sztuki rzeczywiście były wspaniałe. Pam i trójka jej znajomych zaczęli od Londynu, zwiedzając National Gallery, British Museum, Victoria i Albert Museum oraz Tate Gallery, nie wspominając już o Big Benie, Tower i Westminster Abbey. Z Londynu polecili do Rzymu, gdzie obejrżeli Kaplicę Sykstyńską, Galerię Borghesów i mnóstwo ruin. Pociągiem udali się do Florencji, gdzie Pam tłumaczyła towarzyszącej, na czym polega piękno Dawida, rzeźby Michała Anioła oraz bogactwo Pałacu Pittich i Galerii Uffizich. Kiedy dotarli do Mediolanu, trójka podróżników zaczęła się buntować. Poznali grupę studentów i woleli nocne hulanki zamiast wielogodzinnego wpatrywania się w *Ostatnią wieczerzę*, jak chciała tego Pam. Dołączyła do nich, ale była nieszczęśliwa. W Paryżu większość dni spędzała sama, zwiedzając wszystko, co chciała obejrzeć, po czym wcześniej wracała do hotelu. W tym czasie reszta kompanii dopiero wybierała się na zabawę.

Pewnego razu odkryła coś niezwykłego. Było to w czasie, gdy nacieszyła się już do woli zwiedzaniem Luwru, L'Orangerie i Jue de Paume, Muzeum Picassa i Muzeum Sztuki. Idąc małą uliczką, dostrzegła nagle kątem oka niewielki sklepik z biżuterią. Najpierw zainteresowała się klejnotami, wystawionymi w oknie - były to bransoletki i pierścionki z kamieniami, zręcznie wplecionymi w srebro i złoto. Weszła do środka. To, co tam ujrzała, było daleko bardziej fascynujące niż eksponaty z wystawy. Na pewno było odważniejsze i bardziej pomysłowe od biżuterii projektowanej przez „Facets”. Twórcą tych dzieł okazała się trzydziestoparoletnia kobieta, Monique Geffe, pracująca na tyłach sklepu. Była prawdziwą artystką, a przy tym osobą na tyle sympatyczną i uprzejmą, że bez wahania pozwoliła Pam zostać i popatrzeć, jak pracuje.

I Pam patrzyła - przez resztę popołudnia i przez cały następny dzień. Z zapartym tchem obserwowała, jak Monique rysuje szkic, wygniata metal, tnie go, modeluje i kształtuje, jak osadza w nim kamień i poprawia, jeśli coś jej nie pasuje. Pam wypytywała się o wszystko. Całkowicie pochłonął ją proces tworzenia pięknych przedmiotów z prostych materiałów, a biżuteria Monique była naprawdę przepiękna. Na koniec Pam zaczęła błagać artystkę, żeby pozwoliła jej zostać do końca lata.

- Coś w rodzaju praktyki u mistrza - prosiła potulnym głosem, ale brzmiała w nim niecierpliwość. - Oczywiście bez zapłaty, nie chcę żadnych pieniędzy. Pragnę po prostu nauczyć się tego, co pani robi. Chcę się przyglądać.

Monique mówiła łamanym angielskim, ale entuzjazm Pam sprawił, że się dogadały.

- A twoja przyjaciela? - dopytywała się Monique. - Co oni na to?

- Moi przyjaciele mogą jechać dalej beze mnie. Znają mój adres, w razie gdyby ktoś z domu chciał się ze mną skontaktować.

Na jedną chwilę wróciła pamięcią do Cuttera. Gdyby do niej zadzwonił, kazałaby mu tu przyjechać. Wynajęliby pokój w jednym z paryskich pensjonatów i kochali się do upadłego.

Zaraz też pomyślała o Johnie. Nie będzie się chciał z nią kontaktować, chyba że coś złego przydarzy się matce. Ale można temu zaradzić. Zadzwoń do Boba Grossmana i powie mu, gdzie jest. Zresztą Patrycja będzie wiedziała. Pam pisała do niej długie listy z każdego miasta, w którym zatrzymywała się na dłużej. Nie zważając na to, czy były one czytane, czy też nie, dobrze było udawać, że jest ktoś, do kogo można napisać.

Monique przystała na propozycję. Pam miała nadzieję, że artystka dostrzegła w niej talent, ale prawdopodobnie spodobało się jej, że Pam obdarza ją tak dużym szacunkiem. Nie wszyscy Amerykanie odnosili się tak do obcokrajowców. Pam była zdumiona przykrymi uwagami, rzucanymi przez jej rodaków. Nieraz stawała w obronie Monique, zaskakując nieuprzejmego klienta znajomością angielskiego. Monique twierdziła jednak, że szkoda na to czasu i energii. Winno się je wykorzystywać jedynie do tworzenia.

Kierując się tą zasadą, Pam spędziła cały lipiec i sierpień u boku Francuzki. Obserwowała bacznie jej pracę i uczyła się wszystkiego. Zamieszkała w małym pokoju niedaleko sklepu i chodziła do pracy przez sześć dni w tygodniu. W niedziele miała wolne i albo samotnie wędrowała po Paryżu, albo wybierała się na spacer z Monique i jej mężem. Mówił po angielsku jeszcze gorzej niż żona, ale Pam знаła już trochę francuski. Pod koniec lata posługiwała się nim z łatwością. Znacznie ważniejszym dla niej był fakt, że z końcem wakacji potrafiła wykreować całkiem profesjonalne egzemplarze biżuterii.

Chciała zostać dłużej, już dawno nie czuła się tak szczęśliwa. W chwilach uniesienia i dobrego nastroju marzyła o tym, że zostanie asystentką Monique. Nie potrzebowała zapłaty. Jednak Francuzka upierała się, żeby Pam wróciła do Ameryki. Pam się z tym nie zgadzała.

- Po co mi studia - pytała po francusku - jeśli to jest właśnie to, co chcę robić?

- Musisz zyskać profesjonalną wiedzę, której ja ci nie dam. Musisz ukształtować swój własny styl. Widać go już w twoich szkicach, ale jest jeszcze zbyt surowy.

- Może i jest surowy, ale tutaj nauczę się więcej niż w Swarthmore.

Monique przecząco pokręciła głową, machając przy tym rękami.

- Nie, nie, nie. Nie Swarthmore. Rozmawiałam o tym z Phillipem. Zna osoby, które studiowały w Ameryce. Mówią, że Swarthmore to niezła szkoła artystyczna i ma dobry program

nauczania, ale istnieje o wiele lepsza uczelnia. - Wyjęła z torebki kartkę, rozprostowała ją i położyła przed Pam na stole.

Dziewczyna przeczytała nazwę widniejącą na kartce papieru.

- To niemożliwe - mruknęła po angielsku. Przechodząc na francuski, powiedziała: - To jest w Bostonie, a ja chcę wyjechać z tego miasta.

- Słyszałaś o tej szkole?

- Oczywiście. Brałam tam nawet prywatne lekcje. Niektórzy z nauczycieli sami byli absolwentami Museum School. Widziałam ich wystawy.

- Były dobre, prawda?

- Owszem. Ale ja nie chcę zostać w Bostonie. Nie chcę być tam, gdzie znajduje się John.

- Będziesz blisko matki.

Monique o niej także wiedziała. Pewnego razu Pam otrzymała list od Boba, który pisał, że Patrycja nie tylko czyta listy córki, ale przez długie dni trzyma je przy sobie. Monique widziała, jak Pam płacze, i potem długo z nią o tym rozmawiała.

- Tak - zgodziła się Pam. - Byłabym blisko niej. Chciałabym tego.

- I będziesz miała własne mieszkanie, gdzieś blisko szkoły, może wspólnie z innymi studentkami. Nie będziesz musiała oglądać Johna częściej, niż gdybyś wyjechała do Swarthmore.

- Ale marzyłam o zmianie otoczenia.

- Czy Boston jest taki mały? Czy miejsce, w którym będziesz mieszkała i studiowała, nie różni się od dotychczasowego?

Pam musiała przyznać Monique rację.

- Ta uczelnia jest dla ciebie najlepsza, Pam. Tak twierdzi Phillipe, a on widział twoje prace. Ja także. Jeśli zechcesz wrócić tu w przyszłym roku, będę szczęśliwa, ale wtedy pewnie mnie już przerośniesz.

- Wątpię.

- Nie. Masz talent i entuzjazm. Nie boisz się pracy z różnymi materiałami. Wprost to uwielbiasz. Poznaję to po sposobie, w jaki się z nimi obchodzisz. Kochasz je i doceniasz. Rzadko który artysta posiada taką jak ty wyobraźnię, jeśli chodzi o posługiwanie się materiałem. Musisz rozwijać tę cechę. Kiedy to się stanie, twoje wyroby będą prawdziwymi dziełami sztuki. - Gdy wrodzona skromność nakazała Pam zaprotestować, Monique machnęła tylko ręką.

- W tym jest twoja przyszłość, Pam. Możesz stać się sławna i zrobić prawdziwą karierę. Jeśli tylko będziesz chciała.

Si tu veux. Te słowa odbijały się echem w głowie Pam podczas całego lotu przez Atlantyk. Kiedy wylądowała na lotnisku JFK i przesiadała się na lot do Bostonu, wiedziała już, że najbardziej w świecie zależy jej na odniesieniu sukcesu. Zdobywając sławę, mogłaby uniezależnić się od Johna. Mogłaby przejąć swój posag po ukończeniu dwudziestu pięciu lat i powiedzieć bratu, że może iść do diabła. Gdyby stała się naprawdę bogata i sławna, otworzyłaby swój własny sklep, konkurencyjny do „Facets”. To by ją usatysfakcjonowało.

Popuszczając wodze fantazji, wyobraziła sobie atelier na Newbury Street, może nie tak blisko Ritza jak „Facets”, ale nieco dalej, w okolicy, gdzie pracowali młodszy i bardziej awangardowi artyści. Pasowałaby tam, a z czasem, gdyby wyrobiła sobie nazwisko, przeniosłaby się bliżej centrum.

Stałaby się rywalką Johna także na scenie towarzyskiej. To by go kompletnie dobiło. Podkupywałaby mu klientów i robiłaby to bez najmniejszych wyrzutów sumienia. Ale najlepsze w tym wszystkim byłoby to, że Cutter mógłby ją odwiedzać w jej małym, eleganckim sklepiku i John nie miałby nic do powiedzenia.

Rozdział dziewiętnasty

Wpatrując się w wyciąg bankowy, Cutter pozwolił sobie na chwilę beztróskiego fantazjowania. Było to dla niego nowe doświadczenie, ale też niecodziennie widział na swoim koncie sześciocyfrową liczbę. Nie minęło nawet dziewięć miesięcy od chwili, jak opuścił Timiny Cove, a dorobił się już stałych dochodów i całkiem obiecującej przyszłości. Aż trudno uwierzyć, wspominając stan, w jakim zjawił się w Nowym Jorku.

Był zziębnięty, zmęczony i zaszokowany ogromem miasta, kiedy zadzwonił do drzwi Hillary. Podróż z lotniska była jedną wielką płataniną przesiadek - z jednego autobusu do drugiego, z jednej stacji metra do następnej. Nawet nocą miasto wydawało mu się po stokroć głośniejsze, bardziej zatłoczone i szybsze niż Boston. Ale Nowy Jork był właśnie tym miastem, do którego ściągali ludzie chcący czegoś w życiu dokonać, pragnący osiągnąć sukces. I Cutterowi się to udało. Na początku nie miał pojęcia, jak tego dokona, ale wiedział, że przyjeżdżając do Nowego Jorku, zrobił pierwszy właściwy krok w tym kierunku.

Patrząc wstecz, uświadomił sobie, że pojawienie się u Hillary stanowiło z jego strony wielki akt odwagi. Jeszcze wówczas, gdy mieszkała w Timiny Cove, przyjaźniła się z Johnem. Cutter nie wiedział, czy tak jest nadal, mimo to zaryzykował. Nie znał innego miejsca, do któ-

rego mógłby się udać.

Poza tym była przyjaciółką Pam, a on nade wszystko pragnął mieć o dziewczynie jakieś wiadomości.

Hillary nie tylko go wpuściła, ale bez wahania nakarmiła i przenocowała. Wydawało się, że jest zadowolona z jego obecności, nawet wtedy, gdy jej powiedział, że jest zapamiętałym wrogiem Johna.

- W takim razie dobrze się składa, że go tu nie ma - zauważyła rozsądnie.

- A może się tu zjawić?

- Raczej nie. Był w zeszłym tygodniu. Gdyby zjawił się po raz drugi w tym miesiącu, zacząłabym go podejrzewać o poważne zamiary. Nie dopuściłby do tego.

Więc Cutter pozostał. Z przebywania na terytorium wroga czerpał pewną satysfakcję. Wyglądało na to, że Hillary też to czuła. Dzięki temu wytworzyła się między nimi subtelna więź porozumienia.

Pierwsze dni prawie w całości przespał. Bolały go plecy i jeszcze w pełni nie odzyskał sił. Nie opowiedział Hillary o pobiciu, wstydził się tego. Jednak nie potrafił ukryć rozpierającego go gniewu, ponieważ głównie to uczucie pchało go do działania. Nie chciał też, by Hillary zapominała, iż udziela schronienia wrogowi Johna.

Mimo to wzięła go pod swoje skrzydła. Pomogła mu zdeponować w banku oszczędności, zabrała go do Bloomingdale i razem wybrali porządne ubranie, odpowiednie dla osoby poszukującej pracy. Później zaprowadziła Cuttera do agencji, prowadzonej przez jej znajomego, aby wyszukał mu jakieś zajęcie. Niestety, znajomy nie znalazł niczego godnego uwagi. Cutter nie miał ochoty zostać stróżem, pomocnikiem kucharza czy akwizytorem.

- Myślę, że powinieneś zastanowić się nad posadą szofera - stwierdziła Hillary w drodze powrotnej.

- Nosiłbym uniform i czapkę.

- Boisz się, że masz za dużą głowę?

- Taak. Właśnie. Mam też dumę.

- Ale nie masz na razie potrzebnej wiedzy, umiejętności ani doświadczenia, żeby ubiegać się o coś lepszego. Gdybyś przyjął tę posadę, pracowałbyś dla prezesa jakiejś wielkiej firmy. Mógłbyś przysłuchiwać się rozmowom największych przedsiębiorców w mieście i miałbyś okazję do nawiązania kontaktów. Wspaniałe perspektywy.

- Bycia szoferem?

- Dobrze rozegraj karty, a z pewnością zostaniesz przez kogoś odkryty. Jesteś błyskotliwy. Zadawaj odpowiednie pytania odpowiednim osobom, a szybko znajdziesz się na właściwej drodze.

Jednak Cutter wątpił, czy w prawdziwym życiu rzeczy toczą się takim torem. Zresztą przerażały go nowojorskie korki. Uznał, że stać go na to, by jeszcze przez tydzień lub dwa wstrzymać się z decyzją.

Oczekiwanie wpędzało go w depresję. Wstawał późno, a potem kręcił się po mieszkaniu Hillary z nadzieją, że telefon się odezwie. Kiedy cisza doprowadzała go do szaleństwa, wybierał się na długie spacerory. Zanurzał się w tłumie. Obserwował ludzi i starał się naśladować ich pospieszny krok. Robił wszystko, żeby stać się jednym z nich.

Jednak w głębi duszy czuł się jak oszust. Szedł ulicami miasta, ale nie myślał jak nowojorczyk. Myślał o Bostonie. Myślał o Pam.

Zastanawiał się, jak ona się czuje, co robi, czy myśli o nim.

Wpatrywał się w każdą mijaną budkę telefoniczną, lecz się nie zatrzymywał. Jej głos sprawiłby mu zbyt wielki ból. Pragnął ją zobaczyć, ale nie mógł. To było zbyt niebezpieczne. Postanowił sobie, że zadzwoni, jak tylko zrozumie, kim jest i dokąd zdąży, kiedy tylko zobaczy jakąś możliwość pokonania Johna. Wtedy wróci do jej życia. Należała do niego. Jeśli kocha go tak bardzo, jak twierdziła, poczeka.

Problem w tym, że nie wiedział, jak długo to potrwa. Gorąco pragnął, by nastąpiło to jak najszybciej, w przyszłym tygodniu, najwyżej za miesiąc, dwa. Ale to jakby prosił o cud. W tej chwili znajdował się na dnie - bez pracy, bez perspektyw, bez pieniędzy. Tak wiele jeszcze przeszkód musi pokonać, zanim dopadnie Johna.

Jego nastrój pogarszał się z każdym mijającym dniem. Hillary starała się go pocieszyć opowieściami o sukcesach innych, ale Cuttera to nie interesowało. Dla poprawy humoru próbowała wyciągać go na przyjęcia, ale pójście na jedno całkowicie mu wystarczyło. Było za głośno i za jasno. Czuł się wyobcowany, nie pasował do tych ludzi. Aż pewnego wieczoru zaciągnęła go, pewnie w poczuciu skrajnej desperacji, do baru na dolnym Manhattanie. Poszedł tam z jasnym postanowieniem, że się upije. Wystarczyły dwa piwa, a zobaczył coś, co go wprowadziło w irytację.

- Coś im się nie podoba - warknął pod nosem.

- Komu?

- Tym dwóm facetom przy stoliku w tyle. Cały czas gapią się na mnie. O co chodzi, wy-

glądam głupio czy co?

Hillary wypła już dwie szkockie i lekko kręciło jej się w głowie. Rzuciła krótkie spojrzenie przez ramię.

- Coś ci się wydaje. Wcale się na nas nie patrzą. Cutter nie odrywał wzroku od nieznajomych.

- Wybałuszają ślepią, jakbym miał rogi.

- Jeśli się gapią, to dlatego, że masz imponujący wygląd. Naprawdę tak jest, Cutter. - Uśmiechnęła się i podniosła szklaneczkę do ust. - Może im się podobasz. - Upiła łyk.

- Cholera. Idą tutaj. Ja się zmywam. - Zaczął się podnosić, ale Hillary położyła mu rękę na ramieniu.

- Usiądź. Byliśmy tu pierwsi. Nie odstraszy mnie dwóch dupków. Jeśli będą się stawiać, zawołam barmana. Wyrzuci ich. - Uśmiechnęła się. - Trochę zamieszania nam nie zaszkodzi.

Mężczyźni dotarli do ich stolika. Jeden z nich był wyższy i szczuplejszy niż drugi. Byli bez marynarek, mieli na sobie śnieżnobiałe koszule z podwiniętymi rękawami i poluzowane krawaty. Ich porządne fryzury zdawały się aż nazbyt zadbane; stali teraz nad nimi i wpatrywali się w Cuttera.

- Zastanawiam się - odezwał się niższy - czy nie moglibyśmy z tobą porozmawiać.

- O czym? - warknął Cutter.

- Ciekawi nas, kim jesteś, skąd przyjechałeś i czym się zajmujesz - powiedział wyższy z przybyłych.

Do tej pory tylko dwoje ludzi wykazywało takie zainteresowanie Cutterem - Eugene i Pam. Żaden z mężczyzn nie wyglądał na osobę posiadającą serce Eugene'a, a już na pewno w niczym nie przypominali Pam.

- To nie wasz pieprzony interes - odparł.

Mężczyźni spojrzeli na siebie znacząco. Cutterowi się to nie spodobało.

- Jeśli jesteście pedziami, wynoście się stąd do diabła.

Wyższy sięgnął do kieszeni i podał Cutterowi wizytówkę. Napis na niej brzmiał Douglas Verrana, wiceprezes firmy, której nazwa nic Cutterowi nie mówiła.

Obracał wizytówkę na wszystkie strony.

- Ładnie wygląda.

Hillary wyjęła mu ją z ręki. Jej reakcja wyrażała większy szacunek.

- Nie znam pańskiego nazwiska, panie Verrana, ale pracuję dla Wald-Newcomb. - Od-

wróciła się do Cuttera i wyjaśniła: - To jedna z największych firm reklamowych w mieście. - Wyciągnęła dłoń do nieznanego. - Hillary Cox, a mój przyjaciel to Cutter Reid. Jak możemy panom pomóc?

- Pani przyjaciel... - zaczął Verrana. - Czy niedawno zjawił się w Nowym Jorku?

- Można tak powiedzieć.

- Skąd pochodzi?

- Z Maine.

- Hillary... - ostrzegawczo mruknął Cutter, ale uciszyła go machnięciem dłoni.

- Czym się zajmuje? Hillary zawahała się.

- Dlaczego pan pyta? Odpowiedział drugi z mężczyzn.

- Nazywam się Pete Shorb. Pracuję z Dougiem. Szukamy modelu, a pani przyjaciel ma twarz, jakiej potrzebujemy.

Twarz, o której była mowa, wykrzywiła się z obrzydzeniem.

- Modela?

- Do kampanii, którą prowadzimy.

- Jakiej kampanii? - zapytała Hillary.

Cutter nie mógł uwierzyć własnym uszom. Wyglądało na to, że Hillary naprawdę jest zainteresowana.

- Hillary...

Zacisnęła dłoń na jego ramieniu.

- Co reklamujecie, panie Shorb?

- Kolekcję ubrań Girarda Jondiera. To czołowy europejski projektant, pracuje w Paryżu. Jest znany na kontynencie, a obecnie postanowił wejść na rynek amerykański. - Przyjrzał się Cutterowi badawczo. - Chodzi o znalezienie odpowiedniego mężczyzny, typowego Amerykanina, którego twarz stanie się nieodłączną wizytówką tej odzieży. Zdaje się, że pan może być człowiekiem, o jakiego nam chodzi. - Opuścił wzrok na barki Cuttera i jego pierś. Resztę zasłaniał stół. - Ile pan ma wzrostu?

Hillary odezwała się, zanim Cutter zdążył powiedzieć nieznanemu mężczyźnie, żeby spływał.

- Jak wyglądają te ubrania, tego Girarda Jondiera?

- Są eleganckie i bardzo drogie. Zaczynał od odzieży klasycznej, a teraz dodaje do tego ubrania sportowe. Chce obie linie wprowadzić do sprzedaży w Stanach. Mówimy tu o poważ-

nej modzie. Mężczyzna noszący ubrania Jondiera to osoba dystygowana i pewna siebie, to przywódca, zaś to, co nosi, mówi samo za siebie. To odzież z klasą.

Cutterowi podobał się ten opis. Tak właśnie chciał wyglądać, chociaż obecnie nic tego nie zapowiadało, chyba że zdarzyłyby się cud. Jednak propozycja zostania modelem zakrawała na absurd.

- Ile masz wzrostu? - powtórzył Shorb.

Myśl, że zawodowo miałby być ładnym chłopcem, wzbudzała w Cutterze śmiech. Jednak Hillary słuchała obcych, jakby widziała w tym coś poważnego. Doszedł do wniosku, że skoro ona jest zainteresowana, to jemu też się nic przez to nie stanie. Kiedyś obilo mu się o uszy, że modele zarabiają duże pieniądze. A te z pewnością by mu się przydały.

- Metr osiemdziesiąt osiem - powiedział.

- Waga?

- Osiemdziesiąt dwa kilogramy.

- I ani grama tłuszczu - dodała Hillary.

- Gdzie pracujesz?

- Jestem górnikiem - zadeklarował Cutter.

Mężczyźni wyraźnie się z tego ucieszyli. Ponownie uśmiechnęli się do siebie.

- Przyjechał pan z wizytą do miasta? - zainteresował się Shorb.

- I tak, i nie.

- Zależy od tego, czy znajdzie pan pracę - zgadł Verrana. - Jeśli chodzi o górnictwo, to nie znajdzie tu pan wiele propozycji. I mogę zagwarantować, że żadna praca, którą pan dostanie, nie będzie równie opłacalna jak u nas.

- O jakich sumach mówimy?

- Pięćdziesiąt tysięcy rocznie.

Cutterowi ta liczba wydała się astronomiczna, nie wierzył, że mógłby zarobić takie pieniądze. Jednak Hillary parsknęła w gniewnym sprzeciwie.

- Chyba pan żartuje. Jeśli chcecie twarz Cuttera Reida, będziecie musieli zapłacić o wiele więcej. Poza tym należy pomyśleć o reszcie jego ciała. Jest wart więcej niż pięćdziesiąt tysięcy rocznie.

- Nie wzbraniam się przed negocjacjami - stwierdził Verrana, patrząc na Cuttera.

Ten milczał. Zdał sobie sprawę, że z nich dwojga to Hillary jest postrzegana jako bardziej obyta, a co za tym idzie, sprytniejsza. I taka była prawda. Ale on był pojętym uczniem.

Jeszcze minutę wcześniej złapałby się na te pięćdziesiąt tysięcy, nawet nie podejrzewając, że mógłby dostać drugie tyle. Teraz jednak już wiedział.

- Ale nie wyprzedzajmy sprawy - ciągnął Verrana. - Zanim zaczniemy rozmowy o finansach, najpierw musimy sprawdzić, jak wychodzi pan na zdjęciach. Ma pan może portfolio? - Nie, oczywiście, że nie. Przepraszam, przyzwyczajeni jesteśmy do pracy z profesjonalistami.

Cutter wyczuł przytyk. Ukryta wiadomość miała mu powiedzieć, że jako nowicjusz nie może spodziewać się takich samych stawek, jakie otrzymują doświadczeni modele. Verrana nie wiedział jednak, że Cutter miał w nosie ten rodzaj zajęcia. Pieniądze stanowiły jedyny powód, dla którego chciałby to robić. Jeśli ma się zgodzić na poniżenie i sterczenie przed aparatem fotograficznym w jakichś firecykowatych ciuchach, zażąda za to słonej zapłaty. Jeśli ma to być pięćdziesiąt tysięcy, dobrze. Jeśli więcej, jeszcze lepiej.

Shorb skrobał coś z tyłu wizytówki.

- Czy pan może zjawić się jutro rano o dziesiątej pod tym adresem? - Podał wizytówkę Cutterowi.

- Po co? - Cutter przekazał karteczkę Hillary, jakby była jego menedżerem. Podobał mu się ten pomysł. John by się wściekł, gdyby się o tym dowiedział.

- Na zdjęcia próbne.

- Kto je będzie robił? - zapytała Hillary.

- Brian Webster.

Nazwisko nic Cutterowi nie mówiło, ale dłoń Hillary zadrżała z emocji.

- Brian Webster zazwyczaj pracuje za granicą. Jesteście panowie pewni, że znajduje się w kraju?

- Tak.

- I znajdzie dla nas czas, tak bez zapowiedzi?

- Zapłaciliśmy mu sowicie, żeby był do naszej dyspozycji w czasie kampanii - oznajmił Verrana. - Lepiej, żeby znalazł czas.

Shorb patrzył na Cuttera.

- Przyjdzie pan?

Po dłuższej chwili Cutter wolno pokiwał głową. Shorb rzucił rozpromienione spojrzenie na kolegę.

- Widzisz ten upór? To jest to, czego potrzebujemy.

Verrana zapytał jeszcze Cuttera, gdzie go można odnaleźć, gdyby nastąpiła jakaś zmiana

planów. Hillary pospiesznie podała mu swoją wizytówkę.

- Nie będzie pan żałował - stwierdził na odchodnym Verrana.

Cutter obserwował oddalających się mężczyzn i milczał. W chwili, gdy zniknęli za drzwiami, popatrzył bez uśmiechu na Hillary, po czym sięgnął po kufel z piwem i upił spory haust.

- Lepšie to niż szofer - zauważyła. Cutter zgodził się, ale dopiero po chwili.

Następnego dnia w czasie sesji zdjęciowej był w ponurym nastroju. Zbyt wiele osób go otaczało - fotograf i jego asystent, człowiek zajmujący się ubraniami, fryzjer, kosmetyczka, nie wspominając już Verrany, Shorba i z pół tuzina ich pomocników - wszyscy wpatrzeni w Cuttera. Dla takiego odludka jak on było to niezwykle irytujące. Co więcej, nie miał ochoty wkładać na siebie tych wszystkich dziwnych ubrań, pozwalać, by układano mu włosy i pudrowano nos. Czuł się jak głupiec na paradzie.

Ale spodobał mu się fotograf. Mówił prosto i spokojnie. Wyczuł skrępowanie Cuttera i próbował tak pokierować sprawami, by cała sytuacja stała się dla niego bardziej znośna.

Była to jedna z dwóch dobrych stron całej historii. Druga to suma pieniędzy, jaką zaproponowano Cutterowi za roczny kontrakt z Girardem Jondierem. John Torvall, agent, z którym skontaktowała się Hillary zaraz po udanych zdjęciach, wynegocjował takie warunki, że Cutter miał po co zapomnieć o zakłopotaniu i niedogodnościach w pracy.

Tak więc siedział z wyciągiem bankowym w dłoni, pogrążony w marzeniach. Wynajął już sobie mieszkanie, uczynił to zaraz po podpisaniu kontraktu. Choć nie było duże, wyposażone było we wszystko, czego potrzebował. Znajdowało się dość blisko mieszkania Hillary, ale miał wrażenie, że bez względu na odległość i tak spotykałby się często. Cutter ją lubił. Był jej wdzięczny za wszystko, co zrobiła, a poza tym była nadal jego jedynym łącznikiem z Pam.

Wiedział, że Pam skończyła średnią szkołę, że spędziła lato w Europie i studiuje teraz w Museum School w Bostonie. Rozpoczęła zajęcia przed tygodniem. Myślał o tym, żeby do niej zadzwonić - dzieliła pokój z dwiema koleżankami i z pewnością miała tam telefon. Ale nie zadzwonił z tego samego powodu, dla którego nie poleciał do Bostonu. Wolał nie myśleć o tym, co uczyniłby John, gdyby się dowiedział.

Czasami zastanawiał się, czy teraz sytuacja się nie zmieniła, skoro Pam osiągnęła pełnoletność, a on miał dobrze płatną pracę. Wystarczyłoby, żeby pokazał światu pokiereszowane plecy. Ale nie mógł tak ryzykować. Nie z człowiekiem tak wynaturzonym jak John.

W koszmarnej snach wracały do niego sceny pobicia. Pamiętał zwłaszcza dźwięki, ja-

kie wydawał z siebie John przy każdym uderzeniu - ochryple i charczące, jakby sprawiało mu to jakąś chorą, seksualną przyjemność. Przerazające były też jego ostatnie słowa, które wyszeptał do ucha Cuttera zjadliwym głosem.

„Jeśli ja jej nie mogę mieć, ty też jej mieć nie będziesz” - to zdanie ścigało Cuttera wszędzie. Próbował przypomnieć sobie, czy Pam w jakiś sposób dawała mu do zrozumienia, że była molestowana przez Johna. Nie pamiętał. I dobrze, bo gdyby kiedykolwiek dowiedział się o czymś takim, udusiłby faceta. Nawet gdyby miał skończyć za to w więzieniu.

Istniały jednakże inne drogi pokonania Johna i o nich właśnie rozmarzył się Cutter, wybierając pieniądze z konta. Jego myśli wybiegły parę lat do przodu. Gdyby dochód utrzymał się przez ten czas na podobnym poziomie, a on żyłby skromnie, to na jego koncie zebrałaby się niezła sumka. Mógłby umiejętnie zainwestować te pieniądze i pomnożyć kapitał. Im bogatszym byłby człowiekiem, tym miałby więcej szans w konfrontacji z Johnem. Nie wiedział dokładnie, co chciałby zrobić. W najdalszych marzeniach widział siebie triumfalnie przejmującego St.George Company. Jednak patrząc realnie, taka możliwość nie wchodziła na razie w grę i zdawał sobie z tego sprawę.

Niemniej musiał szybko coś wymyślić, żeby John pożałował swoich czynów.

Podczas gdy marzenia Cuttera sięgały wyżyn, Hillary poprzestawała na skromniejszych planach.

- Zamierzam pokazać Johnowi te zdjęcia - oznajmiła. Był późny listopad, a twarz Cuttera widniała w większości eleganckich magazynów.

- Nie rób tego.

- Dlaczego nie?

- Będzie się dziwił, skąd wiedziałaś, że je tam znajdziesz.

- Nie będzie. Zawsze czytałam magazyny mody.

- Tak czy inaczej nie rob tego.

- Jednak odnoszę wrażenie, że chciałbyś, żeby się dowiedział.

Jedli śniadanie, siedząc na ławce na wschodniej stronie Central Park. Cutter odstawił swój kubek z kawą na zniszczoną ławkę.

- Na razie wystarczy mi, że ja to wiem. Mam z tego sporo satysfakcji. Nie martw się, ludzie już o mnie mówią. W końcu się dowie. Może zdarzy się to na jakimś ważnym przyjęciu, a on zakrztusi się kawiozem.

- Daj spokój...

Cutter popatrzył na nią chłodno.

- On mi życzy tego samego. Hillary nie sprzeczała się.

- A co z Pam? Przynajmniej kilka razy w miesiącu rozmawiam z nią przez telefon i widuję ją, kiedy jestem w Bostonie.

Cutter wiedział o tym. Jak wygłodzony żebrak zbierający okruchy wypytywał ją o najmniejsze szczegóły tych spotkań.

- Ona zadaje pytania, Cutter. Pyta, czy czegoś o tobie nie wiem. Czuję się okropnie, okłamując ją, i to nie tylko dlatego, że jest moją przyjaciółką. Ciągłe o tobie myśli. Martwi się. Kiedyś w końcu wpadną jej w ręce twoje zdjęcia. Będzie zraniona.

- Nie rozpozna mnie. Wyglądam na nich zupełnie inaczej.

- Żeby Pam cię nie poznała, potrzeba o wiele więcej niż eleganckie ubranie i inna fryzura. Rozpozna cię natychmiast. Pozwól, żebym powiedziała jej prawdę. Przygotuję ją na nią. A najlepiej, gdybyś sam jej powiedział. Zadzwoń do niej.

- Nie mogę.

- Dlaczego nie?

- John mi tego zakazał.

- Pieprz Johna.

- To twoje zadanie.

- Och, przestań, Cutter.

- Nie mogę jej powiedzieć, Hillary. Jeszcze nie teraz. John skrzywdziłby zbyt wiele osób, mszcząc się na mnie, a ja nie mógłbym temu zaradzić.

- Nie tęsknisz za nią?

- Straszliwie, aż do bólu i wcale nie chodzi tu o seks.

- Więc spotkaj się z nią.

- Spotkam się.

- Kiedy?

- Wkrótce.

I rzeczywiście tak się stało. Niecały tydzień po tej rozmowie miał jeden dzień wolny, więc poleciał do Bostonu. Od rana chodził w tę i z powrotem po ulicy, wypatrując Pam między jej mieszkaniem a szkołą. Późnym popołudniem zobaczył ją; szła w towarzystwie koleżanki. Serce podskoczyło mu do gardła, aż musiał się oprzeć o drzewo, oddzielony od niej krzewami.

Z zachwytem chłonał jej widok. Wyglądała pięknie. Młodo, ale dorośle. Ubrana była w

luźne spodnie, obszerną bluzę i zarzuconą na nią długą kamizelkę. Na ramieniu miała przewieszony karton na rysunki. Włosy, zebrane w gruby warkocz, sięgały do połowy pleców. Z uszu zwisały jej duże złote koła.

Nagle podniosła głowę i rozejrzała się. Serce Cuttera zaczęło mocno walić - był pewien, że wyczuła jego obecność. Potem wróciła wzrokiem do koleżanki i obie pograżyły się w rozmowie, co chwila wybuchając śmiechem. Później zniknęły w budynku, gdzie mieszkały.

Gdyby Pam była sama, Cutter zapewne poszedłby za nią. Jednak widząc ją w towarzystwie, obserwując jej uśmiech, zadowolenie z nowego życia, nie mógł tego uczynić. Nie mógł ryzykować. Na razie nie mieli przed sobą przyszłości. Pewnego dnia, do diabła. Pewnego dnia...

Wrócił do Nowego Jorku. Czas płynął - jesień zamieniła się w zimę, a za nią niepostrzeżenie przyszła wiosna. Cutter zjeździł prawie cały kraj, ciężko pracując. Był fotografowany w garniturach Girarda Jondiera w San Francisco, Aspen, Key West. Jesienna kolekcja zdobyła sobie sporą popularność, zaś wiosenna zrobiła prawdziwą furorę. Girard Jondier był zadowolony z pracy swego czołowego modela, co w praktyce oznaczało nieporównanie wyższe honoraria w jego nowym kontrakcie.

Czasami, w chwilach zwątpienia, wracał do starych myśli, że jest szalony, zajmując się czymś takim. Prawdziwi mężczyźni nie zostają modelami. Cutterowi zależało jednak na szybkim wzbogaceniu się, a skoro nie umiał robić nic innego, obecne zajęcie wydawało się najszybszą drogą do osiągnięcia celu. Bez słowa wytrzymał więc i kilkunastogodzinne sesje zdjęciowe, męskie ręce, wygładzające materiał na jego ramionach, krzątanie się kosmetyczek i fryzjerów, a nawet żarciki na temat jego seksualnych upodobań. Wszystko to było mniej poniżające niż cierpienia zadane mu przez Johna, a co najważniejsze, nieźle wynagradzano jego hańbę.

Prywatnie życie Cuttera toczyło się spokojnie, prawie niezauważalnie, w zupełnym przeciwieństwie do jego pracy. Jednak już dawno nauczył się, że wielkie pieniądze wymagały wielkich poświęceń. Nie narzekał na brak zajęć. W każdym sezonie wychodziła na rynek nowa kolekcja, której towarzyszyła sesja zdjęciowa. Całymi dniami jeździł też po sklepach w charakterze reprezentanta Jondiera. Czasami Cutter myślał, że wolałby podpisać pakt z diabłem. Ale diabłem nie był Jondier, był nim John. Choć Cutter wielokrotnie padał ze zmęczenia, na nogach trzymała go zawsze wizja wygranej.

Jego twarz z każdym sezonem stawała się coraz bardziej znana w kręgach ludzi związanych z modą. Zapraszano go na przyjęcia, gdzie zawierał różne znajomości. Nie robił tego bez

zastanowienia, zależało mu na prywatności. Wybierał na przyjaciół tylko osoby, które jego zdaniem cechowała inteligencja, pracowitość i dyskrecja. W większości byli to przedstawiciele biznesu, i to oni stali się jego nauczycielami.

Poprzez nich poznał zaufanego doradcę finansowego, maklera giełdowego i bankiera; nie walczył już sam o swoje interesy. Po czterech latach pobytu w Nowym Jorku teczka z portfolio nie stanowiła wreszcie podstawy jego aktywów.

Przez ten czas rozpaczliwie tęsknił za Pam. Widywał ją często w takich miejscach jak Symphony Hall czy Locke Ober's, a czasami odważał się pójść za nią na Newbury Street, w pobliżu „Facets”. Drugi taki sklep został otwarty także w Nowym Jorku i Pam zjawiała się tam z okazji różnych uroczystości. Cutter mógł ją z daleka obserwować, widywał też Johna. I z tego, co mógł wywnioskować, nie chcieli mieć ze sobą nic wspólnego. Hillary potwierdziła, że prawie nie rozmawiają. Cutter pragnął dowiedzieć się czegoś więcej na ten temat.

Najbardziej jednak pragnął wziąć Pam w ramiona. Potrzeba ta była tak przejmująca, że czasami w nocy kulił się z bólu. Spotykał się z innymi kobietami, ale trwało to krótko i było przeżyciem czysto fizycznym. Cierpiał, kiedy otwierał oczy i twarz, na którą patrzył, nie należała do Pam.

Na krótko przed ukończeniem przez Pam studiów pojechał do Bostonu i pod osłoną nocy włamał się do jej pokoju.

Rozdział dwudziesty

Pam od lat nie mogła pogрузić się w głębokim, trwającym do rana śnie. Jej umysł był zbyt aktywny, by potrafiła się wyłączyć na dłużej niż trzy czy cztery godziny. Przynajmniej raz w nocy budziła się z myślą o usłyszonym wcześniej wykładzie, o pracy pisemnej, nad którą pracowała, czy biżuterii, którą właśnie wykonywała. Czasami budziły ją myśli o Johnie i Patrycji. Regularnie zaś budziła się, myśląc o Cutterze.

Tak też się stało tej nocy i jak zawsze wyobrażała sobie, że jest przy niej. Przekręciła się na drugi bok, zwinęła w kłębek i westchnęła. Potem usłyszała cichy odgłos, dochodzący z odległego końca pokoju. W jednej chwili senne rozmarzenie minęło. Całkowicie rozbudzona, usiadła gwałtownie i już miała krzyknąć, gdy postać wynurzyła się z mroku i przykryła ręką jej usta.

- Nie obawiaj się, to ja.

W pokoju panowała ciemność, a głos był tylko szeptem, ale Pam poczuła coś boleśnie znajomego w zapachu tej ręki i dotyku ust, które musnęły jej czoło. Kiedy dłoń opadła, szepnęła:

- Cutter?

- Tak.

Była pewna, że śni. Nie widziała Cuttera przez cztery i pół roku. Jednak teraz jej ręce dotykały żywego ciała. I jeszcze ten zapach, te usta.

- Cutter?

Spojrzał na nią i szepnął:

- Nie mogłem już dłużej wytrzymać. Musiałem cię zobaczyć.

Krew w żyłach Pam krążyła gorączkowo.

- Och, mój Boże. - Zarzuciła mu ramiona na szyję. - Nie mogę uwierzyć. - Drżącą dłonią dotykała jego twarzy. - Co... och, jak ty... kiedy...

- Ciii... - Pocałował ją w policzek, w nasadę nosa, w drugi policzek. - Wszedłem po schodkach przeciwpożarowych.

- Skąd wiedziałeś, gdzie mieszkam?

- Z tego samego źródła, z którego ty wiesz, gdzie ja mieszkam.

- Hillary. Ale nigdy nie przychodziłeś.

- Nie do środka.

- Byłeś na zewnątrz?

- Mhmm.

- Skąd wiedziałeś, który pokój jest mój?

- Czekalem, aż się ściemni, a potem obserwowałem.

- Niemożliwe.

- Tak było.

- Och, Cutter! - Znowu złapała go w objęcia, ale tym razem odszukała też jego usta. Jeśli przed chwilą miała jeszcze jakieś wątpliwości, teraz zupełnie się rozwiały. Nikt nie całował tak jak on. Nikt nie potrafił tak rozkoszować się i dawać tyle rozkoszy. Nikt nie umiał wzbudzać w niej tyle podniecenia samym oddechem. Poddawała mu się, popłynęła z nim, rosła, aż napięcie zmusiło ją do zaczerpnięcia powietrza. - Och, Cutter - powtórzyła. - Nie mogę uwierzyć, że tu jesteś.

- Jestem.

- Po takim czasie.

- Cztery lata.

- Więcej.

- Cztery i pół.

- Cała wieczność. Tak za tobą tęskniłam. - Znowu wtuliła mu się w ramiona, a gorące łzy popłynęły na jego szyję. Objął ją mocniej.

- Kochana. Była w niebie.

- Przez długi czas nie wiedziałam, gdzie jesteś, i kiedy wreszcie Hillary mi powiedziała, byłam zła na ciebie, że nie napisałeś albo choć nie zadzwoniłeś.

- Nie mogłem.

- Powiedziała, że się bałeś.

- Nadal się boję.

- Ale przecież stałeś się kimś ważnym. - Aż wstrzymała oddech na wspomnienie przeszłości i kiedy uniosła głowę, czuła się zawstydzona. - To niewiarygodne, ile dokonałeś. Przecierałam oczy, oglądając twoje reklamy w magazynach. Pokazywałam je moim znajomym i z dumą mówiłam, że znałam cię, zanim się stałeś sławny. Dużo podróżujesz. Spotykasz mnóstwo ludzi. Musisz prowadzić ekscytujące życie.

- To tylko droga do celu.

- Ale jest taka wspaniała. - Próbowwała przyjrzeć mu się, lecz w ciemności niewiele mogła dostrzec. Bała się włączyć światło, w obawie, że zobaczy twarz kogoś zupełnie obcego. Minęło tyle lat. Głaskała jego włosy. Były gęste i sprężyste jak zawsze, i jak zwykle potargane, ale czuła, że są zadbane. - Zmieniłeś się - powiedziała cicho.

- Nie.

- Musiałeś. Zaszedłeś tak daleko.

- Jestem nadal sobą.

- Kochasz mnie?

- Będę cię kochał aż do śmierci.

- Och, Cutter.

Pocałował ją, a potem jeszcze raz, dłużej. Zanurzył twarz w łuku jej szyi, owinał dłoń warkoczem. Po raz trzeci dotknął jej ust i popchnął lekko na łóżko.

- Do śmierci - wyszeptał ochryple - i zawsze będę cię pożądał. Potrzebuję cię, kochana.

Ona także go potrzebowała. Pragnęła poczuć jego ręce na piersiach, brzuchu, wszędzie.

Dał jej to. Dotykał, gładził, pieścił i kiedy zaczęła płonąć, ściągnął z niej nocną koszulę. Nie przestawał jej dotykać i gdy prawie ogarnęło ją szaleństwo, sam się rozebrał. W chwili, kiedy ich ciała już nic nie dzieliło, poczuli się jak kiedyś, tak zakochani, że cały świat przestał istnieć.

Pam nie chciała wracać do rzeczywistości. Kochali się, a potem Pam przywarła do Cuttera i leżała przytulona. Obejmował ją czule, gładząc palcami jej spoconą skórę.

- Jesteś jeszcze piękniejsza - wyszeptał. - Dojrzała.

- Jestem taka sama.

- Kończysz już studia.

- To nic nie zmieniło. - Dotknęła jego podbródka. - Tak za tobą tęskniłam, pragnęłam cię zobaczyć. Na początku ciągle wydawało mi się, że dostrzegam cię w tłumie, ale to nie byłeś ty. Kiedy Hillary powiedziała mi, gdzie mieszkasz, marzyłam o tym, żeby pójść do ciebie czy choćby zadzwonić. Prawie to zrobiłam. Ale się bałam. Bałam się Johna. I ciebie.

- Mnie?

Poczuła ucisk w gardle.

- Nie byłam pewna, czy nadal mnie kochasz. Ujął jej twarz i wpatrywał się w nią czułością.

- Powiedziałem ci, że będę cię kochał zawsze. Nieraz to powtarzałem i to prawda.

- Ale nie dzwoniłeś. Nie przychodziłeś. Po tamtej nocy nie odezwałeś się do mnie...

Pogładził ją po głowie i przytulił.

- Wybacz mi - wyszeptała. Gdyby była silniejsza, gdyby była uważniejsza, gdyby nie dała się zwieść Johnowi i jego pozornej dobroci, ich dziecko by żyło. - Przepraszam.

Uniósł jej twarz.

- To nie twoja wina, tylko Johna.

Serce mocniej jej zabiło.

- Wiedziałeś? - Kiedy opowiedziała o wszystkim Hillary, błagała ją o zachowanie tajemnicy. Winiła siebie za usunięcie ciąży i wydawało się jej, że nie jest w stanie znieść, żeby i Cutter ją za to obwinił.

Ale on myślał o czym innym.

- Znałaś groźby Johna. Byłaś przerażona i miałaś do tego prawo. To zły i podły człowiek. Ale osiągniemy go, Pam.

Poczuła ulgę i nowy przypływ sił.

- Pokazałam mu twoje zdjęcia. Warto było się do niego zbliżyć, by zobaczyć jego reak-

cję.

- Mówił coś?

- Był zaskoczony, potem ogarnęła go wściekłość. Umilkł i spał się cały. Przez chwilę myślałam, że wyładuje się na mnie. Tylko że ja się tym nie przejmowałam. Byłam taka dumna z tych zdjęć. Naprawdę jestem z ciebie dumna. Tyle osiągnąłeś.

- Miałem szczęście.

- Raczej rozum. Napotkałeś sprzyjające okoliczności i bez wahania je wykorzystałeś. - Musnęła dłońmi jego tors. - Jak to jest - być modelem?

- Nudne. A artystką plastykiem?

- Nie wiem. Jeszcze nią nie jestem.

- Zeszłej zimy miałaś wystawę w „Facets”.

- Pokazałam tylko kilka sztuk.

- Ale były cudowne.

- Widziałeś je? Kiwnął głową.

- Włożyłem garnitur i kapelusz, a twarz zasłoniłem okularami. Wyglądałem jak ktoś inny.

- Widziałeś moją wystawę, a nie rozmawiałeś ze mną?

Zadowolenie znikło z twarzy Cuttera.

- Chciałem, Pam. Straszliwie chciałem się z tobą zobaczyć. Ale natychmiast przychodził mi na myśl John i to, że jesteś teraz szczęśliwa. Nie chciałem tego zepsuć.

- Co się zmieniło?

- Ty. Szykujesz się do skończenia studiów. Nie było mnie przy tobie przez ten cały czas. Chciałem cię zobaczyć, zanim się przeniesiesz.

- Och, Cutter - westchnęła. Zaczęła go całować po brodzie i szyi. Zawsze to uwielbiała. Czowała w tym miejscu jego wszystkie reakcje. Kiedy był spokojny, szyja łagodnie pulsowała, a kiedy się ekscytował, stawała się naprężona, zupełnie tak jak w tej chwili; pożądał jej.

- Spójrz na mnie - szepnął.

Uczyniła, jak prosił. Nawet w ciemności widziała gorącą iskrę w jego oczach. Podniósł Pam i położył na sobie. Położył ręce na jej pośladkach i przyciągnął do siebie.

Wszedł w nią miękko. Była wilgotna i gotowa, a mimo to poczucie wypełnienia zaskoczyło ją. Zamknęła oczy, by czerpać jak najwięcej z tej rozkoszy.

- Patrz na mnie - przypomniał.

Kiedy to zrobiła, zaczął się poruszać. Myślała, że nie zniesie ognia, który ją spalał. Jęcząc, powtarzała jego imię, obejmowała go z całych sił. Chyba śniła. Nigdy nie myślała, że może być tak wspaniale. Z gwałtownością, która ją samą zdumiała, dochodziła do orgazmu i w końcu z urwanym krzykiem znieruchomiała. Trzymała go za szyję tak mocno, jakby od tego zależało jej życie. Wstrząsały nią dreszcze rozkoszy. Potem powoli wracała do rzeczywistości, czując, jak z kolei Cutter wpada w ekstazę. Przyglądała mu się, kiedy z zamkniętymi oczami, ciężko oddychając, opadł wreszcie na łóżko. Był cały lśniący od potu.

Po chwili położył sobie jej kciuk w kąciку ust.

- Tak bardzo cię kocham.

Przyciągnął ją do siebie.

- Niczego nie użyłem, Pam.

Minęła dłuższa chwila, zanim zorientowała się, o czym mówi.

- Nic nie szkodzi. Otworzył jedno oko.

- Stosujesz coś? Kiwnęła głową.

Teraz już patrzył na nią badawczo.

- Masz wielu przyjaciół? Hillary nic mi o tym nie mówiła.

- Nie mogła, nie zwierzałam jej się. Ale nie spotykam się z nikim specjalnym, Cutter. To tylko przyjaciele.

- Studenci?

- Tak, z Tuftsa. Mam tam zajęcia. Czasami odbywają się tam prywatki albo wykłady, a miło jest mieć kogoś przy sobie.

- Bierzesz pigułki?

W głosie Cuttera zabrzmiał lekki wyrzut. Przełożyła mu ramię przez pierś. Ciężko przełknęła ślinę, zanim odpowiedziała.

- Nie kontaktowałeś się ze mną. Nie miałam pojęcia, czy kiedykolwiek to nastąpi. Kiedy się dowiedziałam, czym się zajmujesz, pomyślałam, że o mnie zapomniałeś. Otacza cię tak wiele osób. Tak wiele kobiet.

- Nieprawda.

- No cóż, tak myślałam. Uważałam, że skoro jesteś zajęty, masz tyle ciekawych rzeczy do zrobienia, nie jestem ci więcej potrzebna. Czasami czułam się taka pusta w środku, że chciałam z kimś być. Wierzyłam, że to mi pomoże. Ale to nic nie dało. - Zamilkła. - Wybacz mi - wyszeptała w końcu, zastanawiając się, ile razy będzie musiała powtarzać te słowa. Czuła się

winna za tak wiele rzeczy.

Cutter tulił do siebie jej głowę. Mówił ochryplym głosem.

- Przestań mnie przepraszać, nie mogę cię za to winić. Mogę być zazdrosny, ale nawet do tego nie mam prawa.

- Czy miałeś wiele kobiet?

- Nie.

- Jedną, dwie? - Podniosła głowę. - Czy je znam?

Uważnie przyjrzał się jej twarzy, po czym uśmiechnął się miękko.

- Nie. I nie wyjawię ci ich imion. To nie jest istotne.

- Czy są w moim wieku? - Nie odpowiadał, więc zapytała: - Czy są modelkami?

- Pam.

- Muszą być piękne.

- Ty jesteś piękna.

- Czy są dobre w łóżku?

Cutter przekręcił się i przycisnął Pam do materaca.

- Nic ci więcej nie powiem - wyrzucił z siebie ze śmiechem. - Nieważne, kim są i jak wyglądają. Jechałem tu pięć godzin, a przez następne dwie siedziałem w samochodzie, czekając, aż odjadą policjanci, montujący jakiś cholerny znak stopu. Potem wspinałem się po drabince przeciwpożarowej, wyłamałem zamek w oknie i siedziałem w twoim pokoju z rękami między kolanami, aż nie potrafiłem dłużej wytrzymać i obudziłem cię. Gdybym pragnął innej, czy zrobiłbym to wszystko?

Zdała sobie sprawę, że Cutter mówi prawdę. Poczula się trochę lepiej.

- Moi przyjaciele okazali się okropni. Będąc z nimi, nic nie czułam, przynajmniej nie to, co czuję przy tobie. Jeden z nich zapytał nawet, czy przypadkiem nie jestem oziębła. Drugi nieustannie mnie przepraszał, ponieważ nie potrafił doprowadzić mnie do orgazmu. Z nikim nie jest mi jak z tobą, Cutter.

- Nie?

Potrząsnęła głową.

Patrzył na nią, lekko się uśmiechając, po czym przesunął wzrokiem po jej ciele.

- Jesteś taka piękna. - Przyciągnął ją do siebie, przekręcił się na bok i dotknął jej twarzy.

- Wydajesz się taka dobra, wrażliwa i miła. Nie mogę pojąć, że jesteś spokrewniona z Johnem.

- Marzyłam, żeby tak nie było.

- Czy często go widzisz?

- Jak najrzadziej.

- Zdziwiłem się, że wybrałaś uczelnię w Bostonie. Sądziłem, że chciałaś stąd wyjechać.

- Tak było, dopóki nie spotkałam Monique. - Opowiedziała o letnich wakacjach i o tym, jak wpłynęły na zmianę jej planów. - Od tamtej pory każdego lata jeżdżę do Paryża. Monique jest wspaniała. To ona namówiła mnie, żebym urządziła wystawę w „Facets”. Gdyby to zależało ode mnie, trzymałabym się od Johna jak najdalej. Ale Monique przekonała mnie, że byłabym głupia, rezygnując z kontaktów, o których inni artyści mogą tylko marzyć, i że nie istnieje żaden powód, dla którego miałabym nie wykorzystać „Facets” do rozwoju swojej kariery. Przyznałam jej rację. To sprawiedliwe, że mogę wreszcie uszczknąć coś od Johna, który przysporzył nam wszystkim tyle cierpień. Poza tym część „Facets” należy do mnie. To nie jest dużo i przez następne trzy lata nie będę miała wiele do powiedzenia, ale nazywam się St.George. Tata chciałby, żebym miała w „Facets” swoją wystawę.

- Dziwię się, że John się na to zgodził.

- Nie był zachwycony moim pomysłem, ale mu zagroziłam, że pójdę gdzie indziej.

- Naprawdę? Odważna dziewczynka!

- To łajdak, Cutter. W kopalniach go nienawidzą. Niby traktuje ludzi dobrze, ale zawsze muszą za to drogo zapłacić. Uwielbia pociągać za sznurki i oczekuje, że wszyscy będą tańczyć, jak im zagra.

- Czy ci się tu naprzykrza?

- Nie. Dzwoni czasami, żeby przypomnieć o swoim istnieniu. Jakbym mogła o tym zapomnieć. - A tego właśnie najbardziej teraz pragnęła. Cutter był przy niej i wydawało jej się, że rozmowa o Johnie niepotrzebnie zakłóca ich wspólne chwile. - Opowiedz mi o swojej pracy, Cutter. Powiedz mi, jak ją dostałeś.

Przesunął dłonią po jej biodrze.

- Hillary ci nie mówiła?

- Chcę usłyszeć wszystko od ciebie.

Nieco skrepowany, opowiedział o dwóch mężczyznach w barze, próbnej sesji zdjęciowej, kontrakcie i pierwszych zadaniach. Wypytywała się o wszystko, z najdrobniejszymi szczegółami. Miała wrażenie, że wynurza się z czteroletniej próżni. Nic nie było zbyt blahe, nieciekawe czy zbyt przyziemne. Chciała wiedzieć, o czym myśli, gdy pozuje, jak długo trwają sesje i czy woli studio, czy plener. Pytała, które ze swoich zdjęć lubi najbardziej i czy Girard

Jondier nosi projektowaną przez siebie odzież. Cutter opowiadał o tym, jakiego rodzaju aparatu używa Brian Webster, czy fryzjer Cuttera jest homoseksualistą i gdzie Cutter spędzał święta. Kazała mu opisać jego mieszkanie. Interesowało ją również, czy nadal dużo czyta, a kiedy potwierdził, chciała wiedzieć, jakie książki.

Była zaskoczona, gdy wymienił kilka tytułów.

- Kiedyś lubiłeś beletrystykę.

- Nadal ją lubię. Ale ostatnio nie mam zbyt wiele wolnego czasu, a literatura fachowa jest dla mnie ważniejsza.

- Książki o przedsiębiorczości?

- Niektórzy z moich znajomych to ważne postaci w świecie biznesu. Chcę rozumieć, o czym mówią.

- Ho, ho. - Pam zdziwiła się i uśmiechnęła. - Gdyby tata mógł cię teraz zobaczyć...

- Gdyby mógł zobaczyć ciebie - zrewanżował się Cutter, a potem zamilkł na moment. -

Czy myślisz, że sprzeciwiałby się naszemu związkowi, Pam?

- Na pewno nie.

- Ja też tak sądzę. - Znowu zamilkł. - A twoja matka?

Tu Pam było trudniej znaleźć odpowiedź.

- Nie wydaje mi się. Dużo jej o tobie mówiłam. Nie jestem pewna, co z tego do niej dotarło. Bob twierdzi, że wiele.

- Bob?

- Grossman. Jej psychiatra.

- Ten sam? Przez cały ten czas się nią zajmuje?

- Mhm. Myślę, że się w niej podkochuje.

Cutter zmarszczył brwi.

- Czy to zgodne z prawem?

- Całkowicie. Jest rozwiedziony.

- A co z etyką?

- Mama jest sparaliżowana. Co się może wydarzyć?

- Wiele.

- Mówisz poważnie?

- Zupełnie. Brian ma przyjaciela, który czasami przyjeżdża popatrzeć na jego pracę.

Chłopak był ranny w Wietnamie i nie może chodzić. Zawsze zjawia się z jakąś dziewczyną.

Prowadzi bardzo aktywne życie seksualne.

Pam starała się wyobrazić sobie Patrycję i Boba.

- No nie wiem, Cutter. Jakoś nie widzę w tym matki. Nawet gdyby miała czucie w tamtych partiach ciała, to i tak nie należy do kobiet namiętnych.

- Skąd możesz to wiedzieć? Tu strzelił w dziesiątkę.

- Nie wiem.

- Czy chłopak, który podejrzewał cię o oziębłość, potwierdziłby to, widząc cię tu ze mną?

Pam roześmiała się i zarzuciła mu rękę na ramię.

- Prawdopodobnie nie. - Ucałowała go w podbródek. - Dziękuję.

- Za co?

- Że podniosłeś mnie na duchu co do matki. - Cutter zawsze potrafił ją natchnąć nadzieją.

- Martwię się o nią. Byłoby inaczej, gdyby ją i Boba coś łączyło. Należy jej się trochę szczęścia w życiu.

- Tobie także - rzucił Cutter głosem przepelnionym ciepłem i współczuciem. - Co zamierzasz robić po skończeniu studiów?

- Będę pracować.

- W „Facets”?

- Z kilkoma projektantami. Chcę stworzyć własną kolekcję.

- Czy John ci na to pozwoli?

- Jeśli nie, zwrócę się do kogoś innego.

- A jeśli zacznie ci grozić? To jego metoda, Pam. Wiesz o tym tak samo dobrze jak ja.

- Jednak w którymś momencie nie zda się na nic. Nie jestem już dzieckiem.

- Wiek nie ma z tym nic wspólnego. To szalenie.

- Ale to niesprawiedliwe, nie w porządku. - Stary żal i gniew powróciły, a z nimi poczucie bezsilności. - Nic nie jest w porządku, kiedy w grę wchodzi osoba Johna.

- A „Facets” - przypomniał Cutter - przynosi niezłe dochody. Dywidendy dla udziałowców rosą z roku na rok.

- Skąd to wiesz?

- Czytałem sprawozdania.

- Czy posiadasz jakieś udziały?

- Niewielkie. Uśmiechnęła się.

- To wspaniale! Kup więcej, Cutter. Dobijesz go! - Potem uśmiech zniknął i zachciało jej się płakać. - Takie małe zwycięstwa. Marzę o czymś większym.

- Pewnego dnia.

- Kiedy?

- Pewnego dnia.

Nie spodobała jej się ta odpowiedź. Była zbyt ulotna, zbyt odległa.

- A teraz co mamy robić?

Przekreślił się na plecy i popatrzył w sufit.

- Rozwiniemy się. Ty wyrobisz sobie nazwisko, a ja zdobędę więcej pieniędzy.

- Wolałabym mieć ciebie zamiast sławy.

Głos Cuttera zabrzmiał twardo.

- Potrzebujesz jej. Da ci siłę.

- A pieniądze? Są ci naprawdę potrzebne?

- Tak.

- Nigdy nie przywiązywałeś do nich wagi.

- Wtedy żyłem nierealnymi marzeniami. Teraz to samo życie.

- To tylko pieniądze. Można za nie kupić różne rzeczy, lecz nic więcej.

- Mylisz się, można za nie kupić władzę.

Przeszedł ją zimny dreszcz. Dorastała w otoczeniu ludzi z pieniędzmi i władzą. Zawsze odnosiła wrażenie, że jedni korumpowali drugich. John stanowił najlepszy przykład.

- Czy władza ma dla ciebie tak wielkie znaczenie?

- Tak.

- Kiedyś tak nie było. Pamiętam, że nie chciałeś nawet zostać zarządcą w kopalni, nie chciałeś tej odpowiedzialności.

Obrócił twarz na poduszce. Jego oczy były czarne jak noc i równie twarde, jak jego głos.

- Nie rozmawiamy o stanowisku zarządcy kopalni. Teraz mam wyższe cele i są one w moim zasięgu. Dobrze zarabiam, a pieniądze rodzą pieniądze. Zaczynam myśleć, że miło by było mieć ich tyle, ile tylko można.

- Nigdy nie pożądałeś pieniędzy.

- Ale to się zmieniło.

Coś zakłuło ją w środku. Cutter, którego znała, miał proste przyzwyczajenia i pragnienia. Większość z nich dotyczyła jej osoby.

- Czy zdobycie fortuny jest ważniejsze niż my?

Zagniewany, uniósł się na łokciu.

- Nie możemy być razem. On się na to nie zgodzi, to niebezpieczne.

- Co może nam zrobić? Czy my obydwójce nie moglibyśmy mu się przeciwstawić?

- Jeszcze nie.

- Pozwolisz mu kierować naszymi losami?

- Nie. Sam kieruję moim życiem.

- Jak?

- Robiąc karierę.

- Ale co z nami? - zawołała. Kiedy nie odpowiedział, przeturlała się na brzeg łóżka i usiadła. - Już ci na mnie nie zależy, pochłonęło cię twoje nowe życie. Walczysz o władzę.

- Poczekaj chwilę. To, co robię, robię tak samo dla siebie, jak i dla nas.

- Nie chcę tych pieniędzy.

- Nie chodzi tylko o nie. Chodzi o władzę. Można ją kupić za pieniądze, a władza da ci wolność.

- Kiedy? Za pięć lat, za dziesięć? - Szukała w poplątanej pościeli koszuli nocnej. - Będziemy już wtedy starzy, Cutter. - Nałożyła koszulę i ruszyła do drzwi.

- Dokąd idziesz?

- Do łazienki. - Otworzyła drzwi i popatrzyła przez ramię na Cuttera. Wpatrywał się w nią. Na twarzy igrały mu blade błyski, dochodzące od lampki z korytarza. Twarz mu się nie zmieniła, tak samo jak mocne barki i całe muskularne ciało. Ale coś niezwykłego dostrzegła w jego plecach. Widniały na nich dziwne blizny.

Zamknęła drzwi. Oparła się o nie, nie odrywając oczu od pleców Cuttera. Wolno wróciła do łóżka. Sięgnęła do lampki i z wahaniem w końcu ją włączyła. Potem głęboko nabrała powietrza i zasłoniła usta dłonią.

Cutter wytrzymał jej wzrok, zły i niepewny zarazem. Nogą strzepnął z siebie kołdrę i wstał.

- Wyłącz światło - powiedział i podszedł do okna. Stał tam i oparł rękę na biodrze. Był wspaniale zbudowany; szerokie ramiona przechodziły w wąską talię i biodra, oparte na długich, mocnych nogach. Skóra, tak samo gładka i jędrna jak kiedyś, pokryta była lekką opalenizną.

Pam mogłaby przyglądać mu się godzinami, dla czystej przyjemności. Teraz jednak, nie mogąc oderwać oczu od rysunku blizn na plecach, czuła przerażenie.

- Wyłącz światło - powtórzył.

Uczyliła to wiedząc, że upiorny obraz na zawsze pozostanie w jej pamięci. Podeszła do Cuttera i z bliska przyjrzała się śladom. Potem wyciągnęła drżącą dłoń i przesunęła palcami po bruzdach.

Cutter wzdrygnął się.

- Przestań.

- Co się stało?

Milczał, wpatrując się w budynek po drugiej stronie ulicy.

Ponownie wysunęła rękę, by go dotknąć. Znowu drgnął.

- Ktoś cię zbiczował.

- Nie użył bicia, po nim nie zostałyby takie ślady. Poczowała skurcz w żołądku i dreszcze na całym ciele.

- To John? - Spojrzała w górę i zobaczyła, że Cutter zaciska szczęki. To jej wystarczyło za odpowiedź. Znowu zasłoniła dłonią usta. Przez chwilę myślała, że zwymiotuje. - Kiedy? - wyszeptała.

- Tamtego grudniowego dnia. Kilka godzin po naszym spotkaniu.

- Gdzie?

- U mnie.

- Tylko on?

- Było jeszcze dwóch.

- Och, Boże - jęknęła. Z oczami wbitymi w jego plecy, wyobrażała sobie, jaki koszmar musiał przeżyć. - Jak on mógł?

Podniosła rękę do pleców, ale gdy tylko je musnęła, Cutter okrzyknął się i złapał ją za nadgarstek.

- Najpierw straszliwie mnie pobili - wydusił. - John tylko się przyglądał. Nie tknął mnie. Nie chciał pobrudzić sobie rąk. Ale musiało mu się spodobać, kiedy tak objąłem się o kamienie i pnie drzew. Padał wtedy śnieg. Myślisz, że to pomogło? Nie, było tylko piekielnie zimno. Kiedy już byłem nieźle sponiewierany, John złapał za pas.

- Jaki pas? - Pam oddychała urywanie.

Bolał ją nadgarstek, ale nie zwracała na to uwagi.

- Jeden z jego znajomych był motocyklistą. Miał pas. Szeroki, nabijany ostrymi ćwiekami.

Pam krzyknęła i zaczęła się trząść.

Ale Cutter jeszcze nie skończył. Szeroko otwarte, pełne gniewu oczy wpatrzone były gdzieś w przestrzeń.

- Zerwali ze mnie koszulę. W tym przejmującym zimnie, którego zresztą długo nie czułem. Za każdym uderzeniem miałem wrażenie, że przypiekają mnie żywym ogniem. Darli mi skórę.

Pam znowu stłumiła okrzyk przerażenia.

- Wiesz, jaki to widok, kiedy krew skapuje na śnieg?

Nie odpowiedziała i wcale na to nie liczył.

- A Johnowi się to podobało! Ten bydlak dobrze się bawił. Tamci dwaj mnie przytrzymywali, a on walił pasem. Bił bez opamiętania, bez końca... - Cutter zamilkł nagle, zamrugał, jakby wracał do rzeczywistości. Później odezwał się głosem pozbawionym poprzedniej zawziętości, choć nadal słyhać w nim było twarde nuty. - Więc teraz wiesz, dlaczego tak bardzo pożądam władzy. Tamtej nocy byłem całkowicie bezbronny. Przysiągłem sobie, że nigdy więcej.

Wpatrywała się w jego twarz, przeżywając wszystko, co przeszedł.

- A policja? - szepnęła.

- Nie mogłem pójść na policję. Nie mogłem nic zrobić. Groził, że skrzywdzi ciebie. - Puścił rękę Pam i odwrócił się do okna.

Pam wydawało się, że wie, co to jest miłość. Sądziła, że jest to myślenie o kochanej osobie, pragnienie bycia z nią, miłość fizyczna. Całe lata kochała tak Cuttera. Ale musiała się jeszcze wiele nauczyć. Miłość łączyła w sobie również takie rzeczy jak opiekuńczość i poświęcenie. Cutter jej to dał.

Dotknęła jego pleców, a kiedy poczuła, że napina mięśnie, mocno przycisnęła do nich rozpostartą dłoń. Wyczuwała każdą ryś, bliznę, wgniecenie. Łzy spływały jej po policzkach.

Przysunęła się i przytuliła do zmalretowanego ciała. Objęła ramionami biodra mężczyzny.

- Cutter - szepnęła.

Całowała blizny jedną po drugiej, modląc się, by te pocałunki i łzy wygładziły jego skórę. Pieściła ustami każdy skrawek pleców. Następnie wspięła się na palce i zaczęła całować szyję Cuttera, a potem to miękkie miejsce za uszami. Całowała jego barki, ramiona. Wciąż obejmując go od tyłu, przesuwiała się w dół, dotykała dłońmi, aż zamknęła je na jego rosnącym członku.

- Kocham cię - wyszeptała i przywarła piersiami do pobrużdżonych pleców.

Brzuch oparła na jego pośladkach. Gładziła ciało kochanka, a jej zwinne, ruchliwe palce dochodziły do wszystkich zakątków. Cutter odwrócił się i oparł o ścianę, a ona całując go opadła na kolana, po czym wzięła w usta jego rozpaloną męskość. Robiła to już wcześniej, bo ją o to prosił. Tym razem zrobiła to dla siebie. Słyszając, że zaczął ciężiej oddychać, mocniej zacisnęła usta i wsunęła ręce między jego uda. Nie puszczała go nawet wtedy, gdy trzymając ją za włosy gwałtownie poruszał biodrami. Oderwała się dopiero, gdy osiągnął orgazm. W chwilę później leżała na podłodze, a Cutter, nadal twardy, wbił się w nią mocno.

Nie był delikatny. Jego wielkie ciało pchało ją w dębowe listwy podłogi, ale nie zważała na to. Zbyt go kochała, rozumiała jego potrzebę. Kiedy szczytował po raz drugi, objęła go ramionami.

Leżał na niej jeszcze długi czas. Było jej ciężko, ale nie skarżyła się. Tak długo go nie miała, że teraz mogła znieść wszystko, byleby tylko przy niej był.

W końcu podniósł się. Ukląkł z opuszczoną głową, potem wziął ją na ręce i przeniósł na łóżko. Położył ją delikatnie i przykląkł tuż przy niej.

- Czy sprawiłem ci ból? - zapytał cicho.

- Nie. Nie, Cutter. To ty doznałeś bólu. Chciałabym, żeby w jakiś sposób... żeby...

- Po prostu bądź tu, kiedy będę cię potrzebował.

Wiedziała, że to się zbliża. Po tym wszystkim, co jej powiedział, wiedziała, że z nią nie zostanie.

- Będziesz do mnie przychodził?

Potrząsnął przecząco głową.

- Nie mogę ryzykować.

- Ale przecież nie może zrobić ci nic więcej. Jesteś znany.

- Mógłby skrzywdzić ciebie, żeby dostać mnie. Nie pozwolę na to.

Mrok nie mógł ukryć smutku, rysującego się na twarzy mężczyzny. Dotknęła jej, pragnąc zetrzeć z niej ten smutek, ale dalej tkwił w jego oczach i duszy.

- Już mnie skrzywdził, bo nie mogę być z tobą. Co więcej może uczynić?

- Może odebrać ci twoje udziały. Może nie chce wystawiać twoich prac i przekupić rywali, żeby zrobili to samo. Może cię zgwałcić, a potem twierdzić, że go sprowokowałaś.

Wstrzymała oddech, zastanawiając się, czy Cutter wie, jak bliski był prawdy. Miała wtedy szesnaście lat. Teraz miała dwadzieścia dwa, ale tak jak wtedy czuła obrzydzenie i ten sam

strach.

- Mógłby zrobić coś, co skrzywdziłoby Patrycję - ciągnął Cutter. - Opowiadać o niej różne straszne rzeczy. Nie mogłaby się bronić. I Marcy. Wróciła do Maine i wyszła za mąż za chłopca, który pracuje w kopalni. John mógłby dużo popsuć w ich życiu. A co z Hillary? Jest moją dobrą przyjaciółką. Wreszcie coś się ruszyło z jej karierą. Ochronisz ją, kiedy John postanowi ją zniszczyć?

Pam przypomniała sobie te wszystkie razy, kiedy Hillary wysłuchiwała jej zwierzeń, opowiadała jej o Cutterze, udzielała pomocy. Choć było to prawie niewyobrażalne, biorąc pod uwagę jej związek z Johnem, Pam kochała ją jak siostrę.

- Nie.

- Ja także nie. A jego stać na wszystko, kiedy wpadnie w szal. Już się o tym przekonałem i nie mogę go nie doceniać.

Pam rozumiała to. Ona sama знаła brutalność brata.

- Tak więc staram się postępować ostrożnie. Zdobywam nazwisko i pieniądze. Nie potrzebuję ich dla nich samych czy dla władzy...

Uciszyła go, kładąc palce na jego ustach.

- Wiem. Myliłam się.

- To dla nas wolność. Czy wiesz, jak często myślałem o tym, żeby go zabić? Mówię o prawdziwym morderstwie. O przyłapaniu go w jakiejś ciemnej uliczce i zbiciu na śmierć. Skatowaniu go kijem baseballowym, przejechaniu samochodem. Nie jestem dumny z tych myśli, ale one mnie nachodzą, i tym bardziej go nienawidzę. - Puścił rękę Pam. - Ale ja to zrobię jak należy, Pam. Pobię Johna jego własną bronią. Zwycięzę go pieniędzmi i władzą, gdy je zdobęde. Ty możesz wykorzystać do tego biżuterię, którą tworzysz. Pomyśl o tym.

Nie chciała. Teraz myślała jedynie o tym, kiedy znowu zobaczy Cuttera.

- W lecie jadę do Paryża. Spotkaj się tam ze mną. Potrząsnął głową.

- Będę zajęty, jeżdżąc po kraju z jesienną kolekcją. Nie będzie mnie w Nowym Jorku aż do października i między innymi dlatego chciałem zobaczyć się z tobą teraz.

- W takim razie w październiku. - Podeszła i położyła mu obie dłonie na piersi. Miał ciepłą skórę. - Jeszcze nie zdecydowałam, gdzie zamieszkać. Szukam apartamentu w Back Bay. Hillary będzie znała mój adres i numer telefonu.

- Nie wiem, gdzie i kiedy się spotkamy, Pam. Ale podążamy właściwą drogą. Nie chcę tego zepsuć nieostrożnością.

- Będziemy ostrożni. - Zacisnęła ramiona na jego barkach, przerażona, że miną następne cztery lata, zanim go znowu ujrzy. - Kiedy zacznę pracę w „Facets”, będę musiała jeździć do Nowego Jorku. Będę się o to starała. Zatrzymam się w Park Lane... nie w Hiltonie - tam jest bardziej tłoczno, można się zgubić. Jeśli będziesz w mieście, moglibyśmy się tam spotykać. John nigdy się o tym nie dowie.

Cutter popatrzył na nią smutno, po czym przyciągnął ją do siebie. Przytulił mocno, ogarniając ją swoim ciepłem i zapachem. Nic nie mówił, tylko z każdą sekundą mocniej ją przyciskał.

- Zostań ze mną do rana - wyszeptała. - Przynajmniej jeszcze trochę.

Milczał, więc zaczęła się zastanawiać, czy ją usłyszał. Zamierzała powtórzyć prośbę, kiedy ułożył ją delikatnie w pościeli, kładąc się obok niej. Podniosła jego dłoń do ust, całując ją i ściskając.

Po jakimś czasie zasnęła. Kiedy się obudziła, tak jak się spodziewała, Cuttera już nie było.

Rozplakała się. To był jedyny sposób na wypełnienie ciszy i rozpaczliwej pustki. Otuliła się w przepelnione jego zapachem prześcieradło i podeszła do okna. Budził się ranek, rzucając słabe światło na budynek naprzeciwko. Pam szerzej otworzyła okno. Miał nastać następny ciepły dzień. Zastanawiała się, ile jeszcze ciepłych dni minie, zanim ponownie ujrzy Cuttera.

Im dłużej o tym myślała, w tym większą wpadała złość. Miała dwadzieścia dwa lata, wkrótce skończy studia. Na jesieni zacznie pracę, stanie się dorosła. To straszne, że John nadal kontroluje jej życie.

„Wyrób sobie nazwisko - powiedział Cutter. - Zwalcz go jego własną bronią”.

Mówił z taką pewnością siebie, ale jemu było łatwiej, nie musiał widywać się z Johnem. Jego zarobki nie zależały od niego.

„Możesz tego dokonać swoją biżuterią. Pomyśl o tym”.

Myślała. Myślała przez wszystkie następne dni, dzielące ją do ukończenia szkoły. I w czasie odbierania dyplomu, gdy na sali nie było ukochanej osoby, ponieważ Johnowi mogłoby się to nie spodobać. Wpadła wtedy w taką złość, że zrozumiała.

Musiała zdobyć władzę nad Johnem, a to oznaczało wniknięcie do „Facets”. Mogła tego dokonać dwiema drogami - albo poprzez swoje udziały, albo poprzez swoją pracę. Ponieważ do ukończenia dwudziestu pięciu lat nie mogła kontrolować udziałów, postanowiła zostać najlepszym projektantem „Facets”. Kiedy jej nazwisko nierozzerwalnie połączy się z firmą, zdobę-

dzie władzę i zwycięży Johna.

Rozdział dwudziesty pierwszy

Palm Beach, 1979

John poruszał się w tłumie gości ze zwykłą dla niego pewnością siebie. Znał większość osób, a tych, których nie znał, witał szerokim uśmiechem, życzliwym potrząśnięciem dłoni i zręcznym dowcipem. Takie pogawędki stanowiły jego mocną stronę. Pogrążony w błażej rozmowie mógł myśleć o ważniejszych sprawach, na przykład czy potrójny kandelabr nie świeci zbyt jaskrawo, czy nie zabraknie kanapek z kawiozem albo czy nie lepszy byłby szampan pół-słodki zamiast wytrawnego.

Odwróciwszy się od gościa w stronę przechodzącego kelnera, mruknął do niego cicho, tak żeby tylko on to mógł usłyszeć:

- Twój kolega po drugiej stronie sali zabawia się flirtowaniem. Proszę mu powiedzieć w moim imieniu, żeby takimi sprawami zajął się w wolnym czasie.

- Tak, sir - odpowiedział kelner i odszedł.

John wrócił do rozmowy, a po paru minutach przeszedł do następnej grupy. Goście wyglądali na zachwyconych. To mu schlebowało. Pragnął, by otwarcie „Facets” w Palm Beach stało się wydarzeniem, i tak było. Przyszło mnóstwo dziennikarzy, więcej niż przy otwarciu sklepu w Nowym Jorku, i to także sprawiło mu zadowolenie. Jego sklepy stawały się sławne. Interesowali się nim projektanci mody i dziennikarze piszący do kolumn towarzyskich. Wszystko było dobrze, dopóki nie pytali o Pam. John miał mieszane uczucia w tej sprawie. Z jednej strony ich zainteresowanie Pam wróżyło pomyślność dla firmy, z drugiej, odwracało uwagę od jego osoby.

Musiał przyznać, że prace Pam były znakomite. Wyjątkowe. Biżuteria, którą robiła, była zazwyczaj duża i prosta, oparta na zwojach złota, z niewielkim dodatkiem srebra i ekscytującymi kroplami kolorowych kamieni. Wykorzystywała tylko turmaliny. Sam wolał diamenty, ale nie mógł zaprzeczyć, że klejnoty zrobione przez nią sprzedawały się znakomicie. Z tego też powodu dał jej całkowitą swobodę przy projektowaniu.

Jednak był ostrożny, jeśli chodziło o prasę. Wcześniej mógł powstrzymywać dziennikarzy, mówiąc, że Pam jest jeszcze studentką i nie ma możliwości udzielania wywiadów. Obecnie tracił nad tym kontrolę. Można było z nią porozmawiać albo przy Newbury Street, albo w „Fa-

cets" w Nowym Jorku.

Podniósł kieliszek z szampanem i zza jego brzegu popatrzył w punkt sali, gdzie stała Pam. Wyglądała cudownie. Miała na sobie białą jedwabną suknię, sięgającą kostek, a na stopach srebrne sandały na wysokich obcasach. Włosy upięła w luźny kok na czubku głowy. Umalowana była tak samo prosto i ze smakiem, jak była ubrana.

John znał jej strategię. Nie chciała, by cokolwiek odwracało uwagę od biżuterii, i tak było. Na szyi miała szeroki srebrny kołnierz, nabijany różnej wielkości różowymi i wiśniowymi turmalinami. W uszach wisały srebrne dyski z pojedynczymi kamieniami w środku. Bransoleta przypominała naszyjnik.

Widział, że kobiety z zachwytem dotykały klejnotów. Obserwował, jak Pam uśmiecha się w odpowiedzi, jak rozmawia, potakuje ruchem głowy, jak wdzięcznie przyjmuje czyjś pocałunek w oba policzki.

Potrafiła się znaleźć. Pragnął myśleć, że nauczyła się tego od niego, ale tak nie było, bo unikała go, jak mogła. Kiedy znajdował się w jednym miejscu sali, ona natychmiast przechodziła w przeciwny. Zazwyczaj wymawiała się od przyjęć, w których on miał uczestniczyć. Mimo to często bywała w towarzystwie, a po każdym jej występie napływały zamówienia na biżuterię.

Swoją kolekcję nazwała „Pamela St.George Originals”. Początkowo zupełnie nie zwracał na to uwagi. Wątpił, żeby Pam miała tyle talentu i doświadczenia, by wypromować własną linię. Pomylił się jednak i było już za późno na zmianę nazwy. Klienci się do niej przyzwyczaili. Chcieli „Pameli St. George” albo „St. George Originals”. Podejrzewał, że rodzinne nazwisko w nazwie przysłuży się firmie, jednak denerwowały go docinki o drugim St. George'u, tym ładniejszym.

Wyprostował się, oczekując na powitanie senatora z Florydy. Przez chwilę zabawiał go rozmową. Poznali się przed kilkoma miesiącami na przyjęciu w Waszyngtonie, a ponieważ plany co do powstania sklepu w Palm Beach były już wtedy daleko posunięte, nie brakowało im tematów do dyskusji.

Nie był to jedyny senator wśród znajomych Johna. Wraz z rozwojem firmy krąg jego znajomości poszerzał się. Często wyjeżdżał do Waszyngtonu, stąd wielu polityków znalazło się w tym gronie. Fascynowali go, lecz jeszcze bardziej gra, którą prowadzili. Bawiły go ich podchody, kiedy jeden dążył do czegoś całkiem przeciwnego niż drugi. Szantaż polityczny miał bardzo subtelne barwy i nazywany był różnie, lecz nigdy właściwym imieniem.

Brał udział w tej grze, ale z pewnej odległości. Chętnie łożył pieniądze na jednego czy drugiego polityka, były to czasem nawet spore sumy. Jednakże obawiał się nietrwałości układów w Waszyngtonie, gdzie kariera polityka zależała od kaprysu głosujących albo, co gorsza, od podejścia mediów. Pragnął, by jego sława miała solidne podstawy i trwała długo. Biorąc pod uwagę fakt, jak daleko zaszedł w wieku trzydziestu dziewięciu lat, bez obaw mógł żywić takie nadzieje.

Na wpół przysłuchując się monologowi senatora, lustrował gości i szacował swoją pozycję w porównaniu z nimi. Nie był tak bogaty jak niektórzy z nich, nie posiadał tak wielu domów jak inni, a St.George Company było dzieckiem w porównaniu z kilkoma firmami, których przedstawiciele się tu znaleźli.

Ale cóż to było za dziecko! To była żyła złota, i on do tego doprowadził. Wstrzelił się na rynek w odpowiednim czasie, zdobył imię, a kryzys finansowy, jaki przechodził po otwarciu bostońskiego „Facets”, przeszedł już do historii.

Nie potrafił opanować uczucia dumy, kiedy myślał o swoim jachcie zakotwiczonym w Newport Harbor, czy Rolls-Roysie zaparkowanym przy Beacon Hill. Dom, zmieniony od piwnic aż po strych, stał się miejscem wielu eleganckich spotkań. Przyjęcia, które urządzał, cieszyły się powodzeniem i uważano je za wydarzenia towarzyskie. Nigdy nie uskarżał się na brak gości.

Jednak zdawał sobie sprawę, że goście to tylko chmara żądnych wrażeń, interesownych ludzi, ściągających tu, by się dobrze najeść, zaspokoić swoje snobistyczne potrzeby i załatwić własne sprawy; cała ta gra była nader powierzchowna. Kiedy pragnął się rozluźnić i być sobą, nadal zwracał się do Hillary. Znała go. Przy niej nie musiał udawać dżentelmena.

Tego wieczoru nie było jej tutaj, ponieważ nigdy jej nie zapraszał na większe przyjęcia. Nie pasowała tu. W przeciwieństwie do Pam, nie należała do szykownych, błyskotliwych kobiet.

John wyczekiwał, aż w rozmowie nastąpi przerwa, po czym przeprosił senatora i przeszedł do miejsca, z którego mógł znowu widzieć siostrę.

Rozmawiała z młodym mężczyzną, spadkobiercą wielkiej fortuny. Nie miał więcej niż dwadzieścia pięć, dwadzieścia sześć lat i był nawet przystojny. Dobra dla niej partia. Ale Pam zarzekała się, że nigdy nie wyjdzie za mąż. Wykrzyczała mu to prosto w twarz, kiedy ją o to zapytał niecały miesiąc temu. Powiedziała, że jeśli nie może wyjść za Cuttera Reida, nie będzie miała męża w ogóle.

Nie podobały mu się jej krnąbrność i arogancja, które się pojawiły wraz z sukcesami zawodowymi. Jeszcze bardziej nie przypadło mu do gustu wspomnienie Cuttera Reida. Chciała mu zrobić na złość.

Cutter był jedną z jego nielicznych pomyłek. Nawet mu się nie śniło, żeby chłopak z samego dna nizin społecznych zaszedł tak daleko. John nie miał szacunku dla pracy modeli, niemniej jednak Cutter zarabiał mnóstwo pieniędzy i to doprowadzało Johna do szału. Zakładał, że prędzej czy później Cutter je przehula. Tacy jak on nie nabierają rozumu, dopóki zmarszczki nie pokryją im skóry i włosy nie posiwieją. Choć więc jasne dni Cuttera wydawały się policzone, John wściekał się, że w ogóle istniały.

Sen z powiek spędzała mu ironia losu. Cutter nigdy nie zostałby modelem, gdyby John nie poprzestał na jego plecach. Mógł przecież równie skutecznie pokiereszować mu twarz. Nie mógł też sobie darować, że to za jego sprawą Cutter opuścił Timiny Cove. Gdyby nie on, pracowałby do dzisiaj w kopalni i mógłby co najwyżej patrzeć z dołu na Pam, stojącą wysoko, poza jego zasięgiem. Pam była piękna. Utalentowana. Mądra.

John sięgnął po papierosa, ale tylko po to, żeby przypomnieć sobie, iż rzucił palenie. Jego lekarz polecił mu to stanowczo i John się z nim zgodził. To byłaby katastrofa, najpierw dopracować się świetlanego życia, a potem umierać na raka w wieku pięćdziesięciu lat. Planował dożyć co najmniej osiemdziesiątki, otoczony szacunkiem, pochlebstwami i wielkim bogactwem.

Osiemdziesiąt lat to szmat życia. Po jakimś czasie można się poczuć samotnym, ale życie na samym szczycie z pewnością to wynagrodzi. Samotność była ceną, którą należało zapłacić za wielkość. Nawet w tej ogromnej, rzeświście oświetlonej sali, otoczony ponad czterystoma gośćmi, czuł się samotny.

Pam powinna to dostrzegać, jest jego siostrą. Powinna wiedzieć, jak on się czuje. Powinna mu pomóc.

Ale ją bardziej interesowała jej własna kariera. Zapomniała, że gdyby nie on, nie mogłaby torować sobie drogi wśród bogatych i sławnych. Nie stałaby się obiecującą projektantką biżuterii. Nie zrobiłaby żadnej kariery.

Gdyby nie on, byłaby skazaną na pogardę, niezamężną matką, samotnie wychowującą dziecko. Może nadszedł czas, żeby jej o tym przypomnieć. Zachowywała się ostatnio trochę niewdzięcznie. Była sobą zachwycona. Należy ściągnąć ją wreszcie na ziemię.

Pam zniknęła, zanim wyszli ostatni goście, a kelnerzy zaczęli zbierać puste, srebrne pół-

miski. John mógł się tego domyślić. Nigdy nie robiła nic jak należy. Zadzwoił do hotelu i dowiedział się, że Pam wyprowadziła się jeszcze przed przyjęciem. Jeden z jego zaufanych ludzi powiedział mu, iż widział Pam, jak się przebierała w damskiej toalecie. Drugi zauważył, jak opuściła salę i wskoczyła do taksówki. John polecił zadzwonić na lotnisko i sprawdzić, czy jej nazwisko nie figuruje na liście pasażerów odlatujących właśnie z Palm Beach.

John zatelefonował do Bostonu późnym wieczorem, ale Pam nie odbierała. Zadzwoił też do apartamentu wynajmowanego przez firmę w Nowym Jorku, choć wiedział, że rzadko się tam zatrzymuje. Woląa Hiltona. Albo mieszkanie Hillary. Zadzwoił więc i tam. Hillary podniosła słuchawkę. Była sama i podpita.

John zastanawiał się, czy Pam przypadkiem nie spotkała się z Cutterem. Ta myśl doprowadzała go do szaleństwa. Gryzł się całą noc, po czym z samego rana wyleciał do Bostonu, poszedł do mieszkania Pam i głośno zastukał do drzwi.

Nie spodziewał się, że ją zastanie, ale po chwili otworzyła. Zawiązywała w pasie długi, biały szlafrok. Miała zaspaną twarz i była bez makijażu. Wyglądała bardzo kobieco i John natychmiast to odczuł, co wprawiło go w jeszcze większą złość.

Pam również wydawała się poirytowana.

- O co chodzi, John?

- Żadnego promiennego przywitania? Nie zapytasz, jak się mam, ani jak udał się wczorajszy wieczór?

- Przykro mi, ale nie jestem najlepsza w takich uprzejmościach.

Starła się udawać zmęczoną, co na nowo wzbudziło jego podejrzenia.

- Gdzie się, do diabła podziewałaś? Myślałem, że zostaniesz po przyjęciu.

- Po co? Udało się. Obydwoje wiedzieliśmy, że tak się stanie.

- Należało podziękować pracownikom. To należy także do twoich obowiązków. Jesteśmy współnikami, na Boga.

Wygięła brew w udanym zdziwieniu.

- Wspólnikami? Kpisz sobie? Pracuję u ciebie. Jestem tylko jednym z projektantów.

Ponieważ nie zamierzał wyjawiać, że ceni jej prace o wiele wyżej niż reszty pracowników, nawiązał do koneksji rodzinnych.

- Jesteś St.George. Masz udziały w firmie.

- Tylko w teorii. Przez następne dwa lata nie mam nic do powiedzenia.

- Zachowuj się dalej w ten cwaniacki sposób, a nigdy nie będziesz miała.

- Cwaniacki? Chryste, John. - Wyrzuciła ręce w powietrze. - Po prostu stwierdzam fakty. Wiesz, że nie mam kontroli nad swoimi udziałami, to ty je kontrolujesz. Ja jedynie dla ciebie pracuję.

- A kiedy tego nie robisz, starasz się kombinować na boku i znaleźć po cichu klientów na swoje prace. Myślisz, że jesteś sprytna, co?

- Nie chcę tej rozmowy. - Złapała za drzwi, zamierzając je zamknąć.

Przytrzymał drzwi stopą, po czym wszedł do środka i zatrzasnął je z impetem.

Pam obróciła się na pięcie i pobiegła w głąb mieszkania. Zdażył dopaść ją w kuchni, kiedy wykręcała jakiś numer. Trzasnął słuchawką o widełki.

- Do kogo dzwoniłaś?

- Na policję. Nie chcę, żebyś tu przychodził, John.

Wyprostował się. Różnica wzrostu dodawała mu pewności siebie.

- To masz problem, bo chcę z tobą porozmawiać.

O dziwo, Pam sprzeciwiła się.

- Nie teraz i nie tutaj. To jest moje mieszkanie. Wynajęłam je na własne nazwisko i płacę za nie swoimi pieniędzmi. A ty się włamałeś.

- Jestem twoim bratem.

- Diabłem, a nie bratem. Wynoś się.

Wiedział, że ją rozwścieczył. To było lepsze, niż kiedy udawała, że go nie zauważa. Oparł się o ścianę; założył ręce na piersiach.

- Chcę z tobą porozmawiać.

- Na jaki temat?

- O tobie. Czym się zajmujesz, dokąd chodzisz.

- Przecież wiesz wszystko. - Stała za blatem z hardą miną, jednak była nieco zdenerwowana. John miał się na baczności.

- Nie wszystko. Chcę wiedzieć, czy lubisz to, co robisz.

- Gdybym nie lubiła, nie mogłabym robić tego tak dobrze.

- Nie można powiedzieć, żebyś była skromna.

- Gramy w jakąś grę? Obydwoje wiemy, że moja biżuteria sprzedaje się lepiej niż prace wszystkich innych projektantów razem wziętych. Może z wyjątkiem jednego, który podpisał umowę z jakimś Arabem, a ten obsypuje klejnotami każdą kobietę ze swojego haremu. Moja biżuteria nie sprzedawałaby się tak dobrze, gdyby się nie podobała, zwłaszcza że jest droga.

- Myślisz, że za droga?

- Nie. Projektujemy dla bogatych, a oni mogą zapłacić naszą cenę.

- Więc o co chodzi?

- O nic. To ty się czegoś czepiasz. Bo niby po co się tu zjawileś? Co się stało? - Postukała się w głowę. - Denerwujesz się, bo mi dobrze idzie?

Roześmiał się.

- Dobrze ci idzie, bo ja się na to zgadzam.

- Jesteś pewien?

- To prawda. Pomyśl o początkach. Sądzisz, że ci wszyscy ludzie przyszli na twoją pierwszą wystawę, bo usłyszeli, iż twoje prace są dobre? Takiej biżuterii są krocie. Większość z tych osób przyszła, żeby sprawić mi przyjemność. Zadzwoiłem do nich, powiedziałem o wystawie, zachęcałem, żeby wpadli. Ja robię uprzejmości innym, oni odpłacają mnie tym samym.

- Może na początku przyszli ze względu na ciebie, ale wracali dlatego, że podoba im się moja biżuteria. Nie jestem naiwna, John. Ludzie nie płacą ot, tak sobie ciężkich pieniędzy za pierścioneł czy bransoletkę i nie zakładają ich potem, nie pokazują się w nich, nie polecają firmy, w której je kupili, jeśli te rzeczy im się nie podobają.

- Phelanowie? Goodmanowie? Andersonowie? Oni wszyscy są moimi przyjaciółmi.

- To starzy przyjaciele taty.

- Phelanowie wprowadzili cię do Phillie. Goodmanowie do Scarsdale. Andersonowie byli twoją przepustką do Southampton. To ja cię z nimi skontaktowałem.

- Nie, oni znali rodzinę St.George'ów. To ja do nich dzwoniłem, umawiałam się na spotkania. Jeżeli się za coś odwdzięczali, robili to ze względu na tatę. To on rozpoczął z nimi handel jakieś dwadzieścia lat temu. Byli klientami St.George na długo wcześniej, nim powstał „Facets”. Mówisz, że są twoimi kontaktami, a ja twierdę, że moimi. Możemy tu stać i się o to sprzeczać, albo możesz się stąd wynieść i dać mi spokój.

- Masz odpowiedź na wszystko, prawda? - zapytał, z coraz większym trudem zachowując spokój. - Na twoim miejscu uważałbym, Pam. Zapominasz, że „Pamela St.George Originals” stanowi część „Facets”.

- Tylko dlatego, że tego chcę. Potrząsnął głową.

- Czy tego chcesz, czy nie. Pamiętaj kontrakt, który podpisałaś, kiedy zaczynałaś pracę? Zgodziłaś się w nim, żeby „Facets” miało prawo do nazwy twojej kolekcji.

- Nic takiego nie podpisałam - sprzeciwiła się. Zaciśnęła mocniej pasek szlafroka.

Zauważył to i odebrał jako oznakę zdenerwowania. Ucieszyło go to. Z przyjemnością też popatrzył na odznaczające się teraz pod szlafrokiem ciało.

- Sprawdź to. Przekonasz się, że mam rację.

- „Facets” ma prawa do każdego mojego wyrobu w trakcie mojej pracy w firmie. W momencie rozwiązania umowy o pracę zabieram nazwę, projekty i moich asystentów.

Pokręcił przecząco głową.

- Nie wydaje mi się.

- Uważnie przeczytałam kontrakt, a wraz ze mną mój adwokat. Jeżeli jest w nim ustęp mówiący, że oddaję „Facets” prawa do mojej nazwy, to znaczy, iż został sfałszowany. Wcale bym się zresztą nie zdziwiła. Już raz coś takiego zrobiłeś, z Little Lincoln i Cutterem.

- Cutter. - Wystarczyło samo imię, żeby John tracił nad sobą panowanie. - Nie włączaj go do tego.

- Dlaczego nie? Jesteś mu coś dłużny. Ukradłeś mu Little Lincoln.

John nie zamierzał ani potwierdzać, ani zaprzeczać jej oskarżeniom.

- Z tego, co wiem, wcale go nie potrzebuje. Zarabia wielkie pieniądze.

- Little Lincoln było podarunkiem dla niego od taty.

- Little Lincoln to niewypał. Nie jest warte funta kłaków.

- W takim razie przynajmniej sprawiedliwości stało się zadość.

- A Cutter? - Odciął się John, zamierzając złapać Pam w jej własne sidła. - Co on o tym mówi?

Wpatrywała się w niego bez słowa.

- Spotykasz się z nim za moimi plecami - oskarżył ją.

Gniew w nim narastał. Zawsze tak było, gdy chodziło o Cuttera Reida. Od samego początku, od chwili, gdy Eugene ściągnął go z ulicy i otoczył czułą opieką, o jakiej John mógł tylko marzyć.

Oczy Pam pozostały chłodne.

- Spotykam się z wieloma ludźmi w ukryciu, ponieważ gdybyś się dowiedział, kim są, chciałbyś ich kontrolować. Ale powoli to się kończy, John. Jestem coraz starsza i coraz mądrzejsza. Jeśli nawet kiedyś brakowało mi sprytu, miałam w tobie znakomitego nauczyciela.

- Powiedziałem ci, żebyś się z nim nie spotykała.

- Och, tak - zgodziła się z nagłym westchnieniem. - Tamtego pamiętnego dnia zagroziłeś mi, że jeśli jeszcze raz się z nim zobaczę, wyrzucisz go z kopalni i z miasta. - Wyprostowała

się. - I uczyniłeś to, choć nie poczekałeś, żeby sprawdzić, czy cię posłucham. - Zaczęła drżeć. - Tylko że tobie nie wystarczyło, że go wyrzuciłeś. Musiałeś go jeszcze skatować. Omal go nie zabiłeś.

Morderczy wyraz jej oczu zbiłby go zapewne z tropu, gdyby sam nie był tak wściekły.

- Powinienem był to zrobić. Powinienem był wiedzieć, że przyjdzie do ciebie, by się wyplakać.

- Wcale nie płakał. Cutter nie płacze. Ocalał. Podobnie jak wtedy, kiedy był dzieckiem. Zostawiłeś go na mrozie, żeby umarł, ale on przeżył. I tak się też stanie następnym razem, jeśli zajdzie taka potrzeba, ponieważ on taki jest. Jest o wiele silniejszy od ciebie, o wiele bardziej męski, niż ty kiedykolwiek będziesz.

John rzucił się przed siebie. Nie myślał, nie wiedział, co robi. Dostał szał, ale zanim dotknął Pam, zatrzymał go błysk metalu. Był to długi, szeroki nóż kuchenny. Pam trzymała go w rękach i celowała w niego.

- Nie waż się mnie tknąć! - ostrzegła.

Wyprostował się, ale nie cofnął. Ona nie użyje noża. To niemożliwe.

- Uspokój się, Pam.

- I nie mów mi, co mam robić.

- Za bardzo się przejmujesz.

- I powinnam! Widziałam jego plecy, widziałam, co mu zrobiłeś! To straszne!

- A więc brzydzisz się go? To dobrze.

- Wcale nie. Całowałam każdy milimetr jego ciała, ale blizny nie zniknęły. Więc będę je całować następnym razem, kiedy go zobaczę. Tak będzie zawsze. Jesteś zwierzęciem, John!

Rzuciłby się na nią, gdyby nie nóż. Trzymała go mocno.

- Odłóż to.

- Nie ma mowy.

- Odłóż to, Pam.

- Jak stąd wyjdiesz.

- Niepotrzebny... ci... ten nóż.

- Sama o tym zadecyduję. Daj mi najmniejszy powód, a poharatam cię tak, jak ty pokaleczyłeś Cuttera. - Uniosła nóż. - Tylko że zacznę od twarzy. Ciekawe, jak to wytłumaczysz swoim bogatym znajomym.

Do końca jej nie wierzył.

- Patrzcie, kto tu jest zwierzęciem - rzucił, ale nie chciał ryzykować.

Nie chciał dać się zranić. Doszłoby do skandalu, a on nie mógł sobie na to pozwolić. Zrobił krok do tyłu, ale to nie oznaczało, że uznał swoją porażkę.

- Nie będziesz go miała, wiesz o tym.

- Dlaczego nie? Czym możesz mi jeszcze zagrozić? Od pewnego czasu zadaję sobie to pytanie. Cutter stał się znaną osobą. Ma przyjaciół. Co mógłbyś nam zrobić, gdybyśmy zechcieli być ze sobą?

- Jest tylko prostym górnikiem.

- Jest wykształcony i bogaty.

- Pewnego dnia spadnie na łeb na szyję na samo dno.

- Nieprawda.

- To słomiany ogień. Nie wytrwa.

- O to właśnie się modlisz, prawda? Byłeś tak zazdrosny, że tata...

- Nie byłem zazdrosny...

- Byłeś. Ale to przecież zdarzyło się tyle lat temu. Nie możesz nadal żywić tej samej urazy.

- Nie żywię żadnej urazy.

- Tylko czystą nienawiść. To irracjonalne, chore. John, odniosłeś sukces. Dlaczego tak bardzo obawiasz się Cuttera?

John miał już dosyć. Kiedy była mowa o Cutterze - chyba nawet i o Pam - nie panował nad uczuciami. Nie musi się z tego tłumaczyć ani z nikim o tym rozmawiać.

- Cutter Reid - zaczął z mocą - nigdy nie zostanie członkiem naszej rodziny. - Znowu zrobił krok do przodu, zapominając o niebezpieczeństwie. - I jeżeli chociaż mnie zadrażnisz, pożałujesz tego.

Pam westchnęła.

- Znowu mi grozisz. To staje się nużące.

- Widzę, że nie zastosowałem odpowiednich gróźb. Posłuchaj tej. Jeśli tkniesz mnie tym nożem, jeśli będziesz zadawała się z Cutterem Reidem, zniszczę twoją matkę.

- To jakiś żart. Jest sparaliżowana od pasa w dół, zamknięta w zakładzie psychiatrycznym od dziesięciu lat, a ty chcesz ją zniszczyć? Co jeszcze możesz jej zrobić?

- Wiele.

- Na przykład?

- Na przykład powiedzieć światu, dlaczego po wypadku stała się katatoniczką.

- Bo pograżyła się w rozpacz. Czy trzeba to tłumaczyć?

- Pograżyła się w poczuciu winy.

- Bo to nie ona zginęła. Każda kobieta, która tak kochała męża, czułaby to samo.

John potrząsnął głową.

- Było coś jeszcze. To ona była winna temu wypadkowi.

Pam zaczęła słuchać go z większą uwagą.

- Chcesz powiedzieć, że to ona prowadziła?

- Nie. Ale przez nią ojciec nie zauważył czerwonego światła. Doprowadziła go wcześniej do furii.

- Nie wiadomo, czy wjechał na czerwone światło, czy wpadł w poślizg.

- Nieważne, liczy się to, że jechał nieostrożnie, a powodem była Patrycja.

- Ale ona była z nim w tym samochodzie. Gdyby zrobiła coś strasznego, Eugene nie wziąłby jej ze sobą.

- Sama za nim pobiegła.

Pam nadal trzymała przed sobą nóż, ale jego czubek drżał lekko.

- Wiem, że często się kłócili, lecz nigdy do tego stopnia, żeby ojciec jechał jak szalowiec.

- Tym razem tak było.

- Dlaczego? Co ona zrobiła?

- Przespała się z innym mężczyzną.

- Kłamiesz! Nie zrobiłaby tego!

- Zrobiła. Nakrył ich.

- Kłamiesz!

Wpatrywał się w nią, czekając, aż skojarzy fakty. Wiedział, że do tego dojdzie. Nie była głupia.

Czubek noża podskoczył do góry w tym samym momencie, w którym w oczach dziewczyny pojawiła się nienawiść - tak silna, że aż czuło się ją w powietrzu.

- Wynoś się - szepnęła.

John wyprostował plecy i wycofał się. Mówił cichym głosem.

- Rozpowiem to, Pam, i przekonam wszystkich, że to ona mnie uwiodła. Potem powiem Patrycji, co zrobiłem. Pomyśl, czy zniesie takie brzemień wstydu.

- A ty?

- Ja wyrobiłem już sobie solidny wizerunek. Poza tym nie jestem słabeuszem, tak jak twoja matka.

- Wynoś się!

- Idę - oświadczył. Zdenerwował ją. Dopiął swego. Zatrzymał się jeszcze w drzwiach kuchennych i odwrócił. - Więc jeśli zależy ci, żeby matce pozostała resztką zdrowia psychicznego, uważaj z Cutterem. Wszyscy się dowiedzą, Pam. Zniszczę ją i przejmę kontrolę nad jej akcjami.

- Po moim trupie!

- Jeśli sytuacja będzie tego wymagała, to tak się stanie.

- Wynoś się - powtórzyła po raz kolejny, wolno podchodząc do niego. - I niech twoja stopa nigdy więcej nie stanie w tym mieszkaniu.

- Wszystko, co powiedziałem, traktuję poważnie.

- Twoje słowo nie jest nic warte.

- Trzymaj się z daleka od Cuttera albo zniszczę Patrycję.

- Zrób jej krzywdę, a nim się obejrzysz, zostanę żoną Cuttera. A wtedy już we dwójkę będziemy z tobą walczyć.

- Macie małe szanse na wygraną.

- Spróbuj.

- Nie będzie takiej potrzeby, dopóki będziesz się trzymać naszej umowy.

- Wyjdź.

Otworzył drzwi, po czym odwrócił się do niej i mrugnął.

- Do zobaczenia w pracy, kotku.

Kiedy zatrasnęła mu drzwi przed nosem, uśmiechnął się.

Rozdział dwudziesty drugi

Nowy Jork, późny czerwiec 1990

John nie miał uśmiechu na twarzy, kiedy stanął w drzwiach mieszkania Hillary. Jak zawsze na jego widok poczuła wzrastające podniecenie. Dopiero trzy miesiące upłynęły od ogłoszenia jego zaręczyn i powinna nadal być zła. I była zła, ale i w pewnym sensie szczęśliwa, chociaż minął ją bez słowa przywitania, odwrócił się i z chmurną miną zaczął się jej przyglądać.

- Co ci, do cholery, chodzi po głowie? - rzucił gniewnie.

Miał na sobie ciemny, letni garnitur i gdyby nie dziki wyraz oczu, wyglądałby jak stu-procentowy dżentelmen.

- Mnie? - Serce zabiło jej mocniej.

Zawsze tak się działo, kiedy znajdował się w jej pobliżu.

- Byłaś w Timiny Cove.

Starła się zachować jasność myśli. Widziała, że John żąda wyjaśnień.

- Pochodzę z Timiny Cove. Mój tata nadal tam mieszka. Czasami jeżdżę go odwiedzić, wiesz przecież.

- Spotykałaś się też z innymi ludźmi. Wypytywałaś o mnie. O co chodzi, Hillary?

Nie musiała pytać, skąd ma te wiadomości. Pół miasta korzystało z dobroczynności Johna. Jednym pomógł w wykupieniu domu, innym płacił za lekarstwa, jeszcze innym za szkołę dziecka. Zapłatą miała być lojalność - w tym wypadku donosicielstwo.

Po zastanowieniu doszła do wniosku, że nie ma sensu zaprzeczać.

- Mam zamiar coś o tobie napisać. Robiłam pewnego rodzaju wstępny wywiad.

- Wstępny i ostateczny. Zarzuć ten pomysł.

Poczuła iskrę irytacji.

- Tak po prostu?

- Właśnie.

- Masz może jakieś specjalne powody?

- Nie chcę, żebyś o mnie pisała.

- Dlaczego nie? Jesteś ważną osobistością, i tak piszą o tobie w gazetach. Dlaczego ja nie miałabym tego zrobić?

- Ponieważ się na to nie zgadzam.

Popatrzyła na niego szeroko rozwartymi oczami. Rozgoryczenie przyćmiło całą przyjemność płynącą z ponownego spotkania. Nie mogła uwierzyć, że John śmie zjawiać się u niej i żądać, by postępowała wedle jego życzeń.

- Nie rób tego, Hillary. Wiesz o mnie rzeczy, których nikt nie zna. Tak łatwo nie dam się zdradzić.

- Nie dasz się zdradzić? - wybuchnęła. - A co ze mną? Tkwiłam przy tobie przez te wszystkie lata, a ty snujesz plany małżeństwa z kimś innym!

- Nigdy ci nic nie przyrzekałem. Myślałem, że to rozumiesz.

- O tak, rozumiałam. Ale nie jestem ze stali. To, co robisz, boli.

Nie odezwał się, ale po chwili jego oczy powędrowały do jej piersi. Czuła na sobie ich dotyk, widziała rozpalającą się gdzieś w głębi iskierkę i doznała pewnej satysfakcji, przekonując się, że nadal jeszcze działa na Johna.

Podszedł do niej.

- Więc to zemsta, tak? - zapytał miękko.

Nie potrafiła się oprzeć jego czarowi, bijącej od niego zmysłowości. W wieku lat pięćdziesięciu był tak samo przystojny jak dawniej. Wiedziała, że powinna się odwrócić i uciec, zwłaszcza po wszystkim, czego się ostatnio o nim dowiedziała. Ale stała w miejscu i jej serce biło coraz gwałtowniej.

- Jeszcze nie zdecydowałam, co napiszę.

Wsunął dłoń w jej włosy, a potem niespodziewanie łagodnie przesunął kciukiem po policzku.

- Nic nie pisz.

- Masz jakieś lepsze propozycje, jak powinnam spędzać czas?

- Jak najbardziej.

Uniósł jej twarz i pocałował z mocą, która zawsze budziła w niej podniecenie. Oddała się jego pożądaniu, ale po chwili wyrwała się z objęć.

- Nie chcę, John - stwierdziła zachrypniętym głosem.

- Bzdury.

Kiedy znowu wyciągnął do niej ramiona, odepchnęła go i wybiegła do pokoju gościnnego. Tam rzuciła się w róg sofy, z gniewem oczekując jego reakcji.

Powoli, lecz zdecydowanie wyprostował barki.

- Nadal złościsz się za Janet?

- Jasne.

- Nie ma takiej potrzeby. Odwołałem zaręczyny.

Serce znowu biło jej jak oszalałe.

- Są odwołane?

- Zerwane. Koniec.

- Dlaczego?

- Doszedłem w końcu do wniosku, że nie chcę się z nią żenić.

- Dlaczego?

- Nie kocham jej.

Hillary prychnęła.

- Nigdy nie zależało ci na miłości.

- Nie lubię jej.

- Lubieś, kiedy się zaręczaliście.

- Stwierdziłem, że nie znoszę ograniczeń.

Po chwili zastanowienia zrozumiała sens jego słów.

- Aaaa. Przespałeś się z kimś, a ona się dowiedziała i zrobiła ci awanturę.

- Coś w tym rodzaju.

Przyglądała się jego twarzy, szukając na niej cienia smutku czy żalu, ale nie znalazła.

- Ty łajdaku.

Wyglądał na prawdziwie urażonego.

- Myślałem, że się ucieszysz.

- Mam się cieszyć, patrząc na twoje oszustwa i wiedząc, że sypiasz z połową kobiet w tym kraju?

Podszedł bliżej.

- Z jedną kobietą, Hillary, i tylko dlatego, że ty mnie nie chciałaś.

- Mówiłam serio. Nawet ja muszę wyznaczyć jakąś granicę.

- Już nie musisz. Zaręczyny są zerwane.

- To wygodne. - Zasłoniła kolana spódnicą, po czym objęła je ramionami. Nie była to najpiękniejsza poza, ale nie przejmowała się. Czuła się słaba i potrzebowała wsparcia. - Zerwałeś z Janet, bo miałeś na mnie chętkę, później i tak do niej wrócisz.

- Nawet nie warto na to odpowiadać.

Hillary wybuchnęła śmiechem. Popatrzyła na sufit.

- Mój Boże, jakiś ty szlachetny. - Skrzywiła się. - Nie rozumiesz, prawda? Kierujesz się w życiu innymi zasadami niż większość ludzi. Nie widzisz nic naganego w oszukiwaniu Janet i nie rozumiesz, że ja też nie chcę tego robić.

- Zaoferowałem jej w zamian cholernie dużo. Myślałem, że wie, za co.

- W tym rzecz! Chodzi o to, że ludzie nie lubią być wykorzystywani. Nieważne, co im dajesz w zamian. Czasami nie można wynagrodzić upokorzenia i zniewagi.

- Zniewagi? - Zaciśnął szczęki. - Zaczekaj chwilę. Nigdy nie obraziłem Janet. Nigdy nie podniosłem na nią nawet palca.

- Mówię o innym rodzaju znieważania.

- Więc mówmy jasno. Twierdzisz, że wykorzystuję Janet. Ludzie bez przerwy się wykorzystują. To zwykła sprawa w narzeczeństwie i małżeństwie. Fizyczna przemoc to coś zupełnie innego. W moim związku z Janet nie było niczego takiego.

- No, ależ ty się bronisz - stwierdziła Hillary.

- Co to ma znaczyć?

Hillary zdała sobie sprawę, jak wiele nauczyła się przez trzy miesiące jego nieobecności.

- To oznacza, że to w tobie tkwi. Zło. Zło, które może rodzić przemoc. Może Janet to dostrzegła.

- Przecież to ja z nią zerwałem, a nie na odwrót.

- Może pozwoliła ci tak sądzić. Kobiety nie są tak głupie, jak myślisz.

Przyglądał się jej bacznie przez dłuższą chwilę.

- Czy chcesz mi coś powiedzieć, Hillary?

- Ja? Po prostu tłumaczę ci, dlaczego nie chcę z tobą sypiać. Nie ufam twoim motywom.

- Moje motywy są proste. Pragnę cię.

Poczuła, że całe jej wnętrze zaczyna reagować. Starła się na to nie zważać.

- Chcesz, żebym przestała pisać książkę.

- To także - przyznał lekko. - Lecz przede wszystkim cię pożądam.

- Pożadasz mnie, ale oświadczyłeś się Janet. Pragniesz mnie, ale kiedy Janet cię odtrąciła, poszedłeś do łóżka z kimś innym. Tak bardzo tego potrzebowałeś?

- Ciebie? Tak. Przyjrzyj mi się, Hillary. Jesteś jedyną osobą, której pożądam w ten sposób.

Przesunął wzrok na swoje spodnie. Delikatny materiał nie mógł ukryć jego podniecenia.

Ten widok sprawił, że całą duszą zapragnęła jego dotyku, chciała wtulić się w niego i zapomnieć o całym świecie. Byłoby cudownie... Ale przecież nie mogła zapomnieć. Wróciła jej trzeźwość umysłu, nie chciała już się poddać. Zwarła uda próbując wytrwać w postanowieniu.

Opuszczając głowę do kolan, powiedziała:

- To nic nie zmienia.

- Czy nic ci to nie mówi?

- Tyle tylko, że jesteś jurnym draniem, ale to wiem już od dawna.

- Że jurnym, zgadzam się. Jednak drań to chyba za mocno powiedziane. Co takiego straszego zrobiłem?

Spojrzała na niego ze zdumieniem w oczach.

- Poza tą całą sprawą z Janet? Przychodziłeś do mnie, potem mnie rzuciłeś, znowu przychodziłeś i tak w kółko. Zjawiasz się u mnie, kiedy potrzebujesz się wyżyć, i natychmiast po zaspokojeniu zostawiasz. Spędzamy weekend jak niezwykle namiętni kochankowie, a potem mijają całe miesiące, zanim pomyślisz, żeby do mnie zadzwonić. Świadomie odseparowujesz mnie od swojego życia, jakbym go była niegodna, jakbym mogła w nim coś popsuć. Czuję się jak niepotrzebny przedmiot, sporadycznie przez ciebie używany, kiedy sprawia ci to przyjemność. Wykorzystujesz mnie, John.

- Jeśli cię wykorzystuję, to dlatego, że się na to zgadzasz?

Hillary wpadła w złość.

- A więc to moja wina? Tak jak winna jest Janet za zerwanie zaręczyn, bo nie rozumiała twoich zasad.

- Można tak powiedzieć.

- A Pam winna była tego, że zmusiłeś ją do aborcji, której nie chciała? Patrycja, że dała ci się uwieść za plecami Eugene'a. Cutter, że pozwolił odebrać sobie Little Lincoln tak samo, jak pozwolił ci się pobić? Wiem o tym, John. Wiem o wszystkim. Więc jeśli wydaje ci się, że będę uważać cię za ideał, to się mylisz. Jesteś taki sam jak inni - zwykły, mały człowiek ze swoimi słabościami.

John milczał. Przyglądał jej się tylko, a potem położył ręce na biodrach i popatrzył w sufit. Przygryzł zębami dolną wargę i spuścił głowę. I kiedy już zaczynała czuć wyrzuty sumienia za wszystko, co powiedziała, kiedy chciała się zerwać i objąć go ze skrucą, John odwrócił się do niej.

- To poważne oskarżenia. O tym właśnie zamierzasz pisać?

- Nie jestem pewna.

- Na twoim miejscu nie robiłbym tego. Wstrzymała oddech, po czym łagodnie ostrzegła:

- Przestań, John.

- Po prostu ci radzę, dla twojego dobra - stwierdził i podszedł z wolna do niej. Oparł dłonie na jej biodrach i pochylił się, by ją pocałować. Ponieważ odsuwała się, musnął ją tylko zmysłowo. Z cichym westchnieniem odwróciła głowę.

- Pragniesz mnie. - Przesunął ręką po jej udzie. Czowała na policzku gorący oddech.

- Lubisz, kiedy tak do ciebie mówię. Rozgrzewa cię to.

Wszystko w niej topniało i nienawidziła siebie za to, ale mówił prawdę: pożądała go.

- Odejdź, John.

Zaczął pieścić jej biodra.

- Rozsuń nogi.

- Nie.

- Rozsuń. Pozwól mi sprawdzić.

- Nie.

Ale i tak dotarł, gdzie chciał. Oddychał nierówno.

- O tak, pragniesz mnie.

- To nic nie znaczy - zdołała wydusić.

Traciła nad sobą kontrolę.

- Hillary?

- Mmm?

- Dotknij mnie.

- Nie chcę.

Na moment przestał ją pieścić.

- Zrób to.

Podenerwowana, uniosła z kolan ręce i poczuła przez spodnie jego podniecenie. Ale to nie wystarczyło. Zażęknęła za widokiem jego ciała, dotykiem rozpalonej skóry.

Zła na samą siebie, drżącymi z pożądania palcami pociągnęła za pasek spodni, szarpnęła u góry guzik i rozpięła suwak. Z westchnieniem wsunęła dłoń do środka, wyczuwając ogromniejące, pulsujące ciepło.

- To dla ciebie - powiedział niskim głosem, z zaciśniętymi zębami. - Dla żadnej innej taki nie jest.

Tak bardzo chciała mu wierzyć. Kiedy odpinał jej sukienkę, nie protestowała. Wolno ocierając się o niego, uniosła biodra. Z niecierpliwością ściągnął z niej majtki i chwilę potem leżała na sofie z szeroko rozłożonymi nogami, przyjmując z jękiem rozkoszy napierające, twarde ciało.

W tym momencie zawładnął jej życiem, kontrolował je, zaćmił wszystko inne. Jeśli nawet chciała czegoś jeszcze, teraz o tym nie pamiętała. Istniał tylko John - czuła go wszystkimi nerwami, wszystkimi porami skóry. Była pewna, że on potrzebował jej równie mocno. Jak nikt potrafiła zrozumieć i zaspokoić jego pragnienia. Pomyślała, że wreszcie odnalazła swoje miejsce.

I wtedy usłyszała jego zachrypnięty od emocji szept, który w jednej chwili zniszczył wszystkie marzenia.

- Trudno jest cokolwiek udowodnić, Hillary. Bez dowodów twoje oskarżenia są nic niewarte.

Leżeli spleceni na sofie, zaplątani w ubrania, których do końca nie zdążyli zdjąć. Hillary znieruchomiała, starając się pojąć jego słowa. Im dłużej myślała, tym głębiej zapadała się w przepaść.

Uniósł głowę.

- Słuchasz mnie? Napisz tę książkę, a będziesz miała kłopoty.

Przez minutę nie była w stanie nawet drgnąć. Nagle poczuła, że się dusi. Wyrwała się spod ciała Johna i odbiegła w najdalszy kąt pokoju. Roztrzęsionymi rękami zasłoniła się sukienką.

- Czy to dla ciebie nic nie znaczyło? - zapytała.

Usiadł.

- Było cholernie dobrze.

- Nie mówię o seksie. Czy twoje serce i rozum niczego nie odczuwają? A może masz tam bryły lodu?

- Och, do diabła - stęknął sięgając po spodnie. - Tylko z tym nie zaczynaj. Przez te wszystkie lata byłaś dobra w łóżku. Między innymi z tego powodu do ciebie wracałem. I nigdy nie udawałaś, że łączy nas coś więcej, nie liczyłaś na to. - Wstał i zapiął suwak. - Czy zdajesz sobie sprawę, jak męczą mnie kobiety mówiące o miłości?

- Boisz się tego, prawda? Wsunął koszulę do spodni.

- Nie. Po prostu jest to dla mnie strata energii.

Hillary czuła jednak, że trafiła na wąż, który musi rozwinąć.

- Boisz się. Boisz się jak cholera. Miłość wymaga wyrzeczeń i poświęcenia się drugiemu człowiekowi - nie interesom, kamieniom czy karierze. Co więcej, zakłada nadzieję i wieczną niepewność uczuć. A tego już zupełnie nie chcesz. Obawiasz się, by cię ktoś nie zawiódł. Więc trzymasz ludzi na dystans, rozkazujesz im i starasz się mieć pod kontrolą, byś w razie niepowodzeń mógł znaleźć winnego. Mógł kogoś ukarać.

Założył krawat, podniósł marynarkę i strzepnąwszy ją, ruszył do drzwi.

- Czytasz za dużo kiczowatej literatury pozytywistycznej. Nie próbuj więcej analizować ani mnie, ani moich zachowań. To nudne. - Już w drzwiach odwrócił się i wycelował w nią palcem. - Nie pisz o mnie, Hillary. Ostrzegam cię, nie rób tego. Wtykaj nos najwyżej we własne sprawy, bo będziesz miała kłopoty.

- Kochasz go? - zapytała Pam.

Minęło pięć dni, odkąd John wypadł z mieszkania Hillary. Oczywiście nie odezwał się do niej. Kiedy do miasta przyjechała Pam i zadzwoniła, żeby się umówić, Hillary z prawdziwą radością przyjęła tę propozycję. Potrzebowała rozmowy. Uznała, że przyszedł na to czas, gdy wybierały sałatki w La Caravelle.

- Tak mi się zdaje. - Wstrzymała oddech, po czym zapytała niepewnym tonem. - Czy mnie za to nienawidzisz?

- Nie. Mimo to chciałabym zrozumieć. Jak możesz kochać człowieka, który od tylu lat traktuje cię tak podle?

Hillary pokręciła głową.

- Nie wiem. Po prostu nie pamiętam czasów, kiedy go nie kochałam. Już za pierwszym razem, gdy go ujrzałam, coś we mnie drgnęło. - Popatrzyła na Pam. - Czy nie to samo zdarzyło się między tobą a Cutterem? Nigdy nie mogłaś otwarcie się z nim widywać, a mimo to wrywałaś się do niego całą duszą. Czy jest na to jakieś wytłumaczenie?

- Ale Cutter coś mi daje. Jest czuły i wrażliwy. Jest inny niż John...

- Wiem. - Hillary nie chciała zagłębiać się w ten temat. - Nie pytaj mnie, co w nim kocham. Moje uczucie jest irracjonalne. Kiedy byłam dzieckiem, uwielbiałam go. Widziałam, że ma przed sobą przyszłość, że osiągnie sukces. Dopiął swego, ale nie jest szczęśliwy. Nie ma w nim wewnętrznego spokoju. Kiedy patrzę na niego, czuję ból. Chciałabym, by dał sobie pomoc, ale nie pozwala nikomu zbliżyć się do siebie. Nienawidzę go za to.

Włożyła do ust liść sałaty, tylko po to, by się czymś zająć. Żuła go, przełknęła, wzięła

następny.

- Zapelniam wewnętrzną pustkę - rzuciła kpiąco. - Właśnie z tego powodu ludzie tyją. Kiedy widzą dziurę w swoim życiu, zapychają ją jedzeniem.

- Więc dlaczego wyglądasz, jakbyś straciła co najmniej pięć funtów?

- Za dużo pracowałam. - Upiła spory haust Perriera, potem spojrzała na Pam, dziobiącą resztki swojej sałatki.

- Nie zapytasz, nad czym?

Pam przetoczyła po talerzu oliwkę, po czym odłożyła widelec i oparła się na krześle.

- Uznałam, że sama mi powiesz, kiedy będziesz gotowa. - Po minucie odezwała się z cichą rezygnacją w głosie:

- Pisziesz ją, prawda?

Hillary kiwnęła głową.

- W większej części dotyczy Johna. Ale są tam wzmianki o was. - Widząc ból na twarzy Pam, powiedziała: - Jesteś moją przyjaciółką. Najbliższą. Wiesz, że nie zrobię nic, co mogłoby cię skrzywdzić. - Mimo tych słów Pam milczała. Po chwili Hillary dorzuciła: - Na początku myślałam, że to wspaniały pomysł. Teraz nie jestem już taka pewna.

- Dlaczego?

- Chciałam opowiedzieć prawdę o Johnie, pokazać drugą, nieznaną stronę jego duszy. Myślałam, że wiem o nim niemal wszystko, ale się myliłam. Niespodziewanie dowiedziałam się o sprawach, o których wolałabym nigdy nie wiedzieć.

- Na przykład o pobiciu?

- I testamentie. Dobry Boże, przecież nie chcę zniszczyć Johna.

Pam ponownie pogrzyżyła się w milczeniu. Ze zmarszczonymi brwiami wpatrywała się w szklankę z wodą mineralną, przesuwając palcem po jej obrzeżu.

- Powiedz coś, Pam.

- Co?

- Że mu się to należy.

- Należy.

- W takim razie powinnaś chcieć, żebym napisała tę książkę.

Pam wyglądała na wewnętrznie rozdartą, widać było, że bije się z myślami. Odpowiedziała dopiero po chwili.

- Moim celem jest nie tyle dokuczyć Johnowi, co uwolnić się od niego. Chcę, żeby zszedł

mi z drogi. I tak się stanie, ale musi się to odbyć jak należy.

Hillary po raz kolejny poczuła, że coś się dzieje.

- Coś knujecie, ty i Cutter. O co chodzi?

Pam popatrzyła na nią smutno i potrząsnęła głową.

- Możesz mi powiedzieć, nie zdradzę nikomu ani słowa. Do diabła, John znowu mnie olał. Nie zobaczę go teraz przez długie miesiące.

- Nie mogę ci powiedzieć, Hillary. Chciałabym, ale nie mogę.

- Bo mi nie ufasz.

- Nie, bo cię kocham. Wystarczy, że wiesz, iż coś się może zdarzyć. Gdybym powiedziała ci więcej, nałożyłabym na twoje barki zbyt wielki ciężar. Już teraz kochasz Johna i nienawidzisz go jednocześnie, co samo w sobie jest trudne. Im mniej się dowiesz ode mnie, tym mniej będziesz rozdarta.

- Przejmujesz firmę, prawda?

Pam nie odpowiedziała.

- Przeciągnęłaś na swoją stronę udziałowców i zamierzasz odsunąć Johna z prezesury.

Pam nadal milczała.

- Czy Patrycja o tym wie?

- Możesz mnie pytać, o co chcesz, ale nie wolno mi nic mówić. Zresztą sama niewiele wiem, jestem tylko początkującą plastyczką.

- Tylko plastyczką - powtórzyła Hillary. - Ha, dla mnie jesteś kręgosłupem tej rodziny.

Pam przewróciła oczami.

- Nic mi o tym nie wiadomo. W tej chwili jestem taka słaba, że byle prowokacja może mnie złamać.

- A jak się ma Brendan?

Pam wzruszyła ramionami, a potem wolno wypuściła powietrze.

- Nie najlepiej. Nie powinnam się tu dzisiaj zjawiać, ale już zbyt długo odkładałam wyjazd.

- Czy mogę ci jakoś pomóc?

- Bądź po prostu moją przyjaciółką. Zawsze nią byłaś. Liczę na ciebie.

- I słusznie. - Hillary zawahała się. - Pam, jeśli chodzi o książkę...

- Rob to, co uważasz za stosowne. Nie mogę cię powstrzymywać.

- Będziesz na mnie wściekła?

- Nie mogłabym. Ale martwię się.

- O co?

- O ciebie. Piszesz o Johnie. Jeśli istnieje dla was jeszcze jakaś nadzieja, to po wydaniu tej książki ona zniknie. John prawdopodobnie cię znienawidzi, a ja wcale tego nie chcę. Jesteś dla niego jedyną szansą na zbawienie i wyleczenie jego chorej duszy.

- Cóż, on nie widzi tego w ten sposób.

- A powinien. Nadejdzie dzień, kiedy będzie potrzebował przyjaciela. Być może nie jest wart tego, nie zasługuje na kogoś takiego jak ty. Będzie miał dużo szczęścia, jeśli go nie odpchniesz. Dlatego żałowałabym, gdybyś teraz spaliła za sobą wszystkie mosty. - Postukała się w głowę. - Z drugiej strony ty mu się całkowicie poddajesz. Wszystko, nawet swoją karierę, uzależniasz od niego. Nie powinno tak być, Hillary.

- Wiem. Co mam zrobić?

Pam zastanowiła się, a w końcu powiedziała:

- Poczekaj. Zwolnij nieco. Zobacz, co się wydarzy w ciągu następnych kilku miesięcy.

Znowu to samo, znowu ostrzeżenia.

- Czy powiesz mi, kiedy tylko będziesz mogła? Pam kiwnęła głową.

- A ty, czy pozwolisz mi przeczytać, co napisałaś, zanim oddasz książkę do druku?

Hillary także kiwnęła głową i uśmiechnęła się ze smutkiem.

- Tak łatwo dochodzimy do porozumienia, ty i ja. Gdyby reszta życia była taka prosta...

Rozdział dwudziesty trzeci

Boston, 1979

Przez cały tydzień Pam zżymała się na samo wspomnienie o tym, co usłyszała od Johna. W końcu postanowiła iść do Boba Grossmana. W ciągu minionych lat stał się jej powiernikiem i przyjacielem, ale przede wszystkim był terapeutą Patrycji i musiał wiedzieć. Od razu przeszła do rzeczy, wyłuszczając powód swojej wizyty.

- John powiedział, że on i mama mieli romans. Czy to prawda?

Kompletne zaskoczenie na twarzy Boba świadczyło o tym, że zupełnie nie spodziewał się tego pytania. Pam myślała już, że skarci ją za bezpośredniość, ale Bob, widząc powagę w jej oczach, zapytał ze spokojem:

- A ty co o tym sądzisz?

Zawahała się. Powiedzenie czegoś na głos przydawało słowom treści, ale przecież w końcu po to tu przyszła.

- Tłumaczyłoby to wiele spraw.

- Na przykład jakich?

- Chociażby to, że byli sobie tak bliscy. Że John traktował ją z taką nonszalancją. Że często widziałam go wychodzącego z jej sypialni. Nienawidziłam ich zażyłości, ale nie przyszło mi do głowy, że mógł ich łączyć seks. Teraz też trudno mi w to uwierzyć, jednak niestety wszystko do siebie pasuje. Jeśli tata rzeczywiście nakrył ich razem w łóżku, mógł wpaść w furję. Mama ze strachu pobiegła za nim, wskoczyła do jego samochodu, a on jechał jak szalenciec.

- Pomyślała, że istniał jeszcze mocniejszy argument na potwierdzenie tej teorii. - Jeśli to prawda, łatwiej jest mi zrozumieć, dlaczego zamknęła się w sobie po wypadku. Do tej pory byłam pewna, że ma to coś wspólnego ze mną.

- W pewnym sensie miało - stwierdził Bob miękko. - Kiedy na ciebie patrzyła, jej poczucie winy rosło. Przypominałaś jej Eugene'a i to wszystko, co straciła.

Wprawdzie nie bezpośrednio, jednak Bob rozwiał wszelkie wątpliwości Pam. Znów poczuła przyływ gniewu, który przez cały tydzień starała się w sobie stłumić.

- Dlaczego z nim spała? Jeśli tak bardzo potrzebowała mężczyzny, mogła pojechać do Maine. Tata zawsze tam był. Miał tam duży, ładny i wygodny dom, służbę, wszystkie potrzebne drobiazgi. Przecież nie jechałaby do jakiejś wiejskiej chałupy.

Bob uśmiechnął się czule.

- Ludzie różnie patrzą na świat. Ty od początku pokochałaś Timiny Cove, Patrycja zaś nigdy nie czuła się tam swobodnie.

- Ale kochała ojca. Przynajmniej tak mówiła.

- Kochała. Nadal kocha. Pracujemy ciągle nad tym. Pam miała wrażenie, że nie do końca go rozumie.

- Jak to pracujecie? Bob odwrócił się do niej.

- Po wypadku Patrycja zaczęła idealizować twojego ojca i wszystko, co go dotyczyło. Postawiła go na niedosięglym piedestale, a zarazem sama poczuła się zła i obwiniała się za wszystko.

- I słusznie. Okłamywała tatę.

- Miała powody, by to robić. I nie kierowała nią jakaś wynaturzona złośliwość, nie zdradzała też twojego ojca z wieloma mężczyznami. John był tym jedynym. Twoja matka była delikatna, a John to wykorzystał. Z kolei Eugene pragnął kobiety silnej. Kiedy nie znalazł tego w Patrycji, odtrącił ją.

Pam próbowała obronić ojca.

- Był jej wierny.

- Może pod względem fizycznym. Ale uczuciowo bardzo się oddalił.

- Mnie był bliski.

- Ponieważ jesteś silna. Mógł zaakceptować twoje słabostki, bo miałaś więcej mocnych stron. Zaś u twojej matki sytuacja wyglądała odwrotnie. Mówił jej o tym, co tylko potęgowało jej poczucie niepewności. Przerodziło się to wręcz w chorobę. - Oparł łokieć o sofę i splótł palce u rąk. - Od początku starałem się jej pomóc zobaczyć rzeczy takimi, jakimi są. Nie twierdzę, że twoja matka była święta, ani że twój ojciec był wszystkiemu winien. Próbuję teraz jedynie przywrócić równowagę w umyśle Patrycji. Musi zaakceptować samą siebie, zacząć się szanować. Musi spojrzeć na Eugene'a z dystansem, nauczyć się kochać wspomnienie o nim, lecz uwolnić się od jego stałej obecności, jeśli w ogóle chce dalej normalnie żyć.

- Czy tak będzie?

- Kiedyś na pewno tak, jednak ma jeszcze przed sobą długą drogę. Na razie szpital jest dla niej bezpiecznym schronieniem i nie widzi możliwości egzystowania poza nim.

- Może już nie potrafi - rzuciła Pam, znowu czując gniew.

Bob milczał, co stanowiło wyraźny znak, że czekał na dalsze słowa Pam. Nie obawiała

się go, więc bez oporów kontynuowała.

- Przez romans z Johnem tyle zepsuła. Zdradziła męża, w dodatku z własnym pasierbem.

Wina leży też po stronie Johna, to dzika, pozbawiona uczuć bestia.

- To twoje, bardzo subiektywne zdanie - zauważył Bob znacząco podnosząc palec.

- Ty sądzisz inaczej?

- Nie znam tego człowieka na tyle, żeby go oceniać. Rzadko się tu zjawia.

Pam sarknęła.

- Naprawdę?

- Prawie nigdy.

- Kiedy był tu po raz ostatni? Trzy, cztery lata temu?

- Dwa. Ale to dobrze. Patrycja nie chce go widywać. Pam uśmiechnęła się gorzko.

- Nie spotkała się z nim? Bob pokręcił głową.

- To dobrze.

- Niezupełnie - rzucił Bob. - Kiedyś to nastąpi i twoja matka musi się na to przygotować, ale na razie unika konfrontacji. Nie chce o nim rozmawiać, nawet nie chce o nim myśleć.

Pam uważała to za pewne zadośćuczynienie losu i rodzaj sprawiedliwości. Nie w tym sensie, że Johnowi zależało na Patrycji. Nie liczyła się dla niego, gdyż nie mogła pomóc w jego karierze.

- Powiedział, że gdyby prawda się wydała, zniszczyłaby ją. Myślisz, że miał rację?

- Teraz, w szpitalu, nie. Może kiedyś, w przyszłości, jeśli stąd wyjdzie. - Zamilkł na chwilę pogrążony w myślach. - Czy to by ją zniszczyło? Trudno powiedzieć, to zależy od tego, jak silna się stanie.

- Co by czuła, gdyby wiedziała, że wiem wszystko?

- Wstyd, winę, niestosowność.

- W takim razie nie wolno mi nic mówić? Wygiął brew.

- To zależy od tego, co byś chciała powiedzieć. Jeśli miałybyś rozmawiać pod wpływem gniewu, tak jak teraz, to prawdopodobnie nakrzyczałabyś tylko na nią i oskarżyła o zdradzenie ojca. W takim wypadku nie powinnaś z nią rozmawiać. Ona już to wszystko wie i słuchanie tego po raz kolejny rozjątrzy stare rany. - Zatrzymał się. - Czy jesteś bardzo zła?

- W tej chwili? Nie tak, jak w momencie, kiedy tu przyszedłam.

Bob uśmiechnął się.

- Ale byłam wściekła, kiedy się dowiedziałam. Mój gniew odchodzi i wraca, a wraz z

nim poczucie zawodu i odrazy. Chcę powiedzieć, że czasami jest mi niedobrze, kiedy myślę o Johnie - o nich. To chore.

- Pam, pamiętaj, że to nie było kazirodztwo. To dwoje atrakcyjnych ludzi, w podobnym wieku, każde na swój sposób samotne.

- Prosisz mnie, żebym im wybaczyła? Nie mogę.

- Nie proszę o to. Chcę, żebyś spróbowała zrozumieć, co czuła Patrycja. Bała się, brakowało jej poczucia bezpieczeństwa, była samotna. Wdała się w coś, co mogło przynieść jej ulgę. Stopniowo stawała się zależna emocjonalnie od Johna, na długo przedtem, zanim połączył ich seks. Z czasem splotło się to z pożądaniem i nie potrafiła już oddzielić tych spraw ani żyć bez nich. Skąd Pam to знаła? Z grymasem na twarzy rzuciła:

- To przecież typowe dla Johna - jedną ręką daje, drugą odbiera.

- Wreszcie do ciebie dotarło.

- Ale nie musiała z nim spać.

- Prawdopodobnie nie doszłoby do tego, gdyby potrafiła jasno myśleć, ale nie była w stanie. Teraz to się zmieniło. I najbardziej potrzebne jest jej przebaczenie. - Nabrał głęboko powietrza. - Odpowiadając więc na twoje pytanie, czy masz wyjawic jej, co wiesz: tak, ale tylko wtedy, gdy znajdziesz w sobie siły na przebaczenie. Pomożesz jej tym samym w wybaczeniu samej sobie.

Pam przyglądała się lekarzowi z ponurym wyrazem twarzy.

- Wiesz, co o tym myślę: to brzmi pięknie, szlachetnie i tak dalej.

Bob uśmiechnął się.

- Bo i ty jesteś piękna, szlachetna i tak dalej.

Zajął jej to trochę czasu. Przy pierwszym spotkaniu czuła się trochę dziwnie. Przyniosła kawę i bułeczki - ulubiony gatunek Patrycji, z cynamonem i lukrem, prosto z cukierni - i zjadły je razem. Na zewnątrz nic się pozornie nie zmieniło. Ale w oczach Pam, w jej duszy kryło się pytanie. Pomiędzy łykami kawy spoglądała na Patrycję, próbując sobie wyobrazić, jak matka kocha się z Johnem.

„Dwoje atrakcyjnych ludzi, w podobnym wieku, każde na swój sposób samotne”. Słowa Boba rozbrzmiewały echem w jej umyśle. Powtarzała je jak milczącą litanie jeszcze długo po opuszczeniu szpitala.

Podczas następnej wizyty przyniosła Patrycji robiony na drutach szal od Bonwita. Był przeplatany różem i bladą zielenią i był tak delikatny jak sama Patrycja. Pam przyniosła też ró-

żowy, pasujący do szala lakier i pomalowała Patrycji paznokcie. Kiedy skończyła i odsunęła się, by ocenić efekt, a Patrycja rzucała w jej stronę niepewne spojrzenia, Pam przez sekundę ujrzała w matce piękną kobietę, która tak wiele przecierpiała.

Za trzecim razem przyniosła mały magnetofon i kasetę z *Dziadkiem do orzechów* Czajkowskiego. Kiedy Pam była dzieckiem, Patrycja nieraz zabierała ją na ten balet. Zawsze potem muzyka przywracała jej wspomnienia szczęśliwszych i prostszych czasów.

Patrycja także musiała to poczuć, bo kiedy kasetę się skończyła, zapytała cicho, ale i z ciekawością:

- Jesteś szczęśliwa?

- Z mojego życia? Patrycja kiwnęła głową.

Pam zastanowiła się chwilę.

- Sprzyjał mi los. Mogę robić to, co zawsze chciałam. Uwielbiam projektować biżuterię. To daje satysfakcję.

- Ale czy jesteś szczęśliwa?

Po raz pierwszy od dawna Patrycja naciskała na nią, odrzucała zwykłą maskę obojętności. Pam chciała wierzyć, że to dobry znak. Chciała także odpowiedzieć szczerze i miała nadzieję, że postępuje słusznie.

- I tak, i nie. Niektóre rzeczy w moim życiu są wspaniałe, inne wręcz przeciwnie.

- Kochasz Cuttera?

Pytanie zaskoczyło Pam. Tyle razy mówiła o Cutterze, a Patrycja nie reagowała. Najwyraźniej jednak słuchała jej.

- Zawsze go kochałam.

Twarz Patrycji nie zdradzała żadnych uczuć.

- Czy to dojrzała miłość?

- Bardzo.

- Dlaczego z nim nie jesteś?

Tym razem Pam nie spieszyła się z odpowiedzią. Wezbrał w niej gniew, że matka musi o to pytać, że sama nie wie. Opanowała złość, nabrała powietrza i wypuściła z westchnieniem.

- John na to nie pozwala - oświadczyła.

Na twarzy Patrycji nie zarysowało się żadne uczucie, ale jej głos brzmiał słabiej.

- To nie John powinien decydować.

- Jemu to powiedz! - wybuchnęła Pam.

W sekundę później pożałowała tego. Oczy Patrycji nagle wypełniły się łzami.

- Nie mogę - wyszeptała. Wpatrywała się w córkę, a w jej szeroko otwartych oczach zbierało się coraz więcej łez.

Bezsilność, desperacja, żal - to wszystko tam było. Uczucia wycierały z jej oczu, wrzały z intensywnością, która przeraziła Pam. Przez kilka ostatnich lat Patrycja przypominała roślinę, zdawała się osobą pozbawioną wszelkich doznań. Pam wiedziała, że matka czuje - tak twierdził Bob - ale nigdy nie udało jej się tego zauważyć. Teraz miała przed sobą najlepszy dowód. Tłumione emocje przebiły skorupę bierności i otepienia i uzewnętrzniły się z całą siłą.

Gdy Pam zobaczyła jej cierpienie, ogarnęła ją furia.

- To nie w porządku, że tak siebie karzesz, podczas gdy on beztrąsko hula po świecie. - Nie mówiąc wprost, dała tym samym do zrozumienia, że wie o romansie.

W odpowiedzi Patrycja gwałtownie potrząsnęła głową.

- Zasługuję na karę.

- I kiedy to się skończy?

- Kiedy umrę.

- Nie, ty zasługujesz na lepsze życie. Tata by tak uważał.

- Nienawidził mnie.

- Kochał cię, mamo.

- Przecież go zdradziłam.

Pam próbowała przypomnieć sobie wszystko, co powiedział jej Bob.

- Zdradziłaś go, bo czułaś się słaba i nieszczęśliwa, ale ktoś ci w tym pomógł. Nie zrobiłaś tego sama. Gdyby John cię nie kusił, nie doszłoby do tego.

Patrycja spuściła wzrok na swoje dłonie, splecione nieruchomo na kolanach. Wpatrywała się w nie przez dłuższy czas, choć Pam wątpiła, czy cokolwiek widzi. Łzy spływały jej po policzkach.

- Ty także mnie nienawidzisz - wyszeptała w końcu.

- Kocham cię.

- Nienawidzisz mnie.

- Czy przychodziłabym do ciebie, gdyby tak było?

- Uważasz, że to twój obowiązek.

- Nie, ja tego chcę.

- Ale ja nie mogę ci nic dać.

- Jesteś moją matką. Dałaś mi życie. Czy to nie wystarczy?

- Powinnam dać ci więcej.

- Przeszłość jest już za nami. Koniec. Nie możesz zawrócić, możesz tylko iść do przodu.

- Nie mogę - jęknęła Patrycja.

Pam poczuła się całkowicie bezsilna. Nie wiedziała, co ma jeszcze powiedzieć, co zrobić. Działając wyłącznie instynktownie, chwyciła dłoń matki i przyłożyła ją sobie do policzka.

- Pewnego dnia - powiedziała milknąc na chwilę, by przełknąć dławiącą grudę w gardle - pewnego dnia będziesz mogła. Pewnego dnia opuścisz szpital i wrócisz do domu, gdzie jest twoje miejsce. Tak się stanie, możesz być pewna.

Patrycja ponownie potrząsnęła głową, ale zaraz ten ruch przeszedł w potakiwanie. Potem, jakby te sprzeczne uczucia zmęczyły jej umysł, zapadła się w krzesło i zamilkła.

Pam jeszcze przez jakiś czas tuliła jej dłoń, potem ją pocałowała i wstała.

- Przyjadę za kilka dni - powiedziała miękko.

W drzwiach Odwróciła się raz jeszcze. Widok, na który patrzyła, zupełnie ją przybił. Widziała skuloną, pogrążoną w rozpacz słabą kobietę, która sama sobie wymierzała karę.

W tej chwili Pam zrozumiała głębię cierpienia matki i poczuła, że jej wybacza. Jednocześnie całą nagromadzoną złość, którą dotąd do niej żywiła, przeniosła na Johna.

W tydzień później Pam wyleciała do Nowego Jorku. Oficjalnie tylko po to, by się spotkać z klientem. Tak naprawdę - w tajemnicy - umówiła się z Cutterem. Miał bardzo napięty harmonogram. Dziesięć dni w Teksasie, zaraz potem wyjazd do Paryża. Został mu ten jeden dzień. Wprawdzie Pam wolałaby inny termin, ale to, co chciała Cutterowi powiedzieć, nie mogło czekać.

Umówił się z nią w Pembroke Room o czwartej. Wcześniej pojechała do Lowell Hotel, gdzie zatrzymał się jej klient, i załatwiła z nim szybko służbowe sprawy. W Pembroke Room zjawiała się na długo przed Cutterem. Usadowiła się przy stole i czekała na niego z rosnącym podnieceniem. Zobaczyła go i jak zawsze zaparło jej dech w piersiach. Miał na sobie czarną, jedwabną koszulę, szare spodnie i luźną, tweedową marynarkę. Modnie ostrzyżone włosy ułożone były z artystycznym nieładem. Na lekko opalonej twarzy rysował się delikatny cień zarostu. Szedł pewnie, oczy mu błyszczały. Robił wrażenie.

- Cześć, kochanie - szepnął, wśliznął się na krzesło i pocałował Pam w szyję. Uśmiechał się łobuzersko.

- Cześć - odszepnęła. Przesunęła palcem po jego ustach. - Zaaranżowałeś sobie to wej-

ście?

- Jakie wejście? - Przesuwał po niej wzrokiem.

- To sprzed minuty.

- Po prostu wszedłem. - Uniósł jej głowę.

- Ale w jakim stylu. - Nabrała powietrza i podstawiała usta do pocałunku. Kiedy skończyli, oddychała nierówno. - Tęskniłam za tobą - powiedziała cicho.

- Ja także - odszepnął. Otoczył jej szyję ramieniem i gładził kciukiem jej policzek. - Wyglądasz prześlicznie.

- Jasne. Przez cały tydzień wpatrywałeś się w piękne modelki.

- Wielkie amazonki. Ja lubię drobne kobiety. Kobiety, na które mogę patrzeć z góry.

- Co za antyfeministyczna uwaga.

- Bo wbrew modzie jestem paskudnym antyfeministą. Wierzę w różnice między nami. - Powędrował wzrokiem do jej piersi, jednocześnie dotykając dłonią biodra. Potem zbliżył usta do jej ust i zapytał: - Chcesz, żebym się zmienił?

- Nigdy w życiu.

- Zamówić herbatę?

- Tylko jeśli masz na nią ochotę.

- A ty?

Przysunęła się jeszcze bliżej i pograżyli się w głębokim pocałunku. Tym razem Cutter oderwał się od Pam z drzeniem całego ciała. Jego głos nabrał niskich tonów.

- Chodźmy gdzieś.

- Do ciebie czy do mnie?

- U ciebie jest milej, ale do mnie bliżej.

- W takim razie do ciebie. Czekałam na ciebie od wieków.

Tak naprawdę widzieli się przed miesiącem, ale kiedy szli do jego mieszkania, czuła, jakby minęły stulecia. Szedł pierwszy, trzymając ją za rękę. Prawie za nim biegła. Kiedy przejeżdżający samochód ogarniał ich światłami, wtulała się w niego z całych sił.

Weszli do budynku i pobiegli do windy. Jeszcze nie zamknęły się drzwi, kiedy Cutter całym ciałem przyparł ją do ściany, całując i pieszcząc zmysłowo jej szyję, piersi, biodra. Nie przestawał do samych drzwi mieszkania, a gdy znaleźli się w środku, oboje zrzucili ubrania i bez żadnych wstępów zaczęli się gwałtownie kochać.

Kiedy skończyli, Pam położyła się na plecach koło Cuttera i głośno jęknęła.

- Powinnam była wiedzieć, że do tego dojdzie. Jedno spojrzenie na ciebie i do niczego się nie nadaję.

- Nadajesz się, nadajesz, byłaś wspaniała - odparł Cutter sennym głosem.

Jego usta ledwo się poruszały.

- Chcę być dobra w wielu rzeczach. - Pam oparła się na łokciu. - Ożeń się ze mną, Cutter.

Nie otwierał oczu. Nie poruszył się.

- Mmmmm.

- Chcę za ciebie wyjść. Teraz.

- Nie jestem ubrany. Potrząsnęła go za ramię.

- Cutter, ja nie żartuję. Chcę wyjść za męża.

- Nie mogę teraz o tym rozmawiać. Wykończyłaś mnie.

- Ale właśnie z tego powodu tu przyszedłam, chciałam o tym porozmawiać.

- W takim razie nie powinnaś najpierw się ze mną kochać.

- Nie potrafiłam się powstrzymać.

Zarzucił jej ramię na szyję i przyciągnął ją do siebie.

- Przytul się do mnie na chwilę. Potem porozmawiamy.

Tak więc leżeli obok siebie, odpoczywając, aż ich oddechy wyrównały się i ucichły. Pam wpatrywała się w twarz Cuttera. Zrelaksowany, wyglądał młodo i spokojnie. Nie można powiedzieć, że trzydziestka to poważny wiek, ale od dawna już nie był tak odprężony i pewien siebie. Czuł się mocny i niezależny, miał wpływowych znajomych i pieniądze. To ona była teraz słabszą stroną. Jego świat poszerzył się, mogła go łatwo stracić.

Przeszył ją lekki dreszcz. Objął ją mocniej, ale leżał bez ruchu i domyśliła się, że drzemie. Oparła policzek na jego owłosionej klatce piersiowej i zamknęła oczy, wdychając męski, zmysłowy zapach.

Sama pograżyła się w drzemce. Kiedy obudziła się, zobaczyła Cuttera opartego na łokciu i wpatrującego się w nią z zachwytem w oczach.

- We śnie wyglądasz jak anioł.

- Nie spałam. - Wyciągnęła się, czując przy tym znajome ciepło jego ciała i przysunęła się bliżej.

Nagle przypomniała sobie o celu swojej wizyty. Wyprostowała dłoń opartą na jego pierśsi.

Pod jej dotykiem Cutter wydał z siebie cichy jęk.

- O nie! - Wyrwała rękę i usiadła.

Ogarnęła włosy z twarzy, skrzyżowała nogi i popatrzyła na niego.

- Mówiłam poważnie. Chcę za ciebie wyjść.

Cutter leżał i wpatrywał się w jej nogi.

- Cutter!

Szybko spojrzał jej w oczy.

- Hmm?

- Pobierzmy się.

- Zrobimy to, gdy nadejdzie odpowiedni czas.

- Zróbmy to teraz, jestem zmęczona czekaniem. Skończyłam szkołę, dobrze zarabiam. Ty zarabiasz nawet lepiej ode mnie. Nie możesz już mi tłumaczyć, że prześcignę cię w życiu, bo jest wręcz odwrotnie. Więc pobierzmy się.

Patrzyła, jak jego zaciekawienie zmienia się w niedowierzanie.

- Tak po prostu? Tak jakbyśmy byli dwojgiem zwyczajnych ludzi, którzy spotkali się zeszłej jesieni i zakochali się w sobie? Tak jakbyśmy nie czekali na nasz ślub od twoich siedemnastych urodzin?

- Właśnie.

Nie mógł wierzyć własnym uszom.

- Ależ nic się nie zmieniło, Pam. John nadal istnieje, nadal nam zagraża.

- Myśmy się zmienili - upierała się. - Jesteśmy starsi, mocniejsi. Jestem już zmęczona kierowaniem się w życiu zasadami narzuconymi przez Johna.

Cutter przetarł dłonią oczy, po czym oparł ją na czole. Spoglądając na Pam, odezwał się głosem, w którym zabrzmiała nuta rezygnacji.

- Dyskutowaliśmy już nieraz na ten temat.

- I jestem tym znużona tak samo jak ty. Więc zróbmy to. Pobierzmy się.

- Nie.

- Dlaczego?

- Ponieważ nie nadszedł odpowiedni czas.

- Mówiłeś to już, ale nie będzie lepszego czasu. John nie zestarzeje się i nie zniknie. Jeśli liczysz na to, że z czasem zmięknie, to nie masz racji. On cię nienawidzi, Cutter. Raczej podejrnie mi gardło, niż zgodzi się kiedykolwiek, żebym za ciebie wyszła.

- Właśnie z tego powodu musimy jeszcze czekać.

- Ale ja chcę wziąć ślub już teraz.

- Dlaczego?

- Bo cię kocham.

- I co jeszcze?

Słyszając gorzki ton jego głosu poczuła, że się w sobie zapada. Spodziewała się, że Cutter może nie być zachwycony jej pomysłem, jednak liczyła na większy entuzjazm z jego strony.

- Dlaczego teraz? - ciągnął. - Przecież i tak nie moglibyśmy spędzać ze sobą więcej czasu. Masz swoją pracę, ja mam swoją. Obydwoje jesteśmy wiecznie zajęci, rzadko bywamy w domu. Nie zawsze tak będzie, ale na razie musimy się z tym pogodzić. Naprawdę nie jest to dobry moment na zawieranie małżeństwa.

- A ja chcę - powtórzyła wolno - wyjść za mąż!

Opuścił ramię.

- Powiedz mi, dlaczego, Pam. Skąd ten pośpiech?

Popatrzyła mu w oczy i zaczęła mówić przez zaciśnięte zęby, z pasją. Przyszło jej to z łatwością, bo wciąż miała przed oczami zniechęconą twarz Johna.

- Ponieważ chcę uzyskać kontrolę nad udziałami swoimi i mojej matki. Nie chcę czekać, aż skończę dwadzieścia pięć lat. Chcę już teraz przejąć władzę.

Cutter podciągnął się na łokciu.

- Czy John zrobił coś nowego?

- Nie, nic nowego. - Opowiedziała mu o romansie z Patrycją. - Wiedziałeś o tym?

- Skąd mogłem wiedzieć? Byłem wtedy w Maine.

- Więc nie krążyły żadne plotki?

- Nie, przecież bym ci powiedział. Boże, nie ma dla niego żadnych świętości, ten człowiek pakuje się do każdego łóżka.

- Z wyjątkiem mojego - sapnęła Pam.

- Bynajmniej nie dlatego, że tego nie chce. Wiesz o tym, prawda?

Doskonale zdawała sobie z tego sprawę, ale jej troska dotyczyła tym razem Patrycji.

- Załamanie nerwowe mojej matki to wina Johna. To z jego powodu nie może myśleć, mówić ani nic robić. To przez niego nie potrafi żyć. Musimy go powstrzymać, Cutter. Muszę przejąć kontrolę nad aktywami moimi i matki. Wtedy będę miała więcej niż John. Muszę wyjść za mąż.

Cutter potrząsnął głową.

- Gdyby małżeństwo mogło w czymś dopomóc, zrobilibyśmy to już dawno. Myślisz, że tego nie pragnę? Ale nic się nie zmieniło. Nasz ślub nie powstrzyma w niczym Johna. Możesz przejąć kontrolę nad własnymi akcjami, ale nie Patrycji. Naprawdę sądzisz, że John by do tego dopuścił?

- Zdobędę nakaz sądowy.

- Na jakiej podstawie? Nie jesteś prawnym opiekunem matki, poza tym nie jesteś przedsiębiorcą, tylko plastyczką.

- A co to ma za znaczenie?

Cutter usiadł.

- John jest świetnym biznesmenem. Możemy go nienawidzić, ale trzeba mu to oddać. Jest dobry w tym, co robi. Rozwinął firmę i dzięki niemu stała się silniejsza.

- Taka była za czasów mojego ojca.

- Dużo słabsza, Pam. John ją powiększył, oparł się na kapitale udziałowców. Biorąc pod uwagę twój brak doświadczenia w interesach oraz zamożność Johna, żaden sąd nie przeniesie na ciebie kontroli nad udziałami.

- Ale ja jestem córką Patrycji.

- A on jest jej pasierbem.

- Ale popatrz, co on jej zrobił!

- Sąd nie weźmie tego pod uwagę, chyba że to udowodnisz.

Uniosła zadziornie brodę.

- Jeśli zajdzie taka potrzeba...

- Nie zrobisz tego, ponieważ skrzywdzisz tym siebie i Patrycję. Powtarzam ci, Pam, nie masz szans na przejęcie tych udziałów, więc pochopne małżeństwo będzie szaleństwem.

- Nie mówiłbyś tak, gdybyś mnie kochał. Wzniósł oczy do sufitu i westchnął.

- Kocham cię. Jednak rzecz w tym, czy zgodzimy się, by John dyktował nam swoje warunki. Chcę się z tobą ożenić, Pam. Pragnę tego od lat i ty o tym wiesz. Ale nie nadszedł jeszcze odpowiedni moment. Zdążam powoli do celu, lecz jeszcze tam nie dotarłem.

- Przecież tyle już masz!

- Wszystko jest względne. Dużo zarabiam i dużo inwestuję. Kupuję akcje St.George, ale mam ich nadal zbyt mało, żeby stanowić zagrożenie dla Johna. Nie mogę na razie zamknąć mu ust. Możesz być pewna, że jeśli się pobierzemy, John zrobi wszystko, żeby się zemścić. Nie mogę teraz ryzykować.

- Ryzykować? Czy małżeństwo ze mną to takie ryzyko? Gdybyś naprawdę mnie kochał, nie mówiłbyś tak.

Złapał ją za ramię i przez sekundę miała wrażenie, że chce nią porządnie potrząsnąć. Był bardzo wzburzony, ale tylko trzymał ją mocno.

- Kocham cię. Kocham cię naprawdę. Przed laty powiedziałem ci, że jesteś jedyną kobietą, z którą chcę się ożenić. I to się nie zmieniło, ale jest jeszcze za wcześnie.

- Dlaczego?

Teraz nią potrząsnął. To szarpnięcie było niemym wyrazem niemocy i bezsilności.

- Ponieważ mam swoją dumę, do diabła! Ślub z tobą będzie najważniejszą rzeczą w moim życiu, ale chcę to zrobić na moich warunkach. Stanie się to, kiedy uznam, że nic nie stoi na przeszkodzie. I kiedyś z pewnością to nastąpi.

- A jeśli ja nie zechcę dłużej czekać? - odważyła się zapytać Pam.

Popatrzył na nią, a potem opuścił rękę.

- To będzie twoja strata.

- Ty nadęty, zarozumiały ośle! - Zrywając się z łóżka, sięgnęła po ubranie. - Będzie to także twoja strata, ale jesteś zbyt uparty, żeby to przyznać.

- Dokąd idziesz?

- Wracam do Bostonu. Musisz się zastanowić, czy pragniesz mnie, czy władzy.

- Każesz mi wybierać?

- Tak.

- Nie rób tego - ostrzegł ją zduszonym głosem, który sprawił, że palce zapinające bluzkę zadrżały.

- O co ci chodzi? - Szarpnęła guziki.

- Nie stawiaj mi ultimatum w rodzaju: albo ożenię się z tobą teraz, albo ode mnie odejdziesz. To są metody Johna, przecież tym gardzisz.

Wciągając rajstopy, porwała je w strzępy. Zakłęła i łzy napłynęły jej do oczu.

- Nieprawda, to normalny ludzki odruch. Już dawno powinnam była tak postawić sprawę. Gdybyś mnie kochał, ożeniłbyś się ze mną. To proste.

- To nie jest proste. Nic nigdy nie było proste, jeśli chodzi o nas.

Wstała i drżącymi rękami wsuwała bluzkę w spódnice.

- Może jest w tym jakieś przesłanie.

Nie zważając na swoją nagość, Cutter wstał i podszedł do niej.

- Mówisz jak rozkapryszone dziecko.

- Mam dwadzieścia trzy lata. Jestem wystarczająco dorosła, żeby wyjść za męża, i już najwyższy czas, żebym miała dzieci! - Ściskając sweter w dłoni, sięgnęła po torbę. - Miałabym już twoje, Cutter. Nasze. Miałoby teraz pięć lat, gdyby nie zabił go John.

Cutter znieruchomiał. Zamilkł.

- O czym ty mówisz?

- Nie wiedziałaś? - zapytała, idąc w stronę drzwi. Głos jej drżał. Cała zaczęła drżeć. - Hillary ci nie powiedziała?

Poszedł za nią.

- O czym, do diabła?

Przyspieszyła kroku.

- O aborcji.

- Jakiej aborcji??

- Tej, którą John kazał mi zrobić, kiedy znajdowałam się pod wpływem środków uspokajających. - Zatrzymała się przed drzwiami i obróciła na pięcie. - Zabił twoje dziecko, Cutter. Tylko że ty nawet nie wiedziałaś o jego istnieniu, nie mogłeś go pokochać, więc nie opłakiwałeś jego śmierci tak jak ja. Ty masz swoją karierę, swoje pieniądze, władzę. - Otworzyła drzwi. - W porządku! Trzymaj tak dalej! Mam nadzieję, że będziesz szczęśliwy.

Trzasnąwszy drzwiami, pobiegła do windy. Była zbyt wściekła, by płakać, i zbyt rozżalona, by obejrzeć się i sprawdzić, czy Cutter za nią podąży. Wskoczyła na ulicę, zatrzymała taksówkę i kazała się wieźć prosto na lotnisko. Przed północą była w Bostonie.

Wiele długich dni czekała na telefon od Cuttera. Czekala z nadzieją, że zadzwoni i zapewni ją, jak mu jest przykro, jak ją kocha i że bardzo chce się z nią ożenić. Niestety nie zadzwonił, więc próbowała się z nim skontaktować, ale odpowiadała jej jedynie automatyczna sekretarka. Nie wiedziała, czy Cutter wyjechał, czy po prostu nie odbiera telefonów od niej. Ale nie miała innego wyjścia, czekała. Bezskutecznie.

Przekonana, że Cutter obarczył ją winą za usunięcie dziecka, wpadła w przygnębienie. Ogarnęła ją także złość - zarówno na Cuttera, że jest taki uparty, jak i na Johna, za jego podłość. Co do Cuttera, nie mogła nic na to poradzić. Inaczej przedstawiała się sprawa z Johnem.

Chciała się od niego uwolnić. Musiała przejąć kontrolę nad udziałami, jeśli miała pomóc matce. Z każdym mijającym dniem po tysiącokrotnie przekonywała samą siebie, iż nikt inny tego

nie dokona. Tylko poprzez córkę Patrycja mogła zemścić się na Johnie.

Rozwiązaniem było małżeństwo. Pam osiągnęła już odpowiedni wiek, wielu z jej znajomych pozakładało rodziny i dochowało się dzieci, bądź właśnie oczekiwało potomstwa. I był jeszcze Brendan McGrath, który nieraz się jej oświadczał. Był taki miły, pełen wewnętrznego ciepła i uwielbienia dla niej.

Wyszła za niego. Zrobiła to dla siebie, dla matki, a nawet dla Cuttera. Ślub był skromny i odbył się w olbrzymim domu Brendana w Milton. Jedynymi świadkami uroczystości byli jego dwaj dorośli synowie.

Brendan był znanym bankierem, dwa razy starszym od Pam. Był też starszy od Johna, a w kręgach finansowych uchodził za wybitnego specjalistę i cieszył się większym niż John poważaniem. Jego pierwsze małżeństwo należało do szczęśliwych. Zmarła przed pięciu laty żona pozostała jego najlepszym przyjacielem aż do samej śmierci. Pam poznała Brendana niedługo po tym przykrym wydarzeniu i prawie natychmiast się z nim zaprzyjaźniła. Okazał się człowiekiem spokojnym i czułym, interesował się jej poczynaniami, szanował osiągnięcia i zachwycał się nią jako kobietą. Był pięćdziesięcioletnim mężczyzną, silnym i pewnym siebie, choć nie egoistą, i wydawał się wspaniałym materiałem na towarzysza życia.

Stanowił dla Pam doskonale rozwiązanie. Dał jej swoje nazwisko, dom, uczucie, a w zamian prosił tylko, by byli razem w czasie weekendów. W pewnym sensie zastępował jej ojca i chociaż taki układ wydał jej się dziwny, miał dużo zalet i Pam doszła do wniosku, że mogła trafić o wiele gorzej. Brendan był dobrym człowiekiem.

Prawdopodobnie dlatego była tak wstrząśnięta, kiedy po raz pierwszy uświadomiła sobie, jak wielki popełniła błąd. Zrozumiała to na długo przed zakończeniem miodowego miesiąca. Brendan kochał się z nią, był zawstydzony i niewyobrażalnie delikatny, ale Pam miała przed oczami tylko twarz Cuttera. Nie kochał jej na tyle, by się z nią ożenić, a teraz był poza jej zasięgiem bardziej niż kiedykolwiek wcześniej. I sama była temu winna. Postąpiła niemądrze i pochopnie. Spieszyła się ze względu na Johna, ale w tym wszystkim nie pomyślała o sobie. Oczywiście mogła za to winić Johna, lecz tylko do pewnego stopnia. Powinna była lepiej przemyśleć swoją decyzję i być bardziej przewidująca.

Zraniła Cuttera - tego była pewna. Bardziej jego dumę niż cokolwiek innego, ale fakt pozostał faktem. Jeśli przedtem jeszcze ją kochał, teraz zniszczyła resztki jego uczuć. To bolało. Cierpiała również myśląc o Brendanie. Stał się niewinną ofiarą jej gry, o której zasadach nie miał w ogóle pojęcia. Wykorzystała go. Postępowała nie lepiej niż John.

Ta myśl i wiele innych dręczyły ją przez wszystkie siedem dni, które spędzali z Brendaniem w Key West. Pam pograżyła się pełnym rezygnacji spokojem, chwilami była wręcz otepiała. Mało mówiła, przeżywając w głębi duszy swoje rozterki. Targała nią bezsilna rozpacz na myśl o tym, co uczyniła. Kiedy jednak wróciła do domu, jej duma dała znać o sobie. Była nieodrodną córką swego ojca i nie mogła pozostawić spraw w takim stanie - czuła, że powinna wziąć się w garść i zrobić ze swoim życiem coś sensownego. Wiedziała, że wyrządziła Brendanowi ogromną krzywdę. Zdała sobie sprawę, że będzie musiała albo pograżyć się w wyrzutach sumienia, albo dorosnąć do okoliczności. Wybrała to drugie. Nie zważając na to, jak bardzo tęskniła za Cutterem, postanowiła uczynić Brendana szczęśliwym.

Rozdział dwudziesty czwarty

A więc, jak sądzę, powinnam ci pogratulować? - zapytała Hillary.

Cutter oparł słuchawkę o ramię i nacisnął palcami oczy.

- Taak.

- Opowiedz mi o tym.

- A powiesz mi, co słyszałaś?

- Bawisz się ze mną?

- Jestem zmęczony.

- Aaaa. Ciężka noc?

Rozejrzał się po pokoju. Panował w nim straszliwy bałagan, tak jak przez ostatnie dwa miesiące. Ciężka noc?

- Można tak powiedzieć. - Każda pieprzona noc była ciężka, odkąd dowiedział się o małżeństwie Pam. Źle spał, nie mógł jeść, nie mógł się skoncentrować.

- Słyszałam - zaczęła Hillary - że stałeś się prawdziwą gwiazdą kolekcji džinsów, sponsorowanej ostatnio przez przemysł diamentowy. Mówiono, że wyglądałeś jak marzenie. Tak było?

- Dramatycznie powiedziane i zbyt pochlebnie, ale coś koło tego.

- Jestem pisarką i zawsze mówię z przesadą. Więc opowiadaj. Pokłóciłeś się z Jondierem?

- Nie, ale mój kontrakt wygasa i chcę zmiany.

- No to ją masz. Wytworne, nieskazitelne garniturki zmieniłeś na džinsy - czy może być

większa zmiana stylu? Co z pracą? Będzie mniej męcząca?

- Tak. Mniej dni, więcej pieniędzy.

- Nieźle. - Zamilkła. - Dlaczego więc nie słyszę w twoim głosie entuzjazmu?

- Po prostu jestem zmęczony - odparł.

- I tęsknisz za nią?

Poczuł nagle szarpnięcie. Dopiero po chwili odpowiedział:

- Tak.

- Och, Cutter. Zamknął oczy.

- Rozmawiałaś z nią? - zapytał.

- W zeszłym tygodniu. Wygląda na to, że czuje się dobrze.

- Tylko dobrze? Nie jest zachwycona, nie promienieje radością? Czyż nie tak właśnie powinny się zachowywać świeżo poślubione żony?

- No, Cutter, tylko nie sil się na sarkazm.

- Więc jak mam reagować? - prawie warknął, a potem wylała się z niego cała nagromadzona gorycz. - Jest miłością mojego życia, a przypuszczalnie ja również byłem jej miłością, ale kiedy nie mogłem nadążyć za jej planami, uciekła i wyszła za mąż za innego. Po czternastu latach, wyobrażasz sobie, czternaście lat!

- Cutter, czternaście lat temu ona była dziewięcioletnią dziewczynką.

- Wtedy zobaczyliśmy się po raz pierwszy i natychmiast odnaleźliśmy w sobie pokrewne dusze. Więc co się stało? Jak mogła nawet pomyśleć o poślubieniu kogoś innego? Jak mogła mi to zrobić? A on? To starzec, na Boga.

- To dobry człowiek.

- I może jeszcze powiesz, że ona go kocha.

- Nie. Ale go lubi. Brendan jest dla niej dobry.

- Ja też byłbym dla niej dobry.

- Ale nie ożeniłaś się z nią.

- Ponieważ nie nadszedł na to czas, a jej argumenty nie miały sensu. Przekonała się o tym. - Aż chrypiał w słuchawkę. - Nie udało jej się przejąć udziałów Patrycji. Sąd nie ustąpił nawet na milimetr.

- Dostała swoje.

- To nic w porównaniu z całością, więc jaki z nich pożytek?

- Może zasiadać w zarządzie. Widać ją. Ma zamiar dać się poznać. Zamierza także stać

się najlepszym projektantem „Facets”.

- Czy on jej na to pozwoli - ten facet, za którego wyszła?

- Ma na imię Brendan. I wyobraź sobie, że tak, zgodził się, by pracowała. Nawet ją do tego namawia, ponieważ wie, jak wiele znaczy dla niej praca.

- A co z dziećmi? Chcą je mieć? - Głos Cuttera załamał się, co odzwierciedlało stan jego duszy w chwilach, gdy myślał o ich nie narodzonym dziecku. Skrzywił się z bólu.

Usłyszał cichy głos Hillary.

- Przyjadę do ciebie, Cutter.

- Nie. - Odchrząknął. - Nie jestem ubrany. - Spojrzał na siebie. Miał gołe stopy i tors, rozsunięty rozporek w spodniach. Nie widział potrzeby, by go zapinać, skoro przez ostatnie dwanaście godzin chodzenie do ubikacji było jedyną czynnością, jaką wykonywał.

- Myślę, że powinnam. Wydaje się, że jesteś załamany.

Mógł przewidzieć, że Hillary się przejmie. Taka już była. Ale on nie chciał współczucia, które w niczym mu nie pomoże.

- Tak, jestem załamany, ale przeżyję. Podpisałem nowy, wspaniały kontrakt. Będę miał wreszcie więcej czasu na rzeczy, które lubię robić.

- Jeśli mogę cię pocieszyć, to John...

- Nie wypowiadaj przy mnie tego imienia, bo staję się agresywny! - Walczył z bólem. - Hillary, czy wiedziałaś o aborcji?

Odpowiedziała dopiero po chwili.

- Przez długi czas nie.

- Ale w końcu doszło to do ciebie. Dlaczego mi nic nie powiedziałaś?

- To nie było moje zadanie.

- Ktoś powinien był to zrobić. Miałem prawo wiedzieć.

- Po co? Dziecko już nie żyło.

Słyszając jej słowa, poczuł wzbierający żal.

- Może i dobrze się stało, kto to wie... Dziecko tylko by jej wtedy skomplikowało życie.

- Nie wierzysz w to, co mówisz.

- A w co innego mam wierzyć? Rzuca mi w twarz taką wiadomość, a potem ucieka. Skąd, do diabła, mam wiedzieć, co czuła?

- Mogłeś zapytać. Mogłeś do niej zadzwonić. Mogłeś pojechać do Bostonu i zobaczyć się z nią.

Powtarzał to sobie niezliczoną ilość razy i zaraz zadawał w duchu pytanie, czy to by coś zmieniło. Może i tak. Ale nie umiał przewidzieć najważniejszego - nigdy nie przyszło mu do głowy, że Pam wyjdzie za mąż za innego mężczyznę i to w dwa tygodnie po ich rozstaniu. Postąpił krótkowzrocznie. Jak idiota.

- Byłem wściekły - brzmiało jedyne wytłumaczenie, jakie mógł dać.

- Nadal jesteś. Ale odpuść Pam, przynajmniej w sprawie aborcji. Pragnęła tego dziecka. Pragnęła go bardziej niż cegokolwiek innego. Nie jestem pewna, czy do końca przeboleła jego stratę.

- Jak on jej mógł to zrobić? - wykrzyknął Cutter. Zaraz potem dodał: - Zapomnij, że to powiedziałem. To przecież jego charakter. Ale nie rozumiem ciebie. Jak możesz spotykać się z takim człowiekiem?

Głos Hillary stał się chłodniejszy.

- Odczep się ode mnie, Cutter. mówię ci wszystko, co wiem o Pam, przekazuję ci nawet informacje na temat Johna. Ale nie krytykuj mnie. Każde z nas ma swoje słabości. Moją jest John. Twoją Pam.

- Pam nie jest słabością. Nie jest zła ani okrutna. Kochanie jej jest tak łatwe jak oddychanie.

- Czyżby? Mój Boże, żebym nigdy tak nie cierpiała przy oddychaniu, jak ty w swojej miłości do Pam. Minęło już czternaście lat. To co do niej czujesz, jest obsesją.

- Może - zgodził się Cutter. - Ale pewnego dnia będę ją miał.

- Jest już mężatką i lepiej się z tym pogódź.

- Na razie. Jednak kiedyś będzie moja, przekonasz się. Pewnego dnia wszystko będzie moje. Obserwuj, Hillary, a zobaczysz, że dopnę swego.

Ta myśl pchała go do działania przez kilka następnych miesięcy. Rozstanie z Jondierem było dobrym posunięciem. Miał teraz więcej czasu na zajęcie się interesami, a zdawał sobie sprawę, że to właśnie może być jego kluczem do szczęśliwej przyszłości. Praca modela była jedynie środkiem prowadzącym do celu.

Dzięki kontaktom w nowym miejscu pracy otwierały się przed nim nowe, obiecujące perspektywy. Miał za nauczycieli najlepszych biznesmenów w kraju i kierując się ich radami, zaczął aktywnie i z powodzeniem działać we własnych sprawach. W niedługim czasie zdobył sobie respekt świata finansów; coraz więcej osób dostrzegało jego profesjonalizm i głowę do interesów.

W nieunikniony sposób drogi jego i Pam zaczęły się krzyżować. Choć podążali z różnych kierunków, mieli wspólne pole działania - świat mody i biznesu. Mieli też wspólnych znajomych.

Po raz pierwszy spotkali się w październiku w San Francisco. Pam była mężatką od dziesięciu miesięcy. Cutter nie widział jej od dnia, kiedy wybiegła z jego mieszkania i choć dławiący go gniew nieco osłabł, daleki był od wybaczenia jej. I wtedy niespodziewanie ją zobaczył. Stała w drugim końcu sali i wyglądała jeszcze piękniej niż zazwyczaj.

Jakby dostał pięścią w brzuch. Odzyskawszy oddech, poczuł w sobie mieszaninę złości, bólu i osamotnienia. Przede wszystkim jednak ogarnęło go pożądanie. Nie mógł się na nią napatrzyć. Wypełniała mu umysł i ciało, pobudzała zmysły, uśpione od dziesięciu i pół miesiąca.

Pam również go dostrzegła. Widać było, że doznała tego samego szoku i zawładnęły nią te same uczucia, co nim chwilę wcześniej. Cutter nie potrafił sobie z tym poradzić, więc ostatni raz pochwycił jej rozpaczliwe spojrzenie, odwrócił się i wyszedł. Powtarzał sobie, że jest mężatką i nie ma prawa patrzeć na niego w ten sposób. Jednak nie mógł zapomnieć tęsknoty w jej oczach i kiedy w lutym powtórnie się spotkali, tym razem w restauracji w Gstaad, nie odwrócił się, tylko przeprosił znajomych i podszedł do stolika, przy którym siedziała.

- Pam. - Serce mu waliło, ale zawodowe doświadczenie pomogło to ukryć. - Jak się masz?

Wydawało mu się, że zbladła.

- Świetnie, a ty?

Kiwnął głową w odpowiedzi.

- Przyjechałaś na narty?

- Och, nie. Interesy. - Przyglądała mu się nieco dłużej, niż wypadało, ale w końcu przedstawiła go czwórce towarzyszących jej znajomych. Nie było wśród nich jej męża, co Cutter zdążył już wcześniej zauważyć. Widział zdjęcia Pam i Brendana ze ślubu i dobrze zapamiętał twarz mężczyzny.

Po wymianie towarzyskich grzeczności Pam z powrotem wbiła w niego wzrok.

- A ty? - zapytała, a na jej policzkach wykwitł słaby rumieniec. - Interesy czy przyjemność?

- Wszystkiego po trochu. To wspaniałe miejsce - powiedział, nawet na sekundę nie odrywając od niej oczu. Nic nie równało się urodzie Pam. - Jestem tu po raz pierwszy.

Kiwnęła głową i przez chwilę patrzyła na jego ubranie.

- Jeździłeś na nartach. - Kiedy potwierdził skinieniem głowy, dodała: - Założę się, że jesteś w tym dobry.

Wzruszył ramionami.

- Zawsze byłeś sprawny... fizycznie.

Cutter z trudem trzymał się swojej nonszalanckiej pozy. Oczy Pam przepełniała ciekawość granicząca z pożądaniem. Nie zważała na to, że nie powinna okazywać takich uczuć. Cutter przeżywał to samo i tylko nadludzkim wysiłkiem woli opanował chęć dotknięcia dziewczyny.

Przez chwilę żadne z nich się nie odzywało. Potem Cutter rzucił cicho:

- Staram się. - Kiwnięciem głowy pożegnał znajomych Pam i lekko się pochyliwszy, powiedział na odchodnym: - Uważaj na siebie.

Wrócił do swojej grupy, ale nadal spoglądał na drugą stronę sali. Gdy napotykał wzrok Pam, odwracała oczy.

Cutter nie wiedział, czy po prostu wstydzi się, że na niego patrzy, czy też sprawia jej to zbyt wiele bólu. Dla Cuttera jej widok był torturą, przypominał, co mógł mieć i co stracił. Tym bardziej wzmogła się jego determinacja i to w stopniu, który go przerażał.

W październiku, kiedy zobaczył ją na przyjęciu w prywatnym klubie na obrzeżach Atlanty, trzymał się od niej z daleka. Towarzyszył jej Brendan i nawet Cutter musiał przyznać, że tworzyli miłą dla oka parę. Siwe włosy, szczupła, ale mocna sylwetka ciała, ujmujący uśmiech - wszystko to sprawiało, że Brendan wyglądał na sympatycznego człowieka. Nieustannie posyłał Pam uśmiech, życzliwe spojrzenie, czułe dotknięcie ręki. Cutter, przyglądając się temu, cierpiał katusze, ale było to niczym w porównaniu z chwilą, kiedy Pam zauważyła go i ruszyła przez salę w jego kierunku. Skierował się w przeciwną stronę, lecz nie uwolnił od dręczącej go chandry.

Musiał odetchnąć świeżym powietrzem, więc wyszedł na werandę. Tam go odnalazła.

- Cutter?

Nie odzywał się. Patrzył w ziemię.

Podeszła bliżej i czułym głosem powtórzyła jego imię.

Opuścił głowę jeszcze niżej i powiedział:

- Wracaj do środka, Pam.

- Dlaczego?

- To jest niebezpieczne.

- Johna tu nie ma.

- Nie o niego mi chodzi.

Milczała przez chwilę, ale nie odeszła. Kiedy się odezwała, jej głos brzmiał niepewnie.

- Chciałam się tylko przywitać. Dawno się nie widzieliśmy.

- Osiem miesięcy.

- I jeden tydzień.

Z gardła Cuttera wydobył się zduszony jęk. Podniósł głowę i natychmiast tego pożałował. Pam, nieco przestraszona i zdesperowana, patrzyła na niego szeroko otwartymi oczami. Skóra jej twarzy, cudownie gładka, była pokryta delikatnym rumieńcem, a lekko rozchylone, wilgotne usta drżały. Z włosami zaczesanymi z wdziękiem za uszy, w satynowej sukni, pięknie opływającej ciało, ze wspaniałymi złotymi koleczykami i w takim samym naszyjniku, wyglądała oszałamiająco.

Przez jakiś czas stał tylko i napawał się tym widokiem. Potem zmienionym głosem powiedział:

- Widać, że małżeństwo ci służy. Jesteś piękniejsza niż kiedykolwiek.

- Ty także.

- I robisz karierę.

- Ty też. Twoja kampania robi wielkie wrażenie. - Wpatrywała się w niego tym samym przestraszonym, ale i stęsknionym wzrokiem. - Tęsknię za tobą - szepnęła.

Coś ścisnęło go za gardło.

- Nie mów tak.

- To prawda.

- Ale to boli. I wcale nie chcę o tym wiedzieć.

- Mnie przyniosło to ulgę. Byłeś moim największym przyjacielem, Cutter, a ja cię skrzywdziłam. Gdybym mogła cofnąć czas...

Położył dwa palce na jej ustach i potrząsnął głową.

- Nic nie mów - szepnął.

Oczy Pam wyrażały to samo, co działo się w jego sercu. Posłała mu w powietrzu pocałunek, a potem odwróciła się i wybiegła z werandy.

Cutter niedługo potem wyszedł z przyjęcia, ale obraz Pam nie opuszczał go. Myślał o niej i o tym, co mu powiedziała, wspominał każdy gest i grymas twarzy. Kłął ją w duchu, ale zarazem przyznawał, że była bardziej szczerą niż on. Przecież też za nią tęsknił, wrywał się do

niej całą duszą. Powinien był jej to powiedzieć.

Wtedy uprzytomnił sobie, że nic by to nie zmieniło. Pam należała do innego mężczyzny.

Niemniej gdy ją znowu zobaczył, z najwyższym trudem o tym pamiętał. Było to w czerwcu, na premierze filmu w Los Angeles. Brendana z nią nie było, towarzyszyli jej tylko jacyś znajomi. Mimo że Cutter był z przyjaciółką, nie mógł się powstrzymać, by nie patrzeć zachłannie na Pam.

- Znajoma? - zapytała towarzyszka Cuttera.

- Mhm. - Zmusił się do spojrzenia w innym kierunku, ale postać dziewczyny przyciągała jego wzrok jak magnes.

Zobaczyła go w końcu i wyglądała na zaskoczoną. Cutter poczuł się winny, że Pam widzi go z inną kobietą, ale zaraz zdał sobie sprawę z absurdalności tych wyrzutów. Jednak nie mógł się ich pozbyć i gdy zauważył, że Pam idzie do baru, ruszył za nią. Oparł się o ścianę i czekał, aż będzie wracała. Nie próbowała udawać, że go wcześniej nie zauważyła. Podeszła wolnym, niezdecydowanym krokiem.

Spoglądali na siebie nieruchomo, w milczeniu, aż Cutter nie wytrzymał i uniósł dłoń do jej policzka. W ostatniej chwili jego ręka powędrowała do tyłu, pod włosy, i Pam cicho jęknęła. Sekundę później poczuł jej palce wciskające się w jego drugą dłoń.

Pokonując swój nierówny oddech i starając się zachować resztki opanowania, wyszeptał:

- Spotkajmy się później.

Pragnęła tego. Widział to w jej oczach, czuł w uścisku ręki. Jednak nie zgodziła się.

- Miałaś rację. To niebezpieczne.

- Tylko porozmawiamy.

Już samo jej spojrzenie mówiło, że w to nie wierzy. Niezależnie od tego, co się wydarzyło, byli sobie zbyt bliscy, zbyt się nawzajem pociągali i za bardzo kochali. Po upływie długiej jak wieczność minuty, kiedy wpatrywała się w niego oczami płonącymi pożądaniem, wyrwała dłoń i odeszła.

Cutter nie widział filmu, nie zwracał też uwagi na swoją towarzyszkę. Odprowadził ją po premierze do domu, po czym wrócił do hotelu. Długo krążył po pokoju. Zadzwoiłby do Pam, gdyby wiedział, gdzie się zatrzymała. Na szczęście nie wiedział. Była dla niego nieosiągalna, była mężatką. Jednak pragnął jej tak samo gorąco jak przed dwoma laty, a ona pokazała mu, iż trawi ją ten sam ogień.

Spotkał ją dwa miesiące później na wystawie w Nowym Jorku, a po następnych trzech na

gali dobroczynnej w Dallas. W obu wypadkach trzymał się od niej z daleka, ale przy kolejnej okazji, podczas konferencji jubilerów w Nowym Orleanie, wszelkie hamulce puściły. Pożądanie, tłumione przez trzy lata, wybuchło z całą siłą.

O tym, co się stało, Pam nie powiedziała nikomu ani słowa. Nie miała powodów do dumy. Jednak świadomość, że zdradza Brendana, zupełnie jej nie ciążyła, póki była z Cutterem. Jego widok, możliwość dotknięcia go i ich szalona miłość przesłoniły wszystko inne. Po powrocie do domu ogarnęły ją nieuniknione wyrzuty sumienia i to sprawiło, że z tym większym oddaniem odnosiła się do Brendana. Nie miała jednak władzy nad sennymi marzeniami o Cutterze i bała się, iż pewnej nocy wypowie we śnie jego imię. Zdała sobie sprawę, że musi coś z tym zrobić.

Poszła do Patrycji. Ryzykowała, ale Bob twierdził, że matka staje się coraz odporniejsza. Lekarz od dawna namawiał Pam, by wciągała matkę w swoje sprawy, i ona w jakimś stopniu to robiła. Odwiedzała Patrycję regularnie, pokazywała jej swoją biżuterię, opowiadała o interesach i bliskich znajomych. Przyprowadziła nawet Brendana.

Szpital w oczach Patrycji był oazą bezpieczeństwa i spokoju, a ponieważ było ją na to stać, pozostawała w nim. Jednak przeniosła się do mniejszego, bardziej prywatnego domku i wybierała się na krótkie wycieczki do miasta w towarzystwie Boba. Nie odważała się na podobne eskapady z córką, ale za to dużo więcej z nią rozmawiała.

A rozmowy Pam potrzebowała najbardziej. Nie spodziewała się rozgrzeszenia, ale musiała się wygadać, opowiedzieć wreszcie komuś, co zrobiła. Chciała usłyszeć kilka słów pocieszenia i wsparcia, pragnęła uwierzyć, że nie jest aż tak zła, jak czasami siebie oceniała.

Był gorący i wilgotny lipcowy dzień. Wysoki wiąz, rosnący przy alejce za domkiem, zapewniał przyjemny cień, a od czasu do czasu zrywała się lekka bryza. Pam zawiozła Patrycję pod drzewo, wróciła po dwie szklanki z mrożoną herbatą, po czym przysiadła na trzeszczącej, drewnianej huśtawce.

Popijając napój zastanawiała się, od czego zacząć rozmowę. O dziwo, pomogła jej Patrycja.

- Marszczysz czoło - stwierdziła miękko. - Masz jakiś kłopot?

- Kłopot? No, może nie aż tak.

- Jesteś zła? Na mnie?

- Och, nie! Zupełnie nie! - Nabrała powietrza. - Spotkałam się z Cutterem.

Patrycja przyjęła to wyznanie, jakby nie widziała w nim nic nagannego.

- Kochasz Cuttera.

- Ale jestem żoną Brendana. To jego powinnam kochać... Kocham go.

Niewielka zmarszczka przedzieliła czoło Patrycji.

- W takim razie wszystko jest w porządku. Czyż nie?

- Cutter jest... Cutter i ja... walczyliśmy... ale... - Znowu nabrała powietrza. - Przespałam się z nim.

Mała zmarszczka znowu się pojawiła.

- Zanim wyszłaś za Brendana.

Pam chciało się płakać. Matka miała ją za osobę z gruntu niewinną i dobrą, co było zarazem i wspaniałe, i w jakiś sposób krzywdzące, bowiem nie dawało jej prawa do popełnienia błędu. A przecież była tylko człowiekiem, jak wszyscy inni.

- Przespałam się z Cutterem w zeszłym tygodniu. Ciągle na siebie wpadaliśmy. W różnych miastach w całym kraju, na całym świecie. I za każdym razem jakby... - zamachała rękami - jakby wybuchał w nas jakiś ogień. Myślałam, że uda mi się go jakoś stłumić, ale czuję go w środku bez przerwy. Potrzebuję Cuttera. - Zabrakło jej powietrza, więc odetchnęła głęboko i powiedziała: - Powiedz mi, dlaczego takie rzeczy się zdarzają? Czy istnieje w ogóle jakieś wytłumaczenie?

Patrycja zwiesiła głowę i przez chwilę Pam żałowała, że nie porozmawiała najpierw z Bobem. Ale nie chciała mu mówić o Cutterze. Poza tym to on ją ciągle namawiał, by sprawdzić wytrzymałość matki.

Patrycja siedziała przez chwilę ze spuszczonej oczami, potem, niespodziewanie, odezwała się:

- Moja sytuacja wyglądała inaczej. Ja nie kochałam Johna, nie miałam żadnego wytłumaczenia.

- Może nie chodzi tu o miłość?

Matka potrząsnęła głową.

- Nie istnieje na to żadna gotowa odpowiedź.

- Ale go potrzebowałaś. - Minęło wiele czasu i Pam odbyła mnóstwo rozmów z Bobem, zanim to zaakceptowała.

Po chwili milczenia Patrycja cichym głosem przyznała jej rację.

- Czy czułaś wtedy, że nie wytrzymasz bez niego następnego dnia?

- Nie. Nigdy nie byłam aż tak zdesperowana. - Zawahała się, a potem dodała jeszcze ci-

szej: - Nie w sensie fizycznym. W innym, owszem. Mówił mi rzeczy, które chciałam usłyszeć. Sprawiał, że lepiej się czułam. - Upiła łyk herbaty, ciągle nie podnosząc wzroku. - Jednak w żadnym razie nie mogłabym powiedzieć, że mnie zmuszał... fizycznie. Pociągał mnie.

Pam nie potrafiła tego zrozumieć, ponieważ John nigdy nie wydawał się jej atrakcyjny.

- Chodziło o wiek? Był młodszy od taty.

- Chodziło o poczucie bezpieczeństwa. Ekscytację. - Zastanowiła się. - Może ucieczkę przed problemami. Ale zawsze potem czułam się taka winna.

Pam doskonale знаła to uczucie.

- Czy kiedykolwiek chciałaś powiedzieć o tym tacie? Patrycja uniosła głowę.

- Nie mogłabym! To by go zabiło! - Zniżyła głos. - To go zabiło.

- Nie, mamó. Zginął przez swój temperament.

- Ale gdybym nie...

- To nie ty wjechałaś na to skrzyżowanie.

- On też nie. Próbował się zatrzymać. Nacisnął na hamulec i zaczął przeklinać. A potem był wypadek. Nie zrobił tego umyślnie.

- Wiem. - Pam poruszyła huśtawką. Jej rytmiczne zgrzytanie niesło ze sobą spokój. - I ty także nie skrzywdziłaś go umyślnie.

- Nie. Nie zrobiłam tego. Kochałam go.

- Wiem.

Patrycja popatrzyła na córkę.

- Wiesz?

- Mhm. Przez jakiś czas nie byłam tego pewna. Nie potrafiłam zrozumieć, jak mogłaś zadawać się z Johnem, kochając zarazem tatę. - Prychnęła. - Taka naiwna prostoduszność, nie sądzisz? - Ponieważ Patrycja nie odpowiadała, ciągnęła: - Myślałam kiedyś, że albo się kogoś kocha, albo nie, i że miłość to uczucie idealnie czyste i prawe. Tak zawsze było między mną i Cutterem. - Starła palcem mgiełkę, zbierającą się na brzegu szklanki. - Potem, kiedy Cutter nie był gotowy na małżeństwo, wysłałam za Brendana. - Odważyła się spojrzeć na matkę. - Nigdy nic na ten temat nie mówiłaś.

Patrycja niedostrzegalnie wzruszyła ramieniem.

- Chciałam wyjść za męża. Chciałam uwolnić się od Johna. - Kiedy Patrycja nadal milczała, Pam uderzyła stopą w ziemię. - Polubiłam Brendana od samego początku. Łatwo jest go kochać. Jest dobry, słodki, szczodry.

- Tak - potwierdziła Patrycja.

- I czuję, że robię źle, ponieważ on mi ufa. Nie ma pojęcia, że widuję się z Cutterem. - Rozhuśtała się. - Co powinnam zrobić?

Patrycja poruszyła słomką kostki lodu.

- Nie uważam się za najodpowiedniejszą osobę do udzielania takich rad.

- Nie mogę zapytać nikogo innego. Kostki lodu zagrzechotały.

- A co chcesz robić?

- Chcę postępować uczciwie, to znaczy być wierna Brendanowi. Ale kłębi się we mnie tyle uczuć do Cuttera. Potrzebuję go i nawet nie potrafię tego wyjaśnić. Brendan wiele mi daje, ale Cutter to Cutter. Kiedy jestem z nim, to jest mnie jakby więcej. Zupełnie jakbyśmy we dwojkę tworzyli całość. Brendan jest spokojny, cichy i czuły, jest niewymagający. Ściągnąłby z pleców ostatnią koszulę, gdybym tego potrzebowała. - Uśmiechnęła się smutno. - Od Cuttera chcę tylko pleców. - Uśmiech zniknął na wspomnienie blizn. Pam wydawało się, że zna je lepiej od samego Cuttera.

- Zmysłowość to nie wszystko. Nie niszczy tego, co łączy cię z Brendanem.

- Ale ja kocham też Cuttera.

Patrycja potrząsnęła głową.

- To się nie uda.

- Nawet gdybym była ostrożna?

- To nie jest w porządku.

- Ale jestem dobrą żoną dla Brendana. Stworzyłam mu dom. Kiedy mnie potrzebuje, jestem przy nim. To jemu poświęcam swój czas i uwagę.

- I tak być powinno. Jest twoim mężem.

- Ale Cutter jest samotny.

- Cutter miał swoją szansę.

- Niezupełnie. Byłam wściekła. Mój ślub z Brendanem przypomina mi tatę i to, jak wskoczył do samochodu i gnał nim po lodzie. Nie przemyślałam wielu spraw, działałam pod wpływem impulsu. Popełniłam straszny błąd.

- Czasami musimy żyć ze swoimi błędami.

- Przez całe życie? A ty? - Pam wyprostowała się na huśtawce. - Nie musisz tu zostawać. Mogłabyś zamieszkać ze mną. Albo znaleźć sobie własne mieszkanie.

- Nie.

- Tata by tego chciał.

- Nie!

Pam pragnęła dalej przekonywać matkę, chciała nawiązać do własnej sytuacji, ale instynkt podpowiadał jej, że powiedziała już zbyt wiele. Zamilkła więc i zaczęła się huścić, popijając przy tym herbatę. Była zaskoczona, kiedy nagle usłyszała głos Patrycji.

- To, co czujesz do Cuttera - zaczęła - czy to sprawia, że jest ci ciepło na sercu i kręci ci się w głowie?

- Bardzo.

Wzrok Patrycji odpłynął gdzieś daleko.

- Czy to nie opuszcza cię, tkwi gdzieś pod skórą?

- Zawsze.

Palce Patrycji mocniej objęły poręczę wózka.

- Kiedy jesteś z nim... czy zapominasz o... o wszystkich złych sprawach?

- O, tak. Patrycja westchnęła.

Pam czekała, aż matka coś powie. W końcu, choć z wahaniem, zapytała:

- Czy to właśnie czułaś przy Johnie?

Patrząc córce prosto w oczy, Patrycja potrząsnęła głową.

- Nie. To czułam, kiedy byłam z twoim ojcem. Przez chwilę Pam mogła jedynie patrzeć na matkę.

Potem zeskoczyła z huśtawki i z całego serca ją uścisnęła. Pam nie uważała, że dostała od matki rozgrzeszenie, ani nawet wskazówkę. Jednak porównanie jej uczuć do ojca z tym, co Pam czuła do Cuttera, jakby pomniejszało całą winę. Reszty dopełniła łącząca ich miłość.

Nie widywała się z nim często i tylko wtedy, gdy była bez Brendana poza Bostonem. Zazwyczaj rozmawiali godzinami, uśmiechali się do siebie, co najwyżej trzymali się za ręce. Walczyli z pożądaniem, ale czasami było ono zbyt potężne. Tak się stało w Paryżu, kiedy Pam, opętana jedyną myślą, prawie biegła Rue Jean-Coujon.

Po to, by jej nikt nie poznał, postawiła kołnierz, który szczelnie złączył się z turbanem przykrywającym włosy. Ubrałaby się w coś o bardziej stonowanych kolorach, gdyby miała czas, ale zanadto się spieszyła. Od momentu, kiedy dostrzegła Cuttera w tłumie gości na otwarciu Jeu de Paume, marzyła o zbliżeniu się do niego. Potem, gdy pocałował ją na przywitanie w oba policzki i szeptem zaproponował, żeby spotkali się o wpół do pierwszej w San Regis, w pokoju dwadzieścia jeden, mogła już myśleć tylko o nadchodzącej schadzce.

Nawet się nie zastanawiała nad odmową. Zbyt długo nie widziała Cuttera, nie leżała w jego ramionach i prawie zapomniała, jak to jest, czuć się prawdziwie kochaną. Pragnęła, by znowu było jej dobrze.

Na tę myśl przyspieszyła kroku. Wkrótce dotarła do małego hoteliku, wbiegła po kamiennych schodkach i wśliznęła się do środka. Przemknęła przez zastawiony roślinami hol, szybko skinęła głową w stronę recepcjonisty i prawie bez tchu przeszła przez schody i korytarz. Wreszcie zatrzymała się przed drzwiami z numerem dwadzieścia jeden.

Zapukała cicho. Już po sekundzie drzwi uchyliły się na milimetr, potem szerzej i Cutter wciągnął ją do środka. Natychmiast pchnął ją na drzwi, objął jej twarz dużą, ciepłą dłonią i przylgnął do jej ust.

W tym pocałunku nie było nic delikatnego, był namiętny i pełen pożądania. Zawarł w sobie cały ogień, płonący w Cutterze, który tak jak ona był głodny miłości i do bólu owładnięty pragnieniami. Uwielbiała go takiego, ekscytowała się siłą jego uczuć. Teraz gorączkowo oddała mu pocałunek, nie przerywając aż do utraty tchu.

Cutter zsunął turban z jej głowy i oparli się o siebie czołami.

- Spóźniłaś się - powiedział oskarżycielsko, głosem niskim i zachrypniętym. Przycisnął ją biodrami do drzwi i zaczął zdejmować futro.

- Nie mogłam złapać taksówki - sapnęła, próbując rozpiąć mu koszulę. - Potem ta przekłeta maszyna utknęła w korku i nie chciała zapalić. A do tego taksówkarz wysadził mnie na złym końcu ulicy.

Cutter zdążył już zdjąć górę od smokingu. Muszka zwisała mu pod dziwnym kątem. Pam z niecierpliwością szarpnęła za koszulę, rozsunęła ją i przyłożyła usta do jego piersi, muskając jedwabiste włosy. Zamknęła oczy i wdychała znajomy zapach.

Futro powoli opadło na podłogę. Cutter odpinał już suwak czarnego, podkreślającego jej kształty negliżu. Wsunął pod spód rękę i obejmując pośladki, przyciągnął Pam do swoich bioder.

Obydwoje niecierpliwie pragnęli spełnienia. Bielizna spłynęła z szelestem w ślad za futrem. Pam sięgnęła do spodni Cuttera, ale powstrzymał ją gorący dotyk jego rąk na piersiach. Musiała chwycić go za ramiona, by nie upaść.

Sam rozpiął spodnie i odrzucił daleko za siebie.

Dotknęła go - był podniecony i twardy, a krótka chwila pieszczot sprawiła, że rozpalił się do białości. Nie potrafił już dłużej panować nad sobą; sięgnął dłonią pomiędzy uda Pam, roze-

rwał ostatni cienki pasek bielizny i jednym pewnym ruchem wsunął się w kochankę.

Obydwoje jęknęli, a zaraz potem wybuchnęli śmiechem radości.

- Boże, jak za tobą tęskniłem - wyszeptał Cutter we włosy Pam.

Uwielbiała, kiedy do niej tak mówił i mogła wyczuć kryjące się za słowami pożądanie.

Ale do reszty traciła głowę, czując go w środku.

- Wiem.

- Naprawdę?

- Ja też to czuję. I cały czas mam nadzieję, że ta tęsknota ustanie.

- To niemożliwe, pozostanie w nas na zawsze.

- Tak.

Wszedł w nią głębiej, powoli się wycofał i napał znowu.

- Ale... staje się... mniej... dotkliwa. - Popatrzyła na niego. Odrzucił w tył głowę, zamknął oczy i w uniesieniu zacisnął szczęki. Ten widok spotęgował jej własną rozkosz. Mocniej chwyciła go ramionami, ciasniej splatając nogi wokół jego bioder.

Pierwsza osiągnęła orgazm, ale tylko dlatego, że on tak chciał. Jeszcze drżała mu w ramionach, kiedy Cutter wbił się w nią ostro w ostatnim szarpnięciu spełnienia.

Pulsowanie w jej wnętrzu nie ustawało. Dopiero po jakimś czasie objął ją ramionami i razem wolno osunęli się na podłogę.

- Och, kochanie - powiedział cichutko.

Wyszeptała w odpowiedzi jego imię, bo na więcej nie starczyło jej sił. Dała mu się przytulić, pozwoliła, by jego bliskość napawała ją ożywczą energią.

Początkowo trzymał ją mocno, niemal kurczowo, ale Pam to nie przeszkadzało. Stopniowo rozluźnił uścisk, później pogłaskał jej policzki i trącił kolczyki w uszach. Odprężony, zaczął szeptać do ucha słodkie zaklęcia.

W tym momencie, jeszcze odurzona miłosnym uniesieniem, wierzyła, że robią dobrze. Cutter był kimś wyjątkowym. Nie mogła go mieć, ale to on sprawiał, że czuła się bezpiecznie. Również on wyzwalał w niej pełnię kobiecości i zmysłowego piękna. Znow go poczuła i choć wydawało się to niewiarygodne, na nowo zalała ją fala podniecenia.

- Jesteś demonem - żartowała, przesuwając się leniwie, by lepiej poczuć jego rosnącą męskość.

Uśmiechnął się do niej nieco chełpliwie.

- Od wielu dni taki jestem.

- Pobudzony?

- Jak wulkan.

- I jak się od tego uwalniasz? - Wiedziała, że nie powinna pytać, ale ciągle ciekawa była jego kobiet. Stał się symbolem seksu, a ona doskonale знаła jego możliwości.

- Nie mogę uciec przed pragnieniem ciebie - powiedział, nie dając wyraźnej odpowiedzi na jej pytanie, a Pam nie naciskała. Opuścił ramiączka stanika i zaczął pieścić jej piersi. Kciukiem gładził jeden nabrzmiały sutek, ku drugiemu pochylił usta. Powściągając krzyk, Pam wygięła plecy i wbiła dłonie w jego włosy.

W chwilę później znalazła się na podłodze i tym razem nie zamknęli oczu, kiedy się kochali. Mierzyli się wzrokiem, w ciszy, choć jęki rozkoszy dławili im gardła. Zaczęli kochać się gwałtowniej, bardziej dziko, mimo to żadne nie spuściło wzroku. Po skończonym stosunku ściągnęli do końca ubrania i położyli się obok siebie w łóżku.

Przez jakiś czas leżeli, dotykając się czule i oddychając coraz ciszej. Rozmawiali, dzielili się nowościami i przemyśleniami, ale w nieunikniony sposób rozmowa prowadziła do jednego. Znowu zaczęli się kochać, ponieważ tak najlepiej wyrażali swoje uczucia.

Tym razem robili to spokojniej, z delikatną łagodnością. Urzekały ich drobne gesty - czułe dotknięcie kolana, muśnięcie nosem łuku szyi, łaskotanie palcami łona. Dookoła nich wirowały zapachy męskości, seksu, kwiatów, rozlegały się ich ciche jęki. Cutter wodził językiem po nadgarstku Pam, a ona zlizywała własne łyzy z blizn na jego plecach. Rzeczywistość zawsze w jakiś sposób wkraczała pomiędzy nich, choćby bardzo starali się o niej zapomnieć.

Potem porwał ich ogień żądz, oddzielając gęstą mgłą od całego świata. Upajali się tą chwilą i trwali w szczęściu. Zdawało się, że będą się kochać bez końca. Świtało już, kiedy padli wyczerpani obok siebie.

Pam obudziła się w bladym świetle poranka. Leżała sama w pomiętej pościeli. Zaslaniając gołą pierś, usiadła.

- Cutter? - Odsunęła z oczu włosy i zawołała ponownie, tym razem głośniej.

- Cutter? - Odpowiedziała jej cisza i w tej samej chwili dostrzegła skrawek papieru, leżący na poduszce. Poznała pismo, brzydkie i niewyraźne. Przeczytała z trudem, bo jej oczy wypełniły się łzami.

Tu tiens mon coeur. C. - Jesteś w moim sercu.

Przez długi czas siedziała, przyciskając kartkę do serca i odrywając dłoń jedynie po to, by zetrzeć łzy z policzków. Kiedy spojrzała na zegar i stwierdziła, że musi się już spieszyć,

dwukrotnie złożyła kartkę, wstała z łóżka i schowała liścik do torebki. Wsunie go potem, tak jak inne, do szuflady na bieliznę, ukryje wśród koronkowych staniczków i jedwabnych majtek. Obciążający dowód? O tak, ale te karteczki stanowiły jedyny ślad po Cutterze w czasie rozłąki.

Tego listopada wróciła z Paryża z jeszcze jedną pamiątką po nim. Już w styczniu wiedziała, że jest w ciąży. Była zachwycona. Obawiała się już, że z powodu aborcji coś z nią nie jest w porządku, skoro przez cztery lata pożycia z Brendanem nie zaszła w ciążę. Teraz odechnęła. Otrzymała drugą szansę. Nie tylko mogła wynagrodzić sobie stratę pierwszego dziecka, ale też zrobiła prezent Brendanowi. Wiedział, jak bardzo Pam chce zostać matką i cieszył się razem z nią.

W sierpniu 1984 roku urodziła się Ariana. Była zdrowym dzieckiem, o delikatnym nosku i ustach matki oraz ciemnych oczach, znanych Pam jak jej własne. Ariana niezaprzeczalnie była dzieckiem swojego ojca.

Rozdział dwudziesty piąty

Boston, 1988

Cutter siedział na ławce w Public Garden. Jego serce topniało z zachwytu na widok nadchodzących Pam i Ariany. Obydwie były pięknosciami - Pamno ciemnych włosach i subtelnej elegancji, Ariana z wydętymi usteczkami, okrągłymi ciemnymi oczami i falującymi włosami, sięgającymi do ramion. Mała rączka tkwiła w dłoni Pam; na każdy jej krok mała robiła dwa.

Była najpiękniejszym dzieckiem w całym Bostonie, w całym stanie Massachusetts, w całej Ameryce. Cutter był o tym przekonany nie tylko dlatego, że było to jego dziecko. Odkąd urodziła się Ariana, nieustannie przyglądał się innym dzieciom, ale żadne jej nie dorównywało.

Uśmiechnął się do Pam, oparł łokcie na kolanach i kiedy tylko dziewczynka stanęła przed nim, powiedział:

- Cześć, aniołku.

Uśmiechnęła się zawstydzona.

- Cześć, Cutter.

Wydawało mu się, że nigdy nie przywyknie do słodkiego głosiku, wymawiającego jego imię. Miał za co dziękować Pam. Chociaż narodziny Ariany oznaczały koniec ich miłosnych

spotkań, Pam chciała, by Cutter poznał Ariana. Cutter też tego pragnął. Pewnego dnia przypro-
wadziła więc Cuttera do domu i przedstawiła go Brendanowi jako starego znajomego z Timiny
Cove. Brendan wiedział, czym zajmuje się Cutter, znał zwłaszcza jego zaangażowanie w han-
del diamentami i bez wahania zaakceptował, że on i Pam mają wspólne pole działalności. I tak
Cutter stał się ich gościem w czasie większości świąt i przyjęć, a Ariana przyjęła to z ochotą.

Teraz patrzył na dziewczynkę z tym samym błyskiem zachwytu, który widniał w oczach
Pam.

- Słyszałem, że to wyjątkowy dzień dla ciebie - powiedział miękko.

Ariana kiwnęła główką i uśmiechnęła się.

- Ile skończyłaś lat?

Dziewczynka musiała się najpierw mocno zastanowić, po czym wyciągnęła do góry czte-
ry paluszki.

- Cztery? No, to naprawdę dużo.

Oczy dziecka rozszerzyły się z zadowolenia. Pokiwała wesoło główką.

- Czy wyprawiasz urodziny? Znowu skinęła głową i odparła:

- W sobotę. Chcesz przyjść?

Postukał ją po małym nosku.

- Myślę, że to przyjęcie dla twoich małych przyjaciół. Ja jestem za stary.

- Nieprawda - poważnie zaprzeczyła Ariana. Spojrzała na Pam. - Może przyjść, prawda,
mamusiu?

Ale zanim Pam zdążyła odpowiedzieć, Cutter wtrącił:

- Muszę wracać do Nowego Jorku i dlatego chciałem zobaczyć cię dzisiaj. - Zniżył głos i
rzekł pieszczotliwie: - Mam tu coś dla ciebie.

Oczy dziecka znowu rozbłysły.

- Tak?

- Tak.

- A gdzie?

- Za plecami.

Chwyciła Cuttera za ramię, wskoczyła na ławkę i zajrzała za jego plecy. Leżała tam mała
paczuszka. Dziewczynka chciała ją wyciągnąć, lecz nie mogła. Potrząsnęła ramieniem Cuttera,
żeby go przesunąć. Nie poruszył się.

- Najpierw uścisk - domagał się.

Sięgnęła do jego szyi. Pomógł jej, biorąc ją delikatnie w objęcia i huśtając. Był to najmiłszy moment. Zamknął oczy i napawał się jej dziecięcym zapachem, delikatnością jej ciepłej skóry. Tuliłby ją dłużej, gdyby na to pozwoliła. Ale odsunęła się, ciekawa prezentu. Trzymał ją na jednym ramieniu, a drugim sięgnął po pudełeczko. Sadowiąc się wygodnie na jego kolanach, zaczęła zdzierać opakowanie.

Cutter natknął się na wzrok Pam.

- Jest przesłodka - rzucił rozczulonym głosem.

Pam kiwnęła głową.

- Jesteśmy szczęściarzami.

- Ma twój nos i usta.

- Ale oczy i włosy... - Wskazała na niego.

Podobało mu się to. Fakt, że dzieci przypominały rodziców, dawał mu poczucie uspokojenia. Nie chciałby umrzeć, nie zostawiając na świecie nic po sobie. Nie spodziewał się śmierci w najbliższej przyszłości, ale wiedział, iż nie będzie miał dzieci z nikim innym niż Pam. Nie planowali narodzin Ariany, jednak nawet przez sekundę nie żałował jej pojawienia się na świecie. Żał mu tylko było, że takie są okoliczności.

- Jest małym łobuziakiem, takim, jakim była jej matka?

Pam zapłonęła rumieńcem.

- Nie. To dama.

- Podobnie jak obecnie jej mama. Jak udał się wyjazd pod namiot?

Pam machnęła ręką.

- Najbardziej podobał się jej powrót do domu.

- Żałujesz, że wyjechałaś?

- Żartujesz. Było wspaniale.

Ariana zachłysnęła się powietrzem, kiedy wyciągnęła z papieru małe, rzeźbione, złote pudełeczko.

- Popatrz, mamó, to takie ładne. Cutter uśmiechnął się.

- Otwórz. - Pomógł jej. Kiedy tylko wieczko się uniosło, rozległa się muzyka. Ariana znowu głęboko nabrała powietrza na widok maleńkiej, obracającej się baletnicy. Wpatrywała się w nią z zachwytem. Kiedy rzuciła krótkie spojrzenie na Cuttera, wydało mu się, że jej radość rozgrzewa mu serce.

- Popatrz, mamusiu! - Bardzo ostrożnie podsunęła pozytywkę w stronę Pam.

Pam usiadła na ławce, żeby się przyjrzeć.

- Och, jakie to piękne. - Przysłuchiwała się z rozmarzonym uśmiechem.

- Znalazłem to w Salzburgu, kiedy byłem tam w zeszłym miesiącu.

- Jest precudowna. Ariano, jesteś szczęśliwą dziewczynką, że dostajesz takie śliczne prezenty. - Pochyliła się w stronę córki i zapytała szeptem: - Czy usłyszałam „dziękuję”?

Ariana znowu posłała Cutterowi zawstydzony uśmiech.

- Dziękuję, Cutter. - Po chwili zastanowienia, choć już bez namowy ze strony Pam, odwróciła główkę i mocno ucałowała go w policzek. Potem, przytrzymując jedną ręką pozytywkę, ześliznęła się z jego kolan na ziemię i ponownie otworzyła pudełeczko.

- Spodobało jej się - oświadczyła Pam.

- Cieszę się. Chciałem znaleźć dla niej coś wyjątkowego.

- Udało ci się. Dziękuję.

- To ja ci dziękuję.

- Za co?

- Że ją tu przyprowadziłaś. - Oderwał wzrok od Ariany i popatrzył na Pam. - Czy miałaś z tym jakieś kłopoty?

- Raczej nie. Przyrzekłam jej przejażdżkę łódką w dzień urodzin. Powiedziałam Brendanowi, że jesteś w mieście i że prawdopodobnie się spotkamy. Nie miał nic przeciwko temu.

Cutter pomyślał o Brendanie, o wielu wizytach w jego domu i rozmowach o interesach, które ze sobą z pasją prowadzili. Pamiętał też wcześniejszy okres, kiedy błagał Pam, by rzuciła męża. Przez ostatnie dwa lata zaczął rozumieć, dlaczego tego nie zrobiła - i ta świadomość jeszcze bardziej powiększała jego frustrację.

- To wspaniały i dobry człowiek. Chciałbym go nienawidzić, ale nie mogę.

- On też ciebie lubi.

- Jest dobrym ojcem dla Ariany.

- Tak.

Cutter znów spojrzał na dziewczynkę. Jak zaczarowana wpatrywała się w pozytywkę, stojącą na jej kolanach. On także był urzeczony i nie mógł oderwać od dziecka wzroku - od jej małych paluszków, buczków, zgrabnego noska i rumianych policzków. W pewnej chwili promień słońca rozświetlił jej włosy, nadając im karmelowy odcień. Pam miała rację, Ariana miała jego włosy.

- Czy sądzisz, że on coś podejrzewa? - zapytał. Pam także przyglądała się córce.

- Nie jestem pewna. Czasami wydaje mi się, że musi się domyślać, ale być może jest to tylko wyraz moich wyrzutów sumienia. Nawet jeśli coś podejrzewa, nie pokazuje tego po sobie. Uwielbia Arianę. A ona uwielbia jego i nie opuszcza go nawet na krok.

Cutter poczuł ukłucie zazdrości. W tym samym momencie zauważył na twarzy Pam wyraz napięcia. Szybko odwrócił wzrok do Ariany, myśląc, że coś jej się stało, ale siedziała spokojnie.

- O co chodzi?

Pam wydawała się zaskoczona pytaniem.

- Och, nic, nic.

- Wyglądasz na zmartwioną.

Po chwili milczenia odezwała się.

- Ostatnio Brendan często się męczy. Stara się tego nie okazywać, ale ja widzę.

- Czy pracuje więcej niż zazwyczaj?

- Nie. Wręcz przeciwnie, spędza w domu więcej czasu. Jest prezesem banku, może sobie na to pozwolić.

- Ile on ma lat?

- Pięćdziesiąt dziewięć. Kiedyś często chodził na badania lekarskie. Przypominam mu o tym, ale ciągle je odkłada. - Mniej poważnym tonem dodała: - To pewnie nic poza tym, że zbliża się do sześćdziesiątki.

Cutter wysunął przed siebie nogi i odchrząknął.

- Mogę to zrozumieć.

Usta Pam zadrgały w uśmiechu.

- Czterdziestka? Czterdziestka to żaden wiek.

- Łatwo ci mówić. To nie ty niedługo ją kończysz.

- Spójrz na siebie. Wspaniale wyglądasz.

Wzruszył ramionami.

- Brakuje ci pracy modela?

- W żadnym wypadku. - Oficjalnie wycofał się z tego przed dwoma laty, kiedy wygasł ostatni kontrakt. - Dostałem to, czego chciałem. To było tylko narzędzie, od samego początku. To wszystko.

- Nie tęsknisz za zachwytem, uwagą, którą ci poświęcano?

Stanowczo potrząsnął głową.

- A jak interesy, dobrze idą?

- Mhm. - Był jednym ze współników w firmie finansowej, którą stworzył wraz z trzema kolegami zaraz po zakończeniu pracy modela. - Moi partnerzy posiadają stopnie naukowe, doświadczenie, znają technologie. Ja im daję kontakty.

- Masz charyzmę - poprawiła go Pam. - Nie mówisz dużo, ale kiedy się już odezwiesz, jest to coś godnego uwagi. Nie marnujesz czasu innych. Budzisz zaufanie.

Wzruszył ramionami.

- Tak czy inaczej, jakoś się to toczy. - Potem zrzucił z siebie maskę nonszalancji, ponieważ nie było na nią miejsca, kiedy myślał o Johnie. - Docieramy do celu, Pam. Udziały w St.George rosną. - Zatrzymał się. - John jeszcze tego nie zauważył, prawda?

- Nie, jest na to zbyt arogancki. Będiesz nim musiał mocno potrząsnąć przed przejęciem firmy, żeby zorientował się, iż w ogóle coś się dzieje.

- To dobrze. - Cutter oparł się o ławkę i złożył ręce na piersiach. Nie ukrywał, że czuje satysfakcję, jednak nadal pozostał w nim gniew. - Tak właśnie chciałem. Kupujemy małe udziały to tu, to tam. Nasi klienci używają swoich nazwisk albo nazw swoich firm. Kiedy ostatecznie zbierzemy je w całość, John będzie całkiem zaskoczony. To spadnie na niego jak grom, zostanie pobity własną bronią.

Pam odetchnęła z ponurym uśmiechem.

- To brzmi wspaniale.

- A jak u ciebie?

Zasznurowała usta.

- Widziałam ostatnie sprawozdanie. Moje projekty przynoszą prawie czterdzieści procent dochodów ze sprzedaży „Facets”. I dla pewności każda sztuka biżuterii nosi zastrzeżony znak firmowy. Mój, nie Johna. Sprawdziłam to z dwoma prawnikami. Gdybym się nagle wycofała, John zostałby z ręką w nocniku.

Cuttera rozbawił ten zwrot. Pam z wiekiem stała się spokojniejsza, tak jak i on, ale samo wspomnienie Johna nadal wywoływało u niej gniew.

- Często go widzisz?

- Jak mogę najrzadziej - powiedziała gwałtownie.

- To znaczy?

- Raz w tygodniu. Częściej, kiedy zbiera się zarząd.

- Czy jest uprzejmy?

- O, tak. Ale zawsze ktoś nam towarzyszy. On nie zachowa się źle wśród obcych, to nie pasowałoby do jego wizerunku.

- Czy widuje się z Arianą?

- Także jak najrzadziej - powtórzyła z odrazą.

- To był jego wybór czy twój?

- Wspólny. John nie lubi dzieci, nie ma pojęcia, co z nimi robić. To mi całkowicie odpowiada. Im mniej go mała widuje, tym lepiej. Nie jest człowiekiem, z którego winna brać przykład. - Zamilkła i zastanowiła się nad swoimi słowami. Kiedy znowu się odezwała, w jej głosie brzmiało wahanie. - To pewnie działa w obie strony. Kiedy spotykam się z Johnem, nie jestem matką, którą Ariana powinna naśladować. Mam wtedy w głowie naprawdę brzydkie myśli. Nie chcę, by mnie taką widziała.

Cuttera zdziwiło jej przewrażliwienie.

- Jesteś dobrą matką.

- Bo chcę zaoszczędzić jej bólu?

- Bo chcesz, by się stała porządnym człowiekiem.

- Każda matka tego pragnie.

- Lecz nie każda dba, by tak się stało. - Odwrócił twarz w stronę Ariany. - Jest zrównoważona, tak samo jak ty.

- Nie. Jak ty. Ja jestem impulsywna.

- Cutter! - zawołała Ariana i poderwała się z przerażeniem na twarzy.

- Ho, ho, pospieszyliśmy się z sądami.

- Zepsuło się, baletnica nie chce tańczyć! - Ariana prawie płakała.

Zawód w oczach dziecka sprawił mu ból. Wyciągnął do małej ramiona, przytulił. Potem odebrał od niej pozytywkę i wyszeptał do ucha:

- Wystarczy tylko nakręcić. To wszystko, Nie martw się, będzie znowu działać. - Zamknął wieczko i pokazał kluczyk, nakręcający sprężynę. Ariana chciała mu pomóc maleńkimi paluszkami. - To trochę trudne. Może poprosisz o pomoc mamę.

- Ja sama - uparła się dziewczynka.

Walczyła z kluczykiem, przekręcając go kilka razy.

- Więcej - namawiał Cutter.

Znowu przekręciła kluczyk. Cutter z bólem serca przyglądał się jej wysiłkom, jednak cie-

szyl się, bo znowu siedziała mu na kolanach. Pomyślał, że gdyby należała do niego, zabierałby ją ze sobą wszędzie. Była jego dzieckiem, w ich żyłach płynęła ta sama krew. Nie przestawało go zaskakiwać, że z każdym dniem stawała się doroślejsza. Żałował, że tak rzadko mógł ją widywać.

Swoje uczucia miał wypisane na twarzy i kiedy spojrzał na Pam, dostrzegł, że patrzy na niego z rozrzewnieniem. Kiedy Ariana zeskoczyła już z jego kolan, Pam westchnęła.

- Tak wspaniale potrafisz się z nią porozumieć.

- Dwaj z moich wspólników mają dzieci, więc mam doświadczenie.

Pam potrząsnęła głową.

- To, co robisz, jest takie naturalne. - Dotknęła serca. - Bierze się prosto stąd.

- Nic dziwnego, kocham ją. - Oparł się znowu o ławkę, ale nie był już tak rozluźniony jak wcześniej. - Czasami chce mi się krzyczeć. W interesach wszystko układa się po mojej myśli. Mam pieniądze, szanowanych wspólników, poważne zajęcie i zbliżam się do pokonania Johna.

- Wypuścił powietrze z płuc. - Ale kiedy to osiągnę, co mi zostanie? Nie mam ciebie, nie mam Ariany.

Pam nie odpowiedziała, zresztą wcale się tego nie spodziewał. Miał już swoją szansę. Mógł się z nią ożenić, kiedy go o to prosiła. Ale wtedy przepelniała go duma. Chciał mieć kontrolę nad biegiem rzeczy, pragnął, by wszystko toczyło się zgodnie z jego planem. Obserwując teraz bawiącą się Arianę zrozumiał, że większość z tych zasad kryła w sobie pustkę i nicość. Jednocześnie poczuł w sercu znajome ukłucie strachu, powracające do niego w chwilach zwątpienia. Nie chciał się do tego przyznać, ale panicznie bał się, że zbyt wiele się zdarzyło, aby on i Pam mogli jeszcze być razem.

- Czasami - zaczął - mam wrażenie, iż moje życie to strumień nieustających pragnień. - Popatrzył Pam prosto w oczy. - Najbardziej pragnę ciebie. - Wyciągnął rękę wzdłuż oparcia ławki, by móc dotknąć jej pleców. - Kocham cię.

Na sekundę zamknęła oczy i lekko przechyliła głowę, jakby chciała zatrzymać pieszczącą jej plecy dłoń, ale zaraz podniosła powieki i z niepokojem wróciła wzrokiem do Ariany.

- To ironia losu.

- Co?

- To, co mówiłeś przed chwilą - twoje sukcesy w interesach. To samo mogłabym powiedzieć o sobie. Moje życie zawodowe układa się wyśmienicie. Mam własną załogę, projektuję, kiedy mam na to ochotę, i dobrze zarabiam, bez potrzeby ciągłego przesiadywania w sklepie.

Nie muszę patrzeć na Johna. Mam czas dla Brendana, dla Ariany, dla mojej matki. - Milczała chwilę. - Mam też czas dla ciebie.

- Chciałbym, żebyśmy mieli go teraz - rzucił cicho.

Z gardła Pam wydobył się cichy jęk.

- Tęsknię za twoim dotykiem.

- Przestań, Cutter...

- Pragnę pocałunków.

Drżącymi ustami nabrała powietrza i wyszeptała:

- Przestań.

Ale Cutter tylko ściszył głos.

- Gdybyśmy byli sami, nie przestałbym. Kochałbym się z tobą, aż żadne z nas nie mogłoby się ruszyć.

- I ty się martwisz o swój wiek? - jęknęła.

- Zawsze będę dla ciebie gotowy, do dnia śmierci.

- Ciii...

- Nie słyszy nas - odparł szeptem.

- Ale ja słyszę - równie cicho zganiła go Pam. - Nie powinieneś mówić mi takich rzeczy. Nie powinieneś o nich myśleć.

Z ust wyrwał mu się sarkastyczny śmiech, akurat wtedy, gdy przechodziły obok nich dwie dziewczynki.

- Jakie śliczne dziecko - powiedziała jedna.

- Ile ma lat? - Druga z dziewczynek zapytała Cuttera.

- Cztery - odpowiedział i zaraz z dumą dodał: - Dzisiaj ma urodziny.

- Tak? - zdziwiła się pierwsza i szeroko się uśmiechnęła.

- No, no - zawołała druga do Ariany. - Wszystkiego najlepszego, malutka.

Ariana podbiegła do Cuttera, ciągle z zachwytem wpatrzona w pozytywkę. Zamykała ją i otwierała, sprawdzając, czy muzyka się odezwie. Była uszczęśliwiona.

Jego serce topniało jak wosk.

- Popłyniesz z nami łódką? - zapytała Pam.

Minęła dłuższa chwila, zanim zdołał przyjść do siebie, ale w końcu powiedział:

- Tylko wtedy, jeśli będę mógł trzymać na kolanach małą solenizantki. Zgadzasz się? - zapytał Ariany.

Kiwnęła głową.

- A ja mogę trzymać mój prezent?

- Ty trzymaj prezent, a ja ciebie.

- Kto będzie trzymał mamę? Chwytnając ją w ramiona, wstał.

- A może wszyscy usiądziemy blisko siebie? - Posadził Arianę na jednym ramieniu, a drugim objął Pam.

Nie przejmował się, że ktoś ich zobaczy i ludzie zaczną plotkować, nie myślał o tym, że ktoś doniesie Brendanowi. Jeśli przechodnie uznali ich za rodzinę, to tak pewnie musiało być.

Pragnął, żeby to była prawda i po raz kolejny przyłapał się na marzeniach. Jednak choć nigdy się z tym nie pogodził, taki już widać był jego los. Całe swoje życie czekał na Pam. Teraz czekał także na Arianę, zdając sobie sprawę, że bezpowrotnie traci najcenniejsze chwile jej dzieciństwa. Najgorsze, że nie widział końca. Tak długo, jak długo Pam będzie żoną Brendana, on pozostanie tylko tym trzecim. I choć uwielbiał te wykradzione chwile, bolało go, że były właśnie takie.

Troska Pam pogłębiła się w ciągu następnych tygodni. Brendan wyglądał blado, mało jadł i denerwował się za każdym razem, gdy wspomniała o lekarzu. Sprawa rozwiązała się samoistnie, kiedy w czwartek rano zasnął w banku. Pam znajdowała się wtedy w „Facets”; oglądała nową porcję turmalinów dostarczonych z Maine. Gdy przekazano jej wiadomość, że ściśniętym sercem pojechała natychmiast do szpitala.

Brendan był na tyle przytomny i świadomy, że przekonywał Pam o swym zdrowiu i namawiał do powrotu do domu, ale nie wierzyła nawet przez chwilę. Z ulgą przyjęła wiadomość, że lekarz kazał mu zrobić całą serię badań.

Wyniki okazały się tragiczne. Brendan miał raka mózgu i obydwu płuc. Pam doznała szoku.

- To nie może być prawda. On nigdy nie chorował, był tylko trochę zmęczony.

Na prośbę lekarza spotkała się z nim w jego gabinecie.

- To jest proces postępujący, pani McGrath, jego stan pogarsza się z dnia na dzień.

Nigdy nie przyszło jej do głowy, że rak mógłby dotknąć kogoś z jej otoczenia, a zwłaszcza jej męża.

- Nie miał żadnych objawów. Ani kaszlu, ani bólów głowy. Może wyniki są błędne?

- Przeprowadziliśmy cały szereg badań. Wszystkie potwierdzają naszą diagnozę. - Lekarz wyglądał na zmęczonego, a nawet trochę poirytowanego. - Szkoda, że pani mąż nie zjawił się u

nas wcześniej. Dawniej przychodził na badania co miesiąc, ale ostatnio nie widziałem go przeszło dwa lata. Biorąc pod uwagę historię jego choroby, to nierozsądne.

- Jakiej choroby?

- Narośl.

- Nie rozumiem, jaka narośl? - Pam poczuła ostre ukłucie w środku.

- Ta, którą jakiś czas temu usunąłem. - Lekarz popatrzył na nią ze zdziwieniem. - Widziała pani o tym, prawda?

- Nie - padła słaba odpowiedź.

- Musiał pani coś powiedzieć.

- Nie! Kiedy to było?

Przesuwając okulary głębiej na nos, lekarz przejrzał dokumentację Brendana, aż znalazł odpowiednią stronę.

- Po raz pierwszy zjawił się u mnie w tysiąc dziewięćset siedemdziesiątym szóstym z naroślą na ramieniu. Była złośliwa. Usunąłem ją.

- Złośliwa - powtórzyła szeptem Pam.

Nie mogła w to uwierzyć.

- W tamtych czasach panowały różne zdania co do metod leczenia raka. Wielu z moich kolegów uważało, że już samo usunięcie narośli wystarczy. Ja jednak poszedłem sprawdzoną drogą i po operacji zaordynowałem chemoterapię.

- Chemoterapię - znowu powtórzyła Pam.

Lekarz odłożył okulary na biurko i przyglądał się jej z konsternacją.

- Szczerze mówiąc, pani McGrath, byłem zaskoczony, kiedy Brendan powiedział mi, iż jest pani w ciąży. Zanim zleciłem chemoterapię, zapytałem go, czy planuje jeszcze mieć dzieci. Po takiej kuracji pacjent przeważnie staje się bezpłodny.

Dalej stwierdził, że przypadek Brendana jest wyjątkowy, bo przez dwanaście lat choroba nie dawała o sobie znaku i gdyby nadal przychodził na przeglądy, sytuacja mogłaby wyglądać lepiej.

Zaszokowana Pam już go prawie nie słyszała. Przy pierwszej sposobności wyrwała się z gabinetu i pobiegła do Brendana. Spał, kiedy cicho wślizgiwała się do pokoju. Przynęła krzesło do łóżka i siedziała, patrząc na męża, dopóki się nie obudził.

Uśmiechnął się do niej ze znużeniem na twarzy i zupełnie przytomnie zapytał, czy widziała się z lekarzem.

Kiwnęła głową.

Przez moment milczał i przesywał ją wzrokiem. Kiedy sięgnął po jej dłoń, zacisnęła ją lekko.

- Powinienem był ci powiedzieć, Pam. - Oczy i głos świadczyły o krańcowym zmęczeniu. - Wiem. Powinienem powiedzieć ci o tym przed ślubem. Byłaś młoda i miałaś prawo zdecydować, czy chcesz się wiązać z kimś, kto prawdopodobnie będzie obłożnie chory. Ale bałem się, że powiesz „nie”. Więc postąpiłem egoistycznie i milczałem. Byłaś dla mnie jeszcze jedną szansą, dzięki tobie mogłem przeżyć coś wyjątkowego. Doszedłem do wniosku, że skoro już mam umrzeć przed czasem, mam do tego prawo. I czas spędzony z tobą, Pam, był wspaniały. Ty byłaś wspaniała...

- Mówisz tak, jakby to był koniec! - Nie mogła się z tym pogodzić. Brendan był zbyt dobrym człowiekiem, żeby umrzeć młodo - o tak, nigdy nie uważała, że jest stary. Był młodym pięćdziesięciodziewięciolatkiem, a przynajmniej taki był, dopóki nie dopadł go rak.

- Nie jest dobrze.

- To dlatego, że nie zaczęli jeszcze kuracji. Pomogła ci poprzednio, więc pomoże i teraz. Zamrugał w milczącym sprzeciwie.

- Wtedy to była profilaktyka. Teraz jest inaczej. Choroba się rozwinęła.

Lekko zacisnął palce na jej dłoni.

- Jesteś silny. To jedna z cech, którą w tobie podziwiam.

Patrzył na nią, wiedząc to wszystko, o czym ona nie wiedziała.

- To ciężkie, Pam. Kuracja jest straszna.

- Przeszedłeś przez nią poprzednio, przejdiesz i teraz.

- Jestem o dwanaście lat starszy.

- I tym więcej masz powodów, by żyć. Przedtem miałaś chłopców. Teraz są dorośli, ale nadal cię potrzebują. A już z pewnością potrzebuję cię ja i Ariana.

Mówiła pod wpływem impulsu, prosto z serca. Wymawiając imię Ariany, poczuła lekkie ukłucie i to musiało odmalować się na jej twarzy. Brendan uśmiechnął się smutno.

- Jest Cuttera, prawda?

Nie odpowiedziała. Nie była pewna, ile może mu powiedzieć, żeby Brendan nie załamał się i chciał walczyć z chorobą.

Podniósł jej dłoń, pocałował i położył sobie na piersi.

- Już na mnie czas - stwierdził cicho.

- Nie, Bren. Nie mów tak. Nie wolno ci umierać. Lekarz powiedział, że nawet bez kuracji możesz przeżyć długie lata.

- Lekarze nic nie wiedzą. Nie ma ustalonych reguł, jeśli chodzi o tę chorobę. Każdy przypadek jest inny. Być może i mam przed sobą lata życia. Ale co to będą za lata?

Wydawał się spokojny. Pam natomiast ogarniała panika.

- Jak możesz się z tym godzić?

- Miałem na to dużo czasu.

- Powinieneś był mi powiedzieć.

- Nie mogłem.

- Dlaczego wcześniej nie poszedłeś do lekarza?

- Miałem dosyć badań i oczekiwania na wyniki. W pewnym momencie - po narodzinach Ariany - podjąłem świadomą decyzję. Chciałem cieszyć się wami bez wiszącego nade mną koszmaru choroby. Pogodziłem się, że pewnego dnia mnie dosięgnie.

- Ale kiedy zacząłeś czuć się źle...

- Nie chciałem wiedzieć. Uznałem, że albo mam raka, albo nie, i nic na to nie poradzę. Jeśli tak, to koniec. Postanowiłem zignorować chorobę i żyć dalej. I nie żałuję, postąpiłbym tak samo jeszcze raz. Dałaś mi tyle szczęścia. - Zawahał się. - Wy obydwie.

Pam ponownie zobaczyła w jego oczach pewność, że Ariana nie jest jego córką. Tym razem nie mogła tego przemilczeć.

- Czy mnie nienawidzisz? - zapytała szeptem.

- Nienawidzę? Kocham cię, Pam.

- Ale ja... ona...

- Od początku domyślałem się, że ktoś jest w twoim życiu. Wtedy mnie nie kochałaś.

- Teraz cię kocham.

- Wiem. Byłaś dla mnie bardzo dobrą żoną.

Pam chciało się płakać.

- Ale cię zdradziłam.

- Dałaś mi osiem najpiękniejszych lat życia i śliczną córeczkę. Nigdy nie miałem córki.

- Ale ona nie jest...

- Moja? W sensie biologicznym to prawda, ale na tym koniec. Kocham ją jak rodzoną córkę, a i ona mnie kocha jak ojca. Czym różni się to od uczuć ludzi, którzy adoptują dzieci?

Pam rozpląkała się. Wolałaby, żeby Brendan zaczął krzyczeć, zezłościł się, wyzywał ją

od najgorszych. Zaslugiwała na to, bo go oszukała.

- Jak możesz mi wybaczyć?

- A ty? - zapytał w odpowiedzi, po raz pierwszy wyraźnie przygnębiony. - Nie mogłem ci dać dzieci. Wiedziałem o tym już przed ślubem, a ty przecież byłaś młoda i chciałaś je mieć. Nigdy niczego nie stosowałaś, żeby ustrzec się przed ciążą. Cały czas miałaś nadzieję, a ja wiedziałem, że nie ma na to szans. Mimo to nie wyjawilem ci prawdy. Nawet wtedy, gdy przekonałem się, że mnie kochasz. - Opuścił wzrok. - Oczywiście mogę się tłumaczyć, iż bałem się, że mnie opuścisz, ale nie to mnie najbardziej przerażało. Złakłem się, że ucierpi na tym mój wizerunek prawdziwego mężczyzny. - Nie mógł podnieść oczu na Pam. - Próżność, duma, męski egoizm, nazwij to, jak chcesz, ale faktem jest, że nie powiedziałem ci prawdy.

Spojrzał na żonę.

- Byłem zachwycony, kiedy zaszłaś w ciążę, naprawdę, byłem w siódmym niebie. Och, wiedziałem, że to nie ja jestem ojcem, ale nikt inny się tego nie domyślał. Wprawdzie chemoterapia powoduje bezpłodność, ale istnieją wyjątki.

Na krótką chwilę oczy Pam stały się szerokie jak koła.

Brendan pospiesznie kończył.

- Nie należałem do nich. Przed ślubem zrobiłem badania - byłem nieodwracalnie bezpłodny.

Nabrał powietrza w płuca i do uszu Pam doszedł przenikliwy świst, który uzmysłowił jej, jak bardzo Brendan jest chory.

- Nie powinienes zbyt dużo mówić. Musisz odpoczywać.

Ale on nie chciał jeszcze skończyć.

- Widzisz? Martwisz się o mnie. I to właśnie staram się ci powiedzieć. Jak mogę być zły, skoro tak bardzo się o mnie troszczysz i tak dużo mi dajesz?

- Postąpiłam źle.

- Ja także, więc wyrównaliśmy rachunki. I coś w tym jest, Pam. Kiedy dowiedziałem się, że jesteś w ciąży, doznałem prawdziwej ulgi. Byłaś zachwycona, ale w ogóle nie pomyślałaś o opuszczeniu mnie, aby odejść do ojca dziecka. Więc ja także byłem szczęśliwy. Cieszyłem się twoją radością i moją, bo kocham ciebie i kocham dzieci. Pomyślałem sobie, że skoro dajesz mi ponowną możliwość zostania ojcem, nie odrzucę jej. Jak mógłbym, skoro sam kiedyś postąpiłem wobec ciebie tak niegodziwie? Nie wyjawilem ci, że mogę nie dożyć czasów, kiedy ty osiągniesz wiek średni. Jednak pocieszałem się, że nie zostawię cię w biedzie i to mi nieco po-

mogło.

Wyraźnie zmęczony, zamilkł. Po chwili podniósł dłoń Pam, potarł nią o swoją pierś i mruknął:

- Wyrównaliśmy rachunki?

Pam nie była w stanie logicznie myśleć, nie potrafiła jeszcze ogarnąć wszystkiego, czego się tego dnia dowiedziała. Jednego była pewna - nie podda się tak łatwo.

- Będziemy z tym walczyć, Brendan. Zrobimy wszystko, co poleci lekarz. Ściąga tu na konsultację innych specjalistów, by razem zdecydować o kierunku kuracji. A my będziemy im posłuszni.

Brendan milczał. Miał zamknięte oczy. Potem nagle zduszonym głosem powiedział:

- Kiedy odejdziesz, będziesz mogła z nim być.

- Nie mów tak! Nawet tak nie myśl! Chcę być z tobą! - I w tym momencie mówiła prawdę. Myśl, że mogłaby życzyć Brendanowi śmierci tylko po to, by być z Cutterem, budziła w niej odrazę.

Brendan odpoczywał przez chwilę, zanim ponownie otworzył oczy.

- Czy to Cutter?

Podniosła jego dłoń do ust, pocałowała ją i kiwnęła głową.

Jakby zadowolony z tego, co usłyszał, znowu zamknął oczy. Po jakimś czasie westchnął.

- Pam, przede mną ciężka droga, nie chcę cię w to wciągać.

- Chcę być przy tobie, Bren.

Jej słowa niosły ze sobą szczerą prawdę. Tak jak postanowiła przed laty, że będzie dla Brendana dobrą żoną, tak teraz zdecydowała, że postara się uprzyjemnić mu ostatnie chwile życia. To oznaczało wiele wspólnie spędzonych godzin i dni, kiedy przebywali razem z Arianą, we trójkę, jak prawdziwa rodzina. To znaczyło też weekendowe wyjazdy wraz z jego synami i ich rodzinami oraz obiady z najbliższymi przyjaciółmi Brendana. Pilnowała przebiegu jego kuracji i towarzyszyła mu przy pracy. Jej własna ograniczała się do godzin, w których Brendan odpoczywał, co niestety zdarzało się coraz częściej i trwało coraz dłużej.

Poświęcając się w ten sposób, Pam czuła satysfakcję. Kochała Brendana i martwiła się o niego. Najszczęśliwsza była wtedy, gdy mogła spełnić najdrobniejsze z jego życzeń i widziała uśmiech na jego twarzy.

Satysfakcję znalazła też w wychowywaniu Ariany i zajęciu się własną pracą. Choć miała na to coraz mniej czasu, jej popularność nadal rosła. Kiedy pojechała na uroczyste otwarcie

„Facets” w Londynie, przyjęto ją lepiej, niż śmiała marzyć. Był to prawdziwy triumf.

Oczywiście zdenerwowało to Johna. Pam cieszyła się z tego nieskończenie. John nie był przyzwyczajony, żeby ktoś go aż tak przyćmiewał i choć elita angielskich bogaczy była zbyt dobrze wychowana, by otwarcie to okazywać, John był wyczulony na takie subtelności. W trakcie przyjęcia starał się trzymać blisko Pam, ale wszyscy widzieli, kto przyciągał uwagę gości. Pam była w swoim żywiole, pewna siebie i tryskająca humorem. Napawała się swoją przewagą nad Johnem.

W dobrym nastroju powróciła do Bostonu, gdzie wpadła w wir domowych obowiązków, stawiając czoło kolejnym ciężkim dniom choroby Brendana.

Rozdział dwudziesty szósty

Nowy Jork, 1990

Wpadniesz do mnie, jak będziesz miała wolną minutkę? - zapytał Arlan bez wstępów. Ta oschłość zdumiała Hillary.

- Coś się stało?

- Po prostu chcę porozmawiać.

Próbowała domyślić się, co złego mogło się wydarzyć, kiedy nagle podejrzany dźwięk zwrócił jej uwagę.

- Arlan? Czy ty palisz?

Nie odpowiedział.

- Arlan?

- Tylko jednego.

- No, nie. Arlan, tak dobrze ci szło! - Jęknęła.

- Miałem ciężki dzień.

- Ale w grę wchodzi twoje życie.

- Słuchaj. Nie mówię ci, jak masz żyć, więc ty też mi tego nie mów. Kiedy możesz wpaść?

Rozmawiał z nią wyraźnie poirytowany, co Hillary słyszała u niego po raz pierwszy.

- Uff, jeśli to takie pilne, będę za godzinę.

- Dobrze. Czekam.

W godzinę później Hillary weszła do jego biura. Trzymał w dłoni papierosa i patrzył na nią wyzywająco, niemal prowokując do komentarza. Jednak nic nie powiedziała. Zamiast tego osunęła się na fotel, oparła łokieć na poręczy i mierząc go wzrokiem, podparła dłonią brodę. W odpowiedzi Arlan mocno się zaciągnął, a potem długo wydmuchiwał dym.

- Widzisz - zaczęła Hillary, nie potrafiąc się powstrzymać - jak poprawiły się twoje płuca, odkąd przestałeś palić? Teraz możesz jeszcze mocniej się zaciągać.

- Rzucam to.

- Już to raz zrobiłeś.

- Nie. Nie palenie. Rzucam tę robotę.

Hillary zamrugnęła.

- Co?

- Rzucam pracę. Twój kontrakt diabli wzięli.

Tym razem Hillary nawet nie mrugnęła. Oslupiała.

- Co takiego?

- Słyszałaś.

- Ale ja go podpisałam.

- Ale wydawnictwo go nie podpisało. Teraz dowiedziałem się, że tego nie zrobią.

- Jak to nie zrobią? - Nie rozumiała. Kontrakt to kontrakt. - Umówiliśmy się, wydawnictwo nie może się wycofać.

- Wydawnictwo - powtórzył Arlan z goryczą - może się wycofać w każdym momencie przed podpisaniem.

- Nie! Umowa ustna jest także wiążąca. - Ale nawet nie o to chodziło. - Przecież moja książka jest dobra. Podoba ci się. Twojemu szefowi także. Wydawnictwu również.

- Prezes uważa, że jest zbyt ryzykowna.

- Zbyt ryzykowna? O czym ty mówisz?

Arlan nie odezwał się, dopóki powtórnie się nie zaciągnął. Tym razem nie zrobił tego na pokaz, ale z czystej potrzeby. Kiedy ostatnie kółko dymu oderwało się od jego ust, powiedział:

- John St. George dostał się do Templara.

- Co?

- John postraszył wydawnictwo sądem, jeśli nie zrezygnuje z kontraktu.

Hillary wstała.

- Ale on nie ma żadnych podstaw do złożenia oskarżenia. Nie mam zamiaru napisać ni-

czego, co nie byłoby prawdą. Wszystko mogę udowodnić. John blefuje.

- Templar sądzi inaczej i tylko to się liczy.

Przez chwilę Hillary stała w niemym osłupieniu, nie wiedząc, na kogo ma być bardziej wściekła, na Johna czy na Simona Templara. Ale żadnego z nich nie było w pokoju, więc wyładowała złość na Arlanie. Opierając pięści na biurku, krzyknęła:

- Do cholery, Arlan, nie możesz im na to pozwolić!

- Cały ranek ich przekonywałem, ale wszystko na nic.

- W takim razie nie robiłeś tego jak należy. Porozmawiaj z Templarem jeszcze raz. Mogę zagrozić, że ja go pozwę. Zmusz go do zmiany decyzji.

- Nie zrobi tego. Poleciał już zniszczyć dokumentację.

- Nie wolno mu tego robić!

- A jednak.

- Nie pozwól mu na to!

- Na Boga - warknął Arlan. - Zrobiłem wszystko, co w mojej mocy. Czego ode mnie więcej chcesz?

Hillary opanowała się. Tak, to nie była wina Arlana. Wierzyła, że się starał. I wiedziała, że jej książka bardzo mu się podoba. Usiadła.

- Posłuchaj - odezwał się. - Odejdziemy razem. Weźmiemy twoją historię do innego wydawnictwa, gdzie od razu ją złapią.

- Nie w tym rzecz. - Głos Hillary drżał. - Tu chodzi o zasadę.

- Więc chcesz pozwać wydawnictwo do sądu? Co przez to osiągniesz? Jeśli wygrasz i zmusisz ich do wydania książki, nie zrobią tego dobrze. Będzie gniła na półkach w księgarniach. Nie, mała poprawka, będzie gniła w magazynach wydawnictwa. Na tym ci zależy?

Z pewnością nie. Marzyła o tym, żeby książka dobrze się sprzedawała. Chciała rozgłosu. Chciała, by książka znalazła się na każdej liście bestsellerów. Nie dojdzie do tego, jeśli wydawnictwo nie będzie jej sprzyjało.

Ostatecznie poirytowana, wykrzyknęła:

- Do diabła, to nie jest w porządku! Templar nie może tak kiwać swoich pisarzy, a John nie może wszystkim włożyć na głowę!

- Jemu to powiedz.

- Dobrze. - Wyobraziła sobie tę scenę i od razu poczuła się lepiej. - Zrobię to. - Sięgnęła po słuchawkę i wystukała numer Johna.

- Hej, to rozmowa międzymiastowa.

- Trudno. - Po kilku długich sygnałach odezwał się Christian ze znajomą informacją, iż dodzwoniła się do rezydencji St.George. - Cześć, Christian - przywitała się nonszalancko - tu Hillary Cox. Mam ważną sprawę do Johna. Czy jest gdzieś w pobliżu?

- Przykro mi, panno Cox, ale pan jest w biurze.

- O której spodziewasz się go z powrotem?

- Mówił, że będzie około czwartej. Ma wyjść ponownie o szóstej. Czy chce pani, żebym przekazał mu, że pani dzwoniła?

- Tak, proszę. Albo nie. Nie będzie mnie w domu, kiedy on wróci. Sama spróbuję go złapać za jakiś czas.

- Dobrze, panno Cox.

- Dziękuję, Christianie.

Z kwaśnym uśmiechem odłożyła słuchawkę, wstała i ruszyła do drzwi.

- Jadę.

- Teraz?

Spojrzała na zegarek. Dochodziła druga.

- Jeśli zdążę na lot o drugiej trzydzieści, przywitam Johna na progu jego domu.

- Poczekaj, Hillie. - Wydawca wstał. - Może powinnaś się zastanowić. Drażnienie lwa w jego własnej klatce to nie jest najmądrzejszy pomysł. Może...

- Oszczędź sobie, Arlan. - Wiedziała, co chce zrobić. - Jadę.

Z powodu tłoku na ulicach nie zdążyła na lot o drugiej trzydzieści, ale dostała się na następny o trzeciej. Więc zamiast siedzieć i czekać na Johna na schodach przed jego domem, po prostu podeszła do drzwi i zadzwoniła.

Na jej widok Christian wysoko unióśł brwi.

- Czy nie dzwoniła pani z Nowego Jorku? - zapytał uprzejmie.

- Mhm. - Prześliznęła się obok niego. - Czy John jest na górze?

- Może lepiej usiądzie pani w pokoju gościnnym, a ja...

- Jest w domu, prawda? Kiedy mówi czwarta, to tak musi być. Nigdy się nie spóźnia.

- Gdyby zechciała pani usiąść wygodnie w...

- I pozwolić mu po cichutku uciec? Nie ma mowy. - Podeszła do schodów i głośno krzyknęła. - John? - Wpatrywała się w górę, ale głos Johna dotarł do niej od tyłu.

- Jestem, Hillary. - Zwrócił się do Christiana: - Proszę zaprowadzić panią do biblioteki. -

Odwrócił się i odszedł.

Jak zawsze na widok Johna, Hillary poczuła nagle ukłucie pożądania. Jednak obcesowość, z jaką się z nią przywitał, najpierw wywołała w niej ból, a potem złość. Poszła za nim, wysoko unosząc głowę.

- Byłam właśnie u swojego wydawcy. Powiedział mi o tobie.

- Nie powiedziałaś mi, że piszesz tę książkę. Nie postąpiłaś najuczciwiej, Hillary.

- Jak śmiesz straszyć Simona Templara?

- Nikogo nie straszylem. Po prostu wytłumaczyłem, jakie będę musiał przedsięwziąć kroki, jeśli wydawnictwo opublikuje twoją książkę.

- Nazywasz to tłumaczeniem? Dla mnie to zwykłe groźby. Próbujesz mną manipulować poprzez straszenie Templara. Co ty sobie w ogóle wyobrażasz? Kim ty jesteś?

- Kimś, kto nie chce, aby intymne szczegóły z jego życia obiegły cały świat - odpowiedział spokojnie, co jeszcze bardziej rozjuszyło Hillary.

- Dlaczego nie? Jesteś osobą znaną i to cię czyni własnością publiczną.

- Nie. Gdybym był politykiem, to zgoda, ale nie jestem.

- Jesteś sławny. Nic ci się nie stanie, jeśli trochę o tobie poplotkują. Zresztą, nie sądzisz chyba, że już tego nie robią? Myślisz, że ludzie, którzy obejrżeli „20/20”, nie powiedzieli sobie w duchu: „On się musi pocić tak samo jak wszyscy”.

- Zdobyłem szacunek ludzi. Nie pozwolę tego zniszczyć. Mówił tak pompatycznie, że Hillary miała ochotę wyć.

- Skoro ci na tym tak zależy, trzeba było postępować jak uczciwy człowiek, a nie jak przestępca. Czy naprawdę sądzisz, że uda ci się od tego wszystkiego wykręcić? Czy wierzysz, że skoro przekazałeś po dziesięć tysięcy dolarów na rzecz paru fundacji, to do końca życia zapewnisz sobie dobre imię?

Ciemne oczy Johna zabłysły.

- Mam dobre imię. I nie dam go zrujnować.

- Więc w zamian chcesz zrujnować moją karierę? Nie możesz tego zrobić, John. To wolny kraj i konstytucja gwarantuje mi wolność słowa.

- Pięknie powiedziane, ale niewiele z tego wynika - zakpił szyderczo. - Nie obchodzi mnie, co gwarantuje ci konstytucja. Mając do wyboru twoją wolność słowa i ochronę moich własnych interesów, nawet przez chwilę nie będę się zastanawiał.

- Sąd nie przyzna ci racji. I pójdę do sądu, jeśli nie odzyskam kontraktu w takim brzmie-

niu, w jakim go podpisałam przed dwoma miesiącami. Zaskarżę wydawnictwo i zaskarżę ciebie.

- Nie masz szans na wygraną. Ostrzegam, wykończę cię.

- Na jakiej podstawie? Czy to ja kogoś pobiłam? Czy ja świadomie zmieniłam czyjś testament? Nic na mnie nie masz.

- Coś znajdę.

Potrząsnęła głową.

- Jedyną naprawdę głupią rzeczą, którą robiłam w życiu, było to, że przychodziłam do ciebie na każde kiwnięcie palcem. Ale z tym już koniec, John. Koniec!

Zadrżały mu usta.

- Czyżby? - zapytał cierpko.

- Koniec!

- A to dopiero jest głupota. - Ruszył w jej stronę wolnym krokiem, który zawsze tak ją podniecał. - Dobrze nam ze sobą, Hillary. Może różnimy się nieco w sprawach filozofii życia...

- Nieco? Rożni nas tak wiele, że aż trudno uwierzyć, iż wytrzymujemy ze sobą w jednym pokoju. Dzielią nas kilometry różnic.

- Ale to nas nie dzieli. - Wyciągnął rękę, by jej dotknąć, ale odepchnęła ją.

- Nie, John. Nie po to tu przyszłam.

- Nie?

- Nie.

- A to szkoda. Nikt nie kocha się tak jak ty. Chciałbym uszczknąć od ciebie trochę tego żaru.

Nieczuła na uwodzicielski ton jego głosu, popatrzyła na niego gniewnie.

- Mów sobie, co chcesz. Dla mnie to już przeszłość. Tym razem posunąłeś się za daleko.

- Nigdzie się nie posunąłem. Daj mi szansę, a to zrobię. - Pochwycił ją w pasie i trzymał mocno, żeby się nie mogła wyrwać.

Napierała na jego pierś.

- Puść mnie, John.

- Lubię czuć twoją bliskość.

Zaczęła się szamotać.

- Puść mnie.

- Bo co?

- Zacznę wołać, że chcesz mnie zgwałcić.

- Nie udowodnisz tego.

- Wystarczy, że zacznę krzyczeć.

Uśmiechnął się.

- Jesteś słodka. - Potrząsnął głową i mruknął: - Gwałt. - Zaśmiał się. - Pocałuj mnie, Hilary. Tęskniłem za tobą.

Chciał znaleźć jej usta, ale miotła się, odwracając głowę. Złapał ją silnie za podbródek i pocałował, zanim zdążyła głośno zaprotestować. Z jej gardła wydobywały stłumione krzyki, wrywała się, aż w końcu kopnęła go w piszczel.

Przeklinając pod nosem John puścił ją, pochylił się i rozmasował bolącą nogę.

- Co się z tobą dzieje!

Cofnęła się o krok.

- Co się dzieje? - Nie mogła uwierzyć, że w ogóle ją pyta. - Nie chcę, żebyś mnie całował. To się dzieje. Nie słyszałeś, że się nie zgadzam? Jesteś głuchy?

- Słyszałem, ale przecież tak nie myślisz. Pragniesz mnie.

- W tej chwili pragnę, żebyś szczeł. Nie zasługujesz na zbawienie.

- Nigdy o nie nie prosiłem.

Wolno pokiwała głową, jakby dawała mu znać, że wie i rozumie.

- To prawda. Nigdy o to nie prosiłeś. Tylko że ja cały czas miałam nadzieję zmienić coś w twoim życiu. Myliłam się.

Obróciła się na pięcie i ruszyła do drzwi, ale John chwycił ją za ramię i przyciągnął do siebie.

- Dokąd idziesz?

- Wracam do Nowego Jorku. Marnuję na ciebie czas.

- Co to ma znaczyć?

Popatrzyła na niego ze złością.

- Przyszłam tu wściekła, bo utrudniasz mi odniesienie sukcesu, a ty jedynie powtarzasz, że cię pragnę. Myślisz, że seks jest odpowiedzią na wszystkie problemy?

- Między nami tak.

- Nigdy więcej. - Wyrzuciła do góry ręce. - Mam tego dość!

- Przedtem było nam dobrze - dodał wolno.

Kiwnęła głową.

- Prawda. Było dobrze, ale to moja wina. Moja słabość. Jedno spojrzenie na ciebie i zaczynałam się trząść. Zbliżałeś się do mnie, a ja się rozplęwałam. Nie miało dla mnie znaczenia, że wiem o tych wszystkich krzywdach, które wyrządzasz ludziom. Seks sprawiał mi przyjemność, więc go brałam garściami, kiedy miałam okazję. Ale z tym koniec. - Wstrząsnęła głową. - Nie rozplęwam się już, a jeśli się trzęsę, to ze złości na ciebie, za to, że jesteś łobuzem, i na siebie, że ci się poddawałam przez te wszystkie lata. Mało tego, broniłam cię. Czy wiesz o tym? Przy najmniejszym słowie oskarżenia zawsze cię broniłam. A ty jak mi odpłacasz? Idziesz do prezesa mojego wydawnictwa, straszysz go sądem i każesz mu zniszczyć mój kontrakt?!

- Powinnaś być mi za to wdzięczna. Ta książka nie byłaby nic warta.

Uderzyła się pięścią w pierś.

- Ta książka to moja praca. Mam prawo ją wydać bez względu na to, czy jest do niczego, czy nie. - Machnęła ręką. - Ale zapomnij o tym. Mogę zwrócić się do innego wydawnictwa. Zawsze znajdzie się jakieś, które mi ją wyda. I nie uda ci się mnie powstrzymać. Chyba że mnie zabijesz. Już dopuściłeś się morderstwa, zmuszając Pam do usunięcia ciąży, i prawie na śmierć skatowałeś Cuttera. Podejrzewam więc, że mnie także mógłbyś zabić. Tylko że ja zabezpieczyłam swoją książkę. Jeśli coś mi się stanie, sam na siebie rzucisz podejrzenia. Nie przyczyni się to do podniesienia twojego prestiżu, którego tak pragniesz.

Na twarzy Johna malowało się obrzydzenie.

- Nie jestem mordercą, na rany boskie. Mówisz bzdury.

- Mówię prawdę. I prawdą jest, że jesteś złym człowiekiem.

Przewrócił oczami.

- Przerażasz mnie, John. Nie masz pojęcia, co jest dobre, a co złe. Dla ciebie dobro oznacza tylko to, co ci pasuje. Ktokolwiek wejdzie ci w drogę, nie ma szczęścia. Idziesz do celu po trupach.

- Każdy biznesmen robi tak do pewnego stopnia.

- Nie wiem, co robią inni, ale znam ciebie.

- Odniosłem sukces.

- Sukces? Jesteś ponurym, nadętym pozerem i jesteś samotny, John. Co takiego osiągnąłeś? Masz za sobą połowę życia, pieniądze, swoje interesy i nic więcej. Żadnej rodziny. Żadnych przyjaciół.

- Mam przyjaciół...

- Ale nie bliskich. Nie pozwolisz, by ktokolwiek się do ciebie zbliżył. I wątpię, żeby ktokolwiek tego pragnął. Odpychasz ludzi swoją ciemną stroną, więc jesteś sam.

- To był mój wybór.

- Bo do dnia dzisiejszego brak ci poczucia bezpieczeństwa. Mimo tego wszystkiego, co zrobiłeś i osiągnąłeś.

- To bzdury.

Potrząsnęła głową.

- Założę się, że ciągle cię męczą nocne koszmary. Nadal jesteś w nich małym chłopcem w Timiny Cove i bezskutecznie starasz się przypodobać ojcu. Nigdy się z tym nie uporałeś, prawda? Nigdy nie przebolełeś faktu, że nie mogłeś sprostać jego wymaganiom. - Roześmiała się głośno. - Boże, cóż za ironia losu. Gdyby żył, gdyby widział, co osiągnąłeś, nie mógłby wyjść ze zdumienia.

- Gdyby żył - odezwał się John kamiennym głosem - nigdy nie pozwoliliby mi tego osiągnąć. Mówiłem mu o swoich pomysłach, ale nie przyjmował ich do wiadomości.

- Był konserwatystą, bał się twych dalekosiężnych planów. Ani nie był tak wyrafinowany jak ty, ani nie rozumiał twoich wizji. To on był ograniczony, John, nie ty. Pod wieloma względami przerastasz Eugene'a... - Zachłysnęła się i potrząsnęła głową. - Czy słyszysz? - zapytała zdumionym głosem. - Kolejny raz cię bronię. Myślę, że tak było zawsze. Tak samo, jak ty zawsze czuleś się gorszy. To takie dla ciebie charakterystyczne, że nie chcesz się poddać. Tak długo żyłeś z zazdrością i nienawiścią, że bez nich czujesz się pusty.

Poczuła w oczach pierwsze ukłucia łez. Próbowała je powstrzymać, ale nie mogła.

- Zazdrość i nienawiść to diabelskie uczucia, John. To nie ty. Ty sam nie jesteś zły, ale dałeś się opanować złu. Dałeś mu się oszukać i ono ci tak wiele zabrało.

John stał na szeroko rozstawionych nogach; był cały spięty.

- Mylisz się. Mam wszystko, czego chciałem od życia.

- Nie masz. To smutne. Jego oczy rozgorzały.

- Nie ma we mnie nic smutnego. Posiadam więcej, niż ludzie mogą sobie zamarzyć.

- Nie masz nic! Pracujesz, wracasz do domu, żeby się przebrać, znowu wychodzisz i przez cały ten czas jesteś sam.

- I patrzcie, kto to mówi. Ty jesteś lepsza? Ty także nie masz nikogo. Nigdy nie miałaś. Pracujesz, wracasz do domu i jesteś sama. Więc dlaczego mnie krytykujesz?

- Ale ja nie chcę być sama! Nigdy tego nie chciałam i przyznawałam to otwarcie!

- Więc dlaczego tak jest?

- Ponieważ przez te wszystkie lata kochałam ciebie i czekałam na iskierkę uczucia z twojej strony. Tylko że ty nie potrafisz nikogo kochać! Jesteś zbyt zajęty Kochaniem siebie, bo panicznie się boisz, że gdybyś przestał, nikt inny cię nie pokocha i będziesz musiał żyć bez miłości. To jest ta smutna prawda. - Łzy już wyraźnie zbierały się w kącikach jej oczu, głos się załamał. - Ale już dłużej tak nie mogę, John. Pragnę czegoś więcej, chcę być kochana. Jestem już za stara, żeby mieć dzieci. Za to także cię winię. Oczywiście nie chciałeś dzieci ze strachu, że odbiorą całe zainteresowanie twoją osobą. I może jest też za późno, by znaleźć kogoś, kto pokocha mnie tak, jak tego pragnę. Ale nie mogę już czekać na ciebie, zastanawiając się, kiedy się zjawisz. - Zgaszonym głosem dodała: - To boli. Miłość do ciebie sprawia zbyt wiele cierpień.

Łzy toczyły się jej po policzkach. Przesunęła dłonią po czole i szepnęła:

- Skończyłam z tym. - Wyzuta z resztek sił i uczuć, odwróciła się i wyszła.

John za nią nie poszedł. Przez jakiś czas chodziła bez celu po ulicach Bostonu, po czym złapała taksówkę do Logan i odleciała do Nowego Jorku. Nie wróciła prosto do domu, tylko spacerowała trochę i zatrzymała się w restauracji na spóźniony obiad. Ale nie była głodna, a przede wszystkim przytłaczała ją świadomość, że samotnie siedzi przy stoliku. Więc wyszła, pozostawiając prawie nie tknięte danie.

Na sekretarce znalazła cztery wiadomości. Żadna nie była od Johna.

Samotność zawsze jej dokuczała, ale tym razem stała się nie do zniesienia. Skończyła z Johnem. Naprawdę skończyła. Pustka, którą odczuwała, była podobna do tej, którą prawdopodobnie przeżywałby John, gdyby zapomniał o zazdrości i nienawiści. Gdyby rzeczywiście tak się stało, z chęcią wypełniłaby próżnię w jego życiu. Ale John wolał nienawiść, a ona została z własną samotnością.

By się jej pozbyć, skoncentrowała się na swojej książce. Wydawało się, że jedynie ona potrafi wykrzesać z niej cień energii. I choć nie miała ani wydawcy, ani kontraktu, nie mogła tak po prostu zrezygnować. Musiała dokończyć swoją pracę, musiała usunąć Johna ze swego życia.

Pisała bez przerwy przez kilka następnych tygodni.

W Nowym Jorku nastąpiło lato. Większość znajomych wyjechała na wakacje, a upał był tak nieznośny, że wolała siedzieć w domu. Poprawiała i wygładzała ustępy, dzwoniła, by potwierdzić fakty. Postanowiła, że jeśli ma oddać książkę innemu wydawnictwu, powinna ona być prawie doskonała. Musiała się zabezpieczyć, żeby John nie podstawił jej nogi, tak jak to

zrobił z Templarem.

Potem wydarzyło się coś nieoczekiwanego. Udało jej się wytropić Joe Grogana, prawnika, który spisywał testament Eugene'a. Myślała, że już nie żyje, ale starając się pójść za każdym najmniejszym śladem, odkryła, że Grogan jest na emeryturze i mieszka w północnej Arizonie. Dobrze pamiętał Eugene'a.

Następnego dnia po rozmowie telefonicznej Hillary wyleciała do Arizony. Grogan, który nie był egzekutorem ostatniej woli Eugene'a, nie miał pojęcia, że Cutter nigdy nie otrzymał swojej spuścizny. Doskonale jednak pamiętał zapis dla niego i potwierdził to oficjalnie w obecności lokalnego farmera i policjanta.

Hillary wróciła do Nowego Jorku na równi podeskcytowana, co przerażona. Dodała zeznania Grogana do książki, ale czuła się nieswojo. Miała w rękach dowód. To stawało się zbyt rzeczywiste.

Miała w rękach bombę.

Z wolna przyznawała Johnowi rację, że powinna zarzucić pisanie książki. Zdała sobie sprawę z tego, że nie tylko ujawniała jego sekrety, ona je drażyła. Może ze względu na fakt, iż niegdyś mieszkała w Timiny Cove, ludzie chętnie się jej zwierzali. Podobnie znajomi Johna. Wiedząc, że jest jego przyjaciółką, bez trudu otwierali się przed nią. Obraz Johna stawał się dla Hillary coraz wyrazistszy i było to też widoczne w książce.

Zaczęła sobie uświadamiać, co ma w rękach. Miała władzę. Po raz pierwszy w życiu nadarzyła jej się możliwość kierowania Johnem. To ją przytłaczało.

Lato się skończyło i rozpoczęła się normalna praca. Hillary spotkała się na obiedzie z Cutterem, a w tydzień później z Pam. Obydwoje sprawiali wrażenie czymś podnieconych. Kiedy na nich naciskała, wyznali, że chodzi o firmę.

Cząstka jej duszy, która zawsze kochała Johna, nakazywała jej go ostrzec. Uważał, że jest sam, arogancki i butny, ale przez to bezbronny. Źle postąpił i w sprawie testamentu, i bijąc Cuttera, i przyczyniając się do aborcji. Był winien jeszcze tylu innych rzeczy. Ale teraz groził mu upadek. Hillary czuła to przez skórę. Staczał się w przepaść, a ona chciała mu pomóc.

Nie miała pojęcia, jak może go ostrzec. Nie mogła zdradzić ani Cuttera, ani Pam, bo jej ufali. Poza tym nie utrzymywała z Johnem kontaktów od dnia, gdy z nim ostatecznie zerwała. Pomyślała o telefonie, ale bała się, że odwiesi słuchawkę, a to by ją zabolalo.

W rzeczywistości nadal go kochała. Nienawidziła go, bo nie odwzajemniał tej miłości, ale go kochała. Ta miłość była obłąkana. Tak mówił Cutter, Pam, a nawet Arlan, i Hillary wie-

działa, że mają rację. Ale nie potrafiła pokonać swych uczuć. To nie było nic racjonalnego. Nie potrafiła tego zniszczyć zwykłym pstryknięciem palców, bo to tkwiło głęboko w jej sercu już od dwudziestu siedmiu lat.

Miała wrażenie, że John to część jej samej. Był osobą, która ją uformowała, i to w o wiele większym stopniu niż wszyscy inni. Przekonała się o tym w ciągu ostatnich kilku miesięcy. Mimo że bezpośrednią przyczyną pisania książki stała się chęć zemsty, to główną siłą pobudzającą był zawsze sam John. Została dobrą pisarką, bo zależało jej na podziwie tego człowieka. Jeśli pisała, by pozbyć się wewnętrznej frustracji, to u podstaw jej działań znajdował się John.

Nie chciała tego. Pragnęła być obojętna na jego los. Ze wszystkich sił starała się bardziej go nienawidzić niż kochać. Ale nie mogła. Cokolwiek niesło mu życie, miało to wpływ również na nią.

Dlatego też kiedy Pam zadzwoniła do niej w pewną pochmurną październikową niedzielę oznajmiając, że ona i Cutter spotykają się z Johnem w Beacon Hill następnego ranka, zapytała, czy także może przyjść.

Rozdział dwudziesty siódmy

Przez lata Cutter wyobrażał sobie moment przekraczania progu Beacon Hill. Setki razy widział oczami duszy, jak wchodzi tam, ogarnięty rozpierającym go uczuciem triumfu. W żadnym razie nie był przygotowany na rozczarowanie, którego doznał, krocząc za Christianem w stronę biblioteki. Dom sprawiał wrażenie dobrze utrzymanego i atrakcyjnego. Urządzony był w tradycyjnym, konserwatywnym stylu, choć meble wyglądały na nowe. Był perfekcyjny jak tysiące mu podobnych, które oglądał Cutter, ale brak mu było własnego charakteru.

Nie miał czasu zastanawiać się nad smutną stroną tego stanu rzeczy ani wyobrażać sobie, jak by tu było, gdyby żył Eugene. Christian otworzył podwójne drzwi i majestatycznym kiwnięciem głowy zaprosił gościa do środka. Cutter wszedł, czując się nieswojo. Tak długo czekał na tę chwilę.

Na skórzanej sofie siedziała Pam. Wyglądała prześlicznie. Przy niej Brendan, wyglądający o dwadzieścia lat starzej niż podczas ich ostatniego spotkania. Natychmiast się podniósł i podał Cutterowi dłoń.

- Cieszę się, że cię widzę, Brendan - spokojnie przywitał się Cutter, rzeczywiście myśląc to, co mówi. - Jak się czujesz?

Brendan uniósł jedną brew, uśmiechnął się i kiwnął głową.

- Cutter, czy pamiętasz moją matkę? - zapytała Pam.

Usłyszał napięcie w jej głosie, więc posłał jej podtrzymujące na duchu spojrzenie. Potem odwrócił się w stronę miejsca, gdzie w wózku inwalidzkim siedziała Patrycja.

Wiedział, że będzie obecna. Jej wygląd nie zaskoczył go, ponieważ Pam nieraz dokładnie mu ją opisywała. Sam nie widział Patrycji od wielu lat. Postarzała się, ale nadal była piękna. Sprawiała wrażenie ogromnie zdenerwowanej i bezbronnej, czemu Cutter wcale się nie dziwił. Nie była w tym domu od dnia wypadku.

Wyciągnął dłoń; kiedy podała mu swoją, pod wpływem nagłego impulsu przykrył ją w geście pocieszenia drugą dłonią. Odezwał się miękkim głosem:

- Dobrze znów panią widzieć, pani St.George. Cieszę się, że pani tu jest.

- Nie jestem pewna, czy ja się cieszę - wyszeptała w odpowiedzi Patrycja.

Cutter uśmiechnął się i lekko uściśnął jej dłoń, po czym zwrócił się do mężczyzny stojącego obok.

- Miło mi pana poznać, doktorze Grossman.

- Cała przyjemność po mojej stronie.

Cutter nigdy wcześniej nie spotkał Boba Grossmana, ale polubił go od pierwszego spojrzenia. Pam mówiła, że był dobry dla Patrycji, nawet w niej zakochany. Pomijając to, Cutter był mu wdzięczny za pomoc i życzliwość, z jaką traktował Pam przez te wszystkie lata.

Miał nadzieję, że przekazał mu wzrokiem choć ułamek tych uczuć, ponieważ nie był to ani czas, ani miejsce na towarzyskie rozmowy. Nikogo więcej oprócz Johna nie było już w pokoju, więc zwrócił się wreszcie w jego stronę.

W ciągu wielu lat nieraz widywał Johna, ale zawsze z pewnej odległości, oddzielonego tłumem ludzi. Teraz dzieliło ich od siebie nie więcej niż dziesięć stóp oraz mahoniowe biurko, za którym siedział John.

Ostatni raz Cutter patrzył mu prosto w oczy siedemnaście lat temu w zimną, grudniową noc. Był wtedy ubogim, niewykształconym górnikiem, przepełnionym nienawiścią i bólem. Ból znikł dawno bez śladu, lecz nienawiść nadal w nim tkwiła i na jedną chwilę eksplodowała mu w myślach z ogromną siłą. Cutter przypomniał sobie groźby, które trzymały go z daleka od Pam, duży dom w Timiny Cove, który został sprzedany, dziecko, pas nabijany ćwiekami.

Chwila minęła, a nienawiść musiała w tej chwili ucichnąć. Cutter chciał to rozegrać w inny sposób, mając na uwadze ciężko wypracowaną własną godność.

Nie przywitał się z Johnem, a John nie przywitał jego. Wpatrywali się w siebie w niemej walce, aż w końcu John oznajmił:

- Jeśli skończyłeś z uprzejmościami, może przejdziemy do rzeczy. O jedenastej jestem umówiony na spotkanie po drugiej stronie miasta.

Mieli do dyspozycji całą godzinę, co Cutterowi zupełnie wystarczało. Kiwnął głową, ale zanim zdążył się odezwać, otworzyły się drzwi, przez które wśliznęła się Hillary. Była lekko zdyszana i z pewnością zmęczona. Szybko rozejrzała się po pokoju, po czym jej wzrok spoczął na Johnie.

- Co ty tu robisz? - zapytał tonem, który sprawił, że Cutter poczuł dla Hillary współczucie.

- Chciałam przyjść.

- To interesy.

- Wiem.

- Nie masz z tym nic wspólnego. Wtrąciła się Pam.

- Prosiłam ją, żeby przyjechała. Hillary jest naszą przyjaciółką.

Rysy twarzy Johna zaostrzyły się.

- Będzie robiła notatki?

- Nie - odpowiedziała Hillary. - Jestem tu jako przyjaciel.

- Czyj przyjaciel?

- Twój.

- Tak samo jak Pam i jego. - Skinął głową w stronę Cuttera. - Czuję, Hillary, że dojdzie tu do konfrontacji. Lepiej zdecyduj, po czyjej jesteś stronie.

Znowu odezwała się Pam, tym razem mniej spokojnie.

- Nie ma takiej potrzeby. - Spojrzała na zegarek. - Ponieważ mamy ograniczony czas, proponuję, byśmy zaczęli.

John oparł się na krześle i obrzucił Cuttera lodowatym spojrzeniem.

- Zakładam, że zjawileś się tu, ponieważ przejąłeś akcje towarzystwa. To jedyny powód, dla którego wpuściłem cię do swojego domu. Rozumiesz to?

- To nie jest twój dom - rozległ się słaby głos Patrycji, czym ściągnęła na siebie oczy wszystkich obecnych. - Należy do mnie. Zostawił mi go mój mąż. Mieszkasz tu, bo ci na to pozwoliłam. Kiedy postanowię, że masz się wyprowadzić, będziesz musiał to zrobić.

W powietrzu wisiało niemal dotykalne poczucie triumfu. Biło od każdej z osób, z wyjąt-

kiem Johna. Choć było to niewiarygodne, zachował spokój. Nawet nie mrugnął. Ignorując Patrycję, odwrócił się do Cuttera.

- Jeśli masz coś do powiedzenia, wyduś to z siebie. Nie mam na to całego dnia.

Gdyby Cutter trzymał teraz przy głowie Johna pistolet - co było jego stałym marzeniem - użyłby go z rozkoszą. W tej jednak sytuacji powiedział zimnym głosem:

- Przejmujemy twoje akcje. John pokiwał głową.

- To prawda - zapewniła go Pam, ale Cutter podniósł dłoń, by ją zatrzymać, zanim powie więcej. To było jego dziecko. Spędził lata na planowaniu i drugie tyle na realizacji swoich zamierzeń. Chciał mieć tę przyjemność tylko dla siebie.

- Jakiś czas temu otworzyłem firmę finansową. Moim partnerom i mnie powiodło się, odnieśliśmy sukces. Lista naszych klientów wzrosła znacznie w ciągu ostatnich lat i wielu z nich wykupywało akcje St. George Company. Teraz mamy ich wystarczająco dużo, by przejąć kontrolę nad towarzystwem.

- To niemożliwe - oświadczył John. Nadal siedział w tej samej pozycji, z rękami splecionymi na brzuchu. Wyglądałby na całkowicie opanowanego, gdyby nie zupełnie białe kostki palców. - Do tego potrzebujesz większości, a ja mogę cię zapewnić, że więcej niż pięćdziesiąt pięć procent udziałów znajduje się w moich rękach. Czterdzieści pięć procent posiada rodzina, reszta należy do bliskich przyjaciół.

- Może i czterdzieści pięć procent należy do rodziny - zgodził się zimno Cutter - ale właściciele trzydziestu zgadzają się na przejęcie przeze mnie pełnej kontroli.

Po Johnie nie widać było prawie żadnej reakcji. Cutter musiał mu to oddać - ten człowiek potrafił nad sobą panować. Trochę pobladł, to wszystko.

- Trzydzieści procent? Jak to wyliczyłeś?

- Pam będzie głosowała za zmianą prezesa, podobnie Patrycja.

- Patrycja nie kontroluje swoich akcji - zauważył John. - Ja to za nią robię.

- To nie potrwa długo - wtrąciła się Patrycja. - Prosiłam już prawnika, żeby zajął się zwróceniem mi moich praw.

Nie mogąc zignorować jej po raz drugi, John niechętnie skinął głową w jej stronę.

- Nie łudź się, to mu się nie uda. Więcej niż dwadzieścia lat spędziłaś w szpitalu psychiatrycznym. Żaden sędzia nie stwierdzi w tej sytuacji, że jesteś osobą kompetentną.

W tej chwili Bob Grossman wyprostował się i głosem pewniejszym niż Patrycja powiedział:

- Jest nią. Ja to potwierdzę. Jest zdrowa już od wielu lat.

- W takim razie dlaczego przebywała w szpitalu?

- Ponieważ takie było jej życzenie.

- Jeżeli to nie jest szaleństwem, to już nie wiem, co nim jest - warknął John.

Pam znieruchomiała i już miała stanąć w obronie matki, gdy uprzedził ją Bob.

- To nie szaleństwo. Większość ludzi czuje potrzebę budowania wokół siebie ścian. Niektórzy otaczają się bliskimi przyjaciółmi, inni pracą czy własnymi przedmiotami. Nie, Patrycja nie jest obłąkana, a ja wiem, jak wygląda szaleństwo.

- Prawda. Jest pan psychiatrą. Leczył pan ją przez te wszystkie lata, choć twierdzi pan, że od dawna jest zdrowa. Szczerze mówiąc, zakrawa mi to na oszustwo.

Bob był nieporuszony.

- Większość naszych pacjentów jest przy zdrowych zmysłach. Leczenie nie ma z tym nic wspólnego. A jeśli chodzi o Patrycję, to wkrótce opuszcza szpital. Pobieramy się.

Cutter nic o tym nie wiedział. Ucieszył się. Zerknął na Pam i to samo zadowolenie zobaczył w jej oczach. John także się uśmiechał, ale bardzo nieprzyjemnie.

- Aaaa - rzucił. - Teraz wszystko rozumiem. Spodobała się panu pacjentka, więc przetrzymywał ją pan w szpitalu. Brał pan ciężkie pieniądze za pokój i opiekę, a jeszcze większe za swoje usługi. Nagle, kiedy wyniuchał pan dobry interes, oświadcza pan, że Patrycja jest zdrowa i chce się pan żenić. Myślę, że sąd lekarski z chęcią posłucha tej historii.

Pam poderwała się na nogi.

- O, nie. Zbyt wiele razy stosowałeś tę sztuczkę. Nic ci nie przyjdzie z szantażowania Boba. Nie zrobił nic złego.

- Wykorzystał bezbronną, chorą kobietę, która była od niego zależna.

- Nie jestem bezbronna - parsknęła Patrycja. - Owszem, czułam się tak, gdy byłam młodszą. To ty wtedy mnie wykorzystałeś. Bob nigdy.

- Jestem świadom etycznych komplikacji w tym przypadku, panie St. George - oświadczył Bob. - Ani razu podczas pobytu Patrycji w szpitalu jej nie wykorzystałem, nie tknąłem jej. Płaci tyle samo co reszta pacjentów i już od roku prowadzi ją inny terapeuta. Poza tym, kiedy się pobierzemy, Patrycja zamieszka u mnie, w moim domu, który kupiłem przed dwunastu laty. Nie chcę od niej pieniędzy i już jej to powiedziałem. I będzie to oficjalnie spisane, zresztą na moje życzenie, nie jej. - Nabrał szybko powietrza. - Przykro mi, kolego, ale opowiada pan głupstwa.

- Nie jestem pańskim kolegą - mruknął John.

- Dzięki Bogu - stwierdził Bob.

Zapadła chwila ciszy. Przerwał ją Cutter; chrząknął.

- Sugeruję, byśmy kontynuowali. - Zaczekał, aż Pam usiadzie, i zwrócił się do Johna: - Jesteś przegłosowany. Pam chce zmiany, tak samo Patrycja, ja i moi klienci.

Głos Johna zabrzmiał trochę ostrzej.

- Twoi klienci wiedzą tylko to, co ty im powiedziałaś. Gdyby przeczytali raporty...

- Zrobili to...

- Przekonaliby się, że pod moją dyrekcją firma doskonale prosperuje. Nie ma powodu do zmian.

- Oni uważają inaczej.

- Tylko dlatego, że ich do tego przekonałeś.

Cutter wzruszył ramionami. Był zadowolony, pewny siebie, kontent z rozwoju wypadków. Skrzywił usta w lekkim uśmiešku; nie krzyżował już rąk i wyprostował się.

- To ja stworzyłem „Facets” - dobitnie powiedział John. - Te sklepy należą do mnie. Ani ty, ani żadna osoba w tym pokoju mi ich nie odbierze.

Cutter popatrzył najpierw na Pam i Brendana, potem na Patrycję i Boba. Kiedy zahaczył okiem o Hillary, opartą o drzwi biblioteki i wpatrzoną w Johna, przez sekundę ogarnęło go współczucie. Zarazem jednak miał ochotę nią potrząsnąć i przekonać, że to, co teraz robią, wyjdzie wszystkim na dobre. Nie mógł uwierzyć, że nadal kocha tego człowieka. Nie mógł uwierzyć, że w ogóle go kochała...

Powoli odwrócił się do Johna.

- Wygląda na to - zaczął spokojnie - że nie masz większego wyboru. Mamy tu wyniki głosowania. - Sięgnął do kieszeni, z której wyciągnął grubą kopertę. - Mam podstawy, by zwołać nadzwyczajne walne zebranie.

- Nie będziesz ogłaszał zebrania mojego zarządu.

- To także mój zarząd - z przyjemnością przypomniał mu Cutter. - Jestem udziałowcem.

- Nic nieznaczącym.

- Sam, możliwe. Ale nie jestem sam. Mam za sobą mnóstwo osób, które wprost umierają z niecierpliwości, żeby cię wykopać.

- Zrobiłeś im pranie mózgow.

- Nie musiałem robić nic aż tak drastycznego.

- Nie masz żadnych prawnych podstaw, żeby mnie usunąć.

- Czy ich potrzebuję?

John wstał, po czym założył ręce na plecy.

- Jak diabli. To ja stworzyłem to przedsiębiorstwo. Mam czystą kartotekę. Dochody rosły z roku na rok. Udziałowcy otrzymywali satysfakcjonujące dywidendy.

- Nie w tym rzecz - spokojnie oświadczył Cutter. - Chodzi o to, że dzierżysz prezesurę dzięki wyborowi zarządu, a oni z kolei dzięki wyborowi wszystkich udziałowców.

- Zarząd jest po mojej stronie.

- Może stary. Nowy nie będzie. - Pomachał kopertą, którą nadal trzymał w ręce. - Mam tu całkiem silną grupkę. Myślę, że chcieliby mieć za prezesa swojego człowieka.

John, już nie blady, a poczerwieniały, wyglądał, jakby coś w nim wzbierało.

- A tym człowiekiem masz być ty?

- Ja? Dobry Boże, nie. Mam swój własny interes, za nic nie chciałbym być prezesem St.George Company. Ale znam odpowiednie osoby. Każda z nich ma doświadczenie w prowadzeniu międzynarodowych korporacji.

- Żadna z nich nie jest członkiem rodziny. Mój ojciec chciał, by St.George Company było interesem rodzinnym.

- Twój ojciec - warknął Cutter, tracąc na chwilę panowanie nad sobą - dawno by cię wyrzucił, gdyby żył i wiedział, ile złego uczyniłeś Pam i Patrycji. I mnie. - Nabrał powietrza. - Nie musisz się martwić o firmę. Będzie istniała, nawet się rozwinie.

- To moja firma.

- Oczywiście będziesz mógł zatrzymać swoje udziały...

- Ja jestem tą firmą.

- Już niedługo. Jak powiedziałem - podniósł kopertę - możemy zwołać nadzwyczajne zebranie zarządu albo poczekać do corocznego w listopadzie. Jeśli zrezygnujesz teraz...

- Z niczego nie rezygnuję! - wrzasnął John, tak bardzo przypominając przy tym Eugene'a, że Cutter na moment zamilkł. I syn, i ojciec mieli ten sam ognisty temperament. Jednak na wspomnienie Eugene'a, jego dobroci dla Pam i Patrycji, serce Cuttera stwardniało.

- Masz wybór - stwierdził lodowato. Skończył się już bawić. Nadszedł czas na pas nabi-jany ćwiekami. - Możesz zrezygnować teraz, a na twoje miejsce wybierzemy innego prezesa. Albo możesz z nami walczyć, a wtedy my zwołamy nadzwyczajne zebranie i przeprowadzimy wszystko szybciej. Mamy wystarczającą liczbę głosów, John. Nawet więcej. Nie masz żadnych

szans. Pytanie tylko, jak nisko spadniesz. - Zamilkł i nabrał powietrza, zanim ponownie zamachnął się pasem. - Jeśli nam się przeciwstawisz, zaczniemy walczyć na całego. Tak czy inaczej pójdiesz na dno, ale przy okazji wszystko o tobie wyjdzie na jaw. Jeśli zrezygnujesz teraz, zapewnimy ci milczenie. Możesz się spakować i wynieść, dokąd chcesz. Pracę dostaniesz bez trudu. Będą się o ciebie bili, a na pytanie, dlaczego opuściłeś St. George Company, powiesz, że potrzebowałeś zmiany. Możesz też sprzedać swoje udziały i rozpocząć nowe przedsięwzięcie lub przejść na emeryturę. W każdym wypadku twoja reputacja zostanie nienaruszona. Jeśli zrezygnujesz. W ciągu tygodnia. John stał w miejscu jak wryty.

- To szantaż.

- Znasz się na tym. Stosowałeś go tyle razy.

- Nie możesz tego zrobić.

- To już się stało. Mam poparcie Pam, Patrycji i - poklepał się po kieszeni - poparcie większości udziałowców. Zrozum, John. Zostałeś pobity.

- Nie. Tyle pracowałem, żeby dotrzeć do tego miejsca. Jestem główną siłą firmy...

- Ja jestem główną siłą „Facets” - przerwała mu Pam. - To moje projekty stanowią jej kręgosłup. Więc tak naprawdę nic złego się nie stanie, kiedy odejdziesz. W najgorszym wypadku sprzedaż pozostanie na tym samym poziomie.

John popatrzył na nią oczami zmrużonymi jak szparki.

- Marzyłaś o tej chwili. Marzyłaś o niej od dnia, w którym zaczęłaś u mnie pracę.

- Dużo wcześniej - poprawiła go. - I pracowałam u siebie, nie u ciebie.

- Tylko czekałaś, żeby zatopić we mnie swoje szpony.

Uśmiechnęła się.

- I udało mi się, prawda? John zwrócił się do Brendana.

- Ona popełnia błąd. Oni wszyscy się mylą. Nie naprawia się czegoś, co nie jest zepsute.

Jesteś biznesmenem, rozumiesz to.

Brendan odpowiedział zachrypniętym, ale stanowczym głosem.

- Wiem, że czasami zmiana przynosi korzyści. Pozwala na złapanie nowych perspektyw.

To jak z brudną bielizną. Kiedy się ją przewietrzy, cały pokój pachnie lepiej.

Pam zachichotała.

John popatrzył na nią z wściekłością.

- To cię bawi? Nie będziesz się śmiała, kiedy dochody zaczną spadać.

- Nie zaczną. Wierzę w Cuttera, on wie, co robi. - Nagle się zastanowiła, po czym zapy-

tała: - Czy w ogóle tego nie spostrzegłeś? Nie zauważyłeś, że stał się silny? Gdzie ty byłeś przez te wszystkie lata?

- Wypruwałem z siebie żyły dla „Facets”.

- I zabawiałeś się ze sławnymi i bogatymi.

- Ja jestem bogaty i sławny.

- Może - zgodziła się. - Ale już więcej nie będziesz bawił swoich gości na koszt firmy.

John zastanawiał się przez chwilę nad jej słowami. Patrzył na nią, na Cuttera, na Patrycję. Przez ten czas jakby się uspokajał.

- To zemsta, tak? - Rozejrzał się. - Czy tak? To zemsta?

- Możesz tak to nazwać - odpowiedział Cutter, ale ponieważ John ochłonął, to i jego gniew stracił na sile. - Ja wolę to uważać za sprawiedliwość losu.

- Nie ma w tym żadnej sprawiedliwości, nie po tych wszystkich latach mojej ciężkiej pracy dla firmy.

- Podczas gdy ty pracowałeś dla dobra firmy, większość z nas pracowała nad tym, żeby odzyskać ziemię pod stopami, po tym, jak ją nam spod nich wyrwał. Pracowaliśmy tak ciężko jak ty, każde na swój sposób. - Kiwnął głową. - To jest sprawiedliwość.

John milczał. Przez chwilę wpatrywał się w Cuttera, a potem opuścił głowę. Kiedy po pewnym czasie uniósł twarz, wykrzywił ją nieprzyjemny uśmiech.

- Nic nie zrobię, dopóki nie pokażesz mi dokumentów potwierdzających twoje słowa. Moim zdaniem blefujesz.

- Nie blefuję.

- Najpierw zobaczę dokumentację, potem zadecyduję.

Pomimo rozkazującego tonu Johna, to Cutter był górą.

To on rozdzielał uderzenia.

- Mój prawnik skontaktuje się z tobą dzisiaj, żeby umówić się na spotkanie.

- Nie będę dzisiaj osiągalny - poinformował John i spojrzął na zegarek. Palce drżały mu lekko, kiedy rozpostarł je na biurku. - Mam spotkanie o jedenastej, a potem o drugiej. Nie wracam już dzisiaj do biura.

- W takim razie skontaktuje się z tobą jutro rano. Masz czas do piątku na podjęcie decyzji. Tyle powinno ci wystarczyć.

Bez słowa komentarza John podniósł aktówkę i ruszył w stronę drzwi.

Cutter nie należał do ludzi, którzy kopnęliby psa, ale John nie był zwykłym psem.

- Jeżeli masz zamiar przedłużać sprawę, żeby znaleźć czas na zaplanowanie kontraktaku, radziłbym uważać - rzucił. - Na pierwszą oznakę walki z twojej strony zaczniemy naszą kampanię. Po niej nie znajdziesz już żadnego zajęcia.

John zatrzymał się przy drzwiach z ręką na klamce. Cutter ciągnął w stronę jego pleców.

- I nie myśl, że otworzysz następny sklep, a potem przejmiesz St. George Company. Obwarujemy się odpowiednimi klauzulami, chroniącymi nas przed tym. Nie masz szans.

John nacisnął klamkę, otworzył drzwi, wyszedł i zamknął je za sobą. Szedł równym, miarowym krokiem. Nogi niosły go mechanicznie. Zdawał sobie sprawę z dziwnego drżenia gdzieś w głębi siebie, ale nie potrafił się na nim skoncentrować. Mimo że niósł aktówkę, miał wrażenie, że jego ręce są puste. W tej chwili cały był pustką. Czuł zaskoczenie i samotność.

Szukał w sobie gniewu, szukał naprawdę głęboko i on z pewnością gdzieś tam tkwił, ale John nie miał sił, by wyrwać go na powierzchnię. To samo tyczyło się jego dumy. Miał dosyć walki z duchami. Wydawało się, że przez całe życie nieustannie walczył o znalezienie sobie odpowiedniego miejsca. Myślał, że je znalazł. Myślał, że sam to miejsce stworzył. Kierowanie St. George Company zaspokajało większość jego potrzeb.

Teraz miał to stracić. Cutter wszystko przemyślał. John wiedział, na czym stoi świat interesów - sam przecież doprowadził do powstania „Facets” - i wiedział, że stanie się tak, jak mówił Cutter. Nie wygrałby bez Patrycji i Pam. Przekłęte... John liczył na nie. Sam nie wiedział dlaczego, a jednak liczył.

Stanął przed frontowymi drzwiami, ale nadal pamiętał twarze ludzi z biblioteki. Wciąż widział, jak na niego patrzyli. Nie było w nich ciepła, współczucia, zrozumienia. Poza Hillary. Miała łzy w oczach i pięść przyciśniętą do ust. Ona jedna z tej całej grupy czuła coś do niego.

Co to było - litość, współczucie? Nie miał pojęcia. Litości nie chciał. Nadal miał nazwisko. I swoją dumę. Nadal miał przed sobą przyszłość.

Współczucie to co innego. Mógł sobie z nim poradzić.

Ale nie teraz. Nabrał w płuca powietrza i zamknął oczy, próbując się opanować. Był umówiony i nie chciał się spóźnić, przecież zawsze ceniono go za punktualność. Należało to do jego wizerunku - stawienie się na czas na jednym spotkaniu, żeby nie spóźnić się na następne, a potem kolejne i jeszcze jedno. Był zajęтым człowiekiem. Był ważny. Był potrzebny. Czas się zbierać.

Hillary usłyszała głośnie uderzenie drzwi frontowych. Odbiło się dudniącym echem w ciszy panującej w bibliotece po wyjściu Johna. Strzepując powiekami łzy, Hillary rozejrzała się

po obecnych. Na ich twarzach nie widać było triumfu. Szkoda. Wtedy mogłaby być zła. Mogłaby powiedzieć im, że są hipokrytami, bo przez lata krytykowali Johna, a teraz postąpili dokładnie tak jak on.

Nie, nie wyglądali na zadowolonych. Ale to nie oznaczało, że zmienią zdanie. Nie mogła ich o to prosić, a jeśli nawet by to zrobiła, i tak by to nic nie dało. Zbyt długo i ciężko pracowali na tę chwilę. I Cutter miał rację, że to jest sprawiedliwość.

Niemniej John zachował swoją godność. Była z niego dumna. Nie poniżył się, nie wyklinał ani nie groził. Wiedział, że przegrał. Jego ostatnie słowa miały na celu wyjście z twarzą z tej sytuacji.

Boże, ale mu współczuła. I wydawał się taki samotny, kiedy wychodził.

Obróciwszy się, otworzyła drzwi i wybiegła za Johnem. Ale kiedy dotarła do frontowych schodów, nie było po nim ani śladu.

Cutter stanął za nią. Po chwili wziął ją za rękę.

- Co teraz, Hillary?

Popatrzyła w górę ulicy z nadzieją, że może John się na niej pokaże, ale na darmo.

- Nie wiem - powiedziała i tak właśnie się czuła, na pograniczu paniki. - Chyba zadzwonię do niego później.

- A jeśli odłoży słuchawkę?

- To odłoży. Nieraz tak robił. Odczekam jakiś czas i spróbuję ponownie.

Cutter ścisnął jej dłoń.

- Zaslugujesz na więcej.

- Wiem, wiem, Cutter. Ale zawsze pragnęłam tylko jego.

- Pragnęłaś zrobić karierę.

- Ponieważ nie mogłam go mieć.

- Nadal masz swoją książkę.

Zastanowiła się przez chwilę. Pomyślała o tym, dlaczego pragnęła ją napisać i co chciała przez to osiągnąć. Potem potrząsnęła głową.

- Nie będę jej kończyć.

- Nie wydasz jej? Ponownie potrząsnęła głową.

- Dlaczego? Wzruszyła ramionami.

- Zbyt bliskie. Zbyt gorące. Zbyt bolesne. - Drżącymi ustami nabrała powietrza. - Myślałam, że zależy mi na zemście, ale zemsta boli. Poza tym - próbowała się uśmiechnąć, ale to jej

się nie udało - nawet nie wiem, jak to się skończy. Czy to wystarczający powód?

- Tak samo dobry jak każdy inny - stwierdził tak współczującym głosem, że z trudem powstrzymała szloch. Po chwili zarzuciła Cutterowi ramiona na szyję i mocno go przytuliła.

- Jesteś moim przyjacielem. Czy mogę czasami do ciebie zadzwonić?

- Wściekłbym się, gdybyś tego nie zrobiła. Odsunawszy się, poklepała go po ramieniu.

- Tylko psy się wściekają. Ty jesteś człowiekiem, jesteś dobry. - Popatrzyła na Cuttera niepewnie. - Będiesz zły, jeśli wrócę do Johna?

- Zły jak nie wiem co. Zaslugujesz na kogoś lepszego.

- Ale ja go kocham.

- I tego nigdy nie umiałem zrozumieć.

Zamilkła, przełknęła ślinę, wzruszyła ramionami.

- Ja także. Ale tak jest.

Zdawało się, że Cutter chciał powiedzieć coś głębszego, ale po zastanowieniu powiedział po prostu;

- Życzę ci wszystkiego najlepszego, Hillary.

Za jej uśmiechem kryły się łzy.

- Ja także - wyszeptała. Poklepała go jeszcze raz, po czym zbiegła po schodach i odeszła w górę ulicy.

Cutter patrzył za nią, dopóki nie doszedł go głos Pam.

- Czy da sobie radę?

Odwrócił się, uśmiechnął i położył jej rękę na ramieniu. Tak bardzo potrzebował jej dotknąć.

- Nie wiem. To, co ona czuje do Johna, jest szalone.

- Zawsze tak było. Nigdy jej nie rozumiałam. Traktował ją tak okrutnie, a ona ciągle prosiła o więcej.

- Niektóre kobiety tak postępują.

- Ale ja pragnę, żeby Hillary była szczęśliwa.

- Może będzie. - Przeklął cicho. - Przez wszystkie lata stała u jego boku, a ten łobuz tego nie widział. Jest dla niego cenniejsza niż złoto. Jeśli nie zauważy tego teraz, niech szejnie.

Pam wsunęła rękę pod jego kurtkę i oplotła go w pasie. Czowała się dziwnie zmęczona.

- Myślałam, że to będzie takie wspaniałe - zwierzyła się cicho. - Myślałam, że ogarnie mnie cudowne poczucie zwycięstwa, coś promiennego. Ale jest zupełnie inaczej.

Cutter wiedział, o czym Pam mówi.

- To nas właśnie różni od Johna. Tylko on by się tak czuł.

- Jak myślisz, co teraz zrobi?

- Zrezygnuje i pójdzie gdzie indziej. Da sobie radę. Oparła policzek na jego ramieniu.

- Czy będzie ci to przeszkadzało? Napotkał jej wzrok i odrzekł:

- Nie. Może robić, co chce. Mnie zależało jedynie na tym, żeby zszedł nam z drogi i opuścił firmę. Teraz stracił nad nami wszelką władzę.

Patrzyli na siebie przez kilka sekund w całkowitym milczeniu.

- Minęło dużo czasu - szepnęła w końcu Pam.

- To prawda - odszepnął.

- Tyle straciliśmy.

- Ale to nie były zmarnowane lata. Obydwoje odnieśliśmy olbrzymi sukces zawodowy, mamy prześliczną córkę i mamy czas, mnóstwo czasu.

Pan poczuła ukłucie żalu.

- Brendan już nie. W następnym tygodniu zaczyna nową kurację, ale to mu da najwyżej kilka miesięcy. Nie jest dobrze, Cutter.

Objął ją ramieniem i przyciągnął do siebie.

- Będiesz przy mnie, kiedy się to stanie? - zapytała.

- Wiesz, że tak.

- Nawet jeśli będę smutna i zrozpaczona? Kocham go. Inaczej niż ciebie, ale będzie mi go brakowało, kiedy odejdzie. Zniesiesz to?

- To właśnie jesteś cała ty.

To był typowy komentarz Cuttera i kochała go za to, że jest właśnie taki. Objąwszy go ramionami, wsłuchiwała się w bicie jego serca i napawała się przez chwilę tym cudownym odgłosem, który zawsze dodawał jej sił. Potem pocałowała go lekko i odeszła.
